



— *Spacer Aleją Róż* —

SZAROŚĆ
MIEJSKICH
MGIEŁ



EDYTA ŚWIĘTEK


Replika

— *Spacer Aleją Róż* —

SZAROŚĆ
MIEJSKICH
MGIEŁ



— *Spacer Aleją Róż* —

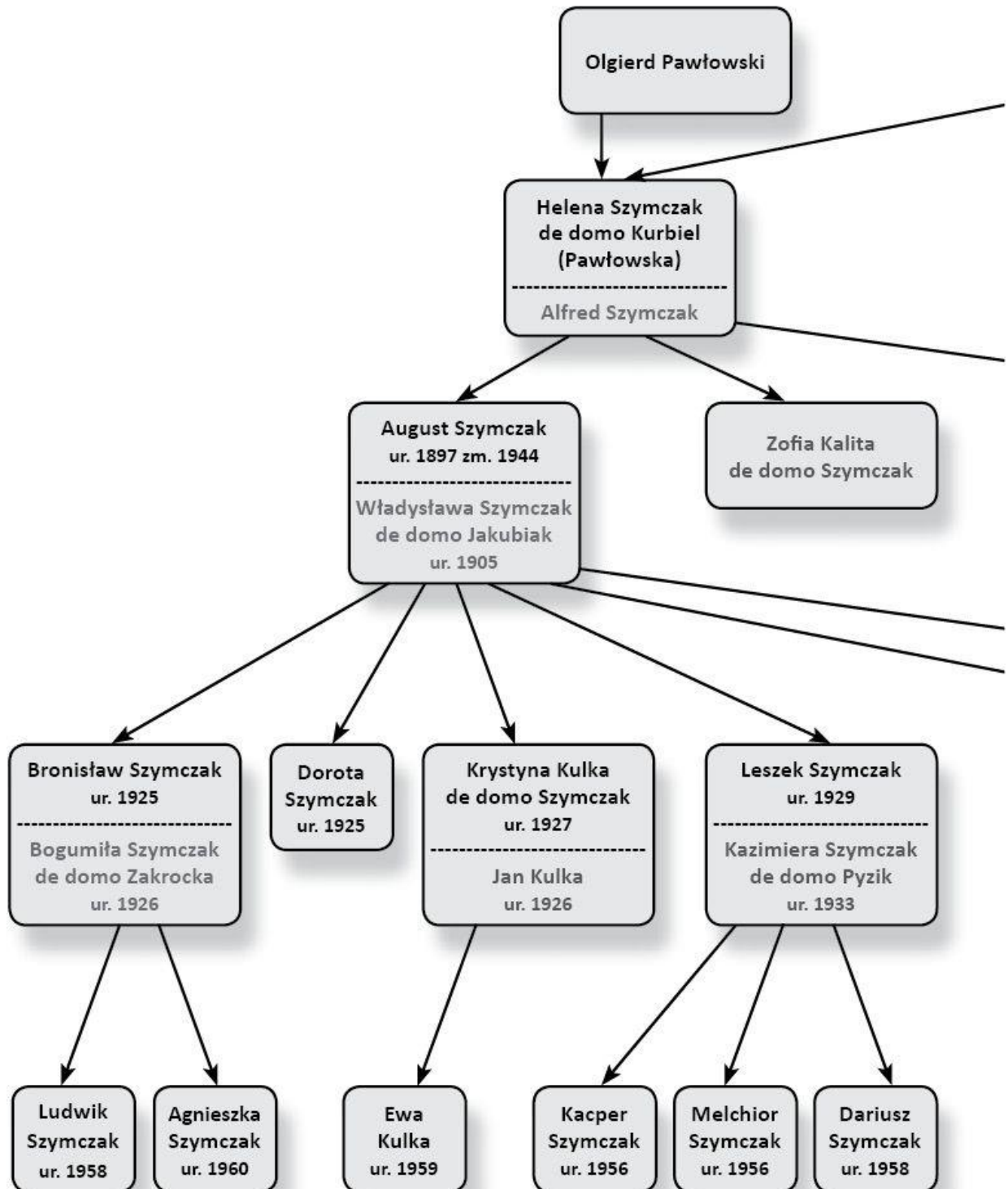
SZAROŚĆ
MIEJSKICH
MGIEŁ

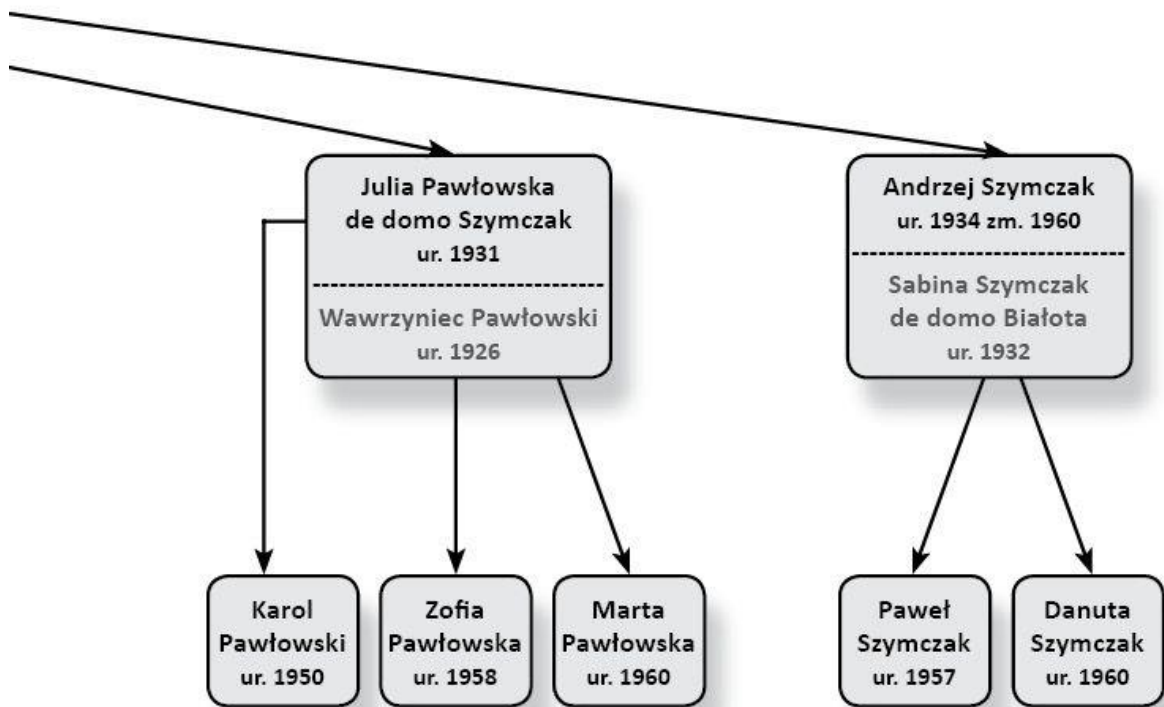
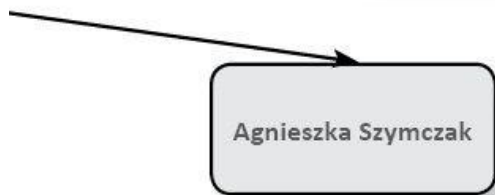
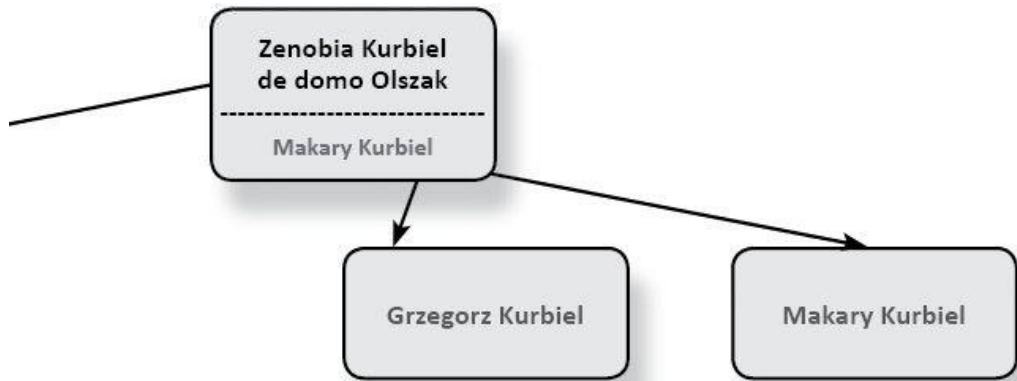


EDYTA ŚWIĘTEK



*Drzewo genealogiczne rodzin: Pawłowskich,
Szymczaków oraz Kurbieli – rok 1967*







W poprzedniej części

Do Nowej Huty przyjeżdża dyszący chęcią zemsty Edward Marczyk. Na wszelkie możliwe sposoby usiłuje dręczyć Bronka i jego rodzeństwo. Odgraża się, że nie spocznie, dopóki nie pomści Bartłomieja.

W wyniku kradzieży Julia traci torebkę. W kłopotliwej sytuacji pomaga jej Wawrzyniec Pawłowski. Początkowo kobieta podejrzewa go o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa, lecz mężczyzna przekonuje ją co do uczciwości swoich zamiarów. Zakochany walczy o jej uczucie. Kobieta postanawia dać mu szansę. Spotykają się przez jakiś czas, w końcu Wawrzyniec prosi ją o rękę. By nie mącić w głowie Karolowi, narzeczeni zamierzają utrzymać chłopca w przekonaniu, że jest synem Pawłowskiego. Wmawiają mu, że ojciec ocalał w cudowny sposób, ale stracił pamięć i dlatego do nich nie wracał. Julia i Wawrzyniec biorą cichy ślub w Pawlicach. Po długich namowach ze strony Pawłowskiego proboszcz ulega i wystawia im akt ślubu ze sfalszowaną datą.

Bogumiła i Broniek także zawierają małżeństwo. Wiodą spokojne i szczęśliwe życie, oczekując pierwszego dziecka.

Ksawery i Dorota cierpią z powodu niemożliwej do spełnienia miłości. Są w sobie zakochani, lecz nie mogą być razem.

Krystyna nie może zająć w ciąży, a lekarze nie pozostawiają jej złudzeń – nigdy nie będzie matką. Winą za swoje niepowodzenie usiłuje obarczyć męża. Kobieta popada w alkoholizm. Bezsilny Janek najpierw stara się z tym walczyć, po jakimś czasie poddaje się i postanawia odejść. Zamieszkuje u przyjaciela, który próbuje przemówić siostrze do rozsądku.

Sabina rodzi chłopca. Mąż, zniecierpliwiony jej zmęczeniem i brakiem czasu, wikła się w liczne miłostki. Pewnego dnia zostaje poderwany przez dwie kobiety i wdaje się z nimi w perwersyjny romans. Znajomość z Marią i Józią kończy się, gdy jedna z kochanek zachodzi w ciążę. Okazuje się, że był to uknuty przez nie plan. Mężczyzna odzyskuje zdrowy rozsądek i zrywa z dotychczasowym stylem życia. Zona spodziewa się drugiego potomka.

Kazia rodzi trzeciego syna, Dariusza. Kategorycznie odmawia ochrzcenia dziecka, co powoduje poważny konflikt z Bronkiem. Leszek przyznaje się bratu, że wstąpił do partii, za co zostaje ostro potępiony.

Na świat przychodzi córka Pawłowskich, Zofia.

Parafianie ustawiają krzyż w miejscu przeznaczonym na budowę kościoła, lecz po jakimś czasie władza ludowa wycofuje zgodę na wzniesienie świątyni i nakazuje usunięcie symbolu wiary.

Andrzej przemawia Krystynie do rozsądku. Kobieta zrywa z nałogiem i godzi się z Jankiem. Kulkowie rozmawiają o możliwości adoptowania dziecka.

Sabina rodzi córkę. Julia spodziewa się trzeciej pociechy. Przy nadziei kolejny raz jest także Bogusia.

W Nowej Hucie dochodzi do starć w obronie krzyża. Władze miasta ściągają oddziały ZOMO do rozprawienia demonstrantów. Szymczakowie biorą czynny udział w zamieszkach. Leszek przypadkowo miesza się w tłum protestujących, gdzie spotyka Andrzeja. Usiłuje przekonać kalekiego brata, że zbyt wiele ryzykuje. W ostatniej chwili udaje im się uciec przed milicjantami. Janek i Broniek zostają aresztowani za demolowanie budynku Dzielnicowej Rady Narodowej. Gdy Leszek widzi, jak funkcjonariusze prowadzą ich do samochodu, rzuca się na ratunek. Zostaje ranny w głowę, a próbujący mu przyjść z pomocą Jędrzek ginie od strzału w plecy. Wawrzyniec wraca do domu z raną postrzałową. Odmawia wizyty u lekarza, prosząc żonę, aby opatrzyła jego ranę.

Nocą do Sabiny przychodzi Marczyk. Informuje ją o śmierci męża i zastrasza, że jeżeli ujawni komuś prawdę, to jej dzieci ucierpią. Bezpieka fałszuje akt zgonu Andrzeja.

Służba Bezpieczeństwa odwiedza Wawrzyńca w biurze. Mężczyzna słyszy pogrózki.

Janek i Broniek odsiadują w więzieniu wyrok za udział w zamieszkach. Tam znęca się nad nimi Edek. Nie mają pojęcia o tym, że Leszek został ranny i zapadł w śpiączkę, a Andrzej nie żyje. Po powrocie do domów muszą zmierzyć się z ponurą rzeczywistością. Broniek traci pracę, a Janek wciąż jest szykanowany. W końcu Szymczak znajduje zatrudnienie w kombinacie. Kulkowie przygarniają dziewczynkę.

Pewnego dnia Broniek zostaje zaskoczony przez Marczyka na łąkach. Szymczak jest sam, wokół nie ma świadków. Między mężczyznami dochodzi najpierw do wymiany zdań, a następnie do bójki, podczas której Edward wyciąga broń. Padają dwa strzały.

Rok 1960



Prolog

W klatce schodowej bloku na osiedlu Zgody cuchnęło tak intensywnie, że nie dało się wytrzymać. Na domiar złego pojawiło się robactwo, co było dziwne, zważywszy na panujące na zewnątrz mrozy. Poirytowani mieszkańcy chodzili po budynku, szukając źródła fetoru. W końcu ktoś stwierdził, że najbardziej śmierdzi obok drzwi lokatora spod piątki. Gromadka, która zebrała się w tamtym miejscu, zaczęła szeptać między sobą, że trzeba zastukać do sąsiada i przywołać go do porządku. Wiadomo było, że w garsonierze mieszka jakiś stary kawaler o wyglądzie lumpa. Uchodził za okropnego brudas. Być może to on tak zapuścił swoje mieszkanie, że zalęgli się tam niepożądani lokatorzy.

Nikt nie przepadał za samotnie żyjącym mężczyzną. Latem wciąż wrzeszczał na dzieciaki grające pod jego oknem w piłkę, to znowu przeszkadzał mu hałas na klatce schodowej albo głośniejsze włączone radio lub telewizor. Malkontent, ot co! Z nikim bliżej się nie zaprzyjaźnił, nigdy nie chciał pożyczyć będącym w potrzebie ani paru złotych, gdy zabrakło do pierwszego, ani nawet szklanki cukru czy mąki. Nie miał żony. Czasami odwiedzali go jacyś ludzie o równie nieprzyjaznych spojrzeniach i mętym wyglądzie. Ten i ów sąsiad przyuważał, że choć lokator spod piątki z nikim nie próbuje się zakolegować, to chętnie słucha cudzych rozmów, skrzętnie coś zapisując.

– Szpicel, jak nic – szeptano między sobą.

– Szpicel czy nie, zapukać trzeba. Niech se w końcu posprząta ten cuchnący chlew.

Ludzie spoglądali po sobie, lecz nikt się nie kwapił, aby naruszyć mir domowy niemiłego osobnika. W końcu ktoś odważniejszy zapukał do drzwi, a nie słysząc odzewu, mocno w nie załomotał. Z mieszkania nie dobiegał żaden odgłos.

– Nie ma go.

– Ano nie ma.

– A wiecie co, ja tom go już dawno nie widziała – odezwała się mieszkająca piętro wyżej jasnowłosa ślicznotka, o której krążyły rozmaite plotki. W twarz nikt jej nic złego nie śmiał mówić,

bowiem miała ponoć różnych wysoko postawionych znajomych, na których należało uważać. Była zresztą uprzedzająco grzeczna wobec sąsiadów, a jej przyjaciele zawsze zachowywali się kulturalnie. Lubiła dobrze się zabawić i posłuchać muzyki, lecz czyniła to w sposób mało uciążliwy dla otoczenia.

– A wiesz pani, że ja też – stwierdziła inna kobieta.

– Może wyjechał dokądś?

– Albo wyprowadził się w cholerę. Zostawił brudne mieszkanie, a w nim pewnie jakieś śmieci, które się zaśmierdziały. Trzeba tam wejść – oświadczyła zdeterminowana blondyna, której ten smród i robactwo najbardziej doskwierały, bowiem zaczęło się to wszystko panoszyć w jej lokalu. – Państwo zaświadczą, jakby co, że to nie z zamiarem kradzieży. – Powiodła wzrokiem po zgromadzonych, a następnie nacisnęła klamkę.

Niestety, drzwi nie ustąpiły.

– I co teraz? – zmartwił się hutnik spod trójki, który także nie mógł już znieść smrodu panującego na klatce schodowej i przenikającego do jego pomieszczeń.

– Trza wezwać ślusarza – orzekł urzędnik z drugiego piętra.

– Powinniśmy zawiadomić milicję. Coby nam potem nikt nie zarzucił, żeśmy się włamali.

Gapie z miejsca zadeklarowali pomoc.

– To ja lecę zaraz na posterunek.

– A ja przyprowadzę szwagra, który jest ślusarzem.

Godzinę później w asyście dwóch posterunkowych oraz większości mieszkańców bloku ślusarz otworzył zamki mieszkania numer pięć. Pchnął lekko drzwi, zza których momentalnie wyleciały chmary olbrzymich, wypasionych much – niespotykanych o tej porze roku. Słodkawy fetor niemalże przyprowadził wszystkich o mdłości. Bardziej wrażliwi wycofali się pod otwarte na oścież okno, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Coś mi tu mocno nie pasuje – bąknął jeden z funkcjonariuszy. Ponieważ zapadały już ciemności, wymacał włącznik światła. W przedpokoju zabłysnęła słaba żarówka. Oczom zgromadzonych ukazały się roje brzęczących owadów.

– A fuj! Co za tałatajstwo! Nie dziwota, że i u mnie są robale, skoro taki tu smród.

– Obywatele, nie pchajcie się – powiedział drugi milicjant.

Mundurowi weszli w głąb mieszkania.

– Czort jebał sobakę! – wrzasnął nagle jeden z nich, wybiegając na klatkę schodową. Ledwo przekroczył próg, padł na kolana i zwrócił cały obiad, który zjadł przed niespełną godziną. Zaskoczeni ludzie odskoczyli dalej.

Drugi funkcjonariusz także opuścił pomieszczenie. Upewnił się, że w środku nie został nikt niepożądany, a następnie zamknął drzwi z mosiężną wizytówką, na której przed laty ręka grawera wycięła nazwisko lokatora.

– Tutaj nic nie ma – odparł spokojnym głosem. – Rozejść się, obywatele.

– A skąd ten smród?

– Leży tam trochę różnych śmieci. Zaraz kogoś sprowadzimy, aby zrobił porządek – wyjaśnił lakonicznie.

Rok 1967

Rozdział 1



Czas leczący rany

Zapadł wieczór, gdy Julia wróciła z Martą do mieszkania.

– Jak minął dzień, kochanie? – przywitał ją mąż, lecz nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, córka już zaczęła szczebiotać.

– Tatku, tatku! Wujek Leszek się obudził! I gadał z mamusią!

– Co ty opowiadasz? – ucieszył się. – Naprawdę? – Spojrzał na żonę. Jej mina mówiła sama za siebie.

– Tak, Wawrzuś – odparła, ocierając spod oczu łzy wzruszenia. – To niewiarygodne! Po siedmiu latach śpiączki obudził się jakby nigdy nic i chciał lecieć do pracy. Dasz wiarę?

– Pamięta, co się stało?

– Niestety nie. Wypadek i godziny, które go poprzedziły, wyleciały mu z pamięci.

– A jak się czuje?

– Jest w niezłej kondycji jak na kogoś, kto dostał w łeb i przespał tyle czasu. Oczywiście ma

problemy z koordynacją ruchową, niewyraźnie mówi i nie jest w stanie skupić wzroku na jednym punkcie, ale i tak są powody do radości. Rozmawiałam już z lekarzem i wiem, że rokowania są pomyślne.

– Czy on wie, jak długo był nieprzytomny?

– Owszem. Chlapnęłam niechcący w rozmowie. Zresztą i tak by się połapał, patrząc na mnie i Martusię. On jej przecież nie zna. Zapytał, kim jest, a ja nieopatrznie powiedziałam, że to moja córka. Zresztą musiał zauważyć, że się postarzałam – westchnęła.

Mężczyzna pogładził ją czule po policzku.

– Oj tam, głupstwa gadasz. Dla mnie zawsze będziesz młoda i piękna. Najważniejsze, że Leszek wraca do zdrowia. Powiadomiłaś już Kazię?

– Jeszcze nie. Zaraz do niej polecę. Wiem, że powinnam była od razu to zrobić, ale obawiam się, jak ona przyjmie taką nowinę. – Zwiesiła głowę.

– Jeśli chcesz, pójdę z tobą – zadeklarował.

Mimo upływu lat Kazimiera nadal nie wzbudzała ani zaufania, ani sympatii wśród bliskich. Wyraźnie odstawiała od reszty rodziny, na każdym kroku podkreślając dzielący ich dystans. Łaskawie przyjmowała pomoc od krewnych męża, mniej ochoczo pozwalała trzem synom na kontakty z klanem Szymczaków. Wciąż jednak piekliła się a to o nabijanie chłopcom głów dyrdymałami na temat religii, a to o tworzenie wokół Leszka otoczki bojownika o wolność wyznania, a to wreszcie o kłopoty finansowe, jakie ściągnęli na nią, wplątując jej męża w kabałę z obroną krzyża.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że czuła się pokrzywdzona przez los. Nigdy nie pominęła żadnej okazji do narzekań na ciężki żywot. Czasami chłopcy wspominali, że matka spotyka się z jakimś wujkiem, który przynosi im cukierki, a potem wygania ich na pole. Pewnego dnia Julka próbowała delikatnie zagadnąć o to bratową, ponieważ żal jej było dzieci, które na wszystko patrzyły i na pewno potrafiły wyciągnąć wnioski. Została wtedy nieprzyjemnie ofuknięta.

– Nie mieszaj się do moich spraw. Jak żeście wszyscy po kolei namęcili w głowie mojemu staremu, to teraz dajcie mi żyć! Myślisz, że dobrze mi samej? Człowiek ze wszystkim musi się użerać! Wieczne strapienie z tymi rozwydrzonymi chłopakami! Leszek leży jak to warzywo i pewno już nigdy się nie obudzi. Jeżdżę do niego. Golę go, strzygę i kąpię. Wożę chłopaków, żeby nie zapomnieli ojca, choć nie mają z niego pożytku.

– Tak, Kaziu, wiem o tym. Ale przecież lekarze mówią, że jest nadzieja...

– Ja tam nie widzę nadziei! – Rozdrażniona kobieta przerwała obcesowo szwagierce. – To już w lata idzie, jak go pielęgnujemy!

– Trzeba wierzyć. – Julia nie ustawała w podnoszeniu na duchu wątpiącej. – Każdego dnia modłę się, aby Leszek wrócił do przytomności.

Bratowa wrzuciła obojętnie ramionami.

– Te wasze modlitwy nic nie dają – burknęła. – Potrzebuję, żeby i mnie ktoś czasem rzekł jakie życzliwe słowo. Czy ja w tym cholernym życiu nie mam prawa do odrobiny szczęścia?

Sprzecznianie się z nią nie miało sensu. Właściwie Julia bardzo jej współczuła. Czasami wspominała, jak to ona była kiedyś samotną matką, choć pewnie nie miała ani w połowie tak ciężko. Nie zapomniała ciszy wieczorów, gdy Karol spał, a ona nie miała do kogo ust otworzyć. Doskwierały jej chłód i osamotnienie – choć na wyciągnięcie ręki miała braci i siostry. Pamiętała o liczeniu każdej złotówki i wiecznej trosce, czy wystarczy pieniędzy do następnej wypłaty.

We dwoje łatwiej – westchnęła.

– Nie trap się, Julciu. – Z zadumy wyrwał ją głos Wawrzka. – Może nie będzie tak źle? Wszak Kazia ciągle narzeka, jak ciężko samotnej matce. A skoro Leszek wraca do życia, to niebawem skończą się utyskiwania.

– Obyś się nie mylił. Chodźmy.

– Karol, Zocha – zwrócił się Wawrzyniec do dzieci. – Lekcje na jutro macie podrabiane? Nie? No to siadać do podręczników. Martusia, miałaś rysować szlaczki. Synu, dopilnuj proszę, aby siostry wszystko starannie zrobiły. Wychodzimy z mamą do cioci Kazi.

Nastolatek bez słowa pokiwał głową. Wiedział, ile znaczy sprawa wujka Leszka. Sam był zaciekawiony, jak to wszystko teraz się poukłada. Wszak nie raz słyszał szeptów rodziców, że ciotka romansuje z jakimś panem. Zresztą on też kiedyś widział ją z kimś w kawiarni. Siedzieli, trzymając się za ręce. Chociaż nie dotyczyło go to w bezpośredni sposób, odczuł przykrość. Nie wyobrażał sobie, aby jego matka mogła spotykać się z jakimś obcym mężczyzną, gdyby tato był chory. Bo przecież wujek był chory.

Nigdy nie zapomniał tej strasznej nocy sprzed lat, kiedy ojciec wrócił śmiertelnie blady, uciskając krwawiące ramię. Mama opowiadała później, jakiego strachu jej napędził, gdy stracił przytomność. A jakby się wtedy nie obudził i, tak jak stryj, leżał zdany na opiekę innych? Wszak już raz spotkało go coś podobnego i na kilka lat zniknął z ich życia. Zostali z mamą sami, myśląc, że on nie żyje. Karol pamiętał jak przez mgłę, że wujkowie, ciotki i babcia Władzia namawiali ją, aby poszukała sobie nowego męża. Choćby po to, żeby syn mógł mieć ojca.

Jakie szczęście, że nigdy ich nie posłuchała!

Musiała bardzo tęsknić za tatą, skoro tyle lat opierała się namowom.

Dopiero teraz, gdy obserwował ciotkę Kazimierę, której mąż przecież żył, uświadomił sobie, jak wyjątkowo mocna miłość połączyła jego rodziców. Przetrwiała nie tylko próbę czasu, ale również takie straszne nieporozumienie.

Mama była zupełnie inna niż matki jego kolegów.

Pracowała w Pałacu Dożów. Chodziła zawsze starannie ubrana i umalowana. Obcięte na pazia włosy tapirowała albo kręciła na lokówce, modnie wywijając je na policzki. Bardzo dbała o wygląd. Nie to jednak było najważniejsze. Ona bowiem, w przeciwieństwie do innych mam, nigdy nie wpadała w złość. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zrugala go za jakieś przewinienie, choć nie raz zdarzyło mu się napsocić. Niejeden kolega dostał od swojej matki weiry lub usłyszał, jakim jest niewdzięcznym bachorem, i za karę musiał siedzieć w domu. Zdarzało się to nawet teraz – choć już bez rękoczynów – gdy byli niemalże dorośli i przewyższali swe matki wzrostem.

Ile razy zachodził do Jane, pani Becker kręciła się po mieszkaniu w rozczłapanych kapciach i podomce, kopiąc papierosa zwisającego z kącika ust. Klęła jak szewc zarówno w języku polskim, jak i po niemiecku.

Mama Bukana Mirgi wyglądała bardzo staro, choć kolega twierdził, że ma trzydzieści trzy lata. Była gruba, nosiła okropnie pstrokate, długie do kostek falbaniaste sukienki. Jej ubrania na ogół poznaczone były plamami i sprawiały wrażenie bardzo dawno nie pranych. Ciągnął się za nią nieprzyjemny zapach. Wciąż wrzeszczała na syna albo jazgotała z licznymi siostrami i kuzynkami. Nie raz dostali od niej ścierką albo trzepaczką do dywanów – przedmiotem służącym w domu Mirgów li tylko do dyscyplinowania licznej gromady dzieciaków, z których część to byli kuzyni, a część rodzeństwo kolegi.

Wiecznie pijana matka Saszy Brywkina toczyła nieustanne kłótnie ze swoim mężem. Ten pił jeszcze więcej niż ona, a wtedy bywał agresywny i nie skąpił pięści na żonę i dzieci. Sasza nieraz przychodził do szkoły posiniaczony. Pół biedy, gdy nosił ślady pasa na dupie i nie było ich widać. Czasami jednak, ku uciesze złośliwego grubasa Zbyszka Grucy, chodził z podbitym okiem albo rozciętą wargą. Nauczyciele już dawno przestali zwracać na to uwagę. Początkowo wypytywali, z kim się pobił, potem przestali dociekać. Sasza był bowiem wyjątkowo dumny i honorowy – stary mógł go tłuc bez opamiętania, on nie puszczał pary z ust.

U innych chłopaków też było nie lepiej, choć może nie tak dramatycznie.

Karol nigdy nie dostał od matki lania. Nie usłyszał wyzwisk i wyrzekań. Nie widział jej z papierosem ani pijanej, choć w towarzystwie raczyła się czasami nalewką, winem lub kieliszkiem wódki. Zawsze jednak zachowywała umiar. Gdy w niedzielę tuż przed świtem wracali z ojcem z dansingu, budził go czasami jej radosny śmiech. Lubiła tańczyć. Dużo czytała, uwielbiała *Kabaret Starszych Panów* i kino. Jego koledzy mawiali, że to światowa kobitka, i chyba trochę mu zazdrościli, że nie musiał się za nią wstydić. Często przylatywali do niego i o ile w innych domach mamrotali wyłącznie ciche „dzień dobry” oraz „do widzenia”, to tu zawsze gawędzili dłużej. Czasami prosili

Pawłowską, aby sprawdzała ich prace domowe albo objaśniała bardziej zawile lekcje.

– Inteligentka, psiakrew – mawiała o niej Barbara Moch, matka Gerarda, który urodził się i wychował w Wałbrzychu. Jego rodzice sprowadzili się do miasta stosunkowo niedawno. Zamiast „tak” kolega zawsze mówił „ja”. Był zabawny i towarzyski, a jego gwara przysparzała nowohuckim andrusom mnóstwo uciechy. Ponieważ miał krzepę w garści jak mało kto i uchodził za osiłka, nikt nie ważył się, by mu z premedytacją dokuczać.

– Paniusia z miasta, nie wie, co to prawdziwe życie. Nie zna ciężkiej roboty – skomentowała kiedyś Julię Maryśka Curuś, matka Kubu.

Jakub przyjechał z rodzicami „spod samiuśkich Tater”. Ten również mówił inaczej niż zasiedziałe mieszczychy – zaciągał śpiewnie. Był wyjątkowo zawzięty i zadziorny, często powodował bójkę, a potem szukał ratunku u Mocha.

Inne kobiety też krytycznie oceniały zadbaną, pogodną Pawłowską.

Jakże lekko im przychodziło wydawanie niesprawiedliwych osądów! Cóż one o niej wiedziały?

Na pewno niełatwo było mamie odnaleźć się w obcym miejscu. Z tego, co wiedział, przyjechała do miasta jako wdowa. Niechętnie opowiadała o tamtym okresie, a on, choć paliła go ciekawość, nie drażył tematu, aby nie sprawiać jej przykrości. Początkowo mieszkała u wujka Bronka, potem – już po jego urodzeniu – przeprowadzała się jeszcze trzykrotnie: najpierw na osiedle Młodości, potem Centrum B. Tam przebywali na tyle długo, że zawarł przyjaźnie, które – w co wierzył – przetrwają wszystko. Na ostatek wylądowali w Centrum D.

Choć od ostatniej zmiany mieszkania minęło już dziesięć lat, Karol nie zawarł tutaj jakichś znaczących znajomości. Kilka miesięcy przed kolejną zmianą adresu matka zdążyła go zapisać do szkoły podstawowej w dotychczasowym osiedlu. Do jego klasy mieli chodzić chłopcy, których znał od przedszkola. Nie wyobrażał sobie, że miałby stracić takich fajnych kolegów, więc gdy mama zapytała, czy nie wolałby, aby go przepisała bliżej, uprosił ją, by tego nie robiła. Zwłaszcza że nie miał daleko ani do podstawówki, ani na stare podwórko. Przez ostatnie dziesięć lat wciąż gonił pomiędzy tymi dwoma osiedlami. Oczywiście nastroczało to trochę problemów, ponieważ o wiele fajniej mieli ci chłopcy, którzy w każdej chwili mogli zawołać swoje mamy, by wychyliły się przez okno i rzuciły im bądź to piłkę, bądź to pistolet, bądź inne niezbędne w zabawie akcesoria. On, gdy czegoś potrzebował, musiał lecieć przez plac Centralny. Z biegiem czasu dostał od ojca upragniony rower i od tej pory woził na bagażniku mały plecaczek, do którego wkładał różne przydatne drobiazgi.

Mimo tych niedogodności nie rezygnował z wypadów na sąsiednie osiedle. Tam miał kolegów, spośród których najbardziej lubił wesołego Jane Beckera. Od lat trzymali sztamę. Jeden skoczyłby za drugim w ogień. Nie mieli przed sobą tajemnic. Byli prawdziwymi przyjaciółmi.

Do ich paczki należeli jeszcze Sasza, Bukano, Gerard i Antek. W szóstkę grywali w piłkę, wdychali do dziewczyn, popalali ukradkiem papierosy. Czasami całą gromadką płatali różne figle Zbyszkowi Grucy. Przed jawnym dokuczeniem najmniej lubianemu koledze powstrzymywały ich zarówno skrupuły, jak i pewien respekt.

Gruca był opasłym chłopakiem, powolnym i raczej leniwym, ale mimo wszystko szanowanym przez innych, gdyż jego rodzinie dobrze się wiodło. Chodziły niepotwierdzone słuchy, że jego ojciec jest wysoko postawionym funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa i teraz toruje karierę w strukturach starszemu bratu Zbyszka – Zygmunтови. Tego ostatniego nie znał nikt – chłopcy wiedzieli o nim wyłącznie z opowieści kolegi. Czasami nawet drwili sobie, że przechwała się nieistniejącym starszym bratem po to, by nie ważyli mu się spuścić lania, gdy na nie zasługiwał.

A zasługiwał – przynajmniej w ich odczuciu – bardzo często.

Zbyszek od zawsze opływał we wszelkie dobra. Jako dzieciak miał najlepsze zabawki. Pierwszy dostał skórzaną futbolówkę i rower, ale swoich skarbów nie chciał nikomu użyczać – takim był chytrusem. Dopiero z biegiem czasu wbił sobie do wielkiej, krótko ostrzyżonej łepetyny, że jednak warto niekiedy podzielić się swoimi dobrami z paczką kumpli, ponieważ wtedy zyskiwał szacunek i uznanie. Lepsze to niż samotne siedzenie na krawężniku lub trzepakowej ławce i gapienie się na nowiutką, nieużywaną piłkę.

*

Kiedy Marczyk nieostrożnie pociągnął za spust, obydwaj z Szymczakiem stali w błocie po kolana. Byli zwarci w uścisku, więc w pierwszej chwili esbek nie wiedział, kogo trafił – adrenalina skutecznie tłumiała bodźce. Potem jednak poczuł, jak miękną pod nim nogi – postrzelił samego siebie. Nie miał czasu na myślenie, zaraz mógł opaść z sił. Choć Szymczak znacznie ograniczał jego ruchy, skierował lufę w odpowiednią stronę i jeszcze raz oddał strzał. Tym razem zobaczył cierpienie w oczach wroga. Osunęli się na grząską ziemię. Padając, przeciwnik przywalił go swoim ciałem.

Znieruchomieli na moment, oszołomieni bólem. Chwilę później wstąpiły w nich nowe pokłady energii. Pojedynek nie dobiegł końca, choć obydwaj krwawili z ran postrzałowych. Obydwu kule ugodziły w okolice barków. Szamotali się ostatkiem sił.

Edward chciał dokończyć dzieła, lecz nagle poczuł, że zasysa ich błoto. Broń stała się bezużyteczna. Jeszcze przez chwilę walczyli, choć każdy z nich miał zdrową tylko jedną rękę. A potem przyszło otrzeźwienie: bagno szybko ich wciągało. Nie mogliby w nim utonąć, lecz i tak strach zaglądał mu w oczy. Wszak był ranny, więc gdyby błoto skutecznie unieruchomiło go w miejscu, mogłoby się to dla niego źle skończyć. Jeżeli miał przeżyć, musiał zaprzestać walki.

– Koniec z tym. Zaraz obydwaj zdechniemy – wysapał.

– Ja tego nie zacząłem – odparł Bronek, próbując go złapać za gardło. – Tyś mnie niesprawiedliwie oskarżył. Jak mi Bóg miły, nie miałem niczego wspólnego ze śmiercią Bartka. Zaslugujesz, aby tutaj wykitować za wszystkie moje krzywdy.

– Puść, kurwa, bo jak nie, to utoniesz razem ze mną.

– Dobrze sobie. Ja cię puszcze, a ty mi wypalisz między oczy.

– Nie, kurwa, przysięgam.

– Nie wierzę.

– Na Boga, człowieku!

– Z twojej gęby to brzmi jak bluźnierstwo.

– Przestań, kurwa, się szamotać – jęczał Marczyk. – Chcesz tu skończyć? Dzieci na ciebie czekają. I żona.

Bronek, mimo całej grozy sytuacji, zaczął się śmiać.

– A to dobre – powiedział, drżąc. – Przecież dopiero co chciałeś mnie zabić. Nie obchodziło cię, że czeka na mnie rodzina. Nie wierzę ci, ancykrysie – sapnął, usiłując wepchnąć głowę wroga w błoto.

Marczyk trzymał go tak mocno, że obydwaj zaczęli się pogrążyć.

Nagle sytuacja stała się dramatyczna. Byli ranni i szybko opadali z sił. Żadnemu nie uśmiechało się zginąć na trzęsawisku.

– Puszczaj mnie! – zażądał Bronek.

– Nic z tego. Albo uratujemy się obaj, albo obaj tutaj zdechniemy. Przestań mnie dusić.

– Niech ci będzie. – Szymczak ustąpił. – Trzeba stąd wyleźć.

Cóż z tego, gdy ugrzęźli już tak bardzo, że chyba nie było odwrotu. Każdy ruch pogarszał sytuację. Mieli tylko jedną szansę, aby się wydostać – w pobliżu wystawał z bagna uschnięty kikut drzewa. Jego konar sterczał dosłownie kilka centymetrów od wyciągniętej maksymalnie ręki Bronka. Męczyzna usiłował go dosięgnąć, lecz opór błota skutecznie to uniemożliwiał.

– Gdybym złapał tę gałąź, moglibyśmy utrzymać się na powierzchni. Może nawet zdołalibyśmy się podciągnąć i wydostać z brei.

– Próbuje! – ponaglił go Edek, który nie tylko nie czuł stabilnego gruntu pod nogami, ale miał wrażenie, że oblepiająca go zimna maź lada moment zamknie się nad jego głową. Kurczowo obejmował i ścisnął tors przeciwnika.

Ten znów podjął rozpaczliwe próby pochycenia konara. Nadaremnie.

– Musimy zachować spokój – stwierdził. – Powinniśmy ruszać się tak, jakbyśmy pływali. Może to coś da. Jesteś w stanie wiosłować wolną ręką?

– Nie bardzo. Nie mam w niej czucia.

– Fatalnie – jęknął Szymczak.

Z ogromnym trudem odepchnął otaczające go błoto, wyciągając jednocześnie drugą dłoń. Poczuł przeszywający ból w zranionym barku, ale nie wolno mu było się poddać. Musiał dotrzeć do konara, holując nadprogramowy ciężar w postaci Marczyka. Odnosił wrażenie, że udało mu się nieco przesunąć. I rzeczywiście: z nadludzkim wysiłkiem pełzył w bagnie, aż zdołał objąć gałąź lewą ręką. Z miejsca też ocenił, że o ile pozostałość drzewa może mu pomóc w utrzymaniu równowagi, to nie ma mowy, aby się na nią podciągnął.

– Czy ktoś z twoich wie, żeś tu przylazł? – zapytał Edek.

Wcześniej obserwował Bronka z ukrycia. Przyszedł za nim aż z osiedla Wandy. Widział, że ten czegoś szuka na łąkach, ponieważ rozglądał się i przetrząsał zarośla. Otaczała ich gęsta mgła, która dawała Marczykowi poczucie bezpieczeństwa. Miał okazję, aby łatwo rozprawić się z wrogiem. Było mało prawdopodobne, że ktoś go wypatrzy.

Ta sama mgła, która wcześniej pomogła mu w realizacji zamierzeń, mogła ich zgubić. Któż ich znajdzie w tej głuszy?

– Moi wiedzą, gdzie się wybrał – oświadczył Szymczak. – Prędzej czy później ktoś przyjdzie na poszukiwanie.

Tak naprawdę sam w to nie wierzył. Choć był umówiony z Kulką na wieczór, wątpił, aby przyjacielowi przyszło do głowy opuszczenie ciepłego mieszkania i sprawdzenie, czemu do niego nie dotarł.

Po chwili odpoczynku zaczęli na przemian wołać o pomoc. Szybko zabrakło im sił nawet na to. Błoto zassało ich po pachy, skutecznie ograniczając możliwość oddychania, a co dopiero krzyczenia. Dodatkowo Edka przygniatał ciężar Szymczaka.

Próbowali wypełznąć z bagna, lecz każdy ruch pogarszał sytuację.

Nie pozostawało nic innego, jak liczyć na cud. Ewentualnie mogli chwilę odsapnąć, zebrać siły i ponownie spróbować ucieczki. Sęk w tym, że obydwoj byli osłabieni wpływem krwi.

Wokół mężczyzn zapadał mrok. Zaczynała opadać mgła. Czuli, jak skrapla się na ich twarzach. Na niebo wyszedł księżyc, lecz bardzo szybko przysłoniły go ołowiane chmury.

– Będzie lato – stwierdził Edek, szcękając zębami z zimna.

Szymczak nie odpowiedział. Nie ruszał się od jakiegoś czasu. Leżał bez czucia, a jego lewa, zdrowa ręka zwisała bezwładnie z konaru, który wcześniej złapał.

– Ja pierdołę! Bronku! – Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zwrócił się do niego po imieniu. – Obudź się! Nie zasypiaj, bo, kurwa, utoniemy!

*

Życie w Pawlicach płynęło leniwie. Mijał rok za rokiem, a tam niewiele się zmieniło.

Matka ostatnio ciągle stękała i narzekała na bóle w plecach. Do tego doszedł reumatyzm i inne przypadłości, które w wieku sześćdziesięciu dwóch lat nikogo nie dziwiły. Cierpienia naznaczyły ją głębokimi bruzdami, a jej włosy pobieleły niczym śnieg. Pochyliła się, schudła. Coraz częściej popadała w zadumę, więcej czasu spędzała, szepcząc ciche modlitwy. Nieustannie zamartwiała się o dzieci i wnuki. Wszak większość jej rodziny zamieszkała w na wpół dzikim miejscu, gdzie strach było swobodnie odetchnąć i odezwać się głośniejszym głosem nawet we własnym mieszkaniu. Mało to Bronku i Janek zaznali cierpienia z rąk milicji? Mało to napłakały się nieszczęsne dziewczyny?

A mało łez wylała, gdy zamordowano jej najmłodszego syna?

– Dobrze, żeś choć ty nie poszła do miasta – mawiała do Doroty. – Tam nic dobrego by cię nie

spotkało. Tutaj ludzie cię szanują.

Córka kiwała głową w zamyśleniu.

Może i matka miała rację? Wśród obcych czekałaby ją tylko poniewierka.

W Pawlicach pękało jej serce, a utrzymanie Ksawerego na dystans przychodziło coraz trudniej. Jego córki dorosły i opuściły rodzinne gniazdo. Amelia często popadała w melancholię i sprawiała wrażenie głęboko nieszczęśliwej. Widać było, że wciąż nie potrafi odnaleźć się w realiach PRL-u. Gdy miewała lepsze chwile, przychodziła do biblioteki. Sięgała po Prusa lub Orzeszkową, a najczęściej Mniszkównę. Wspominała stare, dobre czasy przedwojenne. Opowiadała o wystawnych przyjęciach i balach. O polowaniach, kuligach i grze w tenisa. Opisywała swe paryskie kreacje, futra, kapelusze oraz samochody męża. Mówiła o służbie, gnuśnych chłopach i sielankowym życiu. Z jej wspomnień przetrwali tylko gnuśni chłopci, cała reszta pękła niczym bańka mydlana. Nie rozmawiała z nikim więcej, tylko z bibliotekarką. Pozostali mieszkańcy okolicy jawili się jej jako ciemni prostacy.

Chciała tego czy nie – Dorota zaprzyjaźniła się z Olszańską. A jak tu jedynej przyjaciółce wbić między łopatki ostry sztylet zdrady?

Nie planowała przyjaźni z Amelią. Tym bardziej nie planowała miłości do jej męża. A jednak niepokorne i głupie serce uderzało wyjątkowo mocno z każdym słowem Ksawerego. Z każdym przypadkowym lub celowym muśnięciem dłoni, z każdą chwilą, gdy ich tęskne spojrzenia spotykały się nad płachtą dziennika, który znowu czytywał w bibliotece.

O, gdyby udało się wyrwać z serca i myśli te wszystkie tkliwe wspomnienia!

Przecież nie mogła ot tak zabronić naczelnikowi zagładania do instytucji publicznej.

Co on we mnie widzi? – zastanawiała się, oglądając przed lustrem naznaczoną bliznami twarz. – *Nie dość, żem szkaradnie pocięta, to jeszcze zaczynam się starzeć. Skronie już całkiem mi posiwiały, w kącikach oczu mam kurze łapki, a wzdłuż ust głębokie bruzdy.*

– Ech... smutny i przewrotny losie!

– Mówiłaś coś, córciu? – Z sieni dobiegły ją słowa matki.

– A nic takiego, matulu – odparła zduszonym głosem.

Władzia nie dała sobie zamydląć oczu. Usłyszała w tonie Doroty jakąś żalną nutę. Weszła do izby i stanęła za plecami córki przeglądającej się w lustrze starej toaletki, która pamiętała jeszcze młodość Zenobii. Pogładziła siedzącą po głowie, z rozczeniem spoglądając na srebrzyste nitki na jej skroniach.

– Co ci jest, Dorotko? Widzę przecież, że coś cię trapi.

Kobieta odwróciła się w stronę matuli.

– Tak się zastanawiam czasami, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie sponiewierała mnie ruska swołocz.

Serce Władysławy załomotało niespokojnie. Słowa córki sprawiły jej ból.

– Czemu rozdrapujesz stare blizny? Co to da?

– Nie fraszujcie się, mamu, mnie już dawno przestało to dręczyć. Po prostu rozmyślałam nad tym, czy ja też byłabym dzisiaj mieszkanką Nowej Huty. Dokąd rzuciłby mnie los? Czy miałabym rodzinę?

Takie pytania musiały zostać bez odpowiedzi.

– Chciałabyś do Krakowa? – zdziwiła się matka.

Dorota zaprzeczyła powolnym ruchem głowy. Była jednak głęboko przekonana, że gdyby nie te blizny, to pewnie nie byłoby jej w Pawlicach. Być może nigdy nie poznałaby Ksawerego. Zaraz naszły ją jeszcze śmielsze koncepcje. Może nim nastał ten cholerny pegeer, zdążyłaby wyjść za mąż i żyłaby szczęśliwie na własnych śmieciach? Kto wie? Może nawet reszta rodzeństwa nadal mieszkałaby w Pawlicach, bo gdyby Bronek przepisał na nią choć pięć hektarów, to władza ludowa nie skonfiskowałaby ich ziemi. Najstarszy brat nie musiałby szukać szczęścia w świecie. Nie zostawiłby kobiet bez opieki, a ten zwyrodnialec Marczyk nie ważyłby się tknąć Julki. Jędrzek nie uległby wypadkowi i nie zginął w tak smutny sposób.

Cóż za gdybanina! – westchnęła. *A to już tylko krok od tego, abym popadła w obłęd. Nie cofnę czasu.*

*

Kulka krążył niespokojnie po mieszkaniu. Raz po raz podchodził do okna i wyglądał na ulicę zza stylonowej firanki. Był umówiony z Bronkiem, mieli słuchać razem Radia Wolna Europa. Od lat robili to w głębokiej konspiracji. Tego wieczoru Krysia z Ewą poszły do Teatru Ludowego, aby obejrzeć spektakl *Zygmuntowskie czasy*. Audycja radiowa dobiegła końca, a przyjaciela wciąż nie było. Nigdy wcześniej nie zawodził.

– Coś musiało się stać – stwierdził zafrasowany.

Doszedł do wniosku, że nie ma na co dłużej czekać. Wzwał buty, włożył jesionkę, na głowę wcisnął kaszkiet. Postanowił pójść do przyjaciela i sprawdzić, czemu nie zjawił się u niego. Niby nie było racjonalnych powodów do niepokoju – być może Broniek złapał przeziębienie. Albo zatrzymały go obowiązki rodzinne. Albo został w pracy na godziny nadliczbowe. Równie dobrze jednak mógł znowu wpaść w jakieś tarapaty. Przy jego zezowatym szczęściu było to nader prawdopodobne.

Już miał wyjść, gdy coś go tknęło, aby wziąć latarkę.

Przeleciał osiedlowym chodnikiem pod blok przyjaciela. Zadarł głowę i spojrzał w jego okna. Zobaczył włączone światło i postać krążącą niespokojnie po pokoju. To musiała być Bogumiła. Co tchu pognał na piętro i zastukał do drzwi. Otworzyła mu szwagierka. W jej oczach pojawił się zawód.

– Janek? – wyraziła zdziwienie. – Myślałam, że to Broniś.

– Nie ma go – odgadł Kulka.

– Nie. Zaczynam się już martwić. Zaraz po obiedzie poleciał na łąki, aby poszukać latawca Agnisi. Nie wrócił do tej pory, a przecież jest już ciemno. Choćby nie wiem jak się zawziął, niczego teraz nie znajdzie w tych zaroślach.

– Pójdę go poszukać. Powiedz mi tylko, w którym to mogło być miejscu.

– Tuż za szpitalem.

– Dobra. Głowa do góry, Bogusiu. Zaraz wrócimy. Być może Broniek utknął na jakiejś nierówności i skreślił nogę – podał najbardziej prawdopodobny powód, jaki mu przyszedł na myśl.

*

Dzwonek do drzwi zakłócił spokojny wieczór u Szymczaków. O ile można nazwać spokojem nieustanne utarczki pomiędzy dwoma jedenastolatkami a nieustępującym im na krok dziewięciolatkiem. Chłopcy byli właśnie w samym środku kłótni o *II księgę przygód Tytusa, Romka i A'Tomka*. Każdy z nich chciał ją pooglądać akurat w tym momencie i w żaden sposób nie mogli dojść do porozumienia. Istniało ryzyko, że komiks ulegnie rozdarciu na trzy części.

– Ani chwili ciszy! Dawać mi to natychmiast! – wrzasnęła matka, odbierając im przedmiot sporu.

– Ktoś chyba dzwonił. Melek, leć otworzyć.

– Dlaczego ja? Niech Darek otwiera.

– Bez dyskusji!

Sama nie zamierzała się ruszyć. Nie oczekiwała nikogo. O tej porze mogli wpaść jacyś koledzy chłopaków. A ona nie będzie przecież usługiwać bandzie rozwydrzonych smarkaczy. Zaciągnęła się dymem z papierosa.

– Mamo! Ciocia Julia przyszła. Z wujkiem Wawrzyńcem! – zawołał syn z przedpokoju.

Kazia przewróciła oczami i wstała z wygniecionego fotela o spleśniałej, rudej tapicerce. Wyszła, aby powitać niespodziewanych gości.

– Rozplaszczcie się, proszę – wysiliła się na grzeczność. – Herbaty?

– Nie, dziękuję – odparła Julka. – Wpadliśmy tylko na chwilę, aby porozmawiać.

Jej słowa jeszcze bardziej zniechęciły gospodynię.

Zaś będą truć nie wiadomo o czym!

– Chodźcież dalej – zaprosiła ich do pokoju. – Chłopaki, do siebie! – Kiwnęła głową na synów.

Ci jak zwykle w takich sytuacjach pokornie opuścili pomieszczenie. Przechodząc koło stołu, Kacper zwinął z niego sporny egzemplarz komiksu.

Pawłowscy zajęli miejsca na wersalce, Kazimiera wróciła na fotel. Grzecznościowo wyciągnęła w stronę Wawrzka paczkę papierosów, lecz szwagier odmówił. Miał swój ulubiony gatunek, klubowych unikał jak ognia.

Julia jak zawsze odsunęła się trochę dalej, aby nie wdychać dymu. Smród papierosów zawsze ją drażnił, co często akcentowała podczas rodzinnych biesiad. Kazia jednak nie zamierzała dla jej dobrego samopoczucia pozbawiać się przyjemności. Wszak była u siebie w domu.

– Co słyszać? – rzuciła od niechcienia.

Miała nadzieję, że państwo Idealni, jak określała ich w myślach, szybko wyłuszczą problem i wrócą do swojego ociekającego luksusami świata.

– Byłam dzisiaj u Leszka – zaczęła Julka.

Kazia z miejsca zmarszczyła brwi.

Aha! Znowu będzie kazanie umoralniające na temat tego, że zbyt rzadko odwiedzam męża.

Tym razem jednak miała usłyszeć nowiny, których w ogóle się nie spodziewała.

– Jak to: odzyskał przytomność? Tak po prostu? – Jej zdumienie nie miało granic.

– Owszem. Był zdziwiony, że tyle spał. Chciał lecieć do pracy – odparła Julia – co oczywiście jeszcze nieprędko będzie możliwe.

– Dlaczego? Skoro już nie śpi, to niech w końcu weźmie się za życie.

– Widzisz, Kazia, to nie takie proste. Leszek będzie teraz wymagał szczególnej opieki. Po tylu latach śpiączki jego mięśnie zwiotczały. Musi na nowo nauczyć się chodzić i koordynować swoje ciało. Nawet porozumiewać się z nim jest trudno, ponieważ mówi niezbyt wyraźnie.

– Chcesz powiedzieć, że nadal jest warzywem? – jęknęła.

– Nie! To nie tak! – odparła szybko Pawłowska. – On jest świadomy. Potrzebuje tylko trochę czasu, aby dojść do siebie.

– Same kłopoty z tym chłopem – burknęła zniechęcona Kazimiera.

– To już koniec kłopotów – wtrącił milczący dotąd Wawrzyniec. – Wszak twój mąż niebawem wydobrzeje.

– Pewnie miną długie miesiące, nim pójdzie do pracy.

– Prędkiej czy później stanie na nogi. A na razie nic się nie zmienia. Nadal będziemy ci pomagać.

Nie rozumiem cię – dodał. – Nie cieszysz się, że mąż odzyskał przytomność?

Było w jego głosie coś, co przywróciło Kazimierze zdrowy rozsądek. Przecież nie mogła powiedzieć szwagrowi, że nie ma ochoty czekać.

*

Janek przedzierał się przez podmokłą łąkę.

Diabli nadali! Co też ich podkusiło, aby leżąc z latawcami w taką dzicz – pomstował.

Jego buty grzęzły w miękkim gruncie.

– Bronek! Bronek! – Raz po raz nawoływał przyjaciela, błyskając latarką po zaroślach.

Wyszedł na otwartą przestrzeń.

Ciemno było, że oko wykol. Po niebie sunęły gęste deszczowe chmury. Lada chwila mogło lunąć. Cuchnąca zanieczyszczeniami mgła, która przez cały dzień wisiała nad miastem, skropliła się na zbrązowiałych trawach. Długie źdźbła oblepiały buty i nogawki spodni. Panował przenikliwy ziąb.

Janek pomyślał, że lepiej byłoby sprowadzić pomoc. Zawołać Wieśka Kalitę, prócz niego skrzyknąć kilku chłopca z latarkami i Heńka, bo ten trzymał w mieszkaniu piękną sukę rasy owczarek niemiecki. Mądre było z niej bydłę i zmyślne. Może wywęszyłoby zaginionego.

Już miał zawrócić, gdy zahaczył snopem światła z latarki o jakiś kształt ewidentnie odstający od roślin porastających łąki. Jednocześnie usłyszał stęknięcie.

– Pomocy.

Głos był słaby i mocno wytłumiony.

– Bronek, to ty?

Janek zaczął nerwowo świecić wokół. W końcu trafił na coś, co już wcześniej złapał przez przypadek. Dostrzegł dwie postaci, które ugrzęzły w błocie. Jedna z nich spoczywała na brzuchu z głową odwróconą tyłem do niego. O ile wzrok go nie mylił, mimo słabego światła zobaczył kurtkę Bronka. Przyjaciel się nie ruszał, o pomoc wołała osoba leżąca pod nim. Kulka poświecił na tego człowieka i zamarł. Znał tę czerwoną gębę i jasne włosy. Znał rudy wąs i małe, świńskie oczka. Wystarczająco dużo mocnych ciosów pałą zaliczył od drania, gdy siedział na Montelupich.

Po powrocie z *sanatorium* Bronek opowiedział mu, jak ten ancykrys pastwił się nad nim w areszcie. Nie omieszkał też wspomnieć o mrocznej historii sprzed lat.

A teraz przyjaciel i jego wróg tonęli w bagnie, wessani po pachy. Co gorsza, Szymczak się nie ruszał.

– Bronek! Bronek! – krzyknął Janek, ale nie doczekał się reakcji.

Próbował podejść bliżej, lecz jego buty kłaskały w błocie. Istniało poważne ryzyko, że i jego zacznie wciągać. Nie miał ani chwili do stracenia. Nie mógł zostawić szwagra, aby biec po pomoc.

– Pomóż, człowieku! Wyciągnij mnie stąd – jęczał rozpaczliwie Marczyk.

– Bronek, żyjesz? – wołał Kulka, nie zważając na błagania esbeka.

– Żyje. Dycha, ino chyba stracił przytomność.

– Co mu zrobiłeś, skurwysynu? – wrzasnął.

– Nic mu nie będzie. Ratuj, chłopie!

Janek przypomniał sobie wszystkie rady, jakie słyszał na temat wydostawania się z bagna. Rozejrzał się wokół. Znalazł dość duży konar, który mógł mu się w razie czego przydać. Złapał go jedną ręką, drugą świecił sobie latarką. Ostrożnie zaczął stąpać w stronę mężczyzn. Nie było to łatwe, gdyż grunt był podmokły, ale na szczęście Kulka się w niego nie zapadał. Nie obchodził go funkcjonariusz bezpieczeństwa, musiał ratować przyjaciela.

Ku jego uldze Szymczak poruszył się i jęknął.

– Bronek! Bronek! Już cię stąd wyciągnę – powiedział Kulka.

Nie było to takie proste. Musiał uważać na każdy krok. Konar, który włókł ze sobą, na razie stanowił zawadę. Ponadto przydałaby się mocniejsza latarka, gdyż księżyc raz po raz zniknął za skłębionymi chmurami przepływającymi nisko po niebie. Ratownik ostrożnie posuwał się naprzód, z uwagą stawiając stopy na grząskim podłożu. W słabym świetle zobaczył, że przyjaciel z niemal nadludzkim wysiłkiem obraca ku niemu twarz.

– Janek, pomóż – wyszeptał. – Sam nie dam rady się wydostać. Postrzelił mnie, ancykrys.

Ten ruch sprawił, że obydwaj mężczyźni jeszcze bardziej pogrzeżyli się w błocie. Marczykowi tylko głowa wystawała ponad powierzchnię.

– Ratuj. Błagam, ratuj – jęczał.

– Nie ruszajcie się. Póki jesteście spokojni, wciąga was wolniej – pouczył go Kulka.

Janek był już niedaleko szwagra. Nie mógł podejść bliżej, to było zbyt niebezpieczne. Położył się płasko, sprawdzivszy wcześniej, na ile twarde ma pod sobą podłoże. Ostrożnie wyciągnął rękę z konarem w stronę Bronka.

– Zdołasz to złapać?

Szymczak chwycił gałąź.

– Dasz radę się utrzymać?

– Tak. Możesz ciągnąć.

Janek szarpnął za gałąź i aż stęknął z wysiłku. Na chwilę zaniósł się kaszlem. Na jego czoło wystąpiły krople potu. Dręczył go strach, że sam nie da rady, ale sytuacja wyglądała tak beznadziejnie, że szkoda byłoby tracić cenne minuty na szukanie kogoś do pomocy. Broniek trzymał się tylko jedną ręką. Nie dość, że trudno było uciągnąć ciężar szwagra, to jeszcze do pokonania miał opór błota. Na dodatek Marczyk czepiał się go kurczowo.

- Nie jestem w stanie wyciągnąć was obu. Musisz go puścić!
- Nie puszczę! Wiem, że mnie zostawicie, żebym zgnił w tej brei.
- Na litość boską, człowieku! Nie mierz wszystkich swoją miarą!
- Przysięgniesz, że mnie wyciągniecie?

Janek zżymnął się w duchu. Chętnie zostawiłby tę gnidę w błocie. Niechby go zeżarły robale. Nie zasługiwał na nic lepszego.

- Przysięgnij!
- Przysięgam – burknął.
- Na Boga, w którego wierzysz.
- Na Boga – ledwo wydusił te słowa przez gardło.

Marczyk mimo wszystko zawahał się, czy powinien puszczać Bronka. W końcu uwolnił jego ramię. Czuł paniczny strach na myśl, że gdy Szymczak będzie ratowany, on może się utopić. Kiedy tylko było to możliwe, Edek z wysiłkiem pochwycił konar, którego wcześniej trzymał się Szymczak. Gałąź trzeszczała złowróźnie, jakby zaraz miała pęknąć. Wolał nie ryzykować próby wdrapania się na nią.

Tymczasem zmęczony nadludzkim wysiłkiem Janek wyciągnął dłoń do szwagra. Złapał jego rękę, uniósł się do klęku i ze wszystkich sił zaczął ciągnąć. Adrenalina dodawała mu niezwykłej siły.

- Jeszcze odrobinę, Broniek. Damy radę. Zaraz cię stąd wydostanę.

Trwało to nieznośnie długo, lecz w końcu niedoszły topielec poczuł pewny grunt. Ostatkiem sił wygrzebał się w bezpieczne miejsce. Choć było mu nieprawdopodobnie zimno, padł na plecy, oddychając z wysiłkiem.

- Dobry Boże, żyję! – odetchnął.
- A twój bark? – zatroszczył się szwagier.

Poświecił latarką, lecz niewiele mógł zauważyć, gdyż Szymczak cały oblepiony był błotem.

Mimo chłodu Broniek zgrabiłymi dłońmi odpiął, a następnie zsunął mokre i sztywne okrycie, które nie grzało go ani trochę, a jedynie upiornie mu ciążyło. Janek ponownie skierował na niego snop światła. Zobaczył plamy krwi.

- Nie wygląda to dobrze – zmartwił się. – Trzeba do lekarza.
- Zdjął swoją kurtkę, nie mniej ubłoconą, ale przynajmniej w miarę suchą, i podał szwagrowi.
- Trzymaj, załóż. Lepsze to niż nic.
- Zmarzniesz przecież! – zaprotestował Broniek, dzwoniąc zębami.
- Mnie nic nie będzie, a ty ledwo zipiesz.
- Ostatnio ciągle kaszlesz – zauważył ocalony.

– Broniek, nie pitol, tylko wkładaj szubę! Nie czas na dyskusje! – Kulka uciął ostrym tonem bezcelową wymianę zdań.

- Pomóżcie mi! Człowieku, przysięgałeś! – dobiegł ich okrzyk Edka.

Szwagrowie spojrzeli po sobie.

- Powinniśmy go zostawić, żeby tutaj zdechł – stwierdził Janek.
- Złamiesz przysięgę?

Zapadła chwila dramatycznej ciszy. Kulka podszedł do Marczyka najbliżej jak tylko mógł. Poświecił latarką na jego nadzwyczaj bladą twarz. Zobaczył strach w oczach człowieka, który przed laty był jego oprawcą.

- Po co mam cię ratować, skurwysynu? Żebyś dalej dręczył naszą rodzinę?
- Przysięgałeś...
- Owszem. Przysięgałem. Ale w końcu mam możliwość uwolnienia od ciebie człowieka, który jest mi jak brat.

– Gdzie twoje miłosierdzie, katoliku? Nie zostawiajcie mnie tutaj! – krzyczał esbek, mrużąc oczy przed światłem latarki.

Janek w milczeniu spoglądał na uwięzionego w brei. Targały nim skrajne emocje. Dobrze wiedział, że odchodząc, zostawiłby go na pewną śmierć. Nawet gdyby bagno nie wciągnęło go głębiej, umarłby z wychłodzenia. Czy porzucając go w błocie, stałby się mordercą?

– Tobie nie warto pomagać – wycedził. – Ja ci podam rękę, a ty za kilka dni strzelisz Bronkowi między łopatki.

– Na Boga! Ratuj mnie! Przysięgam, że włos z głowy nie spadnie żadnemu z was.

– Nie wierzę ci za grosz!

– Przysięgam! Przysięgam! Przysięgam! – jęczał przerażony.

– Tyś mi też nie wierzył, gdym ci mówił, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Bartka – przypomniał mu Broniek.

Janek poczuł na ramieniu uścisk dłoni. Obejrzał się. Szwagier stał obok niego. W świetle księżyca widać było, że jest upiornie blady i wycieńczony. Dygotał z zimna.

– Miej litość!

– A tyś ją miał dla mnie? Chciałeś mnie niewinnie posłać na stryczek.

– Błagam...

– Zostawmy go – zdecydował Kulka.

– Nie! Ludzie! Pomóżcie! Błagam! Zrobicie, co zechcecie, tylko ratujcie mnie od kostuchy!

– Pomóżmy mu – powiedział Broniek słabym głosem.

– Jesteś tego pewny?

Szymczak przytaknął.

– Wyniesiesz się stąd w pizdu! – Janek poświecił latarką po twarzy tonącego.

– Wyniosę się.

– Przysięgasz?

– Na Boga!

– Na prochy przodków – poprawił go Kulka, wiedząc, że dla ateisty nie ma świętości.

– Na prochy przodków.

– Na życie rodziców.

– Na życie rodziców. Przysięgam! – jęknął rozpaczliwie.

Kwadrans później Edward na kolanach wyczołgiwał się z błota. Janek dopilnował, aby esbek dotarł na stały, bezpieczny grunt. Kiedy stwierdził, że nic im nie grozi, złapał Marczyka za włosy i z całej siły pociągnął jego głowę.

– Nigdy nie zapomnij, skurwysynu, komu zawdzięczasz ocalenie dupska. Masz wypierdalać z Huty. Nie obchodzi mnie, jak to załatwisz. A spróbuj tylko nie wypełnić przysięgi! – Przystawił mu zwiniętą pięść do nosa. – I niech cię nigdy więcej nikt z nas nie ogląda – warknął, a potem zwrócił się do szwagra: – Chodźmy, Bogusia pewnie odchodzi już od zmysłów. Dasz radę iść?

Nie oglądając się wstecz, ruszyli w stronę osiedli. Szymczak ledwo włókł za sobą nogi. Zdrową ręką uciskał bark, który rwał tęnym bólem. Janek objął go w pasie i wsparł swoim ramieniem.

– Co ja powiem Bogusi? – zmartwił się ocalony.

– Prawdę. Nie ma co łącać. I tak będziesz musiał pójść do lekarza, aby cię opatrzył. Może od razu powinniśmy zajrzeć do szpitala? Przecież to niedaleko, niemalże po drodze – przypomniał.

– Wiem. Ale to nie jest dobry pomysł. Lekarz będzie zadawał niewygodne pytania.

– Może warto byłoby na nie odpowiedzieć?

– Żartujesz? – stęknął przyjaciel. – Jak zobaczy ranę postrzałową, to nie popuści. Ściągnie mi na łeb gliniarzy. Kto jak kto, oni nie dadzą wiary moim słowom. Stwierdzą, że Marczyk na pewno miał istotny powód, żeby strzelać. A co będzie, jak ta szuja zmieni zdanie i złamie obietnicę? Ja już nie mam sił na kolejne *gościny* w areszcie.

– A co z twoją raną? – indagował Janek.

– Bogusia się nią zajmie.

– Żartujesz sobie!
– Nie. Nie mam siły na żarty. I nie próbuj mnie wlec do lekarza, przecież wiesz, że to za duże ryzyko.
– Trza było jednak pogrzebać tamto ścierwo w bagnie, a potem zgłosić na milicji, że ktoś cię postrzelił, a ty nawet nie wiesz kto.
– Pitolisz.
Sprzeczali się całą drogę. Janek próbował przemówić mu do rozsądku, Broniek argumentował, że przecież nic mu nie dolega. Rana już nie krwawi. A poza tym Wawrzek, jak dostał kulkę od zomowców, nie polecał z nią do lekarza, tylko zalał gorzałą i poszedł spać. Więc i on zrobi tak samo.

*

Widząc, w jakim stanie Broniek wrócił do domu, Bogusia załamała ręce. Nauczona przezorności nie pisnęła nawet słowa, lecz po prostu wpuściła mężczyznę do mieszkania. Zauważyła, że mąż jest śmiertelnie blady.

– Agusia, Ludwik, zmykajcie do drugiego pokoju – nakazała dzieciakom, słuchając głosu intuicji. Wyczytała bowiem w minach Janka i Bronka, że stało się coś złego.

– Ale dlaczego? – dociekała dziewczynka.

– Bez dyskusji. – Bogumiła czuła, że nie ma czasu na dywagacje.

– Chodź, Aga. – Ludwik pociągnął siostrę.

Gdy tylko dzieciaki zamknęły za sobą drzwi, spojrzała wyczekująco na przybyłych.

– Trzeba coś z tym zrobić – powiedział szeptem Janek, pomny tego, że w mieszkaniu mógł być zainstalowany podsłuch. Ostrożnie odchylił połę kurtki i pokazał Szymczakowej plamę krwi na swetrze przyjaciela. Broniek milczał. Po drodze do domu stracił resztę sił, teraz stał niczym bezwolna kukła, wsparty o jego ramię.

Bogumiła przełknęła ślinę tak gwałtownie, że zabolęła ją gardło. Razem poszli do łazienki. Tam pomogli rannemu w zdjęciu uszarganej odzieży. Po przemyciu newralgicznego miejsca pielęgniarka z ulgą stwierdziła, że nie jest tak źle. To było powierzchowne drażnienie, które zdarło spory kawałek skóry i poszarpało trochę ścięgien. Szybko zaaplikowała mężowi zastrzyk przeciwțęcowy, a następnie starannie zaszyła ranę. Nie miała w tym wielkiej wprawy, w szpitalu podobne urazy opatrywali lekarze. Napatrzyła się jednak dość na ich pracę, by wiedzieć, jak należy postępować w takich sytuacjach. Małżonek miał niebyswały dar ściągnięcia na siebie kłopotów, więc była przygotowana na to, że prędzej czy później trzeba będzie tę wiedzę zastosować w praktyce. Działała metodycznie, w skupieniu. Na razie nie zadawała pytań, ważniejsze było udzielenie pomocy. Zakładała, że Broniek wpadł w jakieś tarapaty, które wykluczały wizytę w szpitalu, ale skończyły się na tyle dobrze, że wracając do domu, nie ściągał problemów na nią i na dzieci. Znała go wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nie ryzykowałby zdrowiem i życiem bliskich. Ta myśl częściowo ją uspokajała.

– Oby to wystarczyło – westchnęła. – W razie czego zapytam doktora Majkiewicza, czy nie przyjąłby cię jutro prywatnie. Wiem, że on pomaga ludziom w podobnych okolicznościach – dodała, widząc panikę w oczach męża. – Nie wyda cię, możesz być pewny. A teraz powiedzcie mi, co się stało. Niemalże przyprawiliście mnie o zawał serca.

Rozmowę prowadzili szeptem. Dodatkowo zagłuszał ją szum płynącej wody. Broniek opowiedział, co się wydarzyło, nim ugrzęźli w bagnie, później watek podjął Janek.

– Jesteś pewny, Bronku, że tamten typ więcej ci nie zaszkodzi? – dopytywała z przerażeniem Bogusia.

– Śmierć zajrzała mu w oczy. On wie, że mieliśmy wyborną szansę, aby skutecznie pozbyć się go bez świadków i problemów. Teraz przynajmniej wbił sobie do durnej łepetyny, że to nie ja zamordowałem mu brata. Nie ma podstaw do tego, aby mi nie wierzyć.

– Obyś się nie mylił – stwierdził Janek grobowym głosem.

Wciąż nie był przekonany co do słuszności jego decyzji. Uważał, że popełnili rażący błąd, którego skutki mogą ich drogo kosztować.

Czy mieli teraz żyć w nieustającym strachu, że Marczyk nie dotrzyma przysięgi i nadal będzie ich dręczył?

– Dziękuję ci, Janku. – Bogumiła uściśniła dłonie szwagra. – Ocaliłeś mu życie. – Spojrzała na upiornie bladego męża.

– Drobiazg. To nic takiego. On zrobiłby dla mnie dokładnie to samo. Miał szczęście, że zdołał utrzymać się na powierzchni.

– Już ja tam swoje wiem. – Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech.

Ona też zdawała sobie sprawę, że to nie koniec tej draki.

– Nie martw się, aniele – usłyszała słaby głos męża. – Będzie dobrze.

– Dobrze? – powtórzyła. – Dobrze byłoby, gdyby człowiek mógł żyć w spokoju, bez oglądania się na boki, bez strachu o dzieci i siebie oraz o to, co przyniesie kolejny dzień.

– Chciałbym ci obiecać, że taki czas nastąpi, ale sam w to nie wierzę – westchnął przygnębiony.

– Póki u władzy są komuchy, człowiek nie może być pewny jutra.

*

Marczyk spoglądał za mężczyznami. W mroku nocy majaczyły oddalające się sylwetki.

Nawet się nie obejrżeli. Nie wzbudzał ich strachu. Po prostu odeszli.

Poczuł się jak szmata. Przypomniawszy sobie, jak kilkanaście minut wcześniej jęczał, błagał o litość i niemal narobił w gacie ze strachu, że zostawią go na pewną śmierć. Do tej pory drżał jak w febrze, choć zapewne na dygot wpłynęło kilkugodzinne tkwienie po pachy w błotnistej, zimnej mazi.

Coś go poruszyło wyjątkowo mocno w chwili, gdy patrzył, jak Szymczak odchodzi wsparty o ramię przyjaciela. Jemu nikt nigdy nie podałby pomocnej ręki. To, że wyciągnęli go z bagna, zakrawało na cud. Mogli tego nie zrobić i raz na zawsze pozbyć się kłopotów, jakich przysparzał całej rodzinie, choć może nie do końca zdawali sobie sprawę, ile zła rzeczywiście im wyrządził.

Koledzy na jego zlecenie wciągnęli do bramy i zastraszyli Julię. To on zaszczył Sabinę po śmierci Andrzeja. Osobiście złożył wizytę w biurze kombinatu i uściśnił przestrelony bark Wawrzyńca. Pastwił się na Montelupich nad ludźmi, którzy właśnie uratowali mu skórę. Dopilnował, aby Broniek stracił robotę, a Janek był na każdym kroku szykanowany – choć ten człowiek w niczym mu nie zawinił.

Edward niczym zły duch osaczył całą rodzinę Bronka. Podśluchiwał, śledził, uprzykrzał życie niemalże wszystkim.

A teraz najwięksi wrogowie okazali mu swoje słynne chrześcijańskie miłosierdzie. Zdał sobie sprawę, że to, co zrobili, było o wiele gorsze niż pozostawienie go na pastwę losu. Nagle dostrzegł bezsens własnej egzystencji. Odkrył, że dobijając do pięćdziesiątki, nie ma po co żyć. Nie miał żony ani kobiety, która by go kochała. Nie miał przyjaciół. Nawet rodzina okazywała mu niechęć, ponieważ to on namówił ojca na przekazanie gruntów do PGR-u. Na nikogo nie mógł liczyć. Nowohuccy koledzy z bezpieki nienawidzili go jak diabeł święconej wody.

Cóż za trafne porównanie! – przebiegła mu przez głowę nagła myśl. *Choćbym nie wiem jak się zapierał, że Boga nie ma i że w niego nie wierzę, on jednak pojawia się w najmniej spodziewanych chwilach. Przecież kląłem się właśnie na niego, że poniecham prześladowań. Co za ironia losu! Ateista zrywający Boga w godzinie strachu!*

Stał jeszcze moment, dygocząc z zimna i wyczerpania – człowiek przegrany. A potem powlókł się, noga za nogą, w stronę bloków.

Ciężko było wędrować w tych ciemnościach bez butów, które zostały w błocie, i bez latarki, gdy jedyne źródło światła stanowił księżyc chowający się raz po raz za ołowianymi chmurami. Wszak Edek

mógł ponownie wpaść po pachy w błoto i tym razem nikt nie pomógłby mu w wydostaniu się na powierzchnię. Odczuwał zadziwiająco obojętność.

Może lepiej byłoby zginąć? Raz na zawsze zakończyć ten sobaczy żywot.

Skrajnie wycieńczony, co chwilę potykał się na jakichś wykrotach. Nim dowlókł się do drogi, kilka razy upadł. Postrzelone miejsce bolało. Nieprzyjemne mrowienie rozchodziło się po drętwiejącej ręce.

Powiniennem pójść do szpitala – pomyślał. Zaraz jednak porzucił ten pomysł. Choć był pracownikiem Służby Bezpieczeństwa, musiałby się ze wszystkiego tłumaczyć nie tylko tam, ale również przed obliczem przełożonego. Miał ranę postrzałową, jego broń zaginęła, prawdopodobnie leżała na dnie bagna. Naraziłby się na pośmiewisko kolegów jako skończony gamoń. Owszem, mógłby powiedzieć prawdę: że prowadził dochodzenie związane z byłym więźniem politycznym, który brał przed laty udział w zamieszkach. Problem w tym, że nikt mu nie wydawał rozkazu, aby to robił. Działal na własną rękę, bez odgórnego zgody. Co więcej: dla swoich celów zlecał podsłuchiwanie Szymczaka i Kulki.

– Czas z tym skończyć – zdecydował, choć wiedział, że w oczach tamtej rodziny na zawsze pozostanie nikim. – Dość już się ośmieszyłem. Odwołam wszystkie akcje.

Ostatkiem sił dowlókł się do mieszkania. Dobiegała północ, gdy w ubłoconym ubraniu padł na fotel i sięgnął po flaszkę gorzały, która stała na stoliku obok. Odkręcił ją i pociągnął kilka łyków.

– Złego diabli nie biorą – stwierdził, ocierając usta wierzchem dłoni. – Nie ma, kurwa, lepszego znieczulacza – odetchnął po chwili, gdy ból nie był już tak upiorny.

Poczuł się na tyle dobrze, że sięgnął po słuchawkę aparatu telefonicznego. Zamienił kilka słów z Zygmuntem Grucą, kolegą od podsłuchów. Potem wyjął z paczki papierosa i z lubością zaciągnął się dymem. Siedział, popijając wódkę i paląc. Wprawdzie alkohol skutecznie przyćmił ból, lecz Edek z góry zakładał, że w najbliższym czasie będzie w kiepskiej formie. Na szczęście miał cały zaległy urlop z poprzedniego roku. Nie wykorzystał nawet dnia, bo nie odczuwał potrzeby wyjeżdżania ani w góry, ani nad morze, ani tym bardziej do tej wszawej, zabitej dechami dziury, z której pochodził. Zadzwoił więc do oficera dyżurnego i poprosił, aby ten przekazał do działu kadr, że prawdopodobnie nie przyjdzie nazajutrz do pracy.

– Coś mnie łupie w kościach – objaśnił kłamliwie. – Nie na tyle, by iść do wracza, ale wystarczająco mocno, żeby poleżeć kilka dni w łóżku. Mam zaległy urlop, więc chętnie zostanę w domu.

– To ile ci wypisać wolnego? – zapytał zadowolony Wołodjew, który szczerze go nie znośli i nawet nie próbował ukryć zadowolenia, że pozbywa się choć na kilka dni towarzysza, który mocno zalazł mu za skórę.

– A nie wiem. Może tydzień, może dłużej. Trzeba w końcu odpocząć. Pojadę później na parę dni do swoich – zełgał na ostatek.

Nie żeby wybierał się do Pawlic!

Potrzebował trochę wytchnienia. Czasu, który rozjaśni myśli i pomoże w znalezieniu nowego celu życia. Czuł, że jest doszczętnie wypalony. Spalał się, dysząc zemstą, a teraz wiedział, że niesłusznie. To nie Szymczak zamordował Bartka, choć jeszcze kilka godzin wcześniej był tego całkowicie pewny. Ale czy człowiek będący w obliczu śmierci kłąłby się na Boga, że nic nie zrobił? Nie! Z całą pewnością nie. Bałby się wiecznego potępienia i ognia piekielnego. A poza tym nie miał przecież nic do stracenia. Mógłby mu z zimną satysfakcją zaśmiać się w twarz i powiedzieć, że był oprawcą.

Mimo późnej pory Marczyk jeszcze raz skorzystał z aparatu telefonicznego – tym razem zadzwonił do doktora, który pomagał ludziom w tarapatkach. Bez wchodzenia w szczegóły umówił się z nim na wizytę. Piekiły go oczy, więc zgasił światło. Siedział w ciemności, bawiąc się bezmyślnie pudełkiem zapalek. Pociągnął kolejny łyk gorzałki. Zapalił papierosa. Dym przyjemnie podrapał go w gardło. Ogarniało go coraz większe znużenie, ale był zbyt wyczerpany, aby przejść kilka kroków dzielących go od łóżka.

W ostatnim przeblýsku świadomości przyszło mu do głowy, że powinien obejrzeć i zdezynfekować ranę. Uznał jednak, że wystarczy, jak zrobi to rano Majkiewicz.

– Gamoń jest mi winny przysługę, bo nie wsadziłem go do kicia – burknął sam do siebie.
Potrzeba snu zwyciężyła. Dłoń z tłącym się niedopałkiem opadła bezwładnie na stolik, idealnie trafiając w popielniczkę. Papieros jeszcze przez chwilę żarzył się w ciemnościach, potem zgasł.

*

Nazajutrz rano doktor Majkiewicz obejrzał ramię Bronka.

– Dobra robota – pochwalił Bogusię. – Zastrzyk przeciwțęczowy był?

– Był.

– W porządku. Powinien pan uważać na siebie przez kilka dni. Od dawna pan tak kaszle?

– Nad ranem mnie wzięło. Trochę zmarzłem wczoraj.

Lekarz pokiwał głową. Wolał nie zadawać zbędnych pytań. Miewał różnych pacjentów. Przychodzili do niego prywatnie wtedy, gdy z jakichś powodów nie mogli udać się do szpitala. Widział i opatrywał dziesiątki ran postrzałowych. Gdyby zbierał wszystkie kule, które wyciągnął w minionym dwudziestolecu, miałby sporą kolekcję. Zdarzało mu się także interweniować przy innych urazach: pchnięciach nożem, wybitych oczach, pobiciach. Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że nierzadko pomaga przestępcom i awanturnikom, ale docierali do niego także ludzie, którzy popadali w konflikt z władzą ludową z przyczyn politycznych. Tak jak po pamiętnej obronie krzyża.

– Dobrze byłoby postawić bańki – zwrócił się do pielęgniarki po osłuchaniu pacjenta. – Wypiszę zwolnienie chorobowe. Podciągnę to pod zapalenie płuc. Powinien pan poleżeć kilka dni – stwierdził.

Bronek pokiwał głową. Nie miał sił na utarczki. Po wczorajszej bójce z Marczykiem wciąż był wyzutym z sił. Dobrze, że w pracy wypadł mu dzień wolny – system czterobrygadowy miał jednak swoje zalety.

Po powrocie od doktora posłusznie zaległ w łóżku. Bogusia podała mu gorącą herbatę, termofor i leki. Potem pocałowała go czule w policzek i wyszła na drugą zmianę do szpitala.

Zamknął oczy, lecz mimo znużenia i gorączki sen nie chciał nadejść. Szymczak wciąż przeżywał wydarzenia z poprzedniego dnia. Poniewczasie zastanawiał się, czy słusznie postąpili, ratując Marczyka. Miał doskonałą okazję, aby pozbyć się zagorzałego wroga, który wciąż deptał im wszystkim po piętach. Takiemu jak on za grosz nie można było wierzyć. Wszak nie musieli nic robić – wystarczyło tylko nie wyciągać go z bajora. W parę godzin zdechłby z zimna i od upływu krwi. Tylko że zaniechanie byłoby równie ciężkim grzechem, co wciśnięcie jego głowy w błoto.

Nie mógłbym żyć z czymś takim – stwierdził.

Telepały nim dreszcze, więc okrył się starannie. Znużony zasnął.

Obudził go ruch w przedpokoju. Poderwał się nerwowo, nie do końca pamiętając, czemu jest w domu i leży w łóżku. Jęknął, oszołomiony bólem, jaki sprawił mu urażony bark.

– Tatku? – Skrzypnęły zawiasy w drzwiach pokoju. W szczelinie pomiędzy futryną zobaczył ciemną grzywkę Agnieszki opadającą na duże, brązowe oczy. – Czemu śpisz?

– O, Agniecha – ucieszył się na widok córki. Chciał usiąść, lecz był zbyt osłabiony. Na dodatek dostał nieprzyjemnego ataku kaszlu.

– Jesteś chory? – zmartwiła się dziewczynka.

– A tak mnie coś zmogło – odparł, wyrównując oddech. – Mama zostawiła ci obiad w szabaśniku. Zaparzysz herbatę tatulowi?

– Ojej. To moja wina, bo beczałam z powodu latawca – stwierdziła zdruzgotana. – Wróciłeś późno. Pewnie bardzo zmarzłeś.

– Trochę. No i nie znalazłem go, niestety – powiedział.

Nawet jeśli było jej przykro z powodu straty, nie dała tego po sobie poznać. Zdjęła z ramion tornister, poszła umyć ręce, a już po chwili od strony kuchni dobiegały odgłosy jej krzątania.

– Tylko uważaj z ogniem – próbował ją napomnieć, lecz jego głos był zdecydowanie zbyt słaby.

Spojrzał na zegarek. Powinien zażyć lekarstwo.

Cholerny esbek. Mam nadzieję, że też się posmarkał po tej całej drace. I że chyrla jeszcze bardziej niż ja – zżymał się w duchu.

Po kilku minutach do pokoju wróciła Agnieszka. Szła powoli i ostrożnie, gdyż miała ze sobą gorącą herbatę. Postawiła szklankę w metalowym koszyczku na stole.

– Przyniosę z kuchni taboret, żebyś nie musiał wstawać – powiedziała. – A może jesteś głodny? Pokręcił głową.

– Zanim mamusia poszła do szpitala, zjadłem zupę. To mi wystarczy. Poradzisz sobie z zagrzaniem posiłku?

– No pewnie! – oznajmiła z entuzjazmem.

Przyniosła taboret i przestawiła herbatę bliżej łóżka.

– Przyjdę zaraz. Tylko zjem pomidorową. A Ludek jadł? – zatroszczyła się o brata.

– Jeszcze nie wrócił ze szkoły. Zostaw mu coś, głodomorku – zażartował.

– Nie będzie ci przykro samemu?

– Zmykaj do kuchni. Byłem sam przez pół dnia, wytrzymam jeszcze trochę. Tylko nie rób mocnego ognia, bo ci się zupa przypali. A po obiedzie przyjdź tu, żeby odrabiać lekcje – przypomniał. Nagle mimo zatkanego nosa poczuł woń spalenizny. – Oho! Już się przypaliła.

– Łaa! – krzyknęła przerażona dziewczynka i pognała do kuchni.

– Wykipiała? – zawołał słabym głosem. Oczyma wyobraźni zobaczył pobojuwisko.

– Nie! Tylko trochę przywarła do garnka!

– To nie skrob łyżką po dnie, bo będzie niedobra. Nabierz sobie ostrożnie z samej góry. Nawet nie próbuj jej przelewać, żebyś się nie poparzyła!

Sięgnął po szklankę i z przyjemnością napił się gorącego napoju.

Jak dobrze mieć w domu taką miłą dziewczynkę, co poda choremu tatulowi herbatę – pomyślał z rozrzewnieniem. *Co prawda wciąż jej trzeba powtarzać, aby uważała z ogniem. Ciągle przypala zupy. Ale jak inaczej nauczyłaby się domowych obowiązków? Wszak ma toto dopiero siedem lat, a tyle już z niej pociechy i wyreki!*

Napar był mocny, osłodzony miodem – tak jak lubił. Bronek odłożył szklankę i poczuł zmęczenie. Na czoło wystąpiły mu krople potu.

Diabli nadali. Nie dość, że mnie przedziurawił, to jeszcze się przeziębili przez tego ancykrysa. Ech, losie! Zaś będzie w rodzinie gadanie. Trza było uprzedzić Janka, żeby nie kłapał paszczą na lewo i prawo. Lepiej, by matula o niczym nie wiedziała. Znowu uderzy w płacz.

Do pokoju wróciła Agnieszka.

– Jak się czujesz, tatku? Podać ci coś? Ułożyć inaczej poduszkę? Chcesz gazetę?

– Nic mi nie trzeba, myszko. Wystarczy, że tu posiedzisz podczas odrabiania lekcji.

– A mogę nastawić radio? Po cichutku, żeby ci nie przeszkadzało.

– Nastaw – zgodził się, choć czuł niemiły ucisk w skroniach.

Z radiodbiornika dobiegła radosna piosenka Czerwonych Gitar – ulubionego zespołu córki. Bronek w milczeniu obserwował, jak dziewczynka siada przy stole, nucąc pod nosem: „Baw się razem z nami / Jeśli masz ochotę / Na wspólną zabawę / Daj namówić się”[1].

Agnieszka rozłożyła zeszyty i podręczniki, wzięła w dłoń pióro. Z rysów twarzy bardzo przypominała Bogusię. Tylko oczy wzięła po Szymczakach: były duże, brązowe i niezwykle wymowne. Jej włosy, zaplecione w dwa ogonki, zdobiły duże białe kokardy.

Julia i Krysia też kiedyś nosiły takie warkocze.

Ależ ten czas leci nieubłaganie. Dopiero co sami byliśmy dziećmi. Chodziliśmy do szkół. Potem naszą beztroskę zakłóciły szwabskie meserszmity i ruscy oberwańcy. Upragniony pokój przyniósł wszystko poza spokojem. Ale przynajmniej nasze szkraby mają godziwe warunki do życia. Nie muszą chować się po ciemnych kątach, nie spoglądają ze strachem na niebo. Jeszcze nie rozumieją, że teraz wróg nie szwargocze po niemiecku, ale na ogół mówi po polsku. Niby żyje się łatwiej, nowocześniej i wygodniej, a jednak wciąż nam trudno.

Patrzył w zadumie, jak córka pochyla się nad zadaniami. Pisała coś pracowicie, lekko wysuwając czubek języka. Czasem dokuczał jej z tego powodu, więc starała się pilnować. Teraz sprawiała wrażenie bardzo zajętej, i różowy języczek przesunął się od jednego kącika ust do drugiego.

Spokój zakłócił dzwonek do drzwi. Broniek zeszywniał pod kołdrą. Ludwiś miał własny klucz, więc na pewno by się nie dobijał. Zresztą o tej porze był pewnie na zajęciach szachowych w świetlicy.

Czyżby Marczyk nie dotrzymał danego słowa?

– Otworzę – oznajmiła Agnieszka.

– Nie! Poczekaj. Ja wstanę – oświadczył, sięgając po pasiasty szlafrok.

Kosztowało go to sporo wysiłku, choć nie dawał niczego po sobie poznać, bowiem świdrowały go sceptycznie czujne oczy córki. Ze strachem dowlóknął się do drzwi i wyjrzał przez judasza, a potem odetchnął z ulgą: Julka!

– Broniś! Broniś! – wykrzyknęła na jego widok. – Nie wyobrażasz sobie, jakie nowiny przynoszę! Lesiu się wczoraj obudził!

*

Nazajutrz po wybudzeniu się męża Kazimiera bez większego entuzjazmu pojechała w odwiedzin. Po rozmowie z zakonnica, która najwięcej czasu spędzała przy łóżku Leszka, ruszyła niemrawo do jego celi. Nie wzięła ze sobą dzieci, choć wiedziała, że nie ma przeszkód, aby odwiedziły ojca. Synowie rzadko bywali w klasztorze, najczęściej któregoś z nich zabierała Julia. Zapewne gdyby nie ona, nie jeździliby tam wcale, ewentualnie od wielkiego święta.

O ile początkowo chłopcy często dopytywali o tatę, to z biegiem czasu przestał wzbudzać ich zainteresowanie. Ona nie miała ochoty rozmawiać na jego temat – zawiódł ją na całej linii swoją niefrasobliwością. Nie dość, że zdradził ideały, którym hołdowali obydwój, to jeszcze postawił ją w trudnej sytuacji – była skazana na pomoc jego rodziny. Samotnie musiała walczyć z przeciwnościami losu.

Cóż mogła wiedzieć o życiu ta chodząca skarbnica wiedzy, Julka? Wszak ona miała do pomocy męża. Na dodatek była matką dwóch grzecznych dziewczynek i niemalże dorosłego syna. Kazia samotnie użerała się aż z trzema urwisami! Sabina, która owdowiała, mając dwójkę brzdąców, mogła przynajmniej poukładać sobie życie na nowo. A że nie chciała? Jej sprawa. Nikt jej nie prosił o dochowywanie wierności zmarłemu. Kryśka odpowiadała za jedno dziecko – adoptowaną córkę. Jakie więc miała pojęcie o życiu? Broniek z Boguśką także skorzy byli do dawania dobrych rad, ale i oni mieli tylko parkę.

Wszyscy członkowie rodziny posyłali swą dziatwę na rozmaite zajęcia pozalekcyjne: rysunki, naukę śpiewu, balet, piłkę nożną... W Nowej Hucie było to w zasięgu ręki. Wystarczyło zapisać dziecko, a następnie dopilnować, aby nie zapomniało o uczęszczaniu na kółko zainteresowań. Kazia nie miała do tego głowy, bo przecież musiała gonić pomiędzy salonem fryzjerskim a prywatnie obsługiwanymi klientkami. Gdzie tu jeszcze znaleźć czas na to, aby poświęcić chłopakom trochę uwagi? Samych strach było puścić między ludzi, żeby czegoś nie nabroili i nie przynieśli wstydu. Lepiej więc wypędzić ich na pole, niech tam gonią do woli po boisku, wspinają się na drzewa albo urządzają w wieżowcach wycieczki tam i z powrotem windą. Czynią wtedy mniejsze szkody. A jak rozładują nadmiar rozpierającej ich energii, to i w domu stanowią mniejszy żywioł. Ot, trójka niszczycieli, którym nie oparł się żaden sprzęt ani ściana!

Tak, zdecydowanie to ją los doświadczył najmocniej. Nie dość, że mąż niezguła, to jeszcze w domu trzech łobuziaków i ani chwili spokoju, bo ciągle jakieś kłótnie, draki i bijatyki. Może tylko Kacper rokował nieco lepiej z całej tej trójki, bo i stopnie zbierał najlepsze ze wszystkich, i zdawał się ciut spokojniejszy. Za to Melek nadrabiał swoim impetem za niego: to był ancykrys jakich mało – tak jej dawał w kość.

A co dziur w portkach wszyscy nawydzierali! Co naplamili koszulek! Co napsuli innych rzeczy!
Ech! Dopust boży! – jęczała w duchu, niepomna, że ateistce nie wypada mieć takich myśli.

Z niechęcią uchyliła drzwi. Leszek nie spał. Na jej widok wyraźnie się ożywił.

– Kazia! – wybełkotał radośnie. – Kazieńko moja! A gdzie chłopcy? – zapytał.

– Zostali w domu. Ciężko wybrać się do Krakowa z trzema urwisami – wyjaśniła oględnie.

– Pewnie już wyrosli – odgadł.

– Ano. Bliźniaki mają po jedenaście lat, a Darek dziewięć, ale w niczym im nie ustępuje.

– Podejźże, Kaziu. Co tak utknęłaś w drzwiach? – zagadnął. – Ja jeszcze leżę, jak widzisz – dodał z zażenowaniem. – Dopiero nauczą mnie na nowo chodzić. Ale pewnie już niedługo stanę na nogi. Wrócę do domu i do roboty. Wszystko będzie jak dawniej – powiedział z wysiłkiem.

Mówienie wciąż go męczyło. Czasami brakowało mu jakichś wyrazów. Wiele rzeczy umykało mu z pamięci, czając się w zakamarkach umysłu.

Bał się zasypiać, bo co by było, gdyby znowu przespał parę lat? Wszak nie można całego życia spędzić jak to warzywo, leżąc w łóżku.

Kazia przeszła kilka kroków dzielących ją od męża. Przycupnęła na zydlu pociągniętym białą emalią.

– Nie pocałujesz mnie na powitanie? – zagadnął Leszek.

Wstała, pochyliła się i cmoknęła szorstki od zarostu, wychudzony policzek. Jakoś niezręcznie jej było w bliskości męża. Odzwyczaiła się od niego. Wszystko w nim sprawiało wrażenie takiego obcego, zapomnianego.

Usiadła. Leszek wciąż wpatrywał się w jej twarz. Dłoń, leżąca dotąd spokojnie na kołdrze, zaczęła szukać jej dłoni.

– Daj rękę, Kaziu. Chcę czuć, że tutaj jesteś. Opowiedz coś. O naszym domu, o chłopakach, o tym, jak sobie radziłaś.

Mówił niewyraźnie, lecz rozumiała jego słowa.

– Chłopcy... – Wzruszyła ramionami. – Jak to chłopcy. Ciągle broją. Trudno ich zagonić do nauki. Całymi dniami lataliby po polu.

– Jacy są? Kacper? Melek? Daruś? – wymieniał imiona powoli, namyślając się pomiędzy nimi.

– A co tu gadać? Melek wciąż dokazuje. Pyskate to takie, że nie wiem, w kogo się wdało. W Bronka chyba, bo ten zawsze ma dużo do powiedzenia. Ostatnio smarkacz rozwalił okulary koledze z klasy. Musiałam odkupić. Dostał za to wciry, obiecał poprawę, ale nie na długo starczyło. Dzisiaj przyniósł uwagę w dzienniczku, że ciągnie dziewczyny za warkocze. Kacper to też niezłe ziółko, choć jest odrobinę spokojniejszy od brata. Trza im męskiej ręki, ale nie pobłażliwych wujków, jeno kogoś, kto należy rozumu do łbów.

– A Darek?

– Darek też rośnie na niezgorszego łobuza. We wszystkim naśladuje starszych.

– Moja biedna – westchnął, ściskając jej dłoń. – Samaś się z tym wszystkim męczyła?

– Ano sama. Co tam krewni pomogli? Każdy patrzy swojej rodziny i swoich dzieciaków.

– Jak żeś sobie dawała radę?

– Lekko nie było.

– A pracujesz?

– Pracuję w tym samym salonie fryzjerskim. A że wydatków dużo, bo chłopaki rosną jak na drożdżach i wciąż im trzeba butów, ubrań, przyborów szkolnych, to jeszcze przyjmuję klientki w domu albo chodzę po chałupach i strzygę. Jakoś sobie radzę, choć ciężko związać koniec z końcem – westchnęła wymownie.

– Pomogę ci już niedługo – zapewnił, lecz ona szczerze wątpiła w te słowa.

Wyglądał mizernie: wychudzony, poźółkły. Wzrok miał jakiś rozlatany, mówił z wysiłkiem i trochę bez ładu i składu. Niektóre słowa tak niewyraźnie, że ciężko było je zrozumieć. Na domiar złego sam przyznał, że na nowo musi się nauczyć chodzić.

Ech, podły świecie! Toć wieki miną, nim będzie zdatny do roboty. A kto wie, czy teraz nie zajdzie

konieczność, aby i jemu usłużyć?

Jeszcze z nikim o tym nie rozmawiała, ale obudził się w niej niepokój, że siostry zechcą, aby go od nich zabrać. A jej niepotrzebna czwarta kula u nogi. Może jednak lepiej było, gdy spał? Przynajmniej wtedy nie wymagał większej uwagi.

Zaraz sobie przypomniała, jak przed wypadkiem ją złościł, bowiem niewiele miała z niego pożytku. Ani to nie pogadało, ani nie ruszyło tyłka za dodatkowym zarobkiem, ani chłopakami za bardzo się nie zajęło. Głaz – tak go niegdyś określała w myślach. Jedyne w nocy przypominał sobie o niej, jak go wzięły chęci na figle. I cóż jej z tych figli przyszło? Trzeci *król* do kompletu. Dobrze przynajmniej, że nie upierał się, aby dać mu na imię Baltazar, jak to sugerowali jego krewni.

Siedzieli więc, a gadka szła im nieskładnie. On chciał niby wszystko naraz wiedzieć, ale jak mu zaczynała o czymś mówić, to widziała po jego minie, że wielu rzeczy nie rozumie. Nie pamiętał imion poszczególnych osób. Nie kojarzył miejsc i faktów. W końcu, po godzinie tej męki, Kazia poderwała się i oznajmiła, że musi wracać do chłopaków, nim rozniosą mieszkanie.

– Wyściskaj ich ode mnie i wycaluj. Powiedz, że niedługo wrócę. Już ja im natrę uszu za te wszystkie psoty – uśmiechnął się z pobłażliwością.

Dobrze wiedziała, że to czczy gadanina. Miała przeczucie, że nawet jeśli Leszek wróci do domu, to i tak nie znajdzie posłuchu u synów.

[1] Fragment utworu *Nie zadzieraj nosa* z repertuaru Czerwonych Gitar. Płyta *To właśnie my* Pronit 1966 r. tekst: Marek Gaszyński, muzyka: Seweryn Krajewski.

Rok 1968

Rozdział 2



Miłości

– Dzień dobry!

Dorota podniosła głowę znad katalogu książek i zobaczyła żonę naczelnika. Olszańska była wyjątkowo pogodna. Miała przy sobie dwie powieści, które wypożyczyła kilka dni wcześniej.

– Dzień dobry, Amelio. Jak lektury? Trafiłam w twoje upodobania?

– Oczywiście. Przyjemnie było rozerwać się przy Mniszkównie. Ach! Te stare, dobre, przedwojenne czasy – westchnęła.

Bibliotekarka spojrzała na nią z niejakim lękiem. Obawiała się, czy znów nie usłyszy płaczliwych wywodów o przeszłości. Ku jej przyjemnemu zaskoczeniu, przyjaciółka nie uderzyła w łzawe tony. Zamiast tego zaprosiła ją na podwieczorek.

Dorota niechętnie przyjmowała takie zaproszenia. Za każdym razem miała skrupuły, gdyż to oznaczało możliwość spotkania Ksawerego. Czuła się niezręcznie, gdy do tego dochodziło, bowiem wciąż pamiętała krótką chwilę zapomnienia sprzed lat. Być może poczułaby się lepiej, gdyby wiedziała, że przynajmniej on przestał przywiązywać do tego wagę. Wyspowiadał się z grzechu i na powrót jest wiernym mężem. Bo taki pocałunek jak tamten był dla niej ewidentną zdradą.

Nie zawsze wypadało odmawiać. Nie chciała sprawiać przykrości Amelii. Rozumiała jej osamotnienie, ona czuła się podobnie. Utknęła w połowie drogi pomiędzy zwyczajnymi chłopkami a szykanowaną przez władzę inteligencją. Ziomkowie traktowali ją z dystansem i nieufnością – wszak była blisko Olszańskich, którzy mimo wszystko kojarzyli się po trosze z władzą, a po trosze z niegdysiejszym ziemiaństwem. Od naczelnika i jego małżonki także odstawała. Czuła to, choć

dokładali starań, by tego nie okazywać.

Przyjęła zaproszenie. Zimowe wieczory bywały nudne i smutne, szczególnie odkąd zmarł Jędrrek. Jak mogła, usiłowała pocieszać pogrążoną w żałości matulę, ale często jej wysiłki spełzały na niczym. Potrzebowała więc czasami wyrwać się dla równowagi pomiędzy ludźmi, którzy żyli czymś więcej niż tylko ponurą przeszłością. Zresztą Władzia zachęcała córkę, aby wychodziła z domu.

– Marniejesz, córcia. Tak nie można. Musisz przebywać z młodszymi, a nie tylko ze mną.

Niechętnie zostawiała ją samą.

Tym razem zamierzała odwiedzić Amelię zaraz po pracy. Nie warto było wracać do domu. Matula przyzwyczała się do tego, że czasami przyjeżdża trochę później. Potem ożywiała się, słuchając opowieści o tym, jak spędziła dzień.

Zbliżała się godzina zamknięcia biblioteki. Szymczakówna poprawiła włosy przed lustrem i wygładziła niewidoczne fałdki na ubraniu. Odważnie spojrzała na twarz poraną bliznami. Przypomniała sobie wszystkie przyczyny, dla których wiodła samotny żywot starej panny. Coraz częściej myślała o tym, że właściwie mogła spróbować pokierować swoim życiem inaczej. Powinna była przygarnąć na wychowanie jakąś sierotkę. Albo pójść do klasztoru. Teraz martwiła się czekającą na nią samotną starością.

Zamknęła drzwi. Po szerokich schodach weszła na piętro i skręciła w korytarz przylegający do mieszkania Olszańskich. Od trzech lat zajmowali lokal we dwójkę. Ich córki dorosły i jedna po drugiej wyjechały z Piotrowic. Dwie starsze już dawno osiadły w Limanowej, najmłodsza postanowiła szukać szczęścia w Nowej Hucie. Dorota delikatnie zastukała.

– Proszę, proszę, Dorciu! – dobiegł ją okrzyk pani domu.

*

Dobrze było mieć przyjaciółkę w Dorocie.

Amelia często wspominała pierwsze lata pobytu w Piotrowicach. Cóż to był za koszmar! Olszańscy właśnie otrzymali informację, że rząd ludowy zamierza zlikwidować zasilek, jaki otrzymywali po utracie majątków ziemskich. Stracili nadzieję na lepszą przyszłość, więc zgodzili się na wygnanie do tej okropnej głuszy, jak Amelia nazywała spółdzielnię utworzoną w pobliżu Limanowej. Nie знаła w tych stronach absolutnie nikogo. Minęło mnóstwo czasu, nim oswoiła się z myślą, że teraz to jest ich nowy dom.

Kiedy Ksawery wpadł na pomysł utworzenia biblioteki z księgozbioru pozostałego po Pawłowskich, zaproponował, by objęła tam posadę. Zapewne zrobił to w dobrej wierze: może liczył na wytrącenie jej z marazmu, w który popadła? Amelia nie wyraziła zgody. Perswadowała mężowi, że władze powiatu mogą krzywo spoglądać na obsadzenie wakatu rodziną. W rzeczywistości nie chciała podejmować pracy, ponieważ to oznaczałoby konieczność zbliżenia się z okolicznym pospółstwem. A ona jeszcze wtedy nie była gotowa. Sama go namówiła, aby zatrudnił Szymczakównę. Choć unikała miejscowych, doszły ją różne plotki. Szczerze żałowała tej nieszczęsnicy. Wiedziała ponadto, że Dorota jest bodajże najlepiej wykształconą kobietą w okolicy i pochodzi z dość dobrej rodziny.

Ksawery podłapał pomysł. Z biegiem czasu okazało się, że miała nosa, bowiem poturbowana przez los dziewczyna w pełni doceniła daną jej szansę. Amelia zyskała dzięki temu święty spokój, choć nie na długo, bowiem po jakimś czasie padła propozycja, aby udzielała analfabetom lekcji czytania i pisania. Tym razem była to koncepcja Szymczakówny. Nagle Olszańska stwierdziła, że zdążyła już okrzepnąć w Piotrowicach i mogłaby spróbować, choć nadal nie zachwycała jej wizja spoufalania się z plebsem. Pocieszała ją myśl, że nie jest to stały etat, który zabierałby całe dniówki, lecz jedynie dorywcze zajęcie, wymagające zaledwie kilku godzin w tygodniu – na więcej nie było czasu, robotnicy nie mogli zaniedbywać pracy w spółdzielni.

Nauczanie zbliżyło do siebie kobiety, bowiem dość często wymieniały spostrzeżenia na temat

uczniów oraz metod prowadzenia lekcji. Podjęły się niełatwego wyzwania. Chłopów nie ciągnęło do nauki, gdyż każdy patrzył roboty w swoim obejściu. Początkowo przychodzili na zajęcia z wielkim ociąganiem i niechęcią, z biegiem czasu uległo to nieznacznej poprawie. Pewnego dnia Amelia i Dorota zgodnie stwierdziły, że coś jednak zdołały osiągnąć wspólnym wysiłkiem.

Pogawędki wyszły poza temat lekcji. Zaczęły się rozmowy o krewnych i znajomych, wspomnienia przedwojenne i okupacyjne, westchnienia za powrotem sanacyjnych porządków. Któregoś dnia w przypływie nostalgii Olszańska opowiedziała przyjaciółce, jak to będąc panienką na wydaniu, kochała się z wzajemnością w Wincentym Zawiejskim. Czasami spotykała go na balach, on zawsze porywał ją do tańca, nawet wtedy, gdy już była zaręczona wpraw z Eugeniuszem, a potem z Ksawerym. Byli bardzo młodzi, zakochani i rozmarzeni. Snuli beznadziejne plany ucieczki, choć z góry wiedzieli, że się nie pobiorą. Nie dość, że ona była posażna, to jeszcze wiązało ją słowo z innym i nie miała nic do powiedzenia w tej kwestii – rodzice uzgodnili wszystko przed wielu laty. On nie miał szans, aby o nią zabiegać, gdyż pochodził z ubogiej i niezbyt poważanej rodziny. Jej ojciec nigdy nie pozwoliłby na to, aby poślubiła takiego golca.

Najpierw rozdzieliło ich małżeństwo, które Amelia zawarła z Ksawerym. Potem nastąpiła okupacja. Wincenty poszedł na front i wszelki ślad po nim zaginął. Nie miała pojęcia, czy przeżył. Nie wrócił po wojnie w rodzinne strony, a Olszańscy zostali wyrzuceni ze swoich dóbr i zmuszeni do opuszczenia ukochanego miejsca. Prawdopodobieństwo, że jeszcze kiedykolwiek spotka swą miłość, było nikłe.

Czasami wzdychała, myśląc o tym, że najgorszy jest stan niewiedzy. Gdyby przynajmniej miała pojęcie, jak potoczyło się życie ukochanego, łatwiej byłoby zapomnieć. Czy jeszcze żył? A jeśli tak, to czy pamiętał? Może przetrwał okupację i pokochał inną kobietę?

Wciąż pielęgnowała w sercu wspomnienie pewnej ciepłej, sierpniowej nocy, gdy spotkali się na balu zorganizowanym przez jej ciotkę – Honoratę Marat. On także tam przybył, choć nie był zaproszony. Wśród jej krewnych rodzina Zawiejskich uchodziła za plebs, gdyż ich pierwotnie szlachecka krew została rozrzedzona na skutek wielu mezaliansów. Tak się jednak złożyło, że w czasie, gdy wydawano przyjęcie, Wincenty gościł u swojego stryja, a ten należał do kręgów towarzyskich Honoraty z racji powinowactwa swej małżonki z Maratami. Nie wypadało zostawić młodzieńca samego, więc zabrali go ze sobą.

Tamtej nocy Amelia bawiła się jak nigdy w życiu, bowiem na przyjęcie nie dotarł Eugeniusz. Przetańczyła większość walców z Zawiejskim. Udało im się nawet wymknąć razem do ogrodu, gdzie z dala od czujnych oczu jej rodziny Wincenty skradł kilka namiętnych pocałunków, a następnie przysięgli sobie miłość aż po grobową deskę. W ich głowach szumiał szampan. W żyłach buzowała gorąca, młoda krew. W tamtej chwili ulegli iluzji, że mogą osiągnąć wszystko, o czym zamierzają. Uciekną razem na koniec świata. Wezmą ślub, a potem wrócą w rodzinne strony jako małżeństwo. Nikt nie będzie mógł zakwestionować ich uczuć i woli wspólnego życia. Ona dostanie posag od ojca, on obejmie etat urzędnika. Będą żyli skromnie, lecz szczęśliwie, kochając się po wsze czasy.

Przez wiele tygodni trwali w tym stanie, spiskując przeciw jej rodzinie i obmyślając plany ucieczki. W głębokiej konspiracji przekazywali sobie liściki z zapewnieniami o miłości i oddaniu.

Potem Amelii wrócił trzeźwy osąd sytuacji. Jej posag nie był aż tak duży, aby wystarczyło go do życia na poziomie, do jakiego przywykła. Pensja urzędnika też nie pokryłaby jej potrzeb. Musieliby liczyć każdy grosz, a ludzie wytykaliby ją palcami, że mając światowego i majątnego narzeczonego, porwała się na mezalians. U boku Eugeniusza czekało ją spokojne i dostatnie życie, choć nie żywił do niej głębszych uczuć i z góry zapowiedział, że nie będzie wymagającym mężem. Spełnią tylko od czasu do czasu swoją powinność. A gdy już spłodzą spadkobierców, każde ułoży sobie życie zgodnie z własnymi upodobaniami – byle dyskretnie. Amelia przestała odpisywać na listy Wincentego. Po jakimś czasie on zrozumiał wszystko i przestał je wysyłać. Nawet nagła śmierć Eugeniusza nie zmieniła ich sytuacji. Jeden naręczony został zastąpiony drugim. O małżeństwie z miłości nie było mowy.

Otrzeźwienie przyszło kilka miesięcy po ślubie. Amelia była głęboko nieszczęśliwa, choć wiedziała, że Ksawery dokłada starań, aby ich związek jakoś funkcjonował. Nie kochali się i nie istniała najmniejsza szansa, aby to mogło ulec zmianie. Mijały długie dni, wypełnione melancholią i tęsknotą za

tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby była konsekwentna w dążeniu do realizacji pragnień. Uświadomiła sobie, że utknęła w pułapce, z której nie miała ucieczki. Gdyby zostawiła męża, straciłaby absolutnie wszystko: rodzinę, przyjaciół, pozycję społeczną i nieszczęsne pieniądze, które stanowiły najważniejszy powód zawarcia małżeństwa. Nie mogłaby więc w pełni przeżywać szczęścia u boku Wincentego. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby uciekła wtedy, kiedy jeszcze było to możliwe.

Po latach życia z Ksawerym zdołała go nawet trochę polubić, zdaje się nawet, że z wzajemnością. Nie na tyle jednak, aby odczuwać błogość na myśl o wspólnej starości. Dokładali starań, by nie wchodzić sobie w drogę i nie uprzykrzać wzajemnie życia. Akceptowali brak uczuć ze strony współmałżonka. Współczuli sobie nawzajem tego, że muszą się znosić. Żadne z nich nie podjęło tej decyzji osobiście – pozwolili, aby zrobili to za nich rodzice. A potem siła przyzwyczajenia oraz waga przysięgi małżeńskiej trzymały ich razem.

Upływ czasu nauczył Amelię cierpliwości oraz stoickiego spokoju. Teraz, w okrutnych powojennych czasach, gdy u władzy byli cwaniacy, kombinatorzy i plebs, nie poradziłaby sobie sama. W jej wyobrażeniach nie mieściło się podjęcie pracy. Kim miałaby być w tej dziwacznej rzeczywistości? Urzędniczką? Nauczycielką? Uważała, że to wszystko nie jest dla niej odpowiednim zajęciem. Miałaby obsługiwać pospólstwo? Wszak ją wychowywano na damę! Za nic nie chciała zniżyć się do poziomu gminu. Woląa egzystować niczym duch u boku Ksawerego. On jeden dawał poczucie bezpieczeństwa. Wiedziała, że jej nie opuści aż do śmierci. Przysięgał to przed Bogiem, był człowiekiem honoru. Nie złamałby przysiężenia. Był równie nieszczęśliwy jak ona, dobrze o tym wiedziała.

Nie miała wielu obowiązków, więc jej życie składało się przede wszystkim z obserwowania świata oraz otaczających ją ludzi. Dostrzegała najdrobniejsze niuanse. Zauważyła niezwykłą metamorfozę Doroty, która z szarej myszki zakutanej w nieładne, bure szmaty przedzierzgnęła się w dobrze ubraną kobietę walczącą wytrwale z upiorami przeszłości. Nie umknęła jej oczom także przemiana Ksawerego. Widziała, jak mąż cierpi, choć dokładał starań, aby nie dać po sobie tego poznać. Dawno temu zwróciła uwagę na dziwne napięcie, które ogarnia go, gdy w jego otoczeniu przebywa bibliotekarka. Czyżby mieli się ku sobie?

Wszyscyśmy nieszczęśliwi – dumiała. Czasy konwenansów minęły dawno temu, a jednak żadne z nas nie potrafi kruszyć murów odgradzających nas od szczęścia. Nie chcemy ranić innych i sami przez to cierpimy. Cóż mi z wierności Ksawerego, skoro on mnie nie kocha? Cóż jemu z tej uczciwości, jeśli ja także nie darzę go miłością? Na cóż smutne i milczące cierpienie Doroty? Jej osamotnienie i niezaspokojone łaknienie bliskości nie poprawiają mojego samopoczucia. Jest nas troje i każde z nas pogrąża się w melancholii. Na moją nie ma już leku. Wincenty przepadł bez wieści. Ale może choć oni powinni zaznać przynajmniej okruchów ciepła?

– Chyba lepiej byłoby patrzeć na radość jedynej przyjaciółki, jaką mam, niż żyć ze świadomością, że mimo sympatii, którą żywimy dla siebie, jestem dla niej źródłem udręki – szeptała, krojąc szarlotkę.

Podziwiała prawosć Szymczakówny. Każda inna na jej miejscu zaczęłaby rozstawiać sidła, aby złowić w nie naczelnika PGR-u. Bez skrupułów wyciągnęłaby dłonie po cudzego mężczyznę. Dorota nie dość, że nie próbowała walczyć o Ksawerego, to jeszcze znosiła swoją dolę ze stoickim spokojem. Zdawała się nie odczuwać ani zazdrości, ani nienawiści do kobiety, która stała na drodze do jej szczęścia.

Amelia była głęboko przekonana, że między mężem a bibliotekarką do niczego nie doszło. Nie byłiby w stanie ukryć przed nią czegoś takiego. Prędzej czy później któreś z nich zdradziłoby się jakimś cikliwym spojrzeniem albo nieupilnowanym słowem.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z zadumy. Wytarła dłonie w ręcznik.

– Proszę, proszę, Dorciu! – zawołała, bowiem nie spodziewała się nikogo innego.

Szymczakówna weszła do mieszkania, nieśmiało się rozglądając. Gdy zobaczyła, że są same, odetchnęła nieznacznie z ulgą, lecz przez jej twarz przebiegł cień smutku. Amelia, która zdążyła już dobrze przestudiować fizjonomię przyjaciółki, w lot odgadła jej uczucia.

– Chodź, kochana – odparła, siląc się na jak najpogodniejszy ton. – Zapraszam do salonu. Zaraz nastawię muzykę. Byłam kilka dni temu w Limanowej i, dasz wiarę, kupiłam płytę Niemena! Sama nie mogę uwierzyć, że ją zdobyłam!

– Fantastycznie! Bardzo go lubię – ucieszyła się Dorota. – Tak pięknie śpiewał w Opolu! Słuchałyśmy go z matulą i aż ciarki goniły nam po skórze.

– Prawda? Kto lepiej potrafi nakreślić naszą szarą rzeczywistość? „Dziwny jest ten świat, gdzie jeszcze wciąż / mieści się wiele zła”[2] – zanuciła. – Słucham go często i marzy mi się, żeby coś naprawić w tym naszym trudnym życiu. Odwikłać to, co pogmatwane.

Usiadły przy stole. Z braku bardziej finezyjnych napoi pani domu zaserwowała kawę zbożową oraz ciasto domowego wypieku.

– A co byś chciała zmieniać, Amelio? – zagadnęła Dorota.

– Porządek tego świata.

Bibliotekarka uśmiechnęła się nieznacznie.

– Tego nie można zrobić. Na nic nie mamy wpływu. Chcesz wszczynać rewolucję? Ci, co płyną pod prąd, srodze cierpią.

– Niekoniecznie rewolucję. Chyba że obyczajową. Nie uważasz, Dorotko, że choć żyjemy niby w postępowych czasach, wciąż jesteśmy stłamszeni?

– Masz coś konkretnego na myśli?

Amelia posłodziła swoją kawę i odłożyła łyżeczkę na spodek. Brzdęknięła cichutko porcelana.

– Chodzi o takie okropnie zaściankowe rozumowanie. Ludzie duszą się i są nieszczęśliwi, ponieważ wciąż odczuwają strach przed tym, co powiedzą wścibskie kumochy. Rezygnują ze szczęścia w imię jakichś głupich zasad narzucanych przez konwenanse.

– Zawsze tak było – stwierdziła Dorota. Dziwił ją temat rozmowy. Dokonała w myślach przeglądu powieści, które ostatnio czytywała Olszańska. To w nich upatrywała źródła tych wynurzeń. – Nawet teraz, choć niby władza ludowa próbowała wszystko wyrównać, świat i tak dzieli się na lepszych i gorszych. Czasem sami odgradzamy się od innych. Ale z drugiej strony, o czym miałabym gadać z takim Antkiem Marcem? Wszak on tylko wystaje pod sklepem i żłopie piwo. Zaczepia przechodzące kobiety, nawet mnie – dodała z lekkim zażenowaniem. – Bajdurzy, co mu ślina na język naniesie. A jego żona przeciwnie. Unika mnie. Nie powiem, zawsze się ukloni, ale do rozmowy nigdy nie jest wrywna. Pamięta jeszcze czasy sanacyjne, kiedy to przychodziła do nas doić krowy i obrabiać bydło. Dla niej byłam panienką. Teraz jestem panną, choć wcale nie oczekuję, żeby tak się do mnie zwracała.

– Przemawia przez nią głęboko zakorzeniony szacunek. Respekt dla twojej wiedzy, wykształcenia i erudycji – oceniła Amelia. – Widzisz? Sama dostrzegasz te różnice – zauważyła, sącząc napój zabieleny odrobiną mleka. – Skosztuj ciasta. – Przypomniała sobie o gościnności.

– Dziękuję. Chętnie. – Dorota nałożyła niedużą porcję na talerz. – A skąd te wszystkie przemyślenia? – zagadnęła.

Przyjaciółka westchnęła i przeciągnęła dłonią po starannie ułożonych siwych włosach.

– Spójrz na mnie. Mam pięćdziesiąt siedem lat. Całe życie przeszło mi na spełnianiu cudzych oczekiwań. Wciąż postępowałam tak, jak tego ode mnie wymagano. Robiłam to kosztem własnego szczęścia. Jestem okropna. Mam wrażenie, że wszystko przecieka mi między palcami, i nawet nie próbuję łapać tego, co ulatuje, bo to nie ma dla mnie znaczenia. Powiem więcej. Dobrze mi z tym.

Dalsze wywody przerwał ruch w przedpokoju. To Olszański wrócił z gospodarstwa.

– Dzień dobry miłym paniom. Czy dla mnie także znajdzie się filiżanka kawy? – zapytał.

Olszańska zauważyła, jak zerknął na Dorotę. Ta wyglądała na zmieszaną. Ich wzrok na moment się spotkał, lecz Szymczakówna bardzo szybko odwróciła spojrzenie. Ksawery, choć starał się to ukryć, sprawiał wrażenie rozpromienionego.

Chyba się nie pomyliłam – pomyślała Amelia. *Mój mąż durzy się w bibliotekarce, a ona, zdaje się, nie pozostaje obojętna.*

Mimo wszystko odczuła przykrość – na nią mąż nigdy nie spoglądał w taki sposób.

Stawianie samodzielnych kroków wciąż wychodziło Leszkowi nader nieporadnie. Choć rwał się do życia, z przygnębieniem przyznawał, że same chęci nie wystarczały. Siedem lat śpiączki zrobiło swoje: nieużywane mięśnie uległy atrofii, ciało zwiotczało, był osłabiony. Odleżyny, jakich się nabawił mimo bardzo troskliwej opieki, sprawiały mu duży dyskomfort. Próbował jak najczęściej zmieniać pozycję, by odciążać newralgiczne miejsca, coraz częściej zmuszał się do przejścia choćby kilku kroków.

– Jakże Andrzej radził sobie z kalectwem? – utyskiwał do Julki, która spędzała z nim najwięcej czasu, mimo że miała dość własnych spraw na głowie.

– Był bardzo dzielny i wyjątkowo zawzięty – odparła.

– Chciałbym mieć jego siłę. Pamiętasz, jak on śmigał o kulach? Wspinał się po schodach bez choćby jednego stęknienia. A potem chodził już tylko o lasce, choć miał koślawe kulasy. Narzekał, że go bołą, a mimo to wciąż tryskał energią. A ja co? Dupa ze mnie, nie chłop!

– Głupstwa gadasz, Lesiu! – skarciła go natychmiast. – Jędrus nie był w śpiączce. Nawet jeśli w wypadku ucierpiały jego nogi, to zostały mu przecież sprawne ręce. Mało który parobek dorównywał mu siłą. Pamiętasz, jak się z wami łamał i, choć miał mleko pod nosem, nie mogliście mu dać rady? Zawsze miał krzepę w łapie, więc gdy przyszło mu podpierać się kulami, łatwo sobie poradził. A ty, biedaku, jak ześ się obudził, nie mogłeś łyżki utrzymać, pamiętasz?

– Pamiętam. – Zwiesił głowę i z wysiłkiem zrobił kolejny krok.

Do tej pory zdarzało się, że przy jedzeniu drżała mu dłoń i nie mógł trafić sztućcami w usta. Wstydził się swojej ułomności, choć Julka czy Broniek wciąż go mitygowali, że nie powinien, bo przecież z każdym dniem nabiera sił i jest mu coraz łatwiej.

Nie było łatwiej, a przynajmniej nie tyle, ile on by chciał.

Ech... Gdyby żył Jędrak – westchnął. Ten rozumiałby, co czuję: jak to parszywie być kaleką zdanym na cudzą pomoc.

Cierpiał nie tylko fizycznie. Dokuczał mu nadmiar wolnego czasu i natłok myśli kołających w głowie. Te ostatnie też były męczące i gnębiły go swoją uporczywością. Czasami odnosił wrażenie, że zasnął w innej rzeczywistości, a obudził się w innej. Wciąż nie pamiętał wszystkich szczegółów związanych z wypadkiem, choć Broniek, Wawrzek i Julka sporo mówili na ten temat. Wspominali o tym, czego sami dowiedzieli się od ludzi. Mimo to nie pojmował, dlaczego znalazł się w tłumie demonstrantów. Przecież ci ludzie walczyli w sprawie, która była mu obojętna. Przed zamieszkami wydawało się, że to on stoi po odpowiedniej stronie. Że władza ludowa zaprowadziła w kraju ład, wyrównała nierówności społeczne i słusznie walczy z klerem, który przez stulecia pał się na ciemnym narodzie. Ludzie dostawali mieszkania i pracę. W tamtym czasie wierzył, że to sprawiedliwe rządy, i nie przeszkadzało mu nawet uzależnienie od Związku Radzieckiego. Ba! Uważał, że dobrze mieć tak potężnego sojusznika.

Broniek i Janek nie oszczędzili mu najbardziej drastycznych szczegółów opisujących ich pobyt w *sanatorium* przy ulicy Montelupich. Wiedział, jak zginął Andrzej. Słyszał, że i Wawrzek został postrzelony. A to wszystko mocno dawało do myślenia.

Przykra była myśl, że ta sama władza ludowa, która na pozór tak bardzo dba o obywateli, nie zawahała się przed użyciem broni właśnie przeciwko robotnikom. Swój strzelał do swojego. Swój swojego okładał gumową pałą. Katował zamkniętych w więzieniach.

W rozmowach z rodziną coraz częściej wybierał tematy neutralne, wołał nie wchodzić na grząski grunt, by mu ktoś nie wypomniał partyjnej przeszłości. Powziął już zamiar wystąpienia z PZPR, czekał tylko na powrót do zdrowia. Słuchał za to chętnie opowieści o wszystkim innym, szczególnie o zmianach, jakie zaszły w minionych siedmiu latach.

– Nie poznałbyś Nowej Huty – stwierdziła Julka.

– Tyle nowości?

– Wciąż sporo się buduje. Teraz już wyrastają dziesięciopiętrowe wieżowce. Przybyło osiedli.

– Nasza władza chyba przestała drżeć przed wybuchem wojny, ponieważ nowa zabudowa jest zupełnie inna – podjął Wawrzek. – Znacznie luźniejsza. Nie ma charakteru warownych twierdz. Miasto

rozrasta się we wszystkie strony w niesamowitym tempie.

– Uruchomili nam nowe linie tramwajowe i autobusowe. Wszędzie łatwiej się dostać i z Krakowem jest o niebo lepsze połączenie, choć mało tam jeździmy, bo i po co, skoro wszystko mamy na miejscu? U nas i sklepy są lepiej zaopatrzone niż w mieście, choć kolejki wszędzie jednakowo długie. Do Krakowa można się wybrać od święta, na wycieczkę. Pozwiedzać muzea, obejrzeć coś w kinie lub teatrze, choć to dostępne jest i tu, w Nowej Hucie. Ach... Szkoda tylko, że już nie ma kto biletów załatwić, bo ani Sabina nie pracuje w Ludowym, ani nie ma Jędrusia w kinie – westchnęła żałośnie.

– Pięknie się to wszystko rozwija, choć teraz tylko Janek został na budowie, bo Bronek najął się w kombinacie – podjął Wawrzek, by czasem żona nie zaczęła snuć smutnych wspomnień. – Huta też nam się rozrosła, że ho ho! Produkcja stale rośnie, wciąż otwierane są nowe wydziały. Tu ci powiem taką ciekawostkę, że jak dwa lata temu zaczęły się wykopy pod walcownię slabing, to operator koparki zaczął wygrzebywać łyżką jakieś kości. Szybko wezwaliśmy archeologów, no i okazało się, że to gnaty mamuta i jeszcze jakichś innych stworów!

– A skądże to w naszej ziemi? – zdziwił się Leszek.

– Pewnikiem żyły tutaj przed laty – stwierdziła Julka. – Jak już wydobrejesz, to wybierz się z chłopakami do Muzeum Archeologicznego. Obejrzyś tam niejedno nowohuckie znalezisko.

– Gdzie mnie tam, prostakowi, pchać się do muzeum. Jako okaz chyba! – prychnął Leszek. – Robole to tylko do łopaty.

– A tu się mylisz, szwagier! Kultura i oświata też nam się pięknie rozwija. Już nie jesteśmy tylko i wyłącznie dzielnicą robotniczą. Mamy na obrzeżach wydział mechaniczny Politechniki Krakowskiej. Zaczynamy powolutku gonić Kraków. Nieustannie namawiam Karola, aby nie poprzestawał na samej maturze. Możesz więc i ty pomału myśleć o tym, by kształcić swoich synów.

– Trzeba uczciwie przyznać, że o co jak o co, ale o możliwości kształcenia władza zadbała należycie – wtrąciła Julia. – Wybudowali zapowiedziane tysiąc szkół na tysiąclecie Polski. Dasz wiarę, Lesiu, że rok po zamieszkach, jakie odbyły się w obronie krzyża, na obiecany nam placu otwarto szkołę „tysiąclatkę”? Szkoda tylko, że dranie wznieśli ją za nasze pieniądze. Za to, co zarekwirowali z konta, na które wpłacaliśmy datki na budowę kościoła.

– W rok? – upewnił się rekonwalescent. – Szybko poszło.

– Ano szybko. Najpierw w odwecie za protesty i niesubordynację zabrali nam proboszcza Satorę, potem ostentacyjnie i w ekspresowym tempie rozpoczęli roboty. Ale my im jeszcze pokażemy. Skoro mamy już wmurowany kamień węgielny pod świątynię, to też ruszymy z robotami! – entuzjzmował się Wawrzek.

– Teraz proboszczem jest Józef Gorzelany. To dopiero przedsiębiorczy człowiek! Przy wsparciu Karola Wojtyły zdziałamy cuda! Wspominałam ci już o naszym nieocenionym kardynale, prawda? – upewniła się siostra, a gdy brat przytaknął, że pamięta, kontynuowała: – No więc wyobraź sobie, że z jego pomocą proboszcz uzyskał od władz pozwolenie na *rozbudowę kaplicy w Nowej Hucie* – parsknęła śmiechem przy tych słowach. – Ale my, parafianie, już zakasaliśmy rękawy do roboty i tak *rozbudujemy* tę kaplicę, że partyjniacy dostaną wytrzeszczu oczu.

*

Karol zatrzasnął podręcznik do fizyki. Nic więcej nie wejdzie mu do głowy, dość tego kucia! Koledzy zapewne pobiegli już na boisko. Może nawet zaczęli grać w piłkę bez niego. Jeśli tylko przyszły dziewczyny, to na pewno zainicjowali mecz, aby się przed nimi popisywać.

Ostatnio wszyscy rywalizowali o względy Bożeny Morek, której nastroszona blond fryzurka i duże niebieskie oczy przyciągały uwagę niesfornych nastolatków. Prócz ładnej buzi obiekt ich westchnień został wyjątkowo szczerze obdarzony przez naturę długimi zgrabnymi nogami oraz wyjątkowo apetycznymi krągłościami. Oj! Niejeden marzył o tym, aby spotkać się sam na sam

z atrakcyjną koleżanką. Aż ich ręce swędziały na myśl o cudach, jakie nosiła pod modną bluzeczką non-iron.

Uosobienie chłopięcych marzeń i fantazji erotycznych było o rok młodsze od paczki kolegów, którzy najpierw chodzili razem do jednej podstawówki, a potem zgodnie poszli się uczyć do różnych klas, ale za to w tej samej szkole mieszczącej się przy alei Lenina 37. Jane, Gerard i Karol byli zdolniejsi i zdecydowanie bardziej pracowici, trafili więc do Technikum Hutniczo-Mechanicznego – najlepsi przyjaciele wybrali jako specjalność technologię materiałów ogniotrwałych. Bukano, Kuba i Sasza postanowili spróbować swoich sił w Zasadniczej Szkole Zawodowej, która mieściła się w tym samym budynku. Cała gromadka wiązała swoją przyszłość z pracą w kombinacie. O ile Karol i koledzy uczyli się nieźle, o tyle Sasza ledwo sobie radził, a dla Bukana uczęszczanie do szkoły było kwestią bardziej umowną. Jakub starał się najbardziej z tej trójki, ale i jego wysiłki przynosiły mizerne efekty.

Kandydaci na techników nieraz pomagali słabszym kolegom w nauce. Perswadowali Mirdze, że do szkoły chodzić trzeba, bo takie są czasy. Bez wykształcenia człowiek jest niewiele wart, może jedynie kopać rowy albo całe życie robić za marnego pomocnika. Nauczyciele wciąż im tłoczyli do głów, że socjalistyczne państwo potrzebuje ludzi wykształconych, którzy przyczynią się do budowy potęgi kraju – na przekór imperialistom i kapitalistycznym wyzyskiwaczom.

Cóż, Bukano zdawał się dojrzewać szybciej niż rówieśnicy. Jemu wciąż były w głowie amory. On najłakomiej z całej paczki kolegów zerkał na walory Bożenki. Nieustannie robił podchody, by się do nich dostać, choć ojciec dawno mu zapowiedział, że jak przyjdzie czas na niego, to zgodnie z romską tradycją weselną uprowadzi się dla niego jakaś ładną dziewczuszkę, koniecznie Cyganekę. Lepiej więc, żeby nie oglądał się za płową Polką, bo z tego i tak nic nie będzie.

– Jak świat światem u Mirgów jeszcze nie było tak, żeby który brał ślub z *gadzio*. I niech cię ręka boska broni, żebyś mi się z nią zatracił! Jak cię świerzbi, to weź sobie żonę. Nie będę trzymał u siebie grzesznika!

Bukano odstawał nieco od swojej społeczności. Przede wszystkim z racji tego, że jakkolwiek niesystematycznie, to jednak uczęszczał do szkoły. I kształcił się w zawodzie, który niewiele miał wspólnego z rodzinnymi tradycjami. Jego klan od lat specjalizował się w druciarstwie. Naprawiali sprzęty gospodarstwa domowego, głównie garnki i misy. Nawet w Nowej Hucie dobrze sobie radzili, wykonując te czynności. Drugą różnicą było to, że w wieku siedemnastu lat pozostawał w stanie bezzennym. Krewni nastolatka zawierali małżeństwa znacznie wcześniej. Jego młodszy kuzyni byli już ojcami, a kuzynki matkami. Nawet smarkaci bracia zaczynali życie na własny rachunek, choć w przeludnionych mieszkaniach nie było im łatwo.

Cyganie pragnęli niezależności i swobody. Władza ludowa nie pozwalała, aby kontynuowali tradycje, w których żyli od pokoleń. Urzędnicy za wszelką cenę chcieli pozamykać ich w betonowych klatkach i wysłać do niewolniczej pracy na etacie. Gdzie by któryś z nich nie trafił – nie potrafił dłużej zagrać miejsca.

– Życie jest za krótkie, żeby Rom miał pracować – mawiali.

Zmieniali zatrudnienie co kilka miesięcy, kombinowali ile wlezie, byle nie dać się zniewolić. Oferowali Polakom swoje tradycyjne usługi, z których pieniądź był niepewny i lichy, lecz nie śmierdział jak wynagrodzenie za sprzedanie duszy kombinatowi lub cegielni. Nawet dzieci urodzone w mieście i nieznające tej słodkiej swobody, w jakiej żyli ich ojcowie oraz dziadowie, czuły w sobie przedziwne tęsknoty za światem. Kandydat na hutnika stanowił dla nich zjawisko sprzeczne z naturą. Jak tylko mogli, utrudniali chłopakowi uczęszczanie do szkoły, przekonując, że nic mu po naukach wtlaczanych w głowę przez belfrów.

– Prawdziwa mądrość, wnusiu – tłumaczyła łagodnie babka, czterdziestoosmioletnia staruszka nosząca od trzech lat wdowie szaty – nie pochodzi z książek, które drukują *gadzio*, ani z ich szkół, które uczą jeno, jak spętać i zniewolić człowieka. Wiedza tkwi w każdym z nas. Bierze się z doświadczenia życiowego oraz przeżyć naszych ojców i dziadów. Kiedyś czerpaliśmy ją z wędrowek. Obserwowaliśmy świat i ludzi. To jest mądrość!

Bukano przytaknął grzecznie jej słowom. Szanował babcię za wiek i rozum, ale nie do końca

zgadzał się z jej stwierdzeniami. To prawda, że miał oczy szeroko otwarte i swoją wiedzę czerpał ze spoglądania na świat. Ale w przeciwieństwie do starszyny on inaczej postrzegał otoczenie.

Widział, jak żyją inni: Polacy, Rosjanie, Niemcy. Oni jakoś nie krzywdowali sobie na mieszkanie w blokach i regularną pracę. Ich domy były na ogół czystsze, żyło w nich dużo mniej ludzi. Kobiety nie kradły i nie zarabiały wróżbami. Chodziły ze swoimi mężami do kawiarni, na dansingi i do kina. Nosiły spodnie podkreślające długość nóg oraz krótkie spódniczki. Były wyemancypowane i nowoczesne. Zazdrościł *gadzio* tego, że mogą swobodnie uczęszczać do szkół, nie muszą żenić się w wieku kilkunastu lat. Nie byli obarczeni rodzinami, więc do woli korzystali z rozrywek.

Pragnął takiego świata dla siebie. Kobiety, która nie będzie nosiła wątpliwej czystości pstrych spódnic do ziemi oraz nadmiaru biżuterii. Chciał zdobyć wykształcenie, pójść do pracy i żyć nowocześnie. Mierzył go nakaz życia w czystości aż do ślubu. Podobały mu się jasnowłose dziewczęta o bladej karnacji. Lubił spędzać czas u Saszy i Jane, choć ich matki często krzyczały, paliły papierosy i były prostymi kobietami. Nade wszystko jednak podobało mu się u Karola, a pani Pawłowska przyprawiała go o zachwyty. Była piękna i inteligentna. Aż się wierzyć nie chciało, że od jego matki dzieliło ją raptem pięć lat. Choć starsza, wyglądała od niej znacznie młodziej. Nigdy nie czuł się w jej obecności onieśmielony, a była bardzo mądra, czytała dużo książek i znała się na wielu sprawach. Często pomagała mu w odrabianiu lekcji, i to jej zwierzył się z płomiennej miłości, jaką żywił do Bożeny Morek. Pewnego dnia zdobył się nawet na odwagę i uprosił ją, aby sprawdziła, czy w liście, który napisał do ukochanej, nie ma kompromitujących błędów.

– Oczywiście, Bukano, chętnie ci pomogę – odpowiedziała równie konspiracyjnym szeptem, w jakim padło pytanie, gdyż bardzo mu zależało na tym, aby zachować dyskrecję.

Nie mógł przecież dopuścić, aby Jane usłyszał o jego pomysły. Jeszcze gotów byłby go podłapać i także napisać list miłosny do Bożeny, bo też się w niej durzył. Mirga nie potrzebował konkurencji.

Wcisnął w rękę Pawłowskiej kilkakrotnie złożony arkusz. Kobieta spojrzała ze zdziwieniem na zmięty papier.

– Rozumiem, że to brudnopis – powiedziała.

I choć wcale tak nie było, Bukano szybko pokiwał głową i odparł:

– Tak, przepiszę go na czysto.

– Dobra, zmykaj na telewizję. Koledzy czekają. A ja zerknę na to i oddam ci, jak będziesz wychodził.

Pokiwał głową i dołączył do chłopaków.

Oglądali właśnie kolejny odcinek serialu *Cztery pancerni i pies*. W pokoju stołowym Pawłowskich panowała niezwykle napięta atmosfera skupienia. Nastolatki z zapartym tchem śledzili losy ulubieńców.

– Normalnie jak my – skomentował na koniec Jane. – Ja przypominam Janka Kosa, nawet imię mi się zgadza. Karol to wypisz, wymaluj Olgierd, podobny i z gęby, i z zachowania. Sasza mógłby robić za Grigorija, a Gerard za Gustlika, bo też z niego taki osiłek. Brak nam tylko Czereśniaka, ale i tego łatwo byśmy znaleźli. Może Bukano by się nadał. No i oczywiście Bożena to byłaby Marusia jak ta lala!

– A niby czemu ja miałbym być za Gustlika? – oburzył się Moch, zły, że Jane od razu zawłaszczyl dla siebie rolę głównego bohatera i oczywiście próbował przejąć dodatkowy łup w postaci Marusi. Znaczący: Bożeny.

– Boś jest hanys i tak mi to pasuje. – Becker upierał się przy swojej racji.

– Ale mnie nie pasuje, bo ty żeś jest Szwab z urodzenia i jedyna rola, jaka mogłaby ci przypaść w udziale, to jeniec hitlerowski.

– No! – zgodził się Sasza, któremu także nie uśmiechała się rola Grigorija. – Karol byłby lepszym Jankiem, a Bukano mógłby być Grigorijem, bo wygląda jak Gruzin.

– Gdzie Karol na Janka? – oburzył się Mirga. – Toć on ma czarne włosy, a Kos blondyn!

– No to kto miałby być Jankiem? – zdziwił się Pawłowski, bo jemu ta rola odpowiadałaby na równi z odgrywaniem Olgierda, choć z wiadomych powodów (Bożena vel Ogoniok) wolałby wcielić się w Janka. Uczciwie musiał jednak przyznać, że przyjaciel dokonał najsprawiedliwszego podziału

z możliwych.

– A Grigorijem to niech sobie będzie Sasza, bo on jest Ruskiem – wtrącił Kuba, niezadowolony, że dla niego zabrakło roli.

W pokoju rozgorzała ostra wymiana zdań i byliby się może wzięli za łby, ponieważ szybko wyszło na jaw, że każdy chce odgrywać Kosa, lecz na szczęście nadeszła pani domu, niosąc tacę, na której stał dymiący dzbanek i kubki, a prócz tego był talerzyk z herbatnikami.

– Panowie, koniec sprzeczki! Przyniosłam wam podwieczorek. Kakao i ciasteczka – oznajmiła.

– Jeszcze chwila, a pobilibyście się o Marusię! Stare konie! – zakpiła.

Odłożyła tacę na stół. Chłopcy zajęli się smakołykami, więc konflikt na moment został zażegnany.

– A jak twoje ostatnie wypracowanie z polskiego? – zwróciła się do Bukana. Widząc, że koledzy nie patrzą, puściła doń oko i lekko pokiwała głową w stronę przedpokoju.

– Chyba nieźle – odparł, potakując nieznacznie. – A może mi pani pożyczyć jeszcze raz tę książkę? – zagadnął.

– Tak, chodź. Zostawiłam ją w pokoju u dziewczynek.

Wyszli ze stołowego bez wzbudzania podejrzeń. Kiedy byli sami, Julia wyjęła z kieszeni fartuszka poskładaną kartkę Bukana, a prócz niej podała mu ładną błękitną kopertę.

– W środku masz dwa arkusze eleganckiej papeterii. Taki piękny list wymaga szczególnej oprawy. Ślicznie to napisałeś, choć błędów było sporo. Wy, Cyganie, macie romantyczne dusze. – Puściła do niego oko. – Przepisz starannie i uważaj na moje komentarze.

– Dziękuję pani – odparł entuzjastycznie i ostrożnie włożył kopertę oraz list do kieszeni kurtki powieszanej w przedpokoju.

– Drobiazg! – uśmiechnęła się Julia. – Książka! – przypomniała. – Chcesz, żeby koledzy śmiali się, że jej nie wzięłeś?

– Pani Julio... – zapytał z lękiem w oczach i wielką niepewnością. – Myśli pani, że powinienem dać Bożenie ten list? No, bo wie pani: ja Cygan, ona Polka. Czy to możliwe, żeby ona mnie zechciała?

– Bukano... Jeśli podobaś się dziewczynie, narodowość nie ma znaczenia. A jeżeli twoje uczucie nie zostało odwzajemnione, to choćbyś był szachem perskim, nie zdołasz jej rozkochać.

*

Bożena lubiła chłopców, nawet nie próbowała udawać, że jest inaczej. Zresztą upodobanie to odziedziczyła po rodzicielce, która na budowę Nowej Huty przyjechała z Wieliczki wiosną czterdziestego dziewiątego roku jako czternastoletnia smarkuła. Panna Celina Morek szybko odkryła, że podawanie cegieł i noszenie wiader z zaprawą to ciężka praca, a przedsiębiorcze i ładne dziewczęta mogą poszukać łatwiejszych zarobków. Efektem ubocznym jej zaradności była córka, która przysłała na świat dwa lata później.

Dziewczynka nie pojawiłaby się na świecie, gdyby nie to, że Celina zbyt późno zorientowała się, co jest grane, a jej brzuch urósł nie z przejedzenia, lecz z powodu sublokatora, który tam się zagnieździł. Miała jednak tyle szczęścia, że jej matka była bogobojną osobą i nigdy nie podniosłaby ręki na niewinne dziecko. Szesnastolatka podrzuciła więc córkę pod babciną opiekę, a sama wróciła do swojej *mozolnej pracy*. Zapewne nie zainteresowałaby się więcej losem dziecka, lecz pewnego dnia, całkiem nagle i bez ostrzeżenia, matula wyzionęła ducha. Nie było wyjścia, należało zabrać sześcioletni wówczas przychówek do wielkiego miasta.

Wydarzenie to nie było aż tak traumatyczne dla nich obu, jak by się mogło wydawać. Celina bardzo szybko i z wielką przyjemnością doszła do wniosku, że dochowała się ładnej i dorodnej córki. Dziewczynka była zadziwiająco zaradna i niekłopotliwa jak na swój wiek. Babcia zdołała przed śmiercią nauczyć wnuczkę wielu przydatnych rzeczy. Bożena potrafiła więc zrobić przepierkę czy przygotować

prosty posiłek i nigdy się nie mazgała. Z rzeczy mniej przydatnych starsza pani wtoczyła w jej głowę pieśni religijne i modlitwy. Te ostatnie pod wesołym dachem matki szybko wyleciały małej z głowy, natomiast umiejętność przystosowywania się do zmian i wielka tęsknota za rodzicielką sprawiły, że doszło do błyskawicznej asymilacji.

U matki było o niebo zabawniej niż w Wieliczce. Do kawalerki na osiedlu Zgody bardzo często zaglądali różni sympatyczni wujkowie. Długo w noc trwały wesołe i wystawne przyjęcia, po których zazwyczaj jeden z nich musiał przenocować z jej matką. Bożena sypiała w kuchni i wcale sobie tego nie krzywdowała. Nikt jej tam nie przeszkadzał, nie marudził, gdy czasami zbyt długo zasiedziała się przy radioodbiorniku, nie była też narażona na coraz częstsze zaczepki przyjaciół mamy.

Od jakiegoś czasu mężczyźni zapraszani przez Celinę spoglądali na dziewczuszkę wyjątkowo łakomym wzrokiem – jakby była pyszną kremówką z cukierni albo słodką oranżadą z bąbelkami. Początkowo nie rozumiała półsłówki i aluzji, lecz bardzo szybko nauczyła się kojarzyć fakty i dodawać dwa do dwóch, w czym pomogły także lekcje biologii. I chociaż temat obcowania wzbudzał w niej pewnego rodzaju niesmak (czasami, gdy słyszała zgrzytanie sprężyn i niezbyt dyskretne posapywanie wujków, czuła przemożną ochotę, aby zrobić siku), wywoływał także ogromną ciekawość. Pierwszy i jedyne raz dostała w twarz od matki, gdy ta przyłapała ją na podglądaniu łóżkowych poczyną. Dziewczyna miała wtedy czternaście lat i na temat współżycia z mężczyzną wiedziała już niemalże wszystko.

– Ja ci dam zioranie za chłopami, gówniaro! – krzyknęła Celina, nim wymierzyła córce siarczysty policzek.

Zaraz jednak przytuliła ją ze wszystkich sił, a na pocieszenie kupiła jedynacze na ciuchach minispódniczkę ze skórzanych klinów.

– Nie bądź głupia – pouczyła Bożenę – i nie dawaj się darmo bałamucić. I niech ci się do tego nie pali, masz jeszcze czas. Skończ szkołę, a jak zdasz maturę, to pójdziesz na posadę do biura albo urzędu. Ja nie miałam takiej szansy, więc jakoś muszę sobie radzić. Ale to nie będzie trwało wiecznie, więc co mogę, odkładam na czarną godzinę. I uczę młode siksy mojego fachu, a na pomaganiu im w szukaniu klientów nieźle zarabiam – pokrótce wprowadziła córkę w tajniki swojego zawodu. – Wolałabym jednak, abyś ty nie musiała tak zarabiać na życie. No, do nauki. – Uszczypnęła ją lekko w policzek.

– Tak, mam – odparła na pozór pokornie uczennica Liceum Ekonomicznego z klasy o specjalności: rachunkowość.

Już dawno przekonała się, że zgadzanie się ze wszystkim, co powie matka, jest opłacalne. Posłuszeństwo nagradzane było ładnymi fatalaszkami kupionymi *na żydzie*, czekoladą i egzotycznymi owocami – czyli wszystkimi dobrami, których koleżanki mogły jej tylko pozazdrościć.

Celina często otrzymywała w darze od swych *przyjaciół* słodkości i inne frykasy. Prócz tego bardzo dobrze zarabiała, więc nie musiała odsprzedawać zdobycznych czekoladek i pomarańczy. Oczywiście znaczną część zarobków odkładała na czarną godzinę, lecz i tak nie żałowała pieniędzy na siebie i córkę. Miała tylko Bożenę i poprzysięgła sobie, że nie pozwoli, aby dziewczyna się zmarnowała. Pragnęła starannie ją wykształcić i dopilnować dobrego zamążpójścia. Chciała dla niej normalnej rodziny i wszystkiego tego, czego jej zabrakło do szczęścia. Bo choć na razie było dobrze, frasowała się myślami o czekającej ją niechybnie samotnej starości. Byłoby idealnie, gdyby mała poszła na studia. Czyniło tak coraz więcej dziewczyn. Skoro władza ludowa umożliwiała to obywatelom, trzeba było korzystać z dobrodziejstw. A nuż Bożena zostanie kiedyś główną księgową w kombinacie albo w innym zakładzie? To dopiero byłoby osiągnięcie! Można byłoby wtedy pomyśleć o małżeństwie z jakimś dyrektorem i córka ustawiłaby się do końca życia!

Pilnowała więc małej niczym mityczny Cerber. Wciąż wtłaczała w jej głowę nauki, że ma się szanować, aby kiedyś w dorosłym życiu nie roniła łez nad utraconymi możliwościami.

– Mnie nie było to dane – mówiła. – W czasach, gdy mogła chodzić do szkoły, szalała wojna. A potem trza było iść do pracy i ulżyć biednej matuli. Nie mogłam liczyć na żadną pomoc, bo w domu bieda aż piszczała.

– Oczywiście, mam – powtarzała Bożena, myśląc, że te rojenia o zięciu dyrektorze to jakiś absurd.

Celina rozsądnie oceniała własne perspektywy na przyszłość i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że już niebawem przestanie być atrakcyjna dla mężczyzn. Czas był okrutnym, nieubłagalnym katem i odciskał piętno na jej twarzy. Coraz częściej łapała się na gorączkowym rozmyśleniu o przyszłości. Chociaż była dyskretna w swoim fachu, wiedziała, że nie ma szansy na dobre zamążpójście – który mężczyzna zechciałby kobietę z jej przeszłością? Nie wyobrażała sobie powrotu do mozolnej fizycznej pracy za mikre wynagrodzenie. Dach nad głową zawdzięczała pewnemu ważniakowi, który zaglądał do niej co kilka dni. Wyłącznie nie miał, choć początkowo bardzo na to liczył i często awanturował się z tego powodu. Z biegiem czasu odpuścił, bowiem pojął, że nie byłoby go stać na utrzymanie tak kosztownej kochanki.

Mistrzynie sztuki miłosnego ceniła się wyjątkowo wysoko i nie przestawała z byle kim. Wśród jej *przyjaciół* byli lekarze, urzędnicy oraz ludzie na eksponowanych stanowiskach. Niby wciąż dobrze się bawili w jej towarzystwie i chętnie korzystali z tego, co miała do zaoferowania, ale zauważyła, że coraz częściej zerkali łakomie na Bożenę.

Do mieszkania matki zachodzili i dyrektorzy. Większość z nich to byli zaawansowani wiekiem mężczyźni z wielkimi brzuszyskami. Mieli przekrwione oczy, kurzyli łąpczywie zagraniczne papierosy i dużo pili. Czasami próbowali obłapywać smarkulę, lecz ta zwinnie się wywijiała. Nie podobali jej się, budzili odrazę.

Nie to co Jane Becker: wysoki, szczupły, jasnowłosy i przede wszystkim młody! Najprzystojniejszy z całej paczki chłopaków przylatujących na boisko, aby pograć w nogę. Gdyby on spróbował włożyć jej ręce pod bluzkę i poszczypać jędrne piersi, to pewnie nie wierzgałaby przy tym niczym młoda klacz.

Albo Bukano Mirga: czarnooki, ciemnowłosy, smagły i taki męski, że nie sposób było oderwać od niego oczu.

Długo nie mogła zdecydować, który z nich bardziej się jej podoba. Obydwaj przyciągali uwagę, a stanowili swoje absolutne przeciwieństwo. Bukano był pewny siebie, towarzyski i nie raz słyszała, jak śpiewa jakieś cygańskie ballady. Jane charakteryzowała większa nieśmiałość i zdystansowanie, lecz sprawiał też wrażenie takiego, który wskoczyłby za nią w ogień.

Na Gerarda, Karola, Jakuba i Saszę niemalże nie zwracała uwagi. Owszem, całowała się z każdym, ale cóż mogło znaczyć kilka niewinnych całusów? Oni mieli za zadanie wielbić ją na odległość. Rozterek uczuciowych przysparzali jedynie Becker i Mirga, głównie z uwagi na swoją egzotyczność – Polacy byli po prostu nudni. A Rosjanin uchodził za błazna.

Na szczęście problem rozwiązał się samoistnie, gdy na boisku pojawił się Wiesiek Kalita, student Akademii Górniczo-Hutniczej. Ten to dopiero wzbudzał zachwyt wśród dziewczyn! Często grywał w piłkę z chłopakami. Był kuzynem Karola Pawłowskiego i pojawił się w mieście nieco ponad rok temu. Wysoki, smukły, czarnooki brunet – wszystkie panny wodziły za nim marzycielskim wzrokiem. On, prócz tego, że był przystojny, miał jeszcze nieprawdopodobny urok osobisty i tak potrafił każdą zaczarować, że żadna mu nie odmówiła randki. Dla niego były gotowe na wiele, a on doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Bożena też nie odmówiła, gdy parę razy zaprosił ją na lody, które kończyły się namiętymi pocałunkami. Jego natarczywe ręce wędrowały wówczas pod jej bluzkę i biustonosz. Pozwalała mu na więcej niż innym chłopakom z boiska. Miała nadzieję, że jak pokaże, jaka jest dojrzała w porównaniu z rówieśnikami, które piszczą, gdy jakiś chłopak próbuje im położyć rękę na pośladku lub piersi, to on nie będzie chciał umawiać się z innymi. Bo co to za przyjemność, gdy taka niedotykalska opędza się przed jego dłońmi?

Bożena nigdy nie widziała, aby matka lub jej *uczennice* robiły uniki. Ile razy same brały mężczyzn za ręce i kładły je sobie na piersiach? Niejednokrotnie widziała przez dziurkę od klucza, jak panowie łąpczywie liżą obnażone ciała albo jak ssą sutki. Pod tym względem byli niczym dzieci.

To nie bolało.

Niejeden raz zdarzyło się, że jakiś przyjaciel mamy przyszedł za wcześnie i jej nie zastał. Z nudów zagadywał Bożenę, nawet jak była jeszcze dwunastoletnią smarkulą. A potem od słowa do słowa próbował coś wskórać. Jak trafiał się jakiś młodszy, to pozwalala mu pobawić się jej piersiami. Na początku trochę ją to śmieszyło, gdy tak ciamkali je ustami, posapując. Ale było to też przyjemne. Zwłaszcza że potem dawali jej drobne na czekoladę. Lubiła patrzeć, jak wodzą językami wokół sutków. Czasami, gdy nieobecność matki się przedłużała, wkładali jej ręce w majtki. Nigdy nie pozwalala, aby któryś ją całkiem rozebrał. Wystarczyło zadrzeć bluzkę i rozpiąć stanik, podnieść do góry spódnice. Zresztą oni też się nie rozbierali. Pozwalała im się tylko dotykać. Wolała nie ryzykować gniewu matki.

– Będą z ciebie ludzie, mała – mrucał Zygmunt Gruca, na oko trzydziestolatek, częsty bywalec ich mieszkania. Mężczyzna dość postawny, o nie najgorszej powierzchowności, zawsze modnie ubrany i pogodny.

Jego lubiła najbardziej, dlatego to on pierwszy zdołał włożyć palec, gdzie nigdy wcześniej nikt nie dotarł. Na początku było dziwnie, trochę nieprzyjemnie. Chciała nawet powiedzieć mu, żeby zabrał dłoń, ale całował ją po piersiach tak, że szybko przestała myśleć o dyskomforcie.

– Rozłóż szerzej nogi, to dostaniesz nie tylko na czekoladę – kusił.

Była już wtedy licealistką, czuła się bardzo dorosła, nie zamierzała dawać mu po sobie poznać, że coś jej nie pasuje. Tym razem ciało zareagowało na pieszczoty inaczej niż zwykle. Kiedyś, gdy podglądała w takich momentach matkę, chciało jej się siku, teraz wiedziała, że to coś zupełnie innego, choć też było wilgotno.

– Ciasno tutaj – sapał na ucho Bożenie, coraz głębiej wwiercając się palcem.

A ona czuła, jak ogarnia ją ekscytacja, i posłusznie rozchyliła uda szerzej. Fala gorąca wypełniała jej podbrzusze. Westchnęła. Zygmunt oderwał usta od dziewczęcej piersi i spojrzał na twarz przepelnioną namiętnością.

– O tak, maleńka. Będzie jeszcze lepiej – obiecywał.

Chciała, aby dalej całował jej piersi, lecz on wolał na nią patrzeć. Od czego miała jednak własne palce? Wszak już niejedną raz zdarzało się, że gdy nie mogła wieczorami zasnąć, sama pocierała swoje sutki tak, jak robili to wcześniej mężczyźni.

– Pięknie, mała, pięknie – powiedział zduszonym głosem.

Jeszcze kilka ruchów dłońmi i nagle coś eksplodowało w jej wnętrzu. Przeżycie było tak intensywne, że z jej gardła wydobył się ni to jęk, ni to szloch.

Zygmunt pocałował ją mocno w usta.

– Jesteś lepsza niż twoja mama – stwierdził, spoglądając na nią z zachwytem. – Chcę, żebyś następnym razem zrobiła mi dobrze.

– Zwariowałaś? Matka mnie zabije!

– Nie zabije cię, nic się nie martw – szybko ją uspokoił. – Umówimy się w jakimś innym miejscu. Nie pożałujesz. Kupię ci coś ładnego – kusił. – No... Przecież widziałem, że ci się spodobało.

Nie odmówiła.

*

Ciężko było chadzać na randki w zimie, jeżeli człowiek chciał mieć choćby odrobinę intymności. W mieszkaniu Bożeny zazwyczaj przebywała matka z jakimś *przyjacielem*. A nawet gdy nie przyjmowała gości, to i tak krzywo spoglądała na kolegów przyprawdzanych przez córkę.

– Jeszcze coś wylatasz z tymi chłopaczyskami i narobisz kłopotu. Za naukę byś się wzięła – utyskiwała.

– Mamo, przecież chodzę do szkoły. Mam dobre oceny, nie wagaruję. Ale potrzebuję czasami towarzystwa.

Celina kręciła głową z dezaprobatą. Przypominała sobie o matczynych obowiązkach, żądała

dzienniczka ucznia do wglądu i przeglądała zeszyty wypełnione starannym pismem i rysunkami. Chwaliła sumienność córki. Od razu serce jej miękło, bo skoro dziewczuszka była taka zdolna, starannie odrabiała lekcje i nie sprawiała problemów wychowawczych, to przecież należało jej się coś od życia. Nocny seans w kinie chociażby albo wyjście do kawiarni z koleżankami. Wszak liczyła już siedemnaście lat, nie mogła żyć jak mniszka, bo zdziczałaby tylko. A gdzie mogłaby nabrać manier i ogłady, jak nie wśród ludzi? Jeśli miała kiedyś wyjść dobrze za mąż, to powinna umieć znaleźć się w świecie.

*

Wieškowi brakowało odpowiednich warunków lokalowych, aby mógł zapraszać do siebie panny. Mieszkał kątem u Heńka Kojderka, znajomego Szymczaków, i nie miał najmniejszych widoków na przydział, ponieważ za krótko był w mieście. Za dnia studiował na AGH, wieczorami dorabiał w kawiarni.

Łaził więc z pannami po Nowej Hucie. Czasami zabawił się w Jubilatce, rzadziej w Stylowej, bo tam było zbyt drogo na jego możliwości. Póki pogoda sprzyjała, dało się zaszyć na ustronnej ławce w parku, wleźć na dach bloku lub pójść na łąki. Potem zostawały już tylko bramy i klatki schodowe, gdzie siadywali na zimnych stopniach. Musieli zachowywać się cichutko, rozmawiać szeptem i pozostawać czujnymi. Gdy ktoś otwierał drzwi lub rozlegały się kroki, należało szybko wstać i udawać – stosownie do sytuacji – że albo się wychodzi z bloku, albo idzie do kogoś mieszkającego wyżej. Zwykle dopisywało im szczęście. Chichotali wtedy radośnie. Parę razy ich przepędzono, wyklinając, że robią burdel z porządnego miejsca.

To w ciemnych bramach i klatkach schodowych nowohucka młodzież przeżywała swoje pierwsze krótkotrwałe zauroczenia.

Wiesław często siadywał z pannami na schodach. Ostatnio przeważnie umawiał się z Morkówną. Podobała mu się, choć różnie o niej kumple gadali. Ale przecież on nie szukał żony, tylko wesołego towarzystwa i figlarnej dziewczyny, która lubiła odrobinę ryzyka.

Bożenę pociągała jego męskość i dojrzałość. Kiedy pocierał tężejące sutki, miękły jej kolana. Czasami ocierał się o nią kroczem i wymownie na nią spoglądał.

– Czujesz, maleńka, co się ze mną dzieje? – pytał, a ona się złościła, gdyż traktował ją jak smarkulę. – Oj, gdybyś była starsza! – droczył się z nią. – Inaczej byśmy rozmawiali.

Chętnie by sobie z nią pofolgował, ale jak? Choć była późna pora – dochodziła dwudziesta trzecia – w każdej chwili ktoś mógł im przeszkodzić.

Pewnego dnia, gdy z braku lepszego miejsca na schadzki siedzieli na schodach w jakiejś klatce schodowej, włożył jej rękę pod spódnice.

– A ty nie musisz wracać do domu? – zapytał.

– Niekoniecznie. Powiedziałam mamie, że idę do kina na ostatni seans.

– I pozwoliła ci?

– Aha.

– No to dobrze – uciał pogawędkę, wsuwając język w jej usta.

Przez chwilę pocierał palcami materiał majtek. Chciała, aby zrobił coś więcej, choćby dłonią. Na to, żeby poszli na całość, nie było sprzyjających warunków.

Czuł przyjemną, ciepłą wilgoć. Choć było mu niewygodnie i na dodatek ryzykowali, że ktoś ich najdzie na tych schodach, odchylił bieliznę i dotknął jej ciała. Bożena wiała się pod pieszczotami jego palców. Przeszył go przyjemny dreszcz.

Polskie Nagrania Muza.



Czas niepokoju

Obudzony ze śpiączki Leszek wracał powoli do życia. Początkowo zadawał w kółko te same pytania. Słuchał odpowiedzi, namyślał się nad przekazanymi mu wiadomościami, a potem zapominał, o czym była mowa. Z biegiem czasu jego pamięć zaczynała funkcjonować coraz lepiej. Zapamiętywał rozmowy z bliskimi.

Najczęściej odwiedzała go Julia. Dokładała starań, aby zaglądać do niego dwa, trzy razy w tygodniu. To ona opowiadała mu o zmianach, jakie nastąpiły w przeciągu ostatnich ośmiu lat. Zdążyli już wspólnie opłakać śmierć Andrzeja, uzalić się nad Jankiem i Bronkiem. Poznał młode pokolenie, nacieszył oczy widokiem matki, która przyjechała z Pawlic na wieść o jego przebudzeniu. Dowiedział się, że szeregi nowohucian zasilili syn ciotki Zosi – Wiesław Kalita, który przybył do miasta przede wszystkim po to, aby zdobyć wykształcenie. Przenocował kilka razy u Bronka, potem znaleźli mu kwaterę u Heńka Kojderka. Leszek pamiętał z dawnych czasów, że dobry był chłopak z kuzyna: wygadany, szarmancki i wesoły. Ciotka zawsze miała z niego pociechę i marzyła, aby osiągnął w życiu coś więcej niż ona i jej mąż, zubożały rolnik.

Teraz przyszedł czas na ponowne odkrywanie świata. O polityce i gospodarce najczęściej rozmawiał z Wawrzyńcem, Bronkiem lub Jankiem. O sporcie z Karolem. O kulturze z Julią.

Pewnej niedzieli zawitali do niego Pawłowscy z synem. Dziewczynki zostały w domu, choć miały ochotę odwiedzić rekonwalescenta. Julka jednak zaprotestowała, gdyż w maleńkiej celi zajmowanej przez wujka nie można było robić zbędnego tłumy.

Leszek z miejsca wykorzystał fakt, że z wizytą wpadł szwagier, i zaraz zaczął wypytywać o kombinat. Wciąż łudził się nadzieją szybkiego powrotu do zdrowia, a w rezultacie ponownego podjęcia pracy w hucie.

– No, nie powiem, zdziwisz się, jak to wszystko zobaczysz – stwierdził Wawrzyniec. – Pierwotne założenia były takie, abyśmy produkowali półtora miliona ton stali rocznie. Obecnie osiągamy pułap trzech milionów siedmiuset tysięcy ton. A niedawno Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów zatwierdził zgodę na dalszą rozbudowę kombinatu, co ma nam dać docelowo pięć i pół miliona ton stali rocznie. Bagatelka, nie? – Puścił oko do zainteresowanego.

– Nie do wiary! Jakże nasza Ziemia udźwignie taki ciężar?

– Na ten wynik już teraz pracuje jakieś dwadzieścia osiem tysięcy osób.

– Astronomiczne liczby! – wykrzyknął podekscytowany Leszek. – A myślisz, że w tym mrowiu

znajdzie się znów miejsce dla mnie?

– Jestem przekonany, że tak. Wszak już byłeś hutnikiem, masz doświadczenie. Wrócisz po rekonwalescencji. Zresztą może warto byłoby pokazać się tam już teraz, bo od ładnych paru lat mamy Katedrę Medycyny Pracy, która dba o zdrowie robotników. Może by cię tam przebadali i dali jakąś dobrą radę? Do pracy potrzebne są każde ręce. Przykładowa drukarnia wciąż wypuszcza biuletyny informacyjne dla kandydatów. Nabór trwa, bo i ludzie czasami odchodzą, i zapotrzebowanie stale rośnie. Twoje akta z zaświadczeniem, żeś chory, na pewno wciąż leżą w archiwum działu personalnego. Julka tam pracuje, więc w razie czego pomoże w ponownym zatrudnieniu.

– Fiu, fiu! To z ciebie pani, siostrzyczko! Ostatnie, co pamiętam, to jakieś chodziła z brzuchem, prowadząc malutką Zochę. A Karol sięgał ci po ramię. – Spojrzał na młodzieńca, który przycupnął na zydłu za plecami matki. – Aleś ty, chłopie, podobny do Wawrzka! – Zagwizdał z podziwem. – Toć to skóra zdarta z ojca!

– No widzisz? – Julka ucieszyła się, słysząc jego porównanie. Ten temat wciąż był dla niej trochę drażliwy i przyprawiał ją o dziwne niepokoje na dnię duszy. – A teraz wyższy jest ode mnie o głowę. Wyrosło chłopaczysko na schwał.

– Chłopaczysko? Toć to mężczyzna jak się patrzy! A i do Jędrka też żeś podobny – westchnął. – Tamten to dopiero był wysoki i postawny. A krzepę miał w garści, że ho ho! Ciekaw jestem, czy dałbyś radę wujowi, gdyby jeszcze żył – zakończył łamiącym się lekko głosem.

– Byłoby ciężko – odparł rezolutnie nastolatek. – Pamiętam, jaki był silny. Wujek Bronek nie mógł go złożyć na rękę.

– Ano. Musiał mieć w cholerę siły, skoro kuśtykając, dał radę mnie podnieść, przerzucić przez ramię i przenieść spory kawał drogi.

– Doniósłby i do domu – zasmuciła się Julka – gdyby go nie ustrzelili, kanalie.

Chciała dokończyć bardziej obelżywym epitetem, lecz przy synu, nawet niemalże dorosłym, musiała się pohamować. Mimo upływu lat emocje nie stygły.

– To co, Lesiu? Przyjdiesz na kombinat? – zmieniła szybko temat.

– A juźci! Niech no tylko powrócę do formy!

– Ale wiesz, teraz już nie pracuje się jak przedtem, że wypadał tydzień dniówek, tydzień na popołudnia i tydzień na noc, lecz wprowadzony został nowy system zmian.

– Tak? A cóż można było w tym zmienić? Dołożyli robotę w niedzielę? – wysnuł hipotezę, która wydała mu się najbardziej prawdopodobna.

– Poniękad tak. Przedtem niedziela i święto oznaczały przestoje. Teraz ludzie pracują w systemie czterobrygadowym, który szczelnie wypełnia cały tydzień od poniedziałku do niedzieli. Są cztery ekipy, przychodzące wymiennie. Właściwie to działają trzy w ciągu jednego dnia, a czwarta wtedy odpoczywa. Masz cztery dni zmiany porannej, potem dzień wolny. Cztery dni po południu i znowu dzień wolny. Później wypadają cztery nocki, a po nich dwa dni wypoczynku.

– Skomplikowane.

– Tak ci się tylko wydaje.

– A jak zmiana wypada w niedzielę?

– Niestety, trzeba wtedy pracować. To największy minus czterobrygadowki. Poza tym są same zalety. Bo i wydajność pracy większa, i nie ma przestojów, a i dla ludzi lepiej, bo zawsze wyskoczy dzień wolny w środku tygodnia, a wtedy można załatwić jakąś sprawę w urzędzie albo coś innego.

Leszek nieustannie myślał o powrocie do pracy, lecz jego ciało było wciąż słabe i nieposłuszne. Często kręciło mu się w głowie, miewał ostre migreny, słyszał nieprzyjemny szum w uszach. I jakże tu podjąć mozolny wysiłek w skwarze i zaduchu kombinatu? Jak tam pójść, skoro miewał dni, gdy zwyczajny szepet wrzynał mu się w czaszkę niczym ostry sztylet?

– Co ze mną będzie? – biadolił. – Do niczego nie jestem zdolny. Kuśtykam o lasce jak połamaniec, choć nogi mam całe i zdrowe.

– Joyczysz jak baba – rugał go Wawrzek. – To minie. Musisz po prostu nabrać sił.

– Minie, minie! Dostyc się wyleżałem jak ta zwiędła jarzyna na straganie. Czas wracać do domu,

do swoich. Kazi przecież ciężko samej z chłopcami.

– Nie martw się na zapas. – Pawłowski poklepał go po ręce. – Nie ma pośpiechu. Pomagamy jej na miarę naszych możliwości. Nie musisz wracać do roboty ani jutro, ani pojutrze. Daj sobie trochę czasu. Ważne jest, abyś wydobrzeł. Zresztą kto powiedział, że masz wracać na aglomerownię? Może zahaczysz na razie gdzieś indziej, przy jakiejś lżejszej pracy?

– Co ze mnie za chłop, skoro ślubna nie ma ze mnie pożytku? Jestem dla niej jak ten kamień uwiązany u szyi.

– Głupstwa gadasz! – skarciła go ostro Julka. – Żadna krzywda jej się nie dzieje. Uczciwie mówiąc, to ona zawsze była pierwsza do lamentów, choć w domu niczego nie brakuje. Ty nie słuchaj tej stękaniny – trafiła w sedno sprawy. – Myśl o sobie, o tym, że trzeba stanąć na nogi i wziąć się za życie. Ale nie na siłę, tylko z rozsądkiem.

– Może i masz rację? – westchnął bez większego przekonania, a potem zmienił temat na bezpieczniejszy: – A *Matysiakowie*? Lecą jeszcze w radio?

– A lecą, lecą. W każdą sobotę wieczorem. Prócz tego można posłuchać słuchowiska *W Jezioranach*. To też takie z życia wzięte i ciekawe. Niestety nie obejrzysz w telewizji *Kabaretu Starszych Panów*. – W głosie Julki zagościła nuta smutku, bowiem to był jej ulubiony program. – Nie nadają go już półtora roku. Chyba że jakąś powtórkę. Gomułka ponoć tego nie cierpiał i za każdym razem, jak widział program na ekranie, to ciskał w odbiornik kapciami.

– Co mnie tam po kabarecie. Oglądałem go tylko u was.

– Oj, teraz to już obejrzałbyś go także we własnym domu. Kazia ci się nie pochwaliła?

– A czym?

– A tym, że gdy kupiliśmy nowy telewizor, odkupiła za symboliczną złotówkę naszego belwedera.

– Naprawdę? – wyraził zdziwienie. – Stać ją na takie luksusy?

Trochę go to zaskoczyło, bowiem dwa dni wcześniej żona była u niego z narzekaniem, jakie wszystko jest drogie. Nadawała, że samo mięso podrożało o dwadzieścia procent w ostatnim roku. *Lokomotywy za to potaniały*, dodała z przekąsem.

– Jaki tam luksus? Przecież Julcia mówiła ci, że Kaźmierka odkupiła go za symboliczną złotówkę – wtrącił przytomnie Wawrzek, który zdawał się czytać w myślach szwagra.

Z telewizorem było tak, że jakiś czas temu postanowił zastąpić trochę śnieżącego belwedera nowszym odbiornikiem. W pracy dostał talon na zakup opała. Wraz z Julią uzgodnili, że belweder pojedzie do Pawlic jako prezent dla Doroty i matuli. Na pewno bardzo by się ucieszyły, gdyby go dostały. Niestety jak na złość w dniu, gdy Wawrzek przywiózł ze sklepu nabytek, w ich mieszkaniu pojawiła się Kazia. Julka obiecała oddać dla jej synów trochę ubrań, z których wyrósł Karol. No i jak Szymczakowa zobaczyła opała, to od razu zaczęła dociekać, co zrobią z poprzednikiem. I głądzić, że po co na wsi taki zbytek, a jej przydałby się, i to bardzo, bo może dzięki temu miałyby choć chwilę spokoju. Chłopcy, zamiast chuliganic, zajęliby się oglądaniem. I że ona nawet mogłaby za niego zapłacić parę groszy, ale oczywiście niedużo, bo przecież jej się nie przelewa. Zapłaci, żeby nie było gadania, że darmo wzięła.

– A jak ta moja bidusia radzi sobie z trzema chłopaczyskami do wykarmienia? – zafrasował się Leszek.

– Jakoś musi – odparła Julia. – Pomagamy jej, ile tylko możemy. W sklepach drożyzna, trudno kupić coś przyzwoitego. Krysia staje na głowie, aby odłożyć dla nas pod ładę choćby kawałek wieprzowiny lub rąbanki. Mieliliśmy niemały strach z tego powodu, bo kilka lat temu wykryto nielegalny handel mięsem. Rozpętała się prawdziwa afera. Aresztowano sporo osób, dużo straciło pracę. Odbył się proces i na kilku podejrzanym o przekręty wydano wyroki śmierci. Uwierzysz w to, Lesiu? By mordować ludzi z powodu jedzenia! Przecie to nie okupacja! Oj, baliśmy się wtedy, czy i Krysia nie dostanie za swoje, a tu przecież tyle gąb do wykarmienia w rodzinie. U nas, u was, u Bronka... No i mamy też oko na Sabcią i jej dzieciaki – przypomniała o bratowej. – Choć tej jedzenia nie brakuje, odkąd podjęła pracę w barze mlecznym. To była pewnie wyjątkowo trudna, ale za to rozsądna decyzja.

– Też jej pewnie ciężko.

– Ano tak. Powiem ci, szwagier, że wciąż żyjemy w strachu o to, czy podobnie jak w pięćdziesiątym roku nie zrobią nam wymiany pieniędzy. Jużemy raz zostali okradzeni zgodnie z prawem.

– Pamiętam. Tylko jak temu zaradzić?

– Teraz kto żyw, kupuje dolary, bo te najpewniejsze. Za jednego dolara trzeba zapłacić aż sto dwadzieścia pięć złotych.

– Matuchno, toż to fortuna! Co by za to dobra nakupił!

– Zapewne mniej niż parę lat temu. Ceny wciąż idą w górę. Gomułka strasznie nas ciśnie. Nigdy nie wierzyłem temu chudemu dziadowi! Zresztą nie ja jeden mam go dość. Parę lat temu mówiło się o jednym desperacie, Stanisław Jaros się nazywał, który usiłował dokonać zamachu na tę gniędę. Przygotował bombę, ale za późno ją odpalił. Zamiast unicestwić Gomułkę, siebie wysadził w powietrze, a prócz niego ucierpiał jeszcze jakiś dzieciak.

– A co ciekawego działo się w sporcie, gdy spałem? – Rekonwalescent zmienił radykalnie temat. Miał dość polityki. – Wygraliśmy w końcu mundial?

– Aż tak dobrze nie ma – odparł Pawłowski.

– Ale i tak są powody do dumy – oznajmił Karol. – Parę lat temu polscy piłkarze pokonali reprezentację Norwegii. Wbili im wtedy dziewięć goli, a sami nie przepuścili ani jednego! Bramkę strzelił nawet Lubański, który wtedy był chyba rok młodszy niż ja teraz! Dobrze to zapamiętałem, bo wszyscy o tym gadali, że młodzik dał radę starym wygom. Ech! Żeby tak trafić do drużyny narodowej! – westchnął z nadzieją. Przy okazji pochwalił się wujowi, że trenuje piłkę nożną, jest w reprezentacji KS Hutnik w sekcji juniorów. Ma duże szanse na to, aby zrealizować niespełnione marzenie Andrzeja.

– No pięknie! To co, młody? Idziesz w ślady Cieślaka?

– Próbuję!

*

– Coś śmierdzi – stwierdziła Celina, wchodząc do klatki schodowej.

– Wczoraj też było tak nieprzyjemnie czuć – odparła córka. – I przedwczoraj.

Wracały ze sprawunków. Obydwie niosły po nylonowej siatce z wiktuałami.

– Zeszłoby się okno otworzyć. Przewietrzyć trochę.

– E, ziąb taki. Jak otworzymy okno, to zaraz ktoś przyleci i zamknie. Póki mróz trzyma, trza żyć ze smrodem.

– Ciekawam, co tak cuchnie. Może komuś z sąsiadów puściły weki w piwnicy? – zastanawiała się na głos matka. – Albo zdechł w jakimś zakamarku kot lub pies – wysnuła kolejną, bardziej prawdopodobną teorię.

– Możliwe – przytaknęła córka.

Weszły do mieszkania i odniosły zakupy do kuchni. Potem Celina wyszła na klatkę schodową z taborettem. Postawiła go na półpiętrze pod oknem. Inaczej nie zdołałaby sięgnąć do wysoko umieszczonego zamknięcia. Niestety klamka nie chciała puścić. Kobieta zeskoczyła na podest i wspięła się po schodach. Zastukała do najbliższych drzwi, lecz nikt nie otworzył. Poszła więc dalej. Tym razem miała więcej szczęścia.

– Panie Bolku, pomóżże pan. Okno trza otworzyć, bo coś przeraźliwie cuchnie.

– Macie rację, sąsiadko. Też to czuję. Ciągnie jakoś tak od parteru, a może od piwnicy.

– Jakby coś zdechło – podchwyciła.

– O to, to! Ani chybi szczur.

– Eee tam, ze szczura nie byłoby takiego smrodu. Pewnikiem kot albo pies. Może leży gdzieś w piwnicach truchło.

– Raczej nie. Przecież ktoś by znalazł – stwierdził mężczyzna, szarpiąc się z zaklinowaną futryną.

– Psiakrew, ale trzymie. A jakby człowiek chciał, żeby się zatrzasnęło, to pewnie trzeba by było zabić gwoździami. Uff! – sapnął, gdy w końcu uchylił kwaterę.

Na klatkę schodową z miejsca dostało się rześkie styczniowe powietrze.

– Od razu lepiej – odetchnęła Celina.

– Dobrze, że grzeją – zauważył Moczarski, klepiąc dłonią po żeberkach grzejnika. Inaczej wyziębilibyśmy mieszkania.

– Z dwojga złego lepszy ziąb niż ten fetor.

– Trza będzie zgłosić do administracji, że cosik cuchnie. Niech przyjdzie dozorca i posprząta dokładniej budynek. Ostatnio straszny z niego obibok. Ino śnieg odwała sprzed klatki, a potem go nie ma.

*

Julia wróciła do pracy w Centrum Administracyjnym Huty imienia Lenina przed czterema laty. Trzyletnia Marta została wówczas zapisana do przedszkola. Po długiej nieobecności związanej z wychowywaniem dzieci Pawłowska musiała na nowo odnaleźć się w biurze. Zamiast do maszynopisania przydzielono ją do działu kadr, co w gruncie rzeczy było przyjemną odmianą.

Wawrzek próbował ją wprawdzie przekonać, aby została w domu jeszcze trochę, lecz wytłumaczyła mu, że nie ma takiej potrzeby.

– Dziewczynki są odchowane i samodzielne. A ja nie mogę w nieskończoność pozostawać na twoim utrzymaniu.

– Ależ kochanie! Przecież na nic nam nie brakuje – protestował.

– Wiem, ale nie o to chodzi. Na razie żyjemy dobrze i wygodnie, ale skąd możesz wiedzieć, co będzie w przyszłości? Jeżeli teraz podejmę pracę, to w biurze. Za kilka lat mogłoby się okazać, że nie ma dla mnie zatrudnienia przy dokumentach i muszę szukać zajęcia fizycznego. No i przyznaję, Wawrzusiu, że choć mi dobrze, to jednak potrzebuję również drobnej odmiany towarzystwa, a nie tylko dzieci i krewnych.

– Przesadzasz! – odparł z uśmiechem. – Ale oczywiście rozumiem twoją potrzebę wyjścia do ludzi. Cóż za atrakcje masz w domu? Tylko kto będzie gotował te wszystkie pyszności i wypiekał szarlotki? – dodał z udawanym żalem i cmoknął żonę najpierw w dłoń, potem w policzek.

– Nadal będą i pyszności, i szarlotki – zapewniła wtedy, ucieszona, że mąż spokojnie przyjął jej decyzję.

Powrót do biura okazał się przyjemny i bezbolesny, choć Marta marudziła początkowo, że woli zostać z mamą. Po kilku dniach poranne dąsy minęły, gdyż w przedszkolu było dużo dzieci i zabawek, a panie uczyły zupełnie innych piosenek i wierszyków niż mama lub Zosia. Julka spokojnie mogła zająć się sprawami pracowników Huty im. Lenina. Z zapałem zakładała akta personalne, porządkowała teczki, wkładała w nie dokumenty. Miała nowe koleżanki, z którymi przyjemnie było poplotkować.

Szczególnie polubiła Józję – pyzatą szatynkę o zawadiackiej, krótkiej fryzurce. Ta była jej zdecydowanie najbliższa. Śmiało można rzec, że przyjaźniły się ze sobą, często wychodziły razem na zakupy albo do kawiarni. Zbliżała je do siebie dość podobna przeszłość, bowiem Józia – podobnie jak niegdyś Pawłowska – samotnie wychowywała syna. O ojcu chłopca nigdy nie wspominała. Kiedyś powiedziała tylko, że nie żyje. Julia doszła więc do wniosku, że jest wdową, i nie drążyła tematu, by nie sprawiać jej przykrości.

Koleżanka miała chyba na tym punkcie jakiś uraz, ponieważ nie lubiła mężczyzn. Okazywała im jeśli nie jawną, to zawołowaną wrogość. W jej przypadku nie pomagały żadne kwiaty ani czekoladki, ani zagraniczne mydełko o ładnym zapachu, ani nawet para rajstop – dobro trudno dostępne. Jeżeli jakiś pan miał do załatwienia pilną sprawę, to nie był w stanie w żaden sposób przyspieszyć procedury. Nie żeby pracownica działu kadr była opieszala. Ot, po prostu – pracowała systematycznie, lecz bez

pośpiechu.

Ponieważ Józia miała syna w wieku najmłodszej córki Julii, obydwie panie często dzieliły się informacjami, gdzie można kupić ubrania lub buty dla pociech. Wspólnie polowały na atrakcyjne rzeczy w Świecie Dziecka, czasami wyprawiały się z gromadką pociech do kina Świt na bajki. Kilka razy pojechały do Krakowa na Rynek Główny, gdzie brzdące karmiły gołębie i jadły precle, a mamy w tym czasie popijały kawę. Miały nawet fotografię całej kompanii.

– Co tam u Leszka? – zagadnęła ją Józia pewnego lutowego poranka.

– Wyobraź sobie, że nareszcie wrócił do domu!

– Długo to trwało – zauważyła.

– Ano długo. Przecież wybudził się trzy miesiące temu. Musiał jednak na nowo nauczyć się wielu rzeczy, w tym również chodzenia. Wawrzek uznał, że lepiej mu będzie jeszcze przez jakiś czas u sióstr miłosierdzia niż w ciasnym mieszkaniu, gdzie co rusz potykałby się o sprzęty, dzieciaki nie dawałyby mu ani chwili spokoju, a Kazia wciąż na wszystko by utyskiwała.

– Nadal narzeka na te okropne bóle głowy?

– Niestety. Przypuszczam, że po takim urazie zostanie mu to do końca życia. Biedak bardzo cierpi, czasami aż płacze z bólu – wyznała z pewnym zażenowaniem. – Przykro na niego patrzeć w takich momentach. Każdy, nawet najmniejszy hałas mu przeszkadza. Wtedy najlepiej przy nim posiedzieć w milczeniu i potrzymać go za rękę. U sióstr nie było mu źle, ale tęsknił za swoimi. Nie lubił zostawać sam. Niestety, gdy odwiedzała go Kazia z chłopcami, nie najlepiej to znosił. W domu będzie mu ciężko – westchnęła. – Moja bratowa jest pozbawiona uczuć.

– Aż tak źle?

– Och, żebyś wiedziała! Chytra jak mało kto, wiecznie nadąsana i przepelniona pretensjami do całego świata. Nie potrafi się niczym cieszyć. Ma wieczną krzywdę. Jak Leszek odzyskał przytomność, to jej największym zmartwieniem było, czy od razu wróci do pracy. Bo przecież pieniądze są najważniejsze – skomentowała z goryczą.

Nigdy wcześniej nie opowiadała o tak przykrych sprawach. Zawsze wychodziła z założenia, że nie należy szkalować własnej rodziny przed obcymi. Tym razem nie mogła się powstrzymać. Potrzebowała chwili zwierzeń.

– Ojej! Serio? Żadnej radości, że mąż wraca do zdrowia?

Julka ze smutkiem pokręciła głową.

– Co za wstrętny babsztyl! – Józia przewróciła oczami.

– To dlatego Wawrzek załatwił z przeoryszą, aby Leszek mógł zostać tam dłużej. Chcieliśmy, żeby doszedł do siebie, bo w domu to on nie może liczyć ani na spokój, ani na życzliwość. Ja i tak cały czas martwiłam się, czy ta hadra przyjmie go z powrotem. Nim się obudził, często utyskiwała, że nie może sobie przez niego ułożyć na nowo życia. Bo nie ma rozwodu. Czasami odnosiłam wrażenie, że jej wcale nie zależało na tym, żeby wyzdrowiał, lecz umarł – podsumowała. Jej oczy zaszyły łzami.

– Nie płaczże, Juleczko. – Przyjaciółka poklepała ją po dłoni. – Wszystko będzie dobrze.

– Jakoś nie mogę w to uwierzyć. – Pokręciła głową z powątpiewaniem. – Te bóle głowy, ach... Jak on wróci do huty? Boję się, że nie da rady.

– To może spróbuje na początek gdzie indziej? Przy czymś lżejszym?

– To jedyne, co mi przychodzi na myśl. Praca tam – wskazała dłonią na wschód, w kierunku zabudowań produkcyjnych – to straszny wysiłek. Widzę po Bronku, jak jest ciężko. On wciąż powtarza, że chętnie wróciłby na murarkę. Ostatnio złożył podanie o przeniesienie na budowę. Był kiedyś bardzo dobrym fachowcem, więc może go przyjmą?

*

W telewizji leciał kolejny odcinek serii *Czterej pancerni i pies*. Ksawery siedział w fotelu.

Wyglądał na kogoś, kto w skupieniu ogląda film, lecz Amelia dobrze wiedziała, że to pozory. W rzeczywistości bujał w obłokach. Był tak zadumany, że na pewno nie zwróciłby uwagi, gdyby wyłączyła odbiornik. Ostatnio wciąż mu się to przytrafiało.

Sama przyłożyła rękę do tej zadumy, gdy kilka lat wcześniej wprowadziła do swego domu Dorotę.

Widziała udręczony wzrok męża za każdym razem, gdy zasiadali razem do kart albo oddawali się zwyczajnym pogawędkom przy filiżance herbaty lub kawy. Po każdej wizycie bibliotekarki bywał nieobecny duchem. I nie wynikało to bynajmniej z niechęci, gdyż ewidentnie lubił spędzać czas w damskim towarzystwie. Przy Szymczakównie lśniły mu oczy, brylował dowcipem, stawał się mistrzem konwersacji. A potem gasł.

Cierpiał. A ona cierpiała wraz z nim, ponieważ wiedziała, co jest źródłem tej udręki. Znowu, jak przed laty, przeżywała katusze żony niechcianej, poślubionej z rozsądku. Ich związek toczył robak. We wzajemnych stosunkach rządził chłód i kurtuazyjny dystans. Nie było ciepła, bliskości, przyjaźni. Była codzienna wymiana grzecznościowych formułek.

Gdyby miała jakikolwiek punkt zaczepienia, gdyby mogła dokądś pójść, gdyby tylko wiedziała, że ułoży sobie życie na nowo... Dzieciom nie mogła zwałać się na głowę. Córki dawno powychodziły za mąż, chowały swoje pociechy. Nie miały łatwego życia, każda z nich gniotła się całą rodziną w jakiejś ciasnej kliteczce – bez perspektyw na odmianę. Najmłodsza dziewczyna czmychnęła nawet do Nowej Huty. Liczyła na poprawę losu, lecz utknęła z mężem w hotelu robotniczym. Od siedmiu lat czekała na przydział mieszkaniowy i na razie nie zanosilo się na to, aby miała go otrzymać.

Jak więc miałyby sobie poradzić w życiu Amelia – z szóstym krzyżykiem na karku, skoro młodym było tak ciężko? Jak zacząć wszystko od nowa? Czuła się na to zbyt stara.

Odbicie w lustrze nie kłamało: dobiegała sześćdziesiątki i wyglądała dokładnie na tyle. Mąż miał pięć lat mniej i teraz widać było pomiędzy nimi różnicę wieku. Wprawdzie on już posiwiiał, lecz twarz zachował czerstwą. Jedyne w kącikach oczu oraz na czole pojawiły się drobne wyżłobienia. Mógł z powodzeniem ująć sobie lat. Ona nie mogła.

– Nie rozwiodę się z tobą – powiedziała spokojnym tonem, wyłączając telewizor.

Wyrwany z zadumy mężczyzna spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Nie śmiałybym o to prosić – odparł spokojnie.

– Wiem, że mnie nie kochasz i nigdy mnie nie kochałeś.

– Amelio... Błagam... Nie wracajmy do tego tematu. Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Przysięgałem przecież, że zostanę z tobą do końca, jakikolwiek by był. Bez względu na wszystko. Tak ciebie, jak i mnie przymuszono do tego małżeństwa. Nie odmienię uczuć, choćbym chciał. Oszczędź mi więc wyrzutów z powodu braku miłości. Wiele lat temu dałem ci w tej kwestii wolną rękę. Powinnaś była skorzystać i pójść za głosem serca.

– To niemożliwe. Moje serce nie słyszy żadnego głosu.

– A więc mnie nie dręcz.

– Nie dręczę cię. Chciałam ci tylko przypomnieć, że kwestia wolnej ręki dotyczyła i mnie, i ciebie. Czemu więc ty nie poszukasz swojego szczęścia? Czemu siedzisz tutaj beczynnienie, katując mnie swą cierpiętniczą miną?

– Nie wierzę. Ty to mówisz? Serio?

– W tym chorym małżeństwie ktoś zachował szczyptę zdrowego rozsądku – oznajmiła, unosząc brwi.

Prychnął zniecierpliwiony. Miał już dość tej absurdalnej dyskusji.

– Daruj sobie, Amelio. Znam cię dobrze. Dzisiaj dajesz mi ciche przyzwolenie, jutro wpadniesz w wapory.

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– No to mnie zaskakujesz. Ale nic z tego.

– Czemu?

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Władza wciąż ma mnie na oku. Robotnicy też pilnie mnie obserwują. Jedni i drudzy czekają na moje potknięcie. Miałbym napytać sobie biedy?

Amelia parsknęła śmiechem.

– A wiesz? Takich argumentów się po tobie nie spodziewałam.

– Jakich?

– Tak durnych. Myślałam, że powiesz coś o przysiędze przed ołtarzem albo o tym, że ona cię nie chce, ponieważ oddała serce innemu. Albo wymyślisz coś innego, równie naelektryzowanego romantyzmem. A tymczasem twoim największym zmartwieniem jest ciepła posadka? – zakpiła.

– Nie. Nie chcę ranić twoich uczuć, ot co. Cóż miałem ci powiedzieć? Że kocham inną?

– A więc jednak – stwierdziła na poły triumfalnie, na poły z goryczą.

– Powiedziałeś to wszystko, aby mnie wybadać – stwierdził zniesmaczony.

– Nie. Niczego nie muszę sondować. Wiem nawet, w kim się tak nieszczęśliwie durzysz.

– Amelio! – Oburzył się nie na żarty. – Jeśli uczynisz jej z tego powodu jakąś przykrość...

– Nie kończ – przerwała mu obcesowo. – Dobrze wiem, że ona jest ostatnią osobą, która mogłaby kogokolwiek sprowokować do czegokolwiek. Stąd też mój wniosek, że siła twojego uczucia musi być nieprawdopodobna i ja, twoja żona, nie mam najmniejszej szansy w rywalizacji o choćby okruch. Nie ma potrzeby, abyśmy cierpieli wszyscy. Troje nieszczęśliwych to zdecydowanie za dużo. Zresztą ja nie czuję się nieszczęśliwa. Spójrz, drogi mężu. – Jej usta rozciągnął uśmiech. – Czy ja wyglądam na kogoś skrzywdzonego przez los?

– Nie – odparł. – Ale wyglądasz na kogoś niespełna rozumu, skoro myślisz, że ja... Albo że ona...

– Zbędne skrupuły. – Wzruszyła ramionami.

– I to jest właśnie paradoks. Jeśli uważasz, że twoje pozwolenie coś zmieni, jesteś w błędzie. Prędzej osiągnę gwiazdki z nieba. Zakończmy ten żenujący temat, Amelio – dodał, wyraźnie zirytowany. A potem wstał i bez słowa opuścił pokój.

*

– Obywatel Szymczak?

Bronek w osłupieniu spoglądał na milicjantów stojących przed drzwiami. Poczł nagłą duszność, a jego serce zaczęło niespokojny łomot.

– Taa... Tak. O co chodzi? – zapytał zdławionym emocjami głosem.

Taka wizyta nie mogła wróżyć niczego dobrego.

– Mamy parę pytań – powiedział jeden z funkcjonariuszy, bez ceregieli przekraczając próg. – Chcielibyśmy zadać je na komendzie. Pojedziecie z nami.

– Kto tam, Bronku? – Z głębi mieszkania doleciał głos Bogumiły.

– Milicja – odparł, zaskoczony nieprzyjemnie.

– Milicja? – zdziwiła się. Kilka sekund później stała w przedpokoju, wycierając dłonie kraciatą ścierką.

– Co się dzieje? – zapytała z przestachem.

– Nic wielkiego. Po prostu chcemy porozmawiać z pani mężem.

– Ale na jaki temat? – dociekał zainteresowany.

– Wszystko w swoim czasie. Pojedzie pan z nami – padło tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Bronek spojrział na żonę. Dostrzegł przerażenie w jej oczach i drżące usta. Chciała coś powiedzieć, lecz z krtani nie wydobywał się żaden głos.

– Nie martw się, Bogusiu. To na pewno jakieś nieporozumienie. Wrócę niebawem – zapewnił bez większego przekonania.

W głębi duszy dobrze wiedział, że zaproszenie na komendę może zwiastować nieliche kłopoty. Włożył kurtkę i buty. Spojrzał wymownie w oczy ukochanej, na nic więcej nie było czasu, gdyż funkcjonariusz chwycił go za ramię i pchnął lekko ku drzwiom.

Bogumiła stała jeszcze przez chwilę – niczym biblijna żona Lota – niezdolna do wykonania żadnego ruchu.

– Jezus Maria – jęknęła w końcu, zasłaniając usta dłonią.

Gorączkowo zastanawiała się, o co chodzi. Nic racjonalnego nie przychodziło jej do głowy. Od bijatyki z Marczykiem minęły już ze trzy albo cztery miesiące, więc nie przypuszczała, żeby to dziwne aresztowanie miało z tym coś wspólnego. Mąż nie został skuty kajdankami, nie padły żadne groźby, nie poszła w ruch pała. Milicjanci byli wprawdzie stanowczy, ale nie sprawiali wrażenia szczególnie zawziętych.

Pomyślała, że poleci do Janka i powie mu o wszystkim. Szwagier mieszkał najbliżej z całej rodziny, ale szansa, że zastanie go w mieszkaniu, była nikła. O tej porze prawdopodobnie przebywał na budowie.

Nie zdejmując fartucha, narzuciła kożuszek, wcisnęła czapkę i złapała rękawiczki, choć w ferworze zapomniała włożyć je na ręce. Na szczęście pamiętała o starannym zamknięciu drzwi.

Janek był u siebie. Wywołała go na zewnątrz. Nie chciała rozmawiać w jego mieszkaniu, ponieważ przypuszczała, że i tam mogą być podsłuchiwni. Po zamieszkach, do jakich doszło przed laty, nikt nie był pewien nawet własnego domu. Broniek i Janek niemalże poniechali słuchania Radia Wolna Europa albo robili to w wielkiej konspiracji. W mieszkaniach Szymczaków i Kulków w ogóle nie omawiano drażliwych kwestii. Nie po tym, jak mąż odkrył pewnego dnia, że ktoś wszedł do nich, gdy przebywali w pracy, a dzieciaki w szkole. Kilka tygodni później o tym samym napomknął przyjaciel.

– Co się stało, Bogusiu? Czemu płaczesz? Coś z Bronkiem? – odgadł Kulka.

Zacinając się z nerwów, opowiedziała mu o dziwnym i niespodziewanym aresztowaniu męża. Dodała, że nie ma pojęcia, o co może chodzić.

Janek zmarszczył brwi i zaczął się gorączkowo namyślać. Przyjaciel raczej nie miał przed nim sekretów. Wprawdzie kilka dni wcześniej wspólnie słuchali u Kojderka nielegalnej radiostacji, ale przypuszczał, że nie o to chodziło milicjantom. Gdyby tak było, aresztowaliby w pierwszej kolejności Henryka. Tymczasem kolega stał przed kioskiem RUCH-u, kopiąc papierosa i gawędząc z jakimś znajomym.

– Może chodzi im o tamtą sprawę z listopada? – zastanawiał się szeptem.

– To jedyne, co mi przyszło do głowy – stwierdziła szwagierka.

– Bydlak przysięgał, że zostawi nas w spokoju. Trza było jednak pozwolić mu zdechnąć w bagnie. Za grosz nie można ufać esbekom. – Pokręcił głową.

– Ostatnio mieliśmy spokój. Wydaje mi się, że Broniek nie widział go od tamtej pory.

– Ja też nie. Wcześniej nie raz mignęła mi w tłumie jego czerwona gęba. Ale wiesz, kilka dni po tym zdarzeniu ktoś łąził po moim mieszkaniu – powiedział z pewnym ociąganiem, gdyż nie chciał bardziej straszyć tej biduli.

– U nas też byli tajemniczy goście. Zostawili ślad odcisnięty na mące i przerwali cieniutką nitkę w większym pokoju.

– Psiakrew, faktycznie! Broniek mówił mi o tym.

– I co teraz będzie?

– Ano nic. Musimy poczekać. Sumienie mam czyste, wy pewnie też jesteście ostrożni.

– Bardzo – potwierdziła.

Janek rozejrzał się dyskretnie. Przyszło mu bowiem na myśl, że ktoś mógł śledzić Bogusię, aby sprawdzić, czy po aresztowaniu męża pójdzie się z kimś spotkać. Aż go w dołku ścisnęło na myśl o kłopotach, jakich mogła mu w ten sposób przysporzyć. Nic jednak nie powiedział, ponieważ doskonale ją rozumiał. Zapewne każda kobieta na jej miejscu postąpiłaby tak samo.

– Jeżeli za tym stoi Marczyk, to właściwie nic nie może Bronkowi zarzucić. On na niego napadł na łąkach i on pociągnął za spust, raniąc siebie i jego. Zachowanie tej gnidy nie miało innego

uzasadnienia ponad obłąd, w który chyba popadł. Zaraz po tym, jak wyciągnąłem Bronka z brei, uzgodniliśmy, że w razie czego będziemy mówili prawdę. Nie ma co łąć. Gorzej, jeśli Broniek faktycznie coś narozrabiał pokątnie. Nie wiem, co robić. Nie wiem, jak mu pomóc. – Rozłożył ręce w geście bezradności.

– A może Wawrzek coś by zaradził? – powiedziała z nadzieją.

– Wątpię.

– Przecież to człowiek na stanowisku. Ma różne wpływy.

– Jakie tam wpływy? – zachnął się Kulka. Był tak zaaferowany sprawą, że aż zaparło mu dech w piersiach. Zaniósł się rżącym kaszlem. Dopiero po dłuższej chwili, gdy zdołał odkrztusić zalegającą wydzielinę, zapytał: – A nie pamiętasz już, że po obronie krzyża nie był w stanie pomóc w żaden sposób? Musieliśmy wtedy odsiedzieć, co nam zasądzieli, i dostać za swoje.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł zażawione od kaszlu oczy.

Nie polubił szwagra. Akceptował jego istnienie, ale sam widok Pawłowskiego przypominał mu o porażce, jaką poniósł. To on mógł być mężem Julii – gdyby tylko miał odrobinę więcej śmiałości. I choć usiłował tego nie okazywać, wciąż mu to doskwierało. Nie żeby mu było źle z Krysią i Ewą. Po prostu wiedział, że mógł ułożyć sobie życie inaczej. Od czasu do czasu wyszukiwał okazji, aby dopiec Wawrzkowi lub zdyskredytować go w oczach rodziny. Umniejszyć jego znaczenie. Pokazać, że nie jest tak nieskazitelny, za jakiego go mają. To nie było takie proste, gdyż ten albo tak bardzo się pilnował w towarzystwie, albo faktycznie był obrzydliwie idealny.

Pogadał jeszcze chwilę z Bogusią, a potem poradził jej, aby poszła do domu. Dzieci przyjdą niebawem ze szkoły, zapewne trzeba je będzie przygotować na jakieś niedobre wieści. A może Broniek wróci za parę godzin i powie, że to było tylko nieporozumienie?

Rozdygotana kobieta poszła do mieszkania. Należało dokończyć gotowanie obiadu, lecz wszystko leciało jej z rąk. Po kilku miesiącach względnego spokoju przypomniła sobie, że mąż ma zaskakujący dar pakowania się w tarapaty.

*

Po powrocie do domu Leszek nie mógł od razu podjąć pracy, gdyż wciąż jeszcze nie odzyskał pełnej sprawności. Dużo czasu spędzał samotnie, więc miał dość okazji do słuchania radia. Analizował to, co usłyszał w audycjach i co powiedzieli mu bliscy.

Nasilona propaganda antyżydowska i antyinteligenccka wzbudzała w nim uczucie bezsilnego gniewu. Kiedyś było mu to obojętne, gdyż ani z jednymi, ani z drugimi nie miał nic wspólnego. Teraz myślał o tym, że Żydzi już dość wycierpieli w niemieckich obozach koncentracyjnych i gettach. Skąd tyle wrogości do nacji, która niemalże została unicestwiona? A inteligencja? Czy to dlatego tak mocno tępiło się wykształconych i odcytanych, bo oni potrafili samodzielnie wyciągać wnioski z tego, co się dzieje, i na ogół nie zgadzali się z otaczającą ich rzeczywistością?

– Władze od inteligencji wolą stado potulnych baranów, bo nad takimi łatwiej zapanować – powiedział kiedyś Wawrzek, komentując wieści napływające z kraju i zagranicy. – Aż dziw bierze, że Moskwa nie zaczęła jeszcze robić porządku z Dubczekiem[3]. Popatrz, Leszku... W Czechosłowacji następują jakieś zmiany na lepsze. Likwidują tam cenzurę, nastaje demokracja, otwiera się granice i reformuje gospodarkę. A u nas co?

– U nas władza zdejmuje *Dziady* ze sceny. Bo niecenzuralne i antyradzieckie – odparł Leszek z kwaśną miną.

Nigdy w życiu nie przypuszczał, że tak mocno będzie go zajmowała polityka i tak radykalnie zmieniają się jego poglądy. Kiedyś spoglądał krzywym okiem na szwagra, uważał go za mądralę na stanowisku, który utyskuje na władzę, ponieważ stracił przedwojenną pozycję społeczną. Podobne pretensje miał do starszego brata. Teraz nie był już taki prędko w wyrażaniu opinii, że socjalizm jest

równoznaczny ze sprawiedliwością.

– Podobno studenci ze stolicy zbierali podpisy pod protestem w tej sprawie – oznajmił Wawrzek, podpierając Leszka, który z jego pomocnym ramieniem stawiał po osiedlowych alejkach kolejne, wciąż jeszcze niezbyt pewne kroki.

Zmęczony mężczyzna przystanął.

– Nie podoba mi się to wszystko – przyznał. – Kiedyś inaczej na to patrzyłem. Nie dawałem sobie przemówić do rozsądku. Wydawało mi się, że racja leży po mojej stronie, lecz teraz widzę wyraźnie, że to był błąd. Nie byłbym dzisiaj tu, gdzie jestem, bezsilny niby niemowlę, gdyby nie cholerne komuchy. Nie doszłoby do protestów, Andrzej nie zginąłby tak marnie... Głupio mi, zwłaszcza przed Bronkiem, bośmy się o to mocno pozarli.

– Nie ma co patrzeć w przeszłość, czasu nie cofniesz. Grunt, że przejrzałeś na oczy. Dałby Bóg, aby i twoja żona oprzytomniała – dodał, ścisząc głos.

– Po tym wszystkim, co spotkało naszą rodzinę, Kazia powinna dostrzec, że postawiliśmy na złego konia. Na własnej skórze przekonała się, że tak naprawdę władzy nie zawdzięczamy nic poza zgryzotami. Dość nabiedziła się beze mnie i dalej ma ciężko, bom jest dziadem niezdatnym do roboty. Nie byłoby tego, gdyby nie walka o kościół. No bo co szkodziło politykom, żeby ci, którzy wierzą, mogli spokojnie praktykować? Ludzie by się cieszyli z większej swobody, a oni mieliby może spokój.

– Nie byłoby spokoju. Mowy nie ma. Idziemy dalej? – zagadnął Wawrzek, gdyż dłuższą chwilę tkwili w połowie drogi.

– Tak, tak. Już odetchnąłem. Myślisz, że ludziom byłoby mało?

– A jakże. Bo nie można dać komuś częściowej wolności. Potrzebujemy pełnej swobody. Bez lęku o to, czy za głośne wyrażanie poglądów nie trafimy za kraty. Bez tłumienia przedsiębiorczości, która tak naprawdę napędza gospodarkę. Bez narzucania nam decyzji Moskwy, jak mamy żyć i myśleć. Tutaj dusi się w zarodku wszelką inicjatywę prywatną. Nasi konstruktorzy nie mogą budować pięknych, nowoczesnych samochodów, bo to trąci zgniłym imperializmem. Włosy mają być krótko ostrzyżone i wygładzone. Koszula robocza i drelichy do tego. Słuchasz jazzu? Narażasz się władzy, bo to muzyka z dzikiej Ameryki, gdzie niedawno Murzyni traktowani byli jak przedmioty, a nie jak ludzie. A czy u nas ludzi traktuje się lepiej?

– Ano nie.

– A widzisz!

*

Bogusia ze wszystkich sił próbowała zapanować nad drżeniem rąk i łzami, które uporczywie napływały jej do oczu. Minęło pięć godzin, a Bronek nie wracał. Pojawiły się natomiast dzieciaki, które nakarmiła przypaloną zupą pomidorową. Drugiego dania nie była w stanie ugotować. Na niczym nie potrafiła się skupić, przepelniał ją strach o męża. Dobrze wiedziała, jak milicjanci traktują obywateli podczas przesłuchań.

Boże, błagam, miej go w swojej opiece – powtarzała w myślach. *Ile jeszcze nieszczęść ześlesz na tego biedaka? Czyż nie wycierpiał się za wszystkie czasy?*

– Mamo, mogę wyjść na sanki? – Z zadumy wyrwało ją lekkie tarmoszenie za rękaw.

– Możesz, Agnieszko. Tylko wróć przed zmrokiem – napomniała córkę.

Dziewczynka pisała z uciechy i szybko zaczęła się ubierać. Poleciała do brata, aby pomógł jej w wyciągnięciu sanek z piwnicy. Nim obydwójce zdążyli opuścić mieszkanie, matka spojrzała na syna.

– Ludwiś, idź z siostrą na górkę. Miej ją na oku, jest młodsza od ciebie, więc lepiej na nią uważać.

Głupi pretekst – stwierdziła. *Dzieciaki są rozgarnięte i nie trzeba pilnować ich na każdym kroku.*

Potrzebowała jednak choć chwili samotności, aby dać upust łzom, które tak bardzo cisnęły jej się do oczu. A potem pomyśli co dalej.

Na razie nie powiedziała dzieciom o niczym. Zapewne przypuszczały, że tato poszedł do pracy na drugą zmianę, tak bowiem wypadło mu w tym dniu.

Kiedyś system czterobrygadowy ją irytował, ponieważ często mijali się z Bronkiem w drzwiach albo widywali tylko przez chwilę. Ona także pracowała na zmiany, więc mieli dla siebie niewiele czasu. Rzadko nadarzały się okazje do spotkań całą rodziną. Po śmierci Andrzeja bardzo długo nikt nie miał ochoty na wesołe przyjęcia. Nawet powrót mężczyzn z więzienia nie został w żaden sposób uczczony – nikomu nie było wtedy do śmiechu. Zresztą co to za radość, gdy każdy miał w pamięci, że Leszek leży jak warzywo, a Sabina sama gryzie się ze swoimi troskami? Tym razem jednak nie wyklinała w duchu na zwariowany czas pracy męża, gdyż dzięki temu mogła choć o parę godzin odwlec tę straszną chwilę, gdy będzie musiała poinformować dzieci, że ojciec został aresztowany. Do ogromnej troski o to, co dzieje się z Bronkiem, dochodziło jeszcze zmartwienie, jak Ludwik i Agnieszka przyjmą złe wiadomości.

Czeka nas poważna rozmowa. Muszę ich uprzedzić, aby dla własnego dobra nikomu nie opowiadali o tym, gdzie jest tatuś. Może nikt z sąsiadów nie zauważył, jak wychodzi z milicjantami? Po co narażać dzieciaki na szykanowanie?

Ukryła twarz w dłoniach.

W mieszkaniu panowała upiorna cisza, jeśli nie liczyć tykającego miarowo zegara. Bogumiła słyszała własny, niespokojny oddech.

– Boże, mój Boże! – załkała. – Miej go w swojej opiece.

Drżała na samą myśl o brutalnym przesłuchaniu. Pamiętała, jak wrócił z więzienia: cały posiniaczony, wychudły, z zerwanymi paznokciami, które wprawdzie zdążyły nieco odrosnąć, ale i tak wyglądały przerażająco.

Nagle usłyszała chrobotanie dobiegające zza drzwi. Ktoś nacisnął klamkę. Szybko otarła twarz na wypadek, gdyby okazało się, że to dzieci wróciły wcześniej. Rzuciła się do przedpokoju. Odgarnęła kolorowe paski wiszące u futryny. Ku ogromnej radości oraz uldze zobaczyła, że do mieszkania wszedł mąż.

– Broniś! – Z piskiem rzuciła mu się na szyję.

– Jestem, aniele. Już dobrze, dobrze. Nie trzeba płakać – odparł spokojnym, pogodnym głosem. Przytulił ją mocno do siebie i pogłaskał kojąco po plecach.

Ach! Co to było za cudowne uczucie wtulić się w jego ciało! Poczuć zapach skóry i papierosów, wody kolońskiej, której użył rano podczas golenia, oraz szorstkość wełnianego swetra wkładanego przez głowę.

Odchyliła się lekko do tyłu i ujęła obydwoma dłońmi ukochaną twarz męża.

– Nic ci nie zrobili? Wszystko w porządku? – upewniała się gorączkowym szeptem. – Co się stało? Dlaczego cię zabrali?

– Nie wiem – odparł skonsternowany. – W ogóle nie mam pojęcia, o co chodzi.

– A o co pytali?

– O to, co mnie łączyło z Marczykami. Pytali i o Bartka, i o Edka. Chcieli wiedzieć, kiedy ostatnio spotkałem tego cholernego esbeka i czy mieliśmy jakieś wspólne sprawy. No to powiedziałem im zgodnie z prawdą, że widziałem go jakoś w listopadzie, ale nie wspomniałem o szczegółowych okolicznościach, bo właściwie nie drążyli szczególnie tematu.

– To dziwne – stwierdziła.

– Tak, dziwne – odparł. – Zwłaszcza że ta kanalia przysięgała odczepić się od nas raz na zawsze. Martwi mnie, czy czasami nie postanowił, że wypełni tę obietnicę na swój cholerny, zdradziecki sposób. Może przekazał nas pod *opiekę* jakiemś koledze? Sam nie będzie już utrudniał mi życia, ale zrobi to za niego ktoś inny.

– O nie – jęknęła żona.

– Obawiam się, że tak właśnie będzie – westchnął. – Po cóż innego zabieraliby mnie na komendę? Mój nowy *opiekun* chciał zapewne poznać mnie osobiście – stwierdził z goryczą.

*

Ależ dobrze będzie wrócić na stare śmieci! – cieszył się Leszek.

Pałac Dożów, jak wśród mieszkańców Nowej Huty zwano bliźniacze budynki należące do Centrum Administracyjnego, zawsze wzbudzał w nim podziw. Takiego luksusu nie widywało się na co dzień. Socjalistyczne władze nie żałowały pieniędzy na urządzenie wewnątrz najbardziej reprezentacyjnego budynku w dzielnicy. Wysokie sale musiały wprawiać w zachwyt każdą osobę, która miała okazję, aby je ujrzeć. Kiedy Szymczak szedł korytarzami, jego wzrok biegł za uchylone drzwi gabinetów. Mężczyzna z ciekawością oglądał wszystko to, co było możliwe do zobaczenia. Marmurowe podłogi przestronnych pomieszczeń przywodziły na myśl świątynie. W wielu miejscach położone zostały starannie dopasowane, mozaikowe parkiety. Gdy zadarło się głowę, można było podziwiać wspaniałe kasetony wzorowane na dekoracjach z Wawelu. Wszędzie mnóstwo wspaniałych ozdób oraz mebli! Przepych godny pałacu. Nawet grzejniki nie wisiały ot tak sobie jak w innych urzędach, lecz ukryto je za dekoracyjnymi osłonami. Każdy detal tych wewnątrz został przemyślnie wkomponowany w całość. A klatka schodowa? Ach, cóż to za cudo! Schody wijące się ku wspaniałej sklepionej kopule zaopatrzone zostały w piękną, choć niezbyt wysoką poręcz.

Nikt z nas nie pasuje tutaj równie mocno jak Julka – przeszło mu przez myśl, gdy otwierał drzwi wyjściowe. *Zawsze miała w sobie coś z damy.*

Przez ostatnie pół godziny siostra pomagała mu w załatwieniu formalności związanych z ponownym zatrudnieniem. Chociaż wciąż nie wrócił do pełni sił i wiele prostych czynności sprawiało mu kłopot, uznał, że nadszedł czas, aby zrobić coś ze swoim życiem.

Zadowolony z siebie opuścił budynek Z. Wyszedł na zewnątrz i wciągnął w płuca chłodne powietrze, które z rzeźkością miało niewiele wspólnego, bowiem poza tym, że zimne, było też zanieczyszczone i ciężkie.

Ciekawe, czy w kasynku podają jeszcze tę pyszną sałatkę z jajkiem, którą jadalem zazwyczaj po wyjściu z roboty?

Niewiele myśląc, ruszył chodnikiem łączącym siedzibę zarządu z budynkiem socjalnym. Później zamierzał jechać prosto do domu, aby podzielić się ze ślubną dobrymi nowinami. Rad by zajrzał do zagajnika obok przystanku i sprawdził, czy nie spotka tam jakiegoś znajomka, ale uznał, że na to będzie jeszcze czas. Jedyne, czego nie zamierzał sobie odmówić, to posiłek. Musiał sprawdzić, czy będzie gdzie przekąsić coś dobrego, w razie gdyby zapomniał o zabraniu kanapek.

*

– Kaziu, Kazińko! Mam dobre wieści! – wykrzyknął Leszek, wchodząc do mieszkania.

– A co ty tak się wydzierasz? – zapytała żona, wychylając głowę z kuchni.

– Do pracy idę – oznajmił podekscytowany.

– Co ty mówisz? – ucieszyła się. – Od kiedy? Gdzie? Za ile?

– Wracam na kombinat. Wawrzek załatwił mi posadę.

– W Hucie Lenina? – Pokręciła głową. – Toć sobie nie dasz rady! Ledwo powłóczysz nogami, ciągle marudzisz, że cię głowa boli. Jakże ty się chcesz pchać do ciężkiej roboty! – powiedziała z politowaniem.

Odkąd wrócił do domu, wciąż irytował ją swoją beużyteczną obecnością. Niby starał się jak mógł: próbował zaganiać dzieci do nauki, pomagał w codziennych obowiązkach i usiłował nie być uciążliwy, lecz ona i tak miała powody do niezadowolenia. Ot choćby dlatego, że przybyła jeszcze jedna gęba, którą trzeba wykarmić. Jeszcze jedna osoba zabierająca miejsce przy stole w mieszkaniu, które

było zdecydowanie zbyt ciasne dla rodziny z trójką dzieci. Jeszcze jeden chłop do oprania.

Ech, losie! Ręce urabiała sobie po łokcie, strzygąc, tapirując i czesząc nowohuckie modnisie. Mało było tego, co otrzymywała jako wynagrodzenie w Spółdzielni „Uroda”, więc po pracy dorabiała jeszcze, odwiedzając klientki w mieszkaniach. Do siebie przestała je zapraszać, gdy okazało się, że chłopcy są zbyt hałaśliwi i uciążliwi. Raz omal nie spartaczyła fryzury, bo Darek trącił ją łokciem podczas strzyżenia. Wołała więc zostawić tę rozłobuzowaną bandę i pofatygować się na miasto. Po powrocie do domu zastawała zwykle bałagan i jakieś straty: a to wybitą szybkę w kredensie, a to oberwany karnisz, a to rozwaloną donicę z asparagusem. Mimo wszystko wołała te zniszczenia niż ryzykowanie, że jakaś damulka zniechęci się do jej usług z powodu trójki nieznośnych chłopaczysk.

– Na początek nie wrócę na produkcję, bo jak sama widzisz, to niemożliwe. Mam siedzieć na portierni i sprawdzać przepustki.

– Będziesz robił za ciecia? – zapytała rozgoryczona.

– Nie za ciecia, ino za portiera – poprawił.

– Na jedno wychodzi!

– To tymczasowe, Kaziu. Jak tylko poczuję się lepiej, pójdę na aglomerownię albo inny wydział. Nie cieszysz się? – zmarkotniał. – Pomyśl tylko: nie będę już siedział beczynnym w domu, no i zarobię choć parę groszy.

– Otóż to. Parę groszy! Czyli ile? – zapytała, a gdy podał jej stawkę, którą miał otrzymywać, poczerwieniała na twarzy ze złości. – Toć my z tego nie wyżyjemy!

– Kaziu, Kazieńko. A nie złość się na mnie. Lepsze to niż nic. Przecież ty też pracujesz, więc teraz będzie choć o tyle lżej. No... Rozchmurz się – prosił. – Daję słowo, że długo tam nie posiedzę.

Uśmiechnęła się krzywo. Pomyślała, że może to i dobrze. Przynajmniej próbował coś robić, rwał się do życia. Nie chciał dalej gnuśnieć. Widział, jak jej ciężko, zamierzał pomóc. Już ona się postara, aby jak najkrócej robił za ciecia! Bo co to za robota dla chłopca w sile wieku? No, co? Nawet kaleki Jędrak dawał sobie radę, póki żył. Czasy były wtedy równie trudne jak teraz, może nawet i gorsze, bo to jeszcze ocierało się o powojenną biedę. A on zawsze miał forszę i na życie, i na przyjemności. Sabinie kupił lisa, którego do tej pory wkładała w zimne dni. W kredensie trzymał wyborne trunki, a w lodówce kiełbasę.

Aj, co za szkoda, że jak Leszkowi przywalili w łeb, to nie wtukli mu przy okazji w mózgownicę choć trochę zaradności. Zawsze była z niego dupa i nic się nie zmieniło – westchnęła, gmerając chochlą w garnku.

– Głodnyś? Zjesz krupniku? – zapytała.

– Chętnie – ucieszył się, że przeszły jej dąsy.

– No to siadaj i jedz, bo zaraz idę na czesanie. Tylko patrzeć, jak chłopaki przylecą ze szkoły. Zerknij im w dzienniczki i pogoń ich do lekcji. Melek i Kacper mają jutro sprawdzian z matematyki, więc nim pójdą na pole, sprawdź, czy nauczyli się wzorów. Ja tam się nie znam na geometrii, tyś jest kształcony – przypomniała z przekąsem, bowiem ona skończyła zaledwie trzy klasy szkoły powszechniej, nim los ją rzucił do miasta.

Leszek umył dłonie w łazience, a następnie zasiadł za stołem. Gorąca zupa parowała z talerza. Po pokoju roznosił się przyjemny zapach. Mężczyzna chlipnął parę łyżek.

– A ty nie jesz? – zagadnął. Miał nadzieję, że żona postawi obok drugie nakrycie i usiądzie z nim do wspólnego posiłku.

– Ja już jadłam – odparła sucho.

Znowu to samo – szczelny mur obojętności. A on tak pragnął odrobiny ciepła i zainteresowania. Odkąd wrócił z klasztoru, było mu źle. Rodzinny dom stał się obcy. Pod jego nieobecność zaszły w nim spore zmiany. Chłopcy wyrosli tak, że trudno było ich poznać, nie zawsze potrafił znaleźć z nimi wspólny język. Kazia przemeblowała mieszkanie, dokupiła kilka sprzętów, a te, które zapamiętał z przeszłości, były zużyte. Dobrze byłoby oddać krzesła do tapicera, gdyż ich uszargane obicia mocno się poprzecierały. Na blacie stołu leżała pęknięta szyba, przyciskając niezbyt świeży lniany obrus. Nieduży blat kredensu szpeciły ślady odcisnięte gorącymi szklankami. LAMPY w obydwu pokojach miały wyszczerbione klosze, choć pamiętał, że gdy Julka się wyprowadzała, to zostawiła je w idealnym

stanie. Przydałoby się też pomalować ściany, ponieważ upstrzone były odciskami chłopięcych dłoni, poobijane i miejscami dość brudne.

Kiedyś wspomniał o konieczności przeprowadzenia kilku napraw i drobnego remontu. Kazi zaświeciły się wtedy oczy.

– A przydałoby się, i to bardzo – odparła. – Wstyd zaprosić kogoś do tego chlewu.

Zaraz zaczęła snuć plany niezbędnych zmian, opowiadać o kolorach, jakie podobałyby jej się we wnętrzach, o nowym dywanie podpatrzonym u jakiejś klientki i o nowoczesnej meblościance z politurą na wysoki połysk, którą zastąpiłaby stare landary, czyli kredens i trzydrzwiową szafę.

Od tamtej pory minęło jednak parę tygodni, a on wciąż nie mógł się zmobilizować i zabrać do pracy, choć żona nieustannie mu o tym przypominała. Teraz postanowił sobie solennie, że zrobi choćby drobny remont – niech się kobieta cieszy. A i łatwiej będzie wysupłać pieniądze na farby oraz inne niezbędne drobiazgi, gdy do domowego budżetu wpłynie jeszcze jedna pensja.

– Kaziu, a może wziąłbym się za malowanie? Co ty na to? Umyję ściany i sufity w naszym pokoju, a jak będziesz miała czas, pójdziemy do sklepu po farbę. Wybierzesz jakiś ładny kolor, bo ty wiesz lepiej.

Twarz kobiety wyraźnie złagodniała.

– Dobrze, Lesiu. Zajmij się tym jak najszybciej.

Uff... Nareszcie wstąpiło życie w tę niezgulę – odetchnęła, zapinając guziki granatowego ortalionowego płaszcza z podpinką. Przewiązała paskiem szeleszczący materiał i poprawiła przed lustrem kołnierz. Spojrzała bykiem na męża, a następnie wyszła, niezbyt dyskretnie zamykając za sobą drzwi.

[3] Alexander Dubček (1921–1992) – czechosłowacki działacz polityczny, główny realizator reform w partii i państwie, zwanych praską wiosną 1968. Jego program określano sloganem „socjalizm z ludzką twarzą”. Po interwencji wojsk Układu Warszawskiego wykluczony z partii (1970) i odsunięty od wszelkich funkcji.



Wiosna, panie studencie

Od kilku dni wśród krakowskich żaków panowało niezwykle poruszenie. Wszystko zaczęło się protestami w Warszawie po zdjęciu ze sceny Teatru Narodowego spektaklu *Dziady*. Wśród ludzi rozeszła się wieść o tym, że aresztowano wielu studentów oraz pracowników Uniwersytetu Warszawskiego. Padały nazwiska: Kuroń, Michnik czy Modzelewski. Na początku marca młodzież ze stolicy zebrała się na wiecu, podczas którego wysuwano żądania, by pozwolono relegowanym wrócić na uczelnię. Zgromadzenie rozpędzili robotnicy podburzani przez Milicję Obywatelską.

Ulicami miast kręciło się mnóstwo patroli milicyjnych. Prasę, radio i telewizję zdominowały komunikaty na temat chuligańskich ekscesów młodzieży. Środowiska robotnicze wyrażały głośno dezaprobatę dla uczniów szkół wyższych. Powszechnie twierdzono, że powinni zajmować się nauką, a nie mieszać w politykę. Zwłaszcza że uczą się na koszt państwa. Dochodziło do zamieszek i aresztowań. Wielu młodych ludzi oraz osób związanych ze środowiskiem akademickim zostało wydalonych z uczelni.

*

– Oto, do czego doprowadzili, cholerni hipokryci – zżymał się Wawrzyniec, przeglądając prasę.
– Ósmego marca Uniwersytet Warszawski, wczoraj Politechnika. Najpierw milicjanci podburzyli prostych ludzi, którzy chyba nie rozumieli, o co tak naprawdę się biją, potem sami zaczęli tłuc pałami studentów. I jeszcze nazywają to chuligańskimi ekscesami! Też coś! Młodzież walczyła o zwolnienie niesłusznie zatrzymanych i o wolność słowa, a te cholerne pismaki od razu wykorzystały to do celów propagandowych!

– Wiem, że ostatnio dużo mówi się o tym, że między robotnikami a inteligencją jest spory rozdźwięk – stwierdził Karol.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale wujek Leszek też do niedawna ulegał tej głupiej ideologii. Władza uparła się, aby wmówić prostym ludziom, że ci, co są wykształceni, pragną kapitalizmu i całego zła, który ze sobą niesie.

– Ale o co chodzi z tym kapitalizmem? – zapytała niespodziewanie Zośka, odrywając się od zabawy z siostrą. W telewizji właśnie miała się rozpocząć bajka na dobranoc, lecz ją o wiele mocniej zaintrygowała rozmowa dorosłych. – Słyszałam, że jest zły i niesprawiedliwy, bo wstrętni bogacze okradają biedaków.

– Nie do końca tak to wygląda, córciu – odparł Wawrzyniec, zastanawiając się, jak w prosty sposób wytłumaczyć temat dziecku. – Owszem, kapitalizm faktycznie oznacza różnice w ilości posiadanych pieniędzy i dóbr. Ale z drugiej strony mieszkańcy krajów kapitalistycznych mają większą swobodę działania. U nas wszystkie zakłady należą do państwa, a u nich każdy człowiek może być przedsiębiorcą i posiadać na własność dajmy na to fabrykę. Ludzie zdolni i pracowici bez przeszkód pomnażają swoje majątki. Posiadają dobra luksusowe, o jakich my możemy tylko pomarzyć. Gospodarka wciąż się rozwija, a wytwórcy różnego rodzaju produktów wprost prześcigają się w zaopatrywaniu sklepów.

Zośka zmarszczyła nos. Widać nie wszystko było dla niej dość jasne. Ojciec stwierdził jednak, że warto byłoby córce przybliżyć choć odrobinę ekonomii i pomału wypłeniać z jej główki odgórnie narzucaną ideologię. Z odsieczą przyszedł mu Karol.

– Wyobraź sobie, że gdy masz wystarczającą ilość pieniędzy, to idziesz na zakupy bez żadnych talonów. Nabywasz, co tylko zapragniesz.

– Nawet szynkę?

– Tak.

– I telewizor?

– Owszem. I telewizor, i samochód, i pralkę. Co tylko chcesz – powtórzył.

– O rany Julek! To chyba jakaś bujda – zdumiała się dziewczynka.

– Nie. Naprawdę tak jest na Zachodzie – wtrącił tato.

– A skąd wiesz?

– Żona mojego kolegi pochodzi z Francji. Czasami bywają u swoich krewnych, a po powrocie Czesiek opowiada cuda o tym, co widział za granicą. Tam trzeba tylko chcieć, a człowiek wiele osiągnie. U nas ludzie latami oczekują na przydział mieszkaniowy, tylko nieliczni mogą wylosować talon na lodówkę albo syrenę. Na Zachodzie, by żyć godnie, wystarczy skończyć szkołę i znaleźć dobrą pracę albo samemu założyć jakieś przedsiębiorstwo.

– To czemu u nas tak nie ma? – Na jej twarzy pojawiła się irytacja.

– Dobrze pytanie – westchnął Wawrzek. – U nas każdy ma mieć po równo.

– I dlatego wujek Janek wciąż żartuje, że czy się stoi, czy się leży, to wypłata się należy – zakpił brat.

– W samo sedno! Socjalizm ma to do siebie, że daje wszystkim po równo: i tym pracowitym, i tym, co nic nie robią. A domyślasz się, Zosiu, jaki może być tego skutek?

– Nie wiem.

– No... Pomyśl. Wyobraź sobie, że masz do napisania bardzo trudną klasówkę. W przeciwieństwie do części koleżanek uczysz się do niej wyjątkowo pilnie i sumiennie. Po sprawdzeniu prac okazuje się, że twoje zadanie zostało ocenione na pięć, czyjeś na cztery, a inne na dwa. Takie oceny należałoby wpisać do dziennika, prawda?

– No, oczywiście! To byłoby sprawiedliwie.

– A teraz wyobraź sobie, że wasza nauczycielka uważa, że wszyscy powinni mieć po równo. No i zamiast wpisać wam te wasze piątki, czwórki, trójki i dwójki, wyciąga z nich średnią, z której wynika, że każdy z was otrzyma trzy plusy. Czy to byłoby sprawiedliwe?

– Oczywiście, że nie! – oburzyła się dziewczynka.

– A widzisz. Gdybyś wiedziała, że za każdym razem sytuacja się powtórzy, czy zachęciłoby cię to w przyszłości do podejmowania aż takiego wysiłku?

Zośka pokręciła głową.

– Nie. Bo po co miałabym się męczyć, skoro leń bez odrobiny trudu dostanie taką samą ocenę?

– Ale zgodnie z zasadą socjalizmu mielibyście po równo. A teraz pójdźmy dalej. Wyobraź sobie,

że po kilku miesiącach odechciewa ci się wysiłków wkładanych w naukę i wzorem koleżanek też przestajesz przykładać się do lekcji. Wychodzisz z założenia, że odpowiada ci uśredniony system oceniania. Po następnej klasówce ty i parę osób dostajecie trzy lub trzy minus, a reszta po dwójce. I nagle nauczycielce wychodzi, że sprawiedliwą oceną dla każdego z was jest dwa plus. Albo po prostu dwa.

– Chyba rozumiem – ucieszyła się Zośka. – Bo skoro mniej przyłożyliśmy się do pracy, to nasza ocena jest słabsza.

– No właśnie! I tak samo jest z wypłatami w socjalizmie. Jeżeli ludzie nie są wynagradzani sprawiedliwie i według zasług, to tracą ochotę do pracy. Robią coraz mniej wydajnie i byle jak. Do sklepów trafiają wadliwe towary, których i tak nikt nie chce kupować, bo każdy mało zarabia. Fabryki nie mają pieniędzy ze sprzedaży, więc i ludzie zarabiają coraz mniej.

– Okropne! I bardzo niesprawiedliwe – zmartwiła się dziewczynka.

– Rozumiesz już, czym różni się kapitalizm od socjalizmu?

– Mniej więcej.

– Dobrze, bo i tłumaczenie było uproszczone, choć sens jest w przybliżeniu właśnie taki: gdy pracujesz, to posiadasz. Nie pracujesz, nie masz nic albo masz niewiele.

Zocha uznała, że wystarczy jej wiedzy jak na jeden wieczór. By uniknąć dalszego wykładu, wróciła przed telewizor.

– Ja tylko nie mogę pojąć – Karol zmienił temat – czemu nasza władza tak się zawzięła, żeby podburzać robotników przeciwko studentom.

– Wiesiek by ci to pewnie najlepiej wyłożył, ale ostatnio coś się skurczybyk nie pokazuje, pewnie i nasi studenci zaczynają coś kombinować. Moim zdaniem wszystko sprowadza się do znajomości podstawowych zasad funkcjonowania gospodarki. Jak się mówi niewykształconemu narodowi, że wszyscy winni mieć po równo, to oni wierzą i podoba im się idea tej pseudosprawiedliwości. Nie próbują zastanawiać się nad tym, że wcale tak nie jest. A gdy ktoś próbuje im otworzyć oczy, podnoszą larum. I stąd właśnie cenzura, szczucie robotników przeciwko studentom i próby trzymania krótko za pysk wszystkich obywateli – powiedział dosadnie, na co zaraz syknęła Julia, przysłuchująca się od jakiegoś czasu ich rozmowie.

– Nie przy dziewczynkach, Wawrusz – rzuciła znad deski do prasowania.

– Racja. Moje panny, nie słyszałyście, co tatko powiedział przed chwilą – zwrócił się do córek, które dość zgodnie oglądały właśnie *Jacka i Agatkę*.

– Ja tam słyszałam – odparła przekornie Zośka, która od jakiegoś czasu wybitnie lubiła droczyć się z ojcem. – Pysk to nie jest najbrzydsze słowo, jakie znam.

– Wolę nie wiedzieć, co więcej usłyszałaś i od kogo – westchnęła Julia.

*

Różnymi drogami docierały do Krakowa niepokojące wieści o zamieszkach w stolicy. Ktoś miał tam rodzinę i rozmawiał telefonicznie o powstałym fermentie. Coś tam dało się usłyszeć w Radiu Wolna Europa. Ktoś inny był na miejscu i widział na własne oczy, jak brygady ZOMO szturmują Politechnikę.

Pomiędzy młodzieżą przepływały różne informacje i ulotki, sprzeczne z tym, co wypisywano w prasie. Zdaniem dziennikarzy w stolicy doszło do chuligańskich wybryków potępianych ostro przez środowiska robotnicze. W sobotę rano Polskie Radio podało lakoniczną informację o demonstracjach z poprzedniego dnia. W telewizji pokazywano robotników z transparentami głoszącymi: „Niech żyje PZPR”, „Literaci do pióra studenci do nauki”, „Niech żyje Władysław Gomułka”. Tymczasem w akademikach Uniwersytetu Jagiellońskiego zaczęły krążyć odezwy nawołujące do wyjścia na ulice z wyrazem poparcia dla postulatów studentów z Warszawy. Nazajutrz przybyło ulotek, pojawiły się także plakaty wzywające na wiec, którego termin wyznaczony został na poniedziałek jedenastego marca w samo południe pod pomnikiem Adama Mickiewicza.

*

We wtorek wczesnym rano Wiesław zastukał do drzwi Julii. Głodny był jak wilk, ponieważ pół nocy spędził ze studentami i nie było czasu na to, aby zadbać o żołądek, gdy ważyły się sprawy tak istotne dla ducha. Zapomniał kluczy od mieszkania Kojderków, a wiedział, że u cioteczki może liczyć na śniadanie. Zastał całą rodzinę Pawłowskich przy posiłku.

Wawrzyniec z miejsca zaczął go wypytywać, czy był onegdaj na wiecu w Krakowie i co tam zaszło.

– Zgromadziło się nas jakieś kilkaset osób. Przede wszystkim studentów z Jagiellońskiego. Na Rynku wrzało. Żywiłowo dyskutowaliśmy o tym, jak dalece mijają się media z tym, co faktycznie działo się w stolicy. Od strony klubu Pod Jaszczurami nadleciało kilku działaczy studenckich. Darli japy, żebyśmy się opamiętali, ale my tam swoje wiemy. Ruszyliśmy całym tłumem pod Collegium Novum. Ktoś zaintonował „Marsz, marsz Polonia, / Nasz dzielny narodzie, / Odpoczniemy po swej pracy / W ojczystej zagrodzie”[4].

– No i co dalej? – dopytywał rozentuzjasmowany Karol.

– Ano uchwaliliśmy rezolucję, w której domagamy się ukarania milicjantów i ormowców za to, że tak poturbowali naszych kolegów ze stolicy. Żądamy, by przywrócono wydalonych na uczelnie, a przede wszystkim przestrzegania konstytucji. Potępiamy działania dezinformacyjne prasy, która wprowadza ludzi w błąd, podając fałszywe informacje o zamieszkach w Warszawie. Postulujemy także poniesienie odpowiedzialności, które mają na celu tworzenie sztucznego rozłamów między klasą robotniczą a inteligencją. Daliśmy partii czterdzieści osiem godzin na publikację tego tekstu i odniesienie się do naszych oczekiwań. W zamian zobowiązaliśmy się, że póki co poniechamy dalszych protestów, ale w razie czego już zwieramy szyki na pojutrze. Tyle że robimy to po cichu i spokojnie, bo mamy nadzieję na wydrukowanie rezolucji.

– Ależ z was optymiści! Przecież warszawiaków rozgromiono – przypomniał Pawłowski. – Serio wierzysz, że w Krakowie będzie inaczej?

– Nie. Już ja wiem, że władzy nie wolno ufać, ale nim wyjdziemy kolejny raz na ulicę, chcieliśmy pokazać, że jesteśmy ludźmi poważnymi i gotowymi do rozmów.

– W razie czego Klimaszewski[5] dał nam zgodę na zorganizowanie wiecu w największej auli UJ-otu.

– No, ale to chyba nie wszystko – dociekała Julia.

– A nie. Bo jak już skończyliśmy z rezolucją, to znowu ruszyliśmy na Rynek Główny. Oj, cioteczko, gdybyś tylko widziała ten tłum! Śpiewaliśmy *Mazurka Dąbrowskiego* i *Międzynarodówkę*! Krzyczeliśmy hasła o solidarności z warszawiakami. Demokracja! Czechosłowacja! Wolność! Na Rynku odczytaliśmy głośno tekst rezolucji, która została przyjęta gromkimi okrzykami uznania, brawami i radością. No i tak jakoś wyszło, że przy okazji spaliła nam się jedna gazetka – bąknął, robiąc niewinną minę.

– Tak? A jaka? – zainteresował się Karol. Aż mu oczy lśniły, gdy słuchał wszystkiego, i szczerze żałował, że nie jest studentem. Albo może tego, że siedział w szkole na matematyce, fizyce i języku rosyjskim, podczas gdy jedenaście kilometrów dalej wrzało niczym w ulu i działy się takie ważne rzeczy.

– „Trybuna Ludów” – zachichotał Wiesiek. – Zawszem wiedział, że jest dobra na podpałkę.

Na dłuższą pogawędkę nie było czasu. Pawłowscy zbierali się do pracy, ich dzieci do szkół, a Wiesiek, choć był śpiący po nocnych naradach z kolegami, spieszył się z powrotem do Krakowa.

*

Karol, Sasza i Kuba snuli się leniwie po skwerze. Za mało ich było do rozegrania prawdziwego meczu, a strzelanie na zmiany jeden na jednego jakoś wyjątkowo ich nie bawiło. Zresztą jak grać na pośniewowej brei, która lepiała się do starej, mocno wytartej piłki, wsiąkała w nią i powodowała, że przedmiot uszyty ze skórzanych łątek stawał się ciężki i nieprzyjemnie było go kopać, ponieważ za każdym razem tryskały z niego brudne strużki?

Pomimo szybko zapadającego zmierzchu czekali na Beckera. Wiedzieli, że kolega zjawi się niebawem. Tego dnia miał być na wycieczce szkolnej w Krakowie. Liczyli, że gdy przyjdzie, to polecą razem na boisko i może wtedy uda im się zagrać. Tam zawsze byli jacyś chętni, aby stoczyć pojedynek.

W końcu doczekali się na kompana. Przybiegł z tajemniczą miną i dał im znaki ręką, aby podeszli.

– Chłopaki, patrzcie, co mam! – Mimo widocznego podekscytowania zniżył głos do teatralnego szeptu.

– Co masz? Co masz? – zaciekawili się Karol i Sasza, którzy byli najbliżej.

Zbili się w ciasną gromadkę. Jakub też do nich dołączył po chwili, niemrawo tocząc przed sobą piłkę wyłowioną przed momentem z kałuży.

Becker rozejrzał się na boki, następnie wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki tutkę, na którą składał się plik kratkowanych kartek pomazanych kolorowymi plakatówkami.

– Ha, ha, ha! – parsknął Sasza. – A co ty? Będziesz nam pokazywał maziaje Helmuta?

– Głupiś! – obsztorcował go kolega, zły, że Brywkin wspomina o jego najmłodszym bracie, który tylko patrzył, aby się do niego doczepić, i najchętniej łąziłby za nim krok w krok. Nianczenie smarkacza było ostatnim zajęciem, na jakie miał ochotę. Zwłaszcza gdy w pobliżu pojawiała się jasnowłosa Bożena.

– Karol, czytaj. – Wręczył koledze papiery.

Pawłowski rozwinął plik arkuszy i zaczął odczytywać treść pierwszego.

– „Do młodzieży miasta Nowej Huty”. O, to do nas! Jakiś list? – zapytał.

– Nie gadaj, czytaj dalej – syknął Jane.

Drżącym z emocji głosem Karol przeczytał ulotkę zapraszającą nowohucką młodzież do udziału w wiecu protestacyjnym, który miał się odbyć nazajutrz w samo południe na Rynku Głównym w Krakowie pod pomnikiem Mickiewicza.

– Skąd to masz? – zdziwił się na ostatek. Już wcześniej został nieco zapoznany z tematem przez Wieśka i nawet zdążył pożałować, że musi grzecznie chodzić do szkoły, podczas gdy niewiele starsi koledzy rzucają wyzwanie znienawidzonej władzy.

– Przy wejściu do muzeum nasza klasa tak się rozlazła, że powstało zamieszanie. No i nagle zaczął mnie taki jeden, trochę starszy od nas, ale jeszcze nie stary piernik. Zauważyłem go wcześniej, bo gapił się na mnie jakoś dziwnie. Jużem się wystraszył, że to jakieś homo niewiadomo, gdym se przypomniał, że to kumpel naszego sąsiada. A właściwie to syna sąsiadów. Zapytał, czy dobrze kojarzy, że jestem z Nowej Huty, a potem czy mieszkam obok Maćka Wieczorka. Mówię mu więc, że Maciek wyjechał ponoć do sanatorium, żeby leczyć migdały. Tak przynajmniej gada jego matka. Ja tam jednak wiem, że to żaden kurort, a kić na Montelupich, bo słyszałem, jak mój ojciec mówił do sąsiada, żeby nająć dobrego adwokata, to puszczą chłopaka na wolność. No to ten student zagadnął mnie wtedy, czy mam dość jaj, żeby wywinąć jakiś numer. I co miałem mu powiedzieć? Że mam cykora? Nigdy w życiu! – zaperzył się chłopak. – Pogadaliśmy chwilę i on wcisnął mi te kartki za pazuchę. Powiedział, żebym rozwiesił to wieczorem na dzielnicy. W jakichś ruchliwych miejscach, byle nie pod okiem glińiarzy.

– Aha! Takie buty! – zagwizdał Kuba.

– Patrzcie na następną. – Karol rozwinął drugi arkusz i odczytał hasło: – „Żądamy wolności słowa, zgromadzeń, druku. Precz z dyktaturą!”. „Naród z nami, precz pałkarzom!” „Żądamy uwolnienia aresztowanych studentów, walczymy aż do zwycięstwa!” – czytał z kolejnych rulonów. – „Pozdrawiamy i popieramy studentów Warszawy”. Wszystko jasne – stwierdził, zwijając kartki w tutkę. Podał je Beckerowi, a ten natychmiast wsunął rulon pod sweter.

– Ale o co w tym wszystkim chodzi? – zdziwił się Sasza.

– O demokrację – oznajmił Karol, najbardziej obeznany z zagadnieniem.

Ostatnio wciąż rozmawiali o tym w domu. Ojciec cichym głosem objaśniał jemu, a przede wszystkim Zośce, na czym polega demokracja, jak wygląda kapitalizm i dlaczego władza socjalistyczna szkodzi Polakom. Streścił pokrótce kolegom jego nauki.

– A ja słyszałem, że wczoraj koło południa studenci zorganizowali jakiś wiec. Początkowo było koło dwustu osób. Niektórzy przyszli protestować, inni próbowali ich uciszyć. Ponoć sami między sobą nie potrafią się dogadać – oznajmił Brywkin.

– Skąd to wiesz? – zdziwił się Karol.

– Od Wańki, mojego kuzyna. No wiecie: tego, co przyjechał z moimi starymi, żeby tu skończyć szkołę. On studiuje na Uniwersytecie Jagiellońskim – dodał z niejaką dumą. – I nawet przyjęli go do Zrzeszenia Studentów Polskich, choć urodził się w Związku Radzieckim.

– Bo do takich organizacji przyjmują wszystkich chętnych. – Pawłowski wzruszył ramionami. – Wujek Janek mówi, że partia też każdego przytuli. Gadał jeszcze coś ciekawego twój kuzyn? – dociekał.

– No tak! Ci ze zrzeszenia namawiali studentów, żeby poszli do klubu Pod Jaszczurami i tam spokojnie pogadali o polityce.

– Ha, ha, ha! Dobrze sobie! – parsknął Jane. – Pewnie chodziło o to, żeby nie darli się w miejscu publicznym.

– Eee... No chyba. Wania trochę inaczej to przedstawił, ale on faktycznie jest za partią.

– A ty nie? – judził Curuś.

– Nie. Niby dlaczego? Mnie partia ani ziębi, ani grzeje – powtórzył słowa własnego ojca, nie do końca zadowolonego z przeprowadzki do Polski.

– Cicho, Kuba! – Becker go szturchnął. – Dajże mu opowiedzieć, co było dalej.

Chwilowo rozmowa została przerwana, ponieważ do kolegów dołączył Bukano. Zaraz zaczął wypytywać, o czym tak rajcują jak baby, więc szybko wtajemniczyli go w temat. A potem Sasza kontynuował:

– No, dalej to oni poszli całą chmarą na UJ-ot. Chyba pozbierali trochę ludzi po drodze, bo Wańka mówił, że zgromadzili się w wielkiej auli, takiej, która mogła pomieścić z tysiąc osób. No i pełno ich było. Wszedł do nich największy ważniak z uniwerku, dziekan albo rektor, nie pamiętam i nie znam się na tym, więc na pewno wam nie powtórzę. No a z nim było jeszcze paru innych. I zaczęli gadać ze studentami, żeby ich uspokoić. Ale kto by ich tam słuchał? No i uchwalili re-zo-luc-ję – przesyłabizował wyraz, który z jakiegoś powodu ciągle mylił mu się z rewolucją – w której domagają się przestrzegania konstytucji oraz przywrócenia *Dziadów* na afisz. Powinna ukazać się dzisiaj, a najdalej w jutrzejszej prasie.

– Ale się nie ukazała – wszedł mu w słowo Karol.

– Skąd wiesz? – zdziwili się koledzy.

– A stąd, że gdyby coś takiego było, to ojciec by mi powiedział. Ostatnio wciąż o tym rozmawiamy – oznajmił, dumnie prostując plecy, aby dodać sobie i tak słusznego już wzrostu. – Zresztą gdyby puścili w gazecie tę ich rezolucję, to studenci nie zwoływaliby ludzi na jutrzejszy wiec. A Wiesiek mówił, że nie wierzy, żeby to wydrukowali, bo i on był przy uchwalaniu. Studenci z miejsca zaczęli planować, kiedy w razie czego będą musieli wyjść na ulicę. Wiecie co? Ja to bym chętnie pojechał do Krakowa – stwierdził na koniec. – Trzeba walczyć z innymi o wolność wypowiedzi i poszanowanie swobód obywatelskich – powtórzył słowa taty.

– Zwariowałaś? Jak chcesz to załatwić? Przecież jutro środa! Musimy iść do szkoły. Jak pójdziesz na wagary, to będziesz miał się z pyszna! – przestrzegł go sceptyczny Sasza. – Na co ci to? Dla jakich swobód?

– Guzik rozumiesz – obruszył się Pawłowski. – Tyś jest Rusek, to nie masz o niczym pojęcia! Dobrze ci się tutaj żyje i nie przeszkadza ci nic a nic, że Polska jest pod kolejnym zaborem.

– Jakim zaborem? Co ty pitolisz?

– A takim, że wszystko, co dzieje się u nas, to zasługa Moskwy! Ruscy żyć nam nie dają! Człowieku! Otwórz oczy! Mieszkasz w kraju, który został anektowany przez twoich rodaków.

Sasza milczał przez chwilę, ważąc w myślach słowa kolegi.

Nie czuł się Rosjaninem. Przyszedł na świat w Polsce, miał polskie obywatelstwo. To prawda, że w rodzinnym domu mówiło się po rosyjsku, lecz rodzice nigdy ani słowem nie wspominali o możliwości powrotu za Bug albo i dalej na wschód, za to bliżej Moskwy. Przyzwyczaili się do życia w Nowej Hucie, nikomu tu się krzywda nie działa. Z milicją nie miewali problemów, ojcu wiodło się w pracy, matka uczyła w szkole języka rosyjskiego. Nie potrzebowali do szczęścia żadnych zmian. Życie nie umierać!

– Taki ze mnie Rusek, jak z Jane Szwab! – oburzył się na słowa kolegi.

– Rusek! – zadziornie rzucił Jakub, niepomny tego, że pod nieobecność Gerarda silniejszy i wyższy kolega może mu spuścić lanie.

– Rusek, Rusek – potwierdził Bukano.

– Ty też się nie odzywaj, bo ci przywalę!

– A niby czemu? Jak masz na imię, co? Sasza. Sa-sza – powtórzył. – Jak Rusek, nie jak Polak.

– A ty co? Może ty jesteś lepszy. Cygan!

– Może i Cygan, ale Polak. Moi przodkowie dawno temu, jeszcze przed pierwszą wojną, przywędrowali do Polski. Tutaj zostali, przetrwali obozy koncentracyjne i tutaj mamy dom. W papierach mamy, żeśmy Polacy!

– Chłopaki! Nie kłóćcie się! – uspokoił ich Jane.

– To niech oni przestaną robić ze mnie Ruska.

– Tia... Sa-sza.

– Żaden Sasza! – obruszył się Brywkin. – Na chrzcie dali mi Aleksander! Olek! O! – wykrzyknął.

– I jak któryś z was jeszcze raz nazwie mnie Sasza, to pożałuje! – Pokazał kolegom zaciśniętą pięść.

– Dosyć – wtrącił się Pawłowski. – Trzeba teraz szybko coś ustalić. Po pierwsze: co robimy z ulotkami. A po drugie: czy jedziemy jutro na wiec.

– Ulotki trza rozwiesić – stwierdził Becker. – To nie podlega dyskusji. Skorom wziął, to wypełnię zobowiązanie. Pomożecie? – zapytał kolegów. – Przydałoby się, żeby ktoś stał na czatach, gdy będę je rozklejał.

– No pewnie! – odparł Karol. – Ja idę. A wy?

– Głupie pytanie! – prychnął Kuba.

Mirga bez namysłu przytaknął. Sasza chwilę się wahał.

– A przestaniecie mnie nazywać Ruskiem, jak pójdę?

– Przestaniemy.

– Dobra, to ja z wami.

– A jutro? – kontynuował Pawłowski.

– Mnie tam do szkoły nigdy nie było po drodze. – Tym razem to Bukano pierwszy się zdeklarował.

– Ja nie wiem. Mam jutro poprawę klasówki z fizyki. Stary mnie zabije, jak nie napiszę – zmartwił się Sasza.

– Chrzanić szkołę – stwierdził Curuś. – Człowieku, pokaż, że masz jaja i rzeczywiście zasługujesz, żeby się nazywać Polakiem!

Brywkin spojrział na niego wilkiem. Poprzysiągł sobie, że nie odpuści i przy pierwszej sposobności porachuje kości Jakubowi.

– Ja też nie wiem, czy zdołam się urwać – przyznał sprawca całego zamieszania. – Ale spróbuję.

– To co? O jedenastej na przystanku koło szkoły?

– Może być.

– Jasne! – potwierdził Mirga.

Chłopcy uścisnęli sobie ręce.

– Może i mnie się uda – powiedział Sasza po krótkiej chwili wahania. Nie chciał być wykluczony. Szybko przekalkulował, czy zdąży napisać klasówkę, a potem urwać się z następnej lekcji.

– Trza by jeszcze Gerardowi powiedzieć! Na pewno z nami pójdzie.

Wieczorne ciemności sprzyjały piątce konspiratorów przemykających chyłkiem po okolicy, aby

rozwiesić odezwy. Cudem uniknęli spotkania z patrolem milicji. Zdołali pozbyć się większości afiszy. Został im ostatni, który postanowili zawiesić na kiosku „Bambino” ustawionym przy bloku numer dziewiętnaście w osiedlu Na Stoku. Tam jednak spotkała ich niespodzianka. Ktoś już wcześniej przykleił do szyby plakat pochodzący chyba z innego źródła, lecz o zbliżonej treści. Ich afisze malowane były farbami, ten, który zobaczyli, napisano starannym pismem zbliżonym do technicznego, a wykonanym za pomocą czarnego tuszu.

– „Rodacy! Przykład Warszawy nie da nam dłużej czekać. Powstańmy i my, nie dajmy się dłużej prześladować. Chcemy wolnej Polski! Bądźmy Polakami! Niech żyje wolna Polska! Komitet Polski Niepodległej” – odczytał Karol.

– Tu jest błąd. Napisali „Polakami” małą literą. – Jakub pokazał palcem.

– Aha! I tekst inny niż u nas. Widać nie tylko my rozlepialiśmy dzisiaj ulotki – zauważył Jane.

Bukano poskrobał paznokciem po arkuszu.

– Klej jeszcze nie wysechł – stwierdził.

Nastolatkwie spojrzeli po sobie.

– Chłopak, gliny tu leżą! – ostrzegł ich stojący na straży Brywkin.

– Dobra, wiejemy.

– Chodu! Kuba, Jane! – zawołali szeptem kolegów, którzy trochę się guzdrali.

– Stać! Milicja Obywatelska! – Ciszę wieczoru przerwał gromki krzyk jednego z funkcjonariuszy.

– Szlag by to trafił! Wiejemy!

– Między bloki. Cicho! Trawnikiem – komenderował Karol.

– Tam, w bramę. – Bukano pokazał dłonią.

Szeleściły trącane krzaki. Przerazonym uciekinierom mocno waliły serca. Słyszeli za sobą w znacznej odległości tupot ciężkich buciorów. Widzieli błyski skierowanych w ich stronę latarek. Przedzierali się przez zarośla. Biegli po błocie, rozmokłym śniegu i przez kałuże. Karol, nie zwalniając, obejrzał się przez ramię. Milicjantów było dwóch.

– Na razie rozdzielamy się, bo inaczej ich nie zgubimy. Różnymi drogami pędzimy na boisko. Spotkamy się za godzinę przy dziurze w siatce – zarządził. – Jane, wywał klej i ostatnią ulotkę. Lepiej, żeby nic przy nas nie znaleźli w razie wpadki.

Każdy pobiegł w innym kierunku. Karol wciąż się za siebie oglądał. Widział, że milicjanci zatrzymali się przy arkuszu bielejącym w ciemnościach na błocie. Podnieśli go i skierowali nań światło latarek. To dało chłopakom czas na bezpieczną ucieczkę. Musieli jednak bardzo uważać, gdyż po mieście krążyło tego wieczoru zadziwiająco dużo patroli. Pawłowski omal nie wpadł na jeden z nich, gdy wybiegł z głębi osiedla wprost na chodnik *vis-à-vis* cmentarza w Mogile. Szybko skrył się w cieniu bramy, a następnie ukradkiem wycofał w zarośla.

Kurczę! Wywęszyli coś chyba – zmartwił się, ledwo zapiąc ze zmęczenia. Nagonił się dość, bowiem jako najszybszy z całej zgrai postanowił wystawić się na wabia, aby koledzy mogli spokojnie uciec. Teraz siedział w krzakach, obserwując dobrze oświetloną ulicę Igołomską. Musiał przez nią przebiec, aby dotrzeć do centrum. Tymczasem jak na złość w newralgicznym miejscu chodził patrol z owczarkiem niemieckim. O ile przed samymi milicjantami zdołałby uciec, gdyż był wysportowany, to z psem mógłby być kłopot. Wprawdzie bestia miała kaganiec, lecz w przypadku pościgu funkcjonariusze pewnie by go zdjęli.

Zerknął nerwowo na zegarek. Za dwadzieścia minut powinien wrócić do domu. Wcześniej jednak musiał spotkać się z chłopakami i sprawdzić, czy wszyscy zdołali wrócić. Przez chwilę rozmyślał, czy bezpieczniej byłoby przejść zaułkami kilkaset metrów dalej i tam spróbować przeciąć jasno oświetloną arterię, czy może lepiej ruszyć dziarskim krokiem do przejścia dla pieszych z nadzieją, że nie wzbudzi podejrzeń milicji. Miał spore szanse na to, że zostawią go w spokoju. Był sam, nie miał przy sobie nic trefnego. Spotkał inny patrol niż ten, przed którym uciekał. Tamci nie mieli psa, dlatego gdy już uznał, że ma dość zabawy w kotka i myszkę, z łatwością ich zgubił.

Mimo wszystko stwierdził, że nie podejmie ryzyka. Ostrożnie, by nie robić hałasu i nie zwrócić

uwagi owczarka niemieckiego, wycofał się w głąb zabudowań. Postanowił, że przejdzie osiedlami Młodości oraz Na Skarpie, a dopiero potem wyjdzie na główną ulicę. Jak postanowił, tak uczynił. Drżał z niepokoju, gdy mijał tyły kiosku, gdzie znaleźli przylepiony przez kogoś plakat. Już nie biegał przez trawniki i pomiędzy krzakami, lecz dziarsko maszerował chodnikiem. Jego oddech zdążył się uspokoić, a policzki ostygnąć. Teraz największym zmartwieniem było to, aby dotrzeć na boisko, a później do mieszkania.

Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Dokumenty do kontroli!

Zamarł, słysząc obcy głos. Powoli się odwrócił i stanął oko w oko z dwójką milicjantów. Serce waliło mu jak oszalałe, gdy sięgał do kieszeni po legitymację szkolną.

– Dokąd to kawaler wybiera się o tak późnej porze? – zagadnął drugi funkcjonariusz.

– Wracam do domu – odparł, siląc się na opanowanie emocji i jednocześnie przeklinając w duchu, że dopuścił, by tak go zaskoczyli.

– A skąd droga prowadzi?

– Byłem na Suchych Stawach. Graliśmy z chłopakami w piłkę.

Mężczyźni poświecili po nim latarką. Zatrzymali światło chwilę dłużej na solidnie ubłoconych sportowych butach.

– Ka-rol Paw-łow-ski – odczytał i odnotował jeden z nich. – Uczeń Technikum Hutniczo-Mechanicznego. Dobra, ptaszku, pod ścianę. Musimy sprawdzić, jakie skarby masz w kieszeniach – oznajmił.

Nim nastolatek zdążył pisnąć, przyparli go do muru. Poczuł na twarzy szorstkość ściany. Sprawne ręce obszukały go od góry do dołu.

– Odwróć się! – padł rozkaz.

Uścisk zelżał. Zatrzymany posłusznie stanął przodem do milicjanta. Ten poświecił mu latarką w oczy, a potem sprawdził wszystkie kieszenie, zajrzał pod sweter, obmacał go wzdłuż paska od spodni i pod pachami.

– Dobra. Nic nie ma. – Kiwnął głową do kolegi. – Co z nim robimy?

– Na dołek? – padła propozycja, od której Karolowi pociemniało w oczach. – Trza go nauczyć rozumu, żeby się więcej nie szwendał po nocy.

– Panowie, ja się nie szwendam. Grałem w piłkę. Trenuję w sekcji Hutnika.

Milicjanci spojrzeli po sobie. Jeden z nich wyciągnął zza paska pałkę i bez ostrzeżenia przyłożył Karolowi w okolicy pośladków. Chłopak jęknął z bólu.

– Naucz się, smarkaczu, że o tej porze uczniowie leżą pod pierzyną – usłyszał, gdy wymierzano mu kolejne ciosy.

*

Za oknem już dawno zapadły ciemności. Było dobrze po dwudziestej drugiej, a Karol wciąż przebywał poza domem. Jakiś czas temu Julia umówiła się z synem, że zawsze będzie wracał przed dziesiątą. Był wystarczająco odpowiedzialny i dorosły, aby mogła pozwolić mu na tak późne powroty od kolegów. Do tej pory jej nie zawiódł i nieczęsto korzystał z tej możliwości. Zwykle przychodził znacznie wcześniej.

– Coś musiało się wydarzyć – stwierdziła. – To niepodobne do niego.

– Rzeczywiście jest już bardzo późno – odparł zaniepokojony mąż.

– Słuchaj... A jeżeli on wdał się w jakieś sprawy związane z protestami? – zniżyła głos do szeptu.

– Ostatnio żywo interesował się polityką i gospodarką – przypomniała. – Wciąż wypytywał ciebie i Wieśka o różne sprawy.

Wawrzyniec myślał o tym samym co Julia.

– Od zainteresowania do czynów jest daleka droga – usiłował ją uspokoić. – Poza tym trudno oczekiwać, aby pozostawał bierny, skoro większa część naszej rodziny nie akceptuje ani władzy ludowej, ani tego, co dzieje się w kraju. Chłopak dość usłyszał na ten temat przez całe życie. Nasiąknął naszymi poglądami.

– I dobrze. Ale nim podejmie jakąkolwiek walkę, winien skończyć szkołę. Musi zdobyć wykształcenie, póki jest to możliwe. Jeżeli już teraz zacznie się wikłać w przepychanki z władzą, to wydalą go z liceum – wyraziła troskę.

– Nie martw się na zapas. Prawdopodobnie zapomniał o bożym świecie i do tej pory gra z chłopakami w piłkę. Wyjdę na pole i rozejrzę się za nim. Pójdę w stronę boiska. Już ja mu natrę uszu, jak go spotkam. – Pawłowski wolał na razie trochę zbagatelizować problem, aby uspokoić Julię. Wstał, odłożył na stół ostatni numer „Głosu Nowej Huty”.

– Uważaj na siebie – napomniała go jak zwykle.

– Oczywiście.

Spojrzała z wdzięcznością na męża, który podobnie jak ona martwił się o losy Karola. Była niezwykle wdzięczna Wawrzakowi, ponieważ przez jedenaście lat wspólnego życia nigdy w żaden sposób nie zdradził się przed chłopakiem, że nie jest jego rodzonym ojcem. Ten temat nie był poruszany w rozmowach z bliskimi, zresztą do tej pory Szymczakowie, Kulkowie i Pawłowscy woleli pomijać milczeniem wiele przykrych spraw. Szczególnie gdy w pobliżu przebywały dzieci. Największe sekrety zdecydowanie nie były przeznaczone dla ich uszu. Za rodziną ciągnęło się zbyt wiele mętnych historii. Po co rozdrapywać blizny w czasach, gdy ludzi wciąż dręczyły różne niepokoje?

Ku niezmiernej uldze Julki, kwadrans później na klatce schodowej rozległy się kroki, a po chwili do mieszkania wszedł mąż wraz z winowajcą.

– Przepraszam, zagadaliśmy się z chłopakami na boisku – powiedział Karol z nietęgą miną, nim zdążyła otworzyć usta, aby go obsztorcować.

Kobieta przeniosła wzrok na Wawrzka. Ten pokiwał głową.

– Spotkałem go, jak wracał z boiska. Był z nim Sasza. Miał przy sobie piłkę.

– Żeby mi to było ostatni raz! Jeszcze nie jesteś pełnoletni, a nawet gdybyś był, i tak nie upoważniałoby cię to do łamania zasad obowiązujących w domu – burknęła. – Kolacja, mycie zębów i marsz do spania – poleciła niepodobnym do niej ostrym tonem.

Choć tego nie okazała, tak naprawdę przepełniało ją szczęście, że syn wrócił cały i zdrowy. Mogło mu się przydarzyć, że nie spojrzał w porę na zegarek. Nie było powodu do krzyku.

Karol odszedł do łazienki.

– Kochanie, jesteś dla niego zbyt surowa. – Wawrzyniec stanął w obronie chłopaka.

– Nie. To wynika z troski. Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo się o niego martwiłam?

– Ja też się martwiłem i nawet zmyłem mu głowę z tego powodu. Ale z drugiej strony Karol jest już prawie dorosły. Za pół roku skończy osiemnaście lat. Zasługuje na dobrodziejstwo zaufania.

Julia spojrzała uważnie na męża.

– To miłe, że się za nim wstawiasz. – Jej twarz, do tej pory posępną, rozjaśnił uśmiech.

– To mój syn – odparł spokojnie Wawrzyniec. – Ja też się o niego troszczę. Ale uważam jednocześnie, że jest wystarczająco odpowiedzialny i rozsądny, aby traktować go jak dorosłego mężczyznę.

*

Karol z ulgą opuścił pokój dzienny. Jeszcze moment, a straciłby kamienną twarz, którą usilnie próbował zachować. Za nic w świecie nie chciał przyznawać się rodzicom, że milicjanci sprali go po tyłku. Dostał kilka razy gumową pałką. Na szczęście bili tylko w jedno miejsce, więc małe było prawdopodobieństwo, że ktoś coś zauważy.

Tylko jak tu teraz usiąść przy wspólnym stole? Jak wysiedzieć w czasie lekcji na twardej ławce?

Chętnie symulowałby jakąś chorobę, najlepiej przeziębienie. Mógłby wówczas zostać w łóżku, nikogo nie dziwiłaby zboląta mina. Za kilka dni obita część ciała przestanie doskwierać. Niestety nie mógł sobie pozwolić na to, by pójść na łatwiznę. Był umówiony z kolegami. Mieli urwać się po trzeciej lekcji – jak już Sasza napisze klasówkę z fizyki, a następnie jechać do Krakowa i wziąć udział w wiecu.

Umył starannie ręce i podreptał do kuchni. Na stole czekały na niego kanapki. Stojąc, zjadł kolację, potem wrócił do łazienki. Zdjął ubranie i zaczął się wyginać, aby obejrzeć swoje pośladki. Dostrzegł cztery ciemne pręgi, wokół których powstała opuchlizna. Już wiedział, że w najbliższym czasie siedzenie będzie bolało. W jego umyśle narastał bunt przeciwko władzy, która pozwalała, aby niewinny człowiek idący wieczorem ulicą dostawał lanie od milicjantów tylko za to, że coś im się nie spodobało.

Czy to normalne? Jak żyć w takim kraju?

Musiał koniecznie coś zrobić. Takich jak on – niezadowolonych – było mnóstwo. A czym więcej ludzi będzie wychodziło z protestami na ulice miast, tym więcej da to do myślenia partyjnym aparatczykom, ślepo wypełniającym polecenia Moskwy. I dlatego mimo bolącej dupy pójdzie wraz ze studentami i będzie wykrzykiwał hasła nawołujące do wprowadzenia zmian.

Poszperał w szafkach. Znalazł listek calcipiryny. Wątpił, czy to mu w czymś pomoże, ale łyknął dwa proszki. Pełen emocji wszedł do swojego pokoju – bez większej nadziei na wypoczynek. Nie mógł zasnąć, ponieważ wciąż urażał obolałe miejsce. Jakkolwiek się ułożył – było źle. Na brzuchu duszno i niewygodnie, na boku niewiele lepiej, gdyż doskwierały mu sińce. Jakby tego było mało, w głowie wciąż kotłowały się niespokojne myśli.

Na nowo przeżywał każdą chwilę minionego wieczoru. Najpierw wracały wspomnienia z konspiracyjnej bieżącej nowohuckimi osiedlami i rozlepiania ulotek. Znowu krążył tonącymi w mroku zaułkami, oglądając się nerwowo za siebie. Potem uciekał przed milicjantami. Spoglądał ukradkiem na patrol z psem i kalkulował, czy nie popełnił błędu, wybierając inną drogę. Może tamci nie byłiby tak agresywni? Czy pobiliby go na jasno oświetlonej ulicy, gdzie wciąż pojawiali się nieliczni piesi? Przecież pół godziny później te same ulice zaludniły się robotnikami opuszczającymi kombinat po drugiej zmianie.

Pocieszające było tylko to, że koledzy zdołali bez problemu dobiec na boisko. On miał najmniej szczęścia, ale mimo wszystko zajął tam, gdy milicjanci go puścili. I dobrze się stało, że nie uzgodnili innego miejsca na spotkanie, ponieważ nie musiał okłamywać ojca, gdy ten zapytał go, skąd wraca.

Zastanawiał się, czy nie powinien był jednak powiedzieć mu całej prawdy. Wszak milicjanci zdążyli zanotować jego dane personalne. A jeżeli zrobią z tego użytek? Powiadomią rodziców? Szkołę? Wprawdzie nie mieli wobec niego konkretnych zarzutów, ale kto ich tam wie, co zrobią?

Czy tato potępiłby go za rozlepianie afiszy? Wszak sam dość wyraźnie akcentował niezadowolony z władzy ludowej. Zajmował to samo stanowisko, co wujek Bronek i Janek, choć tamci dwaj byli bardziej zapalczywi w głoszeniu i obronie swoich racji.

Nad ranem zmorzył go sen na tyle mocny, że dopiero tarposzenie za ramię przywróciło go do przytomności.

– Karol, wstawaj, spóźnisz się do szkoły – usłyszał głos matki. – Za późno położyłeś się spać – utyskiwała dość spokojnie, bez gniewu. Chyba wybaczyła mu wieczorną eskapadę. – Przygotowałam ci kanapki.

– Dziękuję. Mamo... Przepraszam za wczoraj – powiedział, siląc się na spokój, gdyż doskwierał mu ból.

– Na przyszłość pomyśl o tym, że ktoś się o ciebie niepokoi – odparła. – No, pospiesz się – ponagliła go, widząc, że wciąż leży. – Dobrze się czujesz? Nie najlepiej wyglądasz.

– Wszystko w porządku. Już wstaję.

Usiadł na tapczanie. Bolało.

Na szczęście matka zdążyła opuścić pokój, spieszyła się do pracy.

*

W szkole wrzało jak w ulu. Uczniowie już wiedzieli o tym, że nocą rozklejono w dzielnicy plakaty zwołujące na wiec. Widać takich odważnych jak Jane i koledzy było znacznie więcej, gdyż na korytarzu padały również nazwy miejsc, w które nie dotarła piątka przyjaciół. Wiadomo też było o nocnych patrolach milicji i usuwaniu afiszy.

– Podobno złapali jakiegoś chłopaka. Miał przy sobie klej. Z miejsca został aresztowany – powiedział konspiracyjnie Sasza.

– A widzisz? Dobrze, że my zdążyliśmy się wszystkiego pozbyć. Do tej pory boli mnie dupa po spotkaniu z pałami, choć przy mnie niczego nie znaleźli.

– To za co dostałeś wpierdol? – zainteresował się Jane.

– Za szwendanie się po nocy.

– Bardzo boli?

– Daj spokój! – Poszkodowany machnął ręką. – Ani siedzieć, ani leżeć. Wziąłem tabletki, ale niewiele pomogło. Poleciałbym po szkole do ciotki Boguśki. Jest pielęgniarką, może coś by mi dała. Szkoda jednak gonić po proszki, kiedy trzeba jechać na wiec do Krakowa! – mówił konspiracyjnym szeptem, ale i z podekscytowaniem.

Rozmawiali najciszej jak tylko potrafili, gdyż tego dnia, choć lekcje dopiero miały się rozpocząć, na korytarzach dyżurowali chyba wszyscy obecni nauczyciele.

– Dobra, chłopaki, ja lecę do klasy – oznajmił Sasza. – Trzymajcie kciuki za moją fizykę.

– Jasne! Kopnąłbym cię na szczęście, ale koledze mogłoby się to źle skojarzyć – parsknął Bukano, zezując na Pawłowskiego.

– Uwaga, stary Sokół idzie! – syknął Jane i wskazał wzrokiem nadchodzącego dyrektora.

Po dzwonku uczniowie dowiedzieli się, że aktywiści Związku Młodzieży Socjalistycznej zaproszeni są na rozmowę z Sokołowskim[6]. Pozostali odbędą podobne pogadanki w klasach. Ich tematem mają być ostatnie zajęcia, w których uczestniczyli studenci. Dla młodzieży był to powód do zadowolenia, bowiem przepadały w ten sposób zajęcia. Grali więc na zwłokę, zadając mnóstwo pytań na temat ekscesów na terenie Warszawy: wybryków chuligańskich, jakich dopuściły się środowiska uniwersyteckie, oraz posunięć służby porządkowej.

Ku rozgoryczeniu Karola, Jane oraz wtajemniczonego we wszystko Gerarda, większość chłopaków uczęszczających do szkoły wyraziła poparcie dla tych ostatnich. Tylko nieliczni uczniowie podeszli do tematu z rezerwą, a zaledwie garstka próbowała dociekać, czemu w oficjalnych wiadomościach nie ma mowy o relegowaniu kilku studentów z Uniwersytetu Warszawskiego.

Kłopotliwe pytanie, na które ciężko było znaleźć odpowiedź.

*

Wcześniejsze opuszczenie szkoły okazało się niemożliwe do wykonania. Nauczyciele zostali uprzedzeni, że w Krakowie zaplanowany jest wiec studentów. W związku z tym dopilnowali, aby żaden uczeń nie wyszedł przed końcem wszystkich zajęć przewidzianych w planie lekcyjnym.

Koledzy wciąż szukali sposobu na ucieczkę, ale nawet wyskakiwanie przez okna uznali za marny pomysł, gdyż jak na złość wokół budynku również kręcili się belfrowie.

– Diabli nadali. Nie ma szansy, żebyśmy zdążyli na dwunastą – jęknął zrezygnowany Sasza.

– Pojedziemy po lekcjach – odparł Karol z wielkim zacięciem. – Ten mój obity tyłek nie może pójść na marne!

– Ale to będzie za późno. – Gerard kręcił głową.

– Wątpię, czy wiec tak szybko się zakończy. Studenci mają odczytać proklamację – informował Becker.

– Dobra, lepiej późno niż wcale – przyznał Jakub. – Widzimy się po lekcjach na przystanku.

Karol obliczał przez chwilę w myślach, ile czasu zajęłoby mu przebiegnięcie spod szkoły do ciotki na osiedle Wandy. Dość się nacierpiał przez kilka godzin siedzenia na twardej ławce. Wiercił się i co rusz zmieniał pozycję. Jego zachowanie przyciągało uwagę nauczycieli, którzy wywoływali go do odpowiedzi ustnych przed tablicą. To akurat mu nie przeszkadzało – gdy stał, dyskomfort był zdecydowanie mniejszy. A że dobrze pamiętał materiał z ostatnich lekcji, z żadnego przedmiotu nie dostał pały.

Tia... Pałę, a raczej pałą, to już zaliczyłem wczoraj.

Szybko porzucił myśl o szukaniu pomocy u Bogusi. Nie miał pojęcia, czy zastanie ją w domu, równie dobrze mogła być w pracy. Ponadto musiałby wspomnieć o tym, co mu się przydarzyło, i przekonać ją, aby nie mówiła o niczym jego rodzicom. No i wreszcie szkoda było czasu na gonienie po Hucie, skoro w Krakowie działy się takie ważne rzeczy!

*

– Szymczak, a co ty tutaj jeszcze robisz?

Leszek skończył swój dyżur na bramie. Miał wracać do domu, ale jego uwagę zwróciły autobusy przygotowane do wyjazdu. Rzecz niezwykła, bo ani to czas na koniec pracy, ani na wycieczki. Wokół nich kłębili się robotnicy. Każdy mężczyzna trzymał w dłoni kawałek kabla. Niektórzy bawili się, napinając go w rękach, inni siekli powietrze i nasłuchiwali wizgu. Kilka osób gestykulowało, zażarcie się o coś wyklócając. Niektórzy już wsiadali do pojazdów. Brygadzista sprawdzał listę obecności.

Zagadnięty odwrócił się i zobaczył jednego z partyjnych kolegów.

– Tak tylko patrzę, co się tutaj wyrabia. Jestem już po robocie. Miałem właśnie jechać do domu.

– No to pojedziesz, ale na razie z nami.

– A dokąd? – wyraził zdziwienie.

– Organizujemy wycieczkę do Krakowa.

– Ale jakże to: tak bez zapowiedzi?

– No właśnie ci ją zapowiadam. Nie gadaj, chodź. Pobierz kabelek, bo ci się przyda.

– Niby do czego?

– Mamy zlecenie do zrobienia na uniwerku. Smarkaczom we łbach się poprzewracało, więc trzeba ich nauczyć porządku – oznajmił kolega. – Niech się zajmą nauką!

– Czekał, czekał, bo czegoś tu nie rozumiem. Mamy ich tłuc?

– Nie zadawaj głupich pytań, czas nagli. Trza jechać, bez dyskusji!

– Mam prac dzieciaki kablem? – powołał pytanie. – Za co?

– Bo im się protestów zachciało! Chodź! – Pociągnął go za rękaw, lecz Leszek trwał w stuporze.

Przypomniał sobie, że wśród zaków może być Wiesiek.

A gdyby szło o jego syna? Przecież Kacper, Melek i Darek też kiedyś dorosną. Może któryś z nich pójdzie na studia. Może też weźmie udział w jakimś proteście. Jakże on by się czuł, gdyby jakiś kolega z pracy katował mu dziecko kablem?

– Mowy nie ma! Co ja jestem jakiś zomowiec? Nie podniosę ręki na młokosów!

– Nie podskakuj, Szymczak. Masz obowiązki wobec partii, do której należysz.

– A w dupie mam waszą partię – ryknął. – Występuję!

Takich jak on, którzy nie chcieli pastwić się nad młodzieżą, znalazła się spora grupa. Jeden po drugim protestowali przeciwko pacyfikowaniu studentów.

Dawno powinienem był to zrobić – pomyślał Szymczak. A najlepiej nigdy nie słuchać nalegań Kazi. Co ja, nie miałem wtedy swojego rozumu? Czyżem tego potrzebował? Tylko kwasy zrobiłem

w rodzinie. Broniek miał cholerną rację, jak mówił, że niczego partii nie zawdzięczam. Przeca to przez tych skurwysynów klepiemy teraz biedę, choć mogliśmy wszyscy spokojnie uprawiać rolę. To oni zabili mi brata, a mnie zrobili na tyle lat żywym trupem!

*

– Dobra, dotarliśmy, i co dalej? – zapytał Gerard, gdy całą zgrają wysiedli z tramwaju linii cztery na przystanku przy ulicy Lubicz. Zabrakło wśród nich Jakuba, którego nauczycielka języka polskiego zatrzymała po lekcjach w kozie. Nie mieli sprecyzowanego planu, choć całą drogę do Krakowa dyskutowali, dokąd najlepiej się skierować. W końcu uznali, że choć mogliby pojechać dalej, wysiądą przy Dworcu Głównym, a potem podejmą decyzję.

W centrum miasta roilo się od milicjantów i młodzieży. Nie brakowało także zwyczajnych przechodni, ludzi wracających z pracy, grupki robotników. Z oddali dobiegał zgiełk, wzmocnione megafonem okrzyki, wycie syren i klaksony. Ulicą przejeżdżała właśnie kolumna autobusów wypełnionych ludźmi.

– Jakaś wycieczka – stwierdził Jane.

– Ja! Tyż se znaleźli termin – huknął Gerard swym tubalnym głosem.

– Pewnie tak. No dobra, ale dokąd idziemy? Może trzeba było pojechać pod uniwersytet. – Karol przeszedł do rzeczy.

– Chyba na Rynek Główny, nie? – stwierdził Jane. – No bo pod Żaczka to już raczej za późno.

– Będzie ciężko, wszędzie pełno glin – zauważył Sasza.

– Damy radę. Pójdziemy bokiem, bo na Floriańską pewnie się nie dopchamy. – Pawłowski szybko podjął decyzję.

– No to pędzimy – zgodził się Bukano.

– Ja! Ku Rynkowi!

Ruszyli biegiem. Przecięli Planty i skręcili w ulicę Świętego Marka. Następnie w Świętego Krzyża i Mikołajską.

– Patrzta, chłopaki! Dym wonia! – Gerard wyciągnął rękę w stronę Rynku.

Rzeczywiście nad zabudowaniami unosiły się jasne kłęby. Z oddali dobiegał dziwny, drażniący zapach. Na ulicy, mimo że wcześniej nie padało, stały kałuże. Dobiegali do Rynku, gdy usłyszeli za sobą rwetes.

– Chodu do bramy! – krzyknął Karol, któremu wydał się dość dziwny widok nadciągającej znacznej grupy robotników ubranych w kraciaste koszule i drelichy. Ci ludzie zdecydowanie nie wyglądali na wycieczkowiczów. Każdy z nich trzymał w ręce kabel. Towarzyszyli im funkcjonariusze MO.

Ktoś dostrzegł ich ucieczkę, ponieważ zaraz usłyszeli za sobą tupot butów i nawoływania. Tuż za piątką nastolatków do klatki schodowej wbiegła grupka mężczyzn. Zaczęli ich ścigać po schodach. Karol, choć po wczorajszym spotkaniu z milicją wciąż był obolały, gnał pierwszy. Za nim lecieli pozostali. Stawkę zamykał Sasza i to właśnie jego dopadł pościg.

– Ty gówniarzu!

– Zaraz ci się odechce protestów!

– Złoimy ci dupę tak, że nie usiądziesz!

Jeden z mężczyzn złapał go za kołnierz kurtki i zwlókł na półpiętro. Na chłopaka posypały się razy kablem. Robotnicy tłukli bez opamiętania.

Nastolatki spojrzeli po sobie i bez słowa zaczęli zbiegać na odsiecz koledze.

– Pomocy! – krzyczeli, w nadziei, że mieszkańcy pomogą w uwolnieniu go z rąk oprawców. – Zostawcie go, on nic nie zrobił!

Gerard, najsilniejszy spośród nich, odważnie rzucił się na robotnika, który trzymał kolegę. Zdołał

mu wykręcić rękę. Bukano wykorzystał okazję i, niewiele myśląc, capnął zębami dłoń z kablem. Ukąszony mężczyzna zawył z bólu i wypuścił narzędzie przemocy. Chłopaki zyskały oręż, z którego zaraz skorzystał Jane.

Ktoś uchylił drzwi i wyrzła na korytarz.

Sasza kulił się w kącie, osłaniając głowę rękami. Jego ramiona i plecy raz po raz smagane były przez pozostałych robotników. Czerwone pręgi odcinały się od skóry na dłoniach. Krzyczał.

Karol zerknął na najbliższego człowieka, oceniając swoje szanse. Ten dorównywał mu wzrostem, lecz był mocniej rozrośnięty w ramionach. Niewiele myśląc, chłopak skoczył mu na plecy. Widząc to, Bukano uczeplił się jego ręki. Wspólnym wysiłkiem, wśród przeraźliwych krzyków bitygo Saszy, rozwścieczonych oprawców oraz własnych wrzasków zdołali pozbawić robotnika jego prostego, acz skutecznego oręża. Jakiś mieszkaniec kamienicy przyszedł im z pomocą. On też zdołał wyrwać kabel z ręki agresora. Za nim nadciągnęli następni, a wraz z nimi przyszły zaciekawione hałasem kobiety.

– Skurwysyny! Dzieci bijecie? – krzyczał zapalczywy mężczyzna w sile wieku, wywijając kablem ile wlezie.

W kilka minut robotnicy zostali obezwładnieni.

– A cóż oni wam zawinili? Własnych synów też tak lejecie? – zapytał leciwy pan, wspierający się o laskę. – Coście są, hitlerowcy? Gestapo?

– Te gnojki powinny się uczyć, a nie latać po mieście i pluć na władzę!

– Opamiętajcie się, ludzie! Co to za władza, co katuje niewinne dzieciaki?

Po krótkiej pyskówce robotnicy, poszturchiwani przez mieszkańców kamieniczki, odeszli do swoich.

Starsza pani, zapewne żona człowieka z laską, podeszła do Saszy.

– Pokaż no się, synku. Bardzo cię pobili?

Podniósł głowę. Na policzku miał krwawą pręgę. Z jego oczu płynęły łzy, lecz szybko wytarł je dłońmi posiekanymi przez kabel. W kilku miejscach skóra pękła i z ran sączyła się krew.

– Chodź, chłopcze. – Kobieta pogłaskała go po głowie. – Trzeba to opatryć. Nie powinniście teraz gonić po ulicach – zwróciła się do całej, zdenerwowanej i wystraszonej gromadki. – Zapraszam do nas. Ugotuję wam kakao, mam też świeże pierniki. Poczekacie, aż minie najgorsze, i wróćcie do domów. Na mieście nie macie czego szukać. Ormowcy i milicjanci biją waszych kolegów. Mają armatki wodne i gaz łzawiący. A teraz sprowadzili jeszcze robotników – dodała z goryczą.

– Szcują ojców na dzieci – wtrącił jakiś mężczyzna.

– Jeżeli tam pójdziecie, to absolutnie nic nie zdołacie osiągnąć, a jedynie spuszczać wam tęgie lanie.

*

– Gdzieżeś ty się znowu podziewał! – Julia załamała rękę, widząc syna wchodzącego do mieszkania.

Właściwie nie musiała pytać, domyślała się odpowiedzi. Wszak wychowywali z Wawrzyńcem potomstwo w tych samych tradycjach i wartościach, których oni zostali nauczeni przez rodziców.

– Byłem w Krakowie, mam – powiedział, odważnie spoglądając jej w oczy.

Dobrze wiedział, że nie dostanie połajanki, choć kilka dni wcześniej matka dość oględnie przestrzegła go, aby uważał na siebie w tych trudnych dniach. Widać doświadczenie życiowe podpowiedziało jej już wcześniej, że wydarzenia z Warszawy mogą przenieść się na obszar całego kraju.

Ludzie byli udręczeni przez władzę i jej stróżów bezprawia, jak określano czasami Służbę Bezpieczeństwa. Niewiele potrzebowali, aby wyjść na ulicę i zademonstrować swój gniew. Pragnęli normalnego, spokojnego życia.

Kobieta popatrzyła na córki bawiące się na dywanie. Właściwie mogłaby już odesłać je do łóżek,

ale wcześniej pozwoliła im, aby dokończyły grę w skoczki. Położyła palec na ustach i pokiwała głową do syna. Razem poszli do jego pokoju.

– Co tam się wydarzyło? W radio na razie o niczym nie mówią, ale ty coś wiesz, prawda? Wszak nie wydrukowali studentom ich rezolucji. Sprawdzalam rano w „Trybunie Ludu”. Byłeś na Rynku? – wypytywała gorączkowym szeptem.

– Nie udało nam się dotrzeć na wiec. Za późno przyjechaliśmy do Krakowa. Pilnowali nas w szkole, żebyśmy nie zwiiali na wagary.

– I dobrze, że nie zdołaliście uciec, bo narobiłbyś sobie biedy. Musisz zdać maturę, żeby mieć jakieś perspektywy na przyszłość. Walkę z władzą trzeba podejmować ostrożnie. A wykształcenie daje przewagę. Inteligent ma szersze horyzonty.

– Tak, wiem. Dlatego nie próbowałem uciekać – rozminął się nieco z prawdą.

– Co widziałeś w Krakowie?

– Niewiele. Jak żeśmy tam z chłopakami dotarli, było już za późno. Na dodatek dopadli nas robotnicy z kombinatu i spuścili lanie Saszy.

Szczegółowo opowiedział matce o tym, co im się przydarzyło. W zdenerwowaniu raz po raz pocierał policzek dłonią.

Julia zaraz złapała go za rękę, na której wyraźnie odcinała się czerwona pręga.

– Tobie też się dostało?

– Eee tam. Dzisiaj tylko tyle. – Wzruszył ramionami.

– Dzisiaj? To znaczy, że już wcześniej ktoś cię pobił?

– Wczoraj złapał mnie patrol milicji. Przyłożyli mi pałką po tyłku.

– Za co? Co ty zmalowałeś? I dlaczegoś od razu nie powiedział?

– Za nic. Nie spodobało im się, że wracam do domu tak późno. Postanowili nauczyć mnie dyscypliny. A i gadać nie było o czym. Nie chciałem cię bardziej denerwować – wyznał – bo i tak się o mnie martwiłaś.

– Co za dranie! – zawrzała oburzeniem.

Nie miała podstaw, aby podważać prawdomówność syna. Gdyby miał cokolwiek na sumieniu, na pewno nie przyznałby się do tego, że oberwał.

– Sama widzisz, mamo, że tak dalej być nie może. Ja serio nic nie zrobiłem. Po prostu szedłem. A oni mnie wylegitymowali, a potem pouczyli na swój sposób.

– Biedaku – westchnęła. – Bardzo cierpisz? Może powinien to ktoś obejrzeć?

– Nie trzeba – odparł szybko, ponieważ nie uśmiechało mu się przed nikim opuszczać spodni. – Nic mi nie jest. Przecież byłem w szkole, a potem w Krakowie.

W tych wszystkich emocjach ból odszedł z zapomnienie.

– No dobrze, a co z tym? – Wskazała jego dłoń.

– To – potarł delikatnie pręgę – zaliczyłem, gdyśmy wyrwali kabel z ręki tego draba, który tłukł Saszę. Z małą pomocą daliśmy radę kilku dorosłym chłopom. – Wypiął dumnie pierś.

– Ale jesteś pewny, że to nasi robotnicy?

– Zdecydowanie. Byli ubrani w drelichy i koszule z flaneli. Na dodatek jeden z nich wydał mi się znajomy. Na pewno mieszka gdzieś w pobliżu. No i jeszcze te autobusy!

Julia pokręciła głową z niedowierzaniem.

– O matuchno! Do czego to doszło, aby robotnicy stawali przeciwko dzieciakom! Że ormowcy lub milicja, to zrozumiałe. Gdyśmy walczyli o krzyż, wysłano przeciw nam oddziały zomowców. Ale żeby szczuć robotników? Z tego, co mówisz, wygląda mi to na zorganizowaną akcję – westchnęła.

– Bo tak było. Razem z robotnikami szli mundurowi, wydawali im rozkazy. Słyszeliśmy, jak kazali nas sprać na kwaśne jabłko. Ale myśmy się nie dali.

– A co było potem? – dociekała.

– Noo... potem to przeczekałszy najgorsze u jakichś starszych państwa. Opowiadali nam różne ciekawe rzeczy o historii. A raczej o tym, o czym się nie mówi na lekcjach. Jak to nas Anglicy i Amerykanie sprzedali Ruskim po wojnie, bo woleli pomóc Niemcom w odbudowie ich kraju –

powiedział z goryczą. – I o tysiącach oficerów, którzy zniknęli w tajemniczych okolicznościach wywiezieni w głąb Rosji. Mamo, dlaczego nikt nigdy nie mówił nam o Katyniu? – zadał retoryczne pytanie, gdyż z góry znał odpowiedź.

Julia spojrzała nań ze smutkiem.

– Bóg jeden wie, ile jeszcze kłamstw i niedopowiedzeń znajduje się w podręcznikach historii. Co działo się w mieście?

– Ci starsi państwo mówili, że milicjanci rozganiali studentów. Mieli armatki wodne i gaz łzawiący. Rzucali petardami i tłukli wszystkich wokół. Wnuk tego starszego pana, u którego znaleźliśmy schronienie, też tam był przez jakiś czas. Znaczący na wiecu. A jak zaczęli ich rozganiać, to niechcący odłączył się od grupy. Reszta studentów pognęła na uniwersytet. A gliny za nimi. Ci, co uciekali, wyzywali ich od gestapowców i faszystów. Dostali za to wciry. Oberwali też przypadkowi przechodnie. Tyle się dowiedziałem.

– A nie wiesz, co z Wieśkiem?

– Niestety. – Pokręcił głową. – Ale pewnie ma się dobrze. Jeśli tylko doleciał do Collegium Novum, to uratował tyłek przed kablem i pałami. Ponoć rektor został zapewniony, że milicja nie będzie wkraczać na teren uczelni.

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Ciocia Zosia byłaby zdruzgotana. Nie mogłabym jej spojrzeć w oczy – wyraziła dręczące ją obawy.

Karol wiedział, że matka bardzo kocha swoją chrzestną. Nie raz opowiadała, że gdy jeszcze mieszkała w Pawlicach, to często do niej jeździła z wizytami. Szczególnie tuż przed wyjazdem do miasta. Piastowała wtedy nowo narodzonego Wiesia. Bardzo się ucieszyła na wieść o tym, że chłopak będzie studiował w Krakowie. Od razu obiecała pomoc. Często dawała mu jeść lub robiła dla niego przepierki. On, choć był kuzynem, z racji znacznej różnicy wieku nazywał ją i jej rodzeństwo odpowiednio: ciociami i wujkami.

– Pomodł się za niego. A ty przygotuj się na jutro do szkoły. Wiem, że jest późno, ale musisz odrobić lekcje – powiedziała zasadniczym tonem. – Nauczyciele na pewno będą je sprawdzać wyjątkowo gorliwie, aby zobaczyć, komu zabrakło czasu na naukę, bo zajmowały go inne sprawy. – Puściła oko do syna i dodała łagodniej: – Zaraz przyniosę ci kolację.

– A gdzie tato? – zainteresował się chłopak.

– Dzwonił z biura, że wróci bardzo późno. Mają jakieś posiedzenie, zapewne w związku z zajęciami w Krakowie. Nie mógł się wymigać – usprawiedliwiła męża, widząc grymas na twarzy Karola.

– Tak, mamo. Ja to rozumiem. Czasami musi udawać, że interesują go te bzdury, które aktywiści wygadują na masówkach.

Julka poczochnęła go po czuprynie.

– Mądry chłopak z ciebie. Sam widzisz, że z władzą mającą się wszelkich draństw wobec narodu, któremu winna służyć, należy walczyć rozsądnie i podstępnie.

Z twarzy Karola zniknął grymas zniechęcenia.

Jakże mógł choć przez chwilę zwątpić w ojca, który był jego największym autorytetem?

*

Wiesiek przywłókł się do Pawłowskich dopiero kilka dni później. Wciąż jeszcze posiniaczony i mocno przygnębiony. Julia poczęstowała go niedzielnym obiadem.

– Ależ nam urządzili pralnię – opowiadał, pałaszując rosół, który podetknęła mu życzliwie gospodyni. – Dasz wiarę, cioteczko, że milicjanci wpadli na uniwersytet? Wszystko w środku zdemolowali. Rektor krzyczał, aby nie niszczyli mienia, ale ci robili swoje. Ścigali nas po korytarzach i salach. Oczy nam chciało wyżreć od gazu łzawiącego. A jak któregoś dopadli, to walili pałami ile wlezie. Nie patrzyli,

czy to dziewczyna czy chłopak. Tłukli nas też robotnicy i nie wiem, co gorsze: uderzenia twardą pałą czy chłaśnięcia kablem, które przecinają skórę do mięsa. Ależ mi tylek obili!

– Dobry Boże! – westchnęła Julka. – Czy to nigdy się nie skończy? Ta cała przemoc, prześladowania, parada nienawiści...

– Obawiam się, że nic się nie zmieni tak długo, jak długo u władzy pozostaną komuchy – stwierdził Wawrzyniec. – Mają w sobie mnóstwo zaciekłości, by zwalczać każdy przejaw dążeń do obalenia ich rządów. Prawdę mówiąc, widzę to w coraz ciemniejszych barwach. Trzeba chyba wojny, żeby coś się zmieniło.

– Wypluj te słowa, Wawrzus! Mało było nieszczęścia, jak nas Szwaby i Ruscy katowali podczas okupacji? Mało dusz przepuścili przez kominy w obozach koncentracyjnych? Mało sowieci wymordowali? Nigdy więcej nie można dopuścić, by powtórzyło się takie bestialstwo!

– Spokojnie, kochana. – Pawłowski pogłodził ją po ramieniu. Miał zrozumienie dla panicznego strachu żony przed wojną. On za okupacji też odcierpiał swoje, a jego kuzynów Niemcy zagazowali w komorach Auschwitz. – Nikt o tym nie zapomni. Nigdy! Właśnie po to trzeba zabierać dzieci na te mało przyjemne wycieczki do obozów zagłady, by pamięć o bestialstwie przetrwała i pobudzała wyobraźnię. Ale wracając do rzeczy, opowiadaj, Wiesku, co dalej.

– Ano kiepsko – westchnął zmartwiony Kalita.

Odłożył łyżkę na boki przeczesał bitelsowską fryzurę.

– Spuścili mi takie lanie, że do tej pory nie mogę usiąść na tyłku ani się przeciągnąć bez bólu. Zwinęli mnie na komisariat, gdzie najpierw dostałem po ryju, a dopiero potem mnie spisali. A jak poszedłem na wykłady, to się okazało, że już nie figuruję na liście.

– Ojej! – zmartwiła się Julka. – I co teraz będzie?

– Nie mam pojęcia. – Kalita podniósł wzrok i spojrzał na krewnych. – Tyle pracy na darmo! Półtora roku nauki. Szkoda mi tego wszystkiego. Matula będzie zawiedziona. Taka była dumna, że dochowała się pierwszego studenta w rodzinie.

Karol poklepał go po plecach.

– Spróbuj na innej uczelni. Przecież nie możesz zmarnować swojego osiągnięcia.

– Gdzie mnie teraz przyjmą? – martwił się relegowany.

– Poczekaj trochę, aż emocje opadną – poradził mu Wawrzyniec. – Na razie w prasie huczy od komentarzy.

– Kłamliwych! – zaperzył się młody buntownik. – Takich jak ja wyzywają od chuliganów! Wypisują jakieś bzdury, które w ogóle nie odzwierciedlają rzeczywistości! Dopiero teraz wielu z nas uświadomiło sobie, czym naprawdę jest dyktatura i komunizm. Do tej pory mieliśmy o tym raczej mgliste pojęcie.

– No tak. Gdy mieszkańcy Nowej Huty walczyli w obronie krzyża, wyście jeszcze byli dziećmi. No... może nie dziećmi, ale nastolatkami. Nas też wtedy nazywano chuliganami i fanatykami religijnymi.

– Tak, to prawda, niewielu z nas o tym pamięta – stwierdził Wiesiek. – Ja żem tego w ogóle nie widział. Co najgorsze, ludzie chyba uwierzyli bredniom z gazet, bo nikt nas nie poparł: ani Kościół, ani robotnicy. Nawet Wojtyła namawiał nas do wyciszenia emocji, choć słyszałem później, że stawał w naszej obronie. Z kombinatu udało nam się pociągnąć jedynie garstkę młodych. Planowaliśmy kolejny wiec, tym razem przed kinem Świt, ale nie wyszło. Nie udało się także doprowadzić do strajku hutników.

– Wiem. W zakładzie wszelkie próby organizowania protestów są duszone w zarodku. Jak tylko ktoś namaluje hasła nawołujące do buntu albo popierające demonstrujących studentów, to zaraz są one usuwane. Ludzie przyłapani na kolportowaniu ulotek zostają ukarani. W tym czasie, gdy ktoś smarował w Zakładzie Koksochemicznym napisy „popieramy studentów” oraz „popieramy klub Babel”, odbywało się zebranie, na którym robotnicy przyjęli rezolucję potępiającą wasze *wybryki* – cynicznie zaakcentował ostatni wyraz. – Z grupy liczącej około trzystu osób wyłamał się zaledwie jeden inżynier, Andrzej Gembik chyba się nazywał. Tak, Gembik. Miałem kiedyś przyjemność podyskutować z tym stażystą. Bystry z niego chłopak. Prócz Andrzeja zaprotestowało jeszcze czterech robotników i kilkunastu

chłopaków z AGH-u, którzy odbywają u nas praktyki. Ale z drugiej strony ludzie mają świadomość, że biliście się w słusznej sprawie. Jeden sortowacz wprost mówił o tym, że walczyliście przecież również o ich byt.

– Czyli robotnicy dobrze wiedzą, co w trawie piszczy.

– Wiedzą. Od czego jest Radio Wolna Europa? – Pawłowski zniżył głos do szeptu i zerknął z ukosa na córki, lecz one zajęte były kotletami schabowymi, które Julia cudem wystąpiła w kolejce, i nie interesowały się nudnymi dyskusjami dorosłych.

– Bronek mi mówił – wtrąciła Julia – że takich hasel i ulotek pojawia się bardzo dużo. Prawie nigdy nie udaje się wykryć, kto maluje po murach. Wiem jednak, że tuż po zamieszkach w Krakowie złapano w kombinacie dwóch robotników, którzy zdążyli wyręczyć na murze słowo „Popieramy”. Było z nimi spore zamieszanie. Wszystko dotarło do działu personalnego, bo tym biedakom groziło zwolnienie dyscyplinarne. Na szczęście nie zdążyli skończyć swojego napisu, a potem tak się wykręcili, że właściwie nie wiadomo, czy to miało być poparcie dla władzy czy dla protestu – zaśmiała się gospodyni. – Choć wszyscy wiedzą, że poparcia dla władzy nie akcentuje się w taki sposób.

– A my też protestujemy – wtrąciła nagle Zosia ku zaskoczeniu dorosłych. Byli bowiem przekonani, że dziewczynki szepeczą na drugim końcu stołu o swoich sprawach.

– A przeciw czemu protestują takie małe sroki, hę? – zapytał brat.

– Bo nie chcemy się uczyć języka rosyjskiego, o! W jednej szkole chłopcy zrobili nawet ulotki, na których to napisali. To i inne rzeczy. Ich dyro je znalazł i wezwał milicję.

– Matko Przenajświętsza! – Julka załamała ręce. – Milicję do dzieciaków ze szkoły? Chyba że do licealistów! Karol, wiesz coś o tym?

Chłopak pokręcił głową, natomiast Zosia była znacznie lepiej obeznana z tematem.

– To było w dziewięćdziesiątce na Kalinowym – oznajmiła i, widząc ich zdziwione miny, dodała: – No co? Usłyszałam o tym przez przypadek, jak mnie pani od biologii wysłała po dziennik do pokoju nauczycielskiego.

– I oczywiście podsłuchiwałaś – stwierdził ojciec.

– Ależ skądże! Po prostu stałam. To nie moja wina, że tak głośno o tym gadali. A że tatko mnie dobrze wychował, to nigdy, przenigdy nie wtrącam się w rozmowy dorosłych, ale za to zawsze uważnie słucham tego, co mają do powiedzenia. – Puściła oko do ojca.

[4] Fragment pieśni *Marsz Polonii (Pieśń Polaków)* – powstałej w Ameryce w XIX w.

[5] Mieczysław Marian Klimaszewski 1908–1995 – polski geograf i geomorfolog, działacz państwowy, w latach 1964–1972 rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

[6] Dr inż. Ryszard Sokołowski – dyrektor Zespołu Szkół Mechanicznych nr 3 w Krakowie w latach: 1962–1971.



Kontuzje serc

Tego roku imieniny Bogusi wypadły w czwartek zaraz po Wielkanocy. Solenizantka zaprosiła więc bliskich na niedzielne popołudnie, aby przy wspólnym stole uczcić przyjemną okazję.

Do Szymczaków w komplecie przybyła cała nowohucka rodzina, przyjechali także goście z Krakowa: ciotka Luiza wraz z synem Pawłem i synową Rozalią. W mieszkaniu na osiedlu Wandy zrobiło się tłoczno i hałaśliwie jak chyba nigdy wcześniej, bowiem już dawno nie udało im się zebrać w aż tak licznym gronie. Często wypadło tak, że i przy Dniu Pańskim należało zakasać rękawy i pójść a to do pracy, a to na czyn społeczny.

Dopisała nawet młodzież, czyli Wiesław i Karol, choć ostatnio rzadko można było liczyć na ich obecność. Ot, młodość! – ta zawsze rządzi się swoimi prawami.

Odkąd Kalita zamieszkał w Nowej Hucie, młody Pawłowski z dzieciaka awansował na dorosłego i sadzano go przy jednym stole z wujkami i ciotkami, a nie jak do tej pory wśród kuzynostwa. Nareszcie mógł uczestniczyć w dyskusjach, słuchać dwuznacznych dowcipów i nikt nie traktował go jak pętaka, którego może być widać, lecz broń Boże słyhać.

Oczywiście Zośka boczyła się o to, że starszy brat cieszy się takimi względami. Na szczęście zaraz pocieszyła się towarzystwem Ewy, i teraz we dwie chichotały w jednym kącie mniejszego pokoju, a w drugim Danusia, Marta i Agnieszka niańczyły swoje lalki. Chłopcy od wujka Leszka i Paweł próbowali zaczepiać to starsze, to młodsze kuzynki, a Ludwik ze znudzoną miną usiłował im to udaremnić, niechętnie wyciągając z różnych schowków samochód i blaszane pistolety z odpustu.

Tymczasem w większym pokoju trwała w najlepsze biesiada, wzmocniona do wyboru: kieliszeczkami wódki lub domową nalewką z wiśni. Lekko podchmielony Janek palił papierosa za papierosem, co jakiś czas pokaszując. Jak zawsze humor go nie opuszczał, gdy sypał kawałami jak z rękawa.

– Przychodzi staruszka do urzędu. Nagle widzi na ścianie ogromny portret Stalina – prawil wyciszonym głosem, korzystając z okazji, że najmniej lubiana szwagierka poszła do łazienki. O to, że go nie usłyszy, był spokojny, gdyż w pokoju grała dość głośno muzyka. – „Ale się ten Piłsudzki postarzał”, wzdycha kobiecina. „Obywatelko, to nie żaden Piłsudzki. To marszałek Stalin, czyli największy dobroczyńca naszego kraju”, objaśnia urzędnik. „A co takiego on zrobił?” „Jak to, nie wiecie? Toć on wypędził z Polski Szwabów i nas wyzwolił”. „Ło Jezusie – zapiszczał przeciągle Janek, naśladując głos starej kobiety – a dajże mu w łaskawości swojej wszystko co najlepsze i spraw, żeby tak jeszcze ten Stalin zechciał wywalić stąd Rusków”.

Nagrodzono go gromkim śmiechem.

– A coś ty taki kwaśny dzisiaj, Bronku? – zagadnął przyjaciela, łapiąc go za kark, ponieważ zauważył, że ten ledwo uniósł w górę kąciki ust.

– A bo mi nie do śmiechu. O matulę się martwię – oznajmił.

– No właśnie: co tam w Pawlicach? – zagadnęła Julka, która tego roku nie dotarła na święta do rodzinnego domu. Zresztą prócz najstarszego brata z rodziną nikt więcej nie pojechał, bo każdego coś zatrzymało w Nowej Hucie.

– Niby wszystko dobrze: po staremu i bez większych zmian, ale matuś nigdy nie chce obarczać nas swoimi strapieniami, tłumacząc, że mamy dosyć własnych.

W międzyczasie do pokoju wróciła Kazia. Próbowała zagadywać o ten wybuch śmiechu, który usłyszała przed momentem, lecz Szymczakowie i krewni zajęci już byli poważniejszą sprawą.

– Ano, w listach nigdy nie pisze o tym, że coś ją gryzie – potwierdziła najmłodsza z rodzeństwa.

– A jak zdrowie szanownej mamusi? – zapytała Luiza.

– No widzisz, cioteczko, to ono właśnie najbardziej mnie martwi. Bidulka od lat niedomaga. Choć rzadko się skarży, wszyscy wiemy, że często bołą ją plecy. Kiedyś robiła prześwietlenie i lekarz stwierdził, że coś tam ma poprzestawiane, ale lepiej tego nie ruszać. Wiadomo: kręgosłup, a z tym nie ma żartów. Jakby zaczął ktoś przy nim majstrować, to mógłby więcej zaszkodzić niż ulżyć.

– Mama ostatnio bardzo często łyka proszki przeciwbólowe. Jak byliśmy w domu na Wszystkich Świętych i na Boże Narodzenie, to zawsze miała w kieszeni podomki słoiczek z pastylkami – wtrąciła Krystyna, zaciągając się papierosem.

– Ja też zauważyłam, że nie rozstaje się z pigułkami – westchnęła Julka.

Kulkowa obrzuciła siostrę uważnym spojrzeniem. Pomyślała, że koniecznie musi zapytać o to, jakiego specyfiku używa do twarzy. Julia, choć niewiele młodsza, wciąż miała ładną, świetlistą cerę. Krysia, mimo że słono płaciła za zagraniczne kosmetyki dostępne u prywatnych handlar, wyglądała o wiele gorzej: miała poszarzałą skórę mocno zwiotczałą pod oczami, a w okolicy ust i na czole bezlitosny czas wyłobiał bruzdy. Powątpiewała, czy świeży wygląd siostry jest zasługą kremu Nivea, który przy odrobinie szczęścia był jednym z nielicznych produktów możliwych do zakupienia w drogerii. Stawiała raczej na to, że sekret urody siostry tkwi w jakimś zagranicznym cudzie, zapewne francuskim, sprowadzonym wprost z Tuluzy za bajońskie sumy przez kolegę Wawrzyńca.

– Babcia kiedyś mi powiedziała, że wciąż łupie ją w kościach.

– No, a zwróciłyście uwagę, jak bardzo ostatnio się pochyliła? Przecież bidusia w ogóle nie może wyprostować pleców! – powiedział zafrasowany Broniek.

– Oj tak... Zgarbiło się matczyisko. – Krystyna pokiwała głową.

Tylko Leszek nic nie miał do powiedzenia w tej sprawie, gdyż matkę widział zaledwie raz, tuż po przebudzeniu, gdy odwiedziła go w klasztorze. Przyjechała wtedy na krótko do Nowej Huty. Stan zdrowia nie pozwolił mu na wyjazd do domu rodzinnego w Boże Narodzenie, a na Wielkanoc nie mógł się wyrwać, gdyż dopiero co najął się do pracy i nie było mowy o tym, aby dostał choć jeden wolny dzień wypadający poza grafiką.

– Ja to sobie myślę – powiedziała solenizantka – żeby mateczka przyjechała tutaj. Pogadam z ordynatorem, czyby nie wziął jej na kilka dni do szpitala. Zrobiłoby się badania, może lekarze zaradziliby coś na te plecy. Przecież medycyna wciąż robi postępy. Skoro wykonywane są przeszczepy nerek, to czemu nie dałoby się poprawić kręgosłupa? Wszak taka nerka to o wiele delikatniejszy narząd niż kość.

– Ryzykowne – westchnęła sceptycznie Kazimiera.

– Nikt nie mówi o tym, aby od razu ją operować. Przede wszystkim badania, a potem zobaczymy – mówiła żywiołowo Bogusia. – Nie martwcie się o nic. Dopilnuję, by trafiła w dobre ręce. Tyle lat jestem w Żeromskim, że znam chyba wszystkich lekarzy. Z każdym zagadam. A jak zajdzie potrzeba, to i podyżuruję przy mamie albo polecę ją szczególnie uważnej i troskliwej opiece koleżanek.

– Jesteś aniołem – ucieszyła się Julka. – W takim razie trza słać telegram do Pawlic, żeby mama jak najszybciej tutaj przyjechała.

– Ja bym nie pisał telegramu – stwierdził Bronek, sięgając po flaszkę. – Jeszcze się mama wystraszy, że znowu spadło na nas jakieś nieszczęście. Poza tym Bogusia musi załatwić miejsce na oddziale.

– Jutro pogadam z ordynatorem – obiecała. – A potem napiszemy list do domu.

– Może Dorcia przyjedzie z mamą? W razie czego wezmę ją do siebie – zadeklarowała Julka, która jako jedyna dysponowała przestronnym mieszkaniem.

– Dobrze by jej to zrobiło – ucieszył się brat – bo i ona jakoś mi ostatnio zmarkotniała.

– Wesoła nigdy nie była – przypomniał Leszek.

– No tak, ale teraz jest wyjątkowo osowiała – oświadczył gospodarz i rozlał wódkę do osuszonych kieliszków.

– Mnie już nie polewaj. – Krysia położyła dłoń na swoim. Od lat unikała alkoholu. Zazwyczaj zadawała się jedną porcją jakiejś nalewki lub wina. – Ja to sobie myślę, że matkę i Dorotę najlepiej byłoby ściągnąć na stałe do Huty. W mieście miałyby zdecydowanie lepiej. Tutaj wszystko jest na miejscu: i lekarz, i sklepy, i od biedy nawet kościół w Mogile. W piecu nie trzeba palić, woda płynie z kranu, a i nie ma takiej roboty i ciągłych obowiązków jak w obejściu. Bo tam to kury nakarm, to gęsi wyskub, to siano wysusz, to płot popraw... – wyliczała. – Przecież i tak nigdy nie odzyskamy ojcowizny, więc po co mają tam siedzieć w zimnie oraz braku wygod?

– Ta... Już widzę Dorotę w mieście. – Kazia jak zwykle była sceptyczna. Tym razem z miejsca znalazła sprzymierzeńców w postaci najstarszego szwagra i Julki.

– A bo to nie rozmawiałem z nią na ten temat?

– Ona nigdy w życiu nie poszłaby między obcych. Wiesz przecież, Krysiu, jak unika nieznajomych. Wstydzi się biedactwo swoich blizn i, jak twierdzi, nie chciałaby się z nich tłumaczyć przed ludźmi. Tutaj mogliby ją wytykać palcami, a tam ma święty spokój i pracę, którą lubi wykonywać.

– Mama tym bardziej nie zgodzi się na przeprowadzkę. Zawsze powtarzała, że starych drzew się nie przesadza. No, to zdrowie naszej matuli! Niech jej pomogą nowohucy lekarze. – Bronek wznosił toast.

– Słyszałem, że zarząd huty nie chce sprzedawać stali na budowę kościoła. – Janek podrzucił nieco kąśliwie nowy temat do rozmowy.

– Ano nie chce – odparł spokojnie Wawrzyniec, przyzwyczajony do prowokacji ze strony szwagra. – Albo nie tyle nie chce, co mu nie wolno. Naczelnym może by i sprzedał, ale mu zabronili ważniacy z góry. Ani skrawka drutu nie puszcza.

– Uparte łajzy.

– Żebyś wiedział. Tu i kardynał Wojtyła nie pomoże ze swoim sprytem i dyplomacją.

– A ma on to czas, aby kłócić się o stal na budowę? – zapytała Krysia. – Na pewno nie narzeka na brak zajęć.

– Klecha zajęty jest modlitwą – wtrąciła cynicznie Kazimiera. – Nic mu do budowy.

– I tu się mylisz, Kaziu, bo kardynał Wojtyła to największy orędownik naszej sprawy. Za jego zasługą ruszyliśmy z miejsca. I to on wbił pierwszą łopatę, by zacząć wykopy pod fundamenty. Czternastego października sześćdziesiątego siódmego roku. Historyczna data, warto ją zapamiętać. Dwadzieścia lat po tym, jak Stalin umyślił sobie miasto bez Boga, wywinęliśmy mu numer i rozpoczęliśmy wznoszenie świątyni – odparł z dumą Wawrzyniec. – Nasze wnuki będą się o tym uczyć na lekcjach historii.

– O tak, i o tym, jak własną krwią okupiliśmy walkę o kościół – poparł go najstarszy szwagier.

– Szkoda tylko – westchnęła Julka – że zabrali nam pierwotną lokalizację. Tam byłoby dogodniej, bo zawsze to bliżej centrum. Wyrzucili nas na peryferie.

– Ważne, że w ogóle zaczęliśmy roboty – odparł rezolutnie Bronek.

– Otóż to. A my i tak ciągle rozbudowujemy dzielnicę. Poczekaj jeszcze parę lat, a zobaczysz, że kościół z każdej strony otoczmy nowoczesnymi osiedlami. Jeszcze się może okazać, że tam będzie centrum! – stwierdził zapalczywie Kulka.

– Też prawda – przyznał mu rację Bronek. – Przeca jak żeśmy zaczęli wznoszenie pierwszych

domów, to wokół była dzicz i pustkowie. Wydawało się, że to właśnie nasze osiedle będzie stanowiło centrum nowego miasta.

– A pamiętasz, Bronku, jakieś bili rekordy w układaniu cegieł? Jaki był z ciebie stachanowiec?

– Ano pamiętam. Nie sposób zapomnieć, jak nam wtedy skwarzyło. Ale daliśmy radę – zaśmiał się. – I dlatego teraz mamy wszyscy gdzie mieszkać. A ty pamiętasz jeszcze Piotrka Ożańskiego?

– No... To ten, co mu podrzucili rozgrzaną cegłę.

– Właśnie on. Nie wiesz, co tam u niego słychać? Nic nie gadają chłopaki na budowie?

– Ponoć robi na kombinacie. Nie spotkałeś go gdzieś tam? – wyraził zdziwienie.

– Nie pytałbym przecież ciebie, gdybym tam go zobaczył. No i jakże wypatrzysz kogoś w tym tłumie ludzi? A wiesz chociaż, na jakim jest wydziale?

– Obiło mi się o uszy, że kieruje brygadą w koksowni.

Bronek pokręcił głową.

– Nikogo tam nie znam.

Przy stole zapadła chwila ciszy.

– Cioteczko, przemyślałaś już moją propozycję? – zagadnął Wiesiek, trącony lekko czubkiem buta przez Wawrzka i zmobilizowany porozumiewawczym spojrzeniem.

Wszyscy wiedzieli, że od dawna młody mężczyzna namawia ją przy cichym, lecz nader aktywnym poparciu bliskich, aby ochrzciła Darka. Czas był ku temu najwyższy, gdyż chłopak skończył dziesięć lat. On i jego starsi bracia mogliby przystąpić do pierwszej komunii wraz z innymi dziećmi, choć siłą rzeczy już nie ze swoimi rocznikami.

Najbliższa rodzina szybko zauważyła, że do smągłego młodziana mają słabość wszyscy, łącznie z Kaźmierką, która zawsze uchodziła za niewzruszoną. Postanowiono więc wykorzystać tę sympatię do wyższych celów.

– Taki żeś jest uparty – zaśmiała się – jak oślisko.

– Mogę nawet zarzeć, jeśli cię to uszczęśliwi, cioteczko. Tylko zgódź się na chrzciny Darka i puść chłopaków do komunii. Ja będę za chrzestnego, ciocia Julka za chrzestną. A i wyprawimy bal przy tej okazji – zapewnił. – I rzucimy chłopakowi jakiegoś kopernika w prezencie.

Kazia jak zwykle przy takich okazjach zaczęła robić uniki, że nie ma potrzeby i na co komu takie zabobony. Nagle jednak wmieszał się we wszystko Leszek.

– Będą chrzciny końcem sierpnia – oświadczył z niepodobną do niego stanowczością. – A od września cała trójka zacznie chodzić na religię i szykować się do komunii. Mówię to jako ojciec dzieci i ta decyzja jest nieodwołalna.

Oczy wszystkich zgromadzonych skierowały się na niego. Przyprawił całą rodzinę o ogromne zdumienie, bowiem wszyscy pamiętali, że zawsze potulnie przytakiwał we wszystkim swej połowicy i nigdy nie miał własnego zdania na żaden temat. Janek aż zagwizdał z uznania dla tej niesubordynacji.

– Trzymam cię za słowo, wujek – oznajmił Wiesław. Reszta biesiadników przezornie wołała milczeć, aby nie sprowokować Kazi do jazgotu i wyrzekania, że to ich sprawka.

Matka trzech królewiątek z miejsca poczerwieniała na twarzy. Zdawać się mogło, że wybuchnie gniewem, lecz roztropny kandydat na chrzestnego szybko zaczął pleść, co mu ślina na język przyniosła, i cieszyć się, że dostąpi takiego zaszczytu.

Zaraz też Janek przytomnie zmienił temat i jał wypytywać Karola o postępy piłkarskie. Doszedł bowiem do wniosku, że nie pozwoli, aby swary między małżonkami popsuły przyjęcie Bogusi. Niech Leszek i Kaźmierka między sobą wyjaśnią tę sprawę – najlepiej w domowym zaciszu.

W tej samej chwili radio zaczęło nadawać ubiegłoroczny przebój.

– Zróbże trochę głośniej, szwagierku kochany – poprosił Kulka i zanucił Młynarskiemu do wtóru: – „Jesteś na wczasach w tych góralskich lasach, / w propieniach słonecznych opalapy się. / Orkiestra przygryfa sykocznego béguine’a, / to nie twoja fina, sze podryfam cię”[7].

– Ejże! To nie tak leci, seplenisz, wuju, jak pijany – zaprotestował ze śmiechem Wiesiek, na co Janek zaśmiał się przekornie.

– A posłuchajże ty, chłopie, uważnie, jak Młynarski to śpiewa – rzucił, a następnie pociągnął

kolejną zwrotkę: – „A panna Krysia, panna Krysia / z panem Mietkiem, co się tuż przed chwilą przysiadł / przemierzała wzdłuż i wszerz parkietu przestrzeń, / ale nigdy nie spojrzała ku orkiestrze, / skąd basisty rozmarzony wzrok / śledził wciąż jej każdy gest i krok”. Toć to moja ulubiona piosenka! Płyte nawet kupiłem, żeby sobie słuchać. Bo te panny Krysie to tak już mają, że coś w nich jest – powiedział, spoglądając czule na swą połowicę.

– A propos wakacji... Dokąd wybieracie się tego roku? – zagadnął Broniek gości.

– Jedziemy na wczasy, w te góralskie lasy – małowiał Kulka, rozbawiając towarzystwo zgromadzone przy stole. – W tym roku Zakopane. Już mi się chce oscypka!

– Zostajemy w Hucie – bąknęła Kaźmierka. – Leszek nie dostanie wolnego, bo za krótko pracuje. Dzieciaki pojedą na kolonie, a my w tym czasie zrobimy remont w ich pokoju. Wzięliśmy się za malowanie – dodała z zadowoleniem.

– To też kiedyś trzeba zrobić – stwierdziła Bogusia. – U nas także przydałoby się odświeżyć ściany.

– Nie jest tak źle. – Kazia zerknęła na boki. – A wy co planujecie? – zwróciła się do Julki i Wawrzka.

– My w tym roku zaszalejemy. Zabieram moje kobiety do Słonecznego Brzegu w Bułgarii. Już złożyłem wnioski o wkładki paszportowe.

– No proszę! A jakże zdobyłeś wczasy? – zainteresował się Paweł.

– Normalnie. Kupiłem w Orbisie.

– E... No to się szarpnąłeś, szwagier. – Broniek poklepał go po plecach. – A ty, Karol, nie jedziesz? – zdziwił się.

– Nie tym razem – odparł bez żalu. – Byłem tam rok temu na koloniach. Wolę jechać z chłopakami na obóz szkoleniowy. Trzeba szlifować formę na jesień. A nuż tym razem zakwalifikuję się do drużyny Hutnika?

– Powodzenia. To co, nici z rodzinnego wyjazdu?

– Ano nici. Razem pojedziemy tylko do Auschwitz, i to nie wszyscy, tylko we dwóch. Tato nalega, abyśmy zwiedzili niemiecki obóz zagłady.

– Słusznie. Lekcja historii każdemu się przyda – pochwalił tę decyzję Wiesław. – Byłeś tam już może z wycieczką szkolną?

– No właśnie nie miałem okazji. Teraz nadrobię zaległość.

– Przygotuj się na duży wstrząs – poradził chłopakowi. – Bo choć wszystkim wiadomo, że Niemcy zamęczyli tam na wiele okrutnych sposobów grubo ponad milion ludzi, to dopiero obecność na miejscu daje prawdziwy obraz rozmiaru tragedii. Ja po powrocie z fabryki śmierci przez kilka dni nie mogłem dojść do siebie. Ani jeść, ani spać, ani skupić się na niczym innym. Wciąż miałem przed oczami komory gazowe, hałdy włosów, butów i innych przedmiotów. Makabra!

– „Ludzie ludziom zgotowali ten los” – zacytował Wawrzyniec Nałkowską. – A ty, Wiesław, co teraz zamierzasz porabiać? – zagadnął młodego mężczyznę, aby radykalnie zmienić temat i rozładować atmosferę powagi, jaka nagle zapanowała przy stole.

– Nie mam pojęcia. Szkoda mi zaliczonych trzech semestrów, chciałbym się dalej uczyć. Na AGH już nie mam powrotu, na UJ też mnie raczej nie przyjmą – ocenił realnie swoje szanse. – Chciałem się kształcić w kierunku typowo technicznym. Na inżyniera. Może pójde na Politechnikę?

– Dobry wybór, zwłaszcza że w Nowej Hucie jest Wydział Mechaniczny. Gdyby cię to zainteresowało, miałbyś uczelnię niemalże na miejscu. Może nawet załatwiłbyś sobie miejsce w domu akademickim? Wolalbyś pewnie z młodzieżą, a nie kątem u obcych.

– Pewnie, że bym wolał, choć u Heńka przyjemnie się żyje. Dzieci małych nie ma, z psem można się pobawić. Ale zawsze lepiej byłoby zleźć człowiekowi z głowy. – Rozciągnął usta w uśmiechu. – Tylko czy daliby akademik zaocznemu?

– Może by i dali. A jak nie dadzą, to siedź u Kojderka. Heniek sam mówił, że dobrze, jak mu wpadnie choć parę groszy – wtrącił Broniek.

– Warto było ryzykować wywalenie z uczelni dla kilku dni zamieszania? – zapytała uszczypliwie

Kazimiera, zadowolona, że choć tak może mu dopiec za mieszanie się w nie swoje sprawy.

Wiesław spojrział na nią z ukosa. Była jedyną nowohucką „ciotką”, której nie był w stanie polubić, choć stawał na głowie, aby tego nie okazywać.

– Oczywiście. My, studenci, pokazaliśmy dobitnie, że nie podoba nam się panujący w państwie ustrój – mówił gorączkowym szeptem, a oni nachylali głowy, by go lepiej słyszeć. – I że wbrew temu, co wypisują w gazetach, nie ma rozdźwięku między studentami a klasą robotniczą. Mamy te same cele i dążenia! Na razie nas pokonali, ale nie pokonają następnym razem. Nie spoczniemy, póki nie wyzwolimy Polski spod radzieckich wpływów.

– Brawo, młody! – Kulka wzniósł w górę kieliszek. – Twoje zdrowie.

– Zdrowie studentów! – poparł go Wawrzek.

– Zdrowie próbowali nam podkopać, ale my się nie damy – skwitował Wiesiek.

– Sabinko, poczęstuj się sałatką. – Pani domu, by ostudzić trochę zapal biesiadników, postanowiła zwrócić ich uwagę na stół zastawiony półmiskami. – A może dzieciaczki coś zjedzą? – zapytała ogólnie wszystkich dorosłych.

Sabina w milczeniu nałożyła sobie niedużą porcję. Jak zwykle przy takich okazjach siedziała cicho niczym mysz pod miotłą, zastanawiając się, po jakie лихо znowu przyniosło ją do Szymczaków. Wszak męża nie było już osiem długich lat. Cóż łączyło ją z tymi ludźmi prócz nazwiska i krwi, która płynęła w żyłach jej dzieci? Właściwie utrzymywała kontakt z rodziną głównie z tego powodu. Andrzej na pewno życzyłby sobie, aby Danka i Paweł nie utracili więzi z jego rodziną.

– Ach, Bogusiu! Takie to wszystko pyszne! Jak pięknie podane! Tak z gustem, dekoracyjnie. Aż oczy chcą jeść! Napracowałaś się, Kochaniutka! – Luiza z wyrazem głębokiego zadowolenia nałożyła sobie sałatkę oraz wędlinę. Całość okrasila korniszonkiem i grzybkami domowej roboty.

– Mąż i Agnieszka bardzo mi pomogli – odparła gospodyni, kraśniejąc z zadowolenia.

– Ach, Broniś! Trafił ci się skarb! Prawdziwy skarb – wyraziła podziw ciotka. – W ogóle muszę przyznać, że te wszystkie chłopaczyska z waszej rodziny to są takie, że ach i och! Niezgarsze z was czarodzieje. – Puściła oko do szarmanckiego Wiesia, który przez cały wieczór dbał o jej pełny kieliszek, podawał pieczywo, półmisek z wędliną lub sernik z rodzynkami. – No i dzieciaki też wam ładne wyrastają. Karol to już taki kawaler, że ho ho! Tylko patrzeć, jak zacznie się rozglądać za pannami. No jak, młody człowieku? Czy już „serduszko puka w rytmie cza-cza / miłości szuka w rytmie cza-cza”[8]? – Puściła do niego oko.

– Nie, ciociu. Na razie jest tylko: „Hej, za rok matura”[9] – roześmiał się chłopak.

*

Strach przed najgorszym nie opuszczał Sabiny ani na krok. Przez minione lata człowiek z czerwoną twarzą pojawiał się regularnie. Czasami zaczepiał ją na ulicy. Zwykle był z kolegą. Gdy spotykała ich w mieście, wciągali ją do jakiejś bramy, gdzie zasłaniali jej usta dłonią. Esbek przypominał swoje pogrożki. Przy tej okazji zaliczała kilka szturchnięć i uszczyptnięć w drażliwe miejsca.

Nic więc dziwnego, że gdy szła chodnikiem, oglądała się trwożliwie na boki. Wciąż przestrzegała dzieciaki, aby nie rozmawiały z nieznanymi, a gdyby ktoś je zagadywał, miały krzyczeć co tchu w płucach, najlepiej zaś szybko uciekać. Powtarzała im historie o czarnej wóldze jeżdżącej ulicami miasta, do której uprowadzano ludzi. Żałowała, że nie może pilnować Pawła i Danusi non stop, ale musiała przecież zarabiać na utrzymanie.

Kilka tygodni po śmierci Andrzeja została wezwana do dyrekcji teatru. Kończył jej się urlop macierzyński. Krystyna Skuszanka z przykrością powiadomiła ją o konieczności zakończenia współpracy, nie podając przy tym konkretnego powodu. Zdruzgotana wdowa nawet nie próbowała protestować lub bronić swojej racji. Przyjęła wiadomość z rezygnacją, nie zastanawiając się nawet nad tym, co dalej pocznie – sama jedna, z dwójką dzieci do wykarmienia.

Odczuwała zadziwiającą obojętność i coś na kształt ulgi, bowiem nie wyobrażała sobie, że miałyby wychodzić na scenę, nawet do grania ról epizodycznych. Serce wciąż rozdzierał ból po utracie męża. Nie potrafiła panować nad emocjami, zdarzało jej się wybuchać niekontrolowanym płaczem. Marna byłaby z niej wówczas aktorka. Sama zastanawiała się nad tym, czy nie poprosić Skuszanek o przeniesienie za kulisy – do garderoby albo, o ironio, sprzedaży biletów, lecz ta uprzedziła jej zamiary.

Dopiero gdy Sabina opuściła gmach Teatru Ludowego, zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak, bowiem nagle zastąpił jej drogę znajomy esbek. Tym razem przyszedł bez współpracownika, więc obyło się bez kuksańców i innych nieprzyjemności.

– Macie tutaj adres baru mlecznego. – Wcisnął jej w dłoń kartkę z jakimiś gryzmołami. – Pójdziecie tam zaraz i najmiecie się do pracy. I tak żadna z was aktorka, a bachory trzeba jakoś wyżywić. Żeby nie było gadania, że władza ludowa nie dba o sieroty! W barze powiecie, żeście wdowa, więc nikt się nie będzie dziwił, jak będziecie becząć w talerz z zupą. Ino pamiętajcie, coby nie chlapać ozorem na lewo i prawo, bo mam was ciągle na oku.

Cóż miała zrobić? Poszła we wskazane miejsce. Bez ceregieli dostała umowę o pracę, nylonowy czepek i dwa białe chałaty. Od następnego tygodnia miała zająć się wydawaniem posiłków i sprzątaniami sali barowej.

Odtąd życie Sabiny uległo nieznacznej poprawie. Przestała ją męczyć troska o to, z kim zostawić dzieciaki, ponieważ pracowała za dnia, a wieczory miała wolne. Danusia trafiła do żłobka, Paweł do przedszkola, a ona musiała odnaleźć się w nowej rzeczywistości, jakże różnej od występów na scenie. Już nie było owacji na stojąco i oklasków ani kwiatów rzucanych pod stopy. Teraz należało znosić nieprzyjemnych gości baru, wysłuchiwać utyskiwań na niedomyte naczynia, niedosolone lub pieprzne posiłki, zbyt zimne zupy. Zamiast tańczyć, deklamować wiersze czy wcielać się w postaci z dramatów, podawała talerze, wycierała stoły, szorowała podłogi, a czasem godzinami zmywała brudne gary. Prócz wynagrodzenia miała dodatkową korzyść w postaci obiadów, które zabierała w menażkach do domu. Mogła więc tanim kosztem wyżywić rodzinę, a zaoszczędzone pieniądze przeznaczyć na ubrania lub buty dla dzieci.

Jednym z wielu minusów, jakie niosła za sobą praca, były nieustanne zaczepki ze strony mężczyzn. Początkowo opędzała się ile wlezie od namolnych absztyfikantów, zła jak osa, że jej życie nie dają. Z biegiem czasu przestała reagować, zbywając adoratorów jakimś dosadnym słówkiem. Czas mijał, rana w sercu z wolna się zasklepiiała, choć nie dało się zapomnieć o tragicznie zmarłym mężu, gdyż nie pozwalali na to nieznanymi z nazwiska esbek o wiecznie czerwonej twarzy oraz krewni Andrzeja.

Przychodziły chwile, gdy Sabina myślała, że właściwie dobrze byłoby związać się z jakimś miłym mężczyzną, który zastąpiłby ojca jej dzieciom. Zdarzyło się nawet, że poszła kilka razy na randkę, wymieniła z kimś parę całusów i uścisków. A potem znowu pojawiał się jej prześladowca i nieszczęsna kobieta w popłochu uciniała dobrze rokującą znajomość, dusiła kiełkujące uczucie i wracała w kokon samotności. Bała się bowiem, że może ściągnąć nieszczęście na siebie, dzieci i niewinnego człowieka.

Czuję się tak, jakbym była zadżumiona – wzdychała, ocierając łzy napływające do jej wielkich, sarnich oczu.

Ostatnio znowu oglądała się za siebie z trwogą. Gnębiciel nie dręczył jej od dłuższego czasu, mogła więc w każdej chwili spodziewać się bądź to *przyjacielskiej* wizyty, bądź napaści w cieniu bramy.

*

Piękna majowa pogoda zachęcała do spacerów. Mieszkańcy Nowej Huty skwapliwie korzystali z uroków sprzyjającej aury, uciekając ze swoich ciasnych, przeludnionych klitek. Julia szczególnie upodobała sobie park Ratuszowy, który mimo upływu lat był jej ulubionym miejscem. Jeden zakątek, tuż obok pomnika, przywoływał szczególnie miłe wspomnienia.

– Widzisz, Martusia? – Pokazała córce postument z czymś, co budziło skojarzenia

z futurystyczną rybą. – To tutaj tatko poprosił mnie o rękę. Pamiętam, że wtedy była równie piękna pogoda – westchnęła rozmarzona.

To były bardzo dobre lata. Mimo wszystko. Mimo nieszczęść, które dotknęły moją rodzinę. Gdybym dzisiaj mogła spotkać tamtą Julię – pełną wątpliwości i lęku, powiedziałabym jej, aby bez obaw przyjęła oświadczyzny Wawrzyńca. Nasze małżeństwo, nasze dzieci, nasza rodzina – to najlepsze, co spotkało mnie w całym życiu.

Z zadumy wyrwała ją starsza córka.

– Mamo, możesz dać nam kredę? – zapytała.

– Oczywiście, kochanie – odparła, grzebiąc po torebce za zawiniątkiem.

Dziewczynki zajęły się rysowaniem na chodniku kwadratów i półokręgu, miały bowiem zamiar grać w klasy. Widząc, że grzecznie się bawią, Julia wyjęła z torebki powieść Stanisławy Fleszarowej-Muskat *Pozwólcie nam krzyżeć* i szybko zagłębiła się w lekturze.

Od czasu do czasu pomiędzy Martą a Zochą dochodziło do drobnych utarczek. Czasami któraś dziewczynka „skuła się”, nadeptując linię. Przez większość czasu skakały dość zgodnie.

– Julcia! Cześć! Widzę, że ciebie też przyгнаło do parku.

Tym razem od lektury oderwał ją znajomy głos. Podniosła oczy i uśmiechnęła się szeroko. Obok ławki stała Józia ze swoim synkiem.

– O! Cześć. Usiądziesz ze mną?

– No jasne! – Kobieta klapnęła na ławkę. – Ależ tutaj przyjemnie – odetchnęła. – Marcinku, idź się bawić, tylko pamiętaj, żebyś mi nie wylatywał w stronę ulicy – napomniała syna, który już rwał się do tego, by zagrać z kolegami w piłkę. – Bo pojedzie czarna wołga i cię porwie!

– Nie strasz chłopca – odezwała się Julka. – Przecież czarna wołga jest niegroźna dla dzieci.

– Może tak, może nie. Lepiej uważać. Niejednego już wciągnęli do samochodu i wywieźli Bóg raczy wiedzieć dokąd.

– No jak to: gdzie. Na dołek – skwitowała Julka. – Bezpieka lubi zapraszać niepokornych obywateli na intymne pogawędki lub pobyt w *sanatorium*.

– Ano prawda. Więc sama widzisz, że lepiej od małego uczyć dzieciaka, na co winien uważać.

– Może i masz rację – westchnęła. – Uważać trzeba na wszystkich, takie czasy.

– No! Człowiek nawet nie jest pewny, czy sprzątaczką w biurze go nie szpieguje. Można wpaść w paranoję!

– A wiesz, Józiu, że niejedno obilo mi się o uszy na ten temat? Zanim wróciłam do pracy po urodzeniu Martusi, Wawrzek wspominał, że było niezłe zamieszanie, gdyż sprzątaczką szpiegowała na zlecenie bezpieki. Interesowali ją szczególnie dyrektorzy. Grzebała im po koszach na śmieci i biurkach.

– O właśnie. Też o tym słyszałam. Zresztą była jedna taka, którą wszyscy uważali za mocno podejrzaną. Pamiętam ją dobrze, bo jak się przyjmowała do sprzątania, to ja zakładałam jej teczkę z dokumentami. I zdziwiło mnie wtedy, że kobieta po szkole handlowej najmuje się do miotły. No jakież sens, skoro bez problemu mogłaby dostać pracę w sklepie? I to może nawet jako kierowniczka?

– Ano dziwne. Moja siostra też sprzedaje w sklepie, choć się nie uczyła zawodu. Jak szukała zajęcia, to ją tylko zapytali, czy potrafi rachować. Najpierw ją dali do wykładania towaru na półki, a potem na kasę. Krysia nie raz mówiła, że potrzebują ludzi do roboty, więc takie, co są po szkole, na pewno mają pierwszeństwo.

– O to to! No więc wyobraź sobie, że ta kobieta nie dość, że była kształcona, to jeszcze miała chłopca z Ameryki. Wcale się z tym nie kryła! On ponoć był dość nadziany i często wyjeżdżał. Niczego im nie brakowało. Powiedz mi, czy ktoś taki musi robić jako sprzątaczką?

– Raczej nie.

– No właśnie. Na piętrze, gdzie sprzątała, ktoś dwa razy włamał się do biurek z dokumentami – informowała szeptem Józka, rozglądając się na boki.

– O tym akurat wiem, bo jedno z tych biurek stało w gabinecie przylegającym do pokoju Wawrzka – odparła Julka. – Mąż był święcie przekonany, że to ona szpieguje. Nawet jak wracałam do pracy, to mnie ostrzegał, abym bardzo uważała na to, z kim i o czym rozmawiam, a już szczególnie, gdy

w pobliżu są sprzątaczkę.

– A pamiętasz Aniołę[10]? – zagadnęła Józia.

– No, ba! Ponoć miał powiedzieć kiedyś o Ruskich: „Zaraza ta jeszcze żyje i dziwi mnie, że Ameryka jeszcze się nie zabrała do nich”. Ktoś podsłuchał jego słowa i puścił je w eter.

– A ja słyszałam, że to nie Anioła mówił, tylko jego teść.

– Być może. Mnie o tym wspomniał ktoś, kto słucha Wolnej Europy – odparła oględnie. Wołała nie mówić, że chodzi o Bronka. – Ci z rządu chyba byli na niego zawzięci, bo wykorzystali pierwszą okazję, aby go utracić.

– Szpiegowali każdy jego krok. Sam czort pewnie nie wie, ilu *informatorów* siedzi w biurach kombinatu.

– Żeby tylko w biurach. Oni są wszędzie – stwierdziła Pawłowska i zamilkła, gdyż alejką zbliżał się człowiek, który za sam wygląd wzbudzał nieufność.

Zerknęła na córki. Gra rozkręciła się w najlepsze.

*

Od kilku tygodni Wiesiek niemalże nie zaglądał na boisko. Bożena wiedziała, że podjął pracę w dziale produkcji Zakładów Tytoniowych. Chodził tam na zmiany. A kiedy mógł, dorabiał jako kelner w Arkadii. Jesienią zamierzał podjąć studia zaoczne. Gdy go wypytywała, czemu tak rzadko się spotykają, powiedział, że nie ma czasu. Ale ona już tam swoje wiedziała. Zauważyła, jak spoglądał na jedną z jej koleżanek – Tośkę Sobczyk. Wzroku nie mógł od niej oderwać i coś tam próbował zagadywać, ale Tośka akurat należała do niedotykańskich pannic, które nie umawiają się na randki ani nawet nie chodzą na fajfy. Nigdy nie spotkała jej na żadnej prywatce. Pojawiała się tylko na boisku, gdzie grywała z innymi dziewczętami w siatkówkę.

Czekaj, czekaj, przyjacielu! – Wzgardzona amantka spoglądała z zazdrością na kolegę. *U niej i tak nic nie wychodzisz, a ja ci pokażę, ile straciłeś! Mogłeś mieć wszystko, nie dostaniesz nic. Przynajmniej na razie. Jeszcze będziesz błagał, by do mnie wrócić!*

Kilka dni wcześniej Zygmunt ostatecznie ją rozdziewiczył. Nic nie boleło, nawet krew nie popłynęła. Pewnie straciła cnotę wcześniej, gdy wkładał w nią palce, więc zastąpienie dłoni męskością stanowiło kwestię formalną. Nie mogła dłużej się opierać, bo wciąż ją judził, dawał prezenty i w gruncie rzeczy było jej z nim dobrze, choć bez uczuć. Dla uczucia wołałaby zrobić to z Wieśkiem. Bukano, Karol czy Jane już dawno przestali ją obchodzić, co jej tam takie dzieciuchy! Wprawdzie Mirga wciąż pisał do niej przepiękne, romantyczne listy, lecz ona miała go za nic.

Zakochała się w Kalicie, ale nie na zabój, jak dziewczyny, o których czytała w romansach, bo to byłoby głupie. Zakochała się w nim tak, że mogłaby na przykład wyjść za niego za męża. I kochać się z nim, kiedy tylko by zechciał. Bo na pewno byłoby fajnie – tak uważała, choć do tej pory nie mieli okazji, aby to zrobić. Wiesław zawsze mówił, że ją szanuje, choć lubił pomiętosić jej piersi albo włożyć dłoń pod spódnice.

A teraz gapił się na Tośkę! Też coś!

Za wszelką cenę musiała ponownie zwrócić na siebie jego uwagę. To nie powinno być trudne: lato i obowiązująca moda na mini sprzyjały planom kuszenia chłopców. Żadna dziewczyna z Nowej Huty nie mogła się pochwalić posiadaniem równie ładnych sukienek. Dobrze było mieć mamę, która nie żałuje pieniędzy na fatalaszki.

Zygmuntowi też zawdzięczała to i owo. Spotykała się z nim w tajemnicy przed matką. O związane z tym kłopoty nie żywiła obaw. Gruca zawsze używał zagranicznych prezerwatyw, twierdząc, że są one absolutnie niezawodne. Zresztą przez ładnych parę lat zaglądał do jej matki i też nic się nie przydarzyło. Nadal przychodził do ich mieszkania na osiedlu Zgody, aby sobie pofolgować z doświadczoną kobietą. Później te doświadczenia przekazywał w sekrecie jej córce i, jak twierdził, trafił

na wyjątkowo pojętną uczennicę. Widziała, że bawi go ta cała konspiracja, ale chyba rozumiał powody, dla których Bożena wolała udawać przed matką świętszą, niż była w rzeczywistości.

Zygmunta zdecydowanie nie mogła wykorzystać do swoich celów. Nie chciała pokazywać się w mieście z mężczyzną starszym o kilkanaście lat. Nie знаła jego dokładnego wieku, był jednym z najmłodszych kochanków matki. Kiedyś powiedział, że kręca go zarówno takie siksy jak Bożena, jak i dojrzałe kobiety, które potrafią sprawić przyjemność. O Celinie mówił z szacunkiem. Nigdy nie określał dosadnie jej profesji, traktował ją jak koleżankę. Zresztą matka otaczała się wyłącznie takimi mężczyznami.

Niestety, dojrzały przyjaciel zdecydowanie nie nadawał się do tego, aby wzbudzać zazdrość w młodym studencie.

To musiał być któryś z kolegów Kality. A jeszcze najlepiej taki, który byłby z nim na tyle blisko, aby powiedzieć mu, jaką fajną poderwał dziewczynę. I że Bożena jest chodzącym ideałem. Wszystko, byle tylko Wieśka skręciło z zazdrości. Na pewno wtedy zechce odzyskać utracone dobro i do niej wróci.

Kto pozostawał? Na boisko przychodziło wielu chłopaków, lecz ona zwracała szczególną uwagę na dwóch: Bukana oraz Jane. Od biedy mógłby być jeszcze Karol, ponieważ fajnie całował. Gerard nie podobał jej się ani trochę – był zbyt nieokrzesany. Kuba za drobny, a Sasza odpadał, ponieważ nie lubiła Rusków. Podczas wojny zrobili krzywdę jej babci. Wnuczce nie chciała o tym nigdy mówić, ale po wielu latach Bożena zrozumiała sens użytego przez nią słowa „pohańbić”.

Miała już okazję, by się całować z trzema atrakcyjnymi kolegami, i to nawet z jęczyzkiem. Robili do niej maślane oczy, a gdy przychodziła na boisko, widać było, jak popisują się podczas gry w nogę. Nie mogła bałamucić wszystkich jednocześnie, ponieważ wówczas Wiesiek uznałby, że jest łatwa albo, co gorsza, puszczańska. Tylko którego wybrać?

Postanowiła, że zda się na ślepy los i zacznie flirtować z tym chłopakiem, który pierwszy się do niej odezwie. Już ona potrafiła prowokować kolegów do tego, aby proponowali lody, kino lub spacer. Wystarczyło tylko włożyć modne drewniaki oraz jakąś ładną, kusą sukienkę i potrzebować zalotnie włosami.

Tego dnia szczęście dopisało Beckerowi.

Chłopcy jak zwykle grali w nogę, gdy na boisko przyszła rozchichotana grupka dziewczyn, a wśród nich ta najładniejsza. Mecz od razu nabrał żwawszego tempa, każdy z grających dawał z siebie wszystko. Jane strzelił decydującego gola drużynie przeciwnej, co zostało nagrodzone piskiem oraz brawami.

Nawet się nie obejrzał, kiedy był umówiony z Bożeną do kina.

*

Oczywiście nie uszło uwadze Wieśka, że Jane spotyka się z jego niegdysiejszą dziewczyną. *Było, minęło* – pomyślał bez większych emocji. *A młodemu należy się coś od życia, bo nic, tylko wkuwa albo goni za piłką.*

Nawet ucieszył się z tego powodu, bo co się miał nacieszyć tą małą, to się nacieszył. Nie do końca odpowiadała mu panna, która tak łatwo pozwałała, aby ktoś pakował łapy w jej stanik lub majtki. Co za przyjemność dla myśliwego, gdy zwierzyna sama pcha się na muszkę? On potrzebował wyzwania. Dziewczyny, która będzie się wzbraniała, robiła uniki. Aby mógł z wolną kruszyć dzielący ich mur. W tym był dreszczyk emocji – w zdobywaniu tego, co zdawać się mogło twierdzą warowną.

Któregoś czerwcowego popołudnia siedział na dachu z chłopakami, kurząc papierosy i pociągając tanie wino. Smarkaczom nie pozwalano chodzić po dachach, a włazy na nie często były zamykane na klucz, więc robili to na przekór, do skutku szukając miejsca, gdzie dałoby się wyleźć. Czasami jeden podpuszczał drugiego do spacerowania jak najbliżej krawędzi. Ten był najodważniejszy, który stawał najbliżej rynny. Zdarzyło się już parę razy, że jakiś dzieciak spadał i w najlepszym razie

łamał sobie gnaty, w najgorszym dostawał drewnianą jesionkę. Nic więc dziwnego, że ich stamtąd goniono.

Oni oczywiście za nic mieli zakazy. Z góry roztaczał się niezły widok na wciąż rozbudowywaną dzielnicę. Widać było i kombinat, i zalew, i las budowlanych żurawi, a gdy spojrzano się na południe, przed oczami rozciągały się łąki i połyskiwała wstęga Wisły. Czasami po deszczu, gdy niebo bywało wyjątkowo przejrzyste, a to w Hucie zdarzało się nader rzadko, sokoli wzrok mógł wypatrzeć na horyzoncie wrzynające się w niebo szczyty Tatr.

Tego dnia Karol przyniósł lornetkę pożyczoną od Leszka. Wujek zwinął ją z armii, gdy odchodził ze służby. Przez grube, mocne szkła odległe o sto kilometrów góry zdawały się znacznie bliższe. Na wyciągnięcie ręki był Kraków i smukłe wieże kościołów oraz wzgórze zamkowe.

Jane i Wiesiek zdążyli już napatrzeć się na panoramę, teraz siedzieli oparci plecami o komin i palili sporty. Pili piwo z jednej butelki. Reszta chłopaków wciąż jeszcze w zaaferowaniu spoglądała na miasto. Becker czuł się tego dnia wyjątkowo dojrzały i poważny. Uważał, że powinien stać ponad sporami o lornetkę i bardziej mu wypada pogwarzyć z Kalitą, który całej paczce imponował swoją dorosłością.

Upił łyk goryczkowego napoju i zaciągnął się chciwie dymem z papierosa.

– A ty co, Jane? Nie ziorasz przez szkła? Kumple chyba wypatrzyli coś ciekawego w bloku naprzeciwko. Zobacz, jak się gapią w jedno miejsce. – Kiwnął głową w stronę chłopaków, którzy w momencie zaczęli sobie wydierać lornetkę. Komentowali przy tym dość niewybrednie parę, zapewne oddającą się jakimś uciechom.

– Smarkacze – skwitował lekceważąco Becker.

– Ano! Widać, że żaden z nich jeszcze nie umoczył.

– Skąd wiesz?

– Tylko na nich popatrz. Podniecają się jak dzieci. Gerard nawet poczerwieniał na gębie. Jakby jeden z drugim coś zaliczył, byłiby spokojniejsi. A tobie jak idzie z nadobną Bożeną? – zagadnął mimochodem.

Jane opuścił głowę i przez moment patrzył na wytarte czubki swoich butów.

– Jest niesamowita. Zakochałem się po uszy.

– Aż tak? – Kolega wyraził zdziwienie.

– Tak. Wczoraj wzięłem koc. Weszliśmy na dach mojego bloku. To... To było jak w raju. Ona, ja i gwiazdy nad naszymi głowami.

– Romantyk.

– Niekoniecznie. Ależ to był niesamowity wieczór! Zrobiłem z niej kobietę, a ona ze mnie mężczyznę.

Wiesław poklepał Jane po plecach.

– Brawo, to była najwyższa pora. Jak widzisz na przykładzie kolegów, brak konkretnej aktywności może doprowadzić do uszkodzenia mózgu. Dobrze się spisałeś, skurczybyku! – Pokiwał głową z uznaniem.

Przez chwilę znowu siedzieli w milczeniu, dzieląc się butelką piwa.

– Kochałeś się kiedyś w jakiejś dziewczynie? – zagadnął Jane po chwili ciszy.

– Kochałem się z dziewczynami. Różnymi. Ale nigdy nie byłem zakochany – odparł Kalita. –

Kiedyś wydawało mi się, że jedna taka budzi we mnie większe emocje, ale z perspektywy czasu wiem, że to nie była miłość. Panna za mało się szanowała. Na początku mnie to bawiło, potem uznałem, że nie warto. Bo co mi po takiej, z którą idzie zbyt szybko? Z tobą też tak będzie, zobaczysz.

– Chrzaniisz! – oburzył się Jane.

– Serio. Żaden facet świata nie żeni się z pierwszą, u której coś wychodził.

Zamilkł i pomyślał, że jednak jest ktoś, kto przyprawia go o żywsze bicie serca. Spotkał istotę, która zawładnęła jego myślami i zasługiwała na szacunek. Z nią na pewno nie wycierałby się po dachach i klatkach schodowych. Dziewczyny takie jak ona nie dopuszczały do czegoś podobnego.

*

Jedno niefortunne zdarzenie sprawiło, że plan wakacyjny Pawłowskichomal nie legł w gruzach. Na przedostatnim czerwcowym treningu Karol przewrócił się i złamał lewą rękę. Wyjazd na obóz stał się całkowicie niemożliwy, gdyż chirurg stanowczo nie pozwolił na gonitwy za piłką. Oczywiście przerażona matka zabroniła pechowemu piłkarzowi wyjazdu.

– Ależ mam! To tylko ręka. Jadę na obóz piłkarski. My tam przede wszystkim biegamy! – Syn oczywiście próbował postawić na swoim.

– Karolu, nie bądź uparciuchem. Nie słyszałeś, co powiedział doktor? Może i jest to tylko lewa ręka, ale gdybyś znowu zaliczył upadek, to ze złamania, które ma szansę szybko i dobrze się zrosnąć, może wyjść poważna kontuzja, a nawet trwałe kalectwo. – Julia wciąż jeszcze miała w pamięci, ile trosk przysparzała Andrzejowi niepełnosprawność.

– I co teraz? Mam siedzieć całe lato tutaj? Dusić się w smrodzie spalin i pyłów? – jęknął chłopak w nadziei, że skruszy matczyne serce.

– Oczywiście, że nie – wtrącił się Wawrzyniec. – Pojadę jutro do Orbisu i dokupię dla ciebie miejsce na wczasach. A po powrocie ze Słonecznego Brzegu pojedziesz z siostrami do Pawlic. Babcia i ciocia Dorotka na pewno się ucieszą, gdy cię zobaczą. Było im przykro, że w ubiegłym roku spędziłeś u nich tylko trzy dni.

– No tak, wiem. Ale gdy wróciłem z obozu, to już było za mało czasu na wyjazd, bo mama ciągle goniła nas po sklepach, nawet w Krakowie, żeby kupić dziewczynom pepegi, dresy, zeszyty i inne rzeczy. Służyłem babom za tragarza – zachichotał.

– No myślałby kto, że tobie mamusia niczego nie kupiła. Też miałeś zeszyty, dresy i nowe pepegi – obruszyła się Zośka.

– W tym roku ty będziesz nosiła zakupy dla mnie, żeby nie musiał nadwyreżać ręki. – Karol pociągnął siostrę za warkocz.

– Co to, to nie! – Pokazała mu język.

– A ja ci pomogę – obiecała Marta, która zawsze stawiała murem za swoim ukochanym braciszkiem.

Młodzież zaczęła jazgotać między sobą.

Julia z zadumą spozjrzała na pociechy.

Zadziwiająco, jak w dzieciach odbija się moja przeszłość. Zocha przegaduje się z Karolem tak, jak ja z Jędrkiem przed laty. A Marta tak go kocha, jak ja Bronisia. Karol pod wieloma względami przypomina Bronka, ale ma też w sobie determinację Andrzeja. W Zośce widzę podobieństwo do Krysi, jest równie pyskata. A Martula z kolei odzwierciedla po trosze mnie, po trosze Dorcię.

Rozmyślenia przerwał głos męża, który najpierw zapobiegł rozwojowi kłótni, a potem definitywnie uciął dyskusję:

– Dobra, to plan wakacyjny mamy już uzgodniony.

*

Nazajutrz zafrasowany Pawłowski wrócił do domu z przykrą informacją.

– Nie zdołałem załatwić dodatkowego miejsca. Wszystko wyprzedane, a na dostawienie łóżka w pokoju nie ma co liczyć. Zastanawiam się, czy w tej sytuacji nie odstąpić komuś naszych wczasów, bo jakże by to było, gdybyśmy my szaleli sami za granicą, a Karol tkwił samotnie tutaj. Zapewne zrobiłbym to bez straty, bo zainteresowanie wyjazdem jest ogromne.

W oczach córek pojawił się wyraz zawodu. Żadna nie pisnęła ani słówka, nawet przekorna

zwykle Zosia. Oczy całej rodziny skierowały się najpierw na Wawrzyńca, potem na sprawcę zamieszania.

– E... No ja nie mogę się na to zgodzić! – zaprotestował Karol. – Zośka i Marta tak się cieszą na ten wyjazd. Wypaplały już wszystkim koleżankom, że jadą do Słonecznego Brzegu. Tato, nie sprzedawaj wczasów.

– Ależ synku, a co ty będziesz robił? – zapytała Julia.

– Zostanę w domu. Nic mi się nie stanie przez parę dni.

– To ponad dwa tygodnie – skorygowała. – Nie możesz zostać sam.

– Dlaczego? Przecież jestem już prawie dorosły. Za cztery miesiące kończę osiemnaście lat – przypomniał.

– Tak, ale ktoś musi ci ugotować i zrobić pranie.

– Oj tam. Z głodu nie umrę. Zrobię sobie jajecznicę. Tyle jestem w stanie upitrasić jedną ręką.

– Nie ma mowy, abyś przez dwa tygodnie odżywił się jajecznicą.

– To będę chodził na obiady do baru mlecznego.

– Nie. A jeżeli znowu dostaniesz nieświeże pierogi i zachorujesz? Kto ci wtedy zaparzy ziółka?

– Mamo! – Przewrócił oczami. – Traktujesz mnie jak dziecko.

– Nie. Wawrzus – zwróciła się Julia do męża – ty pojedziesz z dziewczynkami do Bułgarii. Na moje miejsce możesz wziąć Wieśka albo kogoś innego, żeby nie zmarnował się bilet. Ja zostanę tutaj z Karolem. Albo pojedziemy razem na wieś, bo przecież i tak będę wtedy na urlopie. Odetchniemy świeżym wiejskim powietrzem, dobrze nam to zrobi.

– Przecież do Pawlic mogę jechać sam – zadeklarował chłopak. – Babcia z cicią na pewno nakarmią mnie świeżymi i zdrowymi obiadkami. Tak się tam upasę, że mnie nie poznasz.

Julia spojrzała bezradnie na resztę rodziny. Zobaczyła błysk radości w oczach córek. Mąż delikatnie pokiwał głową, dając jej do zrozumienia, że on akceptuje takie rozwiązanie, jednak jak zawsze w podobnych przypadkach to jej pozostawia ostateczną decyzję.

No tak, nic nie mówi, ponieważ obawia się, abym mu nie zarzuciła, że o Karola dba mniej niż o dziewczynki – przemknęło jej przez myśl.

– Ale jesteś pewny, synku, że tego właśnie chcesz? – dociekała.

– A jest jakaś alternatywa? Nie ma mowy, żeby popsuł wasze wakacje. Czekacie na nie od ładnych paru miesięcy. Wyjazd bez ciebie nie sprawiłby przyjemności ani tacie, ani tym dżierlatkom. – Skinął głową w kierunku sióstr. – Wiesz dobrze, mamus, że my bez ciebie nie możemy żyć. – Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. – Ale akurat ja jestem już starym koniem, który nie musi trzymać się kurczowo twojej spódnicy. Jadę do Pawlic. To postanowione. Tato? Odwiesz mnie, żeby nie musiał telepać się pekaesem? Normalnie pojechałbym sam, ale wiesz: plecak – westchnął wymownie. Dobrze wiedział, że to całkowicie uspokoi matczyne wyrzuty sumienia.

Chociaż tego nie okazywał, było mu trochę przykro, że nie pojedzie do Słonecznego Brzegu. Zdecydowanie wolałby poplaskać się w Morzu Czarnym niż jechać na wieś, gdzie czekały go nudy. Za całą rozrywkę będzie miał łowienie ryb albo wiejskie potańcówki. Na te ostatnie babcia i ciocia zapewne nie zechcą go puszczać z tych samych względów, z których matka nie pozwoliła mu jechać na obóz piłkarski.

*

Odkąd Leszek wrócił do domu, Kazimiera wciąż chodziła naburmuszona. Ciągłe coś jej nie pasowało i szukała pretekstów do sprzeczek. Pojawienie się męża wywróciło bowiem do góry nogami cały jej świat. Musiała zerwać z Marianem, mężczyzną, który uprzyjemniał jej życie wtedy, gdy samotnie zmagala się ze wszystkimi problemami. Póki Leszek był nieprzytomny, wierzyła, że któregoś dnia zostanie wdową, a potem od nowa wszystko sobie poukłada. Nie czekała na przebudzenie ani na

żadne cuda. Żyła z dnia na dzień i nie przywiązywała znaczenia do obrączki, którą wciąż nosiła na palcu – głównie z uwagi na resztę rodziny, a po trosze również i z przyzwyczajenia.

Nowy Leszek różnił się od poprzedniego. Niby na pierwszy rzut oka miała do czynienia z tym samym człowiekiem: kolor oczu nie uległ zmianie, wzrost był ten sam, podobnie jak rysy twarzy – teraz jakby nieco wyostrome, ale być może przez to, że schudł. We włosach pojawiły się pierwsze siwe nitki, których i tak miał mniej niż Broniek czy Wawrzek.

Zasadnicza zmiana dotyczyła jego natury i sposobu myślenia.

Na początku, gdy się obudził, nie mógł sobie przypomnieć wielu faktów. Z czasem zaczął odzyskiwać pamięć. W dużej mierze pomagała mu w tym rodzina, potem sam opowiadał o rzeczach, o których nie wiedział nikt prócz niego. Wyjaśnił między innymi, dlaczego znalazł się pomiędzy demonstrantami. Nawet jeśli jego słowa rozczarowały Julkę czy Bronka, wierzących, że doznał wówczas jakiegoś olśnienia i się nawrócił, nikt nie dał mu tego odczuć. Nie można jednak było nie zauważyć, że uległo zmianie jego nastawienie do partii, a wydarzenia marcowe tylko przelały czarę goryczy. Definitywnie rozstał się wówczas z PZPR, czemu dobitnie dał wyraz, zwracając czerwoną legitymację.

– Ty gamoni! – nakrzyczała wówczas na niego Kazia. – Jeszcze ci mało nieszczęścia? Musisz za wszelką cenę ściągnąć na naszą głowę kłopoty?

– Jakie kłopoty? – Wzruszył ramionami.

– Ano takie, żeś teraz podpadł. Będą się mścić, boś wystąpił z partii – powiedziała ze złością.

– Mścić, powiadasz? A na chuj mi przynależność do przestępczego ugrupowania, które terroryzuje swoich członków i jeszcze namawia ich do tego, aby tłukli niewinne dzieciaki! Ta twoja zafajdana partia judzi robotników przeciw młodzieży, zrozumże to wreszcie, Kazimiera! – Złapał żonę za ramiona i lekko nią potrząsnął.

– Zwariowałaś – odparła spokojnie, wyswobodzając się z jego uścisku. – Ty już do reszty zwariowałaś.

– Tato, czemu krzyczysz? – zapytał Dariusz.

– Won do drugiego pokoju! – Matka bezceremonialnie wskazała chłopcu drzwi.

– Nie krzycz na niego. Nic ci nie zawinił.

– Nie krzyczę. Dzieciak ma znać swoje miejsce. Nie ma wtrącania się w sprawy dorosłych.

Syn postął jeszcze chwilę z rozdziawioną buzią, gdyż niewiele rozumiał z dyskusji rodziców, a potem powędrował do sąsiedniego pomieszczenia, skąd kilka minut wcześniej wyrzucili go starsi bracia, aby stał na czatach i w razie czego odwracał uwagę dorosłych. Sami w tym czasie zajęci byli rozbieraniem budzika. W zamian za to obiecali dać mu potem do zabawy kilka zębatych kółek. Darek wychodził z założenia, że wywiązał się ze swojej części zadania. To nie jego wina, że mama z tatą zaczęły się sprzeczać i kazali mu odejść. Zresztą byli tak bardzo zaabsorbowani sobą, że choćby Kacper i Melchior zapalili w mieszkaniu papierosy, to i tego by nie zauważyli.

Tymczasem Kazimiera pomstowała dalej na lekkomyślność męża, który dopiero kilka miesięcy po fackie przyznał się do zwrotu legitymacji.

– No teraz to już w życiu nie zamienimy tej nory na większe mieszkanie – utyskiwała, bowiem sprawy lokalowe nieustannie spędzały jej sen z powiek. Ilekroć sytuacja życiowa Szymczaków ulegała jakiejś takiej poprawie, zaraz okazywało się, że znowu jest za ciasno. A ona od dwóch miesięcy nosiła czwartego potomka. Zastanawiała się nawet, czy nie powinna pójść do lekarza, aby wyskrobał jej brzuch, nim będzie na to za późno. Doktor sam zasugerował taką możliwość, gdy na wieść o spodziewanym powiększeniu rodziny załamała ręce i głośno wyraziła niezadowolenie.

– Źle ci tutaj? – Mąż nie krył zdziwienia. – Przecież mamy, tak jak chciałaś, dwa przestronne pokoje.

– Ale ciasno! Chłopaki rosną, potrzebują miejsca. Siedzą jeden drugiemu na głowie i wciąż się o coś handryczą. Człowiek nie ma ani chwili spokoju.

– Boże! – Wzniósł oczy ku górze i jęknął. – Tobie wiecznie mało! Co za baba! Nie idzie ci dogodzić. Mieszkałaś w hotelu robotniczym, to marzyłaś o mysiej dziurze. Jakaśmy dostali od Julki pierwsze mieszkanie, chciałaś mnie udusić z radości. Potem marudziłaś, że ciasno, a jak zyskaliśmy

większy metraż, to znowu jojczysz!

– Bo dwa pokoje na tyle osób to za mało!

– Pewnego dnia ja przy tobie zwariuję! – wykrzyknął.

– Ty nie gadaj głupot, tylko na powrót zapisuj się do partii. I pisz wniosek do kwaterunku o zamianę mieszkania na większe.

– Nie wrócę do partii, wybij to sobie z głowy. Kaziu – spuścił z tonu i przemówił łagodniej – wspomnij na zadamy. Te sprzed paru lat i te sprzed kilku miesięcy. Pomyśl sama: na co nam partia, która ciemieży obywateli? Przecknij się, kobieto! Czas wrócić do tego, w czym zostaliśmy wychowani. Do Boga i Kościoła.

– O nie, nie, mój drogi! Na to nie licz. Już i tak posunąłeś się za daleko, wyrażając zgodę na to, żeby chrzcic Darka i posyłać całą trójkę do komunii. Na co ci to? Albo chłopakom?

– Tak trzeba, Kaziu – tłumaczył łagodnie, wierząc, że prędzej skruszy jej upór dobrym słowem i chrześcijańskim miłosierdziem niż krzykami i wiecznym kwasem w domu. – Bo bez Boga ani rusz od proga. Tak uczył nas ojciec, a jego mój dziadek. To Bóg ustrzegł mnie w godzinie próby i uszedłem śmierci. Darek zostanie ochrzczony, i to nie podlega dyskusji. A potem wszyscy pójdą do komunii.

*

Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami, Karolowi doskwierała w Pawlicach nuda. Jego rówieśnicy zajęci byli pracą przy sianie i zbiorze porzeczek, on wałęsał się beczynn timer po obejściu babci. Coś tam próbował pomagać, ale cóż mógł nawojować jedną ręką? Na ogół ciotka podnosiła larum, że zrobi sobie krzywdę, i odsyłała go z książką na koc pod jabłonkę. Regularnie dostarczała mu lektury, więc naczytał się w tym czasie co niemiara. Leżał na brzuchu, skubiąc świeże porzeczki, które Dorota przynosiła wprost z ogrodu. Czasami chrupał dorodne kulki agrestu lub cierpkie papierówki. A gdy mówił, że ma brzuch pełen owoców i nie może się ruszać, babcia wyganiała go na spacer po wsi.

Lepsze było to niż siedzenie beczynn timer, gdy czuł się jak truteń.

Żałował, że w niczym nie może pomóc. Jak się wyrwał do zmywania naczyń, to zaraz stłukł dwa talerze, bo jedną ręką szło mu nieporadnie. Mógł nakarmić drób, pod warunkiem, że wiecznie nienażarte ptactwo nie rzuciło się wcześniej na wiaderko z ziarnem, które z musu stawiał na ziemi, zamiast trzymać w lewej ręce.

– Kiepski ze mnie pomocnik – narzekał.

– To chwilowo, wnusiu, chwilowo. Za parę tygodni dochtór zdejmie ci gips i będziesz jak nowy. A bardzo ci ta ręka dokucza? – zagadnęła troskliwie Władysława.

– Nie. Teraz to już nie boli. Na początku różnie bywało.

– A widzisz, Lolek, to dobrze, dobrze. Bo jak łośńskiego roku Dybczakowa złamała dwa palce, to długo jej się jadzily i nie chciały zrosnąć. No, ale ona tak upadła, że miała kości na wierzchu – powiedziała, pocierając się po mostku.

– A tobie co, babciu? Znowu ci serce kołacze? – zaniepokoił się chłopak.

– A taka żem cosik dzisiaj ladaca. Pewnie przez ten gorąc – oznajmiła. – No, zostaw już te ptaszyska i idź lepiej nad wodę. Weź se pled i krachlę. Jak chcesz, to ukroję ci placka, co go wczoraj Dorcia upiekła.

Posłuchał i poszedł, choć i tam wynudził się setnie.

Czasami, w sekrecie przed krewnymi, udawało mu się wieczorem zagrać w piłkę z chłopakami ze wsi. Oczywiście bardzo uważał, aby nie pokieraszować sobie mocniej ręki. Nieczęsto jednak miał ku temu okazję, bowiem jego rówieśnicy ciężko pracowali w spółdzielni rolniczej. W ogóle życie na wsi znacznie różniło się od miastowego. Pod niektórymi względami Karol był dojrzalszy od chłopaków z Pawlic – miał bogatszą wiedzę, szersze horyzonty i spoglądał na świat z innej perspektywy. Nie imponowało mu picie wódki, ponieważ trener przestrzegał, aby jego podopieczni nie nadużywali

alkoholu. Śmielej poczynał sobie w pogaduszkach z dziewczętami, gdyż miał w Hucie dość koleżanek i wiedział, o czym z nimi rozmawiać. Był jednak niczym kanarek chowany w złotej klatce miejskich wygód – nie znał się na fizycznej pracy, nie potrafiłby prowadzić ciągnika, choć ojciec parę razy pozwolił mu, by jeździł syrenką po pasach startowych dawnego lotniska w Czyżynach. Miał zadbane dłonie o czystych, równo obciętych paznokciach, nosił schludne koszulki non-iron lub stylizowane na Trubadurów falbaniaste koszule. Przy pawliczanach wyglądał jak paniczek i wiedział, że za plecami tak właśnie go nazywają. Wszak był potomkiem dwóch najznamienitszych rodzin z okolicy: Pawłowskich i Szymczaków. Być może z tego powodu chłopcy niechętnie z nim przestawali, uważając go za kogoś, kto nie pasuje do ich towarzystwa. W rzeczywistości większość z nich czuła się niezręcznie w obecności Karola, który, choć nie robił tego świadomie, odstawał od nich elokwencją.

Najczęściej zadowalał się samotnymi spacerami, żałując, że dał się ojcu przywieźć na wieś. Być może gdyby bardziej obstawał przy swojej racji, to rodzice w końcu zmiękliby i pozwolili mu na pozostanie w Nowej Hucie. Tam była paczka kumpli i najfajniejsze dziewczyny – zupełnie inne niż wiejskie gąski, które czerwieniły się na każde jego słowo. Tam zagrałby w nogę, pożartował, wypiłby ukradkiem piwo na dachu. Może nawet umówiłby się do kina z jakąś koleżanką Bożeny, bo na tę ostatnią w ogóle nie było co liczyć. Najpierw flirtowała z Wieskiem, a potem przeniosła zainteresowanie na Jane. Ot, farciarze!

Może gdyby włożył w to trochę więcej wysiłku, ubiegłby przyjaciela? A może taki już jego pech, że nie podobał się Morkównie? Troszkę się nad sobą uzał z tego powodu. Przez kilka tygodni chodził z nosem na kwintę, wzdychając nad własną niedolą. Zaliczył nawet tę porażkę na poczet pierwszej nieodwzajemnionej miłości.

Postanowił sobie solennie, że gdy rodzice przyjadą, aby przywieźć siostry, to zabierze się z nimi z powrotem. Dość się już nawdychał świeżego, wiejskiego powietrza. Zośka i Marta nie potrzebują jego niańczenia, nieraz bywały same u babci.

Stał nad brzegiem zaniedbanego zbiornika retencyjnego, puszczając kaczuszki. Kiedyś to miejsce miało zapewne prócz funkcji użytecznych spełniać rolę rekreacyjną. Na brzegu wciąż stały zdewastowane ławki i stoliki. Trawa wokół nich była wydeptana do gołej ziemi, więc teren musiał być uczęszczany. Wszędzie walały się kapsle z piwa, szkło potłuczonych butelek oraz niedopałki i opakowania po papierosach. Za każdym razem, gdy tutaj przychodził, przypominał sobie nowohucki zalew. Zdecydowanie wolałby teraz przebywać właśnie tam i pływać rowerkiem wodnym, ponieważ kajakiem nie dałby rady.

– Ech... co za nuda – westchnął i, zamiast do wody, rzucił ostatni kamyk na oślep, w nadbrzeżne chaszczce.

– Ała! – usłyszał zaraz piśnięcie.

– Przepraszam! Nie chciałem – zawołał, choć nie widział osoby, którą ugodził. – Halo! Jest tu ktoś? – dodał, gdy nie doczekał się odpowiedzi.

A może tylko uroiło mi się coś z tych nudów? – pomyślał, lecz nagle zafalowały szuwały i wyszła z nich jasnowłosa bosa boginka w nędznej sukieneczynie. Trzymała się wymownie za tył głowy.

– Mógłby trochę uważać! – syknęła. – Ja tu ryby łowię!

– Aaa... Nie wiedziałem – odparł. – Zazwyczaj wędkarze siedzą tam. – Wskazał na wpół zrujnowany pomost, na który nie wszedłby nikt przy zdrowych zmysłach.

– A ja wolę tutaj! – Złapała się pod boki i spojrzała na niego zadziornie. – Ech, letnicy! – Przewróciła oczami.

Znał tę dziewczynę z widzenia. Wiedział, że ma na imię Weronika. Ludzie wołali na nią Weronka. Była wybitną samotnicą, zawsze trzymała się na uboczu. Kiedyś usłyszał, jak wiejskie chłystki wykrzykują za nią jakieś epitety.

Przyjrzał się jej uważnie. Była drobnej postury, miała ładne niebieskie oczy i płowe włosy. Zadarty nos zdobiło sporo piegów. Słonko chyba ją lubiło, ponieważ opaliło jej skórę na przyjemny, złocisty odcień. Gdy mówiła, dostrzegł wadę zgryzu. Miała za bardzo rozstawione górne siekacze, co przyciągało wzrok. Wyglądała mniej więcej na jakieś piętnaście lat, choć mogła być młodsza, bo drobne

było toto i chude.

– Jeszcze raz przepraszam – powiedział, podchodząc. – Karol jestem – dodał i wyciągnął rękę. Ponieważ nie odpowiedziała, sam kontynuował: – Weronika, tak?

– Tak.

– Mieszkasz w Pawlicach?

– Nie. W Piotrowicach. Ale tam nie ma stawu, więc tutaj przychodzę na ryby.

– Aha. A złowiłaś już coś? – zagadnął.

– Klenia i kilka karasi. Chce zobaczyć? – zapytała, używając mniej bezpośredniej formy niż on.

Karol pokiwał głową.

– W sumie czemu nie?

I tak nie miał nic lepszego do roboty. Mógł co najwyżej wrócić do babci i posłuchać, o czym gwarzy z Dorotą. Kochał obydwie z całego serca i zasadniczo lubił wizyty w Pawlicach, lecz tego lata wyjątkowo się nudził. Ciocia ostatnio chodziła jakaś smutna i zadumana, a babcia wciąż narzekała na kręgosłup. Wiosną leżała w nowohuckim szpitalu, gdzie przeszła wiele badań. Lekarz orzekł, że ma zwapniałe kości, mocno uszkodzone w okolicach krzyża. Zapisał jakieś proszki przeciwbólowe, ale te chyba niewiele pomagały. Karol odczuwał wstyd, że siedzi u niej bezużytecznie i na domiar złego przysparza jej zajęć. Staruszka była bowiem tak ucieszona jego wizytą, że nieustannie coś pichciła, to znów wypiekała kołaczki, a potem podtykała mu te smakołyki pod nos. Gdy ciocia wracała z biblioteki, karciała matkę łagodnym głosem, tłumacząc, że przecież mogła poczekać z zagniataniem ciasta albo lepieniem pierogów i zrobiłyby to we dwie. Albo ona szybciotko by się przy tym zakręciła.

Poszedł więc za Weroniką w zarośla, podwinąwszy wcześniej nogawki spodni, by ich nie uszargać.

– Lepiej niech i buty zdejmie – poradziła mu przewodniczka – bo w bryi pogubi albo uciara.

Posłusznie schylił się i rozsznurował pepegi.

– A w rękę co zrobił? – spytała od niechcienia.

– Zająca łapałem – powiedział, siląc się na poważny ton.

– Że niby w mieście na ulicy? – zakpiła, gdyż dobrze wiedziała, z kim ma do czynienia.

– A co? Myślałaś, że w Nowej Hucie nie ma zajęcy?

– A złapał jakiegoś?

– Jeszcze nie, ale byłem blisko – odparł. – To co, idziemy?

– Idziemy. Ino niech uważa, by go pijawki nie oblepiły.

– Są tu pijawki? – Starał się nie okazywać lęku, ale nie miał ochoty na odrywanie przyssanego paskudztwa.

– A są. I to dużo. Szczególnie upodobały sobie mieszczuchów – dogryzła Karolowi.

– Ubawiłem się do łez – burknął.

Dziewczyna kluczyła pomiędzy szuwarami, aż doprowadziła go w całkiem przyzwoite miejsce na brzegu, gdzie nie było zarośli. Leżał tam za to obalony pień, o który oparte były dwie wędki. Spławik jednej z nich właśnie drgał.

– O! Bierze! – zauważył Karol.

– A bierze – potwierdziła i złapała za drążek. Po chwili w powietrzu zaślniła srebrnołuska ryba.

– Kleń! – ucieszyła się wędkarka. – No, to mam już obiad na jutro.

– Umiesz je oprawiać? – Wskazał wiaderko, w którym pływały ryby.

– No ba! Co to dla mnie?

– Sama je zabijasz? – wyraził zdziwienie, gdyż żadna ze znanych mu dziewcząt nie wzięłaby do ręki żywej ryby. A już na pewno nie z zamiarem jej mordowania. Nawet mama nie sprawiała karpia na wigilię, tylko zaganiała do tej roboty męża. Tato zawsze brał do pomocy Karola i we dwóch mieli mnóstwo uciechy, bo najpierw musieli przegonić po mieszkaniu obydwie dziewczyny oraz mamę. Pisku było wówczas co niemiara, zwłaszcza gdy któraś dostała rybim ogonem. Zazwyczaj te zabawy kończyły się tym, że pani domu rozpędzała całe towarzystwo, strofując przy tym ślubnego, że chłapie po świeżo wyfroterowanych podłogach. Winowajca przepraszał i sprzątał bałagan, a potem i tak jeszcze

przynajmniej raz musiał nastraszyć którąś z córek albo żonę.

– No, zabijam. Co w tym dziwnego, he? Ryba służy do tego, żeby ją upitrasić i zjeść. A ty łowisz ryby? – zagadnęła, porzucając dotychczasową formę.

– Czasami.

– No to masz. – Wcisnęła mu w garść wędkę.

Sama wzięła drugą. Zwinęła żyłkę.

– A to sprytnie bestie. Glizdę mi zeżarły – burknęła.

– Może spadła z haczyka? – zasugerował Karol.

– Nigdy nic nie wiadomo. Mogła spaść, choć to mało prawdopodobne – stwierdziła.

Ku jego zaskoczeniu sięgnęła do blaszanki i wygrzebała z niej tłustego robaka. Bez obrzydzenia obejrzała go, a potem nadziała na haczyk. Pawłowski spojrział na nią z szacunkiem. Spodziewał się raczej, że łowi ryby na kulki z ciasta. Zaimponowała mu, gdyż nawet on, chłopak, bardzo długo nie mógł się przełamać do czegoś takiego. Gdy jeździł z ojcem na ryby, prosił go o zakładanie przynęty. Tato śmiał się wtedy, że marny z niego pomocnik.

*

Chociaż żona dała Ksaweremu przyzwolenie na romans, ba, sama próbowała go pchnąć w ramiona konkretnej kobiety, nie mógł zdobyć się na to, aby skorzystać z jej wspaniałomyślności. Co więcej, uważał ten pomysł za skrajnie idiotyczny. Cierpiał w dwójnasób, bowiem z jednej strony Dorota była blisko, niemalże na wyciągnięcie ręki, a z drugiej ubolewał, że nie potrafił staranniej zamaskować swoich tęsknot i Amelia je odkryła.

O wiele prościej byłoby wziąć rozwód, ale na to czuł się zbyt stary. Zresztą połowica dobitnie oznajmiła, że nigdy nie pozwoli mu odejść.

A może to wyraz okrucieństwa z jej strony? Kpina z tego, że kiedyś zaręczono nas i pożeniono bez naszej chęci? Skoro ona nie mogła związać się z mężczyzną, którego kochała, i mnie to udaremnia. Cóż by to był za związek, gdybym miał spotykać się z ukochaną ukradkiem, po krzakach, jak z jakąś pierwszą lepszą latawicą? Miałbym krzywdzić kobietę tak dotkliwie poszkodowaną przez los i robić z niej w oczach ziomków nierządnicę, podczas gdy jak nikt inny zasługuje na szacunek?

*

Dorota spoglądała uważnie w lustro.

Postarzałam się – przemknęło jej przez myśl, choć wiedziała, że mimo tych wszystkich okropnych blizn i tak wygląda znacznie młodziej niż rówieśnice z okolicy. Nie pochylił jej ciężar harówki. Nie miała spracowanych rąk, zgarbionych pleców, ciała zniszczonego ciążami.

Niedawno obcięła włosy na pazia. Julka nauczyła ją, jak należy układać eleganckie fale, by dobrze wyglądały. Ponieważ do biblioteki mogła zamawiać wyłącznie prasę o tematyce rolniczej, dostawała od siostry z Krakowa przeczytane numery „Przyjaciółki”. To z nich czerpała wiedzę na temat obowiązującej mody. Oczywiście nie miała dość odwagi, by nosić sięgające połowy uda sukienki, ale podobały jej się luźne trapezowe fasony, które krawcowa z Limanowej uszyła na odpowiedniejszą dla niej długość. Do miasteczka też wyciągnęła ją Julia, bowiem Dorota wciąż unikała opuszczania rodzinnych stron. W towarzystwie siostry czuła się o wiele swobodniej. A na dwie przymiarki podwiózł ją nawet szwagier swoją syrenką, więc zaoszczędził jej traumy wyjazdu do miasta. Te nieliczne podróże do Nowej Huty, które odbyła na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, kosztowały ją mnóstwo nerwów.

Wciąż jeszcze siedziała przed lustrem, poprawiając włosy, gdy do pokoju zajrzała Marta.

- Ciociu, mogę jechać z tobą do biblioteki? – zagadnęła z wielką nadzieją w oczach.
- Oczywiście, skarbie – odparła.

Wiedziała, że siostrzenica nie będzie się nudzić, bowiem uwielbiała książki i godzinami mogła je czytać lub przeglądać. Często spacerowała pomiędzy półkami, wodząc palcem po grzbietach obłożonych szarym papierem. Nauczyła się korzystać z katalogu i ochoczo pomagała przy wydawaniu zamówień. Wolała to niż robienie wycinanek do gazetki ściennej, o co czasami prosiła ją Dorota.

Biblioteka w Piotrowicach nie należała do szczególnie uczęszczanych. Przede wszystkim można było liczyć na młodzież szkolną, więc aby etat Doroty miał uzasadnienie dla władz gminy, Ksawery powierzył Szymczakównie również prowadzenie świetlicy, do której chętnie zaglądały dzieciaki, gdy ich rodzice pochłonięci byli pracą w polu. Kobieta dokładała starań, żeby organizować maluchom jakieś zajęcia dydaktyczne i rozwijać ich zainteresowania. Organizowała im przedstawienia kukiełkowe, konkursy plastyczne i muzyczne, uczyła dziewczynki haftowania, robótek szydełkowych i dziergania na drutach. Gdy sprzyjała temu pogoda, siadywali w cieniu parkowych drzew, tuż pod oknami biblioteki, by w razie czego Dorota mogła obsługiwać nielicznych czytelników. Urządzała chłopcom zawody zręcznościowe i wyścigi. Przede wszystkim jednak dokładała starań, aby zainteresować swych podopiecznych literaturą.

Nic więc dziwnego, że siostrzenica tak chętnie jeździła z nią do pracy. Tam mogła spotkać rówieśników, a nawet, gdy zdarzyło się czasem, że żadne dziecko nie przyszło, to i tak nie narzekała na nudę.

Wsiadły na rowery. Bez pośpiechu pedałowwały gościńcem wiodącym do Piotrowic. Dzień był pogodny i bezchmurny. Od świtu ludzie uwijali się przy robocie, więc ten i ów skorzystał z okazji, aby zrobić sobie króciutką przerwę, uchylić czapki, otrzeć zroszone potem czoło i zagadnąć o zdrowie panny Doroty albo szanownej Władzi.

- Dzisiaj nie będzie ruchu w bibliotece – rzuciła ciotka do Marty, gdy dojeżdżały na miejsce.
- To nic. Ja sobie poczytam. Albo pomogę cioci w układaniu książek.

Tego dnia rzeczywiście przez większość czasu były same. Nic dziwnego: zaczęły się żniwa, więc kto żyw wychodził w pole. Pomagały nawet małe dzieci, ucząc się skręcania powróseł, podbierania oraz zawiązywania snopków. Te, które nie poleciały z dorosłymi, musiały zostać w domach i doglądać najmłodszego rodzeństwa. Część dzieciarni goniła po lesie, zbierając ostrężyny i grzyby.

Dorota pozwoliła podopiecznej wybrać książkę do czytania, a następnie odesłała ją na koc rozłożony w cieniu drzewa. Żał byłoby trzymać dziecko w murach przy tak pięknej pogodzie. *Dosyć się bidula wysiedzi w bloku i nawdycha miejskiego kurzu, niech choć tu użyje świeżego powietrza* – pomyślała.

Przez chwilę patrzyła z czułością na dziewczynkę leżącą na brzuchu i majtającą w powietrzu bosymi stopami.

Szczęśliwa beztroska młodości – uśmiechnęła się. *Daj Boże, aby ten błogi spokój nie został zakłócony wojną lub jakimś innym nieszczęściem. Ach! Że też nie mam w domu takiej dziewczuszki. Rażniej by nam było z matulą, gdyby ktoś kręcił się w obejściu, robiąc radosny zamęt.*

*

Nazajutrz na wieś przyjechali Pawłowscy. Obiecali dziewczynkom lody w Limanowej, więc Dorotka straciła swoją małą towarzyszkę. Pod względem liczby czytelników, którzy zajrzeli do biblioteki, ten dzień nie różnił się od poprzedniego. Szymczakówna postanowiła, że wykorzysta wolny czas na wykończenie nowej gazetki ściennej o żniwach. W tym roku jako myśl przewodnią wybrała bezpieczeństwo dzieci, na które podczas prac z użyciem maszyn rolniczych czyhały liczne zagrożenia. Rok wcześniej jeden z chłopców stracił prawą rękę, gdy pomagał w podawaniu zboża do młockarni.

Siedziała pochylona nad kawałkiem brystolu, na którym starannie kaligrafowała czerwonym

tuszem ostrzeżenia, gdy skrzypnęły drzwi. Uniosła głowę.

– Dzień dobry, panie Ksawery.

Choć z Amelią były po imieniu, nigdy nie przeszła na bezpośrednie formy z Olszańskim. Wprawdzie przyjaciółka nie raz sugerowała taką możliwość, lecz zawsze ją mitygowała, że z przełożonym nie wypada się spoufalać.

– Dzień dobry. Ciepło dzisiaj – odetchnął, wachlując się wymownie dłonią. – Jak pani znosi ten upał?

– Jakoś się trzymam – odparła, sięgając do górnego guzika bluzki, aby go zapiąć. – Mogę w czymś pomóc?

– Owszem. Nie mogę spać przez ten gorąc, więc pomyślałem, że zajrzę po jakąś książkę. Odświeżyłbym w pamięci coś z Dołęgi-Mostowicza.

– Woli pan *Znachora* czy *Kariere Nikodema Dyzmy*?

– Chętnie wezmę *Dyzmę*. Ten huncwot wciąż mnie bawi. Z przyjemnością powspominam stare, dobre, przedwojenne czasy.

Dorota poszła między półki, aby odszukać książkę. Ksawery stał przez chwilę beczynn timer, a potem przypomniał sobie, że obiecał wziąć dla Amelii jakiś romans. Po latach wspólnego życia zdążył ją na tyle polubić, aby poznać jej upodobania. Znajdowali nawet wspólne tematy do rozmów. Niekiedy starał się sprawiać jej jakieś drobne przyjemności.

Ruszył więc za bibliotekarką, gdyż uznał, że nieelegancko byłoby nawoływać do niej z końca przestronnego pomieszczenia.

Zderzyli się za jednym z regałów.

– Najmocniej panią przepraszam – powiedział skonsternowany, a potem wbrew zdrowemu rozsądkowi porwał kobietę w objęcia.

Nim zdążyła pisnąć choć słowo, poczuła na ustach jego gorący oddech. Całował ją z takim żarem, że przypomniała sobie to obezwładniające uczucie sprzed lat, które nieomal pozbawiło ją wszelkich hamulców. Wsunęła palce pomiędzy starannie ostrzyżone siwe włosy. Poddawała się namiętnej pieszczocie warg i języka. Mężczyzna napierał na nią tak, że oparła się o regał przylegający do ściany.

Dłonie Ksawerego błędziły po jej plecach, coraz niżej i niżej, aż dotarły tuż nad pośladki. Po chwili położył jedną z nich na policzku kobiety i delikatnie przesunął opuszkami po odcinającej się przedzie blizny. Na chwilę oderwał usta od jej drżących warg.

– Dorotko... – wyszeptał, wiodąc palcami niżej, wzdłuż linii szyi. Spoglądając jej w oczy, rozpiął guzik bluzeczki, potem następny.

– Nie powinniśmy – odparła równie cicho, lecz stłumił jej głos rozsądku kolejnym pocałunkiem.

Kiedy bluzka została rozpięta, spojrzął na kobietę i niemal zakrztusił się niekontrolowanym szlochem, który nagle wezbrał mu w gardle.

– O Matuchno! – Nic więcej nie był w stanie powiedzieć.

Spojrzała na niego ze smutkiem. Dłonią wplecioną we włosy pociągnęła głowę Ksawerego tak, by ich wzrok znowu się spotkał.

– Teraz już się domyślasz, co ze mną robili. I zapewniam, że nie chcesz widzieć tego, co mam, albo czego nie mam, pod halką. Przypalali mnie papierosami, cięli nożem, gryźli aż po kości. Miałam w środku nie tylko ich przyrodzenia, ale również flaszkę, kij i sama nie wiem co jeszcze. Nie powinnam była tego przeżyć, bo niemalże wykrwawiłam się na śmierć – mówiła z zadziwiającym spokojem, jakby cały ten koszmar nie dotyczył jej, lecz kogoś zupełnie obcego. – Ja wiem, że Amelia wie o nas. Jej czujne oko wypatrzyło nasze ukradkowe spojrzenia i milczące tęsknoty. Wiem, że ona zaakceptowałaby naszą bliższą zażyłość, lecz nigdy się na to nie porwę. I to nie tylko z uwagi na te okaleczenia, które z premedytacją pozwoiliłam ci zobaczyć, abyś nabrał do mnie wstrętu i na zawsze zostawił mnie w spokoju. Chodzi o to, że muszę zachować resztę godności, bo tylko ona mi jeszcze została. Tak naprawdę tamci barbarzyńcy pozbawili mnie życia.

– Rozumiem – odparł, spoglądając jej w oczy. – Kocham cię mimo wszystko. Taką, jaka jesteś. Gdybyś podjęła inną decyzję, nie cofnąłbym się z powodu twoich blizn – zapewnił stanowczo – ale

szanuję cię i twoją wolę. Wiedz, że do ostatnich chwil życia to uczucie nie wygaśnie. Jesteś moją pierwszą i jedyną miłością.

Położyła mu palec na ustach, aby milczał.

– Proszę, Ksawery – wyszeptwała. – Nigdy więcej nie wracajmy do tego tematu. Nie raniłbym bardziej mojego serca. Jesteś żonaty. Amelia nie poradziłaby sobie bez ciebie, a ja nie mogłabym budować szczęścia na cudzej krzywdzie.

– Kochasz mnie? – zapytał.

– Kocham – odparła, czując, jak po jej policzkach spływają wielkie krople łez.

– Mogę pocałować cię po raz ostatni?

Zamknęła oczy i ledwo widocznie pokiwała głową.

[7] Fragment tekstu piosenki *Jesteśmy na czasach*. Tekst i wykonanie oryginalne: Wojciech Młynarski. Kompozytor: Janusz Sent. Rok powstania 1967.

[8] Fragment piosenki *Serduszko puka w rytmie cza-cza*, tekst: Janusz Odrowąż, kompozytor: Romuald Żyliński, wykonanie: Maria Koterbska.

[9] Piosenka *Hej, za rok matura*, tekst: Jerzy Kossela, kompozytor: Krzysztof Klenczon, wykonanie: Czerwone Gitary.

[10] Jan Anioła – pierwszy dyrektor Huty im. Lenina. Stanowisko piastował w okresie 23.05.1949–28.02.1954 r.



Skok na głęboką wodę

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią Leszka pod koniec sierpnia został ochrzczony Dariusz. Na okoliczność tego wydarzenia Julia i Wawrzyniec wyprawili chłopcu przyjęcie. Wprawdzie ojciec dziecka sumitował się, że tak być nie powinno, bo to jego obowiązek, ale zaraz został przywołany przez siostrę do porządku.

– Ty lepiej spiesz się z remontem mieszkania, bo zaraz ci przybędzie czwarta pociecha. A następne chrzciny to już myślę, że bez żadnych problemów i ceregieli wyprawimy u was. – Puściła doń oko.

Leszek rad był takiemu obrotowi sprawy. Cieszył się na oczekiwanego potomka, którego powołał do życia krótko po powrocie do domu. Kazia wprawdzie trochę marudziła, że będzie im ciasno i niewygodnie, wspominała nawet coś o przerwaniu ciąży, ale udobruchała ją rozpoczętym remontem. A że finansowo jakoś sobie radzili, wyrzucił z pokoju chłopców stare graty i kupił im dwa piętrowe łóżka: jedno dla bliźniaków, a drugie dla Darka i spodziewanego przychówku. Do tego nabył szafę i biurko, które wprawdzie zagracowało niewielkie pomieszczenie, ale mogli się przy nim uczyć we dwóch naraz. Trzeciemu pozostawał stół u rodziców.

Nadal było ciasno, ale jakoś już przywykli. Może więc pojawienie się czwartego potomka nie naruszy znacząco równowagi, którą wypracowali? Szymczak był niemalże pewien, że i tym razem zmajstrował syna, bo taki już z niego był skurczybyk, że płodził samych chwatów. Zresztą to małe błyskawicznie zaczęło wierzgać w matczynym brzuchu, dając się jej mocno we znaki.

– Kopie jak piłkarz – jęczała Kazia, która szybko przybierała na wadze, więc od razu zaczęła nosić luźne sukienki oraz specjalny pas podtrzymujący.

Tuż po chrzcinach zaczął się kolejny rok szkolny. Cała trójka Szymczaków została zapisana na religię. Skruszony ojciec odbył długą rozmowę z proboszczem Józefem Gorzelanym i ze wstydem przyznał, że zaniedbał wychowanie potomków w wierze katolickiej.

– No trudno, synu. Każdy może czasem pobłądzić. – Kapłan poklepał go życzliwie po plecach. – Dziękuję Bogu, żeś przejrzał na oczy i się nawrócił. Od tej pory wychowujcie dzieci po bożemu. A jeśli przyjdiesz tu ze swoją kobietą, za darmo uświęcę wasz związek małżeński. Porozmawiaj z nią, przekonaj.

– Ba! Żeby to było takie proste!

– W Bogu nadzieja. Będę was powierzał w modlitwie do Najświętszej Pani. Kardynał

Wojtyła nie na darmo mawiał, że miłość nie jest przygodą, lecz smakuje całym człowiekiem. Zaufaj, synu. Zaufaj.

*

– Mamy kłopot, Jane.

Bożena była niezwykle blada i poważna. Stała z torbą pełną zeszytów i książek. Zapewne niedawno skończyła lekcje, lecz zamiast wrócić do domu i zostawić zbędny balast, przyjechała pod technikum, w którym się uczył. To było dość dziwne, ponieważ jej mieszkanie było po drodze z Liceum Ekonomicznego na osiedle Szkolne.

– Co się stało? – dociekał zmartwiony chłopak.

Kiwnął ręką do kolegów, aby nie czekali na niego.

– Zaraz ci wszystko powiem. Tylko chodźmy stąd – odparła.

Ruszyli w stronę zalewu.

Na drzewach żółkły i czerwieniały liście. W powietrzu unosił się pył niesiony z kombinatu. Po bezchmurnym, lecz przymglonym od zanieczyszczeń niebie sunęły klucze ptaków odlatujących na południe bądź przybywających na zimę.

– No, mów, co się dzieje? – indagował Jane dziewczynę, lecz ta odparła, że za chwilę mu wszystko wyjaśni. Muszą tylko usiąść na ławce, aby spokojnie porozmawiać.

Znaleźli ustronne miejsce. Rzucili na trawnik torby z podręcznikami. Bożena usiadła i z zakłopotaniem wygładziła spódniczkę.

– Powiesz mi teraz? – zapytał, gdyż wciąż milczała.

Pokiwała głową. Po jej policzkach płynęły łzy.

– Mamy kłopot – powtórzyła.

– To już wiem – odparł spokojnie. – Tylko jeszcze nie wiem jaki.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Wspólny. Taki mały. No wiesz... – Położyła rękę na brzuchu.

Przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem. W jego głowie zrodziło się przerażające przypuszczenie.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Jestem w ciąży – wyszlochała.

Zerwał się z ławki. Zacisnął dłonie w pięści i zaklął. Przez chwilę krążył tam i z powrotem, pomstując na własną nierozwagę. Przestraszona Bożena siedziała cichutko jak myszka, obserwując gniew malujący się na jego twarzy.

Cholera! Matura za pasem. Marzyłem o pójściu na studia, a tutaj taki pech! Co robić, Boże, co robić? Przecież ojciec mnie zabije!

Nagle spojrzał na dziewczynę i zamarł. Płakała. Wyglądała na przerażoną. A przecież ten kłopot dotyczył ich dwojga. Była od niego młodsza o rok, a to oznaczało, że nie skończy szkoły, choć bardzo dobrze się uczyła. Wciąż powtarzała, że obydwie z matką pragną, aby została księgową w Pałacu Dożów. Pani Morek miała tam ponoć jakieś chody i była na to realna szansa. Warunek był jeden: Bożena musiała zdać maturę, a potem przynajmniej zacząć studia zaoczne. Wtedy czekała ją świetlana przyszłość.

A on, jak ten kretyn, całą tę przyszłość przekreślił!

Tylko jak to możliwe, skoro kupował w aptece kondomy? Po pierwszym zbliżeniu przełamał skrępowanie, wszedł do tramwaju i pojechał do Krakowa, aby tam zaopatrzyć się w niewielkie opakowania z napisem „Eros”. Kosztowało go to mnóstwo nerwów. Nie chciał tego robić w Nowej Hucie, gdzie istniało ryzyko, że zostanie wypatrzony podczas tej czynności przez kogoś znajomego. Spaliłby się chyba ze wstydu! Ufał, że zabezpiecza się wystarczająco. Choć wierzył, że gdy dziewczyna robi to pierwszy raz, nie dochodzi do zapłodnienia, miał świadomość, jakie konsekwencje wiążą się

z regularnym współżyciem.

Ochłonął. Usiadł obok Bożeny i otoczył ją ramieniem.

– Twoja matka już wie? – zapytał.

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Bardzo się wściekła?

– Uderzyła mnie w twarz i zwyzywała od najgorszych. Powiedziała... Powiedziała, że przekreśliłam całą swoją przyszłość. Chciała wiedzieć, z kim to mam. – Wskazała na brzuch.

– Powiedziałaś?

– Jeszcze nie. Bałam się, że od razu będzie chciała lecieć do ciebie z awanturą.

W rzeczywistości matce chodziło o adres sprawcy zamieszania, ponieważ miała nadzieję, że córka puściła się z kimś na tyle atrakcyjnym z jej punktu widzenia, aby warto było spróbować wydać ją za niego za mąż albo przynajmniej wycisnąć z tego zdarzenia jakąś konkretną korzyść finansową. A rodzina Beckerów zdecydowanie do atrakcyjnych nie należała. Matka prędej miałaby pożytek z Zygmunta, ale na razie Bożena wołała nie wspominać o tym, że regularnie współżyje z jej kochankiem.

– Wezmę odpowiedzialność – oznajmił przygnębiony chłopak. – Będziemy rodziną. Ty, ja i to dziecko – powiedział, podnosząc głowę.

Nagle poczuł, że jest prawdziwym mężczyzną. Musiał zachować się tak, jak należało. Kochał Bożenkę. Uwiódł ją i teraz poniesie konsekwencje swego czynu. Szybko zaczął snuć plany na przyszłość. Pójdzie do pracy w kombinacie. Maturę może zdawać w technikum wieczorowym. Studia też skończy, tyle że zaocznie. Wiele osób tak robi i jakoś dają sobie radę. A gdzie zamieszkają? No... To już trudniejsza sprawa, ale jak tylko dostanie etat, to zaraz napisze wniosek o przydział albo chociaż lokal w hotelu robotniczym. Podobno sytuacja mieszkaniowa uległa znacznej poprawie. Słyszał niedawno, że w ubiegłym roku w Nowej Hucie oddano do użytku stutysięczną izbę mieszkalną. A to przecież bardzo dużo!

Dziewczyna słuchała jego wywodów z ogromną ekscytacją. Miał w sobie tyle zapału i optymizmu, że nagle uwierzyła w powodzenie jego planów. A może dobrze byłoby choć raz sprzeciwić się matce i zamiast szukać na męża starego pierdziocha z forszą, związać się z rówieśnikiem i założyć normalną rodzinę? Taką, jakich tysiące zamieszkiwało w mieście. By nie musiała z obrzydzeniem znosić awansów leciwego małżonka. Przecież nigdy nie lubiła, gdy ślinili się do niej starzy, brzuchaci faceci. Wołała młodszych, a ci, niestety, nie byli tak dobrze sytuowani.

Kiedyś pozwoliła jednemu z najstarszych przyjaciół mamy, by pomacał jej piersi. Długo nie chciała się zgodzić, ale w końcu skusił ją banknotem tysiącłotowym. Pokazał go jej, a potem powiedział, że jak mu da przez kwadrans potarrosić cycuszki, to dostanie ten paperek. Nie musi nic więcej robić, wystarczy, że będzie grzeczną dziewczynką. Kiedy w końcu wyraziła zgodę, uniósł jej stanik i obnażył różowe sutki. Zamiast dotykać, zaczął wodzić po nich językiem, obficie ją śliniąc i sapiąc przy tym obrzydliwie. Po chwili rozpiął spodnie i zaczął ocierać się o jej piersi przyrodzeniem. Gruca też tak robił, ale w jego przypadku nie było to tak odstręczające. A zanim ją rozdziewczył, często w ten sposób doprowadzał się do spełnienia.

Jak już było po wszystkim z tamtym starym rozpustnikiem, to schowała do kieszeni kopernika i poleciała się umyć. Szorowała piersi tak długo i starannie, aż poczerwieniały.

*

Nowa Huta spowijała się mrokiem wczesnego, jesiennego wieczoru. Mgliste powietrze, ciężkie od zanieczyszczeń, mocno gryzło po gardle. Nie tak mocno jednak jak dym z papierosów, gdy nastolatki siedzieli na dachu, zaciągając się sportami lub popularnymi.

Karol palił niewiele, ponieważ trener napominał piłkarzy, aby unikali tytoniu oraz alkoholu. Mama też zrzędziła, gdy czuła na jego ubraniu zapach dymu. Nawet mężowi nie pozwalała palić

w mieszkaniu. Jeżeli Wawrzek miał na to ochotę, musiał wyjść na balkon. I nawet nie próbował protestować, gdyż rozumiał gniew żony, która po ośmiu godzinach wędzenia się w biurze pragnęła wracać do mieszkania pachnącego świeżością.

– Co tam, Jane? – zagadnął najlepszego przyjaciela. – Od wczoraj jesteś nieswój. Coś się stało?

Byli sami. Mirga jakiś czas temu przepadł i nie pokazywał się ostatnio na boisku. Chodziły słuchy, że przyłapano go w sklepie, gdy próbował ukraść gorzałkę, i dostał za to bilet do poprawczaka. Koledzy nie do końca temu wierzyli, gdyż Bukano był nadzwyczaj sprytny i nieraz zaskakiwał ich pokazami zręczności. Nie miał jednakże złodziejskich ciągót. Nigdy nie zdarzyło się, aby zwinął coś z domu któregoś kumpla lub tym bardziej jakiegoś koledze. Miał swój prywatny kodeks honorowy i zawsze go przestrzegał. Sasza też zawiódł tego dnia, widąc w ostatniej klasie zawodówki postanowił przyłożyć się do nauki. Wiesiek pracował na drugą zmianę, Gerard i Kuba poleciełi do kina, a wszędobylskiego i wścibskiego Grucy nikt nie potrzebował do szczęścia. Zresztą czy taki spaślak precyśnąłby się przez niewielki otwór wjazdu, którym wchodziło się na dach?

– Mam kłopot – powiedział cicho Jane i zaciągnął się dymem z papierosa.

– Co jest? Powiesz mi, stary? Wiesz, że w razie czego pomogę.

– Nie tym razem.

– Eee... No daj spokój. Aż tak źle? Przecież różneśmy już numery wywijali.

Chłopak pokręcił głową.

– Będę się żenił. Zostanę ojcem.

– Ożeż kurczę blade!

– No, kurczę blade! – powtórzył.

– Bożena?

– Tak.

– Starzy już wiedzą?

– Moi jeszcze nie.

– A pani Morek?

– Wie.

– I?

– Na razie nic. Bożena poinformowała mnie dwa dni temu. Jej matka wpadła ponoć w szal. Na razie nie mam co pokazywać jej się na oczy. Czuję się jak szmata, a nie mężczyzna – stwierdził. – Powiniennem tam pójść i poprosić o rękę Bożeny.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Karol zamyślił się nad słowami przyjaciela. Nie wiedział, jak ma wyrazić swoje wątpliwości, ale chyba powinien uświadomić w końcu zaślepienemu chłopakowi, że jego panna nie cieszy się zbyt dobrą reputacją. Niejeden kolega przechwalał się tym, że coś tam zdołał u niej wskórać. Może nie wszystko, co było do osiągnięcia, ale dostali znacznie więcej niż u innych dziewcząt.

On też się z nią całował i obściskował na klatce schodowej. Pamiętał, jaka euforia go wtedy rozpierała. Bożena łąsiła się do niego niczym kotka i nie robiła uników przed dłońmi błądzącymi po jej ciele. Była pierwszą dziewczyną, której położył rękę na piersi. Dała mu pomacać najpierw przez ubranie, a kilka dni potem dotarł pod bieliznę. Myślał wtedy, że eksploduje. Całowała inaczej niż koleżanki. Pozwoliła, by wsunął język w jej usta. To też było dla niego nowe doświadczenie, ponieważ wcześniej podrywał Basię mieszkającą w tym samym bloku co on, tylko o klatkę schodową dalej. Sąsiadka nie była taka łatwa w obejściu. Pozwoliła, by ją wziął w kinie za rękę, a po spotkaniu odprowadził przed drzwi do mieszkania. Zdobył się jedynie na szybkiego całusa, za co zaraz spiorunowała go wzrokiem.

Bożena nie robiła żadnych ceregieli. Całowała się z nim w czasach, gdy najczęściej widywano ją z Wieskiem. A znowuż z nim kręciła, zanim zaczęła flirtować z Jane. Kalita był już dojrzałym mężczyzną. Na pewno nie zadowoliliby się trzymaniem za rękę i niewinnymi całusami. Czy to on pozbawił ją zahamowań i sprawił, że pozwalała chłopakom na macanki?

A może powodu należało szukać gdzieś indziej? W szemranej opinii, jaka przyłgnęła do jej mamy? Ludzie gadali, że pani Morek lubi dobrą zabawę. Niby pracowała na pół etatu, ale jak na

kwiaciarkę powodziło jej się stanowczo zbyt dobrze. Nikt nie słyszał nigdy o ojcu Bożeny.

Celina twierdziła ponoć, że byli małżeństwem, ale tuż po ślubie popadli w konflikt, w rezultacie którego mąż wyjechał do stolicy, by robić karierę w partii. Wzięli szybko rozwód. A pieniądze na ładne stroje i wystawny tryb życia ma właśnie od niego. Zresztą mieszkanie w bloku przy osiedlu Zgody też było jego zasługą. Tylko czy nie rozmijała się z prawdą?

W końcu nie wytrzymał i zapytał prosto z mostu:

– Jesteś pewny, że to twoje?

Słyszac go, Jane zerwał się jak oparzony. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał skoczyć przyjacielowi do gardła.

– Na mózg ci padło? A czyje niby miałyby być? Pewnie, że moje.

– Uspokój się. Tak tylko pytam, bo chłopaki różnie gadają...

– Pieprzą trzy po trzy, bo żaden nic u niej nie wskórał. Była dziewicą, jak zaczęliśmy się spotykać.

Karol nie dowierzał słowom przyjaciela. Próbował przekonać go do swoich racji tak, aby ujawniać jak najmniej szczegółów. Jane był jednak zaślepiony i kurczowo obstawał przy swoim. Rozmowa zakończyła się ostrą kłótnią i tylko włos ich dzielił od tego, by wzięli się za łby.

– Nie chcę cię więcej widzieć – rzucił Jane i zaczął zlizić z dachu. – Nie pokazuj mi się na oczy, póki nie odszczekasz tych wszystkich oszczerstw!

Był głęboko rozczarowany postawą przyjaciela. Tak naprawdę liczył na to, że Karol wysłucha go ze zrozumieniem, a potem będzie świadkiem na jego ślubie z Bożenką. Bo co do tego, że będzie się z nią żenił, nie miał najmniejszych wątpliwości. Nawet jeśli nie teraz, to za jakiś czas na pewno to zrobią.

*

Początkowa wściekłość na córkę ustąpiła. Celina szybko zaczęła snuć plany wybrnięcia z nieciekawej sytuacji. Z wyliczeń wynikało, że smarkula zaciążyła w lecie. Mogła być w drugim miesiącu. Na pewno nie dalej, gdyż od dawna bacznie ją obserwowała i szybko zauważyła pogorszone samopoczucie, zmianę w zachowaniu, a nade wszystko poranne mdłości. To ona uświadomiła dziewczynie jej odmienny stan, a następnie, mimo płaczów i protestów, zawlekła ją do swojego ginekologa. Lekarz nie wykluczył ciąży i z miejsca zlecił badanie krwi i moczu. Doświadczona kobieta nie musiała czekać na wynik. Rozpoznała objawy bez trudu, gdyż sama miewała je już kilkakrotnie. Mimo globulki Zet i kondomów Eros. Na szczęście takim problemom łatwo było zaradzić. Przecież nie mogła pozwolić, aby ta głupia dziewczucha zniweczyła ich plany na przyszłość. Zanim jednak dała lekarzowi odpowiedź na pytanie, czy ma wypisać skierowanie na zabieg, postanowiła sprawdzić, kto stoi za kłopotami córki.

A nuż zrobił to jakiś jej klient, który okaże się na tyle przyzwoity, że weźmie na siebie odpowiedzialność? Wszak chodziło o smarkulę, której ledwo urosły piersi. Ktoś nieciepozbawił niewinności biedną dziewczynę.

Po powrocie do domu wzięła ją ostro na spytki, lecz ta szła w zaparte i o niczym nie chciała powiedzieć. I tak przez kolejne trzy dni. Celina uzyskała tylko informację, że nie jest to nikt z jej znajomych. W końcu nie wytrzymała i zaczęła kombinować w inny sposób.

– Skoro nie chcesz powiedzieć, komu zawdzięczamy twój kłopot, to lepiej powiedz, kogo z moich przyjaciół możemy próbować w to zrobić. Czy któryś z nich próbował się do ciebie dobrać? No? Gadaj! Na pewno tak było! – stwierdziła, widząc, że córka milczy.

Zacząła wymieniać po kolei swoich znajomych, na co Bożena parsknęła w końcu śmiechem.

– Co? Zgadłam? Który z nich włożył ci łapy pod spódnice?

– Próbowali chyba wszyscy – odparła w końcu dziewczyna i zrobiła niewinną minkę.

– A komu się poszczęściło? – zapytała spokojniej matka. – Prócz tego gnojka, który zmajstrował

ci bachora.

– Nie powiem ci.

– A więc jednak! Nie bądź głupia, mów. Nie rozumiesz, że to szansa, abyśmy coś dla ciebie ugrały? Może on się z tobą ożeni? Albo będzie płacił na dziecko tyle, że ustawi cię do końca życia.

– Taa... Akurat – burknęła córka.

– Nie bądź uparciuchem. To dla twojego dobra. Skoro spodobał ci się na tyle, że pozwoliłaś, żeby ci wsadził, to czemu nie miałabyś spróbować zawlec go do urzędu?

– Nie damy rady.

– Zobaczymy. Powiedz mi tylko, kogo trzeba urobić.

– Zygmunta.

– Zygmunta? A to ci gnojek! Już ja mu pokażę, gdzie raki zimują!

Cały spryt Celine polegał na tym, że jej adoratorzy niewiele wiedzieli o swoim istnieniu. Dbała o to, aby każdy z nich myślał, że ma ją na wyłączność. Pilnowała harmonogramu ich wizyt, żeby były bezkolizyjne. Często odwiedzała mężczyzn w ich mieszkaniach lub wynajętych pokojach, ponieważ to było najbezpieczniejsze rozwiązanie. Kłamała jak z nut, że dużo pracuje i jak ciężkie jest życie samotnej rozwódki, gdyż na ich potrzeby wymyśliła sobie stosowny życiorys. Na ile jej w to wierzyli, trudno ocenić. Niemniej jednak nigdy żaden nie nazwał jej kurwą. Większość z nich miała żony, ale Zygmunt... Ten zdaje się był kawalerem.

*

– Zwariowałaś! – wykrzyknął na wieść o tym, że zostanie ojcem. – Miałbym niby zmaistrować bachora tej małej dziwce? Ja? A czemu nie ktokolwiek inny?

– Bo to porządna dziewczyna, a ty ją uwiodłeś!

– Porządna? – W głosie Grucy słychać było ogromną zaciekłość. – Porządna to ona nawet we wózku nie była. To przecież urodzony kurwiszon. Owszem, stukałem ją. Ale robili to też chyba wszyscy twoi znajomi. Myślisz, że nie wiem? – wycedził, gdy spojrzała na niego z wyrazem zdziwienia na twarzy.

– Kurwa, choćby stanęła na głowie, aby zachować dyskrecję, zawsze pozostanie kurwą.

– Jak śmiesz!

– Moja droga, sama mnie do tego zmusiłaś. Tak się składa, że jako oficer bezpieczeństwa jestem wyjątkowo dobrze poinformowany. Już ja dobrze znam twoich przyjaciół. Myślisz, że czemu mój stryj załatwił ci kawalerkę? – zapytał z przekąsem.

Milczała, niebywale zaskoczona.

– Dostałaś ją po to, abyśmy mogli obserwować i zbierać materiały na twoich kochasiów. Masz podsłuch w mieszkaniu, złotko.

– Łżesz jak pies!

W odpowiedzi parsknął śmiechem. Podszedł do politurowanej meblościanki i pogrzebał w jednej z szuflad. Wyjął z niej taśmę i założył ją na magnetofon szpulowy. Przez chwilę słychać było jakieś trzaski, potem rozległy się znajome głosy.

– Widzisz, mała? To prawdziwy kopernik. Miałas już kiedyś takiego w ręce? To cała fortuna! Niektórzy muszą na niego tyrać ze dwa tygodnie.

– No jasne!

– A chcesz go dostać?

– Niby od pana?

– Ode mnie.

– Tak po prostu? – zapytała z przekąsem Bożena.

– No tak. Wystarczy tylko, że dasz mi przez kwadrans pobawić się cycuszkami. Kwadrans... – judził mężczyzna – zamiast dwóch tygodni mozolnej roboty.

Zygmunt przesunął taśmę dalej.

– O, teraz będzie mój ulubiony moment – oznajmił.

Z głośnika dobiegało mlaskanie i sapanie oraz dziewczęce jęki.

– O tak, mała. O tak. Bierz go między cycuszki. Widzisz, jaki wielki potwór?

Znowu przewinał nagranie. Tym razem córka rozmawiała z kimś innym. Podobna propozycja, nieco inna stawka, zbliżone odgłosy jęków i posapywania.

– Dosyć! – krzyknęła zdenerwowana Celina. – Nigdy więcej nie chcę cię widzieć, ty gnido!

– Pomału, droga pani, pomału! – Złapał ją za nadgarstek i zmusił, aby znowu usiadła.

– Czego chcesz? Ty... ty... – zająknęła się, gdy zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Licz się ze słowami. Nie zapominaj, że rozmawiasz z funkcjonariuszem SB. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, że mam dość władzy, aby wyrzucić was z tego mieszkania na zbity pysk? Chciałabyś świadczyć usługi na ulicy? – Zmroził ją spojrzeniem. – Nie będziesz coraz młodsza. Spójrz w lusterko, moja droga. Jeszcze trzy, cztery lata i będziesz za stara nawet na ulicę. Chcesz tego? – przemawiał nieprzyjemnie łagodnym tonem.

Bez słowa pokręciła głową.

Stanął nad nią i ścisnął dłonią jej twarz.

– W takim razie wszystko pozostanie po staremu. Wyskrobiesz gówniarze tego bachora, a ja będę was nadal odwiedzał. Obydwie. I jak przyjdę przelecieć twoją córusię, to pójdziesz grzecznie do kuchni, żeby poczekać na swoją kolej. A jak zechce z nią zrobić to jakiś inny *wujek*, to też nie będziesz się wtrącać, bo nam potrzebne są materiały na tych wszystkich starych zbereźników. Może nawet dostaniesz czasem zadanie ekstra i pociągniesz któregoś z nich za język, aby powiedział coś ciekawego. No, nie za darmo, oczywiście – uzupełnił, widząc wściekłość malującą się w jej oczach. – Przecież nie od dziś jesteście, obywatelko, na liście płac bezpieczeństwa. A, jeszcze jedna sprawa – dodał na koniec. – Nigdy więcej nie waż się krzyczeć na moją małą pieścioszkę. Wszak niedaleko pada jabłko od jabłoni.

*

Po powrocie od Grucy matka spokojnym tonem poleciła córce, by się ubrała i wyszła z nią na spacer. Poszły na łąki, gdzie było odludnie i nikt nie mógł ich podsłuchiwać. Tam słowo w słowo powtórzyła jej całą rozmowę z Zygmuntem. Nie pominęła najmniejszego szczegółu, dodając od siebie mnóstwo nieprzyjemnych epitetów i szarpiąc ją w gniewie za włosy. Straszyla dziewczynę przy tym ile wlezie, że od teraz również ona będzie musiała sypiać za pieniądze z tymi wszystkimi starymi obleśnymi facetami. Pozwalać, aby wsadzali jej swoje przyrodzenia. Robić im dobrze, kiedy tylko zechcą i jak tylko zechcą. Bez grymasu niechęci na twarzy. Z promiennym uśmiechem i miłym słowem. Bo tak wygląda praca prostytutki.

Opowiadała tak dosadnie o tym, co mężczyźni robią czasami w łóżku albo co trzeba robić im, aby zarobić na utrzymanie, że Bożena zwymiotowała z obrzydzenia.

– Tego właśnie chciałaś? – krzyczała w uniesieniu Celina. – Myślałaś, że sypiam z nimi dla przyjemności? Nigdy w życiu! Dla każdej kobiety jest to poświęcenie, a cóż dopiero dla mnie. Gdybyś się szanowała i wyszła dobrze za męża, tak jak ci radziłam, znosiłabyś zachcianki tylko jednego chłopca. A teraz swoją głupotą doprowadziłaś do tego, że będą ci to robili wszyscy, których przyprowadzi nam Gruca!

– Mamo, nie... – Zanosila się płaczem. – Ja nie chcę! Nie chciałam... Ja już nigdy...

– Nie chciałaś? Już ja słyszałam na tej cholernej taśmie, jak nie chciałaś! Zmarnowałaś sobie życie, idiotko!

– Wyjedźmy stąd – zaproponowała córka. – Ucieknijmy przed Grucą.

– Zwariowałaś! Myślisz, że bezpieczeństwa nas nie znajdzie? Oni wiedzą wszystko.

– A gdybym wyszła za męża? Za tego, kto mi to zrobił?

– A wiesz ty chociaż, z kim ten dzieciak? – zapytała zgryźliwie Celina.
– Wiem.
– Taa... Równie dobrze może być Zygmunta. Albo z kim tam jeszcze coś miałaś.
– Czy to ważne? Ten chłopak uwierzył, że to jego dziecko.
– No ładnie. Czyli faktycznie sama nie wiesz, kto ci je zrobił. I na dodatek mówisz, że to jakiś chłopak – jęknęła. – Smarkacz? Ile ma lat?
– Będzie zdawał maturę.
– Psiakrew! Wybij go sobie z głupiej łepetyny! Zygmunt na pewno się na to nie zgodzi.
– A co ty się tak przed nim trzęsiesz? – burknęła nastolatka.
– Lepiej, żebyś i ty zaczęła się go bać. Jeszcze nie wiesz, do czego są zdolni tacy jak on. Widziałam na własne oczy, jak przesłuchuje się kobiety. A dużo nie trzeba, aby trafić na takie przesłuchanie. O tym też mam ci opowiedzieć ze szczegółami?
– Nie – odparła wystraszona nastolatka.
– To siedź na dupie i rób, co ci się mówi. Po niedzieli pójdziemy do lekarza po skierowanie na zabieg. We wtorek, bo wtedy mam wolne w kwaciarni. Masz chodzić do szkoły i zachowywać się jak gdyby nigdy nic. I niech cię ręka boska broni, abyś dalej łąziła z tamtym gnojkiem. Od teraz będziesz rozkładać nogi wyłącznie dla tych mężczyzn, na których zgodzi się Zygmunt.
– Mamo! Czemu ty się go tak boisz? – wykrzyknęła.
Kobieta spojrzała na nią wyjątkowo zimnym wzrokiem. Miała nieprzeniknioną twarz, pozbawioną jakichkolwiek emocji.
– Zapewniam cię, że wolisz tego nie wiedzieć.

*

Wiadomość o kłopotach Jane szybko rozeszła się wśród przyjaciół. Nie minęły trzy dni, a cała paczka wiedziała, że kolega będzie się żenił. Wiedzieli też o sporze Beckera i Pawłowskiego. I choć po cichu przyznawali rację Karolowi, woleli nie zabierać głosu w tej sprawie. Jedynie Wiesław, jako najstarszy z całej zgrai, podjął próbę wyperswadowania koledze ożenku. Wyciągnął go w ich ulubione miejsce na dachu i tam przez blisko godzinę przemawiał mu do rozsądku. W końcu, widząc, że nic nie osiągnie, machnął ręką i odpuścił.

Sprawczyni całego zamieszania nie pokazywała się od kilku dni na boisku. Jane chodził struty, ponieważ nie miał pojęcia, na czym stoi. Ukochana kategorycznie zabroniła mu przychodzenia do siebie, póki nie udobrucha matki choć trochę. On jednak źle się z tym wszystkim czuł. Zamierzał udowodnić, że jest prawdziwym, odpowiedzialnym mężczyzną. Był już pełnoletni, chciał podejmować dorosłe decyzje.

Myślał, że o ciąży Bożenki powiedzą jego rodzicom wspólnie. Beckerowie ją znali, ponieważ kilka razy wpadła do niego z paczką przyjaciół. Wiedzieli, że jest jego dziewczyną. Ojciec nawet napomniął go, aby się pilnował. Matka też wtrąciła wtedy swoje trzy grosze, mówiąc, żeby czasem nie strzeliło mu do łba żądanie od panny dowodu miłości.

Sęk w tym, że on dostał ten dowód już wcześniej.

Czas naglił. Jane miał skryzalizowane plany na przyszłość. Zdążył napisać podanie do działu personalnego w hucie, aby przyjęli go do pracy. Jeszcze go nie złożył, ponieważ miał cichą nadzieję, że jego rodzice i matka Bożeny pomogą im choć trochę – tyle, żeby spokojnie mógł zdać maturę.

W końcu, po tygodniu niepewności, nie wytrzymał i poleciał pod dom ukochanej. Odczekał do momentu, aż pani Morek opuściła blok, a następnie wbiegł po trzy stopnie naraz na pierwsze piętro.

– Jane! Co ty tutaj robisz? – zapytała Bożena.

Była przerażona po ostatniej rozmowie z matką. Za nic w świecie nie chciała, aby spełniły się wszystkie jej wizje.

– Musiałem cię zobaczyć. Nie wiem, co się dzieje!

Wpuściła go do mieszkania. Nie panując nad łzami, powiedziała mu, że matka wciąż jest na nią wściekła i kategorycznie zabroniła im się spotykać. A dziecko ma usunąć.

– Nigdy więcej cię nie zobaczę? – zapytał oszołomiony chłopak.

– Nigdy. Nie wolno mi się już z wami zadawać. Mam chodzić do szkoły, po lekcjach wracać prosto do domu i we wszystkim słuchać mamy. Nie pójdziemy więcej na spacer ani do kawiarni.

– A nasze plany na przyszłość? Ślub, wspólne zamieszkanie, moja praca?

Pokręciła głową.

– Mama nie pozwoliła. We wtorek idziemy do lekarza. – Zwiesiła głowę, a po jej policzkach toczyły się łzy. – Boję się, Jane. Słyszałam, że mnóstwo kobiet nie przeżywa tego zabiegu. Wykrwawiają się po wszystkim na śmierć.

– Nie! O Boże! O czym ty mówisz? – wykrzyknął przerażony, a ona zaczęła szlochać i snuć czarne wizje.

Serce pękało mu, gdy słyszał to wszystko.

Co ze mnie za mężczyzna? Wpędziłem ją w poważne kłopoty, a teraz jeszcze miałbym spokojnie patrzeć na to, jak ktoś ją krzywdzi?

Otarł kciukami łzy płynące po jej policzkach. Pocałował ukochaną w czoło.

– Nie płacz, maleńka. Coś wymyślimy.

Pocieszał ją jeszcze przez chwilę. Potem, głęboko zafasowany, pożegnał się i wyszedł.

Miał mało czasu, ale wiedział, że musi szybko coś zrobić. Na szczęście od kilku miesięcy odkładał na kupno gitary. Nie były to wielkie oszczędności, ale na pewno się przydadzą. Postanowił, że opowie o swoim problemie rodzicom, może oni pomogą. Pewnie nie wezmą do siebie Bożeny, bo i bez niej mieli nieprawdopodobny ścisk w mieszkaniu, ale on nie mógł dopuścić, aby ukochaną spotkała jakaś krzywda.

Musi ją uratować. Ma na to pięć dni.

*

Pod koniec października wśród kolegów rozeszły się wieści o ucieczce Jane z Morkówną. Nikt nie miał pojęcia, gdzie przepadli. Wiadomo było tylko, że chłopak rzucił szkołę. Karol chodził niepocieszony, ponieważ rozstał się z przyjacielem w gniewie. Martwił się też, że nie zdołał go powstrzymać przed pochopnym krokiem.

Pomyślał, że mimo wszystko zajrzy do Beckerów i spróbuje dowiedzieć się czegoś na ten temat. A nuż usłyszy na przykład, że Jane zachorował i dlatego nie chodzi do szkoły?

Niestety *Frau Helga* nie miała dla niego dobrych wieści.

– Będzie ze dwa albo i trzy tygodnie jak powiedział, że ma kłopot ze swoją *Fräulein*[11]. A tak go przestrzegałam, żeby był rozważny! Uparł się, że weźmie ślub. Chciał ją tutaj przyprowadzić, ale ja nie dałam zgody. Bo mamy ciasno. *Nein!*

– Czy on się z nią ożenił?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Ale mieszkają razem gdzieś na wsi. Jak już się urządzą, to nas do siebie zaproszą. Ale na razie nie chcą, żeby ich odwiedzać. Ani mówić komukolwiek, dokąd pojechali. Bo ta jego *Fräulein* chyba uciekła z domu. Zła jestem na niego o to. I że rzucił szkołę, *Armleuchter*[12].

– Gdyby tu przyszedł, proszę mu powiedzieć, że o niego pytałem. Chciałbym się z nim spotkać i pogadać.

Zamienili jeszcze parę słów, a potem się pożegnał.

W drodze do domu wpadł na Mirgę. Ucieszył się na jego widok, bo to oznaczało, że wieści o poprawczaku stanowiły jedynie głupią plotkę. Kolega wyglądał fatalnie i był wyjątkowo posępny.

– Serwus! A tobie co? – zagadnął. – Po twojej minie widzę, że coś nie gra.

– Nic takiego. – Wzruszył ramionami i szczerzej otulił się kurtką, gdyż z nieba siąpił deszcz.

– A gdzie cię niesie?

– Tak sobie łązę bez celu – odparł.

– No to chodź do mnie na telewizję – zaproponował Karol. – Co masz moknąć jak kura?

Bukano nie wyglądał na chętnego, ale chyba i do domu się nie spieszył, bowiem w końcu kiwnął głową, że pójdzie.

– Mów, co u ciebie słychać. Ostatnio rzadko pokazujesz się na boisku.

– Ano nic takiego. Zahaczyłem się w kombinacie, ale nie wiem, jak długo tam wytrzymam. Gorąc jak diabli, harówka taka, że pot leje się po dupie. Ni cholery nie mogę się przyzwyczaić, choć niby nam pasuje z tradycji hutnictwo.

– Aha. Wcale ci się nie dziwię. Wuj Broniek też robi na kombinacie i nie raz narzekał, że go ta robota wpędzi do trumny.

– No widzisz? A co ja mam powiedzieć? We mnie burzy się krew. My, Romowie, nie usiedzimy spokojnie w miejscu. Nam się dusze wyrrywają na wolność. A ojce mnie chcą zniewolić – zakończył dość dziwacznie.

– O czym ty mówisz?

– *Dej*[13] suszy mi ciągle głowę, że powinienem się żenić.

– Już?

– Już. Według naszych zwyczajów jestem starym kawalerem.

– Co ty pitolisz? W wieku osiemnastu lat?

– A żebyś wiedział. *Gadzio* żenią się później niż my. U nas dwanaście do piętnastu lat to normalka.

– Żartujesz?

– Poważnie. A że mnie się nie pali do tego, żeby brać sobie babę na głowę, to *dej* mi wyszukała jedną taką. Ciągle gada, że mam se ją porwać.

– Nie... No teraz to już sobie kpisz!

– Serio ci gadam. Takie mamy zwyczaje. Dziewczyny się porywa i już. A ja to może bym i porwał, ale nie naszą, ino Polkę – westchnął.

– O ho, ho! Stary! Polka na pewno nie da ci się uprowadzić. Nasze dziewczuchy w takim wieku uczą się w szkołach i nie myślą o małżeństwie.

– Ta, co mi chodzi po głowie, już pomyślała – bąknął.

– Ożeż... Mówisz o...

– Bożenie – skończył za kolegę, a potem wałnął się w pierś, aż grzmotnęło. – Moje serce od dawna bije tylko dla niej – wyznał grobowym głosem. – Ale co zrobić, kiedy Jane mnie ubiegł? Uciekła z nim w siną dal. A może gdybym wcześniej się przy niej zakręcił, to dałaby mi się porwać? Tak mnie zawsze do niej ciągnęło, że nie zdajesz sobie sprawy! Ja bym ją uszanował, nie to co Becker. Nam nie wolno z *czawori*[14] bez ślubu. Bo to grzech.

Karol pokiwał głową ze zrozumieniem i pomyślał, że on chyba też nie mógłby prosić dziewczyny o dowód miłości. Bo gdyby go dostał, to pomyślałby, że taka panna się źle prowadzi.

*

W ostatnią sobotę października cała rodzina zgromadziła się u Pawłowskich. Świętowali pierwszą osiemnastkę w nowym pokoleniu. Dumny ojciec postanowił uczcić tę okoliczność z rozmachem. Goście dopisali w komplecie. Znowu nadarzyła się okazja do tego, aby wspólnie zasiąść przy biesiadnym stole. Wypić kieliszek wódki, zakąsić śledzikiem lub ogórkiem, porozmawiać, pośmiać się, ba, nawet zaśpiewać gromkie „Sto lat!” jubilatowi. Kulka, któremu jak zwykle przy takich okazjach

dopisywał humor, nie bacząc na siedzącą w pobliżu Kazię, sypał kawałami jak z rękawa, oczywiście konspiracyjnym szeptem.

– Jakiś czas po wystawieniu *Dziadów* polska delegacja pojechała do Moskwy. W czasie spotkania na Kremlu Chruszczow zwraca się do Gomułki: „Podobno u was w teatrze wystawiono antyradziecką sztukę?” „No, tak, *Dziady*”, potwierdził pokornie Gomułka. „I coście zrobili?” „Zdjęliśmy sztukę”. „Dobrze. A co z reżyserem?” „Został zwolniony z pracy”. „Dobrze. A autor?” „Nie żyje”. „A... toście chyba przesadzili, towarzyszu” – zachrypiął, a następnie zaniósł się paskudnym kaszlem.

– A co cię tak poniewiera jak jakiegoś gruźlika? – zagadnął Leszek i poklepał go lekko po plecach.

– Tak mnie kaszle już od bardzo dawna. Jak by to matuś wasza powiedziała, taki żem cosik ladacy.

– A u lekarza byłeś? – zatroszczyła się Julka, na co Krysia z miejsca przewróciła oczami, ponieważ nie lubiła, gdy siostra zanadto interesowała się sprawami jej męża. – Może masz jakieś suchoty czy co?

– No... Byłem. Przebadali mnie, ale to na szczęście nie jest żadna gruźlica, choć słyszałam, że mnóstwo ludzi ostatnio choruje. Mnie to tak chyba z tych papierosów męczy – stwierdził z oporami, bo dobrze wiedział, co zaraz usłyszy.

– Widzisz? Zawsze wam wszystkim powtarzałam, żebyście tyle nie kopcili! Nic dobrego z tego nie ma. Zęby i ręce żółkną, oddech nieświeży i wszystko czuć dymem. Na dodatek jeszcze kaszlecie: i ty, i Krysia, i Broniek. Nie przecz, Bronku – zwróciła się do najstarszego brata, który chciał zaprotestować. – Słyszałam i ciebie, jak chyrlasz. Zadbaliście lepiej o swoje zdrowie, bo wszyscy, jak was tu widzę, kurzycie.

– Nie lamentuj, siostrunia, bo się z ciebie robi stara cioteczka. – Leszek puścił do niej oko.

– Ktoś musi o was zadbać – powiedziała dobitnie.

Tak się już utarło, że u Julki w mieszkaniu nigdy nie palili przy stole. Z roku na rok jej nastawienie do papierosów stawało się coraz bardziej radykalne. Wciąż zamęczała rodzinę przytaczaniem jakichś artykułów z prasy na temat badań nad ich szkodliwością. Jak już kogoś przypiliło, wychodził na balkon, gdzie pan domu miał swoją palarnię, czyli ławeczkę, a obok niej stojącą popielniczkę. Zresztą Wawrzek chyba rzadko korzystał z popielnicy, ponieważ zwykle była dokładnie wytarta z popiołu.

Nie zmieniało to jednak faktu, że palili wszyscy i wszędzie. W biurach, na ulicy, w tramwajach i na przystankach. Nawet nastolatki sięgali po papierosy za cichym przyzwoleniem rodziców. Karolowi także zdarzało się zakurzyć, o czym dobrze wiedział Wawrzyniec, który parę razy przyłapał syna stojącego z papierosem w ustach w bramie. Chłopak uprosił ojca, aby nie wsypał go przed matką, bo ta na pewno nie dawałaby mu żyć z tego powodu.

– Dobrze, Leszku, żeś ty zerwał z wojskiem – zmienił temat Kulka. – Jakbyś dalej był w kamaszach, toby cię pewnie odesłali na interwencję do Czechosłowacji.

– No ba! Ominęła mnie wątpliwa przyjemność. Zresztą można było się tego spodziewać. Toć odkąd Dubczek ogłosił konieczność wprowadzenia reform w kraju, wiadomo było, że prędzej czy później komuchy dadzą mu radę. Choć dziwię się, że najgłośniejsi ujadali nasz kościany dziadek i Ulbricht[15]. Pewnie chcieli przypodobać się Breżniewowi, włazidupy cholerne – szeptął.

– Leszku! – syknęła rodzinna strażniczka moralności.

– Przepraszam, Julcia. Tak mi się wyrwało, ale o polityce nie sposób inaczej.

– O ho, ho! Jakiś ty się teraz zrobił cięty na władzę ludową – zauważył Wawrzyniec.

– Jakbyś ty dostał od władzy po łbie i przespał najlepsze lata życia, a potem musiał na nowo uczyć się chodzenia i tego, żeby nie robić pod siebie, to też byś był taki cięty.

– Wiesz, ja nigdy nie byłem przyjacielem pezetpeeru – przypomniał szwagier.

Leszek poklepał go po plecach.

– I słusznie. Bo co to za władza, która bije swoich obywateli? Wiosną sprali naszych studenciaków, nie, Wiesiek? Dostałeś równo po dupie – zwrócił się do młodego mężczyzny – a teraz

tluką Czechosłowaków. W imię czego, ja się pytam?

Przy stole zapanowała ponura atmosfera, gdyż biesiadnicy przypomnieli sobie sprawę Ryszarda Siwca, którą od kilku dni żyła cała Polska. W ramach protestu przeciwko inwazji mężczyzna porwał się na drastyczny krok. Kulka już miał na końcu języka komentarz na ten temat, lecz w porę sobie uświadomił, że ani czas, ani miejsce nie były ku temu odpowiednie.

– Moi drodzy, czestujcież się – zachęciła pani domu gości, by oderwać myśli zgromadzonych od nieprzyjemnych tematów.

Bronek napełnił kieliszki wódką.

– Dobra, kochani. Zdrowie mojego chrześniaka, tego oto pełnoletniego kawalera. I obyś, synu, dożył lepszych czasów niż te, w których nam przyszło stracić młodość.

– Sto lat!

– Sto lat!

Rok 1969

W lutym rodzina powiększyła się o Tadeusza Szymczaka. Kazia oczywiście nie chciała wyrazić zgody na ochrzczenie syna, jednakże tym razem miała przeciwko sobie cały klan ze ślubnym na czele. W końcu, po długich miesiącach nalegań, gdy Leszek zagroził, że zanieśie dziecko do kościoła w tajemnicy przed nią, postanowiła odpuścić.

– A róbcie se, co chcecie. – Wzruszyła ramionami. – Ja z małym gonić na religię nie będę.

– Nikt tego od ciebie nie oczekuje – odparł spokojnie mąż i w te pędy poleciał do Mogiły, aby załatwić sprawę sakramentu.

Na rodziców chrzestnych wybrał Karola i Łucję, narzeczoną Wieśka. Dziewczyna trochę się wzbraniała, że nie powinna trzymać małeństwa do chrztu, póki nie wejdzie do rodziny. Szybko ją przekonał, by nie odmawiała, ponieważ do ślubu zostało raptem parę tygodni. Młodzi chcieli się pobrać jeszcze przed rozpoczęciem roku akademickiego. Otrzymali nawet przydział w domu studenckim i byli bardzo szczęśliwi, że lada dzień zaczną wspólne życie.

Tak się złożyło, że ksiądz ustalił datę chrztu na niedzielę siódmego września. Zaaferowany ojciec nie pomyślał, że tego dnia będzie rozgrywany mecz eliminacyjny do mistrzostw świata i przyjęcie, które zamierzali z Kazią wyprawić na tę okoliczność, zostanie zdominowane przez temat piłki nożnej.

Odetchnął z ulgą, gdy żona mimo wszystko postanowiła ugościć rodzinę. Na szczęście siostry tak się ucieszyły na wieść o chrzcinach, że zaraz zadeklarowały pomoc w organizacji poczęstunku. A on cieszył się jak dziecko, bo pamiętał, jaki wstyd odczuwał podczas chrztu Dariusza, gdy wszystko odbywało się na koszt i wysiłkiem rodziny, a za to bez najmniejszego udziału Kazi. Taka była uparta!

Po przyjęciu matula trochę utyskiwała, że zamiast radować się z ceremonii, stare konie – jak określiła zięciów oraz synów – pousadzały tyłki przed odbiornikiem telewizyjnym, rycząc na całe gardło, gdy Polacy strzelali Holendrom bramki. Krzywiła się też na słowa, jakie padły, kiedy Hubert Kostka przepuścił jedyne gola.

– No mogłabym się nie dziwić dzieciakom. Takiemu Melkowi albo Darkowi. Ale że wy do tego stopnia zdurniejecie, to do niczego niepodobne! – suszyła potem głowę pierworodnemu, który zainicjował włączenie mocno śnieżącego belwedera.

– Darujcież, matulu – kajał się winowajca – ale choć tyle człek ma radości, że się pocieszy, gdy nasi wygrywają. Szkoda, że Karola nie wzięli do drużyny narodowej. Od dawna chłopak trenuje. Co się nagoni za piłką! Radzi byśmy zobaczyli, jak ciągnie naszych do zwycięstwa. Wiesz, jaki Jędrus byłby szczęśliwy?

– Oj tak... pocziwina. Siedzi teraz pewnie u Pana Boga za piecem i cieszy się, że nasi piłkarze

odnieśli sukces – odparła udobruchana.

Władzia głęboko wierzyła w miłosierdzie najwyższego pośród sędziów. Jej syn nie mógł ot tak szczerząc w czeluściach piekła. Wszak wypowiadał się z grzechu śmiertelnego. Za błędy młodości odpokutował całą resztą swojego żywota. A i zginął jak bohaterski męczennik: w obronie krzyża, niosąc na ramionach ciężko rannego brata. Czyż to mało?

Święty chłopak! Święty!

*

Jesień, jak to jesień – trochę kaprysiła. Raz dawała nadzieję na ostanie pogodne dni, flirtując z mieszkańcami Nowej Huty ciepłem promieni słonecznych, to znowuż gnębiła ich, zacinając zimną mieszaniną śniegu i deszczu.

Tego dnia mocno siąpiło. Ludzie przemykali chyłkiem, kuląc się pod parasolkami. Wiatr szarpał poły płaszców, zrywał czapki z głów, wyciskał z oczu łzy.

Drobna osóbką w kurtce z kapturem gnała co tchu do tramwaju. Stopy obute w mocno znoszone kozaki rozbryzgiwały błotniste kałuże, których powierzchnię chłód pokrył cieniutką skorupką lodu. Dziewczyna czerwonymi, zgrabiałymi dłońmi podtrzymała liche okrycie głowy. Dzień wcześniej zgubiła czapkę. Kulila się z zimna. Musiała dobiec na przystanek, nim motorniczy zamknie drzwi tramwaju i odjedzie w stronę centrum. Wprawdzie mogłaby poczekać na następny pojazd, lecz nie uśmiechało jej się stanie w opadach na tym wietrze. Szczęście w postaci ogrzewanego wagonu było coraz bliżej. Jeszcze tylko parę kroków!

Nagle ktoś nieopatrznie zaszedł jej drogę. Jakiś mężczyzna skręcił z bocznej alejki, nie oglądając się na boki. Rozpędzona wpadła na niego, odbiła się od pleców i klapnęła pupą wprost w lodową kałużę. Błotnista woda ochlapała nieznanomego. Potracony zachwiał się na śliskim chodniku. Przez chwilę kręcił w powietrzu młynka ramionami, co było mało pomocne przy próbie utrzymania równowagi, jeśli wziąć pod uwagę, że w jednej ręce trzymał czarny parasol, który od razu wywinął się na lewą stronę, a w drugiej teczkę. Wszystko to odbyło się w ułamku sekundy, towarzyszył temu pisk biegnącej, krzyk zaskoczonych przechodni i plusk kałuży, o którą pacnęła dziewczyna.

Ostatecznie mężczyzna zdołał utrzymać równowagę. Zdenerwowany nieprzyjemnym uderzeniem w plecy i pochłapanymi przez rozbryzgującą się wodę nogawkami, zrobił energiczny obrót, aby sprawdzić, kto go tak urządził. Zobaczył gramolącą się drobną postać w zbyt obszernej kurtce i znoszonych butach. Prychnął pogardliwie.

– Jak leziesz, fajtłapo! Schlapałaś mi płaszcz i spodnie!

– Bardzo przepraszam. Wyczyszczę panu to ubranie na własny koszt – usłyszał dobiegający spod kaptura drżący przerażeniem dziewczęcy głosik.

Karol poprawił wywinięty parasol, a później patrzył ze stoickim spokojem, jak niezdara staje na własnych nogach i ogląda swoje nie dość że zmarznięte, to jeszcze upaprane błotem ręce, a potem grzebie za czymś po kieszeniach. Na twarz nieznanomej opadał kaptur, więc nie widział właścicielki brudnych dłoni i piskliwego głosiku. Domyślił się jednak, że owo gorączkowe grzebanie ma na celu odszukanie czegoś do wytarcia brudu. Trochę mu się zrobiło żal tego dygoczącego chuchra, więc wcisnął aktówkę pod pachę i z kieszeni prochowca wyjął własną chustkę.

– Trzymaj – burknął, wyciągając ją w stronę dziewczyny.

– Dziękuję panu. Bardzo dziękuję i przepraszam – pisnęła, zrzucając z głowy kaptur.

Karol zobaczył mocno zaczerwieniony nos i policzki, pozlepiane, wilgotne kosmyki płowych włosów i niebieskie oczy, które patrzyły nań ni to z przestachem, ni to z ciekawością.

Dziewczyna sapnęła z przejęcia. Znała tę przystojną męską twarz o mocno zarysowanej żuchwie pokrytej cieniem zarostu. Znała te przenikliwe ciemnobrązowe oczy okolone gęstwiną czarnych rzęs, których nie powstydzilaby się żadna ślicznotka. Znała kształt ust i wiedziała, że pod szalikiem w kratkę

znajduje się szyja z wydatną grdyką.

Zapamiętał baczki, jego włosy też były teraz znacznie dłuższe, niż zapamiętała. Nie nosił jednak wąsów, choć zdominowały aktualną modę. Wyglądał znacznie poważniej niż wtedy, gdy rozmawiała z nim pierwszy raz. Ubrany był z miejską klasą i nonszalancją. Miał na sobie gładką popielatą jesionkę o modnym kroju, spod której wyłaniały się rozszerzone dołem nogawki spodni w delikatną kratkę. Starannie ułożony szal, który wystawał spod kołnierza płaszcza, odpowiadał deseniem i kolorystyką materiałowi spodni. Dłonie mężczyzny chroniły przed zimnem skórzane rękawiczki, a na głowie miał kaszkiet przekrzywiony zawiadacko i stanowiący komplet z szalikiem. Uosobienie elegancji!

Zdecydowanie nie wypadło, aby taki morus jak ona: odziany w złachaną ortalionową kurtkę z podpinką, stare kozaki i spodnie o fasonie sprzed kilku lat, które to rzeczy w komplecie otrzymała w darze od zamożniejszej i znacznie dorodniejszej kuzynki, zwracał się do takiego efekciarza per ty. Gdzie jej tam było do miastowych eleganek?

Dziewczyna zmarkotniała na myśl, że dla beznadziejnej mrzonki wywróciła do góry nogami całe swoje życie.

Rozdrażniony mężczyzna już zaczął odwracać się w stronę przystanku. Nagle usłyszał niepewne:

– Pan Karol? Karol Pawłowski?

Spojrzał jeszcze raz na to chude i liche stworzenie, które omal nie pchnęło go w błotniste bajoro.

Skąd ona mnie zna?

Z całą pewnością nie była żadną z sąsiadek. Nie mogli chodzić razem do szkoły – wyglądała na znacznie młodszą od niego. Tym bardziej nie mogła być studentką Akademii Górniczo-Hutniczej – zresztą tam prawie w ogóle nie widywało się dziewcząt.

Koleżanka Zośki? Eee... Chyba nie. Pewnie bym zapamiętał – pomyślał, gdyż liczne grono przyjaciółek obydwu jego sióstr często odwiedzało mieszkanie na osiedlu Centrum D i choć zazwyczaj umykał przed tymi szczebiotkami do swojego pokoju, to zdarzało się, że dziewczyny pod byle pretekstami zwracały mu głowę. *Mimo wszystko za stara na towarzystwo takich smarkul.*

– My się znamy? – wyraził zdziwienie obiekt wielu dziewczęcych marzeń i westchnień, mrużąc lekko powieki, gdyż ostatnio przemęczył wzrok ślęceniem nad podręcznikami.

– No... Tak. Pan mnie nie pamięta? – Chudzina wyglądała nie tyle na zaskoczoną, ile zmartwioną.

– No, to może zechcesz odświeżyć moją pamięć? – zapytał mało zachęcającym tonem. Uznał bowiem, że skoro dzierlatka zwraca się do niego poprzez formę pan, to z całą pewnością nigdy nie łączyło ich żadne koleżeństwo. I raczej nie był z nią nigdy ani w kinie, ani w kawiarni, ani nawet na tej samej prywatce. Zresztą nie wyglądała na kogoś, kto chodzi na fajfy.

– Weronka – pisnęło dziewczę. A on znowu zaczął się głowić.

– Jaka Weronka? – wyartykułował.

– No... Z Piotrowic. Pan mnie nie pamięta? Trochę ponad rok temu... Łowiliśmy razem ryby w jeziorku.

– Aa... A. A! Weronika. – Rozpoznał w końcu towarzyszkę najnudniejszych wakacji w prawie dorosłym życiu. Jego twarz z miejsca złagodniała, a w oczach pojawiła się odrobina ciepła. Zaraz też przypomniał sobie o dobrym wychowaniu i przesunął parasol nad moknącą w deszczu. – Co ty tutaj robisz, dziewczyno! I czemu tytułujesz mnie per pan, skorośmy się razem taplali w przybrzeżnych szuwarach? – zapytał, a ona poczerwieniała jeszcze mocniej, gdyż w tych szuwarach to nie tylko się taplali, ale również całowali się i szeptali sobie różne czule słówka. A on chyba zdawał się tego nie pamiętać, gdyż najpierw jej w ogóle nie rozpoznał, a potem nie okazał jakiegokolwiek ekscytacji na jej widok.

Gdy wyjechał w sierpniu z Pawlic, bardzo za nim tęskniła. On zaś przysłał z Nowej Huty tylko jedną kartkę pocztową. Że pozdrawia i miło mu było ją poznać. Nie mogła odpisać, ponieważ nie podał adresu zwrotnego. Oczywiście mogłaby pójść do biblioteki i poprosić jego ciotkę o adres, ale paraliżował ją wstyd i strach, że zostanie źle zrozumiana, choć panna Dorota nie należała do tych, co wyśmiewają się z ludzi. Ale przecież nie wypadło, aby dziewczyna pisała listy do kawalera. Poza tym jak pisać,

skoro on taki czytany i wykształcony, a ona ledwo skończyła podstawówkę? Na wsi na naukę nie było czasu, a i jej nie ciągnęło do książek. Jeszcze popisałyby jakieś głupoty, na dodatek z błędami, i byłby wstyd!

Niepokorne serce wciąż mocno stukało na samo wspomnienie o Pawłowskim. Mijały kolejne miesiące, a on nie przyjeżdżał. Być może zaglądał czasami do swojej babci, lecz zapewne robił to w towarzystwie rodziny. Zawsze przybywali do Pawlic pięknym, lśniącym samochodem, nigdy pekaesem, więc nie widywała ich na gościńcu wiodącym z przystanku. Nie zobaczyła Karola w następne wakacje, choć nad wodą pojawiły się jego młodsze siostry. Czasami słuchała ich szczebiotania i raz udało jej się wywnioskować, że ich brat pojechał na jakiś obóz piłkarski czy coś podobnego. Pomyślała wtedy, że biedak nie ma zbyt dużo wolnego czasu. Bo i wciąż się uczy, i gra w piłkę nożną, o której wspominał w ubiegłym roku, i chodzi pewnie na mnóstwo innych zajęć. Ale gdyby ona rzuciła pracę w pegeerze, bo i tak jej nie lubiła, a potem wyruszyła w wielki świat, to kto wie, czyby go gdzieś tam nie odnalazła?

Przecież całował tak słodko! Z taką pasją! Z uczuciem!

Odmieniłby serce aż tak szybko?

– Ja... – zająknęła się. Nie mogła mu powiedzieć, że przyjechała do Nowej Huty specjalnie dla niego. I że tygodniami marzyła, aby go spotkać. Było jej też głupio, bo jak już marzenie się spełniło, to stała przed nim z mokrym tyłkiem i brudnymi rękami. – Przyjechałam tu do pracy – podała najrozsądniejsze wytłumaczenie, jakie jej przyszło na myśl.

– A to pięknie! Spieszysz się dokądś? – zapytał.

– Eee... Nie. Właściwie wracałam do domu. Tramwaj mi uciekł. – Wskazała opustoszały przystanek.

– No trudno, przyjedzie następny. A na razie chodźmy do kawiarni! – zaproponował. – Pogadamy, opowiesz mi, co u ciebie słychać. I zagrzejesz się przy okazji, bo widzę, że trzęsie cię z zimna.

Karol z miejsca ugryzł się w język i pożałował zaproszenia, ale oczywiście było już za późno, gdyż Weronika przystała na nie z prawdziwym entuzjazmem.

I o czym tu gadać z taką nieobytą? O muzyce? A wie toto chociaż, kim jest grupa The Beatles? O filmach? A było to choć raz w życiu w kinie? O książkach? Eee... Też nie wygląda mi na taką, która by cokolwiek czytała.

Nie miał jednak co roztrząsać rzuconych pochopnie słów. Było zbyt zimno, aby stać na chodniku. Lepiej więc usiąść w jakiejś kafejce, choćby Jubilatce, bowiem ta znajdowała się najbliżej. Wypić coś ciepłego. Może zjeść jakieś ciastko. Pogadać parę minut, a później przeprosić dziewczynę i po prostu się ulotnić. Nie biorąc i nie dając adresu, rzecz jasna. Ani tym bardziej numeru telefonu, bo i po co, skoro ona i tak nie miałyby skąd dzwonić, chyba że z budki telefonicznej – o ile potrafiła – powątpiewał nieco złośliwie. Zdecydowanie nie należała do krezusek, pewnie mieszkała w jakimś hotelu robotniczym albo na stacji.

W Jubilatce było dość pusto. Pogoda nie zachęcała mieszkańców Nowej Huty do wychodzenia. Weronika i Karol zajęli stolik pod oknem. Złożyli zamówienie.

Dziewczyna odmotowała szalik i zrzuciła kurtkę. Pod okryciem wierzchnim miała bury sweterek wydziergany na drutach ładnym ścięciem ze skomplikowanymi warkoczami. Jej wilgotne włosy falowały niesfornie. Wciąż jeszcze lśniły w nich kropelki deszczu. Wyglądała uroczo – mimo ubożego stroju i braku choćby odrobiny makijażu.

Gdyby tak ubrać ją jakoś przyzwoicie, zaprowadzić do ciotki Kazimiery, żeby doprowadziła jej włosy do ładu, pomalować paznokcie i podkreślić oczy, to mogłaby nawet uchodzić za ślicznotkę – przemknęło mu przez myśl.

W domu miał niemalże same kobiety. Zocha, jedenastoletnia panienczka, we wszystkim naśladowała matkę, a tej nie brakowało szyku. Miał więc pojęcie o wszystkich damskich fiu-bździau. Zresztą zawsze otaczał go wianuszek zadbanych koleżanek, a odkąd Wiesław, Jane i Bukano pozakładali rodziny, nie miał konkurencji w podrywaniu dziewcząt. Sasza nie wzbudzał wśród nich aż takiego entuzjazmu – brakowało mu oglady. Gerard był prostakiem, Jakub błaznem, a Gruca wyrósł na opasłego

wieprzka, którego nikt nie lubił, choć wszyscy się z nim liczyli. Karol – przystojny, elokwentny i szarmancki – zdążył już złamać niejedno serduszko. Świadom własnej atrakcyjności, potrafił ją wykorzystać. Panny chętnie się z nim umawiały, a on przebierał w nich jak w ulęgałkach. Być może ta niestałość związana była z wcześniejszym zawodem miłosnym. Bo choć niechętnie przyznawał to przed samym sobą, Bożena utkwiała w jego myślach – mimo wszystko. Kumplom imponował nie tylko wysportowaną sylwetką oraz sukcesami na boisku, ale również dobrym ubiorem, rozpoczętymi studiami na Akademii Górniczo-Hutniczej oraz ojcem na eksponowanym stanowisku. Przyjaciele nieraz pokpiwali, że jest niczym młody bóg. Miał absolutnie wszystko.

Rozpieszczany przez kobiety w domu oraz liczne przyjaciółki, bywał nieco cyniczny i bardzo wymagający. Matka często porównywała go do swego tragicznie zmarłego najmłodszego brata, który mimo kalectwa wzbudzał ogromną sympatię wśród kobiet. To samo mawiała przyszywana teściowa wujka Bronka. Ta twierdziła, że wszystkie Szymczaki mają diabła za skórą. Gdy spotykali się na imieninach wuja lub ciotki, zawsze wypytywała go o sprawy sercowe, a potem stroiła sobie żarty, że takiemu jak on nie oprze się pewnie żadna panna. I właściwie miała rację, ponieważ poza Bożeną ani jedna nie odmówiła, gdy zapraszał na randkę.

Jeżeli nie był na wskroś zepsuty przez te wszystkie omdlewające na jego widok dziewczęta, to tylko dlatego, że od ojca odebrał bardzo zasadnicze wychowanie. Kobiety należało szanować i już. Przelotne romansiki nie były godne uczciwego mężczyzny. Prawdziwa miłość jest na całe życie – jak uczucie, które Wawrzyniec żywił do swej żony. Karol oczywiście starał się przestrzegać zasad wpajanych w domu rodzinnym. Słuchał pouczeń matki w tym samym stopniu, co nauk kładzionych mu w głowę przez ojca. Ale to było bardzo trudne w sytuacji, gdy dziewczęta same zabiegały o jego uwagę. Robiły to niby mimochodem, ale przecież ślepy by zauważył, że regularnie spotyka niektóre panny w określonych miejscach. I że zawsze spoglądają na niego ukradkiem spod na wpół opuszczonych powiek, prostują przy tym plecy, ściągają łopatki, a na ich twarze wypelza zdradziecki rumieniec. Przyzwyczajony był do chichotów.

A teraz siedział przy kawiarnianym stoliku z jeszcze jedną dziewczyną, która patrzyła na niego, jakby był jedynym mężczyzną we wszechświecie. Zasadniczo już to powinno go znudzić, ale w Weronice urzekł go tajemniczy urok nowości. Mimo wszystko. Na pewno cechowała ją inna mentalność niż dziewczęta urodzone w Nowej Hucie czy w Krakowie. Brakowało jej pewności siebie. Nie była tak przebojowa. Miała za to w sobie jakąś autentyczną szczerość. Bez kręcenia odpowiadała na jego pytania.

Opowiadał o kumplach, którzy młodo rozpoczęli samodzielne życie. O Jane, który uciekł z ukochaną, gdy ta powiedziała mu, że spodziewa się dziecka. Żyli teraz w jakiejś wynajętej klitce, klepiąc szczęśliwą biedę. Żadne z nich nie zdało matury: on musiał pójść do pracy, by zarobić na utrzymanie rodziny, ją wyrzucono ze szkoły, by swoim przykładem nie demoralizowała koleżanek. No i oczywiście musiała zajmować się córeczką. Bukano wziął ślub krótko po ucieczce Beckera i zrobił to zgodnie z cygańską tradycją. On także miał już dziecko – synka.

Weronika słuchała go z rozdziawionymi ustami. Nie próbowała przerywać, mizdrzyć się do niego lub udawać zblazowanej. Interesowało ją to, o czym mówił. Ani razu nie spojrzała w tym czasie na zegarek, nie ziewała z nudów. Za szczególnie urzekającą uznała historię młodego Niemca, który porwał się na istne szaleństwo, aby być z ukochaną. Bo przecież mogli pójść na łatwiznę: pozbyć się kłopotu u lekarza, a potem żyć dalej tak, jakby nigdy nic. Nawet ona wiedziała o istnieniu takich możliwości.

– Ach, Karolu, to jest prawdziwa miłość – westchnęła, pomijając w końcu formę „pan”. – Jeżeli chłopak jest gotów dla swojej dziewczyny na poświęcenia, to znaczy, że kocha ją na zabój.

– Niby tak – stwierdził – ale z drugiej strony, gdy mężczyzna kocha kobietę, to nie oczekuje od niej dowodu miłości i nie wpędza jej w kłopoty – stwierdził zadziwiająco chłodnym tonem.

Gdzieś w głębi duszy miał żal do Jane. Bożena była pierwszą dziewczyną, którą pocałował. Takich rzeczy się nie zapomina. Po jej ustach żadne nie miały już tego niezwykłego smaku. Swoim postępowaniem Becker nie tylko zszargał doszczętnie jej reputację, ale naraził także na szwank wieloletnią przyjaźń.

Przecież wiedział, że Morkówna podoba się Karolowi.

Podobała się także Brywkinowi i Mirdze.

Kalita, który pierwszy zaczął z nią kręcić, szybko sobie odpuścił. Być może zrobił to z uwagi na kumpli z boiska. No bo jak inaczej można byłoby wytłumaczyć nagły brak zainteresowania tak atrakcyjną dziewczyną? Niedługo później ożenił się ze studentką poznaną podczas pamiętnych marcowych zamieszek.

– A co ty porabiasz w Hucie? – zagadnął, gdy wyczerpał niezobowiązujące tematy.

– Na razie sprzątam w przedszkolu. Ale se umyśliłam, coby skończyć wieczorówkę. Może wtedy zostałabym przedszkolanką? Lubię dzieciaki – odparła z prostotą.

Sprzątaczką – pomyślał. *Kiepsko. Jak przedstawić sprzątaczkę kumplom?*

– Chodzisz już do szkoły? – Zakładał z góry odpowiedź.

– Jeszcze nie. Ale na pewno rychło zacznę – odparła z determinacją. – Chcę się uczyć. Nie po tom przyjechała do miasta, żeby do końca życia szorować podłogi.

Jej słowa przypadły mu do gustu, choć wcześniej pomyślał, że Weronika pewnie już się uczy, wszak rok szkolny zaczął się niespełna trzy miesiące wcześniej. Ważne jednak, że zdawała sobie sprawę ze swoich niedostatków.

– Szkoda, że nie zaczęłaś nauki już teraz. Byłabyś o rok do przodu.

– Nic straconego. Czas szybko leci. Trochę popracuję, zarobię pieniądze, coś odłożę. Zapisalam się w wydziale kwaterunkowym i czekam w kolejce na mieszkanie – dodała.

– Aa... To widzę, że poważnie myślisz o pozostaniu w mieście.

– Oczywiście! Co za życie na wsi? Robota od świtu do zmierzchu, poniewierka i brak widoków, że będzie lepiej. Gdybym została w Piotrowicach, pewnie za jakiś czas wylądowałabym u boku chłopca, z którym nie byłoby o czym pogawędzić. Zaczęłoby się picie, bicie i beznadzieja. A ja wiem, że można inaczej. Właściwie to dzięki tobie – powiedziała z lekkim onieśmieleniem. – Otwarłeś mi oczy w tamtym roku. Zobaczyłam wtedy, że jest inszy, lepszy świat. I też zachciało mi się takiego życia. No bo skoro udało się twoim rodzicom i Wieškowi Kalicie, i wielu innym osobom, to czego nie miałabym spróbować?

– Miasto bywa zdradzieckie – zauważył. – Nie miałaś obaw przed wyjazdem?

– Ano miałam. Bo to przecież wielkie zmiany w moim życiu. Ale tam już mi się wszycko sprzykrzyło – uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając nierówne zęby.

Karol zauważył, że jej twarz z miejsca uległa metamorfozie. Widać było, że dziewczyna wychodzi ze skóry, aby mu się przypodobać. Cały jej urok sprowadzał się do prostolinijności oraz chęci pokazania, że chce dokonać poważnych zmian w swoim życiu. Wyczuwał w niej głód wiedzy. Widział jej uważne spojrzenia. Rozmawiając z nim, rozglądała się dyskretnie, ale bez głupiego wścibstwa. Próbowwała naśladować zachowanie innych kobiet przebywających w lokalu, ale robiła to z wycuciem. Nie taką ją zapamiętał z pobytu na wsi. Wtedy wydawała mu się prosta i nieco toporna, choć niebywale sympatyczna. Teraz dostrzegł, że choć różniła się od dziewczyn z Huty, które uważały się za nowoczesne i wyemancypowane, dokładała starań, by nadrobić niedostatki, choć do jej sposobu wysławiania się miał zastrzeżenia. W mowie Weroniki wciąż słyszał wiejską gwarę.

Może byłaby lepszą przyjaciółką niż Bożena i jej podobne?

Z jakiegoś powodu czuł się zobligowany do tego, aby podtrzymać tę znajomość. Dowiedział się, że Weronika nie ma w mieście absolutnie nikogo. Owszem, pamiętała Wieška Kalitę, choć on mieszkał dwie wioski dalej, ale tutaj nie miała z nim do czynienia. Przyjazd do Nowej Huty był dla niej skokiem na głęboką wodę.

[11] Z niemieckiego: panienka.

[12] Z niemieckiego: głupek.

[13] Z romskiego: matka.

[14] Z romskiego: dziewczyna.

[15] Walter Ulbricht 1893–1973 – niemiecki polityk komunistyczny, przewodniczący rady państwa Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Rok 1970

Rozdział 7



Ból dojrzewania

Odkąd odeszli Becker i Mirga, w paczce osiedlowych kumpli zaczęło wiać nudą. Ani Jakub, ani Gerard, ani nowi znajomi z uczelni nie byli Karolowi równie bliscy. Jednak najlepszych przyjaciół całkowicie pochłaniał świat własnych spraw: kobiety, dzieci, problemy dnia codziennego – tematy, które Pawłowskiemu były zupełnie obce.

Minęła zimowa sesja egzaminacyjna. Studenci nareszcie mogli odetchnąć z ulgą – przynajmniej na chwilę. Ostatnio nie mieli wiele przyjemności, większość czasu spędzali ślęcząc nad podręcznikami. Przyszedł jednak moment, aby się rozerwać i zapomnieć o naukowych zawilościach.

Karol bez większego entuzjazmu przyjął zaproszenie na prywatkę do Zbyszka Gruca. Chętnie by się wykręcił, gdyż mimo upływu lat jego niechęć do antypatycznego kolegi nie malała, ale Jakub i Gerard napadli na niego, że ostatnio wciąż ich zaniedbuje. Dość nasłuchiwał się uwag na ten temat. Nie mógł też bez końca unikać spotkań z Grucą, który od jakiegoś czasu cieszył się rosnącą popularnością wśród młodzieży. Jego ojciec oraz najstarszy brat byli wysoko postawionymi oficerami w Służbie Bezpieczeństwa. Mieli wpływy i władzę. Jak widzieli w tym interes, potrafili komuś pomóc albo nieźle zaszkodzić. W towarzystwie Zbyszka lepiej było zachowywać się rozważnie i unikać wypowiedzenia kontrowersyjnych opinii. Mimo wszystko Karol nie chciał całkowicie rezygnować z koleżeństwa, ponieważ miał z grubasem sporo wspólnych znajomych. No i studiowali na tej samej uczelni, więc spotkania były nieuniknione.

Ostatnio każdą wolną chwilę spędzał z Weroniką. Okazji ku temu nie było wiele, gdyż ona pracowała na zmiany, on studiował i grał w piłkę nożną. Musiał też poświęcać trochę uwagi rodzinie – wszak wciąż z nimi mieszkał i miał związane z tym obowiązki. Na razie nie czuł potrzeby, aby się usamodzielnić. Ojciec nieustannie podkreślał, jak ważne jest wykształcenie. Stworzył mu doskonałe warunki do nauki. Wpadało więc pomóc mu od czasu do czasu w naprawianiu syrenki lub pralki, która regularnie się zacinała. Nie mógł zostawiać matki samej z trzepaniem dywanów, myciem okien i froterowaniem podłóg. Starał się godzić ze sobą wszystkie sprawy, które zaprzętały jego uwagę.

Weronika na razie pozostawała tajemnicą. Nie przedstawił jej swoim znajomym, ponieważ uważał, że jest na to zbyt wcześnie. Zdecydowanie nie pasowała do snobistycznego towarzystwa

spotykającego się na bigbitowych prywatkach u Grucy. Karol chciał, aby nabrała najpierw ogłady i przynajmniej rozpoczęła naukę w wieczorówce. Chodziło nie tylko o podbudowanie jej samooceny, ale również o to, aby złośliwsze koleżanki nie dokuczały prostej wiejskiej dziewczynie. Nie zamierzał narażać przyjaciółki na docinki zmanierowanych panna, które wcale nie miały innego pochodzenia społecznego niż ona. Większość z nich przyjechała do Nowej Huty we wczesnym dzieciństwie, kilka urodziło się tutaj. Ich rodzice byli zwyczajnymi robotnikami, często analfabetami, lecz to nie przeszkadzało miastowym w wywyższaniu się i zadzieraniu nosa. Karol zgrzytał zębami, ilekroć słyszał, z jaką pogardą określani byli nowi przybysze ze wsi. Wolał tego zaoszczędzić Weronice. Bo choć miała ogromną determinację i szybko się uczyła, wyczuwał w niej znaczną kruchość i wrażliwość. Byłoby jej przykro, gdyby została rzucona na pastwę pewnych siebie dziewczyn.

Cierpliwie pracował nad manierami przyjaciółki, korygował sposób, w jaki posługiwała się nożem i widelcem, dyskretnie tępił gwarę. Doradzał w kwestii strojów, biorąc za przykład matkę albo koleżanki. A ona ze stoickim spokojem przyjmowała wszystkie nauki. Myślał o tym, że kiedyś zapozna ją z przyjaciółmi i rodziną. Zależało mu, aby i na jednych, i na drugich zrobiła pozytywne wrażenie. Wprawdzie matka stała ponad wszelkimi uprzedzeniami, lecz wiedział, że zwraca uwagę na zachowanie i sposób wystawiania się jego znajomym. Przyjaciele często odwiedzali go w mniejszych lub większych gromadkach, a ona chętnie spędzała trochę czasu wśród młodzieży. I niekiedy po ich wyjściu komentowała to i owo lub chwaliła dziewczynę, która szczególnie mocno przypadła jej do gustu. Miała swoich ulubieńców i pupilki. Było też kilka osób, które wzbudzały jej delikatną, starannie tłumioną niechęć.

*

Prywatka w mieszkaniu Zbyszka Grucy była koszmarne nudna. Do niego zazwyczaj schodziło się bardziej snobistyczne towarzystwo. Sasza podśmiewał się nieraz, że u grubego spotykają się młode elity. Karol zwrócił uwagę na to, że wszystkie imprezy odbywają się według tego samego scenariusza: dużo bigbitu, dużo papierosów, alkohol i jakieś przekąski. Hałaśliwe i mocno umalowane panny w kusych sukienkach. Tym głośniejsze, im mniej wódki zostawało w szkle. Pyszałkowaci koledzy, rywalizujący o względy dziewczyn. Pełen luz, pełna swoboda. Parki wymykające się na intymne sam na sam, a po fakcie często płacz i szukanie ratunku u lekarza. Mało kto zabezpieczał się przed niechcianą ciążą, więc trzeba było sobie jakoś radzić.

Pawłowski wciąż pamiętał opowieści matki o tym, że dawniej nie można było pójść do doktora na zabieg. Dziewczyny, które wpadły w tarapaty, miały trzy wyjścia, z których każde było złe: mogły zawlec sprawcę problemów przed ołtarz lub do urzędnika, mogły w upokarzającej samotności wychowywać wytykanego palcami bękarta, ewentualnie mogły szukać pomocy u znachorek. To ostatnie wyjście wiązało się wtedy z narażaniem życia. W czasach młodości rodziców spędzenie płodu traktowano jak śmiertelny grzech. Teraz dziewczęta robiły to rutynowo pod czujnym okiem lekarzy. W znieczuleniu, zazwyczaj bez powikłań. Taki sam zabieg jak ekstrakcja zęba. Trochę bólu po fakcie. A potem wszystko wracało do normy i życie biegło naprzód. Ot... postęp w medycynie.

Tylko mama nadal nazywała ten postęp grzechem i zawsze, gdy temat był poruszany w jakichś rozmowach, jej oczy dziwnie wilgotniały.

Siedział na wersalce ze znudzoną miną i słuchał płyt Presleya, The Beatles oraz rodzimych Trubadurów. Udawał, że jest zajęty luźną pogawędką z kolegami, ale tak naprawdę marzył, aby wyrwać się z nużącego towarzystwa i pójść z Weroniką na miasto. W jej obecności nie odczuwał zmęczenia. Wciąż miała w sobie ożywczy urok świeżości niezaprzętej wielkomiejskim stylem życia.

Ostatnio coraz częściej myślał o tym, że nadeszła pora, aby przedstawić ją rodzinie. Oszlifował ten diament ile mógł. Miał dwadzieścia lat. Czas najwyższy, by spotykać się z kimś na poważnie. Matka przestałaby mu wówczas zawracać głowę zachwytnymi nad Tośką Sobczyk albo Basią Nosalówną.

Weronika na pewno przypadnie rodzicom do gustu. Będą zadowoleni, jak usłyszą, że pochodzi z Piotrowic. Zaraz znajdą się tematy do rozmów i wspólni znajomi do obgadania. Mama ucieszy się, że wybrałem sobie skromną panienkę ze wsi, a nie rozwydrzone, hałaśliwe dziewczyszko kopcące jak lokomotywa i robiące furorę na prywatkach. Zawsze powtarzała, że na fajfach nie szuka się żony.

Przy ostatniej myśli zakrztusił się dymem z papierosa.

Żony? Co też mi się we łbie kielbasi?

Odkasznął. Uspokoił oddech i myśli.

A właściwie to czemu by nie? Przecież nie musimy brać ślubu zaraz, teraz, natychmiast. Nie musimy też od razu starać się o dzieci. Ja skończę studia, ona szkołę. Trzeba ją namówić na zdawanie matury, potem mogłaby uczyć się dalej. W tym czasie ostatecznie nabrałaby ogłady. Już ja bym ją sobie wychował!

*

– Zo-sia! Zo-sia! – dobiegało z podwórka chóralne wołanie koleżanek.

Dwunastolatka uniosła głowę znad podręcznika do matematyki.

– Mamusiu, czy mogę? – zapytała, wskazując ruchem głowy w stronę okna.

Pawłowscy siedzieli z córkami w pokoju stołowym. Dorośli zajęci byli cichą rozmową, córki w tym czasie odrabiały zadania domowe.

– A lekcje? – zapytała Julia.

– Właśnie skończyłam.

– Dobrze, to zmykaj na podwórko. Tylko wróc na kolację – napomniała dziewczynkę. – I uważaj, żebyś znowu nie podarła rajtek! – krzyknęła w ślad za odchodzącą. – Trzy pary w ciągu tygodnia – westchnęła.

– Taka fajtłapa? – zainteresował się Wawrzek.

– Raczej nie. Za każdym razem mówi, że przewróciła się podczas gry w klasy. Ach! Skaranie boskie. Kolana ma porozbijane jak chłopaczysko. A to spadnie z trzepaka przy robieniu fikołków, a to złapie zająca, gdy skacze, to się wywali na wrotkach.

– Dobrze, że sprawia tylko takie problemy – uśmiechnął się ojciec. – A ty co, Martula? Nie lecis z siostrą? – zagadnął młodszą dziewczynkę.

Marta bez słowa pokręciła głową i zwinęła się w kłębek na fotelu. Zajęta była czytaniem książki. A gdy czytała, świat wokół niej przestawał istnieć.

– Ech, poszłabyś trochę na powietrze – stwierdziła matka. – Powinnaś się trochę dotlenić. Jesteś bledziutka jak opłatek. Jak pojedziemy do Pawlic, to zaś będzie babcia dopytywać, co ty taka ladaca.

Córka zachichotała. Gwarowe powiedzonka pawliczan niezmiennie ją bawiły. W czasie wakacji chłonęła je niczym gąbka i potem z upodobaniem opowiadała, jak to chadzała gościńcem z dziopami i chodakami albo jak ciotka narzekała, że łośńskiego roku bunia była ladaca. Pewnego dnia Julka, przeglądając zeszyty córek, natrafiła na preparatkę, w której Marta pracowicie notowała wszystkie interesujące ją określenia. Układała z nimi jakieś drobne wierszyki, wyliczanki lub nowelki. Było to na tyle ciekawe, że zaraz zaczęła obmyślać, w jaki sposób rozwijać zainteresowania małej. Wiedziała, że młoda wielbicielekka gwary uwielbia baśnie i podania. Gdy miała do napisania wypracowanie, zawsze przemyślała w nim jakieś wątki ludowe. Czytanie było jedną pasją, drugą – śpiew i taniec w kółku muzycznym. Oczywiście dziewczynka zapisana została do sekcji folklorystycznej, choć początkowo Julia namawiała ją, aby wybrała taniec towarzyski. Z drugiej strony córka uwielbiała występy Mazowska, więc jak tu odmawiać jej przyjemności? A nuż dołączy do tego wspaniałego zespołu, który robił światową furorę?

Wawrzek odłożył opróżnioną szklankę po herbacie i wstał.

– Zajrzę do Leszka. Obiecałem, że pomogę mu zreperować radio. Znowu się popsuło. Nie chce

go odnosić do punktu. Twierdzi, że był tam już kilka razy i naprawiali je tylko na chwilę. Nowego nie kupi, bo wciąż im brakuje pieniędzy, a on tak lubi słuchać *Matysiaków!*

– Idź, idź. Ja mam stertę prasowania. Zrobię to teraz. A jutro może wybralibyśmy się do kina? Grają *Nowego*. Mam ochotę obejrzeć tę komedię. Ponoć nieźle obśmiewa absurdy biurokracji.

– Oczywiście. Skarbie? A może złożylibyśmy się całą rodziną na nowy odbiornik dla Leszka? Co ty na to? Kupilibyśmy mu na imieniny. Niechby się chłopak ucieszył.

Żona uśmiechnęła się z czułością.

– Świetny pomysł. Jesteś kochany. Myślisz o wszystkich.

Kiedy wyszedł, Julka zajęła się prasowaniem. Od czasu do czasu zerknęła na zaczytaną córkę, to znowu podchodziła do okna, by sprawdzić, co porabia starsza.

Dobrze mieć te dwie sroczki – uśmiechała się do swoich myśli. Karol dorósł, żyje już własnym życiem. Ciągle albo siedzi na wykładach, albo w bibliotece, albo goni za piłką. Szkoda, że go nie wzięli do reprezentacji. Pewnie do tej pory przykro mu z tego powodu. Dobrze przynajmniej, że nie zaniedbał nauki, gdy się okazało, że nie robi większej kariery na boisku. Cóż, nie można mieć wszystkiego. Przynajmniej na studiach dobrze mu idzie. Dałby Bóg, aby to kontynuował. Wawrzek mówił, że gdyby chciał, to zostałby i doktorem, a może i zająłby się profesurą. Zdolny jest. Szkoda, by to zaprzepaścił. Jako wykładowca nie miałby pewnie gorzej niż inżynier w kombinacie.

*

– Mamusiu, brzuch mnie boli.

Zosia leżała skulona na tapczanie. Trzymała się obydwoma rękami za rzezoną część ciała, a po jej pobladych policzkach płynęły łzy.

– Pokaż, w którym miejscu? – zapytała Julia.

Domyślała się, co może być przyczyną niedyspozycji. W ubiegłym miesiącu córka też skarżyła się na ból, podobnie było dwa miesiące wcześniej. Za pierwszym razem wystraszeni Pawłowscy zabrali ją na ostry dyżur. Zachodziła bowiem obawa, czy nie jest to atak wyrostka. Lekarz dyżurujący dokładnie zbadał nastolatkę, a następnie zaserwował jej zastrzyk rozkurczowy. Gdy sytuacja się powtórzyła, Wawrzyniec wezwał pogotowie, lecz i tym razem dziewczynce nie dolegało nic poważnego. Wprawdzie sanitariusze zabrali Zośkę na obserwację, lecz nazajutrz została wypisana do domu. W końcu Julka przypomniała sobie, że sama miewała podobne samopoczucie, gdy była w wieku córki. Wtedy jej matka myślała, że dolegliwości wywołuje strach przed meserszmitami zrzucającymi bomby oraz oddziałami żołnierzy, szybko jednak okazało się, że winę za to ponosi wejście Julki w czas dojrzewania.

Nie inaczej musiało być z Zosią.

– Brzuch pewnie dlatego ci dokucza, że niedługo zaczniesz miesiączkować. Być może skakaniem w klasy trochę się przyczyniłaś do tego, że teraz boli – powiedziała po cichutku do córki. – Nie krwawisz czasem?

Zażenowana nastolatka pokręciła głową.

– Wiesz, jakby coś się pojawiło, to dam ci watę i siateczki. Już ci tłumaczyłam, jak w razie czego należy się tym posługiwać, pamiętasz?

– Tak – jęknęła obolała. – Trzeba końce przywiązać do specjalnego paska, żeby się nie przesunęło przy chodzeniu.

– Dobrze. I pamiętaj, żeby dokładnie się myć. Higiena jest bardzo ważna, gdy kobieta ma swoje dni. Nie chcesz chyba brzydko pachnieć?

– Jak pani Boreczko? – zapytała córka.

– No właśnie.

Pani Boreczko była ich sąsiadką. Mieszkała piętro wyżej. Czasami, gdy mijały ją na klatce schodowej, za kobietą ciągnęła się niezbyt przyjemna woń, przypominająca sklep rybny. Dziewczynki

zawsze marszczyły nosy za jej plecami i robiły nieładne miny, choć wciąż były za to karczone.

Pewnego dnia mama wzięła Zośkę na rozmowę. Spokojnie wyjaśniła, dlaczego dziewczynki wyglądają inaczej niż chłopcy. Czemu to służy, skąd się biorą dzieci i dlaczego taka ważna jest higiena. Zadawała przy tym różne krępujące pytania, na które córka odpowiadała, czerwieniąc się i płacząc. Z jednej strony nastolatka odczuwała zażenowanie tą dziwną pogawędką, a z drugiej trochę się ucieszyła, ponieważ mama objaśniała rzeczy, o których pani od biologii mówiła bardzo pobieżnie i szybko, jakby temat wzbudzał w niej wstyd. Teraz przynajmniej wiedziała, że regularnie odczuwane bóle w dole brzucha mogą zwiastować nadciągającą miesiączkę. Że normalny jest dyskomfort i twardość w załączkach piersi.

Tylko niektóre koleżanki odbyły podobne rozmowy w swoich domach. Próbowaly wypytywać o te sprawy starsze siostry lub matki, lecz często bywały przeganiane jako świntuchy, które interesują się rzeczami dotyczącymi dorosłych.

Taka Asia na przykład: ona od mamy usłyszała, że jak przyjdzie na nią czas, to sama się wszystkiego domyśli. Ula Dudek, która pierwsza w całej klasie dostała miesiączkę, nie miała wcześniej pojęcia o niczym. Jak zaczęła krwawić, wpadła w panikę, że umiera. Przez pół dnia walczyła ze wstydem, bojąc się przyznać matce, w końcu zwyciężył strach przed śmiercią. Gdy pani Dudek usłyszała o wszystkim, to burknęła tylko, że Uśka właśnie zaczęła dojrzewać. Dała jej ligninę do włożenia w majtki i zapowiedziała, że ma dokładnie prać poplamioną bieliznę. Dziewczynka postanowiła zaoszczędzić koleżankom traumatycznych przeżyć, więc następnego dnia podczas przerwy zaciągnęła grupkę najlepszych przyjaciółek do szkolnej ubikacji i tam pokrótce opowiedziała, co i jak. Gienia Zygałdo do niedawna słyszała tylko o bocianach i kapuście, a mama Madzi z wielkim zażenowaniem wspominała córce o tym, że tatuś umieszcza nasionko pod serduszkami mamusi, a gdy nasionko wykiełkuje, to rodzi się dzidzius. Dlatego czasami panie mają takie duże brzuchy, które potem znikają, bo dziecko wydostaje się z nich na wierzch. I za nic w świecie nie chciała wyjawiać, w jaki sposób to wszystko przebiega. Ani jakim cudem nasionko od tatusia trafia na właściwe miejsce. Najlepiej z nich wszystkich miała Kasia Majewicz. Mama dała jej do poczytania broszurkę zatytułowaną *Co każda dziewczynka wiedzieć powinna*. Oj, miały z tą książeczką sporo zamieszania, bo w środku było napisane dużo ciekawych rzeczy, na temat których nie wiedziały wcześniej absolutnie nic.

Zocha, słuchając matczynych wyjaśnień, z miejsca poczuła się dorosła. A potem zaczęła zadawać pytania bezpośrednio i niebezpośrednio związane z tematem.

– A tobie też bunia o tym wszystkim mówiła?

– Nie było takiej potrzeby, kochanie. Mnie większość rzeczy objaśniła ciocia Dorotka. A wielu spraw domyślałam się wcześniej sama. Bo wiesz, na wsi człowiek żyje bliżej przyrody. Tam wszystko jest naturalne. Wiedziałam, po co prowadzi się krowy do byka. Widziałam, jak robią to koty i psy. A później obserwowałam zaokrąglone brzuchy Łatki i Kici, naszych domowych zwierząt. Widziałam, jak Łatka wydaje na świat szczeniaki, a Kicia kocięta. Z ludźmi wygląda to dość podobnie.

– Aha. Ale ludzie, jak chcą mieć dzieci, to muszą wziąć ślub. Słyszałam, jak bunia o tym mówiła.

– Owszem. Powinni wziąć ślub, bo tak jest w zgodzie z naszą wiarą. Ale ślub nie jest do tego koniecznym warunkiem. Czasami ludzie zakładają rodziny bez sakramentu. Jak podrośniesz jeszcze trochę, na pewno jakiś chłopak zwróci na ciebie uwagę. I wtedy musisz bardzo uważać na to, czy on traktuje cię z szacunkiem.

– Noo... Ja bym nie pozwoliła, żeby mnie obrażał jakiś kolega – stwierdziła buntowniczo Zocha.

– I dobrze. Ale nie tylko o to mi chodzi – tłumaczyła cierpliwie matka.

– A o co? – dociekała zaaferowana córka.

– O to, kochanie, że czasami chłopaki lub panowie oczekują od swojej dziewczyny lub narzeczonej czegoś, co nazywają dowodem miłości. Czyli żeby dziewczyna zrobiła z nimi to, co wypada robić mężatce. No wiesz... Chodzi o współżycie przed ślubem. Mężczyzna, który naprawdę kocha, nigdy o coś takiego nie poprosi, ponieważ szanuje nietykalność kobiety. Przyzwoity mężczyzna najpierw prosi ukochaną o rękę i bierze z nią ślub. Czasami mniej porządny chłopak nalega, aby dziewczyna poszła z nim do łóżka. Dostaje, czego chce, a potem ma w pogardzie taką pannę i mówi o niej, że sama się nie

szanuje. Później taka bidula może być wytykana palcami przez innych i bardzo nieładnie nazywana.

– A czemu chłopaki chcą ten dowód?

– Bo gdy dorastają, mają trochę większe potrzeby niż dziewczęta. No i szukają wtedy okazji, aby spróbować zakazanego owocu.

– A Karol? On też jest taki?

– Mam nadzieję, że nie. Jak zaczął dorastać, to tatuś wszystko mu wytłumaczył. Tak, jak ja tłumaczę teraz tobie. Ja też z nim rozmawiałam i nieraz go napominałam, aby szanował koleżanki.

Zocha odetchnęła z ulgą.

– Marcie też o tym opowiadałaś?

– Jeszcze nie. Jest przecież młodsza od ciebie. Ale jak zaczniesz dorastać, wyjaśnię jej te sprawy. Taka jest kolej rzeczy.

*

Dwudziestego kwietnia nad Nową Hutą załopotwały setki biało-czerwonych flag. W blasku fleszy i przy obecności licznie zgromadzonych mieszkańców dzielnicy odbył się wiec ku czci setnej rocznicy urodzin wodza rewolucji. Na tę okazję najmłodsza, stuśiesięciotysięczna dzielnica Krakowa przygotowywała się już od bardzo dawna. Działka przedszkolna i uczniowie robili kwiaty z bibułki, chorągiewki i transparenty. Przedstawiciele zakładów pracy stawili się ze sztandarami. W odświętnie udekorowanym centrum na środku deptaka w alei Róż odbyło się uroczyste wmurowanie kamienia węgielnego pod pomnik towarzysza Włodzimierza Iljicza Uljanowa Lenina.

– Czyż mogło w całym kraju znaleźć się godniejsze miejsce, by go uhonorować? Wszak to jego wytrwałości i poświęceniu miliony ludzi pracy zawdzięczają teraz socjalistyczny dobrobyt – głośno propagandowe tuby.

– Żeby nam się czasami w dupach nie przewracało od tego waszego dobrobytu – burczał niezadowolony Bronek, wracając wraz z przyjacielem z masówki ku czci przywódcy bratniego narodu. – Niech szlag trafi takie gospodarowanie: kolejki przed sklepami ciągną się w nieskończoność. Mięsa nie kupisz, bo brakuje, cukru nie kupisz, bo nie ma. Pomarańcze żrą jedynie bachory esbeków, można je dostać wyłącznie w kantynie. A naszym dzieciakom tylko ślina kapie.

– A jakie złodziejstwo na każdym kroku! Niech krew zaleje! Robić nie ma czym, bo wszystko rozszabrowane.

– Bo tak się ludzie nauczyli. Gdzie wszystko jest wspólne i nie ma właściciela, tam każdy sobie musi coś przywłaszczyć.

– No przecież! Nawet *tawariszcz* Lenin dobrze o tym wiedział, że tworzy społeczeństwo złodziei.

– Eee tam, pitolisz...

– Czekaj, czekaj, zaraz ci wszystko wyłożę. Grisza kupił sobie nowe auto. Przyjechał nim pod dom i zaparkował na ulicy, tuż pod swoim oknem. Rano, gdy tylko wstał, idzie do okna, patrzy: a tu po aucie ani śladu! Biegnie na milicję zgłosić kradzież. Dyżurny milicjant wysłuchuje Griszę, drapie się po głowie i pyta: „Popatrzcie, obywatelu, na ścianę, tam nad drzwiami. Co widzicie?” „No, portret Włodzimierza Lenina widzę”, mówi Grisza. „A co jeszcze na tym obrazie widzicie? Przyjrzyjcie się dokładnie”. „No... towarzysz Lenin stoi w otoczeniu swoich najbliższych przyjaciół”. Grisza zaczyna tracić pewność siebie. „Właśnie! Co jeszcze widzicie? Co towarzysz Lenin trzyma w ręce?” „No... czapkę trzymie...” „Pewno, że czapkę! To teraz pomyślcie sami: towarzysz Lenin jest w otoczeniu najlepszych przyjaciół, ale na wszelki wypadek czapkę dzierży mocno w dłoniach! A wy, obywatelu, swoje nowe piękne auto zostawiacie ot tak pod oknem, na ulicy!”

– Dobrze. Ty to zawsze trafisz w samo sedno. A ten pomnik to potrzebny tu jak wrzody na dupie – skomentował Bronek. – Mało im, że hutę nazwali jego imieniem? Mało, że wszędzie wiszą podobizny całej tej czerwonej zarazy?

– Mało, jak widać – skwitował Kulka, czochrając się po łysiejącej głowie. – Muszą nam go na każdym kroku utrwalić, byśmy nie zapomnieli, komu zawdzięczamy to wszystko.

– Siedzi teraz ten czort w piekle i cieszy się, że mu figurę postawią. Jakby nie wystarczyło im popiersie przed wejściem do kombinatu. Jeszcze nam przyjdzie za to zapłacić, zobaczysz – snuł czarne wizje – bo z czego postawią takiego kolosa? Zakurzysz? – Wyciągnął w stronę kolegi paczkę klubowych.

Janek wziął jednego, odpalił i mocno zaciągnął się dymem. Po chwili zaczął kaszleć tak paskudnie, jakby zaraz miał wypluć płuca.

– A co ty znowu tak chyrłaszesz? – zainteresował się Bronek. – Zaś żeś zmarzył na budowie?

– A taki cosik żem kaprawy. Dusi mnie i dusi. Zaraza jakaś francowata.

– Idź no lepiej do lekarza – poradził szwagier.

*

W odróżnieniu od prywatek, gdzie dominował bigbit, ostatnio wśród znacznej części znajomych Karola chętnie słuchano psychodelicznej muzyki, która wwiercała się w umysł dziwnymi, budzącymi niepokój dźwiękami. W jej rytm tańczyły boso dziewczyny w długich sukienkach. Wplatały we włosy kwiaty, nosiły ręcznie wykonane paciorki. Mężczyźni zapuszczali włosy oraz brody. Palili papierosy Astmosan, które w większych ilościach powodowały majaki. W tym gronie Beatlesi i Presley odchodzili w zapomnienie.

– To dobre dla wapniaków albo dzieci – pokpiwał Sasza, słuchający na co dzień Jimiego Hendrixa lub grupy The Doors. – Karol! – Przykleił się do przyjaciela z dzieciństwa. – Karol, musisz z nami wyruszyć na wakacje. Jedziemy pod namioty. Będziemy mieszkać całe lato nad jeziorem. Łowić ryby, tańczyć wokół ogniska i bawić się do białego rana. – Czknął, a potem zaciągnął się mocnym, pozbawionym filtra papierosem.

– Nie będziesz pracował? – wyraził zdziwienie, gdyż kolega zaraz po zawodówce zahaczył się w kombinacie.

– Chrzańć robotę. Wolność, Karol! Wolność. Jak na Zachodzie. Wolna miłość i dzieci kwiaty, *yeah!*

Jak na zamówienie z głośników popłynęła piosenka Czerwonych Gitar.

– „Kwiaty we włosach potargał wiatr, / Po co więc wracasz do tamtych lat? / Zgubionych dni nie znajdziesz już, / Choć przejdiesz świat i wszere, i wzdłuż” – zawył ochryple podpity kolega, wciąż wieszając się jednym ramieniem na szyi siedzącego obok Karola. Drugą ręką gestykułował zaciekle, od czasu do czasu zaciągając się łapczywie papierosem dymiącym pomiędzy palcami.

Pawłowski żałował, że nie zabrał ze sobą Weroniki. Choć nie paliła astmosanów, dobrze czuła się w tym towarzystwie i nawet wyglądała trochę jak hippiska. Przyjęli ją do swego grona, nikt nie pokpiwał, gdy czasami chlapnęła coś gwarowo albo gdy prostolinijnie opowiadała o życiu na wsi. Wzbudzała sympatię. Niestety kilka dni wcześniej złapała ją jakieś paskudne przeziębienie i wołała zostać w domu. Zwłaszcza że zabawa odbywała się pod gołym niebem u mieszkającej w Czyżynach Agnieszki Curuś, kuzynki Jakuba. Korzystając z ładnej pogody, młodzież rozpałała wielkie ognisko, wokół którego odbywały się dzikie harce. Z adapteru podłączonego do prądu kilkoma przedłużaczami sączyła się muzyka – niezbyt głośna i przerywana trzaskami, ale na tym odludziu nie byli w stanie wycisnąć nic więcej ze sprzętu grającego. Nie chcieli urządzać zabawy tuż pod oknami gospodarzy, aby ci nie przegnali ich ze względu na wyuzdane tańce, hałas, tanie wino i papierosy.

– To co, Karol? Zabierasz się z nami? – nudził podpity Sasza.

– Nic z tego, przyjacielu. – Pawłowski pokręcił głową. – Ojciec załatwił mi praktyki wakacyjne w hucie. Nie mogę mu sprawić zawodu.

– Ech, ty! Jak zwykle poprawny i ułożony. Z grzecznie przylizaną grzywką i odprasowanymi w kancik spodniami – pokpiwał Brywkin, lecz jego słowa nie były zaprawione jadem.

Lubili się, mimo dzielących ich różnic.

Karol nie szukał zwady z Saszą. Gdyby zaczął z nim dyskutować, mogliby się posprzeczać. A on nie chciał stracić kumpla, który przypominał mu o starych, dobrych czasach, gdy ich największym zmartwieniem było dopasowanie się do postaci z serialu *Cztery pancerni i pies*. Pewnego dnia podział ról przestał zaprzętać ich uwagę – chłopcy przedzierzgnęli się w mężczyzn.

*

Wszystkie dziewczynki, z którymi Zosia uczęszczała do szkoły, z utęsknieniem oczekiwały na pierwszą miesiączkę. Stanowiła ona temat tabu ostatnio wciąż omawiany szeptem, gdy w pobliżu nie było kolegów. Koleżanki, które miały to już za sobą, czuły się doroślejsze i poważniejsze od pozostałych. Przekazywały niedoświadczonym cenne uwagi co do radzenia sobie w *trudnych dniach*. Traktowały to jak rodzaj inicjacji, przejście na wyższy stopień wtajemniczenia.

Zosia, choć była przygotowana na nieuniknione, poczuła się dziwnie, gdy pewnego dnia odkryła plamy krwi na bieliźnie. Miała przeczucie, że do tego dojdzie, ponieważ znowu bolał ją brzuch. Dopiero teraz w pełni doceniła wiedzę, którą wcześniej zdobyła od mamy i życzliwych koleżanek. Już nie dziwiło jej, że Ula wpadła w panikę, gdy zaczęła miesiączkować – nieświadoma niczego. Można było najeść się strachu!

To jest okropnie nieprzyjemne – myślała, oporządzając się w łazience tuż przed wyjściem do szkoły. Kilkakrotnie poprawiała podpaskę składającą się z waty upchniętej do czegoś w rodzaju bandaża. Wciąż odczuwała niewygodę, zabezpieczenie przesunęło się w kierunku pleców, a na domiar złego okropnie bolał ją brzuch.

Na szczęście mama wspaniałomyślnie napisała zwolnienie z zajęć wychowania fizycznego, nadmieniając jednakże, że robi to w drodze wyjątku, ponieważ to, co Zosi doskwiera, nie jest żadną chorobą, lecz naturalnym stanem dla kobiety i trzeba przystosować się do życia ze zmianami, jakie zaszły w organizmie.

Nastolatka wędrowała na lekcje z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony była dumna, ponieważ w końcu powiększyła rozrastające się grono dojrzałych dziewcząt, z drugiej strony doskwierał jej ogromny dyskomfort. Stawianie kolejnych kroków powodowało, że podpaska się przemieszczała. Zosia odczuwała paniczny strach na myśl o tym, że na ubraniu powstaną plamy. Albo, co chyba byłoby katastrofalnie żenujące, wstydlivy przedmiot przesunie się jeszcze wyżej i wypadnie akurat wtedy, gdy będzie stała pod tablicą, udzielając ustnej odpowiedzi. Na samą myśl o takiej możliwości robiło jej się gorąco.

Jedna z koleżanek opowiadała w wielkim sekrecie o podobnym wydarzeniu, które spotkało jej kuzynkę.

Przez te wszystkie poranne perturbacje ledwo zdążyła do szkoły. Weszła do klasy równo z dzwonkiem, więc już nie było czasu na to, aby zdradzić tajemnicę przyjaciółkom. Zdążyła tylko nachylić się do Gienki, z którą siedziała w ławce, i szepnąć jej do ucha, że *przyjechała do niej ciocia z Ameryki w czerwonej spódnicy*. To był ich szyfr, którego nie ujawniały chłopakom i którego oni nie mieli prawa rozumieć.

– Pawłowska! – Usłyszała nagle skrzeczący głos nauczycielki od geografii. – A cóż to ciekawego masz do powiedzenia w tej chwili? He? Zdradź no nam ten sekret, chętnie posłuchamy.

Zaskoczona Zośka wstała, rumieniąc się po czubki uszu.

– Przepraszam. To nic takiego.

– Jak nic takiego, to trzeba było poczekać z tym do przerwy. Chodź no, kochaneczko, do tablicy i określ mi tu współrzędne geograficzne Leningradu. Raz, raz! – pogoniła guzdrzącą się dziewczynkę.

Uczennica ruszyła z miną skazańca. Pocieszała się myślą, że granatowy chałat zasłania jej pupę, ponieważ wciąż odczuwała strach na myśl o możliwych przeciekach. Ale i tak żywiła obawę, że wszyscy

chłopcy odkrywają jej sekret. I zaczną się śmiać, ponieważ niczego innego nie potrafili robić. Jak raz któryś z nich podsłuchał, że Ula jest niedysponowana, to później cała męska część klasy miała z tego wielką uciechę i póty robili koleżance docinki, aż nieszczęsna wybuchła płaczem i uciekła do ubikacji.

– Leningrad, Leningrad. – Pawłowska spojrzała na rozwieszoną mapę fizyczną świata.

– No, wiesz w ogóle, gdzie leży? – dociekała nauczycielka.

– O tutaj. – Wskazała miasto.

– Jaka to długość i szerokość? Hę?

– Leningrad leży na szerokości pięćdziesięciu dziewięciu stopni i pięćdziesięciu pięciu minut.

– Pięćdziesięciu sześciu minut – skorygowała nauczycielka. – Szerokość północna czy południowa, hę?

– Północna.

– No, dobrze. A długość?

– Wschodnia – pisnęła przestraszona uczennica.

– Ile wynosi?

Zosia powiodła palcem po mapie.

– Trzydzieści stopni i osiemnaście minut.

– Dobrze. Siadaj. I niech cię więcej nie słyszę. A koleżanka – zwróciła się do Gienki – powie nam, w której to republice radzieckiej.

*

Kaszel coraz dotkliwiej uprzykrzał życie Jankowi. Czasami męczył go tak, jakby za chwilę Kulka miał sobie wypluć płuca, a wraz z nimi ciemną flegmę, która skądś się w nich pojawiła. To, co wydawało mu się bzdurnym przeziębieniem, trwało zdecydowanie za długo. Wciąż czuł drapanie w gardle i piekło go przełyk.

– Cosik nie mogę doleźć anginy. Wszystko przez to cholerne powietrze – utyskiwał do żony.

– Popatrz za okno, Krysieńko. Znowu wisi mgła, choć mamy koniec maja i powinna być ładna pogoda.

– Rzeczywiście – odparła kobieta, zerkając na zewnątrz. – Ponuro dzisiaj.

– Dusi mnie – westchnął Janek. – Okropne są te zanieczyszczenia. Kto to widział, żeby powietrze miało żółty kolor, a niebo było sine, choć nie ma chmur?

– Huta mocno pyli.

– Tak, to ten cholerny potwór. Zionie dymem z kominów, że nie ma czym odetchnąć. Nasza дума narodowa – powiedział z przekąsem – która dzień po dniu nas wykańcza. Popatrz tylko na miastowe dzieciaki – narzekał. – Jakie toto wszystko blade. Jakie mizerne. Jakie mają cienie pod oczami. Ewunia też taka przeźroczysta! Trzeba by ją... – zaniósł się nieprzyjemnym kaszlem. Dławił się, póki nie odkrztusił flegmy. Poczzerwieniał z wysiłku, a po jego policzkach spływały łzy.

Krystyna z zmartwieniem spoglądała na męża. Nie mogła nie zauważyć, jak bardzo postarzał się w ostatnim czasie. Jego skóra przypominała pożółkły pergamin. Wysechł na wiór, włosy mu przerzedły i posiwiały. Już nie wily się bujnymi lokami, od powrotu z więzienia strzygł je na krótko. Choć próbowała go na to namówić, nie nosił zarostu, przez co jego twarz wyglądała mizernie. Zawsze był szczupły, lecz teraz ubranie na nim wisiało. Kilka dni wcześniej widziała, jak dorabiał sobie dziurkę w pasku. Narzekał wtedy na kolejki w sklepach, złe zaopatrzenie i perfidię władzy ludowej, która bierze głodem niepokornych. W rzeczywistości nie miał powodu, aby tak mówić, gdyż głodny nie chodził. Po kilku nieco chudszych latach spowodowanych wcześniejszymi problemami z alkoholem Krystyna znowu pracowała na stoisku mięsny, więc w domu nie brakowało żywności.

– Powinieneś pójść do lekarza, Jasiu. To niepodobna, aby przez tyle czasu nie wyleczyć przeziębienia. Może ty masz suchoty? – zasugerowała.

– Oj tam! – Machnął lekceważąco ręką. – Co wyście się tak z Bronkiem zawzięli, żeby mnie

zrobić gruźlikiem? Przecie i ty chyrlasz przy tej mgle. Wypuszczają w hucie jakieś smrody w niebo, to i ciężko człowiekowi odetchnąć. Wawrzek zamiast głądzić o rozbudowie tego potwora, pomyślałby lepiej, jak zmniejszyć zapylenie. Starczy spojrzeć na bloki, cośmy je jeszcze z Bronkiem budowali. Widziałaś ty, jakie one brudne? Ile pyłu wżarło się w tynki? Dość dziadostwa unosi się w powietrzu. A przecież my to wdychamy, więc stąd mnie dusi ta czarna flegma.

Sięgnął po paczkę klubowych. Przypalił papierosa i zaciągnął się dymem. Zmrużył lekko powieki. Poczul się zdecydowanie lepiej. Pomyślał, że może faktycznie powinien pójść do lekarza. Dostałby coś na ten uporczywy kaszel i byłoby po sprawie.

Chyba starość zaczyna zaglądać nam w oczy. – Westchnął, spoglądając na połowicę. *Toć i Krysia posiwała i poźółkla na twarzy. Jak żem ją brał za żonę, była niczym ten pączuś różany. A teraz trochę się roztyła i buzia też już nie taka świeża. Julcia, choć niewiele młodsza, wygląda dużo lepiej. A może to zmartwienia tak przybiły Krysię? Mało to lez bidusia wylała, jakeśmy się nieskutecznie starali o dziecko? Mało to zgryzot było? Mało smutku, gdym siedział? Oczy sobie wyplakala, dlatego liczko już nie tak rumiane jak u siostry.*

*

– Wiesz co, Wawrzus?

– No co tam, Julisiu?

Pawłowscy leżeli w łóżku, szepcząc sobie przed snem. Zza okna sączył się blask księżyca, wzmochniony światłem neonów zdobiących fasadę budynku naprzeciwko.

– Mnie to się wydaje, że Karol jest zakochany – odparła Julia.

– No popatrz. Mnie też to chodzi po głowie. Snuje się chłopak pogrążony w zadumie, nieobecny duchem. Niektóre rzeczy trzeba mu powtarzać, bo nie dociera za pierwszym razem. Przypuszczałem, że może na studiach coś mu nie wyszło, ale mówił, że ma już zaliczone niemalże wszystkie egzaminy. Nie wygląda mi też na kogoś, kto popadłby w jakieś tarapaty. To dobry chłopak i myślę, że gdyby coś złego się działo, przyszedłby do nas ze swoim problemem.

– Ostatnio często widzę, jak leży na tapczanie, słucha muzyki i wzdycha. Pamiętam, że podobnie zachowywał się Broniek, gdy marzył o Bogusi. Słuchał wtedy na okrągło płyty z Szostakowiczem.

– A nasz syn wciąż nuci *Love Me Tender* Presleya. Nie powiem, ładna piosenka i wpada w ucho. Jak go zapytałem, co się tak zawziął na ten utwór, to mi odpowiedział, że przyswaja w ten sposób język angielski. I od razu zaczął coś klepać po angielsku, jakby chciał udowodnić, że mówi prawdę – zachichotał Wawrzyniec.

– To musi być jakaś dziewczyna – odetchnęła Julka. – Najwyższy czas, aby zaczął spotykać się z kimś na stałe. Do tej pory wciąż zmieniał koleżanki, a mnie dręczyła myśl, że rośnie z niego kobieciarz. Z Tosią do kina, z Basią na spacer, z Agnieszką do kawiarni – wyliczała. – A ile dziewcząt się tutaj przewinęło na wspólne słuchanie płyt albo podziwianie jego kolekcji pocztówek dźwiękowych? I po kim niby miałby być takim bawidamkiem? Przecie nie po wujach, bo ci są zakochani po uszy w swoich zonach.

– Pewnie się w nim odezwała krew Olgerda – stwierdził Wawrzek. – On też był ponoć łasy na kobiety. No, nie powiem, chciałbym poznać wybrankę naszego syna.

– Ja też. Ciekawa jestem, komu on tak nuci o miłości.

– Mm... Ja bym chętnie zanucił tobie na uszko. – Przysunął się bliżej, wsparł na łokciu i pochylił nad żoną. – *Love me tender, love me sweet, never let me go. / You have made my life complete and I love you so*[16] – wymruczał zmysłowym głosem. – Mam nadzieję, że nigdzie się nie pomyliłem – stwierdził. – Kownacki uczył mnie przed wojną angielskiego, ale po tylu latach niewiele pamiętam. Może też powinienem słuchać angielskich piosenek? Albo częściej nucić mojej lubej do uszka – dodał, łapiąc zębami za małżowinę Julii.

– Nucić miałeś, głuptasie – zachichotała żona, oganiając się przed mężem.

Chichoty szybko zostały stłumione pocałunkami. Wargi Wawrzyńca leniwie muskały jej usta, powoli wzniecając żar namiętności, którym obydwójce płonęli. Mimo upływu lat wciąż potrafili cieszyć się swoją bliskością. On nie dostrzegał pierwszych zmarszczek wokół jej oczu. Ona nie zauważała jego siwiejących skroni i nieznacznie wysklepionego brzucha, któremu poniekąd sama była winna, gdyż wiedząc, za jakiego łasucha wyszła za męża, wciąż wypiekała babki, szarlotki i keksy.

Życie nauczyło ich cenić to, co ważne. Egzystowali w trudnych i niepewnych czasach, gdy byle iskra mogła stać się zarzewiem rewolucji lub wojny domowej. Wydarzenia związane z obroną krzyża uprzytomniły im, jak niepewny jest los. Tamtego pamiętnego dnia Wawrzyniec, Janek, Broniek, Andrzej i Leszek jakby nigdy nie opuścili rano swe mieszkania. Zostawili żony i dzieci. Żaden z nich nie spodziewał się, że dzień zaowocuje takimi tarapatami, a do domu wróci wieczorem tylko jeden, na dodatek ranny. Trzeba więc było żyć chwilą, doceniać każdą minutę, którą można spędzić razem. Bez tracenia czasu na ciche dni.

– Tak bardzo cię kocham, Julisiu – wyszeptał żonie na ucho. – Jesteś całym moim światem.

– A ty jesteś światłem, który ten świat oświetla – odparła, tuląc się do niego.

Usta męża wędrowały po jej skórze, wzbudzając przyjemne dreszcze. W jego ramionach drżała niczym jesienny liść. Wawrzyniec nie skąpił pieszczot i miłych słów. Zatapiali się w ogniu ekscytujących doznań. Zmysłowo i czule, lecz z pasją. Jakby wciąż mieli po dwadzieścia parę lat. Krew w ich żyłach zdawała się wrzeć.

Kolejny raz zachwycił się kształtami jej ciała – tak dobrze znanymi po tylu latach wspólnego życia, a jednak wciąż rozkosznie intrygującymi. Na dłużej zatrzymał wargi u nasady szyi, później przez chwilę sycił się dotykiem jej piersi oraz subtelnym zapachem pomiędzy nimi. Ta nieuchwytna, ledwo wyczuwalna woń doprowadzała go do szaleństwa.

– Julisiu, moja Julisiu... – szeptał. – Moje szczęście jedyne.

*

Następnego dnia przy śniadaniu Karol sprawiał wrażenie bardziej ożywionego niż zazwyczaj. Nim Julia zdążyła zebrać się w sobie i zagadnąć o rzekomą dziewczynę, sam zaskoczył bliskich, oznajmiając, że wieczorem chciałby przyprowadzić do domu kogoś wyjątkowego. I szczególnie zależy mu na tym, aby obydwie małeletnie zachowywały się wówczas poprawnie.

– Pannice słyszały? – zapytał Wawrzyniec, przybierając groźną minę pod adresem córek, co oczywiście wywołało efekt przeciwny do oczekiwanego, bowiem dziewczynki z miejsca parsknęły śmiechem.

– A kto przyjdzie? Narzeczona? – zagadnęła Marta.

– Zobaczysz – odparł krótko brat. – I lepiej, żebyś wtedy siedziała cichutko jak mysz pod miotłą. Bo inaczej nie pomogę ci więcej w rachunkach – zagroził.

– Wielkie rzeczy. – Wzruszyła ramionami. – A jak ona ma na imię?

– Dowiesz się w swoim czasie.

– Ha, ha, ha! Czyli dziewczyna – ucieszyła się, że udało jej się odgadnąć. – No to będzie zakochana para: Karol i Barbara!

– Jaka Barbara? – oburzył się brat. – Co ci znowu strzeliło do głowy?

– Zakochana para, Karol i Barbara! Zakochana para: Karol i Barbara – powtórzyła niczym papuga. – U nas tak się mówi, jak jakiś chłopak gada długo z koleżanką.

– Jak? Karol i Barbara? – droczył się z siostrą. – Coś ci się poplątało, bo ja słyszałem o Jacku i Barbarze.

– Święty Jacku z pierogami – westchnęła wymownie Julia. – Zocha, Martusia, jedzcież, bo zacierka stygnie.

– Ale kozuch mi się zrobił – zaczęła marudzić młodsza pociecha. – Nie lubię kozuchów. – Skrzywiła się z obrzydzeniem. – Faj!

– Dawaj go – powiedział Wawrzek, łapiąc łyżką ścięte mleko. – Ja tam lubię. Mniam! Pycha!

– Blee!

– O której przyprowadzisz nam swojego gościa? – zagadnęła Julia.

– Wieczorem. Koło siódmej – odparł syn.

– Ach, to dobrze. Jak wrócę z pracy, upiekę babkę piaskową. Mam nadzieję, że ta panna lubi.

– A co ma nie lubić? – Młody mężczyzna pociągnął ostatni łyk kawy zbożowej. W pośpiechu stuknął zbyt mocno kubkiem o stół. Zerwał się z krzesła. – Pędzę na wykłady! – oznajmił.

Kiedy wyszedł, siostry zaczęły się przekomarzać, wymyślając, jak ma na imię dziewczyna Karola. Wawrzek i Julka spojrzeli po sobie.

– Świetnie – powiedziała kobieta. – Przynajmniej nie będzie nas trzymał w niepewności. Mam nadzieję, że to porządna osobka.

– No myślę! Na razie Karol wraca na noc do domu. – Wawrzyniec puścił oko do żony. – A tak właściwie: ta wizyta będzie oficjalna? Jak myślisz?

– Nie mam pojęcia. Ale odniosłam wrażenie, że raczej tak. Zapewne przy najbliższej okazji będzie chciał nas zabrać do jej rodziców.

– Tak sądzisz?

– Owszem. Aczkolwiek powinniśmy nalegać, aby ukończył studia, nim założy rodzinę.

– Tak byłoby najkorzystniej, choć nie jest to jakiś szczególny problem. Sporo studentów godzi wychowanie dzieci z nauką i pracą w spółdzielni. Nie martw się na zapas, Juleczko. Przecież dopiero co cieszyłaś się, że pierworodny zaczyna poważnie myśleć o życiu. – Cmoknął ją w skroń. – No, dziewczyny! Kończymy posiłek. My z mamą już idziemy. Zocha, zamknij dokładnie mieszkanie. I nie zapomnij pozmywać przed wyjściem – napomniął córkę.

*

Po mieszkaniu roznosił się wyborny aromat ciasta. Karola jeszcze nie było. Za to Wawrzyniec co rusz zaglądał do kuchni i posyłał żonie błagalne spojrzenia.

– Jeden kawałek, Julisiu! Bo mi ślina cieknie po brodzie! – prosił.

– Zjadłeś już dwa, łasuchu – przypomniała mu ze śmiechem. – Jak tak dalej pójdzie, to nie będzie czym poczęstować naszego gościa.

– Weroniki – szepnął konspiracyjnie mąż.

– A skąd ty to wiesz? – zapytała, bowiem do tej pory syn nie ujawniał żadnych szczegółów i właściwie aż do dzisiejszego poranka nie mieli pewności, czy w jego rozkojarzeniu chodzi o pannę, czy raczej zmęczenie wywołane ślęczeniem nad podręcznikami.

– A stąd wiem, że zajrzałem przed chwilą do jego pokoju, bo szukałem ostatniego numeru „Młodego Technika”. Pisma wprawdzie nie znalazłem, ale na biurku leży otwarty brulion. Ciekaw byłem, co przerabiają teraz, więc przekartkowałem. No i na jednej stronie zobaczyłem imię otoczone serduszkami. – Puścił oko do żony. – Wiem, że nie powinienem grzebać po jego rzeczach, więc mnie nie wysyp za to nieumyślne wścibstwo.

– Weronika, powiadasz? Ładnie. Ale nie znam żadnej jego koleżanki o tym imieniu. To musi być jakaś świeża sprawa. Może z uczelni?

– Ja też nie kojarzę, aby miał wśród znajomych Weronikę. No i co? Zasłużyłem na cieniutki plasterki babki?

Żona posłała mu mordercze spojrzenie, a następnie odkroiła dla niego jeszcze jeden kawałek ciasta. Potem opuściła kuchnię, grożąc mężowi palcem, aby nie ważył się tknąć reszty wypieku. Przystanęła przed lustrem i poprawiła starannie ułożone włosy. Pociągnęła usta pomadką. Potem uchyliła

drzwi do pokoju córek.

– Tylko pamiętajcie, że macie się grzecznie bawić. Zostańcie tutaj, póki was nie poproszę do stołowego – przypomniała.

– Dobrze, mamusiu – przytaknęła młodsza.

Zosia skrzywiła się buntowniczo. Była ciekawa Karolowej panny i wcale nie zamierzała siedzieć cichutko jak myszka.

Kilka minut później nadszedł Karol z dziewczyną.

Zaintrygowani Pawłowscy weszli do przedpokoju, aby przywitać gościa.

– Mamo, tato, to jest moja Weronika – powiedział uszczęśliwiony chłopak, kładąc rękę na ramieniu ukochanej.

Określenie *moja Weronika* nie umknęło pani domu.

Czyli faktycznie to coś poważniejszego – uznała. *I dobrze, bo teraz wiem, że wyleczył się z pierwszej, niefortunnej miłości.*

Doskonale wiedziała o tym, że wszyscy chłopcy z jego otoczenia kochali się w Bożenie. Kiedy dziewczyna uciekła z Jane, po kolei przychodzili do niej, aby się wyzalić. Albo wyrazić złość na bałamutkę. Sasza, Bukano, Gerard, a nawet Zbyszek Gruca, który trochę odstawał od ich paczki. Widziała także markotną minę Karola. A gdy odrabiał lekcje i malował na brudno esy-floresy, często spod pióra lub ołówka wychodziły to pęknięte serca, to inicjały, które potem starannie przekreślał.

Wybranka syna sprawiała pozytywne pierwsze wrażenie. Miała przyjemną buzię. Jej niebieskie oczy figlarnie spoglądały na świat. Ubrana była bez zarzutu: skromnie, ale gustownie. To ucieszyło Julię – nie przepadała za nadmierną ekstrawagancją. Z uśmiechem wyciągnęła rękę do uroczej blondynki. Choć imię nadal nie nasuwało żadnych skojarzeń, twarz dziewczyny wydała jej się znajoma. Pawłowska pomyślała, że widocznie Weronika mieszka gdzieś w pobliżu. A może to dlatego, że fizycznie dość mocno przypominała Morkównę?

– Bardzo nam miło. Julia Pawłowska. – Z szerokim uśmiechem wyciągnęła rękę.

– Wawrzyniec Pawłowski. – Pan domu kiwnął głową. W jego oczach widać było uznanie.

– Weronika Marczyk – odpowiedziała filigranowa dziewczyna, ściskając dłoń gospodyni.

Julia zamarła. W ułamku sekundy poczuła niezwykłą duszność.

– Mar... – zająknęła się. – Marczyk?

To niemożliwe. Musiałam się przesłyszeć!

– Tak, Marczyk – padło jeszcze raz wyraźnie.

Ostąpiły Wawrzyniec spojrział na pobladłą żonę. Objął ją ramieniem. Miał nadzieję, że chodzi li tylko o jakąś dziwną zbieżność nazwisk, a nie krewną *tamtego* człowieka.

– Proszę, wejdźmy dalej – powiedział zaskoczony pan domu.

Uwadze Karola nie uszło, że matka nagle zmieniła się na twarzy.

Czyżby Weronika nie przypadła jej do gustu?

Ale dlaczego? Zawsze odnosił przyjemne wrażenie, że mama stoi ponad dziwacznymi uprzedzeniami i traktuje wszystkich ludzi jednakowo sprawiedliwie. Osobiście dopilnował, aby tego dnia przyjaciółka ubrała się starannie niż zwykle. Sam doradzał jej w kwestii wyboru sukienki oraz butów. Z jego pomocą prosta wieśniaczka zmieniła się w minionych kilku miesiącach w szykowną miastową pannę. Miała trochę ładnych ubrań. Zadbana o włosy i delikatny makijaż. Zapisła się już do szkoły wieczorowej.

W jego odczuciu na pierwszy rzut oka trudno byłoby poznać, że przyjechała niedawno do miasta z jedną starą walizką, w której mieściła żałośnie ubogi dobytek.

Była urocza. Rozkosznie urocza. Jej uśmiech trafiał prosto w serce, a niebieskie oczy rezolutnie spoglądały na świat.

Jak więc to możliwe, że nie spodobała się matce?

Zasiedli wokół stołu. Na moment zapanowała kłopotliwa cisza. Julia wiedziała, że powinna zaproponować herbatę lub kawę i poczęstować gościa babką. Niestety trwała w stuporze, niezdolna do tego, aby uczynić jakikolwiek gest.

– Mamo? Dobrze się czujesz?

Podniosła na niego duże, ciemnobrązowe oczy. Dostrzegł w nich coś niepokojącego: mieszanie bólu i strachu.

Wawrzyniec postanowił wyjaśnić kwestię nazwiska, które padło.

– A skąd pani pochodzi? – zapytał. – Nie spod Limanowej przypadkiem?

Boże, spraw, aby powiedziała, że nie. Niechby sobie była rodowitą krakowianką. Byle nie miała nic wspólnego z Marczykami z Pawlic lub Piotrowic.

– Weronika. Proszę nie nazywać mnie panią – skorygowała. – Pochodzę z Pawlic, ale zamieszkałyśmy z mamą w Piotrowicach przy spółdzielni. Pracuje w pegeerze, więc dostała tam małą klitkę – padła odpowiedź. – Wiem, że państwo także pochodzicie z tamtych stron. Karol wspominał mi o tym. Pan jest właściwie dziedzicem z dworu.

Pawłowski przełknął ślinę tak nerwowo, że aż rozboleła go grdyka. Tymczasem dziewczyna kontynuowała:

– Zanim przyjechałam do Nowej Huty, też pracowałam w gospodarstwie, ale nie było mi tam dobrze. Marzyłam, żeby przyjechać do miasta i zdobyć lepsze wykształcenie. – Zerknęła z ukosa na Karola, aby sprawdzić, czy nie powiedziała nieopatrznie czegoś niepożądanego. Ten uśmiechnął się łagodnie i nieznacznie pokiwał głową, jakby chciał ją utwierdzić w przekonaniu, że to, co mówi, jest w porządku. Pamiętała, jak podkreślał we wcześniejszych rozmowach, że w jego domu ceni się intelekt. Opowiadał także o nadzwyczajnej życzliwości swej mamy. Widać jednak ta prawidłowość nie dotyczyła Weroniki, gdyż przy stole siedziała sztywno kobieta o kamiennej twarzy, przez którą nie przemknął nawet cień sympatii.

– To ładnie, młoda damo, że zamierzasz się uczyć – pochwalił jej decyzję pan domu. – Trafiłaś w miejsce, które jest do tego wprost stworzone. A co z twoją rodziną? Zostali w Piotrowicach?

– Zostałyśmy same z matką. Mój ojciec nie żyje. Zmarło mu się przed moim narodzeniem – powiedziała zduszonym głosem. – U dziadków była bieda, więc po jego śmierci nie chcieli nas przyjąć pod swój dach. Nad mamą zlitował się naczelnik pegeeru i przyznał jej służbowe mieszkanie.

– Rozumiem – odparł Wawrzyniec, czując jednocześnie, że żołądek zwija mu się w supeł.

– Jak ma na imię twoja mama? – zagadnęła pani domu, siląc się na jak najspokojniejszy ton.

– Teresa. Jak byłam w domu na Boże Narodzenie, to wspomniałam jej o pani. Mówiła mi, że chodziłyście razem do szkoły.

Pawłowski spojrzał na Julię. Była upiornie blada.

– Kochanie? Wszystko w porządku? – zapytał, a następnie wstał. Pomógł jej się podnieść. – Karolu, proszę, czyń honory domu. Bardzo cię przepraszamy, Weroniko, ale żona źle się czuje – skomentował, po czym wyprowadził Julię ze stołowego.

– Mamo? – Karol wybiegł za nimi na korytarz. – Co się dzieje? – wypytywał przerażony.

– Nie teraz, synu. Wszystko będzie dobrze. Później porozmawiamy – odparł Wawrzyniec.

Skonsternowany Karol wrócił do pokoju.

– Co się stało? – zapytała Weronika.

– Mama faktycznie źle się poczuła – odparł. – Nigdy wcześniej nic takiego się nie przydarzyło. Bardzo przepraszam, skarbie – pocałował ją w skroń – ale chyba lepiej, żebym odprowadził cię do domu. Będzie jeszcze dość okazji do tego, by rodzice mogli cię poznać. Martwię się o mamę.

– Tak, to oczywiste – powiedziała zafrasowana dziewczyna. – Chodźmy. Pożegnaj ich ode mnie.

W posępnych nastrojach opuścili mieszkanie. Dopiero po fackie Karol uprzytomnił sobie, że nie przedstawił Weronice siostr.

Trudno. Zrobię to innego dnia.

Teraz większym niepokojem napawało go dziwne zachowanie matki, które niekoniecznie oznaczało problemy zdrowotne – wszak wcześniej nie wspominała, aby cokolwiek jej dolegało.

Szli w milczeniu. W końcu ciszę przerwała Weronika.

– Nie spodobałam się twoim rodzicom – powiedziała spokojnym głosem.

– Co ty wygadujesz? Dlaczego miałabyś im się nie spodobać?

– Bo jestem wieśniarą, której wyłazi słoma z butów? – odpowiedziała pytaniem.

– Bredzisz.

– Zdziwiałeś jest to, że twoja mama poczuła się źle wtedy, gdy powiedziałam, kim jestem.

– Weronika! – Zatrzymał się i złapał ją za ramiona. – Dziewczyno, przestań wygadywać głupoty!

Nie znasz jej. Ona nie uprzedza się do ludzi! Pamiętasz, jak było z Bukanem?

– A co to ma wspólnego ze mną? – wyraziła zdziwienie.

– Bukano to Cygan. Ktoś, kogo niejedyn człowiek ominie szerokim łukiem. A wiesz dlaczego?

Bo Cyganie kojarzą się z kradzieżami, kłamstwem i wszystkim, co najgorsze!

– Nadal cię nie rozumiem.

– Chodzi o to, że Bukano był częstym gościem w naszym domu. Mama bardzo go lubiła.

Chyba bardziej niż pozostałych moich kumpli. Pomagała mu w odrabianiu zadań domowych, często o czymś szeptała na stronie. A kiedy Jane uciekł z Bożeną i Bukano cierpiał z tego powodu, bo też kochał się w tamtej dziewczynie, moja mama próbowała go pocieszać. Słyszałem, jak mu tłumaczyła, że świat się nie kończy wraz z końcem pierwszej miłości. Mówiła, że jest porządnym i mądrym chłopakiem i na pewno znajdzie jakąś pannę, która go doceni. Rozumiesz teraz? Moja mama nigdy nie uprzedza się do nikogo! Nigdy! – zaakcentował. – Jestem przekonany, że dzisiaj naprawdę źle się poczuła. Ostatnio mało zwracałem na nią uwagę, bo wciąż byłem zajęty kuciem do egzaminów albo pisaniem prac zaliczeniowych, ale być może ona na coś choruje. Może nie chcieli mnie martwić i trzymali to z ojcem w sekrecie? – gdybał. – Sama widziałaś, jak szybko tato zareagował.

– Tak, rzeczywiście – odparła bez większego przekonania.

Wolała nie kontynuować tej rozmowy. Karol nie podzielał jej trosk, a ona wyczuwała szóstym zmysłem, że w mieszkaniu Pawłowskich wydarzyło się coś dziwnego.

Przypomniała sobie ostatnią wizytę w Piotrowicach. Matka wypytywała ją wtedy, czy Karol przedstawił ją już swoim rodzicom. Zgodnie z prawdą odparła, że jeszcze nie.

– Wstydzisz się siebie, panicz – powiedziała z przekąsem.

– Nie, to nieprawda!

– Prawda, prawda. Wstydzisz się nieuka. A mówiłam ci, żebyś się uczyła? Mówiłam. Trza było nosić książki do szkoły, a nie łązić z wędką nad wodę. Zresztą zapamiętaj moje słowa: jak już cię twój kochaś przedstawi Julii, to ta na pewno pogoni cię na cztery wiatry. A wiesz dlaczego? Bo to dumna franca, co się wydała za dziedzica. Jak jeszcze Szymczaki miały pole, to strasznie zadzierała nosa i uważała się za kogoś lepszego!

Czyżby matka miała rację?

Weronika westchnęła ciężko. Chciało jej się płakać.

*

Wawrzyniec zaprowadził bezwolną niczym marionetkę żonę do sypialni. Tam posadził ją na łóżku i kucnął przed nią.

– Julisiu?

Żuchwa jej drżała, a po policzkach płynęły łzy. Pierwszy szok i niedowierzenie ustępowały przerażeniu.

– Wawrzek. To okropne! – jęknęła. – Oni nie mogą się spotykać, rozumiesz? Karol musi natychmiast zerwać tę znajomość – szeptała sinymi ustami. – Wawrzek... – Ścisnęła mocno dłoń męża.

– Pomóż mi to rozwikłać. Przecież nie mogę mu powiedzieć prawdy! To by go bardzo zraniło. Całe życie mojego syna zbudowane jest na oszustwie. Wawrzek... Co ja narobiłam?

Mężczyzna usiadł obok niej i mocno ją przytulił. Przycisnął wargi do jej skroni.

– Cii... To nie twoja wina, Juleczko.

– Jak to: nie moja? Nieustannie go okłamywałam!

Dalsze słowa przerwało pukanie. Jęknęła sprężyna klamki. W szparze między drzwiami a futryną pojawiła się głowa Zosi.

– Już po wizycie? – zdziwiła się dziewczynka. – Tak szybko?

– Trochę niefortunnie to wypadło – odparł Wawrzyniec.

– A czemu mamusia płacze?

– Wracaj do swojego pokoju – polecił. – Musimy porozmawiać o czymś ważnym. To są sprawy dorosłych.

– Nie będzie ślubu? – dociekała zawiedziona Zocha.

Wawrzyniec wskazał drzwi.

– O coś cię prosiłem – przypomniał suchym tonem. – Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Potulnie wycofała się z pokoju. Mężczyzna odczekał, aż za taflą z matowego szkła zniknie zarys jej postaci.

– Juleczko, Juleczko... Nie możesz zadręczać się tym, że go okłamałaś. Właściwie obydwójce to robiliśmy. Wszak szło o dobro Karola – tłumaczył łagodnie, głaszcząc żonę po rękę.

– Jestem podłą kłamczuchą, a on teraz będzie przeze mnie cierpieć.

– Julio! Nie zadręczaj się. Kiedy człowiek ma dwadzieścia lat, łatwo się zakochuje, ale łatwo też leczy zranione serce. Trzeba jakoś oględnie wytłumaczyć Karolowi, że musi uciąć znajomość z tą dziewczyną. To dobry chłopak, na pewno zrozumie i jakoś się z tym pogodzi.

– Chcesz mu powiedzieć prawdę?

– To nie najlepszy pomysł. On uważa mnie za swego tatę i wołałbym, aby tak pozostało. Karol jest moim synem. Jestem z niego dumny i bardzo go kocham. Pragnę dla niego jak najlepiej. Boję się, że prawda zrujnowałaby mu życie. Zresztą nie tylko jemu. Nie mam pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji – westchnął ciężko.

Julia ukryła twarz w dłoniach. Przez chwilę płakała bezgłośnie. Potem otarła łzy. Wstała. Przeszła parę kroków po sypialni.

– Największym błędem, jaki popełniliśmy, mam na myśli całą naszą rodzinę, było zamiatanie problemów pod dywan i trzymanie dzieci z dala od naszych spraw. Nikt nigdy nie poruszał przy nich bolesnych tematów. Pilnowaliśmy, aby w rozmowach nie padało nazwisko Marczyków. Baliśmy się wywoływania wilka z lasu, jakby pomijanie tego milczeniem mogło w czymkolwiek pomóc. To było głupie! Dzieci powinny wiedzieć, że od tych ludzi zaznaliśmy niewyobrażalnego zła. Że straciliśmy przez nich grunty i musieliśmy opuścić rodzinne strony, ponieważ skutecznie uprzykrzyli nam życie. Że ten czerwony łotr przywłókł się za nami aż tutaj i do tej pory nie daje nam spokoju. Że szpieguje i prześladuje naszą rodzinę. Kto wie, czy to nie on nasłał tutaj tę małą, aby narobiła nam bigosu? Może podsunął ją Karolowi, aby skrzywdzić również i jego?

– Czy on wie? – zapytał Wawrzyniec.

– Nie. Nigdy nikomu ze wsi nie zdradziłam prawdy, choć były chwile, gdy chciałam wyrzucić z siebie, że padłam ofiarą gwałtu, by ludzie przestali mnie szkalować – szeptała gorączkowo. – O tym wiedzieli tylko najbliżsi i jestem przekonana, że nikt z nich nawet nie pisał na ten temat.

– Czyli Edek i Weronika na pewno o niczym nie mają pojęcia. A to zwiększa prawdopodobieństwo, że on chce się nią posłużyć.

Spojrzeli sobie w oczy.

– No to już wiemy, jak rozmawiać z Karolem. Nie martw się, kochana. Tak mu to wszystko wytłumaczymy, że sekret nie ujrzy światła dziennego. Nasz syn na pewno nie będzie chciał mieć do czynienia z kimś, kto ma powiązania ze Służbą Bezpieczeństwa.

*

Po powrocie do domu Karol został wezwany przez ojca do sypialni rodziców. W mieszkaniu

zaskoczyła go nieprzyjemna, zatrważająca cisza. Nie było nerwowej atmosfery, jaka na pewno panowałaby, gdyby matka faktycznie zachorowała. Siostry bawiły się, zamknięte w swoim pokoju.

– Musisz jak najszybciej zakończyć znajomość z tą dziewczyną.

Po złym samopoczuciu matki nie został nawet ślad. Wciąż była blada, a na jej twarzy nie gościł nawet cień uśmiechu, lecz w głosie brzmiała ogromna stanowczość.

– Nie ma mowy! – zaprotestował.

Przez chwilę sprzeczali się bez wysuwania konkretnych argumentów. Karol nie chciał słuchać tego, co rodzice mają do powiedzenia. Uważał, że uprzedzili się do niewykształconej dziewczyny ze wsi i nawet nie próbują poznać jej od lepszej strony. Nie interesowało ich, że jest ambitna, pracowita i ma szczerą chęć, by odmienić swoje życie.

W końcu zniecierpliwiony Wawrzyniec odsunął krzesło od toaletki.

– Siadaj, synu! – Położył mu dłoń na ramieniu. – Musisz posłuchać pewnej mrocznej historii. Jestem przekonany, że jak ją poznasz, to przyznasz nam rację. Daj nam parę minut, a wszystko ci opowiemy. Bez przerywania. – Wycelował w niego palec wskazujący. – A później powiesz nam, co postanowiłeś.

Zrezygowany chłopak usiadł. Wiedział, że rodzice mu nie odpuszczą, więc wolał mieć to z głowy. Po trosze był ciekaw tej opowieści, lecz wątpił, aby cokolwiek mogło rzucić cień na jego znajomość z Weroniką.

– Żałuję, że nigdy nie wspominaliśmy o tym przy tobie, twoich siostrach i kuzynostwie – zaczęła matka – ale my, dorośli, uznaliśmy na jakimś etapie życia, że nazwisko Marczyk powinno zniknąć z naszej pamięci raz na zawsze, choć ta rodzina zrobiła bodajże wszystko, co było w ich mocy, aby nam to udaremnić.

– Znamy bardzo dobrze krewnych Weroniki – wtrącił ojciec. – Nie sposób nie znać ludzi pochodzących z tej samej okolicy, zwłaszcza gdy stali się oni źródłem krzywd wyrządzonych naszym bliskim.

– Musimy cofnąć się w czasie o ponad dwadzieścia lat. Jak wiesz, kiedyś Szymczakowie byli właścicielami bardzo dużego i pięknego gospodarstwa rolnego. Uchodziliśmy za największych gospodarzy w okolicy, zaraz po Pawłowskich rzecz jasna. Dwie najbardziej znamienite rodziny, spokrewnione kilka pokoleń wstecz, zwaśnione aż do czasu, gdy Wawrzyniec i ja wzięliśmy ślub.

– No tak, wiem o tym wszystkim. Ale to nie ma nic wspólnego ze mną i Weroniką. – Karol wzruszył ramionami.

– To dopiero początek. Po wojnie nasze życie było sielankowe i pozbawione większych trosk, choć wciąż ścigała nas zawiść ziomków, ponieważ powodziło nam się zdecydowanie lepiej niż innym rolnikom. Takich jak my określano pogardliwie kułakami. Nie wspominałam ci o tym, ale przed laty wujek Bronek zaręczył się z moją koleżanką, Teresą Rutą. Mówi ci to coś?

Młody mężczyzna pokręcił głową.

– Teresa Ruta jest matką Weroniki – odparła matka.

– Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że jej ojcem jest wujek Bronek i to moja kuzynka! – wystraszył się Karol.

– Nie. Wysłuchaj nas spokojnie, synu – odparł Wawrzyniec.

– Pod koniec lat czterdziestych w naszej okolicy zaczęto organizować spółdzielnię rolniczą. Na jej czele miał stanąć niejaki Bartłomiej Marczyk. – Nienawistne imię z trudem przeszło Julii przez gardło. – Człowiek ten z pomocą swojego brata, Edwarda, podłego ubeka, pozbawił nas ziemi. Zostaliśmy wywłaszczeni za psie pieniądze. Z dnia na dzień zrobiono z nas nędzarzy. Marczykowie zawsze nas nienawidzili i byliśmy im solą w oku – wyjaśniła. – Na wieść o tym Teresa zerwała zaręczyny z twoim wujkiem. To była chciwa i bardzo interesowna kobieta, bowiem kilka miesięcy później została żoną naczelnika spółdzielni. Dla naszej rodziny nastąpiły mroczne i trudne czasy. Bronek nie miał czego szukać we wsi. Huta była wtedy w budowie, więc tutaj zaczął nowe życie. My zostaliśmy w Pawlicach, lecz było nam bardzo ciężko. Marczyk, aby nas jeszcze bardziej upokorzyć, przydzielił nam najgorszą robotę. Jedno po drugim zaczęliśmy uciekać do miasta.

Julia opowiadała o tym, co przydarzyło się Andrzejowi i jak on pomścił swoją ukochaną. O odnalezieniu truchła w oficynie i podejrzeniach Edka. O tym, jak ubek katował Bronka w areszcie i że cudem udało się wyrwać biedaka z rąk oprawcy. Później wyjaśniła, że Marczyk nie poniechał prześladowań i przyjechał za nimi do Nowej Huty, gdzie wciąż zaturuwa im życie.

– To on znęcał się nad Bronkiem i Jankiem, gdy siedzieli na Montelupich.

– Odwiedził mnie po zamieszkach związanych z obroną krzyża. Pamiętasz, jak wróciłem tamtej nocy do domu?

– Tak, tato. Byłeś wtedy ranny.

– Wiedział o wszystkim. Przyszedł do mojego biura kilka dni później i wbił mi palce w gojącą się ranę. Nie wiedziałbym, że to ta gnida, gdyby pewnego dnia Broniek nie pokazał mi drania na ulicy. Nie sposób zapomnieć czerwonego ryja tej świni.

– Jakiś czas temu próbował zamordować Bronka – szeptała Julia. – Łaził za nim dotąd, aż przydybał go samotnie na odludziu. Wzięli się wtedy za łby. Edek zaczął strzelać. Byliby się tam utopili lub wykrwawili na śmierć, gdyby Janek nie przyszedł im z pomocą. Ostatnimi czasy było trochę spokoju, ale widzę, że teraz to bydłę musiało obrać za cel młodsze pokolenie. Już wiesz, co to za ludzie: interesowna, chciwa Teresa, zawistny drań i gwałcieciel, który spłodził z nią dziecko, oraz ślepy furiat na usługach bezpieki, który nie spocznie, póki do reszty nie zaturuje nam życia. Nadal uważasz, że twoja dziewczyna pojawiła się wśród nas przez przypadek?

Karol zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

– Nie mogę w to uwierzyć! Wymyśliliście całą tę historię!

– Uwierz nam, synu. To prawda – odpowiedział Wawrzyniec. – Możesz zapytać o wszystko wuja Bronka. Albo ciocię Krysię. Najmniej na ten temat wie Leszek, bo on przebywał wówczas w wojsku. Ale myślę, że także dodałby to i owo do naszej opowieści. Marczykowie przez lata robili, co mogli, aby nam zaszkodzić. Każdy powtórzy ci tę samą historię. Zresztą część z niej miałeś okazję poznać już wcześniej, choć nie z aż takimi strasznymi szczegółami.

– Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówicie? Chcecie zniszczyć moje szczęście, czy tak? Nie spodobała wam się Weronika i postanowiliście mi ją obrzydzić! Każdą dziewczynę, którą przyprowadzę do domu, będziecie tak szkalować?

– Nie obrzydzalibyśmy ci nikogo, gdyby nie konieczność.

– Więc trzeba było nie robić sekretów, tylko dawno temu wspomnieć coś o Marczykach. Teraz to zakrawa na obłudę!

– Karolu, uspokój się. Nie mówiliśmy o tym wcześniej, ponieważ pragnęliśmy was chronić. I poniekąd chcieliśmy o tym wszystkim zapomnieć.

– Gdybyście naprawdę chcieli nas chronić i uważali Marczyka za realne zagrożenie, to my, dzieci, wiedzielibyśmy o wszystkim. Żeby w razie czego zidentyfikować niebezpieczeństwo.

– Za każdym razem, gdy Marczyk uderzał, wierzyliśmy, że to ostatni atak na naszą rodzinę.

– Dobra. – Chłopak wzruszył ramionami. – Mniejsza o to. Nie możecie jednak oskarżać Weroniki o zмовę z Edkiem. Ona jest niewinna. Nie znacie jej!

– Nosi nazwisko Marczyk. To wystarczający argument.

– Nie znacie jej! – powtórzył zaciętrzewiony.

– Znamy Edka i Teresę. Jestem święcie przekonana, że oni są w zмовie. On ją tutaj sprowadził po to, aby się do nas zbliżyć.

– Głupstwa gadacie. Weronika mieszka w hotelu dla robotnic. Gniecie się w jednym pokoju z trzema dziewczynami. Gdyby Edek ją tutaj ściągnął, zapewniłby jej lepsze warunki. Poza tym wpadliśmy na siebie przez przypadek, gdy ona biegła do tramwaju. Padał deszcz i nie zauważyła mnie, jak wyszedłem zza zakrętu.

– Takie przypadki łatwo zaaranżować. Karolu, przemawiam ci do rozsądku: zakończ jak najszybciej tę znajomość. Najlepiej utnij ją natychmiast. Zanim będzie za późno i narobisz sobie jakiejś strasznej biedy. Widziałeś, w jakim stanie była twoja matka, gdy przedstawiłeś nam tę dziewczynę? Czy to nie jest dostateczny obraz rozmiaru nieszczęść wiążących się z Marczykami?

– Nie ma mowy! Przestańcie szkalować kogoś, kogo tak naprawdę nie znacie!
– A ty zdążyłeś ją już dobrze poznać? – zapytała matka.
– Tak.
– Jak długo to się ciągnie?
– Od jesieni.
– Spotykasz się z tą dziewczyną tyle czasu i nie znalazłeś jednej chwili, aby nam ją wcześniej przedstawić? – W głosie Julii pojawiło się jeszcze większe zdenerwowanie.
– Może nie zrobiłem tego wcześniej, bo miałem jakieś cholerne przeczucie, że Weronika nie przypadnie wam do gustu? Ty nigdy nie mogłaś znieść, że nadmiernie spoufalam się z pawliczanami. Zawsze krzywo patrzyłaś na zawierane tam znajomości. Nie lubiłaś, gdy samotnie wyprawialiśmy się z młodymi na wieś!
– Bzdury wygadujesz! Dlaczego miałabym wam tego zabraniać?
– Bo gardzisz swoimi ziomkami? A może wstydzisz się tego, że kiedyś byłaś panią na hektarach, a po reformie rolnej zostałaś wytykaną palcami dziadówką?
– Karol! Jak śmiesz! – skarcił go ojciec.
– Przepraszam. Poniosło mnie. Ta rozmowa donikąd nie prowadzi – oświadczył, zmierzając w stronę drzwi.
Już chciał je otworzyć, lecz Wawrzyniec zapał się o nie ręką.
– Poczekaj. Przemyśl to wszystko bez emocji. Rozważ, czy warto igrać z ogniem. Ochłoń. I przejrzyj na oczy. Rozumiem, że zaślepią cię miłość. Wiem, jak łatwo można stracić głowę dla kobiety. Czasami jednak warto dopuścić do siebie głos rozsądku.

*

Nazajutrz Karol wstał w wyjątkowo kiepskim nastroju. Źle spał minionej nocy, ponieważ wciąż zadreślał się rozmyślaniami nad tym, co usłyszał od rodziców. Z jednej strony trudno mu było uwierzyć, żeby Weronika była podstawioną agentką bezpieczeństwa – wydawało mu się, że dobrze ją zdążył poznać. Sprawiała wrażenie szczerzej i prostolinijnej. Kochał ją całym sercem mimo wszystkich jej niedoskonałości. Wszak wspólnie pracowali nad tym, aby je wyeliminować. Pomagał jej w przedzierzgnięciu się z wiejskiej dziewczuchy w pannę z wielkiego miasta. Ktoś taki jak ona nie mógłby być do tego stopnia zakłamany!

Z drugiej strony rozumiał obiekcje rodziców. Ze znaczną częścią tej historii miał do czynienia, choć dorośli starali się trzymać go na dystans od swoich spraw. Pamiętał o problemach wujka Bronka. Nie znał tylko nazwiska jego prześladowcy. Nie przypuszczał nawet, że za większością jego kłopotów stoi jeden człowiek.

Muszę porozmawiać z Weroniką. Spróbuję ją przycisnąć do muru. Może powie mi prawdę albo zdradzi się jakąś nieprzemyślaną wypowiedzią. A jeżeli uznam, że jest niewinna i nie ma nic wspólnego ze swoim wujem, będę walczył o to, by rodzice ją zaakceptowali.

W milczeniu zjadł śniadanie z bliskimi. Zbywał natrętne pytania Zośki o to, czemu jego panna tak szybko poszła, oraz o to, dlaczego i o czym tak długo gadali wieczorem w pokoju rodziców. Mama i tato nie byli rozmowni. Posyłali mu ponad stołem rozpaczliwe spojrzenia, które były znacznie wymowniejsze niż tysiące słów. Gdy wychodził na zajęcia, ojciec odprowadził go do drzwi. Położył mu rękę na ramieniu i popatrzył głęboko w oczy.

– Wiem, że jest ci teraz bardzo ciężko. Mam nadzieję, że ochłonąłeś choć trochę i wszystko przemyślałeś. Nie zawieź nas, synu. Bardzo ubolewamy nad tym, że tak to się niefortunnie poskładało. Szkoda, że wcześniej nie ujawniłeś, kim jest twoja panna. Może to zaoszczędziłoby nam wszystkim zgrzyzot.

– Sami mogliście sobie ich zaoszczędzić, gdyby nie te wasze sekrety. To szeptanie po kątach!

Byle dalej od głupich bachorów, bo one i tak niczego nie rozumieją.

– Jesteś niesprawiedliwy.

– Życie jest niesprawiedliwe, tato – odparł, wychodząc z mieszkania.

– Karol, przemyśl to jeszcze! – usłyszał, gdy zbiegał po schodach.

Chętnie pognałby od razu do Weroniki, ale wiedział, że jest w pracy. Sam też musiał jechać na uczelnię. Kilka godzin niczego nie zmieni. Porozmawiają wieczorem – byli umówieni na spacer wokół zalewu. Być może zwłoka rozjaśni choć trochę jego myśli i pozwoli mu ochłonąć.

*

Piękna pogoda przygnała nad zalew wielu spacerowiczów. Mimo godzin wieczornych wciąż jeszcze można było spotkać całe rodziny z dziećmi oraz plażowiczów opalających się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. O znalezieniu wolnej ławki można było zapomnieć.

Karol z daleka wypatrzył Weronikę. Stała na kładce, oparta o metalową barierkę. Długie do połowy pleców włosy rozwiewał wiatr. Miała na sobie ładną letnią sukienkę sięgającą kostek, a dłonie ozdobiła kilkoma bransoletkami. Wyglądała jak hippiska.

Serce mocniej mu zabiło.

Ona nie może być na usługach bezpieki! Zaraz to wszystko wyjaśnię.

Podszedł bliżej i zauważył głęboki smutek malujący się na ukochanej twarzy.

– Jak się czuje twoja mama? – zapytała dziewczyna na powitanie.

– Serwus, Niczka. Zdecydowanie lepiej.

– A co jej dolegało?

– Trudno powiedzieć. Chodźmy stąd. Strasznie tłoczno tu dzisiaj, a ja chciałbym zapytać cię o parę ważnych spraw.

– A więc jednak – zmartwiła się. – Wczoraj coś źle poszło.

– Niezupełnie. Mama była wstrząśnięta, ale nie chodzi o to, że się nie spodobałaś czy coś takiego. Ona bardzo się cieszyła na wieść, że chcę przyprowadzić do domu kogoś, kto jest dla mnie szczególnie ważny.

Ruszyli w stronę ulicy Bulwarowej. Karol miał nadzieję, że znajdą ławkę w jakimś ustronnym miejscu i spokojnie porozmawiają. Oczywiście nie dało się iść w milczeniu.

– No... Początkowo wydawała się zadowolona na nasz widok. Wyciągnęła rękę i w ogóle...

A potem...

– Potem się przedstawiłaś i nagle mama źle się poczuła. Nie uważasz, że to dziwne?

– Ale czemu tu się dziwić? Czy ona nie akceptuje tego, że pochodzę z jej rodzinnych stron?

– Nie. To nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Tutaj chodzi o zupełnie inny powód. O konflikt, w jaki przed laty popadły nasze rodziny – wyjaśnił.

– Ach tak... No widzisz? Czyli miałam rację. Chodzi o mnie – westchnęła ciężko.

– Nie o ciebie. O naszych krewnych: moich i twoich.

– Moja mama z góry zakładała, że tak będzie – stwierdziła.

– Rozmawiałaś z nią o nas?

– To dość oczywiste, że wspomniałam o tobie. Mama była ciekawa, czy znalazłam w mieście jakiegoś kawalera. No to co, miałam łączyć, że nie?

– I co powiedziała? – dopytywał.

Skręcili w Bulwarową i weszli w przyjemny cień rzucany przez gęsto rozrośnięte korony drzew. Tutaj było znacznie spokojniej niż nad zalewem oraz wzdłuż ruchliwej alei Lenina[17].

– Że kto jak kto, ale twoja matka na pewno mnie pogoni – odparła szczerze.

Pawłowski przystanął i złapał ją za przedramię. Spojrzał Weronice w oczy.

– Serio tak powiedziała?

– Użyła nieco dosadniejszych słów.

– A wiesz dlaczego?

Dziewczyna pokręciła głową bez przekonania.

– Twierdziła, że twoja mama zawsze zadzierała nosa, bo była dumną dziedziczką.

– A słyszałaś może o tym, że twoja matka miała innego narzeczonego, nim wyszła za męża?

– Nie – odparła Weronika. – Mama niechętnie wspomina przeszłość. Złości się, kiedy wypytuje ją o ojca. Przypuszczam, że gdybym zagadała o jakiegoś poprzedniego kawalera, to wpadłaby w szal.

Ruszyli dalej cienistym skwerem. W końcu znaleźli wolną ławkę, na której usiedli.

– No to cię pewnie zaskoczę teraz informacją, że była zaręczona z moim wujem Bronkiem.

– Matko jedyna! Chcesz powiedzieć, że jesteśmy kuzynami, bo oni coś ten... tego... – zająknęła się, a następnie zasłoniła usta dłonią. – To by wiele tłumaczyło.

– Nie. Spokojnie. Do niczego między nimi nie doszło. Wiem, że wuj przyjechał na budowę Nowej Huty już w czterdziestym dziewiątym roku. A ty urodziłaś się...

– W lutym pięćdziesiątego drugiego – weszła mu w słowo i natychmiast odetchnęła z ulgą. – To pewne? – zapytała.

– Całkowicie. Częściowo znam historię mojej rodziny i wiem, że on nie pokazywał się w Pawlicach przez ładnych parę lat. Nie mógł więc zgrzeszyć z twoją mamą.

– Czyli uważasz, że niechęć twojej matki wywołana jest zerwanymi zaręczynami?

– Nie, Niczka. To byłby zbyt błahy powód, żeby mama się do ciebie uprzedziła. Zostawmy ten temat. Powiedz mi lepiej, ale tak z ręką na sercu: skąd wzięłaś się w Nowej Hucie? Jak tu trafiłaś? Ktoś cię tutaj zaprosił?

Spojrzała na niego ze zdumieniem. To był chyba ostatni zestaw pytań, jakiego mogłaby się spodziewać.

– Nikt mnie nie zapraszał. Przyjechałam z dwóch powodów. Chciałam uciec ze wsi, gdzie byłam prześladowana przez głupich gówniarzy tylko dlatego, że człowiek, który mnie spółdził, był przez jakiś czas naczelnikiem w kołchozie. Ludzie do dzisiaj wyzywają moją matkę od dziwek, mimo że miała z nim ślub cywilny, a ja urodziłam się dziewięć miesięcy po ślubie. Byłyśmy chyba najbardziej znienawidzonymi osobami w pegeerze, choć nigdy nie mogłam pojąć, co powodowało ludźmi, że okazywali nam taką pogardę. Mama przestrzegала mnie, że ta pogarda nie skończy się wraz z moją przeprowadzką do miasta, i, niestety, miała świętą rację.

– A drugi powód?

– Ty byłeś drugim powodem – odparła z onieśmieniem. – Tym ważniejszym.

Nigdy wcześniej mu o tym nie mówiła. Bała się, że utraci jego szacunek, jeśli wyzna, że przyjechała do miasta przede wszystkim dla niego.

– Ja? – zdziwił się Karol.

– Tak, ty. Po twoim odjeździe z Pawlic było mi bardzo źle. Nie mogłam znieść prześladowań. Tęskniłam za tobą. Byłeś jedynym człowiekiem, który okazał mi odrobinę życzliwości. Pomyślałam więc, że przyjadę tutaj i spróbuję cię odszukać. Jak widać, udało się, choć dokonał tego czysty przypadek.

– Jesteś pewna, że w podjęciu decyzji nie pomógł ci wuj?

– Kto? – spojrzała na niego zaskoczona.

– No... Twój wujek. Edward Marczyk.

– O czym ty mówisz? Ja w ogóle nie znam tego człowieka. Na oczy go nie widziałam, choć owszem, słyszałam o nim od matki. Był bratem mojego ojca. Podejrzewał nawet mamę o to, że zamordowała swojego męża – dodała z ogromnym zażenowaniem i spuściła wzrok. – Być może to od niego wzięła początek pogarda, którą ludzie okazują mamie.

– Chyba nie jest aż tak duża, skoro twoja mama wciąż tam mieszka.

– To nie tak, Karolu! – zdenerwowała się. – Mama po prostu nie widziała dla siebie innych perspektyw. Nie miała dokąd pójść. Bała się, że jak wyruszy między obcych, to sobie nie poradzi.

– Mój wujek jakoś dał sobie z tym radę – zauważył.

– No tak, ale to mężczyzna. Mężczyźni zawsze mają w życiu łatwiej. A mama była na dodatek

obarczona małym dzieckiem.

– Czyli nie przyjechałaś tu na zaproszenie Edwarda Marczyka? – dociekał.

– Przysięgam, że nie mam absolutnie nic wspólnego z tym człowiekiem.

Karol wyciągnął ramiona i mocno ją przytulił.

– Dobry Boże... – odetchnął z ulgą. – Wiedziałem. Wiedziałem, że oni się mylą.

Bardzo skrótowo opowiedział jej o prześladowaniach, jakich zaznała rodzina Szymczaków od Edwarda. Pomiął milczeniem wszystkie okoliczności związane ze śmiercią pierwszego naczelnika kołchozu. Jego zdaniem Weronice nie była potrzebna do szczęścia wiedza, że siedzi na ławce z bratankiem mordercy. Widział, że mimo wszystko słowa, które padły, sprawiły jej ogromną przykrość, choć wypowiadał się wyłącznie na temat obydwu Marczyków. Nie wspomniał nawet słowem o tym, że i jej matka wzbudzała niechęć u jego rodziny.

*

Wrócił do domu późnym wieczorem. Nie na tyle późnym jednak, aby nie natknąć się na rodziców.

– Gdzie byłeś tak długo? – zapytała matka.

– Rozmawiałem z Weroniką – odparł zgodnie z prawdą.

– I co jej powiedziałaś? – zainteresował się ojciec.

– Szukałem potwierdzenia dla waszych teorii. Ona o niczym nie miała pojęcia. Ani o narzeczństwie swojej matki z wujkiem Bronkiem, ani o tym, że Marczyk jest w Nowej Hucie. Ona nawet go nie zna. Jest niewinna. Padła ofiarą niefortunnego zbiegu okoliczności. Mamo, tato... Dajcie jej szansę – nalegał syn. – To naprawdę cudowna dziewczyna. Kocham ją nad życie – dodał z całą powagą.

Julia ukryła twarz w dłoniach. Karol zobaczył, jak drżą jej łopatki w tłumionym na siłę szlochu.

– Nie zerwę z Weroniką – powiedział, choć widział, że tymi słowami bardzo rani matkę. –

Musicie to zaakceptować.

– Nie! Nigdy! – krzyknęła, opuszczając ręce. – Żądam, abys natychmiast zakończył tę znajomość.

– Synu – Wawrzyniec uścisnął jego ramię. – Zaufaj nam. Musisz to zrobić. Musisz rozstać się z Weroniką.

Karol opuścił sypialnię rodziców. Minął bez słowa Zośkę wyglądającą z pokoju sióstr. Nie zwrócił uwagi na nią nawet wówczas, gdy w całej okazałości pokazała mu język. Wszedł do siebie i zamknął drzwi. Uchylił okno. Nastawił na adapterze Bambino płytę Presleya i włożył na uszy słuchawki. Położył się w ubraniu na łóżku. Choć wiedział, że matka nie toleruje tego we własnym mieszkaniu – sięgnął po papierosy.

Będę walczył o tę miłość – stwierdził buntowniczo. Oni nie mają racji! Mylą się, psiakrew! Udowodnię im, że Niczka jest niewinna. To pewnie trochę potrwa, ale w końcu pojmą swój błąd. Rozumiem, że za ich niechęcią stoją całe lata nieporozumień, więc muszę być cierpliwy.

[16] Fragment utworu *Love Me Tender* w wykonaniu Elvisa Presleya. Tekst Vera Matson, Elvis Presley, muzyka na motywach ludowych: George R. Poulton.

[17] Obecnie aleja Solidarności.



Gniewna młodość

Chłopcy dokazywali ponad wszelką miarę, a Leszek z każdym dniem odczuwał coraz większą bezsilność. Nie było tygodnia, aby choć jeden z nicponi nie przyniósł w dzienniczku uwagi dotyczącej nieodpowiedniego sprawowania. Jeżeli w szkole działo się coś złego, w zamieszaniu zawsze brał udział choć jeden Szymczak. W przeciągu dwóch lat udręczony ojciec zdążył poznać absolutnie wszystkich nauczycieli swoich synów, wychowawcę, pedagoga, a nawet dyrektora i zastępców. Siłą rzeczy zawarł również znajomość z woźnymi i szatniarkami. Czasami odnosił wrażenie, że osiedlowa placówka edukacyjna nie skrywa już przed nim żadnych tajemnic.

– Dobrze, że Kacper i Melek skończą niedługo podstawówkę – utyskiwał do Kazimiery. – Może jak pójdą do nowej szkoły i zmienią otoczenie, to zaczną się zachowywać przyzwoicie.

– Chyba żartujesz! – burknęła żona. – Toć dopiero w zawodówce się rozbisurmaniają. Tam trafią pomiędzy starych koni, którzy dadzą im jeszcze gorszy przykład. Oj, brakowało im ojcowskiej ręki w najważniejszym czasie! Zawsze byli z nich łobuzy dożarte, ale teraz to już przekracza ludzkie pojęcie! Postawiłbyś ich w końcu do pionu.

– Ale co ja mogę, skoro mnie nie słuchają? – Rozłożył ręce w geście bezradności.

– A weźże pasa i zlej im tyłki. Może to ich nauczy rozumu.

– Mam bić własne dzieci? A co ja jestem jakiś hitlerowiec, żeby katować niewinnych?

– Jakich niewinnych! A szyba zbita w klasie Melka? A podarty chałat jakiejś zapłakanej beksey u Darka? A bójka Kacpra i wybity koledze zęb? To są niewiniątka? Nie! To diabły wcielone.

– Kaziu, nie mów tak o naszych dzieciach. Zabraniam ci!

Tylko żonie potrafił się postawić, a i to nie zawsze, bo czasami go zakrzykiwała. A chłopcy patrzyli na to i drwili sobie z niego ile wlezie. Nic więc dziwnego, że nie miał ich szacunku.

Zwiesił bezradnie ramiona i wyszedł do przedpokoju. Wzwał buty i odryglował zamek.

– A ty dokąd? – dobiegło go wołanie żony.

– Idę do kościoła na nowennę – oznajmił, choć wiedział, że to jeszcze bardziej ją zirytuje.

Oczywiście mógł wymyślić naprędce jakieś kłamstwo, ale po co? Miał już dosyć obłudy i błędów, które popełnił przed wypadkiem. Skoro los dał mu nową szansę, chciał przeżyć resztę życia jak należy.

Pierwszy raz od wielu lat przystąpił do sakramentu pojednania z Bogiem, gdy jeszcze przebywał u siostr. Początkowo odmawiał spowiedzi, lecz po kilku tygodniach od przebudzenia sam poprosił

o rozmowę z kapłanem. Uwolnił sumienie od grzechów. Poczul wtedy ulgę, jakby ktoś zdjął mu z ramion niebagatelny ciężar. Znajdował ukojenie w modlitwie. Często zachodził do świątyni w Mogile lub Czyżynach poza porządkiem nabożeństw. Cisza kościoła okazała się panaceum na bóle głowy i zszargane nerwy. Modlił się gorliwie jak nigdy wcześniej. Powierzał Najświętszej Paniencie swą pyską żonę, która wcale nie była taka zła, jak sądzili inni.

– Ona się poplątała – szeptał pomiędzy kolejnymi paciorkami różańca, które przesuwiał spracowanymi dłońmi. – Nie miała łatwego życia. Nigdy nie było jej lekko. A i na mnie nie mogła liczyć w trudnych chwilach. Ona kiedyś oprzytomnieje – powtarzał z ufnością.

Modlił się także za swoją rozbrykaną gromadkę.

– To dobre dzieciaki, Panie Jezu. Muszę im tylko wskazać odpowiedni kierunek. Wierzyłem, że ten cud nastąpi za sprawą sakramentu komunii, ale widać potrzebują jeszcze trochę czasu, aby dojrzeć.

Na koniec wymieniał jeszcze jedną intencję:

– Dodaj mi siłę, bym dał radę nieść ciężar, którym mnie obarczyłeś.

Podbudowany nadzieją wracał do domu: do krzyków i przepychanek, do obitych talerzy i poniszczonych sprzętów. Wierzył, że pewnego dnia ich życie się zmieni. Pragnął, aby byli jak Broniek i jego bliscy albo Julka z rodziną, albo Janek, Krysia i Ewa – żyjący w zgodnym spokoju.

*

Minęły dwa dni od niefortunnej wizyty Weroniki. Czerwiec dobiegał końca. Karol z przygnębieniem myślał o tym, że rodzice zachowują się podle. Byli nieugięci. Nie chcieli słyszeć o Marczykównie. Nie dali jej szansy. Wciąż domagali się, aby z nią zerwał, a on nie mógł tego zrobić. Po prostu nie mógł.

Błąkał się ulicami bez szczególnego powodu, gdy wpadł na Saszę. Dawno się nie widzieli – ostatnio zaniebował absolutnie wszystko – tak bardzo pochłaniała go nauka i spotkania z ukochaną. Pogadali chwilę o różnych błahostkach, a potem kolega przypomniał mu, że wyjeżdża z paczką przyjaciół nad Jezioro Rożnowskie.

– Dołącz do nas – namawiał gorąco. – Weź ze sobą Weronikę i jedźcie z nami. Zobaczysz, jak żyje się we wspólnocie. Co roku wyjeżdżamy całą zgrają na dwa miesiące.

– A twoja praca?

– Co tam praca! Rzucam ją w cholerę. We wrześniu znajduję nową.

– A z czego żyjesz przez lato?

– Różnie. Pomagam przy żniwach, zbieram grzyby, borówki. Obieram porzeczki. Byle było na jedzenie i papierosy. Resztą nie ma się co martwić. Prześpimy się w namiotach, szałasach, czasem w czyjejś stodole. Wolność, przyjacielu! Takiej swobody nie zaznasz w całym życiu!

– Zastanowię się – odparł wymijająco Karol, choć w głowie zrodziła mu się myśl, aby faktycznie zabrać dziewczynę, rzucić wszystko w diabły i wyjechać na prawdziwe wakacje.

W Nowej Hucie nic go nie trzymało: z rodziną nie mógł się dogadać, egzaminy na studiach zaliczył koncertowo, a praktyki w kombinacie mógł odbyć w jakimkolwiek innym terminie.

Gdyby tak wyjechać z Niczką daleko od tych wszystkich problemów! Bylibyśmy razem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Poznalibyśmy się jeszcze lepiej. Tylko jak udobruchać rodziców? A może gdybyśmy wyjechali, to i oni trochę by odpuścili? Może w tym czasie nabraliby dystansu i zaakceptowali mój wybór?

Jeszcze tego samego wieczoru poszedł do ukochanej i przedstawił jej swój plan. Wspólnie uzgodnili, że pojutrze wyjadą razem z całą ekipą Saszy.

*

Wrócił do mieszkania znacznie spokojniejszy. Już dawno nie czuł się równie dobrze. Rodzice sprawiali wrażenie wyciszonych, nie podejmowali rozmów na drażliwy temat. Siedzieli z dziewczynkami i w czwórkę grali w chińczyka, planując jednocześnie tę część wakacji, którą spędzą wspólnie. Nie dołączył do zabawy, gdyż gra przewidziana była dla czterech osób. Usiadł jednak razem z nimi jakby nigdy nic.

Następnego dnia spakował trochę rzeczy do torby podróźnej. Sprawdził, ile ma pieniędzy w portfelu. Uznał, że na przejazd i kilka dni życia wystarczy. Zastanawiał się, co powiedzieć rodzicom. Miał przeczucie, że jeżeli poinformuje ich o swoich planach, to zaczną protestować. Zdecydował więc, że postawi ich przed faktem dokonanym. W razie czego napisze im kartkę z informacją o wyjeździe wakacyjnym. Nie chciał, aby potraktowali to jako ucieczkę z domu albo zaginięcie i, nie daj Boże, powiadomili Milicję Obywatelską. Doszedł jednak do wniosku, że nie zdradzi miejsca pobytu i da tylko adnotację, że to będzie wyprawa wędrowna. Zresztą chyba niewiele mijał się z prawdą, bowiem Sasza wspominał o tym, że zapewne będą w ruchu.

*

Życie na własny rachunek było o wiele trudniejsze, niż Jane i Bożena mogli to sobie wyobrazić. Po ucieczce z domu zamieszkali najpierw w jakiejś ubogiej izbie w Igołomii. Gospodarze jednak nie chcieli trzymać ich u siebie. Jak tylko zorientowali się, że sublokatorka jest w ciąży, nakazali im spakowanie manatek i szukanie szczęścia gdzieś indziej. Tłumaczyli, że nie było mowy o rodzinie z dzieckiem. Młodzi ledwo ich zdołali uprosić o zgodę na pozostanie do czasu, aż znajdą coś innego. A o lokal nie było łatwo, gdyż do Nowej Huty i okolicznych wsi wciąż ściągało mnóstwo ludzi zwabionych perspektywą dobrej pracy w kombinacie, w Zakładach Tytoniowych albo w cegielni. Ostatecznie zdołali zorganizować sobie nowe lokum – niewielką komórkę w ubogiej chałupie. Mogli korzystać z kuchni gospodarzy, a wygodka była na zewnątrz. W porównaniu z miejskimi luksusami miejsce to jawiło im się jako skrajnie nędzne. W ciasnej, dusznej izbie panowały ziąb oraz nieprzyjemna wilgoć. Ściany porastała szara pleśń. Czuć było zapach stęchlizny, który wnikał we wszystkie przedmioty, tkaniny, a nawet włosy.

Cały romantyzm i entuzjazm diabli wzięli.

Nie było jednak innego wyjścia.

Beckerowie kategorycznie odmówili im wsparcia.

– Byłeś dość dojrzały, by spłodzić dzieciaka, to radź sobie sam! – usłyszał Jane od ojca. Najpierw jednak dostał po łbie.

Matka była mniej obcesowa, lecz i ona wyraziła niezadowolenie z powodu rzuconej przez syna szkoły i wizji powiększenia rodziny. Było im ciasno i ubogo. Ledwo wiązali koniec z końcem. A przy trójce dzieci nie było mowy o tym, aby przyjąć do dwupokojowego mieszkania dziewczuchę z brzuchem. Nie pomieściliby się w tyle osób.

O powrocie do matki uciekinierka w ogóle nie myślała. Tam czekałaby ją sroga kara za niesubordynację. Może nawet zemsta Zygmunta, który pewnie wpadł we wściekłość, gdy usłyszał, że nie wypełniła jego rozkazu.

Nie zamierzała robić za jego dziwkę. Nie chciała pozbywać się dziecka, chociaż było to względnie proste wyjście z sytuacji – do czasu, bowiem tygodnie mijały i pewnego dnia Bożena oceniła, że jest już zbyt późno na zabieg, którego tak bardzo się obawiała. Chwilami żałowała swojej decyzji o ucieczce, ale mimo wszystko wciąż żyła złudzeniami, że wszystko jakoś okrzepnie. Znajdą z Jane lepsze lokum. Ona odchowa jako tako dzieciaka i pójdzie do pracy. Są młodzi, zdrowi – dadzą sobie radę. Byle przetrwać to, co najgorsze.

Na razie jednak nie wolno było patrzeć na ściany porośłe grzybem. Ze sławojki musiała korzystać, ale udawała, że nie widzi ohydnych larw oraz innego robactwa. Byle nie obrzydzać sobie tego miejsca jeszcze bardziej. Udawała, że życie na wsi jest przyjemne, a śnieg wygląda o wiele lepiej, gdy okrywa miękką, puchową pierzynką pola i łąki, niż gdy zalega brudną błotnistą breją na chodnikach. Dygocąc z zimna w niedogrzejonej izbie, opatulając się kołdrą po czubek nosa i czekała cierpliwie, aż Jane wróci z pracy. Próbowwała upitrasić jakieś tanie, proste potrawy na jednopalnikowej kuchence elektrycznej. Poza tym brakowało jej innych zajęć, więc odczuwała potworną nudę. Do przystanku miała zbyt daleko, aby chciała jej się dokądkolwiek pojechać. Mogłaby przecież odwiedzić koleżanki. Albo matkę. Porozmawiać z nią, przeprosić za ucieczkę. Wyjaśnić, że nie mogła postąpić tak, jak nakazał Zygmunt.

Tęskniła za mamą i przytulnym mieszkankiem na osiedlu Zgody.

Ach! Jakże brakowało jej miejskiego gwaru i ruchu. Zgrzytu tramwajów na szynach, nawoływań dobiegających zza okna, zwyczajnych hałasów ulicy. Co by oddała za to, żeby usłyszeć, jak sąsiedzi sprzecają się na klatce schodowej o naniesione przez dzieciaki błoto. Brakowało jej nawet znienawidzonego wcześniej brzęku butelek w metalowym koszu mleczarza, który zazwyczaj budził ją skoro świt – w porze, gdy sen był najprzyjemniejszy.

Ach! Gdyby mogła posłuchać radia albo obejrzeć jakiś film w telewizji! Polecieć do kina na późny seans, posiedzieć z koleżankami w Jubilatce, skoczyć na lody Bambino! Kupić w kiosku „Filipinkę”, pożyczyć w bibliotece jakąś książkę. Wypełnić czymś ten cholerny czas nudy, który wpędzał ją w niezwykły marazm.

Dobijała ją rutyna i chwilowy brak perspektyw.

Pewnego wiosennego dnia, gdy zrobiła się już niemożliwie gruba, Jane wrócił z kombinatu wyjątkowo podekscytowany i oznajmił, że za kilka dni przeniosą się w inne miejsce. Dostał przydział do hotelu robotniczego. Zamieszkają w samodzielnym pokoju – ciasnym, ale za to czystym i ciepłym. Co prawda kuchnia, podobnie jak łazienka, będzie wspólna z innymi lokatorami, ale przynajmniej nie będą musieli gonić do wychodka na zewnątrz.

Ach, co to była za radość!

Wracali do miasta!

Powrót do Nowej Huty był wybawieniem. Bożena z radością pakowała lichy dobytek: trochę ubrań, pościeli i naczyń – niczego więcej nie dorobili się w tym czasie, bo i jak, skoro tylko on pracował? Przeprowadzka zajęła im jedno popołudnie.

W nowym miejscu ciężarna od razu zapragnęła skorzystać z łazienki. Wszak nie kąpała się od wielu miesięcy. W minionym czasie za całą toaletę musiała wystarczać pobieżne pochłapanie się w misce. Wodę trzeba było najpierw przynieść ze studni i zagrzać na piecu. Higiena była więc prawdziwym luksusem, okupionym wcześniejszymi przygotowaniem. I nie należała do przyjemności, gdy człowiek telepał się z zimna.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Bożena miała okazję solidnie przejrzeć się w lustrze. Na wsi dysponowała jedynie małym lusterkiem z kosmetyczki, więc nie zwracała uwagi na spustoszenia, jakich ciężyła dokonała w jej ciele. Ze zgrozą spoglądała na zniekształconą figurę. Tylko brzuch miała duży. Była wychudzona, a biust jej oklapł, ale nic dziwnego, skoro w ostatnich miesiącach kiepsko się odżywiła. Włosy straciły połysk, przeredły i wymagały zabiegów fryzjerskich.

Gdy mieszkała u matki, miała do jedzenia same frykasy. Pomarańcze, czekolada i inne łakocie były czymś normalnym w ich domu. Nigdy nie brakowało mięsa i wędlin. Na śniadanie jadały wyłącznie świeże bułki posmarowane masłem, nigdy margaryną.

Jane nauczył ją, że można odżywiać się znacznie skromniej. Bo kielbasę krakowską zastąpi żółty ser albo marmolada z puszki. Chleb jest jadalny nawet gdy ma kilka dni. Wystarczy tylko lekko go zwilżyć i rzucić na patelnię z rozgrzanym smalcem. Zamiast mózdzku można zjeść zeszkliwioną cebulę. Te wszystkie *rarytasy* w ogóle jej nie smakowały. Nic więc dziwnego, że zmizerniała.

Zapłakała gorzko na widok lustrzanego odbicia, lecz zaraz znalazła pocieszenie: Jane prócz przydziału dostał niewielką podwyżkę, bowiem podniesiono mu kategorię zaszeregowania. Będzie coraz

lepiej! A i na dbałość o wygląd przyjdzie czas, jak tylko pozbędzie się ciężącego jej brzucha.

Znowu spoglądała z optymizmem w przyszłość.

Do czasu.

Wiosną, wśród krzyków oraz łez, przyszło na świat dziecko. Nie milkło przez następne miesiące. Młoda mama cierpiała katusze z powodu nieprzespanych nocy, kolek, ząbkowania i innych atrakcji. Chociaż małżonkowie mieli własny pokój, w hotelu wciąż panował gwar, który przenikał przez cienkie ściany. Często zdarzało się, że odgłosy libacji budziły Mariolkę i cały wysiłek związany z kołysaniem, noszeniem na rękach czy telepaniem w wózku szedł na marne. Co gorsza, mała wciąż chorowała. Regularnie łapała wszelkiego rodzaju przeziębienia, grypy i anginy. Bez względu na stan pogody miała katar i szarpał ją kaszel. Albo dla odmiany dostawała biegunki. Czasami Bożena odnosiła wrażenie, że więcej czasu spędza w poczekalni przed gabinetem doktora niż w hotelu. Nie mogła więc pozwolić sobie na luksus oddania córki do żłobka.

Jane pracował w systemie czterobrygadowym. Często brał nadgodziny, ponieważ mieli dużo wydatków. Wracał sterany, wypijał piwo i szedł spać. Rzadko się kochali – żadne z nich nie miało na to ochoty. Proza życia zabiła cały romantyzm, jaki towarzyszył im w pierwszych tygodniach wspólnego życia, gdy jeszcze mieszkali w Igołomii.

Łączyły ich dziecko i wspólne łóżko. Dzieliło ich wszystko inne.

Młoda matka nieustannie miała powody do niezadowolona. Chodziła niewyspana. Nie miała czasu, aby zatroszczyć się o swój wygląd. Rytm jej dnia wyznaczało marudne niemowlę. Tęskniła za czasami, gdy była niezależna i mieszkała z matką. Nie zaglądała do niej, ponieważ palił ją wstyd, jak teraz się prezentuje: zapuszczona, zaniedbana, z rozczochranymi włosami i bez przedtrzonowca, którego straciła jeszcze w ciąży. Z tego ostatniego powodu rzadziej się uśmiechała i robiła to półgębkiem, aby nie ujawniać braku w uzębieniu.

Ot, marność nad marnościami – wdychała, ze smutkiem wspominając wesołe przyjęcia u mamy, frykasy w lodówce i wszystkie kaprysy, którym z łatwością można było dogodzić.

Ach! Co ja bym dała za pomarańczę. Choć jedną, by przypomnieć sobie ten smak i zapach!

Takie delikacje były teraz całkowicie poza jej zasięgiem. Zakupienie ich w sklepach graniczyło z cudem. Po pierwsze – trzeba było niebywałego szczęścia, aby trafić na dostawę. Po drugie – należało odstać swoje w długasnej kolejce, a i to bez gwarancji, że kupi się choć sztukę, bo zazwyczaj pierwsi szczęściarze, którzy załapali się na zakup, brali ile wlezie – mimo ograniczeń narzucanych przez sklepowe albo ludzi stojących w kolejce. No i wreszcie Jane nie byłby zadowolony, gdyby wydawała jego ciężko zarobione pieniądze na głupstwa w sytuacji, gdy mieli znacznie większe potrzeby: dziecko rosło i wciąż wymagało jakichś rzeczy. Niestety było chorowite, więc czasami musieli wsunąć banknot w kieszeń lekarza.

Na szczęście przyszło lato. W ciepłe czerwcowe dni Mariolka przestała kasleć i kichać. Nawet biegunki nie zdarzały się teraz tak często. Młoda mama mogła w końcu odetchnąć z ulgą. Z przyjemnością zabierała dziecinę na spacer – zwykle nad zalew.

*

Następnego dnia Pawłowscy jak zwykle zjedli razem śniadanie, a później każde z nich udało się do swoich obowiązków. Ojciec i matka pojechali razem do pracy, dziewczynki poszły na lekcje. Trwał ostatni tydzień roku szkolnego, Marta i Zosia nie musiały nosić tornistrów. Karol zakończył już semestr, więc zagadnięty o plany na cały dzień odparł zgodnie z prawdą, że chciałby skoczyć nad wodę. Nie wspomniał tylko, że myśli o wyjeździe do Gródka nad Dunajcem w towarzystwie całej grupy znajomych.

Gdy został sam w mieszkaniu, wyjął z szafy przygotowany wcześniej bagaż. Na biurku położył list, w którym prosił, aby go nie szukali i zostawili w spokoju. Wróci przed rozpoczęciem roku

akademickiego. Ma nadzieję, że do tej pory emocje opadną i rodzice zaakceptują jego dziewczynę. Jest dorosły, dobrze wie, co robi.

*

Po powrocie z biura Julia zobaczyła swoje młodsze pociechy na podwórzu. Dziewczynki bawiły się z koleżankami w ciemną noc. Zabawa polegała na tym, że jedna z nich błędziła z zamkniętymi oczami pomiędzy trzepakiem a ławką służącą do odkładania dywanów. Nie otwierając oczu, usiłowała złapać koleżanki, które musiały w tym czasie przebywać na ławce albo trzepaku. Dziewczynki robiły różne wygibasy, by umknąć dłoniom szukającej. Czasami któraś z nich ześlizgiwała się na chodnik, lecz to wiązało się z ryzykiem, ponieważ szukająca w każdej chwili mogła powiedzieć *ziemia* i podnieść powieki. Jeżeli w tym momencie jakaś koleżanka dotykała chodnika, to automatycznie zostawała *ciemną nocą* i miała za zadanie odnalezienie tych, które się chowały. Oczywiście zabawa wymagała sprytu i karkołomnych akrobacji na trzepaku. Nie raz zdarzało się, że któraś z nich spadała, tłukąc łokieć czy kolano. No i oczywiście nie obywało się bez pisków, że *ciemna noc* oszukuje i podgląda przez niedokładnie zamknięte powieki. Aby więc unikać takich sytuacji, czasami oczy zasłaniały chustką.

Julka odczekała chwilę, aż Marta złowi stopę jakiejś koleżanki i po omacku spróbuje odgadnąć, kto jest jej zdobyczą. Dopiero wtedy przerwała dziewczynkom zabawę. Zapytała córki o szkołę i o to, czy przed wyjściem z domu obrały kartofle. Usłyszała ponadto, że Karol nie wrócił jeszcze znad wody. Zebrawszy te informacje, poszła do mieszkania, nadmieniając, że zaraz będzie wołać pociechy na obiad.

Co jakiś czas zerkała przez okno, aby sprawdzić, czy nie dokazują zbyt, ponieważ ostatnio wciąż przychodziły z porozbijanymi kolanami. Kilka minut później jedna z dziewcząt niefortunnie ześliznęła się z trzepaka i poharatała przy tym łydkę.

– Urszulko! Chodź, zaleję ci to jodyną! – Pawłowska wychyliła się i zaoferowała pomoc. Wiedziała, że matka dziewczynki jest jeszcze w pracy.

Trzeba sobie jakoś pomagać. Jednego dnia Julka opatrywała skaleczenia, poila i karmiła okoliczną dzieciarnię, innego dnia jej córki mogły schronić się u kogoś przed deszczem, zjeść podwieczorek, wypić szklankę kompotu albo skorzystać z toalety.

Czasami, gdy do sklepu rzucano jakiś atrakcyjny towar: kawę, pomarańcze lub czekoladę, można było zagarnąć całą tę radosną zgrają i ustawić w kolejce. Dziewczynki chętnie stały w ogonku, plotkując, przekomarzając się i wymyślając różne zabawy. A potem każda z nich kupowała trudno dostępne dobro, za co dostawały w nagrodę po lizaku, lodzie Bambino lub innym drobiazgu. Julia była w o tyle komfortowej sytuacji, że nie musiała szczególnie często tracić czasu na wystawanie w kolejkach, ponieważ wiele artykułów mogła nabyć *spod lady* od Krysi. Ale jak widziała dostawę czegoś pożądanego, to oczywiście brała działwę i pożyczala im pieniądze na zakupy dla ich zabieganych rodziców.

– Jeszcze wam się nie znudziło to bzikowanie? – zagadnęła Pawłowska.

– Nie! – odkrzyknął zgodny chór. – Najlepsze zabawy są na trzepaku.

– A ja myślałam, że wolicie grać w klasy – droczyła się pani domu. – No dobra, Ula, pokaż łydkę.

Hm... Nie jest źle, do wesela się zagoi. Ale trzeba zrobić z tym porządek, żeby nie zaczęło się jadzić.

Zaprowadziła umorusaną dziewczynkę do łazienki, gdzie w asyście koleżanek pomogła jej w przemyciu rany. Mała akrobatka dzielnie zniosła jodynowanie otarcia. Na szczęście obyło się bez konieczności owijania nogi bandażem. Już po chwili cała zgraja z powrotem wybiegła przed blok. Julia wróciła do kuchni.

*

Karol nie przyszedł na obiad.

– A niech chłopak odpocznie – stwierdził Wawrzyniec. – Dość się wysiedział nad podręcznikami. Wszystko pięknie zaliczył. Jest szansa, że nie będzie wiecznym studentem.

– Byłe jeszcze posłuchał nas w wiadomej kwestii – westchnęła żona.

Przy córkach nie chciała drażnić drażliwego tematu.

Nieobecność syna przedłużała się niepokojąco. W porze kolacji Julia, wiedzona jakimś nieprzyjemnym przecuciem, zajrzała do jego pokoju. Zobaczyła starannie zaścieniony tapczan. Na biurku panował porządek, leżała tam tylko jakaś koperta. Zerknęła z zainteresowaniem i zauważyła, że jest adresowana do niej i Wawrzyńca. Zamarła. Serce i rozum podpowiadały jej przerażające rozwiązania. Drżącymi ze zdenerwowania dłońmi otworzyła kopertę i wyjęła z niej pojedynczy arkusz. Przebiegła wzrokiem po liście. Litery rozjeżdżały się przed jej oczami.

– O Boże! – jęknęła. – Wszystko, tylko nie to! Wawrzek!

Zaniepokojony mąż natychmiast przyszedł. Podała mu arkusz. Mężczyzna zbladł, gdy przeczytał jego treść.

– Co ja narobiłam? Dlaczego nie powiedziałam mu prawdy? – Julia płakała rozpaczliwie, gdy trzymał ją w ramionach. – Jestem idiotką, skoro nie przewidziałam, że on na przekór nam wyjedzie z tą dziewczyną!

– Cii... Kochanie. Może nie jest jeszcze za późno?

– Za późno? Na co? Wyjechał zaraz z rana. Do tej pory może być Bóg wie gdzie!

– Musimy zgłosić zaginięcie na milicję.

– To nic nie da. Jest pełnoletni. Zostawił wiadomość, że wyjeżdża na wakacje i żeby się o niego nie martwić. Milicjanci nie będą chcieli przyjąć zgłoszenia – szlochała.

– Trzeba oblecieć rodzinę i znajomych. Skontaktować się z jego kolegami i wypytać, czy słyszeli cokolwiek na temat jego planów i tego, dokąd mógł pojechać z Weroniką.

– Pytanie tylko, czy komukolwiek coś powiedział. Mógł utrzymać wszystko w tajemnicy nawet przed przyjaciółmi.

*

Niestety szybko okazało się, że Julia miała rację. Nikt ze znajomych i krewnych nie miał pojęcia o planach wakacyjnych Karola. Broniek poradził siostrze, aby wydrukowała w prasie ogólnopolskiej i zamówiła w Programie Pierwszym Polskiego Radia ogłoszenie, jakich wiele publikowano bądź odczytywano w eterze. Co do prasy Pawłowscy mieli wątpliwości. Syn nie czytywał „Trybuny Ludu” ani innych dzienników. Zakładali natomiast, że może słuchać radia. Przez następne dni pomiędzy innymi komunikatami spiker wzywał Karola Pawłowskiego przebywającego na wakacjach, aby pilnie skontaktował się z krewnymi w ważnej sprawie rodzinnej. Na nogi zostali postawieni wszyscy Szymczakowie i bliscy. Wiadomość o ucieczce została przekazana również do Pawlic. Julia wypłakiwała się to w rękaw Bronka, to w matczynej fartuch i lamentowała, że jej kłamstwa oraz brak odwagi, aby wyznać prawdę, mogą teraz zrujnować życie Karolowi oraz Bogu ducha winnej dziewczynie. Rodzina nie ustawała w próbach pocieszenia nieszczęśnicy. Perswadowali, że robiła to w dobrej wierze, a pojawienie się Marczykówy w Nowej Hucie w każdym z nich wzbudzało głęboką nieufność.

– Na chwilę dał mi ancykrys spokój. Drań dotrzymał obietnicy i przestał nas nękać, ale szybko znalazł sposobność, żeby nam dokuczyć – zamartwiał się Broniek. – Trza było jednak zostawić szuję w bryi, niechby tam zdechl.

– Nie, Broniś. Tak nie można. To ja jestem winna. Powinnam była powiedzieć Karolowi prawdę, gdy dorósł. Zrozumiałby przecież motyw mojego postępowania – płakała.

– Nie obwiniaj się, Julisiu, bo i ja mam w tym udział – przyznał Wawrzyniec. – Nie chciałem,

aby Karol dowiedział się, że nie jestem jego rodzonym ojcem. Miałem obawy, że odwróci się ode mnie. Nie przewidziałem, że on tak szybko postanowi załatwić sprawę po swojemu. – Kręcił głową.

– Jesteś dla niego najlepszym ojcem, jakiego mógłby mieć. – Broniek poklepał szwagra po barku.

– Teraz już nic nie możemy zrobić. Trzeba czekać. Przecież napisał, że wróci przed początkiem roku akademickiego.

– I to mnie martwi. Sam z dziewczyną, z dala od domu. Boję się, że wrócą w trójkę – rozpaczła matka.

– Nie zakładajmy od razu czarnych scenariuszy.

Spojrzała na niego wymownie.

– Nie czarujmy się, nie każdy jest święty przed ślubem. Leszek, jak brał cywilny, miał już bliźniaków w drodze. Sabina też szła do ołtarza z Pawełkiem w brzuchu. Krew nie woda. A czym bardziej się dziecku czegoś zakazuje, tym mocniej to nęci. To na moją duszę spadnie grzech kazirodztwa – zniżyła głos do ledwo słyszalnego szeptu. – Bo mogłam mu zapobiec, ale zaniechałam ze strachu przed tym, jak Karol przyjmie prawdę.

– Baliśmy się, że to będzie dla niego szok – uzupełnił zgnębiony Wawrzyniec.

– Teraz już i tak będziecie musieli mu wszystko wyznać – stwierdziła Bogusia, podając gościom zimny kompot.

– Boję się. – Julia szlochała z twarzą ukryta w dłoniach. – Boję się, że on sobie coś złego zrobi. Już nie martwi mnie to, że będzie miał do nas żal za kłamstwa. Serce mi pęka na myśl o całym cierpieniu, jakie muszę zadać rodzonemu dziecku.

*

Lipcowe upały mocno doskwierały mieszkańcom Nowej Huty. Wracając z pracy, Zygmunt postanowił zahaczyć o zalew i choć chwilę odpocząć nad wodą, choć spodziewał się tłumu plażowiczów. Rzeczywiście na miejscu zastał mnóstwo osób korzystających z tej formy relaksu. Przez chwilę przechadzał się, szukając wolnej ławki. Nagle dostrzegł znajomo wyglądającą kobietę z dzieckiem.

No proszę! Bożena Morek – pomyślał. Tyle się jej naszukałem, a ta bestia siedzi tutaj i jakby nigdy nic leniuchuje w słońcu.

Już miał podejść do niej i zagadać, gdy zauważył, że zaczyna zbierać się do odejścia. Doszedł do wniosku, że znacznie ciekawiej będzie zachować powściągliwość i pójść za Morkówną. Paliła go ciekawość, dokąd za nią trafi. Dzięki temu posunięciu znowu będzie miał ją na oku. Z jakiegoś powodu ta mała wbiła mu się w pamięć. Ciągle o niej myślał, choć już dawno powinien przestać zawracać sobie głowę uciekinierką.

Stał więc w cieniu drzewa i patrzył, jak kobieta pakuje dziecko do wózka. Chyba nie wszystko w życiu ułożyło jej się pomyślnie, bowiem wyglądała znacznie gorzej niż wtedy, gdy miał ją na kiwnięcie palcem. Schudła, obcięła włosy. Ubrana była bez polotu. Być może dziecko pochłaniało uwagę młodej matki tak mocno, że brakowało jej czasu na cokolwiek innego.

Od Celiny wiedział tylko tyle, że Bożena uciekła z jakimś gówniarzem. Nie pomagały żadne prośby ani groźby, nie chciała zdradzić jej adresu. Twierdziła, że nie ma pojęcia, gdzie podziała się córka. Obserwował ją przez kilka tygodni, aż doszedł do wniosku, że nie łągała. Martwiła się o jedynaczkę. A teraz on znalazł zgubę. Zapewne podstarzała kochanica ucieszy się na wieść o tym.

Przemykał w ślad za odchodzącą dziewczyną, aż dotarł pod jeden z hoteli robotniczych Huty Lenina. Nie przejmując się tym, że może go zauważyć, wszedł za nią po schodach. Lazła jak to ciele, nie patrząc wstecz. Nie zwróciła na niego uwagi nawet wtedy, gdy własnym kluczem otwierała jakiś pokój.

Tu cię mam – ucieszył się mężczyzna.

Korciło go, by odwiedzić uciekinierkę, lecz gdy podszedł bliżej, usłyszał dobiegający zza drzwi męski głos.

*No tak, fagas, który pomógł jej w zniknięciu – pomyślał z niechęcią.
Odszedł z zamiarem rychłego powrotu.*

*

Przyszedł dwa dni później. Wiedział, że jej chłopak poszedł do pracy, więc śmiało zastukał. Bożena uchyliła lekko drzwi. Jego widok wpędził ją w popłoch, bowiem od razu chciała je zatrzasać, lecz on miał wprawę w postępowaniu w takich sytuacjach. Zdążył wsunąć but w szczelinę pomiędzy drzwiami a futryną. Nawet nie pisnęła, gdy wszedł do środka.

– Witaj, skarbie. Miło znowu cię widzieć – powiedział lekkim tonem. Wszak przyszedł w pokojowych zamiarach. Miał nawet dla niej prezent w postaci trzech pomarańczy.

– Co ty tutaj robisz? – W jej głosie usłyszał agresję przemieszaną ze strachem.

– Wpadłem z towarzyską wizytą – oznajmił i usiadł na jednym z dwóch krzesel stojących przy niewielkim stoliku.

Rozejrzył się po wąskiej, skromnie umeblowanej klitce. Pokój mieścił jeszcze wersalkę, szafę dwójkę i łóżeczko, w którym spało niemowlę.

– U matki w kuchni miałaś więcej miejsca – zauważył.

– Nie twój interes.

– Oj! Po co te nerwy? Chodź, siadaj. – Klepnął się w udo. – Pogadamy jak za starych, dobrych czasów.

– Jeszcze czego! – zaperzyła się dziewczyna.

Rozmawiali szeptem, aby nie obudzić dziecka. Badawczo mu się przyglądała i z przygnębieniem doszła do wniosku, że wygląda nadzwyczaj dobrze. W zestawieniu z nim Jane prezentował się kiepsko: nosił robocze drelichy, niezbyt świeże koszule w kratkę, a włosy domagały się strzyżenia. Przybysz pachniał wodą kolońską. Miał na sobie ciemne, wyjściowe spodnie i modną, wzorzystą koszulkę non-iron. Jego fryzura była perfekcyjna, zapuścił nawet bokobrody.

Mężczyzna otworzył papierową torebkę z pomarańczami. Wyjął jeden owoc i zaczął obracać go w ręce. Zauważył wygłodniałe spojrzenie Bożeny.

– Masz ochotę? – zagadnął. – Wiem, że to lubiłaś. – Przytknął owoc do nosa i powąchał aromatyczną kulkę. – Ależ pięknie pachnie. Świeże. Kupiłem dzisiaj w kantynie. Skusisz się?

Pokręciła głową i odwróciła wzrok. Dostrzegł, jak przetyka ślinę.

– No co ty, mała...

– Nie chcę od ciebie niczego.

– Rozumiem – odparł. – Sam zjem, skoro nie masz chęci. Podasz mi nóż?

– Nie.

– Nie? Trudno. Mam własny. – Pogrzebał w kieszeniach i wyjął scyzoryk. Naciął skórkę. Po niewielkim pomieszczeniu rozszedł się zapach pomarańczy.

Zygmunt bez pośpiechu obierał owoc. Co jakiś czas zerkał spode łba na kobietę stojącą obok łóżeczka.

– Syn czy córka? – zapytał.

– Nie twoja sprawa.

– A kto cię tam wie? Może i moja? Może odezwał się we mnie instynkt ojcowski?

– To nie jest twoje dziecko.

– A czyje? Dasz sobie głowę uciąć, że tamtego gówniarza? Przecież sypiałaś wtedy również ze mną. Być może jeszcze z kimś innym, jak przystało na małego kurwiszonka.

– Idź stąd!

Zaśmiał się gardłowo i rozkroił pomarańczę. Sok popłynął po jego dłoni.

– Nic z tego. Tęskniłem za tobą, mała franco.

Odłożył owoc i nożyk. Podszedł do byłej kochanki i lepkimi palcami przesunął po jej zaciśniętych wargach.

Aromat pomarańczy stał się nie do wytrzymania. Do ust Bożeny napływała ślina. Miał rację, mówiąc, że uwielbiała te owoce. Kiedyś były dla niej równie łatwo dostępne co jabłka. Odruchowo oblizła dolną wargę. Po podniebieniu rozpląnął się niebiański smak.

Zygmunt zachichotał, łapiąc ją dłonią za szyję. Nawet nie drgnęła, gdy przesunął językiem po jej ustach.

– Mógłbym ci pomóc, złotko – zaproponował. – Tak, jak przed laty mój krewny pomógł Celinie. Ustawiłabyś się na całe życie. Tylko musiałabyś pozbyć się smarkacza, który teraz cię posuwa. Za dobra jesteś dla kogoś, kto trzyma kobitkę w takich nędznej klitce – skrzywił się z niesmakiem. – Dziewczynka, prawda? – Zerknął ponad jej ramieniem do łóżeczka. A potem nachylił się nad uchem Bożeny i szepnął: – Lubię dziewczynki. Dam głowę, że za kilkanaście lat będzie taka jak ty. Kubek w kubek. Może nawet popełni podobne błędy.

– Zostaw nas w spokoju – powiedziała wystraszona Morkówna.

– Oczywiście. Ale wiesz, że ja tu jeszcze wrócę. I nie powiesz o niczym swojemu fagasowi. Będiesz czekała na moją następną wizytę, bo znowu przyniosę ci cytrusy albo coś równie dobrego. A wtedy będziesz znacznie miłsza dla mnie. – Świdrował ją przenikliwym spojrzeniem.

– Dlaczego mi to robisz? – zapytała.

– Bo mam do ciebie sentyment – odparł lekkim tonem. – Do zobaczenia niebawem – szepnął, a potem wycisnął na jej ustach całusa.

– Nigdy więcej nie chcę cię tutaj widzieć! – krzyknęła za odchodzącym mężczyzną, nie bacząc na to, że może obudzić śpiącą córkę.

Przez chwilę usiłowała wyrównać niespokojny oddech i uspokoić rozkołatanę serce.

Napędził jej strachu swoją wizytą. Bała się krzyków, awantury, przemocy. Na szczęście nie zrobił absolutnie nic złego.

Czy powinna powiedzieć Jane, że człowiek, który próbował zmusić ją do usunięcia ciąży, odkrył, gdzie mieszkają?

A może faktycznie za mną tęsknił? Kiedyś bardzo mu się podobałam. Był dla mnie życzliwy. Nigdy mnie nie skrzywdził. On tylko nie chciał kłopotu z dzieckiem. Na dodatek teraz trafił w samo sedno, pytając, czy jestem pewna, kto jest ojcem Marioli.

Spojrzała na leżące na stole pomarańcze. Ich aromat wypełniał cały pokój. Jakże tęskniła za tym smakiem! Jakże jej tego brakowało w minionych dwóch latach! Oblizła łąpczywie usta i poczuła lekko kwaskową słodycz. Po jej policzkach płynęły łzy, gdy wyciągnęła drżącą dłoń w stronę owocu.

Kiedyś życie było łatwe i przyjemne. Pogrzebałam wszystkie szanse, które stały przede mną otworem. Mogłam żyć bez troski. Mogłam zdać maturę, pójść na studia i wyjść dobrze za mąż – tak, jak chciała dla mnie matka. Wybrałam biedę i ciągle problemy. Czy Zygmunt zabrałby stąd mnie i małą, gdybym go o to poprosiła?

*

Słońce zachodziło czerwoną luną. Zza drzew porastających wzgórze Beskidu Wyspowego przeświecały ostatnie promienie. Długowłosi brodaci mężczyźni rozpalili ognisko. Ktoś brzdąkał na gitarze. Jakaś dziewczyna uderzała do rytmu w tamburyn. Karol i Weronika siedzieli wtuleni w siebie. Nie różnili się niczym od reszty młodzieży zgromadzonej na cyplu. On nie golił się już od miesiąca. Szybko rosnące włosy przewiązywał kolorową bandaną. Miał na sobie spłowiałe jeansy, był bez koszuli. Szyję ozdobił sznurkiem drewnianych paciorków – podarunkiem od Brywkina. Ona pomiędzy rozpuszczone włosy wplotła kwiaty. Ubrana była w długą do kostek sukienkę z pstrej tkaniny. Jej nadgarstki oplatały liczne bransoletki. Obydwoje od dłuższego czasu chodzili boso.

Siedzieli pomiędzy przyjaciółmi, z którymi łączyło ich coraz więcej wspólnych spraw, i bez skrępowania całowali się do utraty tchu – wciąż nienasyceńi, spragnieni siebie. Ten wyjazd bardzo ich zbliżył. Tutaj po raz pierwszy zakosztowali swoich ciał.

– Dobrze mi z tobą, maleńka – szeptał z wargami przy jej wargach.

Nareszcie czuł się wolny. Nic go nie ograniczało. Robił to, na co miał ochotę. Do szczęścia wystarczały mu ryby pieczone na ognisku, chleb kupiony w sklepie Gminnej Spółdzielni, mocne papierosy, których ostatnio palił bardzo dużo, oraz tanie wino. Nawet nie potrzebował LSD. Jego narkotykiem była Weronika i ich niczym nie skrępowana miłość. Jej drobne ciało rozkosznie uległo jego dłoniom.

Już nie miały znaczenia braki w jej wykształceniu. Nie odstawała od grupy kolegów i koleżanek, z którymi biwakowali nad Jeziorem Rożnowskim. Podobała się chłopakom, zazdrościli mu jej i czasami zagadywali, że skoro żyją w komunie i wszystkim się dzielą, to powinni dzielić się również miłością. Nie chciał o tym słyszeć. Nie spuszczał ukochanej z oczu. Pilnował dziewczyny zwłaszcza wtedy, gdy w pobliżu kręcił się Sasza. Ten szczególnie mocno zabiegał o jej uwagę.

Weronikę interesował tylko Karol. Co tam reszta chłopaków? Przecież to właśnie dla niego rzuciła wszystko i wyjechała z rodzinnej wsi. Przeżywała chwile największego w życiu szczęścia. Zachłysnęła się nim i pragnęła jak najdłużej trwać w tym stanie. Nie przejmowała się, że może zajść w ciążę. Właściwie nawet chciała tego, ponieważ to by ich ze sobą trwale związało. Może wtedy ta jędza, jego matka, przestałaby suszyć mu głowę, aby z nią zerwał. Byli dorośli, mogli sami o sobie decydować. Ostatnio Karol przebąkiwał, że po powrocie do miasta wyprowadzi się od rodziców. Pójdzie do pracy, przeniesie się na studia zaoczne. Albo będzie kontynuował naukę, biorąc zlecenia w spółdzielni studenckiej. Nie potrzebował luksusów. Byle być razem z nią. Mieć wspólne łóżko, wspólny stół i wspólny dach. Z optymizmem snuł plany na przyszłość i cieszył się na myśl o samodzielności.

– Że też wcześniej na to nie wpadłem. Przyszedł czas, by zacząć życie na własny rachunek. Poradzimy sobie. A gdy mama i tato zobaczą, jak bardzo się kochamy, to zmiękną. Pewnego dnia zrozumieją, że niesłusznie się do ciebie uprzedzili.

Z ogniska poleciał ku niebu snop iskier.

– Będzie dobrze, Karolu – odetchnęła Weronika.

Dziewczyny tańczyły wokół płonących bierwion. Pomiedzy falującymi, długimi spódnicami widać było ich bosc stopy. Ktoś nucił fałszywie, przekręcając obco brzmiące słowa piosenki *Lucy in the Sky with Diamonds* Beatlesów. Zaraz do tego śpiewu przyłączyły się inne głosy. Potem pod gwiazdziste niebo popłynęło *Light My Fire* Doorsów, a następnie inne psychodeliczne ballady. Między młodzieżą krążyły mocne papierosy zaprawione marihuaną. Wyciszał się gwar.

W zagajniku na cyplu biwakowali od zaledwie trzech dni. Przenieśli się tutaj z Gródka nad Dunajcem, skąd zostali wypędzeni przez okolicznych mieszkańców. Zagrożono im milicją i mordobiciem, więc pozwijali swoje namioty, zebrali dobytek i ruszyli na poszukiwanie spokojniejszego miejsca. Trafili do Bartkowej i na razie nikomu nie zawađzała ich obecność. Mogli spokojnie łowić ryby, pływać, palić trawkę i śpiewać piosenki o wolności umysłów i dusz.

*

Zygmunt wrócił kilka dni później. Znowu przyniósł pomarańcze. Prócz nich miał jeszcze tabliczkę czekolady. Początkowo Bożena chciała go wyrzucić za drzwi, lecz zagroził awanturą, która postawi na nogi cały hotel.

Wpuściła go – nie tylko do pokoju. Miała do niego nie mniejszą słabość niż on do niej. Był jej pierwszym mężczyzną, a tego nie sposób wyrwać z pamięci.

Wychodząc, zostawił na stole kilka banknotów.

Przez chwilę spoglądała z obrzydzeniem na pieniądze, owoce i czekoladę. Potem jednak

oprzytomniała. Miała dwie możliwości: zjeść smakołyki, schować forszę, i udawać że nic się nie stało. Mogła poczęstować Jane trudno dostępnymi rarytasami i skłamać, że zdołała wystać je w kolejce. To naraziłoby ją na marudzenie, że wydała jego krwawicę na głupoty.

Pięćset złotych, które dostała od Zygmunta, na pewno bardzo się przydadzą. Miała dość dziur do zapchania, bo tego, co zarabiał Jane, nie wystarczało na wszystkie potrzeby.

Marzyła o wizycie u fryzjera i choć jednej nowej bluzce, ale wiedziała, że gdyby wydała forszę na siebie, zaraz zaczęłoby się dociekanie, skąd na to wzięła. Albo gderanie, że on sobie urabia ręce po łokcie, a ona wszystko trwoni.

Nagle poczuła przemożną chęć dokonania radykalnych zmian w swoim życiu. Miała już dość nędzy i borykania się z samymi problemami.

Musiała coś zrobić, zanim do reszty zmarnieje.

Musiała coś zrobić, zanim straci resztki godności.

Nie chciała być prostytutką, którą można kupić za pomarańczę, czekoladę i kilka banknotów. Nie mogła dopuścić, aby blisko dwa lata życia na granicy nędzy poszły na marne.

Wieczorem, gdy Jane wrócił z kombinatu, miała skryzalizowany plan działania.

– Zapiszemy Mariolę do żłobka. Ostatnio nie choruje już tak często, więc może w końcu się uodporniła. Pójdę do pracy. Musimy coś zmienić, żeby było nam cokolwiek lżej – oznajmiła. – Kocham cię, Jane. – Wyciągnęła dłoń i pogładziła policzek mężczyzny.

On zawsze ją szanował. Nie przyszłoby mu na myśl, aby nazwać ją kurwą.

*

Ostatnie sierpniowe noce przyniosły chłód. Hippisi kulili się z zimna w szałasach i namiotach. Dla rozgrzewki pili więcej taniego wina, a przed snem wkładali po kilka warstw ubrań. Jeszcze nie myśleli o powrocie do miasta, dobrze im było nad jeziorem, choć parę razy musieli zmieniać miejsce biwakowania. Żyli zgodnie z naturą, bez większego wysiłku, bez planów na kolejny dzień. Cieszyli się niczym nieograniczoną swobodą, muzyką i używkami. Czasami w oczy zaglądał im głód, lecz wtedy szli na wieś, by pomóc przy zniwach. Zarabiali w ten sposób parę złotych, za które można było napelnić żołądek, a resztę przyjemnie spożytkować.

Bywały dni, gdy ludzie gonili ich ze wsi, twierdząc, że swoimi dzikimi tańcami, strojami i stylem bycia gorszą okoliczne dzieciaki. Zarzucano im hałasowanie i uciążliwość. Pakowali się wtedy i ruszali kawałek dalej, byle nad jeziorem lub Dunajcem – z dostępem do wody i ryb, za które nie płacili nikomu.

Pewnej nocy obudziło ich ujadanie psów i jakieś krzyki. Przez brezent namiotów i szczeliny między gałęziami szałasów nieprzyjemnie migotały niebieskie światła.

– Milicja Obywatelska! Wychodzić z rękami za głową! – rozbrzmiewały głosy wzmocnione tubą.

W popłochu zaczęli wybiegać ze swoich lichych schronień. Część z nich rzuciła się do ucieczki, lecz obozowisko skutecznie okrążyli funkcjonariusze z psami. Sasza zawył z bólu, gdy owczarek niemiecki złapał go potężną paszczą za łydkę.

Przerażony Karol chciał ukryć się z Weroniką w krzakach, ale wyłowiły ich stamtąd reflektory.

Młodych ludzi zagoniono do kilku okratowanych nysek milicyjnych. Próbowali protestować i dociekać, o co są oskarżani, więc ktoś rzucił od niechcienia, że chodzi o zakłócanie porządku publicznego, włóczęgostwo, a nawet jakąś kradzież w pobliskim sklepie GS-u. Ponoć zginęły papierosy oraz alkohol. Te same marki znaleziono w ich obozowisku.

– Bez obaw, Niczka. Wszystko zaraz się wyjaśni – szeptał Karol, próbując podnieść na duchu swoją dziewczynę.

Trzymali się razem. Ogarnął go strach, że jeżeli spuści ją z oczu, to nastąpi coś złego. Przeczuwał, że mogą zostać rozdzieleni, więc na wszelki wypadek umówili się na spotkanie w Nowej Hucie.

– Zabiorę cię na spacer aleją Róż. Daję słowo – obiecywał. – A potem pójdziemy do jubilera

i kupię ci prawdziwy pierścionek. – Potarł kciukiem prymitywną ozdobę na jej serdecznym palcu. To była plecionka z kolorowych nitki. Miała oznaczać, że należą do siebie już na zawsze. On nosił podobną.

Przecucia go nie myliły. W areszcie natychmiast porozdzielano młodzież na mniejsze grupki, po przeszukaniu opróżniono im kieszenie i zapędzono ich do cel. Potem zabierano stamtąd pojedyncze osoby. Z oddali dobiegały nieludzkie krzyki i hałas.

– Co się dzieje? – szeptali między sobą wystraszeni.

– Wypuście nas! Nie zrobiliśmy nic złego! – Karol załomotał w stalowe drzwi.

Jakby w odpowiedzi na jego żądania zgrzytnął zamek.

– Który to taki niewinny? – zapytał strażnik.

– Wszyscy jesteśmy niewinni! – rozległo się zgodne wołanie.

Pawłowski stał najbliżej wyjścia, więc milicjant złapał go za łokieć i próbował wyprowadzić. Chłopak zaprotestował, gdyż domyślał się, że za drzwiami nie czeka go nic dobrego. Próżno się szamotał. Z pomocą mundurowemu skoczyli inni funkcjonariusze. Aresztant jęknął, gdy sztywna gumowa pałka opadła na jego dłoń, a następnie na bark.

– Dokąd mnie prowadzicie?

W odpowiedzi usłyszał rechot i zapowiedź:

– Najpierw kąpiel, brudasie! Potem doprowadzimy cię do ludzkiego stanu.

Zawlekli go do łaźni, gdzie został przyparty do ściany silnym strumieniem lodowatej wody. Próbował się zasłaniać, parskał, przez chwilę myślał, że utonie tak, jak stoi. Osunął się bezsilnie na posadzkę. Dygotał z zimna, które zapało mu dech w piersiach. Nagle woda została zakręcona.

Przemarznięty, mokry i wyzuty z sił nie próbował stawiać oporu, gdy milicjanci posadzili go na krześle i kajdankami zapięli mu ręce na plecach. Wtedy ktoś szarpnął go za przydługie włosy i odchylił mu głowę do tyłu. Karola poraził ostry blask nagiej żarówki zabezpieczonej stalową siatką. Próbował się wyrwać, gdy poczuł na czole dotyk stalowego ostrza.

– Nie wierzgaj, wszarzu, bo inaczej zdejmujemy ci cały skalp.

Kilka silnych ciosów w twarz i brzuch skutecznie zniechęciło Pawłowskiego do robienia uników. Brzytwa prześliznęła się po jego skórze, odcinając bujne, falujące włosy. Nawet nie pisnął, gdy kilkakrotnie został zacięty. Przepęlniał go lęk, że w szamotaninie mógłby stracić oko lub ucho. Jego oprawcy w ogóle nie przejmowali się tym, że zadają mu rany.

Dygoczącego Karola zaprowadzono dalej, do izby przesłuchań. Tam znowu został usadzony na krześle, a jego ręce skuto za oparciem. Wciąż dygotał, a każdy dotyk posadzki bosą stopą potęgował uczucie zimna.

– Nazwisko?

Milczał, zastanawiając się, czy jest realna szansa, że wywikła się z tarapatów.

– Nazwisko, ptaszku, bo odświeżę ci pamięć pałą! – ryknął mężczyzna siedzący za biurkiem.

Kiwnął do kolegi, a ten wymierzył silny cios w twarz Karola.

Głowa aresztanta odskoczyła jak piłka. Z rozciętego łuku brwiowego pociekła krew.

– Nazwisko – powtórzył ciszej funkcjonariusz.

– Pawłowski.

– Imię?

– Karol.

Padło jeszcze kilka pytań mających na celu ustalenie jego adresu, pochodzenia społecznego i innych spraw. Zaliczył kilka ciosów, usłyszał stek przekleństw, a potem został odprowadzony do celi. W czasie gdy był przesłuchiwany, wrócił tam również Sasza i trzech innych chłopaków. Wszyscy wyglądali podobnie jak on: mokrzy, pozbawieni włosów i dotkliwie pobici. Co ciekawe, żaden z nich nie stracił bujnej brody. Zupełnie jakby agresję milicjantów wzbudzało tylko to, co wyrosło na ich czaszkach.

Nazajutrz Karol znowu został zabrany z celi. Tym razem w pokoju przesłuchań prócz oficera czekał na niego również ojciec.

– Synu! – Załamał ręce, widząc, jak wygląda.

– Tato... Wyciągniesz nas stąd?

Załatwili formalności związane z opuszczeniem aresztu. Pawłowski potwierdził tożsamość syna.

– A Weronika? – zapytał uciekinier, gdy opuścili pokój przesłuchań.

– Z tego co wiem, opuściła areszt jakiś czas temu – odparł sucho ojciec.

Milicjant prowadził ich labiryntem korytarzy ku wyjściu.

– A mama? – zapytał zaniepokojony chłopak, widząc, że są sami.

– Czeka na ciebie na zewnątrz. Człowieku! Jak mogłeś nam to zrobić? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, cośmy przeżywali w ostatnich tygodniach? Niemal przyprawiłeś matkę o zawał serca! Wiesz, jakie to uczucie, gdy nad ranem wyrwa cię z nerwowego snu łomot do drzwi? Gdy spojłdasz przez wizjer, a na klatce schodowej stoi milicjant? Gdy słyszysz, że przyszedł w sprawie twojego jedyne go syna? Wiesz, gówniarzu, jak to jest? Przykro mi, że muszę tak rugać dorosłego chłopca, ale tym właśnie jesteś: nieodpowiedzialnym gówniarzem.

Opuścili budynek. Na zewnątrz faktycznie czekała Julia.

– Karolu! – wykrzyknęła na jego widok.

Rozłożyła ramiona i ze wszystkich sił przytuliła do siebie o głowę wyższego chłopaka.

Nagle odsunęła go na długość rąk.

– Dziecko, cóż ty wykombinowałeś? – płakała. – Co oni ci zrobili? – Przejechała dłonią po jego niedokładnie ogolonej, pokaleczonej głowie.

– Przepraszam, mamó. Przepraszam – powtarzał bezradnie.

– Powinieneś dostać ode mnie po pysku – powiedział zagniewany Wawrzyniec. – Narozrabiałeś, i to bardzo. Zachodzi obawa, że zostaniesz relegowany z uczelni. Czeka cię rozprawa w sądzie. Jesteś podejrzany o współudział w kradzieży. Ponadto oskarżyli cię o zakłócanie porządku publicznego i stawianie oporu wobec milicji podczas próby zatrzymania.

– Przykro mi. Jestem niewinny. To nie my obrobiliśmy ten sklep – oświadczył.

– Mniejsza o to. Masz jeszcze większe problemy, ale o tym zaraz porozmawiamy. Najpierw zjemy obiad. Mijałem po drodze jakiś bar. Tam się zatrzymamy – zdecydował Pawłowski.

Stanęli przy samochodzie. Mężczyzna wyjął z bagażnika świeżą koszulę oraz spodnie i rzucił je synowi. Podał mu także buty i skarpetki.

– Ubierz się jak człowiek. Nie będę świecił oczami za bosego i półnagiego oberwańca. Na szczęście, gdy usłyszałem, że zgarnięto cię ze zgrają hippisów, przewidziałem, jak możesz wyglądać – dodał z przekąsem.

Drogę do gospody spędzili w kompletnej ciszy.

Cała uwaga Wawrzyńca skupiona była na prowadzeniu pojazdu. Siedzący z tyłu Karol widział jego drżące dłonie, pobladłą twarz z podkrążonymi oczami, drżącą nerwowo żuchwę. Zauważył, że ojciec całkowicie posiwiiał i tylko gdzieniegdzie pomiędzy srebrnymi włosami prześwitywały czarne nitki. Przeniósł wzrok na matkę – ona też postarzała się w ciągu tych kilku tygodni. Miała bladą, ściągniętą cierpieniem twarz. Poprzetykane siwizną kosmyki zawinęła w niedbały kok. Choć siedziała obok męża, wciąż odwracała się w stronę Karola. Wyciągnął rękę i przykrył dłonią jej palce spoczywające na oparciu.

– Przepraszam – poruszył bezgłośnie ustami, widząc, że po jej twarzy wciąż płyną łzy.

W ciężkiej atmosferze zjedli posiłek. Potem, ku zaskoczeniu Karola, nie wrócili do samochodu, lecz Wawrzyniec skierował kroki w stronę drewnianych ław, stojących pod lasem.

– Musimy w końcu szczerze porozmawiać – oznajmił.

Zajęli miejsca. Chłopak zwiesił głowę. Oczekiwał połajane k, godnych kilkunastoletniego dzieciaka, a nie dorosłego mężczyzny.

– Widzisz, do czego cię to wszystko doprowadziło? – zapytał ojciec. – Po co ci to było? Ta dziewczyna zrujnowała ci życie.

– To wy próbujecie zrujnować moje życie. Kocham Weronikę. Nigdy się jej nie wyrzeknę. Chcę się z nią ożenić – powiedział stanowczo.

Julia westchnęła ciężko.

– To niemożliwe, synu.

– Dlaczego?

– Bo... Ponieważ... Ona... Weronika... – jąkała się przez moment, lecz powstrzymała gestem Wawrzyńca, gdy zauważyła, że otwiera usta i zamierza coś powiedzieć. Nie chciała, aby wyręczył ją w takiej chwili. – Jesteście ze sobą bardzo blisko spokrewnieni.

– Co? Jak to? Co ty znowu wymyśliłaś? – zdenerwował się Karol.

– To prawda – wtrącił Wawrzyniec. – Wolelibyśmy oszczędzić ci bolesnych szczegółów.

– Jak blisko? – Spojrzał wyczekująco na rodziców. – Jak blisko? – ponowił pytanie.

– Jest twoją przyrodnią siostrą – wyszeptala z wysiłkiem Julia.

Patrzył na matkę rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Jej słowa nie mogły mu się pomieścić w głowie. Rodzice milczeli, a on układał sobie w myślach jedyny możliwy scenariusz. Nagle wstał, okrążył drewniany stół, który dzielił go od ojca. Podszedł do mężczyzny. Nieoczekiwanie złapał go za szyję i zaczął dusić.

– Ty bydlaku! Miałeś amnezję, tak? Zniknąłeś z naszego życia na parę lat i zostawiłeś nas samych, bo zachciało ci się gzić z jakąś dziwką? A potem co? Wróciłeś jakby nigdy nic i strugałeś bohatera?

– Karol! – wykrzyknęła Julia, próbując oderwać go od broniącego się rozpaczliwie Wawrzyńca.

– Na litość boską, przestań! To nie było tak! Karol! Słuchaj mnie, synu!

Poluzował uścisk i spojrzał na przerażoną matkę.

– A jak było? Przecież Weronika jest ode mnie młodsza! Zdradzałeś mamę. Zdradzałeś nas dwoje! – krzyczał oskarżycielsko, ponownie zaciskając dłonie na gardle ojca.

Julia wsunęła się pomiędzy mężczyzn. Wawrzyniec zdołał jakoś wywinąć się z rąk syna. Przez chwilę charczał, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Karol stał, ciężko dysząc.

– Przestań! – płakała matka, również niezdolna cokolwiek powiedzieć.

W końcu Pawłowski odzyskał głos.

– Nigdy nie zdradziłem Julii – oświadczył.

– Tak, jasne! – powiedział chłopak z przekąsem. – To skąd się wzięła Weronika? I czemu jest moją siostrą? – Nagle zamarł i zerknął na zapłakaną kobietę. – Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że to ty... O rany! – Zasłonił usta.

Julia pokiwała głową, lecz on tego nie widział, gdyż znowu spoglądał na ojca. Wzrok młodego mężczyzny przepelniała nienawiść.

– Próbujesz mi wmówić, że moja matka jest puszczalską dziwką?

– Nie! Jak śmiesz! – ryknął nagle Wawrzyniec. – Siadaj i słuchaj, co chcemy ci powiedzieć! To ważne.

– Mam to w dupie. Posunęliście się za daleko w tym mataczeniu! – krzyczał. Bał się prawdy, ponieważ czuł, że może być straszna.

Do przytomności przywrócił go siarczasty policzek.

Spojrzał ze zdziwieniem na ojca, który nigdy wcześniej nie stosował wobec niego kar cielesnych.

Nagle zapanowała nieprawdopodobna cisza, jeśli nie liczyć świergotu ptaków oraz brzęczenia much uwijających się przy rozbebeszonym śmietniku.

– Wybacz, synu. Nie powinienem był podnosić na ciebie ręki. – Wawrzyniec zwiesił bezsilnie ramiona. – Usiądźmy. – Wskazał ławki.

Ponownie zajęli miejsca. Pawłowski położył rękę na dłoni Julii i lekko ją uściśnił. Spojrzał jej wymownie w oczy, a ona pokiwała głową. Rozumieli się bez zbędnych słów. Tym razem to on wziął na siebie ciężar przekazania synowi złych wiadomości.

– Jedyną naszą winą w tej historii jest to, że za wszelką cenę chcieliśmy cię chronić.
– Chronić? Przed czym?
– Przed ludzką złością, pogardą i człowiekiem, który zamierzał cię zabić, jeszcze nim przyszedłeś na świat.

Karol zamarł w oczekiwaniu na dalsze słowa ojca. A ten spokojnie powtórzył mu opowieść, którą wiele lat wcześniej usłyszał od swojej ukochanej.

– Nie! Nie wierzę! – Oszołomiony chłopak zerwał się z ławki. Złapał się za głowę i przeszedł parę kroków po zaśmieconym parkingu. – To niedorzeczne! Wyrzekasz się mnie po to, abym zerwał z dziewczyną? Przecież jestem do ciebie taki podobny, tato! Skóra zdarta z ojca, tak ludzie mawiali o naszym podobieństwie!

Nie docierało do niego, że jest owocem brutalnego gwałtu.

– Takie samo podobieństwo jest między mną a Bronkiem. Nigdy nie zwróciłeś na to uwagi? Przecież wiesz, że kilka pokoleń wstecz połączyły nas więzy krwi. Jesteś podobny także do swojego wujka. A ja, choć bardzo cię kocham i zawsze traktowałem cię, jakbyś był moim rodzonym synem, w rzeczywistości jestem tylko trochę z tobą spokrewniony. Dziesiąta woda po kisielu.

– A metryka? A świadectwo waszego ślubu, które kiedyś miałem w rękach?

– Te wszystkie dokumenty są fałszywe. A raczej wystawione niezgodnie ze stanem faktycznym.

– Nie wmówisz mi, że zdołaliście przekonać księdza, żeby sfalszował wpis w księdze parafialnej!

– Tak właśnie było.

– Kłamiesz! Żaden ksiądz nie zrobiłby czegoś takiego!

– Zawiózłbym cię do niego tak, jak tu stoimy, ale problem w tym, że on już zmarł.

– Ładnie to sobie obmyśliłeś – prychnął pogardliwie Karol. – Mamo... Ojciec właśnie się mnie wyrzekł. Nic nie powiesz? – Spojrzał wyczekująco na Julię.

– Synku... To wszystko prawda – powiedziała szeptem. – Dwadzieścia lat temu zostałam zgwałcona przez ojca Weroniki. Gdy odkrył, że jestem w ciąży, groźbami próbował zmusić mnie do tego, abym się ciebie pozbyła. Uciekłam przed nim do miasta, podając się za wdowę po Wawrzyńcu. W najśmielszych oczekiwaniach nie przeszłoby mi przez myśl, że właśnie jego spotkam w Nowej Hucie i los nas połączy. On się ciebie nie wyrzeka, Karolu. Zawsze byłeś dla niego kimś wyjątkowo ważnym.

Zaświtała mu w głowie koncepcja, która mogłaby podważyć ich prawdomówność.

– Kiedy wzięliście ślub? – zapytał.

– Latem pięćdziesiątego ósmego roku. Byłeś wówczas na kolonii. Nie chcieliśmy mącić ci w głowie, bo od zawsze byłeś przekonany, że jesteś synem Wawrzyńca Pawłowskiego.

– Co za wyborny zbieg okoliczności. I akurat ty nawinałeś się mojej mamie... Kłamco! Zamierzaliście mi w ogóle kiedykolwiek o tym powiedzieć czy miałem całe życie tkwić w niewiedzy?

– Wciąż uważaliśmy, że to nieodpowiedni moment – powiedziała Julia. – Nie chcieliśmy cię ranić. Byliśmy przecież bardzo szczęśliwą rodziną. Przez te wszystkie lata miałam poczucie, że los wynagradza wyrządzoną mi krzywdę. Synku... Kocham cię tak bardzo, że nie zdajesz sobie z tego sprawy. Patrząc na ciebie, nigdy nie myślę o tym, skąd tak naprawdę się wzięłeś.

Zwiesił głowę. Zabrakło mu sił na dalsze przepychanki słowne z rodzicami. Ta historia, choć tak bardzo niewiarygodna, musiała być prawdą. Zaczął sobie nagle przypominać jakieś nieopatrzne komentarze ze strony rodziny, które przez lata brał za przejęzyczenia. Przypomniał sobie niepewność matki w czasie, gdy w ich życiu pojawił się Wawrzyniec. To, że nie zamieszkali od razu w trójkę, lecz on przychodził do nich z wizytami jak... jak narzeczony.

– Karolu! Czy potrafisz sobie wyobrazić, jaki ból nam to sprawia? Mówienie o tych rzeczach jest dla nas niezwykle trudne. Nie wyrzekam się ciebie. Zawsze będziesz moim synem. Przez te wszystkie lata byłem z ciebie bardzo dumny. Kocham cię równie mocno, jak twoje siostry.

Młody mężczyzna w milczeniu spojrział na zdruzgotanego człowieka, którego jeszcze do niedawna uważał za ojca.

*

Dni miały, a Janek nie czuł się ani trochę lepiej. Krystyna z troską spoglądała na męża, który coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Namówienie go na wizytę u lekarza było ciężkim zadaniem, całe życie unikał łapiduchów.

– Jak już dorwą człowieka w swoje łapska, to nie wypuszczą – stroił sobie żarty.

W końcu jednak dał się przekonać żonie do zrobienia badań. Dotąd suszyła mu głowę, aż zmiękł. Zamieniła się nawet z koleżanką godzinami w sklepie, aby pójść z nim do przychodni i wszystkiego dopilnować. Taka zawzięta kobieta!

Aniołem nie była, choć od jego powrotu z więzienia klócili się znacznie rzadziej. Widać tamten ponury okres zmusił ją do wielu przemyśleń. Spoważniała, nabrała rozsądku. Doceniła to, co w życiu jest najważniejsze. Coraz rzadziej robiła mu sceny zazdrości o Julkę. A może po prostu czas – najlepszy ze wszystkich lekarzy – zaleczył rany na jej duszy?

Tak czy inaczej była bardzo troskliwą i oddaną żoną. Dbała o niego najlepiej jak tylko potrafiła. Biegała z nim od lekarza do lekarza. Pilnowała kolejnych badań, wyników, wizyt. Trzymała go za wysuszoną, kościstą rękę, gdy stawiano następne złe diagnozy. Nie płakała, nie lamentowała. Cierpiała po cichu, a całemu światu pokazywała pełną optymizmu twarz. Każdego dnia znajdowała dość siły, aby uśmiechać się do męża, który gasł w oczach, pożerany nowotworem płuc. Kłamała, że wszystko będzie dobrze i lada dzień Janek poczuje się lepiej.

Pielęgnowała go, gdy już nie mógł chodzić do pracy. Pomagała wstać i dojść do toalety. Podtykała pod nos najlepsze smakołyki, aby wzbudzić w nim chęć do jedzenia.

– Jasiu, Jasieńku... Jeszcze jedna łyżka rosolu. Zjedz, kochany, to na pewno cię wzmocni.

Codziennie z cierpliwością godną anioła zmieniała poplamioną pościel. Ledwo nadążała z praniem bielizny, piżam i ręczników. Nigdy z jej ust nie padło ani jedno słowo skargi.

Kto żyw zaglądał do ich mieszkania, byle choć trochę ulżyć im w tych trudnych czasach. Pomóc dzwignąć wychudłe ciało chorego. Ogolić go, oporządzić, obciąć mu paznokcie. Nakarmić. Przebrać. Porozmawiać z nim. Poczytać mu gazetę. Rozmasować skostniałe z bólu kończyny. Nasmarować maścią zaczątki odleżyn. Pomodlić się razem z nim i podnieść go na duchu.

– Janek. Nie wygłupiaj się, człowieku. Zapomniałeś, że wiosną mieliśmy razem przenieść się do Zjednoczenia? Na budowę nowych bloków. Pamiętasz, jakeśmy robili ramię w ramię? Jaki to był piękny czas? – przypominał Broniek.

– Do wiosny daleko. Jeszcze się wylizę. – Chory nadrabiał miną. – Jeszcze będę przodownikiem pracy. Pokażemy młodym, jak się układa cegły. Ale już nie będę u ciebie pomocnikiem. O nie!

– A jużci. Niech smarkacze robią za podawaczy.

– Powiedz no mi lepiej, Bronku, co tam ciekawego mówią w Radiu Wolna Europa. Dawno nie słuchałem.

– Teraz gadają głównie o kolejkach przed sklepami, braku towarów, a zwłaszcza mięsa, i spekulują, czy nie obejdzie się czasem bez podwyżek.

– Jak ma nie brakować towarów, skoro wszystko idzie do Ruskich?

– No, u nas to tylko podroby można dostać i najpodlejsze ochłapy, co się ich nawet Heńkowa suka nie chce chwycić. Ostatnio słyszałem, że kiełbasa zwyczajna dzieli się na trzy gatunki: robotniczo-chłopską, strażacką i duchowną. Pierwsza jest rano czerwona, ale do wieczora zielenieje, z drugiej po naciśnięciu leci woda jak ze strażackiej sikawki, a o zawartości trzeciej wie chyba jeden Duch Święty.

Kulka odkaszlnął, puścił oko do przyjaciela, a potem ze swadą zaczął opowiadać:

– Wchodzi klientka do supersamu i patrzy, co by się dało kupić. Ponieważ wybór jest niewielki, wszczyna kłótnię z kierownikiem. Kobieta wreszcie nie wytrzymuje i krzyczy: „Pocałuj mnie pan w dupę!”. „Szanowna pani zapomina, że jest w sklepie samoobsługowym”, odpowiada kierownik.

– Ciebie to zawsze żarty się trzymają.

– Poważny, Bronku, to ja będę w trumnie leżał. Ale jeszcze nieprędko, bo na razie brakuje desek

stolarzom. A jak idzie budowa kościoła? – zmienił temat rozmowy. – Ostatnio żem tam nie zaglądał, a pomógłbym jeszcze. Tyle ziemi nawoziłem się na taczkach, jakieś wybierali pod fundamenty! Dalej wszystko idzie tak opornie?

– A żebyś wiedział, Janku, jak po grudzie. Nie mamy ciężkiego sprzętu. Nawet zbrojenia podajemy sobie ręcznie. Straszny to znój, ale my się nie zrażamy, tyle jest w nas zaciekłości! Wawrzek, choć siedzi przy dyrekcji kombinatu, nie zdołał przeforsować, by sprzedali nam stal na budowę. Nie i już. Władza nie pozwoliła – westchnął. – Ani grama nie puszcza, a przecież zapłacilibyśmy, jak każdy kupujący. Zbieramy datki, z Ameryki wciąż płyną dolary. Pieniądz jest na szczęście, ale co z tego, skoro materiały trza kupować za granicą przez podstawionych ludzi?

– Ładne kombinacje.

– Ano. Ciężko nam, Janku. Ale mamy dość sprytu, żeby nas nie nakryli. Pietrzyk, wiesz, ten co zaprojektował świątynię, umyślił sobie, by z wierzchu obłożyć kościół kamieniami. To ma być twierdza warowna naszej wiary. No i teraz kto tylko jest nad wodą, przywozi w plecaku kamienie. Ładne są otoczaki w Popradzie i Dunajcu. Jeżdżą ludziska na wycieczki, to zbierają przy okazji. Choćby po jednym, po dwa, bo ciężkie. Ale czasami komuś udaje się więcej przydzwigać.

Chorym ponownie zaczął szarpać nieprzyjemny kaszel. Zdawało się, że nieborak zaraz wypluje sobie płuca.

Do pokoju cichutko weszła Ewa. Przyniosła wilgotny ręcznik i obtarła twarz ojcu.

– Trzeba by świeżą piżamę – powiedział Bronek, wskazując plamy krwi na pasiastej koszuli.

Dziewczynka pokiwała głową i wyjęła z szafy spłowiałą bluzę. We dwoje pomogli Jankowi w zmianie. Aż żal było patrzeć na jego chude, poźółkłe ciało.

– Ależ mnie łapiduchy załatwiły. To wszystko wina konowałów – stęknął chory. – Leczyć nie potrafią. Jak się takiemu nie da koniaczku albo koperty, to nie traktują człowieka poważnie.

– Mnie też coś się obilo o uszy na ten temat – westchnął Szymczak i w zafrasowaniu poskrobał się po brodzie. – A słyszałeś o tym, jak przychodzi baba do lekarza i mówi: „Panie doktorze, nikt nie traktuje mnie poważnie”. A on na to: „Żartuje pani?” – wysilił się na dowcip.

Gdy Bronek wychodził, natknął się w przedpokoju na Ewę.

– Boję się, wujciu – powiedziała. – Boję się o tatkę. Czy on umrze?

Szymczak przygarnął ją do siebie i mocno uściskał. Pomyślał o swojej Agniesi – ona też tak przeżywałaby jego chorobę.

– Nie martw się, kochanie. On jeszcze wydobrzeje – zapewniał, choć coraz częściej w to wątpił.

*

Po powrocie do domu Karol starannie zgolił zarost. Lustro odbijało wymizerowaną twarz człowieka, który w ostatnich czasach palił zbyt dużo papierosów, pił zbyt dużo alkoholu, brał jakieś świństwa, by wprawić się w odpowiedni nastrój, i zdecydowanie zbyt kiepsko jadał.

Każda myśl o wydarzeniach minionych tygodni przysparzała mu niewyobrażalnych cierpień. Cały jego świat legł w gruzach. Zawiedli go ludzie, do których miał bezgraniczne zaufanie. Swoim tchórzostwem i kłamstwami zniszczyli życie jemu i Weronice.

Przez kilka dni snuł się po mieszkaniu niczym upiór. Sióstr na szczęście nie było – spędzały wakacje w Pawlicach. Zostały tam odesłane zaraz po powrocie z kolonii, aby nie widzieć rozpaczliwej szamotaniny rodziców, którzy wszelkimi możliwymi sposobami próbowali znaleźć syna. Bo mimo wszystko wciąż obowiązywała zasada, że dzieci powinny pozostać z dala od problemów ludzi dorosłych.

Wiedział, że czeka go spotkanie z Weroniką. Powinien jak najszybciej zamknąć ten temat. Tylko jak to zrobić, aby jej nie zranić, a jednocześnie nie wyjść na przestraszonego chłopczyka, który chce uniknąć kłopotów i kryje się za plecami ojca?

Przecież nie mógł powiedzieć prawdy, to byłoby zbyt brutalne.

Ale czy powinien zachowywać się tak, jak cała jego rodzina, która przez wszystkie lata chroniła go za wszelką cenę, budując piramidę kłamstw na miłąm gruncie?

Rozmawiał z wujkiem Bronkiem, gdyż był on najlepiej zorientowany w sprawach z przeszłości. Chciał też pogadać z ciotką Krystyną, ona także mogłaby wiele powiedzieć w tej kwestii – wszak Andrzej zamordował Bartłomieja Marczyka nie tylko w odwecie za swoją ukochaną, ale również po to, aby pomóc skrzywdzone siostry.

Tragicznie zmarły wuj jawił mu się teraz jak postać mityczna: z jednej strony bohater, który porwał się na szaleństwo, aby unicestwić bestię. Z drugiej strony morderca jego rodzzonego ojca. To z jego powodu nigdy nie spojrzy w oczy tamtego człowieka, aby sprawdzić, czy znalazłby w nich swoje odbicie. Nie oceni, jakie cechy po nim przejął. Jak wielką ilością zła nasiąknął.

Chwilami dopadało go ogromne zwątpienie.

A co, jeśli wszyscy kłamali? Jeżeli to była jedna wielka zмова, aby chronić zabójcę, a w rzeczywistości jego rodzony ojciec był zwyczajnym, zycznym człowiekiem, który padł ofiarą szaleńca?

Nikt nie potrafił w żaden sposób udowodnić prawdziwości historii opowiedzianej mu przez Wawrzyńca Pawłowskiego – mężczyznę, który go usynowił i przez lata doskonale odgrywał rolę kochającego taty.

Nie dowiedział się niczego od ciotki Krystyny, gdyż jej uwagę zaprzętała choroba męża. Karol nie widział wujka Janka przez jakieś trzy miesiące, więc gdy pewnego dnia poszedł z wizytą do Kulków, to zaniemógł, widząc leżący w łóżku człowieczy wrak.

Nie mógł odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Z rodzicami niemalże nie rozmawiał. Miał do nich ogromny żal, ponieważ nie powiedzieli mu prawdy znacznie wcześniej – zanim wyjechał z Weroniką i znajomymi albo tego dnia, gdy przyprowadził ją do domu. A najlepiej zanim ją poznał i oddał jej serce.

Nieświadomie dopuścił się kazirodztwa.

A jeżeli ten grzech wyda na świat owoce?

Widywał czasami upośledzone dzieci mieszkające w domu pomocy społecznej na osiedlu Szkolnym. Kiedy chodził do technikum, zdarzyło się, że kilka razy w czasie przerwy zabłądzili z kolegami pod ogrodzenie otaczające tamten budynek. Przy ładnej pogodzie pensjonariusze przebywali na tarasie lub w przyległym doń niewielkim parku. Czasami udawało im się zwabić któregoś z nich, by podszedł bliżej. Dla nich – zdrowych i sprawnych – był to zatrważający widok.

– To dom wariatów – poinformował ich kiedyś Kuba, którego matka znalazła tam zatrudnienie w charakterze salowej. – Mieszkają w nim niedorozwoje zrobione po wódce albo przez blisko spokrewnione osoby.

– Skąd wiesz?

– Mama czasem mi o nich opowiada. Pewnie po to, żeby mnie zniechęcić do picia wody – objaśnił.

Karol drętwiał za każdym razem, gdy o tym pomyślał. A jeżeli powołał do życia takie nieświadome warzywo, które potrafi tylko siedzieć, kiwać się na boki i robić pod siebie? Z którego rozdziawionej buzi cieknie ślina? Które nie umie złożyć logicznej wypowiedzi?

Siedział całymi dniami w swoim pokoju, pogrążony w niewesołych rozważaniach. Czasami brał paczkę papierosów i wychodził na dach, choć inni mieszkańcy bloku wciąż przeganiali łażące tam dzieciaki. On jednak był pełnoletni i nie wchodził tam po to, aby psocić i pić wódkę z dala od czujnych oczu dorosłych.

– Bez obaw. Nigdzie się nie wybieram – oświadczył pewnego dnia rodzicom, gdy wrócił późno do domu, a oni zamartwiali się o to, gdzie go poniosło. – I nie, nie spotykam się z Weroniką – uprzedził ich pytanie. – Byłem na górze, potrzebuję samotności – dodał na koniec, widząc ich udręczenie.

Nie kłócili się. Prawie ze sobą nie rozmawiali, choć matka i ojciec wciąż próbowali go zagadywać. Funkcjonowali niby razem – w obrębie jednego mieszkania, a w rzeczywistości zupełnie oddzielnie.

*

Pewnego wrześnieowego dnia doszedł do wniosku, że najwyższa pora na rozmowę z Weroniką. Wszak od wyjścia z aresztu minął tydzień. Nie mógł dalej unikać konfrontacji.

Poszedł pod przedszkole w porze, o której zwykle kończyła pracę, ale tam jej nie złapał. Od innych kobiet opuszczających placówkę usłyszał, że została zwolniona. Udał się więc do hotelu. Niestety tam też nie dopisało mu szczęście. Trzy dni wcześniej wymeldowała się i zabrała swoje rzeczy. Nikt nie wiedział, dokąd mogła odejść.

Nie uważał za możliwe, aby wróciła do Piotrowic, ponieważ właśnie stamtąd uciekła do miasta. Mimo wszystko zdecydował, że pojedzie na wieś następnego dnia. Odwiedzi babcię, u której nie był od niepamiętnych czasów. Może spróbuje wyciągnąć od niej i od cioci jakieś szczegóły dotyczące swojego pochodzenia. Choć nie miał podstaw ku temu, by podawać w wątpliwość słowa człowieka, który go wychowywał, chciał dowiedzieć się jeszcze więcej.

O swoim postanowieniu oznajmił rodzicom przy kolacji. Na matczynej twarzy zobaczył ból i strach. Poczul nieprzyjemny skurcz w piersi.

– Muszę to zrobić, mamu. Bez obaw, już nic złego się nie stanie. Po prostu jestem winien Weronice rozmowę na ten temat. Możecie być spokojni, zachowam dyskrecję.

– Jaką dyskrecję? – zagadnęła od razu ciekawska Zosia. – A mogę jechać z tobą?

– Nie, Zosiu, ty zostajesz w domu. Dopiero co wróciłaś od babci, a jutro, o ile mnie pamięć nie myli, jest normalny dzień i musisz pójść do szkoły – powiedział tato.

– Eee... Nuda! W pierwszym tygodniu nic ciekawego się nie wydarzy.

– Nie ma że nuda. Jutro idziesz na lekcje – poparła go matka wyjątkowo surowym tonem.

Zosia spojrzała na nią buntowniczo.

– Ciągle mi czegoś zakazujecie! Ja się tak nie bawię!

– Życie to nie zabawa, jeszcze się o tym przekonasz. A skoro już sobie pojadłaś, zanieś naczynia do kuchni i pozmywaj. Martusia, pomóż siostrze – rozkazała Julia.

Gdy zostali w trójkę, zwróciła się do pierworodnego:

– Zakładam, że wiesz, co robisz. Nie kwestionuję twojej decyzji. Jedź tam i załatw wszystko jak należy. Przykro mi, że pogmatwałam wam życie.

Chciała dodać jeszcze parę słów, ale Karol pokiwał głową i bez słowa opuścił pokój stołowy. Poszedł do siebie, aby spakować torbę na kilkudniowy pobyt na wsi. Babcia na pewno będzie chciała go zatrzymać. Poza tym, mimo bliskości Piotrowic, potrzebował chwilowej zmiany otoczenia. Może powrót w miejsce, gdzie wszystko się zaczęło, nie był najszcześniejszym pomysłem, lecz zdruzgotany mężczyzna uważał, że to może być jak kłamra spinająca określoną całość.

Ciągle jeszcze nie wiedział, co powinien powiedzieć Weronice. Prawda była zbyt brutalna.

Nie mógł się odkochać ot tak sobie, choć całe wcześniejsze pożądanie prysnęło jak bańka mydlana.

*

Mimo podjętego wcześniej postanowienia, Bożena nie była w stanie przegonić Zygmunta, gdy przyszedł z kolejną wizytą. Znowu w ciasnym hotelowym pokoju rozniósł się aromat pomarańczy. Choć zdecydowała, że *tamto* się nie powtórzy, uległa swojemu pierwszemu kochankowi.

Przypomniała sobie, że fizyczna miłość może być czymś ekscytującym, niosącym za sobą dreszczyk. Jane nie potrafił kochać się z nią w taki sposób. Był nieporadny, trochę onieśmielony i nie

dbał o jej przyjemność. Co z tego, że tak bardzo jej na nim zależało – był dla niej dobry, troszczył się o nią i o córeczkę, dokładał starań, aby związać koniec z końcem – skoro żar pożądania już dawno wygasł?

Nie wyobrażała sobie przyszłości bez niego. Związek z Jane przywracał jej utraconą godność i dawał nadzieję na lepsze jutro. Ale wciąż odczuwała niedosyt, ponieważ ich wspólne życie pod każdym względem było nędzne.

Znacznie starszy i nieporównywalnie bardziej doświadczony Zygmunt doprowadzał ją do szału.

Wchodził w kochankę od tyłu, mocno i głęboko, mamrocząc jej coś do ucha, ściskając obnażone sutki. Chciał wyrwać z pamięci Bożeny chłystka, który mu ją sprzątnął sprzed nosa. Jednocześnie był wściekły sam na siebie, ponieważ nie powinien był wybaczać tej gówniarze ucieczki. Nie zasługiwała na żadne względy. Miał do niej jakiś francowaty sentyment, który uniemożliwiał normalne funkcjonowanie.

Czasami nawiedzała go myśl, że chętnie skrzyłby kark niewiernej dziewczynie. Gdyby tylko wiedział, że to wyrwie żmiję z jego pamięci! Pragnął jej i nienawidził jednocześnie. Dlatego był brutalny, gdy brał w posiadanie uległe ciało. Czasami lżył ją i bez litości szarpał za włosy.

Ale była też jedyną kobietą, którą całował w usta.

Bo dziwek nie całuje się w usta, gdyż nie wiadomo co i komu wcześniej nimi robiły.

– O tak, mała – sapał, wchodząc w nią coraz głębiej. – Tak, ruszaj tyłeczkiem. O tak...

Nagle otworzyły się drzwi.

Obydwoje odwrócili ku nim głowy. Zygmunt zaśmiał się triumfalnie, nie przerywając.

Bożena zamarła, a potem, zanim usłyszała trzaśnięcie i tupot na schodach, jęknęła:

– Jane!

*

Po przyjeździe do Pawlic i przywitaniu się z rodziną Karol pożyczył rower ciotki Doroty. Pojechał na poszukiwanie Weroniki. Wprawdzie wiedział, gdzie mieszka, ale miał nadzieję, że jeżeli wróciła na wieś, to spotka ją nad jeziorem.

Tym razem się nie pomylił. Siedziała na kładce i puszczała kacuszki.

– Weronika!

Odwróciła się gwałtownie. W jej oczach pojawiła się ulga i radość. Czekala, czy Karol wyciągnie do niej ramiona, lecz on tego nie zrobił. Stał z niepewną miną. Zniknął uśmiech, zgasły gwiazdy, które zapaliły się w oczach. Przeczuwała, co on chce powiedzieć. Od trzech dni słyszała matczyne dogryzania z tego powodu. Właściwie już planowała ponowne opuszczenie Piotrowic i wyjazd w dowolnym kierunku, ponieważ niewiele trzymało ją na wsi. Postanowiła jednak, że poczeka i sprawdzi, czy Karol będzie jej szukał. Bo to oznaczałoby, że mu zależy. Z nim mogłaby wrócić do Nowej Huty. Bez niego to nie miało sensu.

Teraz jednak widziała, że jej założenie było niesłuszne. Mina Karola przemawiała sama za siebie.

Biedny chłopczyk, wystraszył się mamusi i tatusia – pomyślała z pogardą.

Nie chciała słuchać jego słów. Teraz były już bez znaczenia.

– Przyjechałeś, żeby ze mną zerwać, tak?

Nie dała dojść Karolowi do słowa. Nagadała mu co tylko ślina przyniosła jej na język.

Nie zasłużyłem sobie na to wszystko – myślał przygnębiony. *Ale czy tłumaczenie się miałoby jakikolwiek sens?*

Poprosił tylko, aby Weronika nawiązała z nim kontakt na wypadek, gdyby okazało się, że będą mieli dziecko. Podkreślił, że to dla niego istotne. Spojrzała na niego z resztkami gasnącej nadziei, lecz pokręcił głową.

– Nam nie był dany spacer aleją Róż – powiedział.

Uzmysłowił sobie, że choć wielokrotnie jej to obiecywał, nigdy nie poszedł z nią na przechadzkę najpiękniejszą promenadą Nowej Huty.

*

Przez następne dni wciąż chodził ze skwaszoną miną. Czasami wypytywał babcię lub ciotkę o jakieś intrygujące go kwestie, a one, wiedząc o wszystkim od Julii, nie szczędziły mu bolesnej prawdy, choć obydwie wykladały mu ją na swój sposób – jakże inny od tego, którego się spodziewał. Żywił bowiem cichą nadzieję, że wezmą jego stronę i będą się nad nim litowały. Tymczasem usłyszał coś, co mocno go zaskoczyło.

– To kłamstwo było najlepszą rzeczą, na jaką mogliśmy się zdecydować. Dzięki temu dorastałeś w spokoju, a Julia zachowała szacunek otoczenia. Ona zrobiła to z ogromnej miłości do ciebie. Ciocia Kryśka, choć uległa tamtemu człowiekowi dobrowolnie, dała mu się zastraszyć i skorzystała z usług znachorki. Myślę, że do tej pory nie doszła do siebie po tym przeżyciu, choć próbowała chyba wszystkiego, by zapomnieć. Nie możesz mieć pretensji do swoich rodziców, że nie pozwolili, abyś został napiętnowany jako nieślubny dzieciak gwałciciela – powiedziała dosadnie babcia.

– Rodziców... Iluzja. – Wzruszył ramionami. – Nie potrafię się z tym uporać, chociaż jestem już dorosłym chłopem.

– Wawrzyniec zawsze będzie twoim ojcem, wnusiu. To najlepsze, co mogło spotkać ciebie i twoją mamę. Jest wspaniałym człowiekiem, choć wiem, że bywa czasami surowy. Przypuszczam, że nikt inny nie zdobyłby się na to, aby zrobić tak wiele dla uszczęśliwienia ukochanej kobiety. Nie odwracaj się od niego. Wiem, że to trudne. Ale zauważ, że on z biegu wszedł w rolę ojca i, jak myślę, doskonale się w niej sprawdził.

*

– Karolu, ktoś do ciebie. – Matka tylko zajrzała do pokoju i zaraz odeszła do swoich zajęć.

– Jane? – zdziwił się chłopak. Przecież nie widzieli się dwa lata. – Szmata czasu! Gdzieżeś ty się podziewał, człowieku!

– Serwus. No... Trochę zleciało. Jakoś tak mi fatalnie schodziło – przyznał ze skruchą. – Słuchaj, może skoczmy na górę jak za starych, dobrych czasów? – zagadnął. – Mam połówkę – uchylił połe kurtki, by pokazać tkwiącą w kieszeni butelkę żytniej – i chciałbym pogadać.

– Jasne – odparł Pawłowski.

Złapał sweter przewieszony przez oparcie krzesła i naciągnął go przez głowę. Wcisnął do kieszeni paczkę papierosów. Sprawdził, czy ma przy sobie zapalniczki. Przeczynał, że to będzie długi wieczór. Wszak musieli nadrobić mnóstwo zaległości. Kolegi na pewno nie przyniosło bez powodu.

Zajrzał do kuchni i wziął dwie krachle.

– Wychodzę – oznajmił krótko.

Rozmawianie z rodziną wciąż przychodziło mu z trudem. Odkąd wrócił ze wsi, wymieniał z nimi jedynie krótkie komunikaty. A oni przyjmowali to ze spokojem. Nie próbowali go zagadywać ani do niczego ponaglać. Wiedzieli, że potrzeba mu czasu.

Młodzi mężczyźni po cichu wleźli na dach. Chociaż byli pełnoletni, wciąż robili to w konspiracji, aby nikt ich stamtąd nie przegnął. Nigdy nie wiadomo, co komu może przeszkadzać. Usiedli w pobliżu wjazdu, opierając się plecami o pobliski komin. Łażenie wzdłuż krawędzi i ryzykowanie upadkiem już dawno ich nie bawiło. Jaki był sens w struganiu chojraka i narażaniu życia?

– Co tam u ciebie? – zagadnął Karol, podając koledze butelkę oranżady.

– Kiepsko – odparł Jane.

Wyjął z kieszeni żytnią, uderzył łokciem w denko, a następnie ją odkręcił.

– Strzelaj. – Podsunął butelkę Pawłowskiemu.

Jeden po drugim łyknęli odrobinę alkoholu. Przepili, odetchnęli, zapalili papierosy. Dopiero wtedy podjęli rozmowę.

– Pogoniłem Bożenę – oznajmił Becker bez ogródek.

– Ale jak to? Co ty pitolisz? Z dzieckiem?

– To nie było moje dziecko. Chyba.

– Serio?

Kolega pokiwał głową. Opowiedział, jak przyłapał ją z jakimś obcym, starszym od niej fagasem.

– Zaśmiał mi się w twarz, rozumiesz? – powiedział zachrypniętym głosem. – I nawet nie przestał jej pieprzyć.

– O ja pieprzyć! – wykrzyknął Karol, wyciągając w stronę przyjaciela paczkę carmenów.

W głębi duszy musiał jednak przyznać, że zakładał podobny scenariusz dla ich związku. Upływ czasu znacznie ostudził jego uczucia, zabił też zadre, którą niefrasobliwa panna uczyniła mu w sercu. Drobne wady i rysy w charakterze, które kiedyś zauważał, lecz trochę bagatelizował, teraz nabrały ostrości. Kiedyś, gdy odradzał Jane związek z Bożeną, przemawiała przez niego przede wszystkim zazdrość. Teraz był to prozaiczny racjonalizm. Morkówna zawsze lubiła chłopców, a o jej matce krążyły różne wieści: że niby wcale nie jest taka przyzwoita, na jaką chciałyby wyglądać. I wiodło jej się zdecydowanie zbyt dobrze jak na kwiaciarkę. Widać niedaleko padło jabłko od jabłoni.

– Słuchaj... A jeżeli mała jest twoją córką?

– Mało realne. Jak przycisnąłem Bożenę, to się przyznała, że sypiała z wieloma facetami, nie tylko ze mną. Za pieniądze.

– O kurwa! – zaklął Pawłowski.

– Kurwa – powiedział dosadnie przyjaciel pod adresem utraconej miłości.

Zmierzchało. W szybko zapadających ciemnościach żarzyły się czerwone punkciki papierosów. Poświatę neonów zasłaniała gęsta mgła napływająca z pobliskich łąk.

– I co teraz będzie?

– Nic. Zmarnowałem sobie życie przez tego kurwiszona. Nie skończyłem technikum, a przecież marzyłem o studiach. Pracuję w walcowni slabing, choć miałem ambicję, żeby być kimś więcej niż tylko robotnikiem. Do domu nie mam już po co wracać. Ciasno tam i biednie. Zostałem sam jak kołek w płocie. Życie mi się odechciewa – wyznał, pociągając kolejny łyk gorzałki.

– Jeszcze nie jest za późno na zmiany – zauważył Karol. – Zawsze możesz iść do wieczorówki.

– Niby tak, ale prawdę mówiąc, teraz już nic mnie nie cieszy i na nic nie mam ochoty.

– Wiem coś na ten temat – westchnął. – Wszystko może człowiekowi skutecznie obrzydnąć.

Jane spojrział na przyjaciela. Mimo wieczornego mroku dostrzegł, że i on jest posępny. Wcześniej zwrócił uwagę tylko na smutek pani Julii. Wyglądała na przygaszoną, a jej uśmiech był mniej radosny, niż zapamiętał z przeszłości.

– Powiedz lepiej, co u ciebie. Bo ja tak gadam i gadam, ale widzę, że i ty masz jakieś zmartwienia.

Karol pokiwał głową. Mocno zaciągnął się papierosem.

– Baba? – próbował zgadywać Becker.

– A żebyś wiedział, że baba. Z nimi to tylko kłopoty.

– No, to mów.

– Tak za bardzo nie ma już o czym. Spotykałem się z taką jedną. Było miło, więc postanowiłem przyprowadzić ją do domu. No i od słowa do słowa okazało się, że to moja bliska krewna.

– Co ty pitolisz? Jak bliska?

– Zdecydowanie zbyt bliska, żeby coś mogło być między nami. Bo nie dość, że grzech, to jeszcze ryzyko powikłań, gdyby zaszła w ciążę.

– Ożeż kurwa – zaklął Becker.

– No właśnie.

– Ale jakże to możliwe, skoro trzymacie się całą rodziną w kupie?

– Tak bywa czasami. Mam tylko żal do starych, że wcześniej nic mi nie powiedzieli. Jej nazwisko nigdy nie padło w rozmowie. Wiesz... mroczny sekret rodzinny. Aż tu nagle zostają zaskoczony taką sensacją. No i cóż... nie mogę się teraz pozbierać. Nie da się z dnia na dzień odkochać.

– Da się – zapewnił przyjaciel grobowym głosem.

– No... Niby tak. Twoja sytuacja jest inna. Ale to jeszcze nie wszystko.

– Może być coś gorszego?

– Może. Bo teraz czekam na informację, czy nie wpadliśmy.

– Ja pitolę!

– Robiliśmy to bez zabezpieczenia, ponieważ chciałem, żeby tak było. A teraz zżerają mnie nerwy. Każdy list w skrzynce i każdy dzwonek telefonu przyprawiają mnie o dreszcze. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając odgłosów zasypiającego miasta.

– A nie wiesz, co u reszty?

– Bukano się ożenił.

– Nie gadaj! Serio?

– Serio. Chyba rodzina go nakłoniła, bo on raczej nie miał na to ochoty. O ile wiem, wszystko odbyło się według cygańskiego zwyczaju. Najpierw upatrył sobie narzeczoną. Choć może w jego przypadku słowo „upatrył” jest mocno na wyrost. Coś mi się wydaje, że to jego starzy nad tym czuwali. Potem porwali dziewczuszkę i póty trzymali w zamknięciu i namawiali, aż zgodziła się na ślub. Tak więc jest już żonaty i dzieciaty. Dawno go nie widziałem, ale coś mi świta, że poszedł siedzieć.

– Za co?

– Za kradzież. Nie miał wprawy, to go złapali. A może sam dał się nakryć?

– Eee... no co ty? Cygan, który szuka zniewolenia?

– Wiesz, że on od nich odstawał.

– A reszta?

– Jakub robi w Zakładach Tytoniowych, chodzi z jakąś panną. Gerard wyjechał na Śląsk, do kopalni. Ot, ironia losu, wrócił tam, skąd pochodzi. Gruca studiuje ze mną na AGH-u. Zrobił się z niego jeszcze większy snob, niż był. Ze wszystkim jest na bieżąco: z modą, z muzyką, z pocztówkami. Co ciekawsze, do grubasa kleją się najfajniejsze panienki.

– Forsa – burknął Jane.

– Forsa – potwierdził Pawłowski.

Znów pociągnęli po łyku. A że oranżada się skończyła, smak wódki pozostał w ich gardłach na dłużej.

– Wiesiek też już żonaty. Jak żem go ostatnio widział, mówił, że weźmie dziekanę, bo musi pracować na utrzymanie rodziny. Niełatwo mu to wszystko pogodzić.

– No to rozpierzchnęła się nasza paczka – zauważył Becker.

– Nie da się ukryć. A ty to zapoczątkowałeś. – Karol poklepał go po plecach.

– Kolej rzeczy.

– Kolej rzeczy – powtórzył przyjaciel niczym echo. – Już nic nie będzie takie samo jak kiedyś.

– Dorosłość jest parszywa. Tak do niej człowiek tęsknił, gdy gonił usmarkany po łąkach, bawiąc się w Indian i kowboi. A potem przychodzą obowiązki i rozczarowania. Co nam, kurwa, nie pasowało w zabawie w Dziki Zachód? Albo w czterech pancernych?

*

Krysię obudził jakiś hałas.

– Ewunia, to ty? – zawołała, unosząc powieki.

– Nie – mruknęła dziewczynka, śpiąca na sąsiednim tapczanie.

Odkąd Janek zachorował, małżonkowie sypiali osobno. Nie należało bowiem do przyjemności budzenie się w środku nocy w pościeli pomazanej krwią i czarną flegmą.

– To ja! – zawołał mąż. – Pić mi się zachciało. Robię herbatę, ale ze mnie fajtłapa, bo upuściłem puszkę.

– Co? – Krystyna momentalnie się dobudziła.

Przecież nie wstawał z łóżka od ładnych paru tygodni!

Nie dowierzając temu, co usłyszała, poczłapała do kuchni i zobaczyła Janka stojącego przy kuchence. Pod czajnikiem płonął gaz, a na stole przygotowana była szklanka z odrobiną wiórków na dnie. Mężczyzna uśmiechał się szeroko. Wyglądał zadziwiająco dobrze, choć pasiasty szlafrok frotté wisiał na nim jak na kołku.

– Jasiu! Jasięńku! – Uszczypnęła się mocno w ramię, aby nabrać pewności, że to nie jest senny majak. – Lepiej ci, kochany?

– Jak widzisz. – Rozłożył ręce.

– O słodki Jezu! – Ostrożnie przytuliła się do chucherka. – Ewcia, chodź tu prędko, dziecino! Zobacz, tatko ozdrowiał!

Cóż to za radość, widzieć go znowu poruszającego się o własnych siłach! Aż żal było wyjść do pracy i do szkoły i zostawić rekonwalescenta samego. Już od tak dawna nie był w równie dobrej kondycji! Zasiadł ze swoimi kobietami do śniadania, którego wprowadzie tylko trochę podziobał, ale za to z jaką radością. Znowu sypał kawałami jak z rękawa, tym razem obierając za cel żartów nieszczęsnego doktora i babę.

– Przychodzi baba do lekarza: „Panie doktorze, dziękuję za wspaniałe leczenie”. „Ależ ja leczyłem pani męża, nie panią!” „Tak, tak, ale ja po nim wszystko dziedziczę...” – Dowcipnisia trzymał się czarny humor, lecz Krystyna nie miała mu tego za złe. Śmiała się razem z nim. Jej już nie groziło, że będzie w najbliższym czasie dziedziczyła po mężu.

*

Chłodny listopadowy wiatr szarpał połami płaszcza Krysi, gdy pędziła na przystanek tramwajowy. Chodniki zasłane były oślizłym listowiem, które psotne podmuchy strąciły nocą z drzew, a poranna mżawka przykleiła do podłoża. Ziąb nie przeszkadzał podekscytowanej kobiecie. Kroczyła dziarsko, z uśmiechem szczęścia na ustach.

Zaraz po przyjściu do sklepu poszła na zaplecze i wyjęła z torebki kalendarzyk sprzed kilku lat, w którym dawno temu zanotowała wszystkie ważne telefony. Z tej radości musiała do kogoś zadzwonić, więc najpierw wykręciła numer do szpitala, gdzie udało jej się złapać Boguškę. Potem dodzwoniła się na portiernię kombinatu do Leszka, a na ostatek wybrała jeszcze numer Julii. Wszystkim entuzjastycznie opowiadała o tym, że mąż zaczyna do siebie wracać. I tak, na pewno byłoby mu bardzo miło, gdyby ktoś wpadł do niego z wizytą.

Wieczorem mieszkanie Kulków dosłownie pękało w szwach, ponieważ przyszli wszyscy dorośli członkowie rodziny, łącznie z Wieśkiem. Zajrzała nawet Sabina, zdziwiona najpierw chorobą szwagra, gdyż o niczym nie miała pojęcia, a potem ucieszona, że umknął z łap kostuchy.

Bohater dnia siedział na fotelu rozparty jak basza. Wprawdzie jeszcze trochę pokasływał, ale to już było nic w porównaniu z wcześniejszymi atakami duszności, gdy oczy chciały mu wyskoczyć na wierzch. Nogi miał przykryte ciepłym kocem, ponieważ chudziaczek trząsał się z zimna. Ale cóż miało ogrzać wysuszone kosteczki, skoro została na nich tylko poźółkła skóra?

Pomieszczenie wypełniał radosny gwar, a Janek dowcipkował, brylując w ukochanym towarzystwie.

– Rozleniwiło mnie to leżenie w łóżku, jak tę starą babę – zakpił.

– Ano. Masz jeszcze chwilę na nabranie ciała, a potem do roboty, przyjacielu! – zaśmiał się Broniek. – A znasz to? Przychodzi baba do lekarza i mówi: „Panie doktorze, ja jestem leniwa. Jak się położę, to bym leżała, leżała, leżała... A jak usiądę, to bym siedziała, siedziała, siedziała...” Lekarz się zdenerwował, że mu głowę bzdurami zawraca, i rzecze: „A jakbym panią kopnął w dupę, to pani by leciała, leciała, leciała...”. No, to uważaj, stary, żebym i ja cię tak nie kopnął.

Parsknęli zdrowym śmiechem. Kulka nawet nie kaszlnął, co wszystkich przyjemnie zaskoczyło.

– Pójdę niedługo między ludzi, zobaczycie – zapewnił.

– Ino niech cię najpierw twoja ślubna cokolwiek odkarmi, biedaku – powiedział Leszek, klepiąc go ostrożnie po wyschniętej dłoni obciążonej pergaminową skórą, przez którą prześwitywały wszystkie żyłki.

– Jeszcze się tak utuczę na kiełbasach i kotletach, że mnie nie poznacie. Żal wam ściśnie tyłki, boście wszyscy tak samo chudzi – odgryzł.

– Bo to władza da człowiekowi nabrać ciała? – westchnęła Boguśka. – Za wszystkim trzeba odstać swoje w kolejce.

– Albo sobie zasłużyć własną krwią – wtrącił rezolutnie Kulka. – Bo jak klient w sklepie mięsnym prosi o kilogram kaszanki, to zaraz ekspedientka dopytuje: „A krew pan oddał?”. „Oddałem”, mówi głodny chłopina. „Dobra, to przynieś pan kaszy”.

– Jaśku! – Krystyna udała oburzenie.

Aż żal było go opuszczać, gdy wciąż stroił sobie żarty, ale w końcu krewni zaczęli zbierać się do wyjścia.

*

Następnego dnia Krysia wstała radosna niczym skowronek. W mieszkaniu panował spokój. Ewa i Janek wciąż jeszcze spali. Przygotowała śniadanie dla rodziny. Cichutko jak myszka krzątała się po kuchni, gotując kaszę mannę. Na trawniku przed blokiem krakały wrony, bijąc się o kawałki chleba, które ktoś rzucił im przez okno. Słysząc je było mimo uszczelnionych futryn, taki robiły hałas.

Pani domu oderwała wzrok od perkocącego garnka. Zakręciła gaz, oplukala nad zlewozmywakiem łyżkę. Przetarła nieduży blat kuchennego stolika. Rozejrzała się po starannie wysprzątany pomieszczeniu, lecz nie miała już nic więcej do zrobienia.

Było jeszcze zbyt wcześnie, aby zrywać córkę do szkoły. Postanowiła więc zajrzeć do Janka. Nie zamierzała go budzić. Pokrzepiający sen był mu bardzo potrzebny. Tej nocy mąż spał wyjątkowo spokojnie. Pokaszlał trochę przed północą, a potem już nic nie słyszała. Nie rzeził, nie wołał o podanie wody ani o pomoc w dotarciu do toalety.

Leżał na wznak z lekko rozchylonymi wargami, które układały się w delikatny uśmiech. Z kącika ust wypłynęło mu w nocy trochę krwi. Łączyła brunatną, zakrzepłą pręgą jego twarz z poszewką poduszki – widać była to pozostałość po wcześniejszym ataku kaszlu. Oczy miał zamknięte, a twarz wyjątkowo rozluźnioną.

Nareszcie nic go nie boli – pomyślała z ulgą.

Podeszła bliżej, aby zapiąć rozchełstaną górę od piżamy i otulić go starannie kołdrą. Ostatnio często narzekał, że mu zimno, a grzejniki nie dawały zbyt wiele ciepła. Pogłaskała męża po szorstkim od zarostu policzku. Zdziwił ją chłód jego skóry.

– Jasiu, zmarzłeś? – zapytała.

Chciała podciągnąć okrycie. Nagle uświadomiła sobie, że on się nie porusza. Ze zgrozą spoglądała na zastygłe powieki i zapadnięte policzki. Delikatnie trąciła go w rękę, aby sprawdzić, czy się ocknie, lecz nawet nie drgnął.

– Jasiu? A powiedzże coś do mnie – błagała desperacko. – Jasiu!

Z jękiem osunęła się na dywanik rozłożony przed tapczanem. Przyłożyła głowę do piersi męża.

Nie dobiegały z niej ani szmer oddechu, ani bicie serca.

– Jasiu... Jasińku mój kochany! Czemuś mnie opuścił?! – zapłakała żałośnie.



Wyjątkowo gorący grudzień

Od kilku dni ludzie plotkowali o tym, że ma nastąpić znaczna podwyżka cen, a nawet wymiana pieniędzy. Wiele osób wciąż miało w pamięci, jak rząd okradł swoich obywateli przed dwudziestoma laty. Mieszkańcy Nowej Huty drżeli z obawy przed powtórką tamtych wydarzeń. Rzucili się więc masowo do sklepów, wykupując, co tylko było możliwe: cukier, masło, wyroby mięsne i alkohol. Krążyli pomiędzy bankiem PKO a sklepami. Jedni podejmowali gotówkę, aby opłacić nią zakup zapasów, inni czym prędzej zakładali książeczki PKO w nadziei, że lokaty będą na nich bezpieczne. Wszak w pięćdziesiątym roku najwięcej stracili ci, co trzymali oszczędności w domach.

Jak na złość w oddziale Narodowego Banku Polskiego odmówiono wypłaty pieniędzy, które miały zostać przeznaczone na premie za efektywność eksportu dla pracowników umysłowych i fizycznych kombinatu. Pomiędzy robotnikami szybko rozlała się fala niezadowolenia, a plotki o spodziewanym oszustwie rządu przybrały na sile.

W końcu, aby uspokoić ludzi i zapobiec strajkom, uchylona została decyzja o wstrzymaniu wypłat.

Cóż z tego, skoro następny poranek przyniósł znaczne podwyżki cen. Polska Agencja Prasowa podała informację o ich regulacji. Sam towarzysz Gomułka wypowiedział się na antenie telewizyjnej, tuż po wydaniu *Dziennika*, na temat uchwały Rady Ministrów. Zgodnie z przewidywaniami ludzi, najbardziej podrożały: mięso, mąka oraz ryby. Dla równowagi rząd łaskawie obniżył ceny dóbr użytkowych takich jak pralki, lodówki czy odbiorniki telewizyjne. Jako przyczynę wprowadzonych zmian podano nieurodzaje oraz powodzie, które nawiedziły kraj w ostatnich trzech latach.

– Oj, podły losie, jak żyć? – lamentowała Kazimiera. Prócz Leszka miała w domu do nakarmienia czterech wiecznie głodnych chłopaków. – Toć ja was nie wyżywię!

– Oto ten twój rząd ukochany, co tak w niego wierzysz! – burknął ślubny. – Przed Bożym Narodzeniem sprawili ludziom niespodziankę. Mięsa już nie zjesz, bo drogie, ale możesz sobie za to kupić więcej rajstop albo nożyków do golenia.

Żona spojrzała na niego krzywo, a on niezrażony zaczął się natrzasać:

– Masz teraz do wyboru: albo się powieszisz na rajtkach, albo sobie podetniesz żyły.

– Głupiś! – fuknęła.

Wyjątkowo zabrakło jej argumentów na obronę rządu i partii.

– Za Lenina strzelanina, za Stalina dyscyplina, za Bieruta Nowa Huta, a za Gomułki puste półki

– dogryzł na ostatek żartem, który najczęściej można było słyszeć w długich kolejkach ustawiających się przed sklepami.

*

Nad podwyżką cen lamentował także Bronek.

– Jak jeszcze świętej pamięci Janek pracował, to mi mówił, że jego dieta wynosi osiemnaście złotych. Od dwudziestu lat sukinsyny nie podnieśli mu stawki. Kogo więc stać, żeby płacić za kilo mięsa nawet i po stówie? Tylko te partyjne i rządowe pierdziochy mogą sobie na to pozwolić! My, robotnicy, na pewno nie!

– Ano nie. Podwyżki zawsze najbardziej uderzają po kieszeni biedaków. Czymże ja mam teraz was wyżywić? Telewizorami? – przejęła się Bogusia, która zarabiała niewiele, a napracować musiała się co niemiara. – Jeszcze tylko tego brakuje, żeby podnieśli nam opłaty za czynsz i centralne ogrzewanie, bo i o tym ostatnio ludzie gadają.

– Dzięki rządowi Gomułki margaryna do bułki. – Bronek powtórzył hasło, które od rana krążyło wśród jego kolegów. – Ponoć na górze przymierzają się do jakichś zmian. Mogliby w końcu rozpieprzyć w cholerę rząd i zdjęć Cyrankiewicza z funkcji premiera.

– Jak jechałam czwórka, to jakiś człowiek tak się denerwował, że w całym tramwaju było go słycać. Powiedział, że Gomułka powinien przyjść do pracy na jego miejsce i zobaczyć, jak mu się wiedzie.

– Wszystkim teraz ciężko. A rząd już całkiem oderwany jest od rzeczywistości. Jakie oni tam, w stolicy, mają pojęcie o codziennym życiu robotnika? O tym trudzie i znoju za psie pieniądze? Ponoć obiecują najuboższym po dwadzieścia złotych dodatku do pensji. A ja się pytam, na co to ma wystarczyć?

– Będzie krucho, Broniś. Wszak po tych podwyżkach przydałoby się jakieś pięćset złotych miesięcznie więcej na samo jedzenie. A co będzie, jak podrożeją opłaty?

– Pójdę po podwyżkę do przełożonego. Albo niech mi co dołoży, albo niech podniesie kategorię zaszerogowania. Po tylu latach coś mi się w końcu należy.

– Myślisz, że to coś da?

– Może da, może nie da. Ale jak się zaczną upominać więcej ludzi, to będą musieli coś z tym zrobić. Pogadam z kolegami z wydziału, napuszczę ich, aby też walczyli o swoje.

*

O ile starsi członkowie rodziny załamywali ręce nad niedolą związaną z podwyżkami cen, to młodszy – gorąckrwiści i zbuntowani, postanowili dobitnie okazać swoje niezadowolenie.

Nocą dwunastego grudnia Wiesław wyciągnął z domu Karola. Towarzyszyła mu kobieta ubrana w ciepłą kurtkę z kapturem nasuniętym mocno na twarz. Razem pobiegli na miasto. Po drodze złapali jeszcze Jane.

– Dokąd lecimy? – zapytał Pawłowski.

– Pod budynek Dzielnicowej Rady Narodowej – zaszemrał obco brzmiący dziewczęcy głos.

Trochę to zdziwiło chłopaka, ponieważ wcześniej wydawało mu się, że Kalita przyszedł z Łucją. Nic jednak nie powiedział, nie lubił wtrącać się w cudze sprawy. Liczył na to, że prędzej czy później krewny sam mu wyjaśni, czemu szwenda się po mieście z obcą dziewczyną. Nie chciał, aby się okazało, że Wiesiek zdradza żonę. Pomyślał jednak, że gdyby rzeczywiście miał coś na sumieniu, zapewne kryłby się z tym przed bliskimi.

– Trzeba zostawić list naszej władzy – uzupełnił jej słowa Kalita. – Miłosny. By władza

wiedziała, że kochamy ją równie mocno jak ona nas.

– Fantastycznie. – Odpowiedź usatysfakcjonowała Pawłowskiego, który już nie raz miał przyjemność zaznania miłości ze strony Milicji Obywatelskiej.

Drżąc z zimna, przekradli się pod budynek.

– Kto będzie pisał? – spytał Becker.

– A kto zrobi to najstaranniej?

– Nie ma czasu na wyliczanki. Wiesiek, dawaj krede – rozkazała dziewczyna. – Wy – wskazała dwóch chłopaków – rozejdziecie się w przeciwne strony i staniecie na czatach. Jeden tam, drugi za winklem. Ty – wyciągnęła palec do Pawłowskiego – masz stać za moimi plecami i patrzeć, czy pały nie nadchodzą stamtąd. – Machnęła ręką dla oznaczenia kierunku.

Podczas gdy młodzi mężczyźni obserwowali otoczenie, ona wysmarowała kredą napis na murze. Solidnej wielkości litery miały głosić przechodniom: „Gomułka zdrajca Narodu!”[18].

– Skończyłam! Zwijamy się – poinformowała szeptem.

Stojący bliżej Kalita gwizdnął cicho na Beckera.

– Powinniśmy się rozdzielić – zarządził.

– Słusznie – stwierdziła dziewczyna. – My lecimy w stronę Centrum. – Pociągnęła za sobą Karola.

– Dobra, a my tam. – Kalita wskazał osiedle po przeciwnej stronie ulicy. – Jakby co, jutro widzimy się u mnie.

– Jasne!

Karol i nieznajoma czym prędzej pobiegli wzdłuż alei Rewolucji Październikowej[19]. Starając się przemieszczać jak najciszej, wpadli w pierwszą z brzegu bramę.

Przez chwilę odpoczywali, łapiąc oddech. Z ich ust unosiły się kłębuszki pary.

Dziewczyna wychyliła głowę.

– O matko! Aleśmy mieli szczęście! – oznajmiła. – Pały już tam są. Podziwiają moje dzieło – zachichotała.

Karol ostrożnie wyjrzał na ulicę. Rzeczywiście na miejscu już pojawili się wszędobylscy funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej.

– Pewnie do rana usuną napis – zmartwiła się buntowniczka.

– Nie szkodzi. Mają obowiązek sporządzenia notatki służbowej, więc i tak będą musieli donieść o tym komu trzeba – stwierdził chłopak. A potem uprzytomnił sobie, że nawet nie wie, z kim wyrwał się na nocną akcję.

Spoglądał w mroku na stojącą obok dziewczynę. Chyba była niebrzydka. Na pewno dość wysoka i szczupła. Gdy zrzuciła z głowy kaptur, dostrzegł wystające spod czapki włosy obcięte na pazia i wywijające się lekko na policzki.

– A tak przy okazji: Karol Pawłowski. – Wyciągnął rękę.

– Gabriela Łyko.

Mocno i po męsku uściśnęła jego dłoń.

*

Krysia psioczyła na czym świat stoi, bowiem trzynastego grudnia musiała uwijać się przy pracach związanych ze zmianą cen towarów. Nie potrafiła skupić się na wykonywanym zajęciu, a w sklepie był przecież huk roboty. No i na wszystko należało bardzo uważać.

Przed zaledwie trzema tygodniami pochowała męża i nie mogła uporać się z niczym. Najchętniej wzięłaby długi urlop. Bez konieczności porannego wstawania i udawania przed całym światem, że jakoś sobie radzi. Gdy była w domu, całe dni mijały jej na wylewaniu przynoszących ulgę łez, uzalaniu się nad niedolą i rozpamiętywaniu przeszłości.

– Tak młodo odszedł, mój Boże! Mógł jeszcze pożyć, chudzina. Był bardzo dobrym mężem. O lepszym nie mogłabym nawet pomarzyć. Co mi tam Wawrzek, nadęty sztywniak? Co mi Bartek, podły drań i ancyrkryś? Co mi Nikos, zakłamana szuja? – wyliczała mężczyzn, z którymi niegdyś porównywała swego Jasieczka.

Teraz żałowała każdej kłótni. Pragnęła zapomnieć o wszystkich złych chwilach, z których większość zawdzięczała jej podłościom. Wspominała, jak ją zauroczył swoimi bujnymi lokami, gdy przyjechała pierwszy raz w życiu do Nowej Huty, by wziąć udział w pogrzebie Haliny. Wtedy wszystko jej się w nim spodobało, nawet ta charakterystyczna szczerba pomiędzy zębami, przez którą czasami pogwizdywał.

Brakowało jej mężowskich żartów, tkliwych chwil, a nawet tego chyrlania, które wciąż dobiegało zza ściany.

W tym samym czasie Ewa siadywała w pustym pokoju, gdzie jeszcze niedawno słychać było kaszel i rwący się oddech ojca. Przytulała buzię do jego ulubionego swetra i tęskniła tak, jak tylko może tęsknić osierocone dziecko.

Ona też wspominała nieboszczyka. Pamiętała każdy detal jego twarzy. Odkąd sięgała pamięcią, uwielbiała włożyć mu na kolana. Odwracała się do tatki, a następnie wodziła paluszkami po jego czole, policzkach i brodzie. Znała każde zagłębienie, bruzdę, każdą wypukłość. Dotykała nieładnej szramy na uchu i upewniała się, że to go już nie boli. Dopytywała o pochodzenie tej pamiątki z przeszłości, a on zwykle stroił sobie żarty, że stoczył batalię z piratami, gdy chcieli mu ją uprowadzić. Albo że pokonał strasznego zbója o okropnej czerwonej gębie. Albo potwora, którego wcześniej wypędził spod jej tapczanu. Cieszyła się wtedy, że ma takiego dzielnego tatkę, a on odpowiadał, że każdy ojciec równie pilnie strzeże swej małej królowy.

Zawsze gdy przypominała sobie te słowa, po jej twarzy spływał strumień łez.

– Kto mnie teraz obroni przed potworami? – szeptała, głaszcząc pieszczotliwie skosmacony rękaw jego swetra.

Ciężko było Ewie i Krystynie, a każda cierpiała inaczej i w samotności.

Czasami matka przypominała sobie o dziecku, które cichutko jak myszka przemykało po mieszkaniu. Pograżona we własnej żałobie, nie potrafiła pocieszyć córki.

Och... Gdybyś choć trochę była podobna do Janka – wzdychała, spoglądając na dziewczynkę.

A potem nachodziła ją przygnębiająca myśl, że ta mała nie ma prawa przypominać zmarłego. Wszak nie była krwią z krwi i kością z kości.

*

– Słyszeliście, że na Rynku Głównym spalił się jakiś student?

Julia podniosła głowę znad deski do prasowania. Wawrzyniec odłożył gazetę. Obydwoje spojrzeli na syna, który już od dawna prawie w ogóle z nimi nie rozmawiał, a teraz nagle zakomunikował coś tak makabrycznego.

– Jak to? O niczym nie wiem – odparł ojciec.

– Gadali u nas na uczelni, że zrobił to w proteście przeciwko podwyżce cen.

– Zgroza, co się na tym świecie wyrabia. – Matka załamała ręce i zaraz ścisnęła ją troska o własne dzieci. Przecież gdyby Karol zrobił coś takiego, to chyba serce pękłoby jej z żalu.

– Ludzie różne rzeczy opowiadają, ale w to jestem skłonny uwierzyć. – Wawrzyniec zmarszczył czoło. Od kilku dni robotnicy bombardowali zarząd podaniami o podniesienie płacy lub zmianę kategorii zaszeregowania. Chodziły też słuchy, że przymierzają się do protestów. Po dzielnicy krążyły ulotki, a na jednej z bram wjazdowych kombinatu ktoś namalował słowo „strajk”. – Huta przygotowuje się na zamieszki. Wzmocnili straż przemysłową. Dyrektorom wstrzymali wyjazdy służbowe, a osobom postronnym wstęp na teren zakładu. Koniec z wycieczkami.

– Oblężenie – stwierdził Karol.
– Niemalże – odparła Julia. – U nas też wszystkie nieobecności są teraz bardzo skrupulatnie odnotowywane, ale na razie nie ma większych przerw w pracy.
– Władzom udaje się jakoś panować nad sytuacją w Nowej Hucie. Gorzej w innych częściach kraju. Wiem z Radia Wolna Europa – Wawrzek zniżył głos do szeptu – że na Pomorzu doszło do starć. Jest wielu rannych.
– Słuchasz Wolnej Europy? – zdumiał się syn.
– A co w tym dziwnego? Byłem wczoraj z Bronkiem u Heńka i razem żeśmy posłuchali. Człowiek musi wiedzieć, co się dzieje, bo nasze rodzime rozgłośnie i telewizja kłamią.
– Ta... Cyrankiewicz wymądrzał się ostatnio na temat „chuligańskich wybryków”. Ładne określenie – zakpił syn. – A potem głądził, z Bożej łaski ekonomista, o tym, że regulacja cen potrzebna była, żeby kraj zachował stabilność ekonomiczną. A przecież to on i jego banda są odpowiedzialni za naszą niedolę. Prowadzą nas na krawędź upadku.
– Szkoda, że Janek nie żyje. On umiałby to trafnie zripostować.
– A to ja go wam godnie zastąpię – oświadczyła Julia – bo ostatnio zasłyszałam coś interesującego. Ponoć w jednym z przemówień Gomułka powiedział: „Staliśmy nad przepaścią, ale zrobiliśmy krok do przodu!”
– Kochanie. – Wawrzyniec roześmiał się hałaśliwie. – A wiesz, że to nie jest żaden kawał, tylko prawda?
– Żartujesz sobie ze mnie?
– Gdzieżbym śmiał. Ten gamoń faktycznie powiedział coś w tym stylu.
Przez moment znowu byli taką samą rodziną jak jeszcze pół roku temu, lecz już po chwili czar prysł. Syn ponownie spochmurniał. Odsunął krzesło, rzucił coś o pracy zaliczeniowej i odszedł do swojego pokoju.
– Mamusiu, a dlaczego Karol prawie się do nas nie odzywa? – spytała zafrasowana Marta.
– No właśnie – wtrąciła się zaraz Zocha, która już nie raz poruszała ten temat. Jak do tej pory ani rodzice, ani brat nie chcieli jej tego wyjaśnić. – To z powodu tej narzeczonej, cośmy jej nie poznały?
Wawrzyniec i Julia spojrzeli po sobie.
– Przykro nam, że tak to wszystko wygląda – powiedział spokojnie mężczyzna. – Wolałbym jednak, żebyście zajęły się nauką, a nie sprawami dorosłych.
– No jasne! – fuknęła starsza córka. – Bo jesteśmy za smarkate i nam nic nie trzeba wyjaśniać! Ja się tak nie bawię – dodała z naburmuszoną miną.
– Ależ oczywiście! Bo już jesteś za duża na dziecinne zabawy – zakpił ojciec. – Zastanawiam się tylko, kto wczoraj lepił bałwana na skwerze. Bo raczej nikt dorosły. – Puścił oko do Zośki.
– Mamo! – Dziewczynka odwróciła się do Julii. – Tato znowu mi dokucza! I nie chce powiedzieć, czemu Karol wciąż jest taki nadęty.
– Nikt ci nie dokucza. Tato ma rację. I cokolwiek go gnębi, nie jest to temat do dyskusji. Karol jest już dorosły, więc nie oczekuj, że będzie ci o wszystkim opowiadał.
W gębi duszy ubolewała nad tym, że syn przeniósł swoją niechęć również na młodsze siostry. Prawie z nimi nie rozmawiał. Zdawkowo odpowiadał, gdy go zaczepiały. Martę traktował nieco łagodniej, ale do niej zawsze miał większą słabość.
Dobry Boże, kiedy to się skończy? – westchnęła.
Do tej pory wszelkie próby podejmowania rozmów z synem kończyły się fiaskiem. Nie sprzeczekali się, ale na nagabywania rodziców odpowiadał grzecznie, lecz zdawkowo. Bez złości, ale i bez cienia uśmiechu. Służbowo. Bezdusznie.

W środę młodzież postanowiła po raz kolejny wziąć sprawy narodu w swoje ręce. Z ust do ust rozeszły się nawoływania, aby zmanifestować niezadowolenie na Rynku Głównym. Pawłowski i Kalita szybko skrzyknęli kogo tylko mogli i całą gromadą pojechali do Krakowa.

– Cześć, chłopaki! – Na przystanku Karola dźgnął w uszy damski głos, który w pierwszej chwili wydał mu się znajomy.

Mężczyzna odwrócił się i zobaczył wysoką szatynkę o modnie obciętych włosach wystających spod ciepłej, futrzanej czapki. Przez chwilę patrzył na nią badawczo: twarz niby już wcześniej widział, ale nie był pewien gdzie.

– Skąd my...

– Nie pamiętasz, jak żeś mnie zasłaniał, gdy pisałam pozdrowienia dla władzy? Krótka jest twoja pamięć, kolego!

– A... Ach! Gabrysia! – W gruncie rzeczy ucieszył się na jej widok. – Przepraszam, nie poznałem cię. Ciemno było. Zawsze pojawiaasz się w centrum akcji? – zagadnął.

– Obowiązkowo! Wszak walczę o moją przyszłość. Nie róbmy nic, to nie zmieni się nic – dodała zadziornie.

Ramię w ramię ruszyli na Rynek. Tam wrzało jak w czarcim kotle. Grupy studentów ścierały się z milicjantami, wykrzykując hasła, które mundurowi próbowali zagłuszyć własnymi nawoływaniami przez megafony. Przybysze nie zdążyli jeszcze dobrze rozeznac się w sytuacji, gdy porwał ich tłum. Nagle poczuli gaz łzawiący, a na ich ramiona i plecy opadły uderzenia twardych, gumowych pałek.

– Wiejemy! Szybko! – rozkazał Karol, łapiąc dziewczynę za rękę.

Z trudem przedzierał się pomiędzy pozostałymi uczestnikami demonstracji przemieszany z oddziałami Milicji Obywatelskiej. Na największym placu Krakowa rozgrywała się bezpardonowa walka. Mieli wrażenie, że zewsząd otaczają ich nieprzyjemne opary.

– Jasny gwint! Znowu nas inhalują – jęknął chłopak, powstrzymując się od tarcia oczu, by nie pogarszać sytuacji.

– Damy radę! Od tego się nie umiera – krzyknęła Gabrysia.

Cywile bronili się jak mogli, zbierając kamienie i rzucając nimi w mundurowych. Ktoś próbował wyrwać pałę z rąk oprawcy.

– Rodak przeciwko rodakowi? Jak możecie, sprzedawczyki! – wrzasnął ktoś z tłumu.

Piszczwały przyparte do niebieskiej nyski studentki, gdy funkcjonariusze sprawdzali, czy nie mają przy sobie ulotek. Przy innym radiowozie kilku milicjantów okładało bez litości młodego mężczyznę. Biedak nie miał dokąd uciec, więc wył z bólu i kulił się pod kolejnymi razami. Wszystko odbywało się w szarym obłoku drażniących oparów gazu łzawiącego.

– Takie mgły unoszą się nad naszymi głowami, co mają nam wyžreć oczy i dusze! – wysapała Gabriela.

Ledwo nadązała za Karolem, który sprytnie lawirował wśród kłębiących się ludzi. Nie uniknęli kilku ciosów, lecz na razie adrenalina skutecznie uśmierzała ból. Jeszcze przyjdzie czas na oględziny i leczenie obrażeń. Na razie najważniejsze były hasła wykrzykiwane wraz ze studentami. Wyrażanie niezadowolenia. Manifestacja buntu.

W końcu młodzi ludzie zostali rozpedzeni przez milicję. Ten i ów ocierał zakrwawioną twarz. Cierpieli dotkliwie pobici. Spojówki zdawały się płonąć.

– Jutro! Jutro tutaj wrócimy! – przekazywali sobie informację.

– To jeszcze nie koniec! – krzyczała Gabrysia.

Zaimponowała Karolowi – bezdyskusyjnie. Inne jego koleżanki były wycofane, unikały przepychanek z władzą. Ta miała w sobie dziką odwagę oraz wolę walki.

Następnego dnia nie zdołali się przedrzeć na Rynek, bowiem został on zamknięty dla ruchu. Milicjanci skutecznie uniemożliwili przemarsz demonstracji. Równie brutalnie potraktowano zdeterminowanych do walki młodych ludzi osiemnastego grudnia. Znowu poszły w ruch pałki i gaz łzawiący.

*

Wśród braci studenckiej oraz robotników z Nowej Huty krążyły ulotki wzywające do strajków i demonstracji przeciwko rządowi. W najmłodszej dzielnicy miasta milicjanci znaleźli siedemdziesiąt trzy różne plakaty wymierzone we władzę ludową. Pracownicy wywiadu mieli pełne ręce roboty.

– To musieli zrobić jacyś smarkacze. Każdy paszkwil jest inny. Trochę napacykowali plakatówkami, trochę napisali na maszynie. Nie ma nic, co wyszłoby z powielaczy – komentowali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, siedząc nad zgromadzonymi materiałami w oparach gryzącego dymu z papierosów.

– Czyli faktycznie znowu rozrabiają rozwydrzone bachory albo motłoch. Gdyby brali w tym udział urzędnicy lub klechy, to pewnie zrobiliby odbitki – ocenił Zygmunt Gruca, oglądając krytycznie materiały wywrotowe.

– Znowu wyleżą na ulicę. Trzeba popsuć zabawę gnojkom. Kłopot tylko z nimi, bo potem jest płacz, że używamy pałek, gazu łzawiącego lub amunicji do uciszania dzieci – stwierdził Wołodjew, mocno zaciągając rosyjskim akcentem.

– Dzieci? Też coś! Dzieci oglądają bajki na dobranoc, potem idą grzecznie zrobić siusiu i do spania, a nie gonią po mieście – ironizował młodszy towarzysz. – To jest banda warcholów, którym się przewraca w dupach z dobrobytu. Co robimy?

– Przede wszystkim władze uczelni krakowskich mają uprzedzić gówniarzy, że każdy studencina, którego przydybiemy, zostanie wydalony. Może to trochę ostudzi zapędy smarkaterii. A żeby nie dopuścić do eskalacji, wyślemy dzieciątka do domów. Trza im zafundować wcześniejsze wakacje. Czym mniej będzie elementu wywrotowego w mieście, tym łatwiej zapanujemy nad chuligańskimi wybrykami. Jak im przykręcimy w akademikach kurki z ogrzewaniem, to szybciej jeden z drugim pojedzie do matuli, aby grzać dupę przy piecu.

*

W tym samym czasie z odległego Wybrzeża do mieszkańców Krakowa napłynęły za pośrednictwem Radia Wolna Europa zatrważające wieści: mundurowi otwarli ogień do ludzi! W rozmowach wciąż padało nazwisko młodzieńczego stoczniońca, Zbyszka Godlewskiego[20], który w czwartek został zastrzelony w pobliżu stacji kolejowej przez żołnierza Ludowego Wojska Polskiego. Jego ciało, złożone na drzwiach, ponieśli na swych ramionach ulicami miasta rozgoryczeni robotnicy.

– I do nas zaczną strzelać – szeptali między sobą zdruzgotani studenci.

Dręczyła ich bezsilność.

– Jak z nimi walczyć? Oni mają gaz łzawiący, pały i ostrą amunicję. My jedynie pięści i kamienie. Oni ryczą przez megafony, nawołując, byśmy się rozchodzili, my możemy tylko zdzierać gardła.

– A teraz biorą nas zinnem – zauważył Wiesiek, zapinając kurtkę zgrabiętymi dłońmi.

Siedzieli w nieogrzanym pokoju, dygocąc. Grzejniki były lodowate. Oddechy wypływały z ust i nosów kłębuszkami pary. Mieszkańcy akademika jeden po drugim decydowali się na wyjazd do domów rodzinnych na przerwę świąteczną.

– Bierz Łucję i jedźcie ze mną – zaproponował Karol, który zajrzał do Kality po zajęciach. – Rodzice na pewno was przygarną.

– Nie ma sensu zawracać im głowy. I tak wybieraliśmy się do domu. Ruszymy więc krzynekę wcześniej.

– No to koniec protestów – zmartwił się Pawłowski.

– Wszystko na to wskazuje. Znowu niewiele udało nam się osiągnąć – stwierdziła Łucja.

– Bo ja wiem? – zamyślił się Wiesiek. – W sumie zawsze jest to jakiś krok naprzód. Po raz kolejny pokazaliśmy tym nadętym bubkom z rządu, że nie godzimy się na ich durną politykę. Niech wiedzą o naszym niezadowoleniu.

Widząc, że nie namówi Kalitów na pobyt u siebie, Karol pożegnał się z nimi i wyszedł.

Godzina spędzona w akademiku wystarczyła, by przemarzył do szpiku kości. Myślał o powrocie do mieszkania i szklance gorącej herbaty z cytryną, co w rzeczy samej było marzeniem ściętej głowy, bo skąd takie dobro jak owoce cytrusowe znalazłoby się nagle w kuchni?

W tramwaju natknął się na Zbyszka Grucę. Ten pogwizdywał beztrudnie pod nosem i tryskał dobrym humorem.

– A ty coś taki uradowany? – zagadnął Karol.

– Czym tu się martwić? Laba. Koniec zająć, nareszcie człowiek trochę pożyje! – odparł radośnie kolega.

– No tak. No tak. – Pawłowski w porę przypomniał sobie wszystkie plotki, które krążyły na temat grubasa. Z nim zdecydowanie nie można było pogadać o bieżących problemach. Zresztą widać było, że za nic ma wydarzenia ostatnich dni.

– Tobie, jak widzę, humor coś nie dopisuje. Czyżby ci go coś popsuło? – zagadnął Zbyszek, mrużąc lekko powieki, gdy z uwagą spoglądał na towarzysza podróży.

Tramwaj turkotał, kołyszając się monotonnie. W wagonie panowało przyjemne ciepło. Wilgoć skraplała się na szybach. Karol zdążył się już trochę rozgrzać, więc sięgnął do szyi, by rozluźnić szalik. Udał, że nie usłyszał pytania, które właśnie padło. Wolał od razu pohamować słowa, nim powie pod wpływem impulsu coś nieprzemysłanego.

– Ponoć aresztowali Saszę – rzucił niezrażony Gruca.

– Saszę? Z jakiego powodu? – zdziwił się Karol.

– Znaleźli przy tym oberwańcu jakąś ulotkę. Dostanie mu się po tyłku – ocenił. – Zaś mu za darmo ogolą czerep. Zaoszczędzi na wizycie u fryzjera – zarechotał.

Pawłowski spojrział na niego spođe łba.

Wie o sierpniowym aresztowaniu – przeszło mu przez myśl. *Ciekawe skąd? Na pewno nie ode mnie i nie od Brywkina.* Wzmógł czujność.

Denerwował się, że mają razem do przejechania jeszcze sporo przystanków. Kusilo go, by wysiąść, ale akurat jechali obok parku przy Akademii Wychowania Fizycznego. Po co miałby wyskakiwać z ciepłego wagonu w tej dzicy? Zbywał więc Grucę półsłówkami, uważając bardzo na to, co mówi. Wciąż odnosił wrażenie, że kolega próbuje wysondować jego poglądy.

Korciło go, by wykrzyknąć w twarz tego konfidenta, co rzeczywiście myśli o tym wszystkim.

*

Dla pewności, że fala niezadowolenia nie rozleje się mocniej wśród butnych mieszkańców Nowej Huty, pracownicy Służby Bezpieczeństwa wzięli pod lupę także Kościoł. Wszak tu było źródło wielu problemów. To kler podżegał społeczeństwo przeciwko władzy!

Funkcjonariusze wmieszani między parafian przybywających na nabożeństwa do opactwa Cystersów relacjonowali później swoim przełożonym, że duchowni spokojnie przyjęli podwyżkę cen. Wyjątkowo nie nawoływali ludzi do buntu, choć potępili sprawców podpaień, grabieży i mordów w Gdańsku. Po gruntownym zbadaniu sprawy okazało się, że opat zabronił mnichom prowadzenia z wiernymi rozmów na tematy polityczne, szczególnie zaś dotyczyło to ostatnich wydarzeń.

– Uspokajają zidiociałych fanatyków religijnych – cieszyli się pracownicy bezpieki – i dobrze.

– Nawet Wyszyński siadł na dupie i zamiast judzić, wygłosił do swych owieczek kazanie, w którym nawoływał do spokoju i zaniechania rozlewu krwi.

– *Prawilno. Prawilno*[21]...

– Nie do końca – stwierdził Gruca, funkcjonariusz zajmujący przestronne lokum na osiedlu Skarpy. – Ja znalazłem wczoraj przyklejoną do drzwi wejściowych ulotkę z napisem: „Gomułka! Wróć nam ceny z czasów Bieruta!”.

– Zaraportowaliście, towarzyszu?

– A jużci!

– *Charaszo*[22]. U mnie też jakiś bezczelny gnój przylepił kartkę. – Wołodjew, jego sąsiad z klatki obok, pogmerał w kartonowej teczce leżącej na biurku i wyjął z niej napisany na maszynie paszkwil. – „Śmierć gomułkowszczyźnie – sprawcą; głodu, drożyzny, prostytutce, bezrobocia, gruźlicy, wzrostu przestępczości w Polsce!”[23] – odcyfrował z brudnego arkusza. – Podpisano: Wolny Związek Robotników Polskich.

– Iii... – skrzywił się towarzysz. – Nieskładne.

– Bo to pisał jakiś niedouczony gnojek, który zamiast zajmować się robotą, próbuje wszczynać kontrrewolucję. Ale my się im nie damy. Wyłapiemy element wywrotowy co do nogi. Sanatorium na Montelupich już czeka na kuracjuszy. Jak się jeden z drugim przeleci ścieżką zdrowia, to zaraz wróci im rozum. A powiedzcie no mi, towarzyszu, jak się spisują nasze współpracownice? – zagadnął.

Gruca, który od jakiegoś czasu kierował komórką odpowiedzialną za inwigilowanie obywateli, chrząknął z zadowoleniem. Jego projekt posługiwania się prostytutkami nieźle funkcjonował.

– Mamy parę sukcesów. Celina skutecznie pociągnęła za język parę osób. Aresztowałem jednego z kierowników wydziałowych huty i dwóch urzędników. Pierwszy jest zamieszany w podburzanie do strajków, drugi aktywnie wykorzystywał dostęp do powielacza, trzeci ochoczo pyskował na ustrój i pochwalił się słuchaniem nielegalnej radiostacji.

– *Charaszo*. A ta smarkula?

– Uczy się fachu. Na razie nie ma znaczących osiągnięć, ale pracuję nad nią. Podesłałem gówniarze parę osób, których nie rozmiękczyła jej matka. Może podziela urok młodości.

– No myślę. Bo jak nie będzie wyników, to panienka pójdzie na ulicę. Bezpieka dba o współpracowników, ale oczekuje konkretnych efektów.

Zygmunt doszedł do wniosku, że musi skłonić Bożenę do wydajniejszej pracy. Zanim uprzedzi go Wołodjew.

[18] Za: Indeks wrogich wystąpień i zdarzeń na terenie Nowej Huty od dnia 12 XII 1970 r. s. 14.

[19] Obecnie jest to aleja Generała Władysława Andersa.

[20] Osiemnastoletni pracownik Stoczni Gdyńskiej zastrzelony 17 grudnia 1970.

[21] Z rosyjskiego: правильно – prawidłowo.

[22] Z rosyjskiego: хорошо – dobrze.

[23] Autentyczna treść ulotek znalezionych na drzwiach do mieszkań członków PZPR. Źródło: <http://www.omp.org.pl/stareomp/indexff50.html?module=subjects&func=viewpage&pageid=360> pobrano 25-08-2017 r. godz. 11:37.

Rozdział 10



Jak nam dobrze!

Za oknem sypał śnieg, otulając Nową Hutę miękką puchową pierzynką. Wielkie płaty spadały bezszelestnie. Osiadały na parapecie za oknem w pokoju Karola, tworząc spory kopczyk. Młody mężczyzna raz po raz ulegał pokusie i zerkał przez szyby, na których mróz zaczynał malować wyrafinowane esy-floresy, by popatrzeć na baśniowy obrazek. Uczył się do egzaminu z chemii. Tego dnia nauka szła mu wyjątkowo dobrze, jakby w jego głowie rozbłysła żarówka oświetlająca to, czego do tej pory nie dostrzegał. A może to sielankowy widok działał nań tak relaksująco, że bez wysiłku kreślił na kartce skomplikowane wzory?

Pukanie do drzwi na moment rozproszyło jego uwagę. Za chropowatą, zmatowioną szybą dostrzegł zarys sylwetki. Po posturze rozpoznał, że to Julia.

– Wejdz, mamo.

– Co tam, synku? Czytasz? – zagadnęła.

– Tak, jutro mam zaliczenie.

– Ach, to ucz się, ucz. Skusisz się na ciepłą szarlotkę? – zapytała. – Dopiero co wyjęta z piekarnika. Zaraz wróci Wawrzek, więc pewnie wymiecie pół blachy, lepiej go uprzedzić.

Widział, ile wysiłku wkłada w to, by o zwyczajnych sprawach domowych mówić normalnym głosem. Aby udawać, że nic złego się nie wydarzyło. Nie okazywać przed nim emocji, które wciąż musiały nią targać. Wszak od wielu miesięcy niewiele ze sobą rozmawiali, wymieniając zdawkowe komunikaty. Wprawdzie w grudniu, gdy wracał do domu po nieudanych wiecach posiniaczony i sponiewierany, sytuacja uległa nieznaczącej poprawie, lecz on wciąż nie potrafił się przełamać, aby zmniejszyć dzielący ich dystans.

Kiedyś byli sobie tacy bliscy!

Nastał początek lutego. Karol nareszcie mógł odetchnąć z ulgą. Wprawdzie nie miał żadnych wieści bezpośrednio od Weroniki, gdyby jednak była w ciąży, już by o tym wiedział. Wciąż mieszkała w Piotrowicach, ale ponoć szykowała się do wyjazdu za pracą na Śląsk. Wspomniała mu o tym ciocia Dorota. A on, czerwieniąc się wtedy ze wstydu i płacząc, poprosił ją, aby miała na nią oko i by dała mu znać, jakby usłyszała coś o dziecku.

Wczoraj wyjął ze skrzynki pocztowej kopertę z Pawlic. List przeznaczony był dla wszystkich domowników, ale prócz niego była jeszcze kartka dla Karola. Z jednej strony przedstawiała widoczek z Limanowej, na odwrocie Dorota skreśliła kilka słów wyłącznie do siostrzeńca. „Powodzenia w egzaminach, studencie. Cały świat stoi przed Tobą otworem”. Tylko on rozumiał prawdziwe przesłanie, jakie płynęło z tych zdań. Ufał, że ciotka się nie myli.

Przepelniało go poczucie ulgi.

– Tak. Chętnie skosztuję szarlotki, nim ten łasuch się do niej dorwie – zażartował.

Zrobił to pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Zauważył natychmiastową zmianę na twarzy matki. Kobieta ewidentnie się rozluźniła.

Kiedy przyniosła talerzyk z ciastem, złapał ją za rękę.

– Mamo, dziękuję – powiedział, a następnie pocałował jej dłoń.

Nie chodziło mu wyłącznie o szarlotkę i Julia dobrze o tym wiedziała.

Pochyliła się nad synem siedzącym przy biurku.

– Bardzo cię kocham, wiesz o tym, prawda? – szepnęła, przytulając policzek do jego głowy. W jej oczach zamigotały łzy szczęścia. – I tak bardzo cię za wszystko przepraszam. Popeliłam błąd, za który zapłaciliśmy zdecydowanie zbyt słono.

– Mamo... Nie płacz, proszę. Już dobrze – powiedział. – Ja też bardzo cię kocham.

*

Wbrew oczekiwaniom Służby Bezpieczeństwa i podejmowanym przez funkcjonariuszy krokom, w dzielnicy wciąż utrzymywała się napięta atmosfera. Do biura безпеki z różnych źródeł spływały informacje o zajściach, z których dość głośna była napaść na jednego z sekretarzy wydziałowych huty. Jan Dybisz był postrzegany przez robotników jako człowiek, który usiłował tłamsić ruch robotniczy. Za działania wymierzone przeciw współpracownikom zrewanżowano mu się solidnym laniem, na skutek którego doznał wstrząśnienia mózgu.

Kościół katolicki nadal nawoływał do zachowania rozwagi w tych trudnych czasach, czego wyrazem był list duszpasterski napisany przez kardynałów Wyszyńskiego oraz Wojtyłę. Kapłani, prócz studzenia emocji, zwracali się w nim do wiernych z prośbą o składanie datków. Ich przeznaczeniem miała być pomoc rodzinom, które ucierpiały na skutek ostatnich zajść. Ludzie przyjęli ich apel ze zrozumieniem i spokojem.

Ostatecznie premier Jaroszewicz zdecydował, że w sklepach zostaną przywrócone ceny sprzed grudniowej regulacji. Udręczeni ludzie odetchnęli na moment z ulgą, lecz nie ufali zbytnio poczynaniom Edwarda Gierka, który zastąpił ustępującego ze stanowiska, mocno skompromitowanego w oczach narodu Gomułkę. Choć nowo obrany pierwszy sekretarz partii jawił im się jako populistą, na jego zawołanie podczas wystąpienia: „No to jak, towarzysze, pomożecie?” naród odpowiedział brawami.

– Trzeba w coś wierzyć, Julisiu – skomentował jego przemówienie Wawrzyniec, gdy żona wyraziła niedowierzanie. – Ludzie potrzebują nadziei na lepsze jutro.

– Sami musimy o to jutro zawalczyć – stwierdziła z goryczą. Pomyślała, że wystarczy tylko spojrzeć na świat z perspektywy dzieci. Dwudziestojednoletni syn dość się już naoglądał wozów bojowych na ulicach i oddziałów ZOMO okładających ludzi pałami. – Nawet Karol kilkakrotnie poczuł na własnej skórze troskę miłościwie nam panującej władzy – przypomniała mężowi.

– Wiem, kochanie. Nigdy nie zapomnimy widoku jego siniaków, gdy wrócił do domu po nieudanej próbie udziału w grudniowym wiecu.

*

Tymczasem Karolowi nie w głowie były demonstracje – przynajmniej chwilowo. W środowiskach studenckich po obniżeniu cen i zmianach na najwyższych szczeblach władzy zapanował względny spokój. A w sercu młodego mężczyzny wiosna wystrzeliła wonnymi pąkami młodych róż.

Gabrysia wypełniła jego myśli i wolny czas pomiędzy wykładami, pracą w spółdzielni Żaczek, a kuciem do egzaminów. Imponowała mu odwagą – bez dwóch zdań. Miała swoje idee i pozostawała im wierna.

Stanowiła przeciwieństwo Weroniki – choć bardzo się przed tym bronił, porównywał je na każdym kroku. Oczywiście karcił się za te porównania, ponieważ ich niestosowność była oczywista.

Jedynie, co łączyło ze sobą te dziewczyny, to brak krakowskich korzeni. Obydwie przyjechały do miasta w poszukiwaniu lepszych perspektyw. Jedna pochodziła spod Limanowej, druga z Łańcuta.

W Weronice pociągała go przede wszystkim subtelna uroda. Twarz niewinnej dziewczynki, przywodząca na myśl święte obrazki, na których anioł stróż prowadzi dzieci mroczną ścieżką. Marczykówna była zahukaną wiejską dziewczyną z poważnymi brakami w wykształceniu. Z wielką naiwnością paplała o różnych głupstwach. Na każdym kroku musiał jej służyć radą i pomocą. Choć wykazała determinację, przyjeżdżając do miasta, wciąż sprawiała wrażenie lichej jabłonki wymagającej podpory. Albo bluszczu, pnącego się po innych roślinach, który bez wsparcia zaginałby wśród wysokich traw.

Gabrysia była pewna siebie i pyskata, gdy zachodziła taka konieczność. Na ogół jednak nie miała zbyt wiele do powiedzenia i nie strzepiła języka na czczą paplaninę. Gdy już się odzywała, mówiła wyłącznie do rzeczy. Z jej słów przebijały elokwencja i odczytanie. Nic dziwnego – studiowała razem z Łucją filologię polską. Prócz intelektu odznaczała się jeszcze niesamowitą siłą. Cechowały ją przebojowość, niezłomność, bezkompromisowość i odwaga. W grudniu, gdy robili uniki przed milicyjnymi pałami, kilka z nich sięgnęło jej pleców – mimo że Karol starał się ją osłaniać. Nie płakała z tego powodu. Owszem, krzyknęła zaskoczona pierwszym bólem, ale potem mężnie zaciskała zęby.

– Ja jestem ze stali – odparła, gdy wyraził uznanie.

Czy można pokochać kobietę tak twardą?

Tak. Zakochał się w Gabrieli.

Fizycznie także różniła się znacznie od Weroniki. Była dużo wyższa, niemalże dorównywała mu wzrostem. Nie nosiła pantofli na obcasie, a i tak niebywale długie nogi smukłej dziewczynki przyciągały spojrzenia mężczyzn. Miała ciemne włosy obcięte na pazia i duże piwne oczy. Jej rysy twarzy cechowała ostrość, przywodząca na myśl Indianki z filmów o kowbojach, które oglądał jako mały chłopiec. Czasami stroił sobie z niej żarty, że wygląda jak Nszo-czi. A ona się śmiała, że nie ma tak ciemnej karnacji jak siostra Winnetou. I to też mu się w niej podobało: nie musiał tłumaczyć, skąd pomysł, aby nazywać ją czasem w taki sposób. Ona także zaczytywała się w powieściach jego ulubionego imiennika – Karola Maya.

Wszystko to, co odróżniało Gabrysię od Weroniki, pomagało mu w leczeniu serca pokiereszowanego wcześniejszymi porywami. Bo choć nie była to miłość od pierwszego ani od drugiego wejrzenia, czuł, że właśnie ta jest wyjątkowo ważna.

Z perspektywy czasu coraz częściej łapał się na rozmyślaniu o tym, że w rzeczywistości z Marczykówną na pewno by mu nie wyszło. Nawet gdyby rodzice nie wmieszali się w jego związek, to prędzej czy później rzuciłby Weronikę. Sprzeciw, jaki wyrazili, przyniósł skutek odwrotny do zamierzonego, a on zaczął wtedy maniakcko upierać się przy swojej racji. Ot, taki spóźniony bunt wobec rodziców – młodzieńcza przekora.

Przecież nie był do tego stopnia zakochany i zaślepiony, by nie dostrzegać dzielących ich różnic!

Wszak on to wszystko widział i, co tu kryć – wstydził się tego. Ileż czasu musiało zlecieć, nim zdecydował się przedstawić ją Saszy, a dużo później rodzicom? Gdy ją spotkał w Hucie, urzekło go uwielbienie, jakim został przez nią obdarzony. W jej obecności czuł się niemalże półbogiem, wyniesionym na piedestał. Weronika podziwiała w nim wszystko: wygląd, intelekt, maniery,

elokuwencję. Darzyła go miłością ślełą i bałwochwalczą. Znosiła jego – bądź co bądź – tyrańskie zapędy. Pozwalała, by poprawiał ją na każdym kroku. Po jakimś czasie mógłby odkryć, że nie mają o czym ze sobą rozmawiać.

Teraz czuł się jak ostatni drań, którego dowartościowywało pouczenie głupiutkiej gąski.

Nie wyobrażał sobie, aby to samo zachowanie uszło mu bezkarnie w stosunku do Gabrysi. Obecna dziewczyna nie potrzebowała i nie lubiła pouczeń.

Pierwsze koty za płoty – stwierdził po prostu pewnego dnia i postanowił, że oddzieli grubą kreską to, co było, od tego, co jest.

Nigdy więcej nie nawiązywał w rozmowach z rodzicami do przeszłości. Początkowy bunt i złość na kłamstwa, którymi go kiedyś raczono, ustąpiły ogromnemu szacunkowi wobec matki. Uświadomił sobie ciężar jej poświęceń i nieskończoną miłość, jaką go obdarowała, choć był owocem krzywdy. Docenił także starania człowieka, który przez ostatnie trzynaście lat był dla niego ojcem – jedynym, jakiego znał. Kochającym.

Pewnego dnia zdobył się na odwagę i przyprowadził do domu nową przyjaciółkę – tak ją na razie określił. Ciekaw był reakcji rodziny i poniekąd chciał sprawdzić, czy prawdą było to, co kiedyś powiedzieli: że zaakceptowałyby każdy jego wybór. Tym razem wszystko poszło gładko i przyjemnie. Gabrysia zawojowała ich serca, zyskała także sympatię Marty i Zośki.

Od słowa do słowa okazało się, że obydwójce mają książeczki mieszkaniowe, na które ich rodzice systematycznie wpłacają pieniądze. Mieli także złożone wnioski w wydziale kwaterunkowym, choć Gabrysia zrobiła to zaledwie rok wcześniej – po przeprowadzce do Krakowa. Mimo że zanosilo się na długie oczekiwanie na przydział, powoli zaczęli snuć wspólne plany i marzenia.

Często jeździli tramwajem w stronę najmłodszych nowohuckich osiedli. Podobały im się wieżowce na Kościuszkowskim, luźna zabudowa Kazimierzowskiego i XX-lecia PRL.

– Ach, dostać mieszkanie w tej lokalizacji – wzdychała Gabrysia. – Trochę dalej od centrum, więc i spokojniej, i ciszej. Może nawet kombinat nie pyli tutaj aż tak mocno. I jest jakoś sielankowo.

Na obrzeżach dzielnicy wciąż gospodarowali rolnicy z Czyżyn. Wypasali krowy pomiędzy blokami. Zbierali stamtąd siano dla bydła. Mieszkańcy nowych osiedli sadzili przed oknami drzewka owocowe i zakładali niewielkie ogródki. Wystawiali do wybielenia przez słońce firanki rozpięte na drewnianych ramach. Tutaj nie było słycać turkotania tramwajów i warkotu autobusów.

Czasami Karol i Gabrysia chodzili dalej, w stronę pasów startowych niegdysiejszego lotniska, czyli w miejsce, gdzie jeszcze nie tak dawno Wawrzek uczył Karola kierowania samochodem.

– Żebyś ty wiedziała, Gabrysiu, ile ja tu wykręciłem ósemek. Ile razy uczyłem się parkować przodem, tyłem i równolegle – opowiadał.

Zgodnie uznali, że mimo otaczających ich zewsząd placów budowy, znaleźli doskonałe miejsce do zabaw z dziećmi. Tutaj można byłoby puszczać latawce. Tam dalej uczyć maluchy jazdy na rowerze. A pomiędzy tymi wertepami i pobudowlanymi śmieciami fajnie byłoby bawić się w chowanego. Tylko musieliby uważać, aby nie utknąć na nierównościach.

Wiosną i wczesnym latem często urządzali sobie pikniki na obrzeżach dzielnicy. Rozkładali kraciasty koc, wyjmowali z koszyka butelki z oranżadą, paluszki i domową szarlotkę. Próbowali się uczyć z zabranych ze sobą podręczników, lecz najczęściej patrzyli w poszarzałe od zanieczyszczeń niebo, liczyli przelatujące samoloty, porównywali kształty chmur do zwierząt.

Tam całowali się i poznawali swoje ciała. Tam zapłonął dla nich ogień namiętności.

Tam poczęli nowe życie, które miało ich połączyć na zawsze.

Zamierzali wziąć ślub pod koniec sierpnia. We wrześniu planowali wyjazd w góry, a potem czekał ich kolejny rok akademicki. Wierzyli, że podołają nauce i wychowywaniu dziecka, które przyjdzie na świat w lutym.

Rozczulona Julia już obiecywała pomoc przy maleństwie.

– Ach, Wawrzus... Dasz wiarę? Będziemy dziadkami – szeptała do męża, gdy wieczorem leżeli w łóżku.

– Dziadkami? – uśmiechał się mężczyzna. – Przecież jeszcze nie dość nacieszyłem się

ojcostwem. A ty, kochanie, nie wyglądasz mi na babcię – chichotał.

– Bo ja będę nowoczesną babcią – odparła Julia, wspierając się na łokciu i spoglądając mężowi w oczy. – Nie zamierzam nosić kropisiatej chuściny przetykanej złotą nitką.

– Nie?

– Nie!

– A jeśli ja ci taką kupię?

– Nawet o tym nie myśl! Zresztą od ciebie, mój romantyczny mężu, dostawałam ładniejsze prezenty: jedwabie, perfumy i biżuterię. Nie pamiętasz już? – zagadnęła, malując palcem esy-floresy na jego klatce piersiowej.

– Ależ owszem – odparł. – Zawsze mi się podobałaś w koszuli, którą sprawiłem ci na noc poślubną. A jeszcze bardziej bez niej – stwierdził, a następnie uniósł się lekko i pchnął delikatnie żonę na poduszki. – Na samą myśl o tej koszulce coś mnie uwiera – zniżył głos do zmysłowego szeptu.

*

Matka znowu była pijana. Kręciła się po mieszkaniu, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Od czasu do czasu objęła się o sprząty. Niemalże każdy dzień wyglądał tak samo: szła do pracy, a po powrocie siadała z kieliszkiem wódki. W domu nie robiła nic, choć pamiętała o tym, żeby przynieść córce coś do jedzenia.

To Ewa zajmowała się praniem i sprzątaniem. Gotowała także jakieś proste posiłki. Ponieważ przybyło jej obowiązków, trochę opuściła się w nauce. Nie żeby aż tak bardzo, ale ostatnio nauczyciele wciąż ją karcili. Ale przecież nie mogła zostawić wszystkiego ot tak! Mama bardzo rozpaczała po śmierci tatki i z tej właśnie przyczyny spożywała tak duże ilości alkoholu. Gdyby więc córka nie ugotowała dla niej pomidorówki albo ogórkowej, gdyby nie usmażyła jajecznicy albo nie podała makaronu z serem, to żyłaby pewnie tylko czystą i klubowymi.

Ewa także tęskniła, ale na każdym kroku wszyscy powtarzali jej, że musi być dzielną dziewczynką, więc starała się, jak mogła. Sprawowała opiekę nad mamą i serce zamierało jej ze strachu ilekroć usłyszała, jak zanosi się kaszlem. Bo właśnie przez ten kaszel umarł tato. A ona nie wyobrażała sobie, że mogłaby stracić również i ją. Ciocie i wujkowie byli fajni, zwłaszcza Julia i Bronek, ale oni mieli własne dzieci i własne problemy na głowie. Była już wystarczająco duża, aby o tym wiedzieć.

Czasami, gdy szczególnie dotkliwie odczuwała smutek, a w gardle zaczynał drapać narastający szloch, włąziła do szafy trzydrzwiowej i kuliła się pod wieszakami, na których wciąż wisiały ubrania taty: podniszczony garnitur ślubny służący mu również na wiele innych okazji, jesionka, płaszcz z ortalionu, kilka par spodni oraz koszule. Mama nie pozwoliła ich zabrać, gdy kilka tygodni po pochówku przyszedł wujek Bronek z cicią Bogusią i oferowali pomoc w uporządkowaniu rzeczy zmarłego. Płakała wtedy tak rozpaczliwie, że w końcu zostawili wszystko, jak było.

Ewa z westchnieniem zamieszała zupę w garnku. Uznała, że jest już jadalna, więc wyjęła z szafki dwa talerze. Nalała dla siebie i mamy. Zniosła posiłek do pokoju. Przyniosła sztuce, postawiła na stole flakon ze świeżymi polnymi kwiatkami nazbieranymi w drodze ze szkoły. Chciała sprawić mamie przyjemność. Pamiętała, jak ją cieszyło, gdy czasami ojciec przynosił goździki, gerbery lub frezje. To było w tych starych, dobrych czasach – jeszcze przed wyniszczającą chorobą, która zabrała go na zawsze.

– Mamusiu? Obiad.

Krystyna spojrzała na córkę. Miała rozbiegany wzrok. Wokół jej twarzy zwisały smętne kosmyki dawno nie podcinanych włosów. Ewa pomyślała, że pójdzie jutro do cici Kazi i uprosi ją, aby przyszła i doprowadziła do porządku fryzurę mamy. Może wtedy mama poczuje się lepiej? Może spojrzy w lustro i własne odbicie spodoba jej się tak bardzo, że znowu zacznie o siebie dbać?

– Dziękuję, Ewuniu – odparła. – Mój ty kochany aniołku.

Pogłaskała dziewczynkę po policzku i niezgrabnie klapnęła na krzesło. Wzięła łyżkę

i skosztowała zupy. A potem zaniósła się żalonym płaczem.

– Mój ty aniołku – łkała. – Co ja bym bez ciebie zrobiła? Jak ja bym teraz żyła?

*

Ciepły letni wiatr niósł zapach ziół i leśnego powietrza. Broniek zarzucił na ramię świeżo wyklepaną kosę.

– Jak, chłopaki? Który ze mną idzie? – zagadnął Kacpra, Melchiora i Ludwika.

Chłopcy siedzieli na werandzie, kończąc śniadanie. Agnieszka już zbierała ze stołu nakrycia i krzątała się, wyręczając babcię w drobnych porannych obowiązkach.

– Ja idę, wujku! – Kacper z hukiem odstawił kubek i zerwał się na równe nogi.

Melek w ogóle nie zareagował, jakby nie usłyszał słów wuja.

Ludwik spojrzął na ojca i pokręcił głową.

– Skoczę z ciocią do biblioteki – oznajmił. – Pomogę jej przestawić półki.

Broniek dobrze wiedział, że to tylko wymówka. Regał mógł przestawić ktokolwiek – przy siedzibie PGR-u zawsze kręciło się mnóstwo osób. Syn po prostu nie przepadał za zajęciami gospodarskimi.

Szkoda – pomyślał zafrasowany. Gdyby w przyszłości pojawiła się jakaś szansa na odzyskanie gruntów, to nie miałbym ich komu zapisać. Ani Ludek, ani Karol nie garną się do roboty. Ot, miejskie wychowanie. Chłopcy nie znają innego życia, a wakacje na wsi ich tego nie nauczą. Jedynie Kacper interesuje się naszą przeszłością i tematem wywłaszczenia. Można liczyć na jego pomoc w polu. Z niego byłby może rolnik.

A potem przyszło mu do głowy, że rojenia o powrocie dawnych porządków nie mają sensu. Tyle lat już minęło, odkąd utracił ziemię!

Poszli za dom na ostatnią łąkę, której nie puścił w dzierżawę.

– Dasz mi pokosić?

– A pewnie, że ci dam – rozchmurzył się wujek. – Ucz się, chłopaku, bo jak mnie kiedyś braknie, to kto będzie pilnował porządku w obejściu, hę?

Mieli mnóstwo czasu, łąka była niewielka. Nie musieli się uwijać z pracą. Żeby było łatwiej młodemu, skosił kawałek, napominając go przy tym, by uważnie patrzył, jak poruszać kosą. Potem wcisnął ją w ręce podekscytowanego bratanka. Stał za jego plecami, skorygował ułożenie dłoni. Razem ścięli niewielki obszar.

– No, teraz ty sam – powiedział i odstąpił. – Nie spiesz się, byś se nóg nie poobcinał, ale ruchy muszą być zdecydowane i energiczne.

Pierwsze pokosy odkładał niezgrabnie. Trawa ugiwała się pod ostrzem.

– Niżej trzymaj kosisko – pouczył wuj młodego kosiarza. – Ale nie aż tak, bo ziemię będziesz siekł – parsknął śmiechem, gdy chłopak rozniósł kreci kopiec. – Z wyczuciem. O tak! Doskonale – pochwalił, gdy lepiej mu wyszło.

Powoli zbliżyli się do krawędzi łąki. Widać było różnicę między pracą wuja a bratanka, ale mimo to Broniek docenił wysiłek młodego.

– Nieźle jak na początek. Ludka próbowałem uczyć, ale on się nie nadaje – stwierdził. – A teraz spróbuj brać trochę większy zamach, żeby więcej odkładać za jednym pociągnięciem. Mniej cię wtedy praca umęczy i szybciej skończysz.

– Szczęść wam Boże, Bronku! – dobiegło ich radosne kobiece wołanie.

Mężczyzna obrócił się i zobaczył Jadwigę Dubielową z wnuczką. Przyszły, by przewrócić siano.

– Daj Boże. Jakże wasze zdrowie?

– A, dziękować Bogu, dobrze. Cosik mnie w krzyżu łupało wieczorem, ale dzisiaj jużem rześka. No tom se pomyślała, że przyjdę z Elżunią obrócić łąkę.

Szymczak pogadał chwilę z gospodynią. Kątem oka dostrzegł, że bratanek uwija się przy koszeniu, zerkając ukradkiem na pracującą tuż obok Dubielównę. Uśmiechnął się dyskretnie, widząc, jak chłopak pręży mięśnie pod jej spojrzeniami.

Ach, młodość! Dobrze byłoby znowu mieć kilkanaście lat i całe życie przed sobą – westchnął. Starzeje się już człowiek. Siwy łeb, siły nie te, a i zdrowie też ostatnio zaczyna szwankować. Może Julka ma rację, gdy nas tak goni, byśmy nie kurzyli tyle papierosów?

– Dobra młody, dość na dzisiaj! – krzyknął na bratanka, potem starannie dogasił niedopałek klubowego. – Ja już dokończę, a ty leć nad staw i ciesz się wakacjami. Weź ze sobą Agnieszkę i Martę, niech one też coś użyją.

Kacper z ociąganiem oddał wujowi kosę. Zerknął ukradkiem na Elżbietę. Ciekaw był, czy i ona przyjdzie tam później. Głupio mu było do niej zagadać przy starych.

Chłopak odszedł. Broniek splunął w garść, a następnie dziarsko zabrał się do roboty. Słońce zdążyło w międzyczasie stanąć wysoko na niebie, i teraz na jego ramiona spływał lipcowy żar. Wilgotna koszula kleiła mu się do ciała, więc ją zdjął i rzucił na miedzę. Sąsiadki uporały się już ze swoim półkiem, on jeszcze poprawiał po bratanku. Zasłuchał się w ptasi świergot i dolatujące z pastwiska porykiwanie bydła.

– Dobry Boże... jak mnie tu błogo – westchnął. – Żal będzie wracać do miasta!

Praca w gospodarstwie była znojna. Trwała nieprzerwanie od świtu do zmierzchu. Świątek piątek – bydło wymagało obrządki. A gdy nadchodziła pora żniw lub wykopki, bywało, że i przy niedzieli musiał pójść w pole. Mimo to kochał ten rodzaj zmęczenia i czuł w nim błogosławieństwo. Przy pracy śpiewały mu skowronki i słowiki. Powietrze pachniało słodko, upojnie, sielsko. Dla orzeźwienia wystarczył łyk wody zaczerpniętej ze źródła. Nawet papierosy mniej tu smakowały i nie kurzył ich tyle, co w Hucie. Był mniej znużony, spokojniejszy, sypiał smaczniej. Tu i polityka tak bardzo nie uwierała, i czas zdawał się płynąć innym tempem. Człowiek nie oglądał się nerwowo na boki, czy ktoś go nie szpieguje, nie strzyże uszami z każdym wypowiedzianym słowem.

Miejski mozół był inny: cuchnął spalinami, wyziewami kombinatu. Ogluszał hukiem maszyn, turkotał po szynach tramwajowych, tętnił nieustającym gwarem. Wysysał witalne siły, dręczył zaduchem długich bezsennych nocy.

– Dałbyś mi, dobry Boże, wrócić tu choćby na stare lata – wzdychał raz po raz, lecz bez większej nadziei, że jego los jeszcze ulegnie odmianie.

Odkąd zmarł Kulka, nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Coraz mocniej docierało do niego, że czas kurczy się zatrważająco szybko. Przecież nie tak dawno był równie młody jak Kacper. Oglądał się za ładnymi wiejskimi dziewczętami. Pobierał nauki u Kownackich, pomagał ojcu w obejściu. Modlił się o zakończenie wojny. Z nadzieją spoglądał w przyszłość. Snuł plany, cieszył się życiem. Śmierć, choć oswojona przez wojenną zawieruchę, mimo wszystko zdawała się czymś odległym i abstrakcyjnym. Nic go nie bolało, nie uwierało w boku, sen był mocny i krzepiący. Teraz każdy dzień witał a to kluciem w piersi, a to strzykaniem w barku draśniętym przez Marczyka, a to łupaniem w kościach, którego nabawił się, leżąc w bagnie, i nie zdołał do końca wyleczyć.

Często myślał o szansach, które przeszły mu koło nosa, i o utraconych już na zawsze złudzeniach. Brakowało druha, z którym mógł o wszystkim pogwarzyć i który podobnie jak on pojmował świat. Dobrze było razem narzekać na władzę, śmiać się z czarnego humoru szwagra, snuć plany obalenia nienawistnego systemu. Jeszcze do niedawna wierzyli, że wybuchnie prawdziwa rewolucja, która zmiecie ten cały chaos, jaki przyszedł ze wschodu.

Janek tego nie doczekał, to i ja pewnie nie doczekam. – Kręcił głową, zdruzgotany.

A skoro już przypomniał sobie o Kulce, to zmówił za niego „Wieczne odpoczywanie”.

Otarł pot perlący się na czole i spojrzął za siebie. Słońce odbijało promienie od szybko wędnących pokosów.

– Pięknie tu jak nigdzie indziej.

W jego oczach zakręciły się łzy.

*

W tramwaju panował ścisk. Nic dziwnego, właśnie wyszła z kombinatu pierwsza zmiana pracowników. Ludzie tłoczyli się, sprasowani do granic możliwości, wyklinając na zaduch. Dzień był upalny, jak to w sierpniu. Słońce mocno przygrzewało przez zakurzone szyby, a jak na złość nie dało się pootwierać okien. Z przodu ktoś próbował jedno uchylić, ale jakaś starsza kobieta zaczęła się denerwować, że ona nie może siedzieć na przeciagu, bo zaraz ją zawieje i będzie ją bolała głowa.

– Trza było wziąć taryfę, jakeś pani taka delikatna – burknął stojący obok robotnik.

– Taryfą to niech se pan sam jeździ! Ja jestem kombatantką wojenną! Jak żeś pan sikał w majtki, to biłam się o wolność ojczyzny!

Wywiązałyby się pewnie z tego awantura, lecz kolega zadziornego trącił go łokciem i pokręcił głową. Szepnął mu też coś na uspokojenie emocji.

Okna z tyłu wagonu miały pozacinane zamki, przy kilku z nich w ogóle brakowało uchwytów służących do otwierania. Jechali więc ludzie stłoczeni jak śledzie, ociekając potem i marząc o odrobinie ożywczego przeciagu. Z tego zmęczenia nikt więc nie zwracał specjalnej uwagi na grupkę wyrostków stojących wokół jednego z kasowników.

Melek, Kacper i kilku chłopaków wracali znad zalewu. A że im się nudziło, postanowili skrócić sobie czas podróży odkręceniem metalowego urządzenia, które według nich występowało w tramwaju w nadmiarze, a dla nich mogło być atrakcyjną zabawką. Tak się złożyło, że Melchior nigdy nie rozstawał się ze szwajcarskim szczyrykiem, który jakiś czas temu udało mu się zwinąć z kieszeni jednego pijaczka. Nożyk był fikuśny: miał cztery ostrza, korkociąg i otwieracz do butelek. Wszyscy koledzy zazdrościli mu tego cacuszka. Ostrożnie, by go nie wyszczerbić, Melek odkręcił śrubki mocujące kasownik. Kilka minut później, gdy tramwaj wtoczył się na przystanek, chłopcy opuścili wagon, zabierając ze sobą trofeum.

– He! He! He! Nikt nie zauważył! – cieszył się spryciarz.

– Ale fajowy! Pokaż! Daj obejrzeć! – posypały się od razu prośby kolegów.

– No ale po co nam ten kasownik? – zapytał rzeczowo Kacper, zastanawiając się gorączkowo, czy faktycznie nikt nic nie zauważył.

– No jak to po co? Weźmiemy do domu i będziemy sobie nim kasować bilety wstępu.

– Jakiego wstępu?

– Do ustępu! – zaśmiał się bliźniak.

– Głupis! jest! A co, jak ktoś nas zobaczył i wygada o tym na milicji? Albo naszemu staremu?

– Ja mogę go wziąć, jak wam niepotrzebny – zadeklarował zaraz jeden z kolegów.

– No już! Poczekaj! Sam sobie zapitol kasownik z tramwaju. Ten jest mój i kropka. A ty nie bądź takim nudziarzem! – burknął Melchior do brata.

– Głupis! Lepiej daj Pawłowi ten kasownik. Na co nam taki rupieć?

– Dla jaj!

– A jak go stary znajdzie?

– A co ty się boisz starego? – Bliźniak wzruszył ramionami. Odebrał od Pawła swoje trofeum i dumny niczym paw powędrował do mieszkania.

*

Niebawem miało upłynąć dwadzieścia jeden lat, odkąd Szymczakowie zamieszkali w Nowej Hucie. Często podejmowali ten temat w pogawędkach.

– Szmat czasu. Anim nawet nie myślał, że tak długo będzie to trwało. Miało być tymczasowo,

a wychodzi na to, że tutaj dokonamy żywota – stwierdził Bronek.

– Dokonacie żywota – wtrąciła z miejsca Julka – wszyscy, jak jeden mąż, jeśli nie rzucicie tych okropnych papierosów! Mało wam – potoczyła wzrokiem po rodzinie zgromadzonej w mieszkaniu Pawłowskich, gdzie odbywało się niewielkie przyjęcie weselne syna – że Janek przez nie umarł?

– Julisiu, na weselu o śmierci? – skarcił ją łagodnie Wawrzyniec. Wcześniej jednak zgasił niedopalonego carmena.

– No tak, nie powinnam – stwierdziła przejęta zachodzącymi zmianami. Wszak właśnie została teściową, a za kilka miesięcy będzie babcią.

Babcią!

Ten fakt wciąż nie mógł pomieścić się jej w głowie.

Co za nieprawdopodobny upływ czasu – myślała, spoglądając na syna ubranego w ślubny garnitur. Dopiero co było toto takie male i nieporadne. Nosiłam go na rękach, śpiewałam mu kołysanki, opowiadałam bajeczki na dobranoc. A za niedługo te same bajeczki będę opowiadała maleństwu...

Ostrożnie, by nie rozmazać makijażu, otarła łzę, która zakręciła się w kąciku jej oka.

Tymczasem Bronek wrócił do przerwane go tematu, co było rzeczą dość niezwykłą, bowiem już od dawna nic nie mówił o powrocie na ojcowiznę.

– Żebyście wiedzieli, jak mi się cknę za domem – westchnął.

– No jakże, Bronku? Przecież dopiero co żeś wrócił z Pawlic – przypomniał Leszek. – Nawet żeście razem z matulą i Dorcią jechali do miasta! Jeszcze ci mało?

– A bo mnie chodzi o to, że brak mi zajęcia, które zawsze było na gospodarce. Teraz zostały już tylko naprawy tego, co uszkodzone w obejściu. Ani człek nie wyjdzie z kosą między łany, ani nie roztlamsi w dłoni dojrzewającego zboża, by sprawdzić, jakie urodziło się ziarno. Za tym mi się tęskni, Leszku. Ja bym chętnie popracował pod błękitnym niebem, wciągnął w płuca powietrze pachnące ziołami i lasem. Chlipnąłbym wody ze źródła, które biło w zagajniku. Przesiedziałem na wsi dwa tygodnie bez bólu głowy. Ledwom tu przyjechał, a już zaczęło mnie dusić, w gardle drapie od zanieczyszczeń, a banię to mi chce rozsadzić. W powietrzu czuć tylko spaliny i pył z kombinatu – zżywieniem powtarzał swoje niedawne przemyślenia.

– I niebo zawsze szare albo żółte od dymu – dodała pani domu.

– Też sobie umyśliliście tematy na wesele – skarciła ich Bogusia. – Dajcież spokój z tymi smutkami. Trzeba się cieszyć, bo to pierwszy ślub w młodym pokoleniu. Rodzina rośnie w siłę.

– Los sprawił, że przyszło nam żyć tutaj – westchnął Bronek.

– Może kiedyś los sprawi, że wrócimy w rodzinne strony – wtrącił Wawrzek. – Choćby i na emeryturze.

– Ja i w to już nie wierzę. Komuchy nic nam nie popuszczają. – Najstarszy z Szymczaków zniżył głos do szeptu i rozejrzał się na boki. – Jak była bieda z nędzą, tak się to dalej ciągnie. Choćby człowiek urobił sobie ręce po łokcie, nic lżej mu nie będzie. Tuż po okupacji też zazналиśmy znoju. Nieraz trzeba było zakasać rękawy i samemu pójść w pole. Ale przynajmniej mieliśmy pewność, że się trud opłaci.

– Co za uparciuchy! – Bogusia przewróciła oczami i zwróciła się w stronę młodych małżonków.

– A gdzie będziecie mieszkać po ślubie? – zagadnęła.

– Namawiałim młodych, by po studiach przenieśli się do Łańcuta. Bo tam powietrze lepsze, więc dzieciaczki miałyby lepsze warunki do życia – wtrąciła pani Łyko – ale oni wolą zostać tutaj.

– Bo tutaj, mamusiu, wciąż coś ciekawego się dzieje – odparła pani młoda spowita w białą koronkę. – Na razie rodzice Karola zgodzili się nas przygarnąć A później mam nadzieję na jakiś uśmiech losu. Rodzice pozakładali nam książeczki mieszkaniowe całe wieki temu. Czekamy na przydział. Może dostaniemy go niebawem? Marzę o mieszkaniu na osiedlu Kościuszkowskim.

– Kościuszkowskim? – zdziwiła się Bogusia. – A gdzie to jest? Pierwsze słyszę!

– Ach, bo to osiedle dopiero powstaje. W tym roku zaczęto budować pierwsze bloki. Wie ciocia, gdzie jest Dwudziestolecia PRL?

– No wiem. To niemalże przy Czyżynach. Kawał świata stąd. Sam kraniec dzielnicy.

– No, to Kościuszkowskie jest jeszcze kawałtątko dalej. Ponoć tam ma powstać najdłuższy

budynek w Polsce południowej. Taki na prawie pięćset mieszkań!

– O kurczę! Ileż tam się ludzi pomieści, słyszałeś, Leszku? – Kazimiera trąciła łokciem małżonka.

– Złożyłbyś podanie do kwaterunkowego o wymianę lokalu. Z czwórką dzieci nie da się żyć w takim ścisku jak u nas – jęknęła żałośnie.

– Wawrzus, nastawże jakąś płytę – poprosiła Julia. – Jak zabawa, to zabawa. Nie psujmy młodym wesela.

Pawłowski podszedł do adapteru Bambino i pogrzebał w leżącej obok stercie płyt. Już po chwili z głośnika popłynęła radosna piosenka Trubadurów *Znamy się tylko z widzenia*.

– No, moi mili. Czas zahulać. – Bronek klasnął w dłoń. – Toć żeśmy przyszli na wesele mojego chrześniaka, a nie na stypę! Szanowna pani pozwoli. – Ukłonił się Łykowej i już po chwili porwał ją w tany.

W ślad za nim ruszył ojciec panny młodej, prowadząc pod rękę Bogusię.

– Zapraszam do zabawy. Jak nie starczy tutaj przestrzeni, to można na korytarzu lub w pokoju obok. Specjalnie go opróżniliśmy na tę okoliczność – oznajmił pan domu.

Goście zaczęli się przepychać pomiędzy ścianami a stołami ustawionymi w podkowie. Wychodzili parami na środek pomieszczenia i korytarz. Już po chwili raźnie wywijali do znanych szlagierów.

Pan domu od razu porwał w tany małżonkę.

– Ach, Julisiu – szepnął jej do ucha. – Pamiętasz, jak się pobieraliśmy? Zdawać by się mogło, że było to ledwie wczoraj.

– Pamiętam, Wawrzku. Czas tak szybko leci. Nie żałujesz, żeśmy nie mieli prawdziwego wesela: takiego z tańcami i całą celebrawą?

– Nie – stwierdził. – Mnie do szczęścia byłaś potrzebna tylko ty.

– Byłam? – podchwyciła.

– Jesteś i będziesz – oświadczył, całując ją w dłoń na przeprosiny za swe niedopowiedzenie.

– Pięknie wyglądają – westchnęła kobieta, spoglądając z zachwytem na parę młodą.

Gabrysia miała na sobie długą suknię uszytą w całości z koronki. Głowę ozdobiła mirtowym wianuszkiem ze sztucznymi białymi kwiatkami. Wyglądała subtelnie i zjawiskowo – bez zbędnych ozdób, za to ze szczęściem wymalowanym na twarzy. Postawiła jedynie na mocny makijaż, z solidnym akcentem na oczy obwiedzione grubo czarną kredką i podkreślone błyszczącym zielonym cieniem. Przykleiła sobie nawet sztuczne rzęsy, choć na co dzień ich unikała. Karol wystąpił w tradycyjnym czarnym garniturze. Na tę okazję odwiedził fryzjera, który wyrównał mu baczki i starannie podciął przydługie włosy zaczesane do tyłu na brylantynie. Choć wąsy wciąż cieszyły się wielkim powodzeniem wśród mężczyzn, pan młody nie nosił zarostu. To był ukłon w stronę matki, która nie znosiła wąsaczy.

– Owszem, ślicznie się prezentują. Ale dla mnie i tak ty zawsze jesteś najpiękniejsza – oświadczył Wawrzyniec, ogarniając czułym spojrzeniem smukłą postać żony.

– Ach, ty komplementarzu – obdarzyła go uśmiechem.

– Przehulałbym z tobą całą noc, ale wypada, żebyśmy zatańczyli z rodzicami i z chrzestnymi Gabrysi. Zrobimy odbijanego najpierw do jednych, potem do drugich – zaproponował.

*

Czy byłabym dzisiaj znaną aktorką? – zastanawiała się czasami Sabina.

Nienawidziła pracy w barze mlecznym, choć dzięki niej mogła bez większego wysiłku wykarmić rodzinę. Irytowali ją przychodzący tam ludzie. Brudzili na stołach, rozlewali zupę po podłodze, narzekali na wszystko: smak jedzenia, zbyt zimne lub gorące potrawy, opieszały personel, ceny, niedomyte sztućce. Była popychadłem, obsługującym prostaków.

Kiedyś, w innym życiu, błyszczała na scenie skąpanej w blasku reflektorów. Z widowni

spoglądali zachwyceni widzowie. Oklaskiwano jej występy, rzucono kwiaty, które lądowały u jej stóp. Może nie grywała postaci pierwszoplanowych, lecz zdążyła posmakować zaczarowanego świata, gdzie wszystko było możliwe.

Czasami chadzała na spektakle, głównie z dziećmi, gdy grano jakieś bajki. Kilka razy Julia wyciągnęła ją na sztukę dla dorosłych, fundując bilety, a Danusią i Pawełkiem zajmowała się w tym czasie Boguśka – ot, solidarność rodzinna. Sabina bała się tych przysług. Skąd mogła wiedzieć, czy nie narazi się z tego powodu esbekowi o czerwonej gębie?

Widziała wschodzące gwiazdy aktorskie.

Taki na przykład Witold Pyrkosz. Pracowali razem ładnych parę lat. Nie miał wtedy jeszcze żony. Wesół był jak mało kto. Wciąż dowcipkował. Na próbach z jego udziałem nie było mowy o nudzie. Lubiła go, nawet bardzo, ale póki żył Andrzej, nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłoby coś zająć pomiędzy nimi. Właściwie na początku nawet jej się nie podobał. Miał drobną posturę i specyficzną wesółkową twarz, pasującą idealnie do ról komediowych. Dopiero parę lat później, gdy to samo oblicze spojrzęło na nią z szarobłękitnego ekranu telewizyjnego, serce Sabiny zabiło znacznie mocniej. Grał w serialach *Stawka większa niż życie* oraz *Czterej pancerni i pies* – syn uwielbiał oglądać te filmy. Dzięki życzliwości sąsiadki, która posiadała odbiornik, nie przepuścił żadnego odcinka. Siłą rzeczy, gdy tylko Szymczakowa miała czas, chodziła na nie razem z Pawłem. Oczywiście nastolatek jak wielu chłopców w jego wieku marzył, aby być Jankiem Kosem albo przystojnym szpiegiem z Abwehry. Szymczakowej natomiast utkwiły w pamięci mniej znaczące role odgrywane przez Pyrkosza. Oczywiście widziała go także w innych produkcjach. W jej sercu pojawiał się wówczas żal. Bo ona też mogłaby wystąpić w telewizji i robić karierę na skalę krajową.

Zmarnowane życie. Zmarnowane szanse – wdychała, szorując podłogę burą szmatą owiniętą wokół miotły. *Wszystko przez tego drania z bezpieki! Co mu przeszkadzało, żebym pozostała na scenie?*

Kto wie? Może gdyby nadal tam pracowała, oczarowałaby intrygującego aktora? Za każdym razem, gdy widziała go na szklanym ekranie, jej serce mocniej biło. Choć nie był szalenie przystojny, miał w sobie coś niezwykle pociągającego. A może dlatego tak ją teraz intrygował, ponieważ w niczym nie przypominał Andrzeja, którego za wszelką cenę próbowała wyrwać ze swojej pamięci, na co nie pozwalał cholerny klan Szymczaków?

Nie lubiła się z nimi spotykać. Mężczyźni w tej rodzinie byli do siebie niemal przerażająco podobni fizycznie – jakby stanowili kopie wypuszczone przez powielacz bardzo dobrej jakości. Nawet cholerny Wawrzek, który był ponoć ich kuzynem w jakiejś dalszej linii. Kłuli ją w oczy tym podobieństwem, bo i w domu miała taką miniaturkę zmarłego męża.

Schyliła się, odmotowała szmatę z miotły. Przeplukowała ją w kuble z brudną wodą. Spojrzała krytycznie na posadzkę z lastryka.

Nic lepiej nie będzie. – Wzruszyła ramionami. *Fajrant. Trzeba wracać do dzieci.*

Obiecała córce nowe buty. Danusia miała na nią czekać na alei Róż.

Poprawiła włosy przed upstrzonym przez muchy lustrem. Spojrzała z przygnębieniem na siwiejące kosmyki, kurze łapki i bruzdy wokół ust. Miała przedwcześnie postarzałą twarz. Widać było w tych zmarszczkach źle przespane noce, zmęczenie, morze wylanych łez.

Zawiązała pod brodą nylonową chusteczkę. Zapięła jesienne palto, udając, że nie ma wyświechtanych rękawów. Przydałoby się nowe, ponieważ wyglądała w nim okropnie – pamiętało jeszcze czasy Andrzeja. Razem wybierali je w domu towarowym. Cóż, teraz ważniejsze były potrzeby dzieci. Rok szkolny dawno się zaczął, a córce brakowało butów na gimnastykę. Ubiegłoroczne pepegi miały dziurę na palcu i były zbyt ciasne.

– Nie wiesz, Basiu – zagadnęła współpracownicę – czy są w Świecie Dziecka tenisówki? Muszę kupić dla Danki. Wyrosła już z poprzednich – westchnęła ciężko. – Nie chce mi się jechać do Krakowa, wątpię, czy tam coś kupię.

– Eee... Sabciu! – Kuchta machnęła ręką. – W Krakowie ni ma czego szukać. U nas sklepy lepiej zaopatrzone. Com się nagoniła z moim Wojtkiem za chałatem, to nasze. Bryndza i nyndza. Kupiłam właśnie w Świecie Dziecka. Ale czy mieli tenisówki? Ni mom pojęcia.

– Ach, zobaczą. No to do jutra – pożegnała koleżankę i wyszła na zewnątrz.

Pogoda zrobiła się znośna. Rano mżyło, teraz na sinoszare nowohuckie niebo wyszło słońce, które usiłowało przedrzeć się przez kłęby czy to mgły, czy to zanieczyszczeń. Nadal jednak panował chłód, więc chusteczka na głowie w niczym nie zawadzała.

Kiedyś było nie do pomyślenia, by Sabina włożyła chustkę. Kpiła, że to dla starszych pań i dla wieśniaczek. Ona uznawała wyłącznie kapelusze i czapki. Teraz jej garderobą rządziły dwie dobre przyjaciółki: bieda i wygoda.

Zresztą dla kogo miała się stroić?

Witold Pyrkosz pozostawał w sferze marzeń, a inni mężczyźni już dawno przestali się za nią oglądać.

Wsiadła do tramwaju. Z braku wolnych ławek musiała zadowolić się miejscem stojącym. Zniszczoną dłonią o wysuszonej skórze i zaniedbanych paznokciach złapała zimną metalową poręcz. Przeszły ją nieprzyjemny dreszcz.

– Sabina? Sabina Szymczak? – usłyszała nagle znajomo brzmiący, kobiecy głos.

Cholera, jeszcze tylko tego mi brakowało! – zaklęła w duchu. Nie miała ochoty na żadne spotkania.

Niechętnie odwróciła głowę.

– O! Cześć, Aniela – bąknęła, widząc koleżankę z poprzedniego życia.

– Ja pierniczę! Saba, a gdzie ty się chowasz? Dziewczyno! – jazgotała piskliwie aktorka. – Słuchaj! Musimy koniecznie umówić się na kawę. No, ale mów: co u ciebie. Co porabiasz? Gdzie pracujesz? Czemuś tak nagle umknęła z teatru?

– Tak mi się jakoś wszystko skomplikowało – powiedziała wymijająco, kombinując, jak umknąć przed czujnym wzrokiem koleżanki, który pełzał po jej poszarzałej twarzy, skosmaconych włosach i bezkształtnym ubraniu.

Widziała zainteresowanie, z jakim gapiła się na nią Aniela. Zawstydzona obniżyła dłoń, którą trzymała się poręczy, i przesunęła palce tak, by atrakcyjna znajoma nie mogła zauważyć połamanych paznokci i pozadzieranых skórek.

– No, tak to czasami bywa – odparła Lurańcówna.

– A co u ciebie? Wciąż grasz w Ludowym? – zapytała od niechcenia Sabina, by nie wyjść na całkowitą niemotę.

– No tak. Jakoś nie udało mi się przenieść do Krakowa.

– A... A Pyrkosz jeszcze u was grywa? – Pomyślała, że co jej szkodzi zapytać o znaną postać.

– Oj nie. Zabrali go do filmu i chyba nawet nie mieszka już w Nowej Hucie. Chodziły słuchy, że przeniósł się do Wrocławia. Ale szkoda, bo z nim to zawsze było sto pociech!

– Tak?

– No tak! – rozwierkała się na dobre aktorka, zerkając na boki, czy ludzie w tramwaju słyszą, o czym mówi. Wszak to nie byle co taka znajomość z gwiazdą filmu. – No wyobraź sobie, że Witek to wyjątkowo rozrywkowy mężczyzna. Raz było wesele kogoś z zespołu. Nie pamiętam już, kto się z kim pobierał. Wyszła ostra zabawa: mocno zakropiona i wyjątkowo huczna. A nazajutrz o dziesiątej mieliśmy próbę. Wituś też nieźle zabalował, no i z tego powodu zasnął sobie, biedaczysko. My już się uwijamy, wszyscy przygotowani, a jego jak nie było, tak nie ma. Reżyser się denerwuje, klnie na czym świat stoi. Nawet Lidka Zamkow nie rzucała tak kurwami jak on tamtego dnia. O Lidce zaraz dokończę, bo to ciekawe – zapowiedziała, a następnie wróciła do głównego wątku: – No i wyobraź sobie, że posłał kogoś do Witka, by go obudzili i dowlekli na próbę. A ten ancymon, dasz wiarę, jak przyszedł do teatru, to na kolanach wlaź na piętro. Wciąż na klęczkach załomotał do drzwi dyrekcji. Stary wyskoczył i patrzy, a Wituś zgięty pokornie, w pierś się wali, aż dudni, i kaja się słowami: „Karać, karać, karać”. No i dodaje, że nie mógł zadzwonić, bo mu się zasnęło, i nie miał jak.

– A to żartowniś! – Sabina zdobyła się na uśmiech, choć ją ścisnęło w dołku na myśl, ile ciekawych sytuacji straciła przez te wszystkie lata poniewierki w barze.

– No, to ja ci jeszcze o Lidce opowiem – oświadczyła Aniela, wciąż niedyskretnie gapiąc się na

zaniedbaną koleżankę. – A Zamkow ty w ogóle poznałaś?

– Tę reżyserkę? Osobiście nie, ale słyszałam o niej co nieco.

– No tak – odparła Lurańcówna. – To pewnie wiesz, jak potrafi rzucać kurwami podczas prób?

– Obiło mi się o uszy. – Sabina pokiwała głową dla wzmocnienia tego słowa, choć plotki o Lidce nieszczęśliwie ją interesowały.

Jak na złość Aniela, która oceniła, że ma wystarczająco liczne gremium zaciekawionych pasażerów, postanowiła pociągnąć wątek.

– No to ci teraz powiem, że któregoś dnia inspicjentka, Ala Woźniak, nagłośniła próbę tak, żeby dyrekcja usłyszała, jak się Zamkow wyraża. No i posłuchała sobie dyrektor *Snu nocy letniej* tak poprzerzywanego kurwami Lidki, że aż uszy wędły. Przyleciała później Skuszancka i mówi do niej, że tak nie wypada, bo przecież teatr to świątynia sztuki. A Lidka na to, z całym swoim impetem: „Kurwa, jaka świątynia?”.

– O, to mój przystanek – oznajmiła Szymczakowa z ulgą.

Pożegnały się krótką obietnicą, że kiedyś pójdą razem na kawusię i ploteczki.

A już! Już się z tobą umówię! Chyba na świętego Dygdy, co go nie ma nigdy – pomyślała zajadle Sabina, opuszczając tramwaj.

Dopiero wtedy tęskniłyby za przeszłością!

Aniela spojrzała za nią politowaniem.

Ale się zapuściła! Co za upadek! Wygląda jak praczka. I gdzież ten Jędrzek miał oczy, jak brał z nią ślub?

*

Jesienią Kryśka coraz częściej opuszczała pracę z powodów związanych z gorzałką: albo była pijana, albo leczyła kaca. Zanieczyściła absolutnie wszystko, jedynie dla córki miała odrobinę serca. Czasami nachodziły ją wyrzuty sumienia, że kiepsko spisuje się w roli matki. Szła wtedy do szkoły na spotkanie z wychowawczynią Ewy, wysłuchiwała informacji na temat pogorszonych wyników w nauce i puszyła się z dumy, gdy dziewczynkę chwalono za frekwencję, dobre sprawowanie albo aktywność. Przez kilka dni próbowała odpytywać pociechę z zadanych lekcji i zaglądała do jej zeszytów. Pozostawała wtedy trzeźwa, ale źle to znosiła, więc potem wszystko wracało do absurdalnej normy.

Początkowo rodzina usiłowała jej pomóc wszelkimi sposobami, aby zachowała problem w sekrecie. Gdy nie docierała do pracy, Bogusia prosiła znajomych lekarzy o wypisywanie zwolnień chorobowych. Krewni perswadowali nieszczęśnicy, że nie wolno popadać w zwątpienie i wracać w nałóg, ponieważ Janek na pewno w grobie się przewraca. Przypominali o dziecku, dla którego warto żyć w trzeźwości. Wszystko na darmo!

W końcu, gdy w pracy zagrozili jej wyrzuceniem, Bogusia zdobyła się na jeszcze jeden gest. Pogadała z kilkoma lekarzami, rodzina zrobiła stosowną zrzutkę i wspólnym wysiłkiem zdołali załatwić stałą rentę dla Krystyny. Zrobili to przede wszystkim ze względu na Ewę – aby nie została bez środków do życia.

Oczywiście kto mógł, podkarmił nastolatkę. Skompletowano dla niej przybory na rok szkolny, dostała także nowe pepegi i trochę ubrań po Zosi, która rosła jak na drożdżach. Wprawdzie Julka mogła te rzeczy zostawić dla niewiele młodszej Marty, ale żal jej się zrobiło siostrzenicy.

Muszę przecież pomóc dziecku w potrzebie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy los się odwróci i my będziemy pod kreską – wzdychała ciężko Pawłowska, przekładając ubrania w szafach córek.

Na wiecznie pijaną kobietę nikt już nie był w stanie wpłynąć. Przed zabraniem dziewczynki do swego mieszkania powstrzymało Julię to, że Ewa nie miała pojęcia o adopcji sprzed kilku lat i uważała Krystynę za swoją rodzoną matkę. Bardzo ją kochała – mimo wszystko – i na pewno nie chciałaby zostawić jej na pastwę losu. Wprawdzie pewnego dnia trzeba będzie wyznać dziecku prawdę,

ale na razie było na to jeszcze zbyt wcześnie. Po co po raz kolejny przysparzać małej bólu, skoro zaledwie przed rokiem utraciła ojca? Tylko kto to zrobi, gdy nadejdzie odpowiedni czas, skoro z Krysią tak trudno nawiązać dialog?

O tym, że trzymanie takich rzeczy w sekrecie nie ma sensu, Julia zdążyła się przekonać na własnej skórze. Ale nie chciała być osobą, która wstrząśnie całym światem tej bidulki.

Kiedyś próbowała poruszyć tę kwestię w pogawędce z siostrą, ale Krystyna skoczyła jej wtedy do oczu niczym mityczna furia.

– Nie wtrącaj się w moje sprawy! Małoś mi jeszcze krwi napsuła? Mało ci, żeś mi odbiła Bartłomieja i że nieustannie mizdrzyłaś się do Janka? Teraz chcesz mi jeszcze zabrać dziecko? Moją jedyną pociechę w tym parszywym życiu!

Z tym argumentem nie było dyskusji.

Julia z bólem serca poniechała rozmów na drażliwe tematy. Wiedziała, że jeśli chce pomóc Ewie, musi to robić rozsądnie i racjonalnie, by nie wzbudzać gniewu siostry.

1973

Rozdział 11



Krocząc aleją Róż

Bezsilność Leszka wobec synowskich wybryków wciąż wzrastała.

Byli tacy nieusłuchani! Nic, tylko fiu-bździu w głowach i same głupoty! Co więcej, to już nie były drobne wyskoki, które można byłoby złożyć na karb zwyczajnych chłopięcych psot. Trzej starsi coraz częściej rozrabiali jak przystało na rasowych chuliganów.

Na przekór mi robią – wzdychał mężczyzna.

Odnosił wrażenie, że im więcej chodzi do kościoła, modli się i pokutuje, tym bardziej oni dokazują. Aż strach pomyśleć, że rośnie mu w domu czwarty rozbójnik. Tadek w wieku trzech lat potrafił wymusić na nim i na matce niemalże wszystko. Jak zaczynał wyć, to człowiek ustępował dla świętego spokoju.

Problem w tym, że z owego ustępowania nie wynikało absolutnie nic dobrego. Leszek wiedział, że gdyby po powrocie do zdrowia choć trochę przykręcił śrubę chłopakom, to być może Melchior nie wylądowałby w poprawczaku za rozbój.

– Taki wstyd! Taki wstyd! – jęczał, zwracając się bratu, gdy przyszedł do niego szukać słów pociechy. W domu bowiem nie mógł sobie znaleźć miejsca, a rozsierdzona połowica wciąż mu dogryzała, że to jego wina, bo taki z niego ojciec nieudacznik, że syna źle wychował.

– No... tego jeszcze nie było, żeby któryś Szymczak miał odsiadkę za łobuzerskie wybryki. Wprawdzie mnie i Janka też przyskrzynili za chuligaństwo, ale dobrze wiesz, że okoliczności były wtedy zgoła inne. Swoją drogą, że coś nam z prawem nie po drodze, bo często wycieramy się po posterunkach, aresztach, a nawet po kiciu. Każdy z nas miał już jakieś spotkanie jak nie z milicyjną pałką, to z panami z bezpieki.

– A toś mnie pocieszył, niech cię drzwi ścisną.

Bronek poklepał brata po ramieniu. Napelnił kieliszki żytnią i przepił do niego.

– Co poradzisz, chłopie? Jak nie ma oleju w łepetynie, to ty mu go nie nalejesz. Robiłeś co mogłeś, żeby wyprowadzić chłopaków na ludzi. Darek jest bystry, rachować dobrze potrafi. Może będzie się dalej uczył. Tadzio jeszcze mały, wszystko przed nim i przed tobą. Możesz nim rozsądnie pokierować. Z Kacpra też jest pociecha, bo chłopak nad podziw robotny. Jakbym widział Jędrka za młodu – westchnął. – Jakiśmy siedzieli razem w Pawlicach zeszłego lata, to byłem pod wrażeniem. Rwał się do wszystkiego. I do koszenia, i do naprawy płotu, i drzewo zgrabnie porąbał. Oj, byłby z niego gospodarz jak się patrzy!

– Może tak. Ale Melek idzie niestety na zatracenie. Nic, tylko bójki, kradzieże i jakieś draki. Igrał, igrał, aż się doigrał! Wstyd przyznać, że takiego głupka wyhodował.

– Nie frasuj się, człowieku. Może pobyt w zakładzie da chłopakowi do myślenia? Zrozumie swój błąd i wróci na dobrą drogę...

– Ta... Albo dopiero tam go nauczą różnych sztuczek – stwierdził zdruzgotany Leszek i wlał sobie w gardło zawartość kieliszka.

*

Dwudziestego ósmego kwietnia nad reprezentacyjną częścią Nowej Huty znowu załopotwały biało-czerwone flagi. Tym razem miały dawać oprawę niezwykle podniosłej uroczystości, jaką było odsłonięcie pomnika ku czci wodza rewolucji.

Inspiratorem do uhonorowania towarzysza Lenina był sam Władysław Gomułka, który jeszcze za swoich rządów zlecił przeprowadzenie konkursu na najlepszy projekt. Do rywalizacji zgłoszono siedemdziesiąt dwie koncepcje. Wygrał Marian Konieczny, który podczas pracy wspomagał się fotografiami przywódcy. Natchnienie miał niebywałe, bowiem nie dość, że w czasach licealnych mieszkał w tym samym mieszkaniu, które przed laty zajmował Lenin podczas dwuletniego pobytu w Krakowie[24], to jeszcze robił doktorat w Leningradzie, skąd przywiózł pośmiertną maskę Włodzimierza.

To, gdzie stanie kolos, z góry było wiadome. Wszak w całej dzielnicy nie istniało ku temu lepsze miejsce niż odchodząca od placu Centralnego aleja Róż – piękna i szeroka arteria. Od tej pory miał nią dumnie kroczyć syn bratniego narodu: z rękami założonymi do tyłu, w rozpiętym i lekko rozwianym przez podmuch wiatru płaszczu, z uniesioną głową. Pomnik ustawiono kilka dni wcześniej. Stał szczelnie przykryty wielką czerwoną płachtą.

– Nasadzili kwiatów ku przyjemności tego zbója – stwierdził z przekąsem Bronek.

Stał ramię w ramię z Leszkiem, podziwiając przymusowo ów cud niespotykany na skalę międzynarodową. Przygnano ich tutaj z kombinatu, by podobnie jak setki innych osób wzięli udział w uroczystym odsłanianiu monumentu. Obydwaj mieli powody do niezadowolenia.

– Zabrali mi trzynastkę i premie z trzech miesięcy – burknął Leszek – by sfinansować tę fanaberię.

– Jak nam wszystkim.

– A czytałeś, co wypisują w prasie?

– Czytałem, że daliśmy pieniądze z własnej woli. A przecież wydoili nas pod przymusem.

– Diabelnie mnie to uwiera. Człowiek tyra dniami i nocami, oddycha pyłem, pije ścieki, zje kanapki posmarowane kurzem, a w zamian dostaje po dupsku i okrada się go z zarobków.

Nie bez powodu lamentował. Mijały już dwa lata, odkąd wrócił do pracy w produkcji, choć nadal cierpiał z powodu nawracających bólów głowy. Nie mógł jednak w nieskończoność kapcać na bramie, gdzie zarobki były liche. Zresztą to ujma na honorze dla chłopca w sile wieku, by przyznawać się do tak nędznego zajęcia. Kazia zarabiała wtedy więcej na strzyżeniu i czesaniu!

Bracia Szymczakowie niezbyt uważnie słuchali okolicznościowych laudacji. Drepcząc w miejscu, niecierpliwie wyczekiwali końca uroczystości, która została zorganizowana z pompą niebywałą nawet jak na Nową Hutę. W odsłonięciu odlanego z brązu dzieła uczestniczył wicepremier Piotr Jaroszewicz oraz wielu partyjnych działaczy. Swoją obecnością zaszczylił ich nawet Awierkij Borisowicz Aristow, pełniący obecnie funkcję ambasadora bratniego narodu w Austrii, a jeszcze do niedawna w Polsce.

– Przez to wątpliwe cudo musieliśmy zaciskać pasa – pomstował Broniek. – A już człowiek myślał, że trochę się poprawiło. Że Gierek to ludzki pan, bo dał nam trochę odżyć. Tymczasem z własnej krwawicy i przemocą zyskaliśmy patrona wagi ciężkiej.

– Przypuszczam, że nie tylko stąd były pieniądze. Rząd pewnie też coś dołożył, by się przypochebić Ruskim.

– Popatrz, popatrz... Na to znaleźli i kasę, i materiał. A na budowę kościoła niczego nie uświadczysz. Ani złotówki nie dadzą. Ani grama stali nie popuści kombinat. Jenó kłody rzucają pod nogi.

– Nic na to nie poradzimy. My już jesteśmy za starzy na kontrrewolucję. Może nasi synowie staną kiedyś do walki o wolność?

– Oby wystarczyło im determinacji.

– Musi. Nie będą całe życie defilować w pochodach pierwszomajowych przed trybunami kacyków. Nie będą machać do nich chorągiewkami i sztucznie się uśmiechać, podczas gdy za byle bzdurę można dostać niegorsze cięgi. To się musi skończyć, Bronku.

Starszy brat uśmiechnął się, słysząc te słowa.

Nie do wiary, jak lanie, które spuścili mu przed laty partyjni towarzysze, wpłynęło na jego poglądy.

Ostatni raz spojrzeli krytycznie na dzieło i otaczające je klomby kwiatów.

– Będą miały gdzie sikać okoliczne Burki – ocenił Broniek, kiwając głową.

*

Anielski orszak niech twą duszę przyjmie,

Uniesie z ziemi ku wyżynom nieba,

A pieśń zbawionych niech ją zaprowadzi,

Aż przed oblicze Boga Najwyższego.

Organista uroczyście intonował żałobną pieśń.

Julia załkała w pogniecioną, mokrą od łez chusteczkę. Wawrzyniec delikatnie pogładził dłoń żony opartą o jego przedramię.

Śmierć Władysławy była dla nich ogromnym zaskoczeniem. Nic nie zapowiadało tego, że matula położy się wieczorem spać i zaśnie snem wiekiustym. Nie narzekała ostatnio na zdrowie, choć oczywiście cierpiała z powodu bólu w plecach, a wykonywanie prostych czynności przysparzało jej trudności. Miała jednak zdrowe serce i w pełni sprawny umysł. Upierała się nawet przy tym, aby chodzić na majówki pod kapliczkę oddaloną od domu o jakiś kilometr. Sama, ponieważ godziny pracy nie zawsze pozwalały Dorotce na to, aby jej towarzyszyć.

– Wola Boża – szeptali żałobnicy, kiwając głowami nad trumną. – Przyszedł na nią czas.

– Dość się w życiu naciępała. Wojna, utrata majątku, synowie katowani po aresztach. Sponiewierana córka. Śmierć najmłodszego syna... A i we wdowieństwie przeżyła chyba ze trzydzieści lat – szemrała Dubielowa.

– A czy innym było cośkolwiek lżej? – zapytała Maria Czopik. – Wszycim nam dożera bida z nędzą.

– Żal kobieciny. Żal. Pamiętacie, kumo, jak wspomagała biedaków na przednówku? Nie raz żem

od niej korzec zboża przyniesła albo krzynę ziemniaków, albo gnata jakiegoś na zupę.

– Poczciwa była, to prawda. Nikomu marnego słowa nie powiedziała, a w złej chwili zawsze pomogła, świeć Panie nad jej duszą.

Oczywiście Szymczakowie słyszeli, jak kumochy żałują zmarłej sąsiadki, bowiem przygłuchym babciom tylko wydawało się, że mówią po cichutku. Zgromadzeni na pogrzebie synowie i córki spoglądali po sobie i choć żałość wielka ścisła ich serca, czuli jednocześnie dumę z matki, która wiodła życie ciche, pobożne i skromne, a na ostatek dobrze zapadnie w ludzką pamięć.

Zadudniła nieprzyjemnie ziemia o wieko trumny – bębniąc w najbardziej ostatecznym odgłosie świata. Jeszcze tylko krótka modlitwa. Kilka zapalonych świeczek i kwiaty. Serca z papieru kolorowego powycinane przez wnuków, wnuczki i dwóch prawnuczek: Adriana i Marka, którym pomagała w tym zadaniu Gabriela.

Nie będzie więcej ciepła sękatych, matczyńskich dłoni. Słów pociechy, gdy były potrzebne, dobrej rady, życzliwego gestu, napomnienia w chwili, kiedy któreś z nich pobłądziło. Co z tego, że wszystkie dzieci nieboszczki miały już posiwiałe głowy i pobrużdżone twarze? Żałość po stracie była wielka i nieutulona.

*

Siedzieli w ogrodzie na stołkach wyniesionych z domu. Przed laty podobnie zgromadził ich ślub Julki i Wawrzka, lecz tego dnia nie było radosnej atmosfery, dowcipkowania i muzyki.

– Co ty poczniesz, Dorciu? – Broniek jak zawsze zatroszczył się o los bliźniaczki. Teraz on był najstarszy w rodzinie i choć od dawna troszczył się o wszystkich, jeszcze mocniej poczuł na ramionach ciężar odpowiedzialności.

– Jakoś muszę sobie poradzić – stwierdziła.

– Ale nie możesz zostać sama. Przedtem, gdy żyła matula, to miałaś choć do kogo usta otworzyć. Aa... – zająknął się, bo słowa, które chciał powiedzieć, nie mogły mu przejść przez gardło. – A może sprzedamy dom i przyjdiesz mieszkać do miasta? – zasugerował możliwość, która wydawała mu się najbardziej racjonalna, choć i najboleśniejsza. – Przecież i tak nie ma widoków, byśmy kiedykolwiek odzyskali zagrabioną ojcowiznę. Czego nie ukradł rząd w czterdziestym dziewiątym, a potem w pięćdziesiątym, to zabrały inne potrzeby: adwokaci, choroba Leszka, lekarze matusi. Choćby się władza odmieniła, nie wykupimy tego, co nam zrabowano, bo już nie mam pieniędzy. – Westchnął ciężko, zafrasowany.

– Daj spokój, Broniś! – zachnęła się bliźniaczka. – Toć stuknęło mi już czterdzieści siedem lat! Gdzie mnie tam zaczynać wszystko od nowa? Nie przesadza się starych drzew – zakończyła z goryczą, uświadamiając sobie nagle, że młodość, która dawno temu odeszła, trwała tylko przez chwilę.

– Tak być nie może, Dorcia! – zaprotestował Leszek, który zazwyczaj nie lubił mieszać się w cudze sprawy, bo dość miał własnych problemów z babą Jędzą i czterema urwisami. Jeden Kacper trochę się z tej zgrai wyrodził, bo mniej rozrabiał, a więcej czasu spędzał przy nauce.

Na co dzień synowie przysparzali mu więcej strapień, niż miał włosów na głowie. Dzisiaj, z szacunku do zmarłej, zachowywali się nad wyraz poprawnie, co zupełnie do nich nie pasowało. Leszek tylko czekał, kiedy któryś wyskoczy z jakimś błazeńskim figlem lub niestosownym komentarzem. W ich przypadku cisza była zjawiskiem niezwykłym. Wykazywali parszywy zwyczaj mieszania się w rozmowy dorosłych. Poniekąd potrafił to zrozumieć – wszak bliźniacy mieli już po siedemnaście lat i na złamanie karku gnali ku dorosłości. Szczególnie Melek, którego z racji pogrzebu puszczono z zakładu poprawczego na krótki urlop.

– Jakoś sobie poradzę, Lesiu. Wszystko jest dla mnie lepsze niżli przeprowadzka między obcych.

– Jakich obcych? – zaprotestował żywo Wawrzyniec. – Przecież byłabyś między swoimi. Powiedz słowo, a dam ci pokój u nas. Jakoś się pomieścimy – obiecał. – My z Julką pójdziemy spać do

stołowego, a tobie oddamy naszą sypialkę. A może Karol i Gabrysia dostaną w końcu upragnione M-4?

– Daliby choć M-3 – mruknęła synowa.

Chociaż dobrze jej było u teściów, nie mogła się doczekać, aby pójść na swoje. Spodziewali się bowiem trzeciego potomka. Akurat przyszedł na to dogodny czas, bo chłopcy już troszkę podrośli, a i w kraju żyło się jakby lepiej. Gierek rządził znacznie lepiej niż jego poprzednicy, sklepy miały niezłe zaopatrzenie, władza mniej gnębiła zwyczajnych obywateli, w końcu można było odetchnąć swobodniej i ludzie jakoś optymistyczniej spoglądali w przyszłość.

– Nie, kochani. Mnie nie namówicie. Tutaj się urodziłam. Tutaj mija całe moje życie. Tutaj dożyję swoich lat.

– Ja pitole, Dorota! – zdenerwował się Broniek. – Gadasz teraz jak stara baba!

– Broniś! – krzyknęła Julka, zniesmaczona tym brakiem szacunku. – Jakże ty do siostry?

– Przepraszam – powiedział zduszonym głosem i złapał się wymownie za gardło – ale jak żem to usłyszał, to aż mnie coś tutaj zaczęło uwierać! Nie możemy cię zostawić samej i basta! I nie piernicz mi o umieraniu, boś na to jeszcze za młoda!

Kazia parsknęła tłumionym na siłę śmiechem.

– A! Tu cię boli, boś jest jej bliźniakiem! Tobie nie pilno w zaświaty.

– A komu byłoby pilno? – zachnęła się Bogumiła.

– Mnie opiekuni nie są potrzebni – odparła spokojnie nagabywana, skubiąc frędzle czarnej chusty, która zwisała z jej szczupłych ramion. – Będzie jak do tej pory. Przecież zawsze ktoś z was znajdzie chwilkę, żeby tutaj zajrzeć i pomóc przy cięższych pracach w obejściu. Domu nie pozwolę sprzedać, choć on twój – zwróciła się do bliźniaka. – Siłą musiałbyś mnie stąd wyganiać, a ja i tak nazad bym wróciła. Położyłabym się nowym właścicielom jak ten pies u proga! – dodała z zaciekleścią, ponieważ dość już miała tej całej absurdałnej dyskusji.

– Matko Przenajświętsza – odezwała się milcząca dotąd Krystyna. – We łbie ci się kiełbasi!

– No macie ją: następna – zirytowała się Szymczakówna.

Julia złapała siostrę za rękę.

– Nie gniewajże się, Dorciu, my po prostu się o ciebie troszczymy.

– A ja wiem, jak temu zaradzić, żeby wilk był syty i owca cała – wtrącił naraz Kacper.

Oczy dorosłych zwróciły się ku nastolatkowi. Leszek aż poczerwieniał ze zdenerwowania, że syn nieproszony zabiera głos w rozmowie dorosłych.

– Ciebie nikt nie pyta o zdanie – syknął.

– Poczekaj, Lesiu, niechże chłopak powie, co sobie umyślił. – Julka stanęła w jego obronie.

– Ja zamieszkać z ciocią w Pawlicach. Lubię pracę w obejściu. Potrafię wiele zrobić. Na pewno na coś się przydam. Miasto nigdy mnie nie pociągało.

– Co ty bredzisz, Kacper! – wykrzyknęła Kazia. – A szkoła? Matura?

– Szkołę mogę skończyć w Limanowej. Na studia i tak żem się nie wybierała, bo to nie dla mnie. Z maturą w kieszeni bez trudu znajdę pracę w okolicy. Może naczelnik weźmie mnie na zastępcę? On już nie pierwszej młodości, pewnie będzie chciał niedługo pójść na emeryturę – mówił rozsądnie jak stary. – Przyuczylbym się. A cioci kłopotu nie sprawię i dołożę starań, żeby miała ze mnie pożytek. Jak bum cyk cyk. – Huknął pięścią w pierś, aż zadudniło.

Przez chwilę cała rodzina patrzyła na niego, jakby doznał pomieszania zmysłów.

– Ej, no co ty, Kacper! – Melchior nie wytrzymał i dał bliźniakowi sółkę w bok. – Jakże tak: na wieś chcesz iść? Na mózg upadłeś?

– Nie upadłem. Ale wiem, jak wuj Broniek frasuje się o dom i to, czego komuchy nie rozdrapały. I pamiętam też, jak nam pomagał, gdy tato leżał u sióstr. Dopilnuję ci, wujku, ojcowizny – zwrócił się poważnym tonem do najstarszego z rodu.

Broniek spoglądał na niego z zagadkową miną. Wspominał, jak bratanek chodził z nim kosić ostatnią łąkę, jak rwał się do pomocy i jak go wszystko interesowało.

– Może to nie jest głupia myśl? Nadać byś się nadał. Ino czy ojciec cię puści?

– A czemu by nie? U nas w mieszkaniu ciasno. Wciąż się o siebie potykamy. Zawsze mnie

ciągnęło do Pawlic. Chyba najwięcej ze wszystkich wysiedziałem się tutaj na wakacjach. Nie zawalę szkoły i nikomu nie sprawię kłopotu – obiecywał z zacięciem.

Dorotka domyślała się, co, a raczej kto, stoi za pełną zaangażowania deklaracją bratanka. Ilekroć bowiem Kacper przyjeżdżał, zawsze wypytywał o Dubielów. Szczególnie interesowała go ich wnuczka, Elżunia.

Swoją drogą, chłopak rzeczywiście garnął się do roboty i widać było, że odpowiada mu życie na wsi. Tylko czy ten entuzjizm nie osłabnie, gdy będzie musiał palić zimą w piecu, rąbać drewno na opał i nosić ze studni wodę do mycia?

Jakby w odpowiedzi na jej wątpliwości odezwał się Leszek:

– Moglibyśmy założyć hydrofor, żeby nie trzeba było nosić wiader ze studni. Dawno o tym myślałem. Wstyd doprawdy, żeśmy wcześniej tego nie zrobili. Z Kacpra co prawda jest niezgorszy kawał chłopca i trochę wysiłku wyszłoby mu na dobre, ale trza iść z duchem czasu.

– To znaczy, że się zgadzasz? – dopytywał zainteresowany.

– Najpierw zapytaj cicię, czy zniesie twoją obecność w swoim obejściu. Bo może i będzie z ciebie wyręka, ale i dodatkowy kłopot.

– A mnie nikt nie zapyta o zdanie? – zdenerwowała się Kazia.

Jak na komendę wszystkie oczy skierowały się teraz w jej stronę.

– No... To pytamy – powiedział rezolutnie Wawrzyniec. – Puścisz chłopaka na gospodarkę? Sama widzisz, że Kacpra tu ciągnie. Od niego wyszedł ten pomysł. Myśmy go nie namawiali.

Kobieta szybko przemyślała wszystkie za i przeciw. W końcu uznała, że po Nowym Roku syn i tak pewnie pryśnie jej z domu, ponieważ wtedy skończy osiemnaście lat.

Może to i lepiej, że chce zamieszkać w Pawlicach? Może tutaj się nie rozchuligani? W Hucie nietrudno o doborowych koleżków, takich jak ci, co pociągnęli za sobą Melchiora.

– Niech tak będzie. – Skwapliwie pokiwała głową. – O ile Dorota go przyjmie.

– To ja się zgadzam – odparła szybko Szymczakówna ku uciesze całej rodziny, ponieważ w ten sposób zapewniała sobie święty spokój, a im czyste sumienia.

*

Tego roku dzień Wszystkich Świętych wypadł w czwartek. Od lat Pawłowscy zaczęli odwiedzić grobów od wizyty na piotrowickim cmentarzu, gdzie spoczywało ciało Mariusza oraz wielu innych krewnych zarówno Wawrzyńca, jak i Julii. To z inicjatywy żony Pawłowski przełamał wewnętrzny opór i zaczął odwiedzać mogiłę ojca. Wcześniej bowiem ograniczał się do wizyty na cmentarzu Rakowickim, gdzie zapalał świeczkę na grobie matki i przy okazji odmawiał również modlitwę za dusze pozostałych zmarłych członków rodziny.

Wyjeżdżali zazwyczaj wcześniej rano, aby przy okazji zahaczyć o Pawlice, gdzie na obiedzie spotykali resztę bliskich. Po powrocie do miasta zaglądali najpierw na cmentarz Rakowicki, a następnie, wieczorem, na ten w Mogile.

Tylko jak teraz jechać na piotrowicki cmentarz, skoro przybył tam jeszcze jeden grób? Jak zasiąść przy stole, przy którym zabraknie matuli?

*

Wyjątkowo trudny był ten dzień dla rodziny.

– Przybywa mogił, niestety – westchnęła ciężko Julia, pochylając się nad grobem szwagra, gdy dotarli już do Nowej Huty.

Zmówili modlitwę, a następnie zaczęli dalej przechodzić wąskimi alejkami. Pozostało im tylko odwiedzenie miejsce spoczynku Andrzeja.

Nie zmienili jeszcze tabliczki, którą przed laty umieścił na grobie grabarz z rozkazu bezpieki. Wciąż kłuła ich w oczy zakłamana data zgonu. Obiecywali sobie, że kiedyś, gdy przyjdą inne czasy, poprawią tę nieścisłość.

Tylko czy upragniona normalność nastanie jeszcze kiedykolwiek? Wszak Polska znajdowała się pod nieoficjalną i cichą okupacją Sowietów od blisko trzydziestu lat. Zdażyło się urodzić, dorosnąć i dojrzeć nowe pokolenie obywateli. Karmieni ideologiczną papką nie znali innego życia. Było im źle, lecz bardzo często wierzyli w propagandę sukcesu, głoszącą, że ludziom na Zachodzie jest jeszcze trudniej. Straszono ich krwio pijczymi kapitalistami, imperialistami, wyzyskiem, podatkami, niewolniczą pracą od świtu do zmierzchu, która napychała portfele spasionych niczym świnie fabrykantów.

Julia szła cmentarną alejką. Przemierzała ją już wielokrotnie. Za każdym razem z takim samym smutkiem i niedowierzaniem.

– Miał jeszcze tyle przed sobą. Mógł dokonać wielu rzeczy. Był niezwykłym człowiekiem. Szlachetnym, odważnym i wyjątkowym – mówiła do swoich córek. – Kiedyś, jak będziecie starsze, opowiem wam pełną historię jego burzliwego życia – obiecywała jak co roku.

– A nie mogłabyś teraz? – targowała się Zocha, piętnastoletnia pannica, która coraz częściej dopominała się o to, by traktować ją jak dorosłą osobę.

– Jeszcze za wcześnie, córuś. To trudne tematy – zbyła ją matka. – Może za rok, dwa.

Spojrzała w stronę skromnego nagrobka z betonu. Zauważyła, że stoi przy nim kobieta z chłopcem. Ponieważ zapadał zmrok, nie miała pewności, czy dobrze widzi, ale oceniła, że to raczej nie jest nikt z rodziny. Krysia miała znacznie szersze biodra. Kazia prawie nigdy nie odwiedzała grobów, a na Sabinę ta osoba była, zdaje się, zbyt niska i wyglądała jakoś inaczej – bardziej żwawo. Zresztą bratowa przyprowadziłaby ze sobą dwójkę dzieci. No, chyba że Danusia zachorowała. Sęk w tym, że chłopiec, który towarzyszył kobiecie odzianej w ładny i zapewne kosztowny kożuszek, był znacznie niższy od Pawła. Nie było też mowy o tym, by odwiedzający pomylili miejsce. Kobieta przed chwilą zapaliła znicz, który dzieciak postawił na płycie przykrywającej mogiłę Andrzeja. Rozmawiali o czymś ze sobą, wyglądali na matkę i syna. Twarz kobiety zasłaniał kapelusz, a jego buzia niknęła pod kapturem kurtki.

Zaciekawiona Julia podeszła energicznie. Stała obok tajemniczej pani w tym samym momencie, gdy ta obracała się, aby odejść.

– Chodź, Marcinku – przemówiła do dziecka, a jej głos był Julii aż nazbyt dobrze znajomy.

– Józia? Marcin? Co wy tutaj robicie? – zdziwiła się Pawłowska, za której plecami przystanąła rodzina.

– Dzień dobry, pani Julio. Zapaliliśmy świeczkę na grobie tatusia – oznajmił prostopojemnie chłopiec.

– O czym ty mówisz, Marcinku? – zapytała zaskoczona, a potem podniosła wzrok i dostrzegła zmieszana minę znajomej. – Józiu? Możesz mi to jakoś wyjaśnić?

Po jej twarzy widziała, że niewiele jest do wyjaśniania. Kobieta, której od dawna ciążyły niedopowiedzenia, nie wytrzymała napięcia i wyszeptła:

– Czternaście lat temu miałam romans z twoim bratem.

Julia poczuła nagłą duszność. *Zdradzał Sabinę, gdy ta była w ciąży! Nietrudno to obliczyć...* W ułamku sekundy runął mit, jaki przez lata stworzyła w swoim sercu. Na wyidealizowanym wizerunku Andrzeja pojawiła się rysa.

– Wiedziałaś, że spotykasz się z żonatym mężczyzną? – zapytała, łudząc się nadzieją, że przyjaciółka zaprzeczy.

– Przykro mi, Julio. – Józefa Korczyk zwiesiła głowę.

Przez te wszystkie lata, które minęły od śmierci Andrzeja, Julia wierzyła gorąco, że brat, poza popełnioną na Marczyku zbrodnią, nie miał sumienia obciążonego niczym więcej. Nosiła w pamięci doskonały obraz człowieka nieskazitelnego, wiernego żonie i ideałom, które przekazali im rodzice.

Niełatwo przyszło pogodzenie się z bolesną prawdą, lecz Julia krótko zastanawiała się, czy powinna robić jakiś użytek ze swojej wiedzy. Po problemach, jakie narosły wokół jej Karola, wiedziała, że nie można zatajać przed bliskimi takich sekretów. Zamiatanie sprawy pod dywan nie było najrozsądniejszym wyjściem z sytuacji. I choć wiedziała, że jej słowa zranią wiele osób, a w szczególności Sabinę, kilka dni po spotkaniu na cmentarzu udała się do bratowej.

Z Józką nie rozmawiała więcej na ten temat. Kilkuletnia przyjaźń rozsypała się w drobny mak. Koleżanka próbowała wprawdzie coś wyjaśniać, ale Pawłowska nie miała ochoty słuchać szczegółów z niechlubnej przeszłości brata.

*

– Chcesz powiedzieć, że przez tyle czasu opłakiwałam mit? – spytała zapłakana Sabina. – Tak go wszyscy gloryfikowaliście, a był zwyczajnym łajdakiem! – Ukryła w dłoniach zniszczoną twarz przedwcześnie postarzałej kobiety.

– Przykro mi. O niczym nie wiedzieliśmy. – Julia przemogła się, wyciągnęła dłoń i pogłaskała drżące szlochem plecy bratowej. – Owszem, wyidealizowaliśmy obraz Andrzeja, ale nikt nie oczekiwał, że pozostaniesz wierna jego pamięci. Nie pamiętasz, jak mówiliśmy ci, że powinnaś na nowo ułożyć sobie życie? Dla własnego dobra i dla dzieciaków, które potrzebują ojca.

Wdowa pokręciła głową. Bezskutecznie usiłowała otrzeć napływające do oczu łzy.

– Nie mogłabym. Ale nie z uwagi na Jędrka, bo tę śmierć już dawno przebolełam – przyznała rozbijając szczerze. – Przez wiele lat zastraszał mnie taki straszny człowiek z bezpieki. Groził mi, że mam siedzieć cicho na dupie i nie wychylać się, bo inaczej również dzieci będą odwiedzać na cmentarzu. Kiedyś umówił się na randkę. Odwiedził mnie, gdy wróciłam do domu. Dał mi w twarz i powiedział, żebym się nie paliła do powtórnego zamążpójścia. Powiedział... Powiedział, że jak potrzebuję chłopca, to przyśle kogoś, kto mi... No wiesz... – urwała. – Chyba myślał, że mogłabym zdradzić potencjalnemu narzeczonemu prawdę o tym, co stało się z moim mężem. Nękał mnie bardzo długo. Ostatnio przestał. Może dlatego, że jestem już zbyt stara i sponiewierana, by szukać przygód – mówiła cicho, ze smutkiem. – Zresztą za kogo miałabym wyjść? Za jakiegoś durnia, z którym nie miałabym o czym rozmawiać? Spójrz na mnie, Julka! Kto by mnie zechciał taką brzydką i zapuszczoną? Pewnie tylko jakiś prostak, któremu byłoby wszystko jedno.

– Nie mów tak, Sabciu!

– Ale tak jest. Zobacz, jaka jestem stara! Ty wciąż patrzysz w lustrze na swoje rumiane policzki i masz dziewczęcą figurę. Przykrywasz siwe włosy farbą. Nosisz modne sukienki. Ja nie mam pieniędzy na zbytki. Smutki zajadam pierogami, od których urosła mi dupa i sadło na brzuchu. Ach! Po co mi o tym wszystkim powiedziałaś? – Zaczęła rozpaczliwie szlochać. – Przez te wszystkie lata pielęgnowałam w sercu najpiękniejsze wspomnienia i myślałam wyłącznie o tym, że byłam dla niego jedyna. Że kochał tylko mnie i świata poza mną nie widział!

– Skarbie... Musiałam ci powiedzieć – odparła łagodnym tonem.

– Dlaczego? Po co? By mnie dobić do reszty?

– Nie. Ze względu na dzieci. Marcin jest ich bratem.

– I co z tego? Nie będą się razem wychowywali, grali w piłkę i jeździli na wakacje.

– To oczywiste, że nie. Ale masz córkę, która niedługo dorośnie i zacznie się rozglądać za narzeczoną. Pewnego dnia Danką przyprowadzi do domu kawalera i przedstawi ci go jako miłość

swojego życia. A co by było, gdyby chcieli się pobrać? Gdyby nawet wcześniej zgrzeszyli, a ich uczucie miało wydać owoc? I gdyby wreszcie przedstawiła go mnie, a ja rozpoznałabym w nim jej przyrodniego brata? – mówiła z przejęciem o czymś, co niedawno było jej największym koszmarem i przed czym mogła ustrzec bliskie sercu osoby.

– To niedorzeczne! – Sabina wzruszyła ramionami.

– Doprawdy?

– No tak. Jakie jest prawdopodobieństwo, że wśród tłumu zamieszkującego Nową Hutę i Kraków Danka spotka swego brata i zwiąże się właśnie z nim?

– Los często gra z nami w pokera. I zapewniam, że najlepsze karty zawsze chowa w swoim rękawie.

Rok 1976

...Wyobraź sobie, Broniś, że wczoraj spotkałam starą Marczykową, jak szła na przystanek pekaesu ze swoją najmłodszą wnuczką. Dawnom jej już nie widziała, bo schorowana kobiecina, że aż strach. Swego czasu ludziska plotkowali nawet, że umarła z żalu po Bartkowej śmierci. Ale jak się okazuje, to nie była prawda, bo owszem, zapadła na zdrowiu, ale życie wciąż w niej kołacze. Pozdrowiłam ją grzecznie, jak Pan Bóg przykazał, bo nic mi nie zawiniła. I pytam ją, dokąd się wybiera, a ona odpowiada mi na to, że jedzie do Nowej Huty! Dasz wiarę? Toć ona ma już dziewiąty krzyżyk na grzbiecie, a jedzie w podróż do miasta!

Jużem ją miała zagadnąć, co ją tak wzięło na wycieczki, alem sobie przypomniała, że w Hucie mieszka ten diabeł wcielony, jej najstarszy syn.

Chciałam się odwrócić i odejść, lecz ona spojrzała na mnie jakoś tak dziwnie, a potem powiedziała mi, że Pan Bóg pokarał Edka za wszystkie nasze krzywdy. Przyznaję, że mnie zaskoczyła. No i ona wtedy zaczęła mnie błagać, byśmy jej darowali, że wydała na świat takie dwa czarcie pomioty. Bo jej śmierć już w oczy zagląda i nie chce iść na spotkanie ze świętym Piotrem w poczuciu, że zostawia na ziemi tyle zła, które wydarzyło się za sprawą jej synów. „Pani Marczykowa – mówię do niej – nie mnie powinniście przeproszać i nie wy. To Edward powinien błagać Bronka i resztę mej rodziny o wybaczenie”. A ona mi odpowiada, że na to już za późno, bo właśnie mija osiem lat od dnia, jak pochowała pierworodnego. Ponoć zimą sześćdziesiątego ósmego znaleziono jego truchło zjedzone przez robaki tak bardzo, że nie dało się ustalić ani daty, ani przyczyny zgonu. I że ona właśnie w tej sprawie jedzie do miasta, gdyż przed śmiercią chciała choć raz pomodlić się na grobie dziecka. Bo choć był niewierzący, to i za jego duszę trzeba odmówić „Wieczne odpoczywanie”...

Bronek w osłupieniu spoglądał na treść listu od bliźniaczki.

Osiem lat? Osiem lat, jak ten ancyrkrys gryzie ziemię? – zdziwił się. Toć on musiał wyzionąć ducha krótko po tym, jakeśmy go wyciągnęli z bryi! A może już wtedy diabli go wzięli? Może nie dowlókl się do domu? Może wpadł w inne bagno? Może rozchorował się i umarł z wycieńczenia tamtą straszną nocą? Próżno to roztrząsać. I pomyśleć, że przez osiem lat żyliśmy w strachu przed duchem!

Zirytował się na myśl o tym, że przez cały ten czas on i jego rodzina odczuwali nieuzasadniony lęk i zachowywali ostrożność, podczas gdy nic im nie zagrażało. Nawet ten niefortunny epizod z Karolem i Weroniką przypisali nieżyjącemu człowiekowi.

A mogliśmy żyć o wiele spokojniej – stwierdził z goryczą.

Zaraz jednak doszedł do wniosku, że sprawa wcale nie jest taka oczywista, jak mu się wydawało. Przecież został wezwany na dziwaczne przesłuchanie jakiś czas po wydarzeniach z łąk.

– A jeżeli on faktycznie zdążył przed śmiercią zlecić komuś opiekę nad nami?

Zaczął sobie przypominać różne wydarzenia z minionych ośmiu lat. Próbował umiejscowić

w czasie ten dzień, gdy odkrył, że ktoś chodził po jego mieszkaniu. *Kulce też to się przydarzyło. Tylko kiedy?* Szymczak był niemalże pewien, że już po tej niefortunnej kąpieli w bagnie.

– Nie zaznam spokoju. Nie ma mowy. – Pokręcił głową w poczuciu beznadziejności.

Kilka lat wcześniej

Sprawa Marczyka niewiele obeszła jego kolegów ze Służby Bezpieczeństwa. Nie cieszył się wśród nich jakąś szczególną sympatią czy popularnością. Nie był nikim znaczącym. W czasie kilkuletniej pracy w Nowej Hucie naraził się wielu współpracownikom. Szpiegował, podsłuchiwał, a potem szantażem wymuszał jakieś mętne przysługi, na które nie było odgórnych rozkazów.

– Być może ktoś miał go dosyć i postanowił mu pomóc w odejściu z tego świata – stwierdził Gruca, pomijając głębokim milczeniem fakt, że i on miał już po grdykę czerwonego na gębie kolegi.

Kiedyś Marczyk przyłapał go na przekładaniu zarekwirowanego bimbrowego milicyjnego nysy do bagażnika w prywatnej syrenie. Musiał mu za to odpalić parę flaszek, a potem założyć podsłuch w dwóch mieszkaniach. Przez lata nagrywał i odsłuchiwał rozmowy zwyczajnych nowohuckich rodzin, gdzie wszelkie problemy skupiały się wokół tego, czy uda im się na niedzielę wsadzić kurę do garnka, aby ugotować rosół, czy wystarczy pieniędzy na kupno zimowych ubrań dla dzieci albo czy matce mieszkającej na wsi nie trzeba w czymś ulżyć. Czasami pojawiał się przerywnik w postaci rodzinnej biesiady z dość głośną muzyką i typowymi pogaduszkami. Owszem, było tam trochę żartów wypowiedzianych półgłosem na temat ogólnej sytuacji w kraju, ale to za mało, by kogoś przymknąć, bo takie bzdety wygadywali wszyscy i wszędzie. Nuda, nuda, nuda! Żadnych większych libacji czy awantur. Co jakiś czas, nocą, ciche postępowania świadczące o regularnym i grzecznym pożyciu. Chłop nie bił swojej baby, ona nie pyskowała. Podobnie w tym drugim lokalu. Z ulgą przyjął wiadomość, że może zakończyć akcję. Przy pierwszej sposobności odwiedził *podopiecznych*, oczywiście pod ich nieobecność, i pozbierał swoje zabawki, pomstując na lata bezsensownej roboty.

– Mietek mi mówił, że sekcja zwłok wykazała ranę postrzałową – powiedział ospale Wołodjew.

– No to pewnie załatwił go ktoś z naszych.

Nie podejrzewał, aby zrobił to ten szpiegowany delikwent albo jego szwagier. Ci ludzie, choć odsiedzieli wyroki za chuligaństwo pod krzyżem, byli zdecydowanie niewinni. Albo konspirowali z taką wprawą, że nie dawali się przyłapać.

– Naraził się niejednemu – powiedział ostrożnie towarzysz, który także miał co nieco za uszami.

Edek podsłuchiwał kiedyś, jak Wołodjew dogadywał się z podejrzanym o zdradę ojczyzny. Miał na tym zyskać dachę na Mazurach, bo facetowi groziła czapa i był zdesperowany. Cwany szpicel z czerwonym ryjem tak go zaskoczył, że dacza poszła na sprzedaż i musiał oddać mu połowę pieniędzy z tej transakcji.

Nikogo nie dziwiło, że śledztwo w sprawie Marczyka posuwa się w żółwym tempie. Kolegom nie paliło się do tego, aby znaleźć sprawcę, bo wiadomo, kogo pociągnąłby za sobą człowiek, który pozbył się tego wrzodu?

Dla porządku w papierach przesłuchani zastali wszyscy sąsiedzi Marczyka, którzy twierdzili, że denat mieszkał sam. Prawie nikt do niego nie przychodził, nie było żadnych kłótni w mieszkaniu. Ktoś zapamiętał, że gdy ostatnio widział go żywego, był mokry i brudny, jakby wytarzał się w błocie. I rzeczywiście, mógł to być ostatni wieczór jego życia, bowiem ciało będące w stanie dalekiego rozkładu pokrywało ubranie z zaskorupiałym błotem. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna wrócił do mieszkania, usiadł w fotelu i po prostu wyzionął ducha. Niekoniecznie od rany postrzałowej, ta bowiem znajdowała się w takim miejscu, że nie powinna zagrażać jego życiu. Właściwie było to raczej draśnięcie, choć pocisk prześliznął się po kości. Gdyby nie ów detal, nikt nie zwróciłby na to uwagi, gdyż robactwo

zdążyło już urządzić sobie z niego konkretną stołówkę. Kiedy truchło zostało znalezione w mieszkaniu na osiedlu Zgody, było obrane z mięsa aż do gnatów. Pewnie gdyby nie odór wydzielający się z gnijącego ciała, nikt nie zawracałby sobie głowy wchodzeniem do kawalerki. A oni wcale by go nie szukali, bo nie był im potrzebny do szczęścia ptaszek, który sra we własne gniazdo.

– A może to ślad po jakiejś wcześniejszej kulce? Z czasów wojny na ten przykład? – zastanawiali się koledzy.

– Być może. Na pewno nie oberwał w swoim mieszkaniu. W całym tym syfie, który tam miał, nic nie wskazywało na to, żeby ktoś u niego gościł. Drzwi były zawarte na zamek i łańcuch, który da się otworzyć wyłącznie od środka. A wątpię, aby on, po otrzymaniu kulki, kurtuazyjnie odprowadził swojego gościa do drzwi i starannie je pozamykał. Zadzwonilby raczej na pogotowie, a nie siedziałby, kurząc papierosa.

– Jak to? – zdziwił się Zygmunt.

– Jak go znaleźli, to na jednym ze zdjęć, które mu wtedy zrobili, widać między resztkami paluchów kiepa.

– No to na co wykitował?

– Diabli go tam wiedzą. Nie nasze zmartwienie, nikt po nim nie będzie płakał. Sam widzisz, że nie było go w robocie tyle czasu, a nikt nie zainteresował się jego poczynaniami. Wiadomo tylko, że krótko przed śmiercią telefonował, że potrzebuje wykorzystać zaległy urlop. Wspomniał coś o wyjeździe do rodziny na wieś. W całym naszym burdelu nikt nie zwrócił uwagi na to, że go nie ma.

– Jego i broni – zauważył Zygmunt.

– Ożeż kurwa! – zaklął Wołodjew. – W mieszkaniu jej nie zabezpieczyliśmy.

– Może zdał?

– Nie zdał.

*

W związku ze zgonem Edwarda Marczyka przesłuchano jeszcze dla porządku paru delikwentów, a potem akta zapakowano w teczkę i odniesiono do archiwum spraw niewyjaśnionych.

[24] Włodzimierz Lenin mieszkał w Krakowie w latach 1912–1914.



Epilog

Dorota dorzuciła drewek do ognia. Płomienie zasyczały. Od kaflowego pieca biło przyjemne ciepło.

W krótkie styczniowe dni do biblioteki przychodziło sporo dzieci. Najczęściej zaglądały po ostatnie lektury szkolne, jakie uczniowie dostali do przeczytania przed feriami zimowymi. Miała więc sporo pracy, lecz to było radosne zajęcie. Czterdziestodwuletnia kobieta uwielbiała spędzać czas z maluchami. Coraz częściej łapała się na refleksji, że gdyby jej losy potoczyły się inaczej, to doglądałaby już wnuków w tym wieku. Potem jednak przychodziła kojąca myśl, że nie wszystko stracone, bo przecież mieszkała z Kacprem, który stanowił dla niej wielką pociechę.

Chłopak nie dość, że robotny, to jeszcze był wygadany i skory do żartów. Taki do tańca i do rózna. Całkiem inny, niż opisywał go w listach młodszy brat.

Nim bratanek zamieszkał w Pawlicach, Leszek zazwyczaj wspominał o tym, że ma w domu czterech nieznośnych urwisów, nad którymi nie sposób zapanować. Czuł się bezradny. Prosił ją o rady wychowawcze, modlitwy w intencji synów lub choćby dobre słowo wsparcia. A kiedy pojawiła się perspektywa, by jeden z bliźniaków z nią zamieszkał, kilkakrotnie upewniał się, czy jest świadoma kłopotu, jaki bierze sobie na głowę.

Tymczasem Kacper okazał się wspaniałym towarzyszem jej samotności. Owszem, lubił lecieć na wieś do chłopaków. Pograć w piłkę, wypić piwo w barze, pójść na potańcówkę. Ale zawsze wracał do domu w przyzwoitym stanie i nie było z nim najmniejszych problemów. Pracował w Państwowym Gospodarstwie Rolnym pod czujnym okiem Olszańskiego, który systematycznie wdrażał go w swoje sprawy. Uczył się zaocznie w Krakowie na Akademii Rolniczej, do czego przekonał go Ksawery, roztaczając przed nim piękne wizje świetlanej przyszłości.

Co dwa tygodnie bratanek wyjeżdżał do miasta. W domu robiło się wtedy smutno i pusto. Była jednak nadzieja, że niebawem i to się zmieni, bowiem dwudziestolatek z wielką wytrwałością zabiegał o przychyłność Elżuni Dybczakówny i, o ile Dorota wciąż była dobrą obserwatorką, to wszystko wskazywało na to, że z powodzeniem.

– Daj Boże, by się rychło pobrali – westchnęła. – Przybyłoby mi w domu kobiece towarzystwo.

A kto wie? Może zaraz dorobiliby się dzieciątka? Kazia jest daleko, nie siedziałyby tutaj na co dzień, więc ja zastąpiłabym maleństwu babcie. – Rozczuliła się na tę myśl tak bardzo, że w jej oczach zalśniły łzy.

Z zadumy wyrwało ją skrzypnięcie zawiasów.

– Ksawery? – zdziwiła się, widząc stojącego w drzwiach przełożonego. – Coś się stało! – odgadła, bowiem jego twarz powlekała nienaturalna bladość.

– Nieszczęście, Dorotko. Nieszczęście! – powiedział grobowym głosem.

Koniec części czwartej